NIK PIERUMOW

PIERŚCIEŃ MROKU

Część III - Adamant Henny

(Przełożyli : Eugeniusz i Ewa Dębscy)

CZĘŚĆ PIERWSZA

ROK 1732 POCZĄTEK

PROLOG

Swawolne fale wyrzuciły na brzeg ciało człowieka. Nie miały już ochoty na harce. Sługom Ulmo szybko znudziła się nieciekawa zabawka, która coraz słabiej walczyła o życie. Póki tonący szarpał się rozpaczliwie, usiłując wypłynąć z zielonej toni, figlowały nim z przyjemnością, wywracając go niespodzianie, kiedy był pewny, że za chwilę zaczerpnie powietrza. Wtedy uderzały znienacka z różnych stron, zapędzając nieszczęśnika w głębinę, i przywalały swymi przezroczysto- błękitnymi ciałami. Biedak zrzucił ciążącą mu odzież i buty, ale nadaremnie. Pogrążał się w topieli coraz bardziej.

Walczył nieustępliwie. Jednakże z każdą sekundą tracił siły, aż w końcu ręce znieruchomiały, głowa odchyliła się do tyłu - człowiek poddał się władzy bezlitosnych fal. Te bawiły się jeszcze jakiś czas, ale widząc, że ofiara za moment pójdzie na dno, dały spokój i zajęły się poszukiwaniem nowej rozrywki. Wtedy na dole, w przepastnej głębinie mrocznych, dennych niecek morza, gdzie nawet sam Osse rzadko zagląda, niespodziewanie coś się poruszyło: ku górze sunął jakiś bezkształtny, pozbawiony wyraźnych konturów cień. Fale pośpiesznie zeszły mu z drogi. Cień na chwilę znieruchomiał, dokładnie pod opadającym na dno nieszczęśnikiem - i zaraz zniknął, jakby go nigdy nie było. Jednakże pojawienie się osobliwego widma miało swoje konsekwencje. Topielec z rozrzuconymi na boki rękoma zaczął powoli wypływać z głębiny. Gdy na powierzchni pojawiła się twarz blada, o zaostrzonych przedśmiertnie rysach, z zachodu nadciągnął nowy wodny wał; z łatwością pochwycił żałosne ciało, szpecące majestatyczną urodę morza, i z obrzydzeniem, jak śmieciarz padlinę, pchał do brzegu. W końcu parsknął resztkami złości na piasek i odstąpił, cały pieniście zakrwawiony.

Przez jakiś czas człowiek leżał nieruchomo. Potem ruszył rękami, chcąc podeprzeć się na łokciach, i z ust chlusnęła mu woda. Jęcząc osunął się na piasek, ale już po chwili znowu uniósł głowę, jakby wyczuwając niebezpieczeństwo. Od zachodu pędziła spiętrzona zielonkawa fala, która z daleka wyglądała jak odziany w zbroję monstrualny wojownik, z rozczapierzonym pióropuszem na hełmie, rzucający się do ataku.

Człowiek wyostrzył spojrzenie. Kiedy cudem udało mu się wstać, zaczął niezgrabnie biec. Pokonał grzbiet piaszczystej diuny i runął, sturlawszy się w głęboką, porośniętą miękką trawą nieckę.

Zielona fala na horyzoncie wygładziła się, wyraźnie rozczarowana.

Mężczyzna stopniowo dochodził do siebie, wracały mu siły; mimo że był nagi i

panował jesienny chłód, nie marzł. Usiadł i sękatymi, mocnymi dłońmi doświadczonego wojownika czy marynarza objął głowę. Usiłował przypomnieć sobie coś bardzo ważnego, próbował - i nie mógł.

- Na pamiętam... - wyszeptał sinymi wargami. - Nic nie pamiętam... Imię? Nie... Słowa... tylko słowa...

Nastało pełne radosnych dźwięków i barw upalne lato.

Wąską ścieżką podążał jeździec - garbus w prostym czarnym odzieniu. Co rusz pochylał głowę, kłaniając się wyciągniętym w poprzek dróżki gałęziom. W prawej ręce trzymał obnażony miecz; którego ostrze pokrywał jakiś zielonkawy śluz. Krople wolno spływały po strudzinie i spadały na ziemię.

Między drzewami otworzył się prześwit. Jeździec ujrzał wspaniałą łąkę. W przeciwległym jej końcu, nad zielonym wielozielem dostrzegł powoli formujący się szarawy cień.

- Tak jak opowiadali - wyszeptał. Koń zarżał, nie słuchał wodzy. Jeździec spieszył się, przywiązał wierzchowca, poprawił miecz i ruszył przed siebie. Drgający cień już stał się odbiciem przybysza; długi miecz wyciągnął się niemal na sześć stóp.

- Nie odstąpię - oświadczył garbus zimnym i skrzypiącym głosem, zwracając się do postaci. - Mam na sumieniu wielu twoich współplemieńców, nie minie i ciebie ten sam los!...

Uniósł ostrze, spokojnie zrobił krok w kierunku widma, za którego plecami majaczyła szeroka gardziel pieczary...

...A gdy garbus Sandello wracał, wydawało się, że jego twarz, surową, pooraną zmarszczkami, rozpromienia szczęście.

1

3 Czerwca, Hornburg,
Marchia Rohańska

Zmęczeni wojownicy wracali do domu. Za nimi pozostały przestrzenie wolnych stepów; Góry Białe strzelistymi wierzchołkami przesłoniły niemal połowę nieboskłonu. Minąwszy Wrota Rohanu i przekroczywszy Isenę, wojsko rozlokowało się na popas w Helmowym Jarze.

Okolica ta niedawno wróciła pod rządy ciężkiej ręki Edorasa. Minęły dopiero dwa lata od chwili, kiedy młody król Eodreid rozpaczliwym uderzeniem zajął najważniejszą ostoję osiadłych w Zachodniej Bruździe Howrarów. Szturm był ciężki, krwawy; gdyby nie pomoc krasnoludów, którzy jeszcze raz, dochowując starej przysięgi, zaatakowali od tyłu obrońców twierdzy, Rogaty Gród wytrzymałby napór. Po zwycięstwie Eodreid opróżnił skarbiec, za resztki złota kupił kunszt Podgórskiego Plemienia, a ono, od tego czasu, sprawiło, że cytadela Wzgórza była absolutnie nie do zdobycia.

Twierdza stała się oparciem dla rohańskiego naporu na zachód. Wojna sprzed dwu lat doprowadziła - za cenę niemało przelanej krwi! - do Iseny zachodnią rubież Marchii, a teraz, po ostatniej wyprawie, granica odsunęła się jeszcze dalej w step, o trzy dni wytrwałego galopu, jak to zapisano w umowach „wieczystego pokoju" z Hazgami, Howrarami i Dunlandczykami. Obecna wyprawa uważana była za zwycięską - w każdym razie taką wieść polecił głosić heroldom król Eodreid.

Na powitanie wojska wyszło niemało luda - prawie wszyscy obecni mieszkańcy Zachodniej Bruzdy, wszyscy, których nie objął Zaciąg. Kobiety, starcy i dzieciaki - mężczyzn zabrała wojna, a młodzież trzymała straż na granicach. Mimo ciężkich wojennych czasów przybyszom zgotowano wspaniałą ucztę. Na zielonym kobiercu doliny czekały na nich suto zastawione stoły. Starcy kręcili głowami - nie te, powiadali, potrawy, co kiedyś, zupełnie nie te, ale Rohan dopiero co zaczął odzyskiwać siły po koszmarze bitwy na Łuku Iseny. Tak więc, wojowie, widząc poczęstunek, często musieli odwracać się, by nie pokazywać napływających do oczu łez; oni wiedzieli, ile wyrzeczeń kosztowało ich żony przygotowanie takiego poczęstunku...

Ale święto zaczęło się inaczej. Uroczyście wkraczały do twierdzy rohańskie pułki.

- Powiedz mi, powiedz, kiedy będzie Holbytla! - szarpała starszą siostrę młodziutka dziewczyna, może czternastoletnia, z długim złocistym warkoczem. - Powiesz, no, powiesz?!

- Po co ci to? - wycedziła przez zaciśnięte wargi pytana. On na ciebie nawet nie popatrzy! Niepotrzebnie za nim usychasz, głupia!

Dokoła rozległ się śmiech.

- Sama jesteś głupia! Wiem, czekasz na swojego Fałdę i nie możesz się doczekać. Nie wytrzymujesz?... - odgryzła się natychmiast młodsza. - A ja to już nawet zapytać o mistrza Holbytlę nie mogę!

Śmiech stawał się coraz głośniejszy.

- Widzicie ją, jaka sprytna? Wybrała sobie najmniejszego! Żeby, tego, wygodniej było... - dał się słyszeć dwuznaczny rechot. - A nie za wcześnie dla ciebie, ślicznotko? Może najpierw podrośnij, co?

- Mały on, ale udały! - zasępieni! bezzębny dziadek. Wiek przygiął jego plecy, ale nie starł z oblicza licznych blizn - ten doświadczony woj walczył swego czasu na Isenie... - Król Eodreid chyba nie ma lepszego!

- Właśnie mówię - podtrzymała go jakaś kobieta. - Eowina zawsze marzyła o bohaterach!

Ale dziewczyna nie dała się zawstydzić.

- O kim chcę, o tym marzę, i nie będę nikogo o przyzwolenie pytała! - wypaliła, gwałtownym ruchem odrzucając do tyłu ciężki warkocz. - A Holbytla jest bohaterem, każdy to wie! Mama mi o nim opowiadała. Już podczas bitwy na Łuku Iseny wyróżnił się! I do Edorasu pierwszy się wdarł.

- Prawda, prawda! - pokiwał głową starzec. - Odwagi niezmiernej to wojownik! Nie wiadomo, skąd ją bierze... Wydaje się, że jednym uderzeniem można go zabić! Ale nie tak ci to łatwo...

- A powiadają, że jego współplemieńcy, których Gondorczycy „połówieczkami" nazywają, mają swoje czary, gadają ludzie, że potrafią oni znikać, a także za sprawą czarów ich strzały zawsze trafiają w cel.

- Dość tych bzdur! - pokręcił głową rozzłoszczony staruch. - Też mi wymyśliła - czary jakieś! Nie ma w nich żadnych czarów i nie było nigdy. Wzięło się takie gadanie stąd, że lepiej od mistrza Holbytli nikt strzał nie miota!... Ee..., poczekajcie, sikorki! Eowino! Ty chciałaś zobaczyć swego Holbytlę - oto jest on!

Do rozwartej na oścież bramy Rogatego Grodu zbliżali się raźnym krokiem strzelcy piesi. Wojna bezlitośnie przerzedziła ich szeregi, pułk liczył teraz nie więcej niż trzystu żołnierzy. Maszerowali jednak dziarsko, a na czele kroczył ich niewielkiego wzrostu dowódca. Mimo upału nie zdjął hełmu ani kolczugi. Jakby były dla niego drugą skórą. Przy szerokim pasie wojownika wisiał krótki miecz, według normalnych ludzkich miarek - zwyczajny sztylet, nieco tylko szerszy i grubszy. Na plecach miał kołczan z dziwnym - białej barwy - łukiem. Broń tę znano od Przygórza do Iseny, od Edorasu do Mordoru - słynny łuk Holbytli, z którego trafiał on do podrzuconej w górę monety lub przeszywał oko ptaka w zupełnych ciemnościach.

Za Holbytla maszerował jego hufiec: sześciu wojów w rzędzie. Pułk zyskał już sobie wielką sławę: dzięki celności jego strzelców rohańskie wojsko mogło z marszu zdobyć silnie umocniony Tharbad - najważniejszą południową ostoję zdobywców Arnoru - Easterlingów. Żaden obrońca nie mógł nawet wychylić nosa ze strzelnicy: powietrze wypełniała świszcząca chmura, która, gdy dotknęła ciała, przemieniała się cudownym sposobem w raniące krwawo zwyczajne drzewce. Wydawało się to niemożliwe, że Śmiertelni, nie elfy, mogą strzelać tak szybko i celnie, ale wszyscy wiedzieli, że mistrz Holbytla nie je chleba darmo i nie bez potrzeby ćwiczy swoich żołnierzy do siódmych potów. W pułku zebrano najlepszych strzelców ziem rohańskich. Mogli zatrzymać każdy atak. W zażartej bitwie pod Tharbadem, gdy powodzenie na chwilę opuściło Eodreida, pułk Holbytli stanął do walki na śmierć i życie, wytrzymując do czasu, aż nadszedł hird Dorina Sławnego... Pułk stał po kolana we krwi, a przed szykiem układał się śliski wał z końskich i ludzkich ciał, naszpikowany długimi, szaro opierzonymi strzałami rohańskich mistrzów... O tym wiedziano i to pamiętano.

Pułk mistrza Holbytli minął bramę twierdzy. Tam, na zielonej trawie Hełmowego Jaru, tłumnie stali ci, którzy przyszli powitać wojowników. Wszyscy krzyczeli jednocześnie. Jedni mieli nadzieję, że zobaczą w tłumie ukochaną twarz, wykrzykiwali imiona mężów, braci czy synów, inni po prostu wrzeszczeli „Nasi!” lub „Zwycięstwo!”, piszczały i hałasowały dzieciaki.

- Mistrzu Holbytlo! - wołała, podskakując, dziewczynka o dźwięcznym imieniu Eowina, nazwana tak na cześć słynnej Eowiny, wojowniczki, która z pomocą dalekiego przodka mistrza Holbytli pokonała samego Wodza Nazguli na Polach Pellenoru.

Dowódca łuczników usłyszał rozbrzmiewający niczym dźwięk srebrnego dzwoneczka głos dziewczyny i, uśmiechnięty, odwrócił się do niej. Kiedyś musiał być rumiany, pucołowaty i jasnowłosy; teraz jego włosy niemal całkowicie, i z pewnością przedwcześnie, stały się śnieżnobiałe, policzki zapadły się, u nasady nosa widoczna była stara szrama. Spojrzenie

szarych oczu stało się cieplejsze, zniknął na jakiś czas właściwy starym wojom chłód.

- Witaj i dzięki za powitanie! - odkrzyknął.

- Słyszałaś?! Słyszałaś?! Odpowiedział mi! A ty mówiłaś, że nawet na mnie nie spojrzy! - Eowina pokazała język niezadowolonej siostrze. - Założmy się, że zatańczę z nim po dzisiejszej uczcie!

- Zupełnie zwichnęło się na umyśle dziewczynisko mruknęła z obłudnym westchnieniem stojąca obok kobieta, ta, która twierdziła, że współplemieńcy Holbytli władają magią, lecz jej zjadliwość trafiła w próżnię, a zuchwała dziewka wykrzywiła się i zręcznie, niczym jaszczurka, śmignęła w tłum.

Za pułkiem łuczników szła ciężka piechota pancerna. Z wielkim trudem, i to dopiero niedawno, udało się ją w Rohanie odrodzić, przejąwszy szyk częściowo od krasnoludów, częściowo od Easterlingów; Zachodnia Bruzda, której falanga niczym kamienna ściana zamykała drogę burzliwemu zalewowi Angmarczyków i Easterlingów na Łuku Iseny, straciła w tym boju wszystkich wojowników.

Pułk pieszy był niemal dwukrotnie liczniejszy od łuczników i dowodzony przez dwu, również niewysokich, ale bardzo barczystych wojowników. Wzrostem sięgali do ramion Mistrzom Koni, ale ich ręce, muskularne i silne, mogłyby rywalizować z niedźwiedzimi łapami.

- Patrz, patrz - krasnoludy! - rozległo się w tłumie.

- Co, oni?! Rycerze Torin i Strori?

- Przetrzyj oczy, lebiego! A kto jeszcze? Kto dowodzi królewskimi pancernymi? Hej, heej! Wspaniałym tangarom chwała!

Jeden z dowódców- krasnoludów w marszu odwrócił się do krzyczącego.

- I tobie chwała! - ryknął tak, że wszyscy poczuli watę w uszach. - Jak tam, gotowiście? Piwa nawarzyliście?

- Nawarzyliśmy, nawarzyli! - odkrzyknął chór głosów. Będzie czym pragnienie ugasić!

- No i dobrze! - ożywił się drugi krasnolud, nieco niższy. - W gardle mi po prostu wyschło! Jeśli przypadnie dla mnie niecały antałek - śmiertelnie się obrażę.

I wojowie, i witający ich roześmiali się serdecznie.

- Po pięć antałków na człowieka przypada, a może i po sześć! - zawołał ktoś.

- O! - Malec uniósł rękę. Nie zdjął metalowej rękawicy. Bałem się, że nie wystarczy! - zakończył ze śmiertelnie poważną i przez to zabawną miną.

Ostatni, według młodej rohańskiej tradycji, do cytadeli wjechał Eodreid. Zwycięskiego

władcę, który odzyskał prawie wszystkie rohańskie ziemie, powitano chóralnymi pełnymi zachwytu okrzykami. Minąwszy wrota, król ściągnął wodze i uniósł się w strzemionach.

- Dziękuję wam za wytrwałość i powitanie! - krzyknął. W zapadłej ciszy jego głos docierał do najdalszych zakątków wąwozu. - Zwyciężyliśmy! Prawy brzeg Iseny odzyskaliśmy, a z zachodnich rubieży naszych włości znowu widać morze! Bliski jest dzień, kiedy na powrót będziemy władali tym, czym władali nasi przodkowie, czym władał wielki Thengel po trzykroć osławiony! A tymczasem odpoczywajmy i cieszmy się! Niech dziś zapanuje prawdziwe święto!...

Uroczystość rzeczywiście udała się nadzwyczaj. Król, jego młodzi synowie i córka, wszyscy Marszałkowie Marchii, dowódcy pułków, cała arystokracja, tej nocy świętowali z tymi, którzy mieczem czy pługiem przybliżali zwycięstwo. Eodreid, poznawszy, co to bieda i niepowodzenie, nie unikał prostych ludzi, nawiasem mówiąc, nigdy nie używał słów „czerń" czy „prostactwo"...

Co prawda, potem, kiedy nad Helmowym Jarem szczodrze rozgwieździło się wysokie letnie niebo, władca Rohanu jednakże zebrał „najbliższe otoczenie" w wysokiej wieży Rogatego Grodu, w tej samej komnacie, z której okien patrzył na bój sam Theoden Wielki. Nakryto stół dla dziesięciu osób: króla, jego Marszałków i dowódców. Zostało ich już niewielu - obecna armia Rohanu to nie ta, która biła się ofiarnie nad Anduiną czy Iseną...

Nie ma potrzeby wspominać, że Folko, syn Hemfasta, bardziej znany w Rohanie jako mistrz Holbytla, i jego przyjaciele krasnoludy Torin, syn Dartha, i Strori, syn Balina, o przezwisku Malec lub Mały Krasnolud, znaleźli się w gronie zaproszonych.

Hobbit, mól książkowy, który nie potrafił znaleźć sobie miejsca wśród swoich braci i który wynajdywał tysiące powodów, byle tylko wykręcić się od pielenia rzepy czy okopywania kartofli, w tym roku kończył trzydzieści osiem lat. Dla niziołków to dopiero początek dojrzałości. Inna sprawa, że patrząc nań, nikt z pobratymców nie dałby mu mniej niż pięćdziesiąt. Wojna na Zachodzie trwała od dziesięciu lat, to cichnąc, to obejmując pożarem wszystkie ziemie od Gór Białych do Błękitnych i, niestety, pozostawiała ślady również na obliczu Folka.

Wiele rzeczy się jednak nie zmieniało, na przykład kolczuga z mithrilu czy, najważniejsze, gundabadzkie trofeum Olmera, tajemnicze ostrze Otriny z głownią zdobioną błękitnymi kwiatami, ostrze, które przerwało ziemską drogę Króla Bez Królestwa. Folko nie rozstawał się z tą bronią ani w dzień, ani w nocy. Przez dziesięć lat używania zniszczyły się, wytarły skórzane troki pochwy, więc Malec na prośbę hobbita wykuł cienkie, ale bardzo mocne

łańcuszki, na których teraz wisiał sztylet.

Po krasnoludach niemal nie widać było upływu czasu: ich rasę wyróżnia długowieczność, dla nich dwieście pięćdziesiąt lat to wiek, kiedy bywa się jeszcze na polu walki i mocno dzierży topór.

- Hej, Malec, ile można się tak grzebać? - pieklił się Torin, stojąc w drzwiach. - Spóźnimy się! Nie wypada przychodzić jako ostatni! Nie jesteś dziewczyną, żeby tak się mizdrzyć przed lustrem! Zakładaj, co tam masz, i chodźmy!

- Zostaw go, Torinie - powiedział spokojnie hobbit, zapinając wyjściowy płaszcz fibułą. Chciał tego czy nie, musiał założyć odświętny strój, bowiem król Eodreid życzył sobie, by jego dwór prezentował się wytwornie. To było poniekąd zrozumiałe: ludzie umęczeni wojną łaknęli prostych radości, takich, jakie na przykład niosło dzisiejsze święto.

Oczywiście, dawno minęły czasy, kiedy przyjaciele z drżeniem serca wstępowali w szeregi możnych tego świata. Dziś sami byli w gronie silnych i posiadających władzę. Nie szukali dla siebie służby, to służba szukała teraz ich. Mądry i przewidujący Terling, władca Nowego Królestwa, które Mistrzowie Koni tradycyjnie nazywali Arnorem, zapraszał całą trójkę do siebie, proponował najwyższe stanowiska w swoim wojsku. Miało to miejsce po tym, jak ruszenie Hobbitanii pod dowództwem Folka Brandybucka, syna Hemfasta, i jego przyjaciół krasnoludów rozbiło doszczętnie hordę orków, która wtargnęła na ziemie niziołków. Etchelion, książę zajętego przez Easterlingów i Haradrimów Ithilienu, omal nie wsadził pod klucz całej trójki, dowiedziawszy się, że zamierzają opuścić jego oddział. Władca Beorningów proponował najlepsze lenna w swoich włościach, byle Folko i krasnoludy zostali dowódcami w tym królestwie... Przyjaciele już do takich łask przywykli. Ostatnimi czasy nieraz wstępowali do wojsk Rohanu, Gondoru, Beorningów, walczyli za Hobbitanię, ale zawsze odchodzili po zwycięstwie, nie odmawiali zaszczytów, lecz odrzucali propozycje stałego osiedlenia w tych krainach. Eodreid pierwszy zrozumiał, że to się nie uda, i nie narzucał przyjaciołom swej woli. Dlatego Folko, Torin i Malec częściej znajdowali się w szeregach rohańskiego wojska... A przed nimi już szła zrodzona w wojennej zawierusze opinia: „Tam, gdzie niewysoczek, Krasnolud Wielki i Malec - zwycięstwo pewne!”.

Minęły i te czasy, kiedy przyjaciele byli zwykłymi wojownikami w pułkach, domyślając się jedynie, jakie rozkazy wydadzą nazajutrz dowódcy i władcy. Teraz sami dowodzili. Podporządkowując się ich rozkazom, szły do ataku setki ludzi. Wojna to najlepsza, choć okrutna, nauczycielka; to ona sprawiła, że spokojny, nieco chełpliwy i naiwny hobbit stał się doświadczonym dowódcą - przypadek w jego plemieniu nader rzadki. Do momentu, gdy los

rzucił go pod mury Szarych Przystani, to przeobrażenie prawie się dokonało. Przez kolejnych dziesięć lat doskonalił swoje umiejętności, awansując coraz wyżej w tych armiach, do których wstępował, pozostając w zgodzie z własnym sumieniem. Nie stał się najemnikiem, nie chodziło mu o zbicie fortuny - nie, walczył o to, by Zachód ponownie był taki jak lata temu. W Rohanie niemal udało się tego dokonać, Gondor przed ośmiu laty odebrał Minas Tirith; teraz przyszła kolej na Arnor, i Folko wierzył, że nadejdzie taki dzień, kiedy nad wieżami Annuminas ponownie wzbije się w niebo biało- niebieski sztandar. Sztandar, pod którym pierwszy raz poszedł w bój. Hobbit rozumiał, że świat nigdy już nie będzie taki, jak dawniej - zniknęły Przystanie, upadł Kirdan Szkutnik - ale Folko postanowił walczyć o to, by przywrócić do życia przynajmniej widmo tamtego świata, który wydawał się teraz tak piękny.

Na późnej kolacji u Eodreida pojawili się akurat na czas, w pełnej gali, z mieczami i toporami, w najlepszym odzieniu, tyle że bez kolczug. Mithrilowe zbroje i całą resztę Malec własnoręcznie zaniknął na pięć zamków, nie ufając nikomu. A drzwi zabezpieczone przez Malca można było otworzyć tylko jednym sposobem: posiekawszy je na drzazgi.

- O, mistrz Holbytla! Czcigodne krasnoludy! - Król wstał z fotela, wyrażając uznanie swym najlepszym wojownikom.

- Witamy potężnego Eodreida... - zaczął Folko tradycyjne dworskie powitanie, jednakże władca powstrzymał go gestem:

- Nie pora na ceremoniały... Na polu pod Tharbadem rozmawialiście ze mną inaczej! I chciałbym, żeby tak było zawsze. Siadajcie! Poczęstunek nie jest bogaty, ale nie można więcej wymagać od Zachodniej Rubieży... - pokiwał głową. - Siadajcie, zaprosiłem was wszystkich nie po to, by rozkoszować się jadłem, ale na rozmowę.

Z szacunkiem przywitawszy się z Marszałkami, Folko i krasnoludy usiedli na wolnych miejscach przy długim stole. Jego widok przygnębił Malca; na śnieżnobiałym obrusie stało tylko kilka półmisków z lekkimi przekąskami, a wyglądały wręcz sieroco. Piwa nie było, zamiast niego znalazły się ciemne butelki ze starym gondorskim winem, najpewniej przedwojennym. Wojną zaś wszyscy na Zachodzi nazywali właśnie wtargnięcie Olmera, a nie owe niezliczone wyprawy i potyczki, które stały się tak częste po upadku Króla Bez Królestwa. Czas więc podzielił się na to co „przed Wojną" i po niej. Oczywiście, teraz czasy „przed Wojną" uważane były za Złoty Wiek.

- Przyjaciele - król podniósł i opuścił złoty kielich, jedyną relikwię, która pozostała w rodzie rohańskich władców po Theodenie Wielkim. - Dla wszystkich na Zachodzie, Północy i Wschodzie nasza wyprawa skończyła się. Jednakże prawda jest inna.

Eodreid potrafił zaskoczyć nawet swoich zaufanych. Doświadczeni Marszałkowie ze zdumieniem wpatrywali się w swojego pana. Malec przestał rozmyślać, czy nie pojawi się aby na stole coś bardziej smakowitego do jedzenia, i oniemiały nie odrywał wzroku od króla.

Ten człowiek wzbudzał zaufanie. Niedawno skończył czterdzieści lat, był w rozkwicie sił; złociste, charakterystyczne dla rohańskiego przywódcy włosy opadały mu na ramiona, głęboko osadzone szare oczy patrzyły surowo i przenikliwie. Długie wąsy sięgały końcami podbródka - zgodnie z modą, przejętą od wschodnich plemion, choć nikt nie chciał się do tego przyznać. Blizny, najstosowniejsza ozdoba mężczyzny, przecinały mu czoło i lewy policzek. Zazwyczaj król ubierał się z wyszukaną prostotą, jednakże podczas świąt wspaniałości jego szat mogliby pozazdrościć nawet władcy Numenoru. I mało kto wiedział, że owe złote hafty, brylanty, szafiry, szmaragdy, aksamit i złotogłów - wszystko to zostało pożyczone od krasnoludów, i że w zamian królowa musi po nocach ślęczeć, haftując płaszcze paradne władców podziemi... Czasami, nie bacząc, że nosi koronę, siadał do pomocy i sam Eodreid, ale o tym wiedziało tylko kilku zaufanych ludzi; niziołek Folko, syn Hemfasta, znajdował się w ich gronie.

- Jednakże prawda jest inna - powtórzył król, uważnie wpatrując się w twarze zebranych. Wszyscy oni byli zbyt młodzi jak na swoje wysokie stanowiska: stara gwardia Rohanu poległa na Łuku Iseny. Teraz królestwo z trudem mogło wystawić osiem do dziesięciu tysięcy kopii - a i to dopiero wtedy, jeśli stawiliby się wszyscy, od piętnastu lat do pięćdziesięciu. Zresztą, ten wojowniczy lud nie wyobrażał sobie innego życia.

- Wojna wkrótce się rozpocznie, przyjaciele moi, to dopiero początek. - Król wstał od stołu, z przyzwyczajenia trzymając w ręku puchar Theodena, napełniony po brzegi. W taki sposób, z pełnym kielichem, król często kończył ucztę - po prostu nie lubił mocnych trunków.

- Ale... przecież zawarliśmy „wieczysty pokój”! - wykrztusił ochrypłym głosem Erkenbrand, niemłody już, nieco otyły wojownik, potomek w prostej linii tego właśnie Erkenbranda Westfoldinga, który walczył z hufcami Sarumana w czasie Wojny o Pierścień. Był to jedyny z zaufanych Eomunda, ojca Eodreida, który przeszedł Anduinę, Isenę i dożył dzisiejszego dnia. Tylko on miał niepisane prawo przerywania królowi.

Władca spokojnie skinął głową:

- Słusznie, Najdzielniejszy. Ale czy człowiek, któremu przystawiono do gardła nóż i zmuszono do porzucenia dobytku, nie ma prawa odzyskać swego majątku siłą? Odebrano nam owoce naszych zwycięstw, tharbadzkie niepowodzenie drogo kosztowało Rohan... Dlatego mój podpis na tym pergaminie, któremu takie znaczenie przypisują Howrarowie, Dunlandczycy i

Hazgowie wraz z easterlingowskimi barbarzyńcami, jest niczym więcej jak tylko znakiem pozostawionym przez bawiące się dziecko na nadmorskim piasku. Wystarczy chwila - i fala wszystko zetrze, nie pozostanie nawet ślad... Tak i tu, Najdzielniejszy. Przyjąłem pokój, ponieważ w innym wypadku armia mogła ponieść zbyt wielkie straty w drodze powrotnej. Uczyniłem tak, byśmy mogli spokojnie wrócić. Pokój odegrał swoją rolę i można o nim zapomnieć.

Król ponownie powiódł spojrzeniem po zebranych.

- Tak, wiem, o czym wszyscy myślicie: władca Rohanu dał słowo, a teraz dopuszcza się wiarołomności. Chce o nim zapomnieć! Przyznajcie się, każdemu z was przyszła do głowy takowa myśl, czyż nie mam racji? W każdym razie ja pierwszy tak uznałem, wierzcie mi. Ale nie mamy innego wyjścia. Olmer był, cokolwiek byśmy o nim mówili, wielkim zdobywcą. I wiedział, jak należy uderzać - niespodziewanie, błyskawicznie, nie dając wrogowi czasu na opamiętanie, wisząc na jego plecach wpadać do miast! Przypomnijcie sobie opowieść Teofrasta Kronikarza... Jeśli nie skorzystamy z lekcji Króla Bez Królestwa - Isena może się powtórzyć. Tyle że tym razem już nie będzie komu uciekać. I odbudować Rohan też nie będzie komu. Na łuku mieliśmy sześćset pełnych eoredów! Nigdy nie wystawialiśmy takiej siły, i co się stało? Nasza armia została starta z powierzchni ziemi! Do dziś nie pojmuję, jak udało się potem zebrać trzydzieści tysięcy...

Folko siedział osłupiały. Eodreid, szlachetny król Rohanu, którego słowo uważano za twardsze od kamienia, pierwszy gotów był obrzucić swe imię błotem, okryć się wieczną hańbą. Z trudem powstrzymywał cisnące się na wargi słowa - szanował władcę, nieraz walczyli ramię w ramię, dlatego nie zamierzał pokornie chylić głowy po TAKIM oświadczeniu. O nie!

- Wysłuchajcie mnie uważnie, przyjaciele. - Król uniósł rękę. - Wysłuchajcie jeszcze chwilę. W gruncie rzeczy sprawa jest prosta. Podpisany przez nas pokój jest ugodą pozorną. Wszyscy rozumieją, że my ani z Hazgami, ani z Howrarami czy innymi najeźdźcami nie możemy żyć zgodnie. Oni z nami też nie. Są tylko dwie możliwości: albo oni zniszczą nas, albo my ich. Przypomnijcie sobie, jak walczyli Dunlandczycy podczas tej wojny!

Folko nie zapomniał. Ale pamiętał także fatalne uderzenie dunlandzkiej piechoty na tyły otaczających już Olmera

Rohirrimów w czasie Bitwy nad Iseną, pamiętał i straszliwą zemstę ocalałych stepowych jeźdźców... Nie można zamknąć takich krwawych porachunków. Zresztą, cudem ocalałe niedobitki dunlandzkiego plemienia ponownie przekazały wojowników do armii Howrarów. A walczyli Dunlandczycy rozpaczliwie...

- Dłużej tak być nie może - mówił Eodreid, jego oblicze zaś coraz bardziej ciemniało pod wpływem powstrzymywanego gniewu. - Nadejdzie dzień, kiedy zmiotą nas z powierzchni ziemi, jeśli nie wzbudzimy w nich takiego lęku, że będą naszym imieniem straszyć dzieci w kołyskach!

Folko spuścił oczy. Coś poruszyło się obok serca, poczuł tępy ból. Znane słowa... Zemsta, zemsta i jeszcze raz zemsta! Czy on sam nie żył według tego wilczego prawa przez ostatnich dziesięć lat?

Król upił z pucharu, co było nieomylnym znakiem, że jest bardzo zdenerwowany.

- Nikt teraz nie oczekuje naszego uderzenia. Wraże zwiady zameldują, że wojsko wróciło do Rogatego Grodu i lada moment rozejdzie się do domów. A my w tym czasie sekretnymi ścieżkami przejdziemy Góry Białe, ominiemy je od zachodu, odetniemy Howrarów i Hazgów od pomocy Otona i Terlinga, a potem zacznie się wielkie polowanie! Nikt nie może ujść z życiem.

- Jesteśmy wojownikami, a nie katami! - wychrypiał Erkenbrand. Oczy starego wojownika płonęły oburzeniem.

- Wiem. - Głos dźwięczał jak uderzone młotem kowadło. Eodreid z trudem powstrzymywał gniew. - Wybieraj, Najdzielniejszy: albo my będziemy oprawcami, albo inni staną się naszymi katami! Ja chcę, by Rohan żył. Każda cena, w tym i moje życie, co tam życie! - honor mój! - jest niczym w porównaniu z tym. A zniszczywszy wszystkich wrogów w międzyrzeczu Gwathlo i Iseny - a tym bardziej, po zdobyciu Tharbadu! - możemy inaczej rozmawiać z Annuminas... Zmusimy ich do uznania nienaruszalności naszych granic!... A teraz chcę wysłuchać was. Proszę, żebyś pierwszy wypowiedział się ty, mistrzu Folko!

Hobbit był zaskoczony - nie oczekiwał takiego zaszczytu. Rzucił szybkie spojrzenie na przyjaciół krasnoludów: ich nie przeniknione oblicza przypominały maski, co świadczyło, że nie spodobały im się słowa, które usłyszeli, i to bardzo.

Folko wstał. Przechwycił nieprzychylne spojrzenie Erkenbranda, odwrócił się do starego wojownika i złożył mu pełen szacunku ukłon.

- Mój panie, może lepiej, by zaczął Najdzielniejszy?... zapytał króla.

- Pozwól, bym ja o tym decydował! - uciął Eodreid. - Ty też byłeś nad Anduiną i nad Iseną... jak i ja, zresztą. Tak więc mów śmiało.

Folko uniósł brwi - tak by widział to sapiący z oburzenia Erkenbrand. Spojrzeniem pragnął wyrazić swoje odczucia: „Ja to wszystko rozumiem, ale wykonuję polecenie, nie gniewaj się na mnie, Najdzielniejszy". Zaczął mówić:

- Mój panie, według mnie to szaleństwo. Wojsko jest zmęczone i osłabione stratami. Na wyprawę może pójść co najwyżej sześć tysięcy ludzi - pozostałych należy zostawić w Rogatym Grodzie i na Isenie. Prócz tego nie można zapominać o wschodniej granicy. Za Anduiną nie ma spokoju... Ale nie to jest najważniejsze. Mój królu, wiele czasu spędziłem w jednym oddziale z Hazgami i wiem, że kto dopuści się zdrady, przestaje być dla nich człowiekiem. Jeśli swoje słowo złamie władca wielkiego kraju - w oczach Hazgów cały naród jest tylko zbiorowiskiem drapieżnych zwierząt, które należy niszczyć bez skrupułów, i to im szybciej, tym lepiej. Teraz słowo władcy Rohanu - wypowiedział to ze szczególnym naciskiem - warte jest więcej niż złoto. Dlatego, że król nigdy od niego nie odstąpił. I czy nie może być tak, że słowem swym obronisz królestwo skuteczniej niż mieczami i kopiami? To pierwsza i najważniejsza rzecz. Mógłbym jeszcze wiele powiedzieć o zaletach planu wyprawy - rzeczywiście, żaden z wrogów nie będzie nas oczekiwał od strony morza, a jeśli odnowimy traktaty z Morskim Ludem, to szansę na sukces wzrosną - ale umyślnie pomijam te wszystkie rozważania. Albowiem, według mego rozumienia, królewskie słowo nie może być złamane w żadnych okolicznościach. Rzekłem.

- Zuch! - Siadając, usłyszał wygłoszoną żarliwym szeptem pochwałę z ust Torina. Malec, który był bliżej niego, po prostu uścisnął mu rękę - tak żeby wszyscy widzieli.

Eodreid słuchał hobbita w milczeniu, z kamienną twarzą, zacisnąwszy szczęki.

- Rozumiem opinię mistrza Holbytli - oświadczył lodowatym tonem. - Co powiedzą pozostali? Co sądzisz ty, o Najdzielniejszy?

Tęgi Erkenbrand z trudem wstał zza stołu.

- Co mogę powiedzieć ja, stary i słaby? - Urażony nie mógł opanować drżenia głosu. - Mój król od dawna już żyje owocami myśli własnych, a na dodatek podczas Rady Koronnej daje pierwsze słowo obcym, i to najemnikom, choć i bardzo biegłym!

Na zewnątrz Folko pozostał niewzruszony, choć żal i poczucie krzywdy raniły serce. „Ach, ty stary, stetryczały ramolu! Mówisz tak po tych wszystkich bojach, w których walczyłem pod rohańskimi chorągwiami?”

Obok hobbita wściekle sapał Malec, już gotów rzucić się na krzywdziciela.

- Najdzielniejszy, poczucie krzywdy zmąciło ci umysł powiedział oschle król. - Mistrz Holbytla rzeczywiście otrzymuje zapłatę z mojego skarbca, ponieważ nie ma żadnych lennych ziem w granicach Rohanu, co, jak widzę teraz, stało się z mojej winy! Ale zapomniałeś, Najdzielniejszy, dzięki komu zdobyliśmy Edoras, płacąc tak niewielką daninę krwi!... Zresztą, teraz mówimy o czymś innym. Co powiesz o moim planie?

- Co ja mogę powiedzieć... - Erkenbrand spurpurowiał, a Folko wystraszył się, że właśnie tu, przy świątecznym stole powali starego apopleksja. - Pewnie, plan jest dobry... Ale chciałbym usłyszeć: co, prócz własnego przekonania, położył król na szalę, podejmując decyzję? Zerwanie układu z sąsiadami, jakkolwiek źli oni byli, to coś, co nie miało dotąd u nas miejsca!

- Zgoda. Nie zdarzyło się - przyznał Eodreid. - Nie mam rzeczywiście żadnych mocnych dowodów, że wróg na pewno zaatakuje. Przeciwnie, wszystko wskazuje na to, że nie, Howrarowie i Hazgowie osłabli, ich oddziały są porządnie przetrzebione... Oczywiście, musi upłynąć czas, żeby się otrząsnęli. Ale co oni zrobią, kiedy podrosną młodzi wojownicy? Na kogo uderzą?... Czy aby nie na nas?...

Na krótką chwilę zapadła cisza.

- A skąd nasz władca ma pewność, że nie skończy się to wewnętrznymi sporami? - zapytał cicho Torin, gdy król skinął głową, przyzwalając wypowiedzieć się innym. - Dlaczego nie mielibyśmy zrobić tak, by Howrarowie wczepili się w gardła Hazgów czy - razem - Heggów? Albo żeby całe siły Minhiriathu i Enedhwaithu napadły na władania Otona? Król Bez Królestwa po mistrzowsku skłócał swoich wrogów i nie dawał im zjednoczyć się...

- Robić intrygi... - zmarszczył czoło Eodreid.

- To lepsze, niż łamać własne słowo! - wtrącił się Malec.

- Tak, wysłuchałem wszystkich, którzy służą Rohanowi, nie będąc z jego krwi. A wy, pozostali Marszałkowie? - Usiadł, opierając się łokciami o stół, a podbródkiem o splecione dłonie.

Wśród dowódców zapanowało poruszenie, dały się słyszeć pochrząkiwania. Oczywiście nikt nie chciał spierać się ze swoim władcą. W końcu zdecydował się Brego, jeden z dowódców konnych tysięcy - uderzeniowej siły rohańskiego wojska.

- E... e... Królu mój... - Brego nie był mówcą, to wiedzieli wszyscy. Złośliwcy twierdzili, że łatwiej nauczyć psa śpiewać uroczyste hymny niż Trzeciego Marszałka Brega sztuki przemawiania. To, że nie był oratorem, nie przeszkadzało mu jednak być znakomitym dowódcą i dzielnym wojownikiem. - Królu mój, znaczy... Myślę ja... e... niebezpieczne to. No tak. Niebezpieczne. Tak.

- Wystarczy, Brego, wystarczy! - Eodreid skrzywił się i wszyscy obecni wymienili zdziwione spojrzenia: władca Rohanu nigdy wcześniej nie pozwalał sobie na przerywanie często niezrozumiałych wywodów Trzeciego Marszałka. - Myśl twą pojmuję. Niebezpiecznie jest iść z sześcioma tysiącami na trzykrotnie liczniejsze oddziały wroga, powiadacie? Ale

mistrz Holbytla słusznie zauważył, że odnowiwszy sojusz z Morskim Ludem, zwiększymy nasze szansę. W razie powodzenia dołączą do nas cztery tysiące mieczy! Z taką armią można już śmiało iść na Tharbad...

Folko zacisnął usta: bardzo mu się nie spodobało takie ukierunkowanie narady. Eodreid sprowadził rozmowę do problemów czysto militarnych - czy wystarczy sił, gdzie skierować główne uderzenie, co zrobić, by zdobyć sojuszników - jakby wszyscy już zgodzili się z tym, że traktat, podpisany przez władcę Rohanu, jest niczym więcej jak tylko pomazanym przez dzieciaka kawałkiem znakomicie wyprawionej skóry.

- Ale okręty Morskiego Ludu odpłynęły - zaoponował Freka, Czwarty Marszałek. - Trzeba będzie wiele czasu, by ponownie zebrali swoje siły...

- Ależ oni nie zgodzą się na to! - wypalił nieoczekiwanie Malec. - To są przecież piraci. Uczciwych wojowników możemy policzyć na palcach jednej ręki. Może Farnak, pewnie, Lodin - też... Powiadają, że Chelgie jest w porządku... A reszta? Chociażby Skilludr! Gdzie tu jest dla nich łup? Oni już Howrarom odebrali wszystko, co mogli. A co do Hazgów, to nie są tacy głupi, żeby się z nimi w bitkę wdawać.

Folko zrugał siebie w myślach za to, że tak oczywiste fakty nie przyszły mu do głowy.

- Racja! - zahuczał Torin. - Tym z Morskiego Ludu należy płacić, i to z góry. Wtedy walczą jak orkowie. Gdy ich Morgoth zachęcał...

Eodreid spuścił wzrok, ale wcale nie wyglądał na kogoś, kto przyznaje się do własnego błędu. Wyglądał na śmiertelnie zmęczonego niewybaczalną głupotą swoich najbliższych, nierozumiejących oczywistych nawet dla dziecka spraw. Zapadła cisza; przytulna komnata niespodziewanie wydała się hobbitowi złowroga, jak izba tortur. Miał wrażenie, że w starych murach odżyła rozpacz Theodena, gdy ten, zamknięty niczym niedźwiedź w norze, czekał, kiedy orkowie Sarumana wedrą się w końcu do jego cytadeli... Folko wyczuł tę przytłaczającą rozpacz tak wyraźnie, jak dziesięć lat temu wyczuwał zbliżanie się Olmera. Od czasu zagłady Szarych Przystani nie zdarzało mu się nic podobnego; chwytały go nie wiadomo czym wywołane mdłości.

A tymczasem Eodreid mówił dalej:

- Cóż, znam już opinię Rady. Przyznam, że oczekiwałem innej odpowiedzi... Oczywiście, mogę po prostu wydać rozkazy, ale wolałbym przekonać was. Stary świat już nie istnieje, myślałem, że wszyscy o tym wiedzą. Nadeszła pora innych wojen. Takich, w których wrogów musisz wyciąć w pień, od małego do starego, ponieważ w innym wypadku oni unicestwią twój ród. Minhiriath, Enedhwaith, Eriador - są zaludnione przybyszami ze wschodu.

Nasze ziemie to wysepka, ze wszystkich stron otoczona falami barbarzyńskiego morza, morza obcych... Heggowie, Hazgowie, Howrarowie, Dunlandczycy... A za Anduiną - jakie tam żyją nikomu nieznane plemiona, przybyłe jeden Manwe wie skąd! A przeciwko nim stoimy tylko my. Gondor jest słaby i ledwo odpiera nacisk Haradrimów, działających wspólnie z korsarzami Umbaru. My jesteśmy ostatnią nadzieją Dobra i Światła. My powinniśmy rozpocząć tę wielką wojnę, która skończy z trującymi pomiotami Olmerowego najazdu. Rohan ma do tego prawo. Zapłaciliśmy już najwyższą z możliwych cen. Połowa naszych mężów poległa w tej wojnie! Czy możemy więc pozwolić sobie na czekanie, aż wróg raczy sam napaść na nas?! Nie, nie i jeszcze raz - nie! Postępujemy zgodnie z testamentem Valarow. Siły Mroku padły, połamawszy sobie zęby o mury Szarych Przystani. My nie jeden raz i nie dwa zwyciężaliśmy naszych wrogów i wiemy: nie mają oni już żadnych magicznych mocy, jak, zresztą, i sprawnych dowódców. Drugiego Olmera nie ma i nie będzie! Zwyciężymy!

- Hm... - W głosie Torina nie wyczuwało się szacunku. A jeśli przegramy? Easterlingowie na razie są jeszcze bardzo mocni... Nie jestem pewien, czy Dorin Sławny ponownie wyprowadzi w pole moryjski hird. A czy oprze się Rohan, będąc nawet w sojuszu z Morskim Ludem, w którego możliwości bardzo powątpiewam, gdy przeciwko nam wystąpi cała moc Terlinga i Otona wraz z Angmarem? Pamiętajmy, że nie mogliśmy utrzymać Tharbadu, mimo że z nami byli i Beorningowie, i część Eldringów - niemała siła! A jednak czym się to wszystko skończyło? Ziemie o cztery tylko dni drogi od Iseny... Śmiech i tyle.

Zaległa niezręczna cisza. Krasnolud mówił prawdę. Koniec wojny zupełnie nie przypominał tego zaplanowanego w Edorasie, gdy wojnę rozpoczynano...

Folko wpatrywał się w oblicze króla. Bardzo dobrze znał władcę, pamiętał triumfującą armię i samego wodza, młodego jeszcze: jego twarz promieniała szczęściem, gdy padli ostatni Howrarowie - obrońcy Meduseldu, i Eodreid na ziemi swych przodków donośnym głosem obwieścił Przywrócenie Rohanu. Pamiętał hobbit energicznego, mądrego władcę Marchii w dniach szturmu na Rogaty Gród i walk o Isenę. I on, mistrz Holbytla, nie mógł się mylić - coś owładnęło królem. Eodreid nigdy nie napawał się wojną. Pokój był wyjątkowo sprzyjający Rohanowi: Howrarowie, po niezłej lekcji, raczej nie zaryzykowaliby w najbliższej przyszłości napaści na Marchię... Coś tu było nie w porządku, wmieszały się jakieś siły, które popychały rohańskiego władcę do samobójczego kroku. Jakie to siły? Co mogło aż tak zmącić umysł doświadczonego, dzielnego stratega, który miał za sobą niejedną wojnę? Dlaczego podjął decyzję absurdalną nawet dla stetryczałego Erkenbranda? Złamał królewskie słowo. Poza ojcobójstwem nie było dla przybyszy ze Wschodu ohydniejszej zbrodni. I gdzieś w głębi duszy

hobbita, wyłamując zakrzepłą skorupę lodu, nagle odezwało się jakieś wspomnienie z przeszłości, które jakby łączyło się z niedającymi się wymazać z pamięci dniami pogoni za Olmerem. To było jak spodziewany ból, towarzyszący wyrywaniu zepsutego zęba...

Ściany komnaty drgnęły i rozmyły się. W piersi poruszyło się coś ciepłego i Folko omal nie spadł z siedziska - odżywał sztylet Otriny! Dziesięć lat, dziesięć długich lat służył mu wiernie, ale całkowicie stracił magiczne właściwości, stał się zwyczajnym ostrzem, może nawet z doskonałej stali, ale tylko tyle. Nie wierząc sobie, hobbit dotknął pochwy palcami - tak jest, stara wytarta skóra promieniowała wyraźnym ciepłem. Moce drzemiące w ostrzu z błękitnymi kwiatami budziły się do życia.

Całkowicie stracił poczucie rzeczywistości. Wsłuchiwał się w swoje odczucia. Nie... niby nic szczególnego... a jeśliby zajrzeć tu?!

Na prawej ręce nadal nosił prezent księcia Forwego - złoty pierścień z błękitnym kamieniem. Purpurowy motylek, który kiedyś trzepotał skrzydełkami w rytm bicia serca hobbita, dawno zniknął z głębin kamienia; wszyscy przywykli do pierścienia, uważali go za zwyczajną ozdobę, dziwną zachciankę dzielnego wojownika, któremu, tak naprawdę, nie przystoi zdobić się kobiecymi świecidełkami. Przez dziesięć lat pierścień był martwy, a teraz, po tym, co się stało ze sztyletem, Folko nawet niezbyt się zdziwił, dostrzegając w głębinach kryształu miarowe ruchy ogniście purpurowych skrzydeł. Motylek ożył.

Dawniej Folko Brandybuck poderwałby się z miejsca i z ogniem w oczach zażądał, by wszyscy wsłuchali się w te groźne oznaki, wieszczące... Eru jeden wie, co. Na pewno coś złego. Tego rodzaju emocje jednak już minęły. Teraz hobbit odwrócił pierścień kamieniem w dół, żeby nikt nie zauważył zmiany. Wysiłkiem woli zmusił się do przysłuchiwania temu, o czym rozmawiano.

A działo się coś niedobrego. Eodreid chyba po raz pierwszy w trakcie swego panowania dał upust złości.

Nie, nie krzyczał i nie tupał nogami, nie kazał ściąć wszystkich, którzy się z nim nie zgadzają, po prostu wydawał polecenia lodowatym, martwym głosem, a to było jeszcze gorsze. Doświadczeni wojownicy czuli, jak włosy stają im dęba, a po plecach spływa zimny pot. Można było sądzić, że zamiast ich króla, któremu wszyscy byli szczerze oddani, pojawił się w komnacie zupełnie inny człowiek, twardy i okrutny. Rozkazy jego budziły grozę.

- Zatroszczcie się, by zabrano wystarczająco dużo trutki tej, którą otrzymaliśmy od krasnoludów i którą oni stosują na kamienne szczury. Po drodze będziemy zatruwać studnie wszystkie, co do jednej! Wziąć ze sobą zapasy oleju - wypalimy pola i pastwiska. Wsie i miasta

spłoną wraz z mieszkańcami. Nikogo nie oszczędzać! Bękarty mroku nie zasługują na litość. Dzieci nie są wyjątkiem. Nie chcę, by wyrośli z nich mściciele. W ten sposób raz na zawsze powstrzymamy najazdy z zachodu na Rohan.

- A co, skoro tak, z Amorem, mój panie? - zapytał Brego. - Terling jest mocny, przeklęty, żeby go rozerwało na strzępy! Pod Tharbadem odczuliśmy to na własnych skórach! - Tak, Terling jest mocny - bez zastanowienia odpowiedział Eodreid. W jego spojrzeniu pląsały czerwone odblaski ognia pochodni, przez co wydawało się, że król już widzi olbrzymie pożary, trawiące wraże miasta i wsie. - Ale będzie musiał iść przez wypalone ziemie. Jego wojsko po przekroczeniu Gwathlo nie znajdzie wody, żywności ni furażu. A my uderzymy nań na wcześniej przygotowanych rubieżach, wymęczymy atakami z zasadzki... Nie dojdą do Iseny!

Malec głośno prychnął. Mały Krasnolud nie przebierał w słowach nawet przed obliczem króla.

- Dojdą, dojdą, jeszcze jak dojdą! - rzucił, nie namyślając się. - Wodę wezmą w bukłakach z Gwathlo. A mogą nawet łatwiej się tu dostać - okrętami po Isenie... Złota na przekupienie Morskiego Ludu mają dość.

Eodreidowi drgnął policzek.

- Rada zakończona - powiedział zgrzytliwym głosem, ledwie panując nad rozpierającą go wściekłością. - Mam nadzieję, że wszyscy Marszałkowie Marchii spełnią swój obowiązek. Wojska nie rozpuszczać! A posłów do Morskiego Ludu wyślę natychmiast. Na Isenie obecnie stoi drużyna tana Farnaka, czyż nie tak? Z nim właśnie posłowie wyruszą. A teraz pozwalam wszystkim odejść.

Marszałkowie wstawali jeden po drugim, odchodzili, skłaniając głowę przed władcą.

Grube dębowe drzwi zamknęły się. Z królewskich komnat ulokowanych na górnych piętrach prowadził tylko jeden korytarz, a więc czy ktoś tego chciał czy nie, wszyscy rohańscy dowódcy szli razem. Panowała przytłaczająca cisza.

- Ee...! Nie wolno nam, ten tego, rozumiecie, nie wolno tego wymyślonego robić! - zdumiewająco dobitnie rzekł Brego.

Wszyscy zatrzymali się jak na komendę. Wyglądało, że pozostali rohańscy wielmoże myśleli tak samo, ponieważ Frekowi wyrwało się:

- Prawda, tylko jak?

- Jak, jak... - wychrypiał wciąż jeszcze purpurowy Erkenbrand. - Co tu o tym gadać... Wszak są między nami najemnicy!

Folko gwałtownie odwrócił się, jakby smagnięty batem.

- Czy aby nie zamyśla Najdzielniejszy spiskować przeciwko swemu królowi? - wycedził przez zęby hobbit, kładąc dłoń na rękojeści. Obok niego zatrzymały się krasnoludy, trzymając topory w pogotowiu.

- E, wy co... tego! - poderwał się Brego, błyskawicznie stając między starym wojownikiem i Folkiem. - Najdzielniejszy, proszę cię...

- Jeśli dojrzewa tu zdrada... - wyskandował Torin lodowatym głosem.

- Jaka zdrada! - wrzasnął rozpaczliwie Freka. - Wszak rozkazy króla zgubią Rohan! Przecież pierwsi się im sprzeciwiliście!

- Ale to nie znaczy, że zdradzimy swoje słowo - odparował Malec.

- My też nie zamierzamy! - wykrzyknął z zapałem Hama, najmłodszy z rohańskich Marszałków. - Chcemy po prostu uratować króla od zguby! Czy nie na tym polega prawdziwy obowiązek tych, którzy kochają swój kraj i swego władcę?

Folko, Torin i Malec, wymieniwszy spojrzenia, beznamiętnie i w milczeniu żegnali się z pozostałymi Marszałkami.

- Hej, dokąd wy... ten... tego? - zaniepokoił się Brego. Musimy pogadać. Będziecie z nami czy nie?

- Czyż mogą najemnicy, jak nas określił czcigodny Erkenbrand, dyskutować nad rozkazami naszego zleceniodawcy? odezwał się Torin umyślnie lodowatym tonem. - Władca Eodreid wydał polecenie. Nie pozostaje nam nic innego, jak wykonać je.

Brego spąsowiał.

- No, tego... znaczy się, nie miejcie w sercu złości. Ja, tego, wybaczenia proszę, słyszycie? Ja, jakby... e... od wszystkich nas... prawda? - Spocony z wysiłku, albowiem rzadko zdarzało mu się prawić takie uprzejmości, obrzucił spojrzeniem pozostałych Marszałków Rohanu. - Wy, tego, nie złośćcie się na Najdzielniejszego. On przecież... no, znaczy, stary, czy jak tam...

- Poczekaj, Torinie. - Folko trącił łokieć przyjaciela. Nie zaszkodzi, gdy wysłuchamy wszystkich. Może razem dojdziemy do jakiegoś słusznego wniosku.

Widać było, że krasnoludy są śmiertelnie obrażone. Sam Folko również nie wybaczyłby nikomu takich słów, gdyby Erkenbrand nie był tak stary i stetryczały. Cudem wyszedł z boju nad Iseną i, jak powiadają ludzie, zmienił się bardzo po tej bitwie - niestety nie na lepsze.

- Słusznie, słusznie! - podchwycił Freka. - Najdzielniejszy...

- Najdzielniejszy mylił się, wypowiadając zapalczywie oświadczył wolno Seorl, dotąd milczący Piąty Marszałek. - Nie należy z powodu nierozważnych słów jednego kłócić się ze

wszystkimi. Mistrz Holbytla ma rację. Musimy omówić wszystko dokładnie i bez emocji.

Nie od razu, ale udało się wspólnymi siłami nakłonić do tego krasnoludy. Erkenbrand, obraziwszy się, oświadczył, że z „najemnikami" nie siądzie do stołu, i oddalił się, daremnie usiłując przybrać dumną i wielkopańską postawę. Było to jednak niemożliwe z powodu trzęsącej się głowy...

Folko ze smutkiem patrzył w ślad za nim. Nie, nie miał racji, obrażając się na zdziecinniałego starca. Niech mówi, co chce! Król trzyma go w Radzie tylko dlatego, że chce okazać szacunek ostatniemu żyjącemu współtowarzyszowi swego ojca...

Ośmiu rohańskich dowódców zeszło do wielkiej sali balowej. Było tu dziś ciemno i cicho - świętowano poza murami zamku.

- Tu my... tego... ten, możemy porozmawiać. - Brego usiadł na ławie.

- Trzeba wymusić, by zmienił rozkazy... - zaczął Seorl, jednakże Freka przerwał mu gniewnie:

- To nawet baran wie!... Ale czy któryś z nas ma pomysł, JAK tego dokonać?

- Król Eodreid nie odstępuje łatwo od swego zdania wtrącił się do rozmowy Teomund, Siódmy Marszałek. - Zresztą, wcześniej...

- Wcześniej nie podejmował takich szalonych decyzji! warknął Seorl. - Co za giez go ugryzł? Jeszcze wczoraj nic nie zapowiadało...!

- A co tu gadać... nieważne, dlaczego tak zamyśla, czy nie mam racji? - Brego, najstarszy stopniem wśród zebranych, usiłował kierować rozmową. - Trzeba ratować Rohan! Tak czy nie? Znaczy, ten, tego... wojsko z wyprawy... e... nie wróci, wiadomo, tak czy nie? Nie wróci, wiemy to wszyscy. No to jak króla przekonać?

- Może gdy trochę ochłonie, porozmawiamy z nim znowu... - zaproponował Eotain.

- A jeśli odmówi? - nie ustępował Trzeci Marszałek.

- Wtedy się zastanowimy. - Eotain uchylił się od odpowiedzi wprost.

- No... tego... a jak uważają mistrz Holbytla i czcigodne krasnoludy? - Brego zwrócił się do Folka i przyjaciół.

Torin wzruszył potężnymi ramionami.

- Na wojnie nie dyskutuje się z rozkazami króla. Możemy do woli spierać się podczas Rady, ale jeśli, mimo wszystko, nie zmieni zdania, należy się podporządkować jego woli.

- Nawet jeśli... tego... no... cały ten tego... kraj, jak mu tam? na zatracenie? A ludzi, którzy ocaleją... tego... znaczy... w niewolę wpędzi? - zapytał po prostu Brego. Potężny mężczyzna szerokością ramion niewiele ustępował krasnoludowi. Jego jasnobrązowe oczy

pociemniały. Folko przypomniał sobie, że Brego jako daleki krewny Eodreida, pominąwszy syna i córkę króla Rohanu, jest, zapewne, jednym z pierwszych pretendentów do korony Edorasu...

- A... tego... co winni zrobić... ci, no - oddani wojownicy... tego... oddani, znaczy się, narodowi swemu... jeśli... władca, znaczy, prowadzi ich... jego... do zguby nieuniknionej? - rozważał Trzeci Marszałek, coraz bardziej zapalczywie.

Folko skrzyżował ręce na piersi i zmrużył oczy. Wszystko wskazywało, że może dojść do przewrotu. Dobry dowódca i odważny wojownik, Brego, bez większego trudu przeciągnie na swoją stronę pozostałych Marszałków. A jeśli armia się nie wtrąci... to będzie mógł on wyzwać na pojedynek Eodreida pod jakimkolwiek pretekstem, nawet zarzucając mu nastawanie na cześć jego, Brega, małżonki. A w pojedynku Trzeci Marszałek ma o wiele większą szansę... Może nawet nie posunie się do kłamstwa - Rohirrimowie nie są do tego skłonni ale po prostu oświadczy, że król oszalał i nie może już rządzić krajem. W obu wypadkach wyjście jest jedno: pole, sąd mieczy. Czyżby Trzeci Marszałek poważnie zapragnął być Pierwszym?

Folko zerknął na Torina i Małego Krasnoluda. Malec przybrał głupawo- senny wyraz twarzy, ale hobbit wiedział, że udaje. Dłoń Stroriego spoczęła na rękojeści topora: był gotów do boju.

- Trzeba zrobić tak, żeby rozkaz władcy doprowadził kraj do zwycięstwa, a nie do klęski - wzruszył ramionami Torin. W każdym razie tak jest przyjęte u nas, krasnoludów.

Rozzłoszczony Brego walnął pięścią w kolano.

- Arr! No... ee... tego... Wyobraź sobie, tego - król, on, znaczy, nakazuje armii, e... całej... znaczy się... skakać ze skały. No to jak wtedy „doprowadzisz do zwycięstwa”?!

- Możemy się sprzeczać - odparł spokojnie Torin. - Czyżbyś nie pamiętał, czcigodny Brego, że nie zgadzałem się z władcą? I nadal uważam, że nie honor teraz wojnę wszczynać. Ale - gdyby się udało - nie takie rzeczy można przeprowadzić. Słowo królewskie... Dobrze, zostawmy to. Teraz i Howrarów, i Hazgów można rozbić, chociaż potem będziemy musieli się zetrzeć z całym stepem, i na dodatek z Arnorem!... Ale pierwsza sprawa ma szansę powodzenia. Może, gdyby nie traktat, sam bym coś takiego zaproponował. Zaskoczenie jest matką zwycięstwa, jak mawiają u nas w Haldor Caisie...

- Więc popierasz ten szaleńczy zamysł? - zapiszczał Brego, ujawniając w gniewie niebywałe krasomówstwo.

Torin tylko pokiwał głową:

- Nie chcę się z tobą sprzeczać, Trzeci Marszałku. Z całej duszy będę odradzał królowi takie działanie. Nie dlatego, że nam po łbie się oberwie, tylko dlatego, że królewskie słowo jest droższe od wszelkich zwycięstw. Tam, gdzie da się rozwiązać problem pokojowo, po co wszczynać wojnę? Słowo Eodreida jest teraz dla Rohanu cenniejsze niż piesze drużyny i konne szwadrony. Ale jeśli królewskiemu słowu przestaną wierzyć... - krasnolud westchnął ciężko.

Zapadła cisza. Koniec. Dalej roztrząsać tę sprawę to jakby kręcić koło bez toczydła. Folko rozumiał, że Brego w tej chwili się waha: wyjawić swoje plany już teraz czy jeszcze poczekać.

Musi się wmieszać. W pułku Folka byli nie tylko rodzimi Rohirrimowie, znalazło się także wielu wojowników innych narodowości - Arnorczyków, Gondorczyków, Beorningów, dołączyło doń nawet kilku Bardingów z Nadrunia. Z wieloma z nich hobbit przyjaźnił się dawno temu, w czasie Wiosennej Wyprawy... Oni także otrzymywali wynagrodzenie z królewskiego skarbca, i z pewnością nie odmówiliby obrony Eodreida. Pułk łuczników pieszych bardziej niż w codzienny wschód słońca wierzył słowu swego dowódcy, „którego wzrost nijak się miał do jego odwagi".

Tak więc w razie czego mógł Folko liczyć na co najmniej setkę dobrze wyszkolonych łuczników, tych, którzy nie pochodzą z Rohanu. Mniej więcej dwie setki tak samo dobrych wojowników z liczby pancernych poszłyby za Torinem i Malcem...

„Tyś chyba zupełnie się zbiesił, bracie hobbicie!" - zbeształ siebie Folko. Było za co, bowiem okazało się, że jest on zdolny z zimną krwią planować, na kim może się oprzeć w razie wewnętrznej zawieruchy w Rohanie, i po czyjej stronie sam się opowie!

I właśnie teraz poczuł przemożny strach. Uświadomił sobie nagle, że już był gotów, pod byle jakim pretekstem uciekając stąd, wydać rozkaz swojej wybranej setce, stanąć na posterunku dokoła królewskich komnat i strzelać do każdego, kto się zamierzy na władcę. Hobbit jak na jawie zobaczył Brega, wymachującego szerokim mieczem, i nierówny szyk wojowników, którzy ruszyli pod jego komendą do szturmu... Pokręcił głową, jakby usiłował odpędzić koszmarne wizje. To oznaczałoby koniec, koniec Rohanu i ostatniej nadziei... Na co? Na odrodzenie Arnoru?...

Daleko zaszedłeś, bracie hobbicie... - pomyślał skonfundowany. - Nie, nie, tak nie wolno. Nie wolno nam, hobbitom, tak długo w obcych krainach... pod obcymi sztandarami...

Sztylet Otriny uparcie drżał na piersi, i - dziwne - ale właśnie to pomogło mu odzyskać równowagę.

- Naszym obowiązkiem jest - zaczął hobbit z pewnym wysiłkiem, nieco ochrypłym

głosem - obowiązkiem wszystkich, którzy służą Rohanowi, nieważne, czy urodzili się w okolicach Edorasu czy trzy tysiące mil od niego, zachować spokój i nie dopuścić do zgubnych sytuacji, kiedy brat staje przeciwko bratu. Jest jeszcze możliwość przekonania króla. Spróbuję to uczynić. Sądzę, że moi druhowie, Torin, syn Dartha, i Strori, syn Balina, pomogą mi w tym. Bunt należy zdławić w zarodku, zanim gadzina pokaże jadowite kły. Rzekłem. Wysłuchali go w milczeniu. Wiadomo, co chciał przekazać mistrz Holbytla: ani on, ani jego pułk nie wystąpią przeciwko prawowitemu władcy.

Brego przygryzł wargę. Jak na spiskowca niezręcznie ukrywał swoje uczucia.

- Cóż, mistrz Holbytla cieszy się wielkim poważaniem u naszego władcy - rzucił Freka. - Może sam przemówi mu do rozumu lepiej niż my wszyscy...

Brego zmuszony był przytaknąć. Spisek się nie zawiązał.

A tymczasem pod murami cytadeli trwała świąteczna zabawa i piwo lało się strumieniami. Lud tańczył, dokładniej tańczyli ci, którzy wrócili, i ci, którzy się doczekali. Ci, którzy nie wrócili, leżeli w odzyskanej ziemi, a ci, którzy się ich nie doczekali, rozpaczali w samotności...

- Musimy uprzedzić naszych! - wypalił Folko, gdy tylko Malec zatrzasnął drzwi.

Naszych, oznaczało takich jak oni, czyli najemników. Hobbit mocno wątpił - i słusznie! - czy strzelcy Rohirrimowie posłuchają go, jeśli każe im ująć Trzeciego Marszałka Marchii i tych, którzy do niego dołączą.

O tym, co się dzieje ze sztyletem Otriny i pierścieniem Forwego, na razie postanowił nie mówić. Zdąży! W tej chwili najważniejszą sprawą było rozmieszczenie swoich wojowników w odpowiednich miejscach, by mogli zniweczyć zamysł Trzeciego Marszałka... Trzy setki żołnierzy - nie za dużo, ale i niemało, jeśli rozlokuje się ich umiejętnie. A sztylet i pierścień poczekają.

Odpowiadając salutującym wartownikom, hobbit zauważył, że całą ochronę tworzą ludzie z oddziału Brega. Trójka przyjaciół udała się na dziedziniec. Tu płonęły strzelające iskrami ogniska, niezliczona liczba pochodni rozpraszała mrok; niektórzy ucztowali przy długich stołach, obok wirowali tancerze. Muzykanci byli niezmordowani.

- Rozchodzimy się - powiedział cicho Torin. - Jak tylko damy znać - od razu z powrotem. Wierzę teraz Bregowi nie bardziej niż kiedyś Gandalf Sarumanowi!

Folko skinął głową i ruszył do stołów, wyszukując wzrokiem swoich dziesiętników. Z najemników, wojowników fortuny, stworzył swego czasu oddzielną formację, którą osobiście dowodził. Co poniektórzy Marszałkowie wybrzydzali i, jak się okazało, mieli rację.

- Brand! Triod! Helsie! - wywoływał wojowników jednego po drugim. Jego dziesiętnicy znali się na rzeczy. Wystarczyło im jedno spojrzenie dowódcy, by zapomnieli o pijaństwie. Wszyscy zaczynali jeszcze w Wiosennej Wyprawie, tę trójkę znał Folko prawie od dziesięciu lat.

Zachowując spokój i beztroski wyraz twarzy, Brand, Triod i Helsie znaleźli się obok hobbita. Rozumieli, że stało się coś niezwykłego, skoro dowódca przerwał im świąteczną biesiadę.

- Szybko zbierzcie wszystkich, których spotkacie. Najlepiej cały oddział. Niech się uzbroją i będą w pogotowiu. Jeśli zatrąbię w róg, wiecie jak, zajmujcie wieżę. Zablokujcie wejście. Pamiętajcie: musi wystarczyć strzał. - I, ciszej, niemal szeptem, dodał: - Rohirrimom na razie ani słowa!

Jeśli nawet któryś z dziesiętników zdziwił się, to nie okazał tego. Skinąwszy głowami, wojownicy zniknęli w tłumie.

Nagle ktoś dotknął ramienia hobbita.

- Mistrz Holbytla! - rozległ się dźwięczny głosik.

Folko odwrócił się gwałtownie. Stała przed nim wiotka niczym źdźbło trawy młodziutka dziewczyna, nerwowo szarpiąc bujny złocisty warkocz. Hobbit poznał ją. To była ta, która krzyczała, witając go, gdy pułk uroczyście wkraczał do twierdzy.

- Jestem Eowina. - Mężnie walczyła z nieśmiałością. Ja... Ja szukałam was przez cały wieczór... Chciałabym... jeśli można... - zarumieniła się - ...zatańczyć z wami...

Wpatrywał się w nią zdumiony. Po raz pierwszy w życiu słyszał coś podobnego z ust dziewczyny nie z hobbiciego rodu. Skonfundowany zdołał tylko wymamrotać coś o swoim nieodpowiednim stroju, ale to nie przekonało Eowiny. Pokonawszy własną wstydliwość, pociągnęła hobbita za brzeg płaszcza:

- No proszę! Co wam szkodzi? Czy może... - zalała się rumieńcem - ...może uważacie, że... jestem brzydula?

Oczywiście nie była brzydulą, i na miarę swych sił Folko usiłował ją o tym przekonać. Co prawda, nie miał wnikliwego doświadczenia w prawieniu komplementów - na pewno znacznie mniejsze niż w strzelaniu z łuku czy fechtunku.

Eowina wciągnęła go w krąg tańczących. Ręce dziewczyny spoczęły na ramionach Folka, ten zaś ostrożnie, jakby to był ziejący ogniem smok, dotknął niewiarygodnie szczupłej dziewczęcej kibici... Niezbyt złożone figury tańca pamiętał jeszcze z dawnych czasów, kiedy, po zdobyciu Edorasu, po raz pierwszy trafił na rohańskie święto i sama królowa Morwen

pomagała mu, przetańczywszy z nim pierwszych pięć okrążeń. Wtedy nikomu nie wydawało się to czymś niezwykłym...

- Mistrzu Holbytlo... wybaczcie mi, ale... mogę was o coś zapytać? Gdzie mieszkacie? - jednym tchem wypaliła dziewczyna.

- Gdzie mieszkam? - uśmiechnął się. - Teraz mój dom jest tam, gdzie wojsko Rohanu. A gdy wrócimy do Edorasu... Król Eodreid pokaże mi, gdzie mam skłonić głowę. Ale po co ci to wiedzieć, Eowino?

- Może chciałabym odszukać was., żeby zaprosić w gości! Potrafię piec takie kołacze... Wszyscy mówią, że lepsze są niż mojej siostry!

- W takim razie przyjdę na pewno! - odparł rozbawiony Folko, zastanawiając się jednocześnie nad możliwie delikatnym sposobem opuszczenia kręgu tańczących. - Wybacz mi, muszę już iść, i tak oderwałem się od zajęć, od wykonywania pilnego królewskiego rozkazu... żeby zatańczyć z tobą, Eowino...

- Mimo to zaproszę was w gościnę, mistrzu Holbytlo! - dobiegł go głos dziewczyny, kiedy się oddalał.

Folko jeszcze obejrzał się, na pożegnanie zamachał ręką i pognał ku wejściu do wieży.

- Spóźniasz się - obsztorcował go szeptem Malec. Krasnoludy niecierpliwie przestępowały z nogi na nogę. - Szybciej, bo jakoś mi na sercu markotno. Żeby ten Brego czegoś nie wymyślił...

Trzeci Marszałek zniknął gdzieś. Folko, Torin i Malec rozlokowali się przy rozwidleniu korytarzy, zamykając drogę na górę, do królewskich komnat. Wyżej straż trzymali żołnierze osobistego eoredu władcy i tym można było ufać. Cała natomiast reszta straży postawiona została przez Trzeciego Marszałka... Ci mogliby stracić głowy...

Znowu Folko przyłapał się, że myśli o Bregu, z którym nieraz walczył ramię przy ramieniu, jak o buntowniku i spiskowcu; już nie wątpił, że wojownicy Trzeciego Marszałka na pewno pójdą za nim, a nie za swoim królem...

„Coś się ze mną dzieje! Jeszcze trochę i zacznę się bać własnego cienia, bo niby dlaczego ciągle się chowa za moimi plecami?" - Folko usiłował zakpić z siebie, ale żarty na nic się zdały. Dotknął ciepłej rękojeści sztyletu, wyjął broń z pochwy.

- Jeszcze jest taka sprawa, przyjaciele... - opowiedział druhom o przywróconym do życia ostrzu i przebudzonym pierścieniu.

- To ci historia! - zachwycił się naiwny Malec, widząc purpurowego motyla we wnętrzu kamienia. - A ja już myślałem, że na zawsze zgasł...

- Dobrze by było jeszcze wiedzieć, co to znaczy. - Torin zdjął hełm, wytarł spocone czoło. - Co je obudziło, na Durina?

- Pewnie wszyscy myślimy... albo przypominamy sobie... to samo - półgłosem odezwał się Folko. - Wszystkie te przedmioty były żywe, gdy w naszym świecie działały nieludzkie siły. No i Olmer...

- Prawda! - Torin uderzył się w czoło. - Więc myślisz, że gdzieś znowu...

- Właśnie tak myślę - zapewnił go stanowczo Folko. Zbyt długo wątpiliśmy za pierwszym razem. Rozmyślania, gadanina... i wpadliśmy po uszy. Do dziś nie udało się wszystkiego rozwikłać! Nie, Torinie, lepiej dmuchajmy na zimne! Oto, jak widać, znak otrzymaliśmy - jakaś zła Moc znowu odżyła w Śródziemiu... I magiczne przedmioty od razu ją wyczuły.

- Zła Moc... No dobrze, ale co należałoby teraz zrobić? rozłożył ręce Malec. - Posłuchaj, Folko, może odłóżmy tę rozmowę? Tu, obok nas, Brego szykuje się do ataku... A ta twoja Moc - nie wiemy na razie, gdzie jest i jak wygląda. Czy Forwe mówił ci, że pierścień wyczuwa takie Moce?

- Nie, tego nie mówił - przyznał Folko. - Ale on też nie wiedział wszystkiego o tym przedmiocie. Na przykład, że i pierścień, i Palantiry uda się Olmer owi oślepić...

- I tylko tyle? A ty od razu zdecydowałeś, że zła Moc się pojawiła? - Malec parsknął pogardliwie. - Chyba że twój sztylet...

- Przecież czuł Moc, kiedy znajdował się w pobliżu. Przypomnij sobie błękitny kwiat!

- Czyli Moc jest gdzieś obok? - nie ustawał Strori. Gdzieś blisko? Tu, w Rogatym Grodzie?

- Możliwe, że i w Rogatym Grodzie... - rzucił Torin. - To nawet bardzo prawdopodobne. Wiecie, przyjaciele, co przy szło mi do głowy? Może właśnie napór owej siły tak odmienił Eodreida?

- Z pewnością! - Hobbit machnął ręką. - Nie inaczej!

- Eodreid jest opętany złą Mocą? - wykrzyknął Malec. Czy wyście się blekotu objedli?

- Nie tylko Eodreid - dodał po namyśle Folko. - Ale i Brego. Przypuszczam, że ktoś postanowił skłócić dwóch najpotężniejszych rohańskich wojowników... wiadomo po co.

- No właśnie, a tymczasem my zastanawiamy się dlaczego... - przeciągając słowa, odezwał się Torin. - Skoro tak, to nasze przekonywanie zda się psu na budę?

- Jeśli Eodreid został zaczarowany, to będzie, jak powiedziałeś - przytaknął Folko.

- Masz ci los! No to co mamy robić, niech mnie trzaśnie Hrugnir! - zdenerwował się

Malec. - Gdzie szukać maga? Radagasta nie ma... - zakończył rozważania mającym wyrazić brak nadziei gwizdem.

- Zobaczymy, może sztylet i pierścień same nam coś podpowiedzą? - odezwał się Folko. - Pamiętam, mówił mi Forwe, że jego pierścień wskaże Wody Przebudzenia z każdego miejsca w Śródziemiu... Może prócz tego ma jeszcze inną moc?

- Poprzednio jakoś obeszliśmy się bez pierścienia - prychnął Malec.

- Chyba dlatego, że Avari byli z nami - znalazł wyjaśnienie Folko. - Nie musiałem i nie patrzyłem na pierścień. A potem... kiedy już gościliśmy u księcia Forwego... zapomniałem, przyznam, o nim, tyle tam dziwnych rzeczy było!

- Co do dziwnych rzeczy - zgoda... - chrząknął Torin. Ech, wspaniałe dawne czasy! Elfów wojna nie dotknęła... Dobra, nie ma co gadać! Sami nie chcieliśmy tam zostać, więc po co teraz marudzić. Lepiej pogadajmy o najważniejszych teraz sprawach. Co zrobimy z królem Eodreidem? I, w ogóle, na co się przydadzą nasze domysły?

- A co możemy zrobić? - Malec wzruszył ramionami. - Jak powiadają - same domysły to nie słodkie pomysły! Możemy je sobie kisić, możemy wędzić, i tak żadnego z nich pożytku.

- Dziesięć lat temu też tak mówiłeś - uśmiechnął się Folko, słuchając Małego Krasnoluda.

- Mówiłem i mówiłem - mruknął Malec. - A co wtedy się działo - lepiej nie wspominać.

- Ale trzeba będzie - zauważył Torin. - Bo jeśli Folko ma rację... a bezpieczniej dla nas jest przyjąć, że się nie myli, to, obawiam się, że na światło dzienne znowu wylazł jakiś pomiot Saurona!

- Och, przestań straszyć! - nasrożył się Malec. - Od czasu kiedy widziałem upadek Szarych Przystani, niczego już się nie lękam. A poza tym - co będziemy robić, do Mordoru się uda my? Byliśmy tam wszak! I co znaleźliśmy? W kieszeni wesz, na polach perz! Czego tam mamy szukać? Przecież nasz mistrz Holbytla własnoręcznie i przy naszej obecności pierścień do Orodruiny cisnął. Czy znowu jakiś odłamek został wyrzucony, żeby działo się coś złego? Folko pokręcił głową:

- Wszystko, co powiedziałeś, jest słuszne, Strori. Ale... Poczekajmy, porozmawiam jeszcze raz z Eodreidem. Może i sztylet, i pierścień jakoś się odezwą... Może czegoś się dowiemy.

- A jeśli nie? - nie ustawał Mały Krasnolud. - Co wtedy? Znowu poniewierka po Śródziemiu? Czy coś innego? A poza tym - zapomnieliśmy, co obiecaliśmy zrobić? Co mówiliśmy tam, na Orodruinie? Skoro nie zniszczyliśmy Olmera, to zniszczymy owoce jego

wojny! Tak więc nie możemy odejść z Rohanu...

- Oczywiście, za wcześnie, żebyśmy stąd odchodzili - pokiwał głową Folko. - Eodreid... musimy wiedzieć, co się z nim dzieje. A i z Brega nie możemy spuszczać oka! Poczekajmy do rana, pójdę jeszcze raz do króla, tak jak obiecałem Marszałkom...

- Cokolwiek wymyślimy - spać nam dziś nie wolno - pod sumował Torin. - Będziemy trzymać wartę! Jeśli w sprawę są wplątane jakieś moce, to nikomu nie możemy wierzyć...

- Nawet mnie? - zmarszczył się Malec. - Wydaje mi się, że chyba zgłupiałeś, synu Dartha. Dobra, możemy stać na warcie, ale ja chcę być pierwszy - zamawiam. Nienawidzę, jak się mnie budzi w środku nocy!

- Dobrze, przekonałeś mnie! - roześmiał się Torin. - Będziesz pierwszy trzymał wartę. Na tym skończyła się narada.

2

4 Czerwca, Rogaty Gród,
Marchia Rohańska

Od dziesięciu lat Folko potrafił zasypiać w mgnieniu oka niezależnie od okoliczności. Kto wie, kiedy znowu uda się przyłożyć głowę do poduszki? Dlatego tej nocy zasnął równie łatwo jak pod dachem rodzinnego domu. Głos wewnętrzny mu szeptał: dzisiaj nic się nie wydarzy... nic się nie wydarzy... nic się nie wydarzy...

Torin wyrwał go ze snu w środku nocy:

- Obudź się! Twoja kolej.

Skinął głową, błyskawicznie przechodząc ze snu do jawy. Tę umiejętność opanował podczas wojennej tułaczki. Warta rzecz święta. Narzucił na ramiona pelerynę, kryjąc pod nią kolczugę i miecz; swój posterunek urządzili na placyku między kolejnymi marszami schodów, obok wysokiego i wąskiego okna, z którego znakomicie widać było niemal cały Hełmowy Jar, w tej chwili zalany księżycową poświatą. Pod oknem płonęły liczne ogniska biwakującego wojska - koszary w Rogatym Grodzie okazały się za małe. W obozie panował spokój, i hobbit już prawie nabrał pewności, że do rana nic się nie wydarzy, gdy kątem oka zauważył przemykające między ogniskami sylwetki wojowników. Na przedzie dostrzegł potężną postać Trzeciego Marszałka!

- Klnę się na Wielkiego Orlangura! - szepnął zaskoczony Folko. Mimo wszystko nie oczekiwał czegoś takiego. Znaczy, Brego, jednak, zdecydował się... hobbit podniósł do ust nie wielki róg, chcąc dać sygnał swoim wojownikom, i otworzył okno, by dźwięk lepiej się rozniósł.

Jednakże... Tak się nie godzi. Nigdy jeszcze Rohan nie doświadczył wewnętrznych buntów, nigdy dotąd brat nie wystąpił przeciw bratu. Nieszczęście, które spotkało Gondor, dało do myślenia innym. Tak więc, czy jego wojownicy będą pierwszymi, którzy zaczną zawieruchę w Marchii? Oczywiście, nic nie przeszkadzało hobbitowi posłać strzałę dokładnie między hełm i kolczugę Trzeciego Marszałka, ale... Co będzie, jeśli...

- Hej tam! Czcigodny Brego, tak późno wybrałeś się na spacer? - krzyknął na cały głos, wychyliwszy się niemal do pasa ze strzelnicy. - Nie słyszałem alarmu!

Brego znieruchomiał, jakby nagle jego stopy zapuściły korzenie. Hobbit, nie kryjąc się, patrzył na zaskoczonego Marszałka.

- Potrzebujesz tylu żołnierzy do towarzystwa? Mam nadzieję, że nie budziłeś moich. Nie lubią oni tego, że strach!

Brego, który i tak miał kłopoty z wymową, zapomniał języka w gębie. Nie mogąc poradzić sobie z trzema naraz słowami, tym bardziej nie potrafił wymyślić żadnej celnej riposty. Postanowił jednak przejść do ataku.

- A ty... tego... co ja ci mam się... ten tego... opowiadać?! - wrzasnął, nieudolnie maskując niepokój. - Sprawdzałem warty, tak czy nie, rozumiesz?

- I dlatego towarzyszy ci setka piechoty? - zadrwił Folko.

Brego nie potrafił wybrnąć z kłopotu. Hobbit nie miał problemów z odgadnięciem, o czym myślał w tej chwili rohański bohater: ten niziołek nie śpi... to znaczy, że jego przyjaciele krasnoludy - też... Uderzyć całą siłą - to wojna przeciwko wojsku Eodreida... A to wojsko dochowa wierności...

- A bo ten tego... przesadziły zuchy moje, znaczy się, z winem... Zmusiłem ich do wietrzenia głów! - wykrztusił w końcu Trzeci Marszałek i, odwróciwszy się do swoich ludzi, wydał rozkaz tak głośno, by i Folko go usłyszał:

- No, pijanice, na kwatery!

Reszta nocy minęła spokojnie. Brego więcej się nie pokazał. Nadszedł świt. Śnieżne szczyty okrasiła purpura. W obozie odegrano pobudkę. Po pośpiesznym śniadaniu hobbit i krasnoludy rozpoczęli naradę.

- Trzeba powiadomić króla - nalegał Torin. - Brego wyraźnie chciał wszcząć bunt!

- Jeśli nawet wszczął, to potwornie niezdarnie - sprzeciwił się hobbit. - Nie mamy żadnych dowodów, żeby móc go oskarżyć o zdradę - a mówimy o oskarżeniu nie zwykłego żołnierza, lecz Trzeciego Marszałka Marchii!

- No to co, mamy czekać, aż on nas ruszy? - poderwał się Torin. - Żebyśmy się tylko znowu nie spóźnili!

- Nie! - upierał się Folko. - Brego to nie Olmer. Lepiej chrońmy po prostu króla. Nasi ludzie muszą być ciągle w pogotowiu. Ja nie spuszczę oka z Brega, przyrzekam wam. A jak tylko on...

Burzliwy spór przerwało pojawienie się królewskiego posłańca. Eodreid wzywał ich wszystkich do siebie, natychmiast.

Łoże królewskie wyglądało na nietknięte. Oczy władcy zapadły się głęboko, otaczały je

sine podkówki. Z pewnością nie spał tej nocy.

- Mistrzu Holbytlo, o czym tak głośno rozprawiałeś tej nocy z Trzecim Marszałkiem? - zapytał bez ogródek król. - Co robił on pod wieżą z setką uzbrojonych wojowników?

- A... E... panie mój... - zająknął się Folko. - Myślę, że Brego nie mógł zasnąć... Szukał więc sobie zajęcia, krążył po obozie...

- Twierdzisz zatem, że nie zamierzał wszcząć buntu? Eodreid nie spuszczał z hobbita uważnego spojrzenia.

- Gdyby wszczynał, to zapewne dźwięczałyby w obozie nasze wierne miecze - wzruszył ramionami Folko. - Jednakowoż... - Rozłożył ręce.

- Cóż - powiedział zamyślony Eodreid. - Chwali ci się, że nie oskarżasz człowieka pochopnie... Ale nie ufam już swemu Marszałkowi. Widziałem wszystko i słyszałem. Szedł do mojej wieży... i tak się stało, że dolne poziomy ochraniali wojownicy z jego tysiąca... Ty, mistrzu Holbytlo, zmusiłeś go do odwrotu. Dla mnie wszystko jest jasne. Inna sprawa, że sąd Marszałków nigdy nie wyda skazującego wyroku, tak więc niech Brego sobie żyje. Ale od dziś rozkazy może wydawać tylko swojej żonie.

- Hm! Panie mój, dlaczego mówisz to wszystko nam? - wypalił bezceremonialnie Malec.

- Dlatego, że chcę rozpuścić oddziały Brega, a większą ich część oddać wam pod dowództwo. Szczególnie, że tharbadzka bitwa wykazała niezbicie, iż potrzebujemy więcej piechoty oraz strzelców pieszych niż jazdy.

- Ale może to wywołać plotki... - próbował oponować hobbit.

- Plotki? Bzdura! Moi żołnierze chętnie służą pod waszym dowództwem. Pułki mistrza Holbytli, mistrza Torina i mistrza Stroriego bohatersko walczyły pod Tharbadem. Wszyscy wiedzą, że armię uratowała tylko wasza odwaga. Służba w takich oddziałach to niemałe wyróżnienie. Nikt już nie uważa, że znaleźć się w strzelcach pieszych to znaczy przestać być mężczyzną i wojownikiem.

- Nie tylko w naszych formacjach służą mężowie z innych krain! - nadal nie zgadzał się hobbit. - Ale to o nas mówi się pogardliwie najemnicy...

- Kto was tak nazywa? Erkenbrand, któremu sparciał już rozum? Zapomnijcie o tym!

- Ludzie nie lubią być wdzięczni za cokolwiek komukolwiek - pokręcił głową Folko. - Tym bardziej jeśli ci, którym winni okazać wdzięczność, nie są z ich plemienia, a są obcymi, przybyszami... którzy pojawili się na arenie wojny tylko z powodu łaski króla... jednym słowem - najemnikami!

Eodreid uniósł brwi.

- Nie lubię tego słowa... Nie jesteś żadnym najemnikiem, mistrzu Holbytlo, sam to wiesz. Nie mów tak o sobie przy mnie! A o Erkenbrandzie, powtarzam, zapomnij. I dość już o tym. Mam dla was zadanie, bardzo ważne: chcę odnowić traktat z Morskim Ludem. Drużyna Farnaka, jak wiecie, stoi na Isenie - coś tam robią ze swym łupem. Chciałbym, żebyście udali się z nimi na południe, do Umbaru. Otrzymacie moje pełnomocnictwa. - Król skinieniem głowy wskazał zwitek dokumentów. - Możecie obiecać Eldringom wszystko, co tylko chcecie, ale kładźcie szczególny nacisk na to, że otrzymają ziemie w Minhiriacie. Wiem, iż wielu z Morskiego Ludu nie jest zadowolonych z tego, że do tej pory siedzą w Umbarze. Od Haradu niewiele można wymagać - ci po morzu transportują tylko zmarłych. Farnak od dawna ma chrapkę na ujście Iseny, bo chce tam urządzić swoje stanowisko. Jestem temu przeciwny, bowiem straciwszy owo miejsce, stracimy swobodę handlu, ale dla sukcesu całego planu gotów jestem nawet na takie ustępstwo. Terling i Oton postąpili nierozumnie, wdając się w spór z Morskim Ludem. Myśleli, że skoro ci weszli w sojusz z Olmerem, to również im będą sprzyjali. Naiwni! - Eodreid pogardliwie gwizdnął. - Morski Lud zawiera alianse tylko wtedy, kiedy jest to dla niego wygodne. Potem Oton położył łapy na ujściu Gwathlo... i po tym fakcie jedynie głupiec albo leń, będąc na moim miejscu, nie zawarłby przymierza z Eldringami!

Przyjaciele wymienili spojrzenia. Krasnoludy patrzyły wyczekująco na Folka. Zazwyczaj to on prowadził takie rozmowy, ale tym razem hobbit niemal niezauważalnie pokręcił głową: radźcie sobie sami, ja mam inne sprawy...

Rzeczywiście miał. Na króla Eodreida na pewno rzucono jakiś czar, i właśnie dlatego nie należy mu się przeciwstawiać; pojawia się problem: jak zachowa się sztylet Otriny i pierścień Forwego w pobliżu władcy, skoro pozostaje on pod wpływem tej samej zagadkowej mocy, która, przebudziwszy się, tchnęła życie w dawno uśpione ostrze i pierścień?

Torin odkaszlnął i poważnie zaczął rozmowę z królem o tym, ilu należy wziąć ze sobą żołnierzy, jaka jest granica „wieczystej opłaty", bowiem morskie drużyny żądały w razie nieudanej wyprawy pieniędzy na pokrycie ich kosztów i rekompensaty za niezdobyte łupy. Pytał też władcę, kogo, prócz Farnaka, chciałby widzieć w gronie sojuszników, ile daje im czasu na załatwienie poselstwa i czy ma pewnych ludzi w Umbarze, na wypadek gdyby zaszły jakieś komplikacje...

Eodreid odpowiadał, a Folko prawie że nie słyszał jego słów. Już dawno przestał parać się tym, co krasnoludy nazywały „magią". Ale teraz, jak w dniach wojny z Olmerem, próbował za pomocą swego wewnętrznego spojrzenia przeniknąć do duszy Eodreida, pojąć, co skłoniło

mądrego i sprawiedliwego króla do powzięcia tej niezrozumiałej, okrutnej, zupełnie niepasującej do jego osoby decyzji? Co? Czy kto? Przez całych dziesięć lat Folko nie zapominał o tym, że Hraudun - czyli Sauron - żyje i do tej pory ukrywa się gdzieś we wschodnich krainach; kto go wie, tego ojca kłamstwa, czy nie powrócił do znanych sobie, starych gier? Folko pamiętał, jak po mistrzowsku skłócał ze sobą sąsiadujące wsie wędrowiec Hraudun w ostatnich latach prawdziwego arnorskiego królestwa...

Prawą dłonią hobbit objął ciepłą rękojeść sztyletu. Lewą ułożył na stole tak, by kamień w pierścieniu elfijskiego księcia był skierowany na Eodreida, i widoczny dla niego, Folka. Skoncentrował wewnętrzne spojrzenie na obliczu króla i wprawił się w stan całkowitego wyciszenia. Szara mgła zamazała świadomość; powoli niknął zewnętrzny świat. Hobbit nie czuł już własnego ciała; miał wrażenie, że unosi się w odmętach widmowego oceanu, a prócz niego jest jeszcze ktoś - król Eodreid. Kiedy ujrzał przed sobą płonącą blaskiem ognistopurpurową istotę - z trudem poznał motylka, który łagodnie poruszał skrzydełkami w rytm jego oddechu, ukrywając się gdzieś w głębinach niebieskiego kryształu.

Skądś zza pleców Eodreida sączyło się bardzo jasne, oślepiające oczy światło. Ale nie tylko się sączyło - ono przenikało króla na wylot, kłębiło ogniście w jego świadomości, przepełniając mocą i nienawiścią do wrogów. I tam, do owego światła mknął również skrzydlaty dar księcia Forwego. Hobbitowi wydawało się, że również wzbija się w przestworza w ślad za cudownym motylkiem. Szara mgła nieco przerzedła, odsłaniając krawędzie brązowych gór, połyskujące lodowe korony na szczytach, pasmo leśnych wzgórz i, w końcu, bezkresny przestwór morza. Spoza horyzontu, z tych krain, gdzie słońce wisi prosto nad głową, sączyło się światło... Motylek pławił się w jego blasku, i nagle delikatne skrzydełka obramował ogień, błyskawicznie objął całą istotę i zmienił w ulotny, nieważki popiół. W tej samej chwili na spotkanie Folka nadleciała ziemia.

Ocknął się, kiedy strumień lodowatej wody bił mu w twarz. Zobaczył zaniepokojone oblicza krasnoludów i Eodreida. Wstał.

Okazało się, że spadł z siedziska i rozbił sobie czoło. Uderzenie o kamienną podłogę było tak silne, że stracił przytomność. Ale... ale co w takim razie widział? Wpatrywał się w pierścień - wszystko było jak przedtem, ognistopurpurowy motylek płynnie machał skrzydełkami, cały i nieuszkodzony...

- Proszę o wybaczenie, panie i władco - wykrztusił hobbit.

- A czy coś się stało? - zapytał spokojnie Eodreid. - Więc na czym stanęło, czcigodny Torinie?

Władca działał zgodnie ze świeckim kodeksem Rohanu: nie dać po sobie poznać, że widziało się chwilę czyjejś słabości.

Folko wstał, ocierając twarz. Policzki płonęły mu ze wstydu. Nogi miał jak z waty, usiadł z trudem.

Dręczyło go pytanie, co się naprawdę wydarzyło. Raczej nie było to spowodowane uderzeniem głową o podłogę. Dziwne światło bijące w plecy Eodreida...

I to widzenie... Droga na nieznane Południe - w stronę Umbaru i Haradu... Czy to znaczy, że teraz muszą się udać na południowe rubieże Śródziemia? Pierwsza podróż wiodła na Wschód, teraz zaś - na Południe? Ale czy można wierzyć we wszystko, co się widzi? Lepiej chyba uwierzyć, bo poprzednio zbyt wiele mieli wątpliwości...

Jednakże pytań było znacznie więcej niż odpowiedzi. Gdzie miało swe źródło tajemnicze światło? Dlaczego działa ono na Eodreida, a nie działa na niego? Któż to wie... A sił, by się w tym rozeznać, brak. Jakże pomocne teraz byłyby elfy!... Lecz nie ma ich, a to znaczy, że trzeba będzie liczyć tylko na siebie.

- Nie mogę powiedzieć, że sprawa ta nie leży mi na sercu - mówił ponuro Torin. - W razie niepowodzenia wyprawy Rohan znajdzie się na krawędzi przepaści. Czy muszę to mówić? Podczas bitwy na Łuku Iseny straciliśmy połowę wojska. A wówczas było go dziesięć razy więcej niż tego, które możemy wystawić dzisiaj. W Wyprawie Wiosennej uczestniczyła trzydziestotysięczna kawaleria, a teraz? Ledwie zbierzemy dziesięć tysięcy jeźdźców...

Eodreid skinął głową:

- Masz rację. Zwycięstwa nie przyszły nam łatwo... Ale pomyśl, dlaczego wyprowadzamy w pole tylko dziesięć tysięcy zamiast trzydziestu? Dlatego, że większość tych, którzy przeżyli Łuk Iseny, to weterani, wszak minęło dziesięć lat. Wojownicy zestarzali się, nie wyjdą już w pole. Ale mogą jeszcze walczyć - i to jak! - na murach twierdz. Nasze górskie cytadele sprawdziły się. Howrarom nie udało się zdobyć ani jednej z nich!

- Jeśli armia polowa zostanie wybita, kto przyjdzie na pomoc oblężonym? - nie ustępował Torin. - Przecież już liczyliśmy i wyszło nam, że możemy wystawić do walki sześć tysięcy, tylko sześć tysięcy! Trzy tysiące trzeba będzie zostawić na Wschodzie. Jeden jako osłona Iseny. Nie ma innej możliwości.

- Jestem gotów zaryzykować: nie pozostawię nad Anduiną ani jednej włóczni - zdecydowanie oświadczył Eodreid. Domy łatwo można odbudować. Dobytek da się wywieźć, gdyby lud uciekał. A wojsko, tu masz rację, musi wrócić. Jeśli będzie armia, wszystko się ułoży.

- Nie sądzę, by spodobało się to ludziom... - mruknął Torin. - Dopiero co jedna wojna się skończyła...

- Przecież nie wyruszamy jutro. Armia zostanie w Hornburgu. Zaczekam na wasz powrót, ponieważ bez Morskiego Ludu nie będzie łatwo pokonać wroga.

- A jeśli nie uda się nam zebrać czterech tysięcy mieczy? - wtrącił się do rozmowy Malec. - Jeśli Eldringowie odmówią?

- To wtedy będziemy się zastanawiać - odparł król z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

Nie ustąpi w żadnym wypadku, pomyślał Folko. Jakby pędził owładnięty jakimś zgubnym porywem... i już nie może się zatrzymać.

Rozmowa dobiegała końca. Polecenia zostały wydane, listy uwierzytelniające wręczone. Torin i Malec przynaglali hobbita wzrokiem.

- W takim razie prosimy o pozwolenie pożegnania cię, panie - powiedział Folko, wstając. - Ale czy mogę - gdy znamy już rozkazy i zapewniamy, że wypełnimy je jak najlepiej - zapytać, kiedy zrodził się ten pomysł? Po bitwie o Tharbad ani razu, panie, nie wspomniałeś o takich zamiarach.

- Kiedy powstał plan? - Wydawało się, że Eodreida wcale nie zdziwiło pytanie. - Całkiem niedawno. Byliśmy już tu, w Rogatym Grodzie. Czy zadowala cię moja odpowiedź?

- O tak. - Folko pochylił głowę.

- No i co? I co robimy? - rzuciły się nań krasnoludy, gdy znaleźli się w swojej kwaterze.

- Co, co... - mruknął Folko, waląc się na łóżko. Zmęczenie napływało falami, paliły powieki, jakby sparzył oczy oślepia jacy blask tajemniczego, nieziemskiego światła. - Widziałem... coś. Posłuchajcie...

- Ogień na Południu? Światło, które pozbawiło Eodreida rozsądku? - Torin wzruszył ramionami. - Może tak i jest, rzecz jasna... Jednak ciągle niczego tak naprawdę nie wiemy!

- Nie wiemy - ponuro zgodził się Folko. - Tylko guza się nabawiłem...

- Ale rozkazy króla - na Południe wszak zaprowadzą nas, prawda? - zmrużył oczy Malec. - A nuż właśnie tam się czegoś dowiemy... Może i pierścień wyraźniej podpowie, co?

- Na pierścień nie ma co liczyć... - powiedział Torin. Och, nie podoba mi się to wszystko! I zupełnie nie w porę! A jeszcze sprawa Brega... Nie liczcie, że daruje nam tę nockę!

- Daruje, nie daruje... - machnął ręką Malec. - Powiedz lepiej, co się dzieje z Eodreidem. Jak mu wybić z głowy szalone pomysły? Ja, szczerze mówiąc, pomyślałem, że najlepiej przywieźć mu odmowę Morskiego Ludu...

- Albo sprawić, by Rohan zwyciężył. A król, żeby zaniechał haniebnego zamiaru wybicia wszystkich, od małego do starego...

- Chciałbym wiedzieć, czy Rohan zdoła poradzić sobie z Easterlingami - zastanawiał się Malec. - Bo Howrarów z Hazgami, powiedzmy, że pobijemy - choć czuje serce moje, że rozleje się przy tym morze krwi. Ale co dalej?

- Jak to „co dalej”? - zdziwił się Torin. - Potem razem z krasnoludami i Beorningami - na Arnor! A gdyby coś poszło nie tak - pójdziemy na Gondor. Tam też jest co odbierać!

„A co dalej?” - podkradła się cichaczem nieproszona myśl, ale hobbit natychmiast ją odpędził.

- Jeśli jutro wyruszamy, to należy się pośpieszyć. Nic jeszcze nie jest spakowane!

- Jedno tylko mi się nie podoba, i to mnie prześladuje: wrócimy - a tu na tronie zamiast Eodreida zasiada Brego! palnął Mały Krasnolud.

- Rozumiem cię, nie wiadomo, czy lepiej przyprowadzić Morski Lud, czy nie - westchnął Torin. - Przyprowadzimy źle, nie przyprowadzimy - jeszcze gorzej: król ruszy na wojnę tylko ze swoim ludem!

- A, zauważcie, nawet nie wspomniał ani Dorina Sławnego, ani Beorningów! - wtrącił się Malec.

- Oczywiście! Beorningów pod Tharbadem tak przetrzebili, że niech im Machał pomoże własne granice utrzymać. Dorin zamierzał walczyć ze Strażnikami Głębin, ale i on miał w hirdzie niemałe straty!

- Właściwie to tylko Eldringowie nie mają powodów do narzekania... - rzucił Folko.

- Oto dlaczego władca wysyła do nich nas - podsumował Torin, głaszcząc długą brodę. - Rozumiesz teraz, Strori?

- Rozumieć, to ja rozumiem, ale co mogę skorzystać? Dobrze, że Eldringowie chociaż piwo warzyć potrafią, nie zginiemy z pragnienia.

- Przypomnij sobie, jak nas Farnak tą berbeluchą z morskiej trawy uraczył - uśmiechnął się Torin. - Kto potem przez trzy dni nic w brzuchu nie mógł utrzymać?

- Może i tak, ale jak znowu poczęstuje, na pewno nie pogardzę! - zapewnił Malec. - Zbyt dobrze i przyjemnie się pije...

- No właśnie, a następnego dnia będziesz się rwał do bitki? - nie ustawał w zaczepkach Torin.

- Och, przestańcie już! - napominał przyjaciół Folko. Ciągle się sprzeczacie i sprzeczacie... Przystąpmy do rzeczy. Byłoby dobrze dostać się do Nadbrzeżnej przed

wieczorem.

Nadbrzeżną zwano handlową osadę, która powstała nad Iseną na długo przed wtargnięciem Olmera i w której przyjaciele poznali najpierw Hjarridiego, a potem samego tana Farnaka. W czasie bitwy nad Iseną osada została zrównana z ziemią; odbudowali ją Howrarowie, jednakże król Eodreid w 1730 roku zajął Nadbrzeżną ponownie. Co prawda zwycięzcy zdobyli tylko płonące ruiny, ale Rohirrimowie chwycili za topory i w ciągu jednego lata zbudowali nowe drewniane miasteczko. Do świecących bielą, jeszcze nie ściemniałych belek przystani zaczęły przybijać jeden po drugim statki Morskiego Ludu. Rohańskie towary wysoko cenione były zarówno w easterlingowym Arnorze, jak we włościach Otona, i na południu - w Gondorze, Umbarze i Haradzie. Dziś w Nadbrzeżnej przycumował Farnak.

Przyjaciele porzucali Hornburg z ciężkim sercem. Nikomu nic nie wyjaśniając, Eodreid wysłał Brega nad Anduinę, dając Trzeciemu Marszałkowi nikczemnie mały oddział liczący dwie setki wojowników. Heros sypał na wszystkie strony iskrzącymi spojrzeniami, jednakże Eodreid otoczony był swoim eoredem, a obok - oczywiście, zupełnie przypadkowo! - zajęli pozycję łucznicy z pułku mistrza Hołbytli - nie- Rohańczycy z pochodzenia...

Wyjechali już poza bramy grodu i skręcili na prowadzącą do Iseny wyjeżdżoną drogę, gdy Folko nagle popukał się w głowę:

- Głąb! Osioł! Jak mogłem zapomnieć!...

- Co się stało? - odezwał się Malec. - Nie do tego pucharu nasypałeś trucizny?

- Żeby ci ozór pod młot kowalski wpadł! - machnął nań ręką hobbit. - Kto to powiedział, że potrzebni będą magowie? Nie ma już ich w Śródziemiu, ale Drzewobród jest cały i żywy! Jego należy wypytać, o ile nie uda się dostać do Orlangura!

- A co on ci może powiedzieć? - zdziwił się Malec. - Przecież nie jest żadnym magiem! Myślisz, że będzie mógł nam w czymś pomóc? Wątpię!

- Folko ma rację - wtrącił się do sprzeczki Torin. - Oprócz Fangorna rzeczywiście nikt nam nie pomoże, a sami możemy błądzić po omacku, jak ślepe kocięta. Nie, nie możemy zlekceważyć takiej możliwości. Do Isengardu nadłożymy niewiele. Uprzedzimy Farnaka, żeby poczekał, i...

- A jeśli ten wasz Drzewobród powlókł się gdzieś w leśne gęstwiny? - upierał się Mały Krasnolud. - Zapomniałeś, że teraz jego lasy ciągną się do Dol Guldur?

- Ty byś się tylko kłócił, Strori - prychnął Torin. - Powiedz otwarcie, że nie chce ci się tam wlec!

- Nie to, że nie chce mi się, tylko szkoda czasu! Sami mówicie, że Fangorn nie jest

magiem!

- Ale jest stary i bardzo mądry - zauważył Folko.

- No właśnie, bardzo nam poprzednio pomógł... - wykrzywił twarz Malec.

- Może teraz będzie mógł uczynić więcej? - zapytał z nadzieją hobbit. - Entowie, jeśli chcą, z łatwością powstrzymają tę wojnę...

- Właśnie mówię: już poprzednio bardzo chcieli... - nie przestawał krytykować entów Strori. - Olmer był dla nich niczym, po co więc mieli pakować się w tę wojnę? Przecież tu tyle wojował król Eodreid, a oni nawet się nie pokazali!

- Dlatego, że najsurowiej zakazał ludziom zbliżać się do Fangorna - przypomniał mu Torin. - Drzewobród nie mógł nie zapamiętać tego. Kto wie, może go namówimy?

Jednakże Mały Krasnolud nie zamierzał wcale się poddawać i w końcu, jako ostatecznym argumentem, trzeba było posłużyć się starą regułą postępowania obowiązującą w ich kompanii: „Gdzie dwaj, tam i trzeci". Malec mruczał pod nosem i krzywił się, ale w końcu ustąpił.

Nie oglądali się, więc nie widzieli, że w ślad za nimi z twierdzy wyjechał jeszcze jeden jeździec.

5 Czerwca, Osada Nadbrzeżna,
Zachodnia Granica Marchii Rohańskiej

Według pokojowego traktatu z Howrarami, Hazgami i Dunlandczykami rubieże Rohanu odsunięto jeszcze bardziej na zachód - o trzy dni konnej drogi, jak zapisali w annałach kronikarze. Posłańcy króla Eodreida wraz z wybranymi przedstawicielami niedawnych wrogów już wyruszyli stawiać znaki graniczne. W ślad za nimi podążyły pierwsze setki straży granicznej, które miały stawiać małe strażnicze forty. Minie jeszcze trochę czasu - i na zajęte ziemie ściągną pierwsi pasterze koni.

Jednakże Nadbrzeżna ciągle jeszcze pozostawała miasteczkiem granicznym; straże w bramie długo i dokładnie porównywały królewskie pieczęcie z posiadanym wzorcem.

- Przecież znamy się od siedmiu lat, Eofarze - nie wytrzymał w końcu Torin. - Co to, nie poznajesz mnie czy co?

- Poznaję, nie poznaję - co za różnica? Czasy niespokojne, sam wiesz - niezbyt przyjaźnie burknął strażnik, odsuwając się jednak z drogi.

Przyjaciele wjechali przez bramę. Nadbrzeżna była niewielką mieściną; miała raptem dwie ulice, w trzech czwartych zabudowane magazynami i spichrzami.

- Tak, wszystko tu jest inne - westchnął Malec, przyglądając się nowiutkim drewnianym budowlom.

- Tylko rzeka, jaka była, taka została - takim samym nostalgicznym tonem odezwał się Torin.

Statki Farnaka odnaleźli bez trudu. Były charakterystyczne - na wysokim maszcie powiewał znany proporzec. W minionych latach tan nieźle się wzbogacił. Sporo zyskał dzięki układom z Eodreidem, nabył nowe okręty i teraz przyprowadził do Nadbrzeżnej małą flotę. Trwał załadunek pięciu z jego barek. Malec trącił łokciem hobbita:

- Pamiętasz, tam, w oberży?

Folko skinął głową. Teraz z oberży nie pozostały nawet węgle. A i sam Hjarridi już nie był pomocnikiem Farnaka. Nie tak dawno zakupił własny statek i pływał na swój rozrachunek i własne ryzyko. Co prawda, trzymał się przy tym blisko starego pana i zajmował się przede wszystkim handlem, a nie piractwem; wolał - jeśli nie było czym handlować - sprzedawać na usługi miecze swojej drużyny. I jeśli tan Farnak znalazł się w Nadbrzeżnej, to najprawdopodobniej gdzieś w pobliżu przytuliła się również barka Hjarridiego...

Tak też było. Farnak od dawna już sam nie doglądał załadunków, ale Hjarridi, jeszcze nieposiadający zaszczytnego tytułu tana, zadowalając się mianem „dowódcy", osobiście pilnował porządku na pokładzie, pohukując na leniwych tragarzy z plemienia Dunlandczyków. Król Eodreid, kiedy zawierał pokój, zobowiązał się do wpuszczania na swoje ziemie innych plemion na zarobki... Władca wyczuwał w tym jakiś podstęp, ale ziemie na zachodzie były warte tego ryzyka.

W ciągu dziesięciu lat burzliwego życia smagły marynarz się zmienił. Czarna niegdyś broda mocno posiwiała, twarz pobruździły wczesne zmarszczki, ładnie sklepione czoło oszpeciła blizna. Niezmienne pozostały tylko akcent i gadatliwość... - Ho?! Heja! Ojcze Morski, kogo ja widzę! - wrzasnął świeżo upieczony dowódca, gdy tylko zoczył na przystani hobbita i dwóch krasnoludów. - To my, Hjarridi, my! - krzyknął w odpowiedzi Malec. Jak się pływa?

- Wyśmienicie!... Hej, co tak stoicie? Frak, Brok - szybko weźcie wodze od naszych gości! Konie rozsiodłać i nakarmić! A was zapraszam na pokład, czym chata bogata!

Przyjaciele skorzystali z zaproszenia.

- Co was sprowadza? - Hjarridi przyjął ich w ciasnej dziobowej kajucie, wydobył z kufra duży gliniany dzban z piwem i butlę czerwonego wina. - Smilgo! - krzyknął w przestrzeń przynieś nam zakąski, ale najlepsze! Klnę się na oko burzy nie można się doczekać prawdziwej oberży!

- O tym właśnie chcieliśmy z tobą pogadać - odważnie przeszedł do rzeczy Folko.

Hjarridi natychmiast przestał wykrzykiwać i wymachiwać rękami.

- O czym, jeśli można wiedzieć? - zapytał ostrożnie.

- Powinniśmy się dostać na południe - jak gdyby od niechcenia powiedział Folko. - Do Umbaru. Przecież tam jest teraz coś, co można by nazwać waszą stolicą?

- No tak, Haradrimów żeśmy stamtąd wyprosili po dobremu - odpowiedział, zastanawiając się nad czymś innym marynarz. - Ale czy nie opowiadałem ci o tym w zeszłym roku?

- Opowiadałeś. Dlatego tam właśnie musimy się dostać odparł spokojnie hobbit. - Musimy porozmawiać z waszymi...

- Och, przestań, Folko! - Hjarridi roześmiał się i trącił rozmówcę pięścią w bok. - Mów, co się stało. Chociaż może i sam się domyśle. Król Eodreid znowu potrzebuje mieczy Eldringów?

Ostatnie słowa powiedział poważnie, bez wygłupów i bardzo, bardzo cicho, ledwie

słyszalnym szeptem.

Folko w milczeniu skinął głową. Malec zręcznie rozwinął na stole okazale wyglądające listy, zdobione dużymi, dwukolorowymi - biało- zielonymi - pieczęciami króla Rohanu. Hjarridi z podziwem cmoknął ustami. Również w milczeniu Strori zwinął i schował zwój.

- Cóż, przypuszczam, że sprawa prosta nie będzie, ale da się chyba załatwić. - Hjarridi popatrzył w górę i zastanawiał się, jakby coś kalkulował. - Ale jedno jest ważne: gdzie będziemy... handlować? - puścił do Folka oko.

Eldringowie wysoko sobie cenili wolność, i kupić ich wojenną moc nie było łatwo. Ci, którzy idą na wyprawę, powinni wiedzieć, jaki jest jej cel. To była święta zasada morskich drużyn i nie odstępowano od niej. Eodreid wiedział o tym i dlatego nie nalegał na zachowanie całkowitej tajemnicy, szczególnie że sekrety, swoje i cudze, Morski Lud zachowywał dla siebie.

Folko w milczeniu zatoczył ręką dookoła siebie, jakby pokazywał - tu. Oczy Hjarridiego zaokrągliły się ze zdumienia.

- Ależ tu... przehandlowali już... wszystko? I umowy podpisano...

Hobbit zrobił minę, która mniej więcej mogła znaczyć: sam się dziwię, ale rozkaz jest rozkazem.

- Mam propozycję - powiedział. - Coś lepszego od zabawek i okrągłych monet.

- Znasz coś lepszego od tych rzeczy? - zdziwił się Hjarridi.

Folko wyszeptał mu prosto do ucha:

- Ziemia. Ziemia tu, w ujściu Iseny. I nie lenno, ale na wieki. Rozumiesz?

- To ci... - westchnął Hjarridi, odruchowo drapiąc się po głowie. - Widocznie naprawdę was przyparło... Cena królewska! Dotąd nikt niczego takiego nie proponował... W ten sposób, bracie hobbicie, nazbierasz tu i tysiąc, i dwa, i trzy tysiące uzbierasz - tylko daj znak! Co tam trzy - dziesięć zgromadzisz...

- O tym właśnie będziemy rozmawiać z Farnakiem - wyjaśnił Folko.

- Ze starym? Nie usłyszycie nic innego! On ma dziesięć razy więcej ludzi niż ja, ale niemało takich, którzy są już leciwi... Ci z pewnością skuszą się na ziemię...

Folkowi zrobiło się przykro. Nie chciał oszukiwać Eodreida, a wszystko wskazywało, że król doskonale wie, jak można kupić Morski Lud, w głębi duszy hołubiący marzenia o własnej ziemi...

- No to musimy jak najprędzej do Umbaru. A ty, jako tan, Hjarridi? Pójdziesz?

- Jeszcze pytasz? Gdzie królewska umowa? Pierwszy wpiszę swoją drużynę! Kiedy i w

jakim miejscu mamy się stawić?

- Punkt zborny będzie w Tharnie, przy ujściu Iseny. Dalej część pójdzie nad Iseną, a część przez Gwathlo. A kiedy?... Ile dni zajmie nam podróż morzeni do Umbaru i z powrotem?

- Dwa pełne tuziny - przy dobrej pogodzie - padła natychmiastowa odpowiedź.

- No to już wiesz. Tam, z powrotem, i na miejscu trochę...

Hjarridi skinął głową.

- Dlaczego w Tharnie zbiórka, rozumiem - powiedział. Ale co ma do tego Gwathlo? Powiadają ludzie, że Oton buduje tam twierdzę, i łańcuchy przeciągnął przez nurt... Czyżby na Tharbad król Eodreid się zamierzył? Dobrze myślę?

Folko przytaknął.

- Poważnej transakcji władca zamierza dokonać - pokiwał głową Hjarridi. - To znaczy, że z Teorlingiem i Otonem przyjdzie nam się zetrzeć?

- Od kiedy to wilki morskie boją się jakiegoś Easterlinga? - Folko wzruszył ramionami, doskonale udając pogardę, a młody sternik od razu się poderwał.

- My? Boimy się? Nie zostanie po tych łapserdakach wschodnich nawet mokra plama! Po prostu do tej pory nie zabieraliśmy się do nich poważnie i tyle...

- Wspaniale - skwitował Folko. - Malec! Wyciągaj spis. Czytaj, czcigodny tanie! A twoi ludzie jak, nie będą się burzyli?

Marynarz wpił się wzrokiem w podany przez Małego Krasnoluda wykaz.

- Pieniądze niewielkie... - mruknął, żeby nie wyglądało, iż ustępuje łatwo.

- Ale ile ziemi, poczytaj sobie! - roześmiał się hobbit.

Po co ja to robię? - pomyślał nagle. - Przecież jeśli przyprowadzimy całą armię Eldringów... Eodreid na pewno zacznie wojnę. A jeśli tych sił mimo wszystko nie starczy?... Och, zamachnęliśmy się nie wiadomo na co...

- Zgoda. - Hjarridi zdecydowanie potrząsnął głową. - Moi chłopcy nie będą się sprzeczali. Ja tak to rozumiem: pierwsi, którzy się zgłoszą, dostaną najlepsze ziemie? Nad rzeką i takie tam inne?...

Hobbit poczuł się tak, jakby go polano lodowatą wodą.

„Och, jak cwanie postępujesz, królu Eodreidzie! Jak wszystko chytrze wymyśliłeś! Oczywiście, najlepsza ziemia dla tych, którzy pierwsi przystaną... a to oznacza, że potem, przy podziale, zaczną się poważne swary... może i miecze pójdą w ruch... i tak stać się może, że pogrążony w żałobie po sojusznikach król utrzyma ujście Iseny całe i nienaruszone. A że będzie trupami zawalone - trudno. Wielkie stosy pogrzebowe potrafimy już palić...”.

Oczywiście, swoich myśli nie wypowiedział głośno.

- Zatem skoro się dogadaliśmy, to czas na nas. - Hobbit podniósł się. - Musimy jeszcze pogadać z Farnakiem.

- Pójdę z wami! - odezwał się Hjarridi. - Mówię o Umbarze. I tak muszę dostarczyć tam towar. Bo, tak myślę, długo chyba nie zabawicie, którzy się w Umbarze zgodzą - z tymi idziecie?

Hobbit potwierdził.

- No to świetnie. - Marynarz plasnął dłonią w stół. - Zaraz każę szykować się do drogi...

- Nie śpiesz się - powstrzymał go Torin. - Mamy tu jeszcze do załatwienia kilka spraw, potrzebne nam jakieś pięć dni. A potem - wyruszamy. Zgoda?

- Przybite - skinął głową sternik. - Poczekam na was, a potem razem z Farnakiem ruszymy do Umbaru...

Tan Farnak nieco przytył od czasu ich ostatniego spotkania, nieco postarzał się, posiwiał. Powitał przyjaciół serdecznie, nawet bardziej gościnnie niż Hjarridi. Jego też nie trzeba było długo namawiać.

- Morze przestaje nas karmić - poskarżył się, westchnąwszy, stary tan.

- Co to - ryby odeszły z tych wód? - zażartował Malec.

- Ryby? Coś ty, krasnoludzie! Kto powiedział, że jesteśmy rybakami?! My jesteśmy wojownikami! Póki istniał Gondor... bogaty, szczodry, to albo z nim wojowaliśmy, albo zawieraliśmy pokoje - zależy, co bardziej nam było potrzebne. A teraz... Obecny Gondor to blady cień poprzedniego, w Arnorze siedzą Easterlingowie, pewnie dopiero teraz przestali się gapić z otwartymi gębami na białe wieże i pałace. Oton ma jeszcze wiele do zrobienia, a o tej drobnicy, która siedzi w Minhiriacie, nawet nie wspominam. Harad jest potężny i bogaty, ale władza tam silna, handlu morskiego niemal nie prowadzą. A myśmy się pozbyli prawie wszystkich klientów... Ziemia nam jest potrzebna, jak nigdy dotąd! - Uśmiechnął się z goryczą. - No i po patrzcie, jak to się porobiło - ci, którzy poszli z Olmerem, zebrali niemałe fortuny... Rządzą teraz w Umbarze. Nie mam z nimi nic wspólnego. Tak więc, sądzę, zgromadzimy hufce bez problemu. Tylko po co królowi ta wojna?

Hobbit i krasnoludy mogli więcej powiedzieć Farnakowi niż młodemu Hjarridiemu.

- Tak, tak... Rozumiem... Hm, prędzej do Morskiego Ojca trafisz, niż ziemię zdobędziesz: z Easterlingami się bić, to znaczy stracić pół drużyny. A i słowo królewskie... Żeby nie było tak, że stanie się Eodreid... kłopotliwym sąsiadem. Nie chcę zapeszyć, ale naszymi rękami wyrzuci obcych z Enedhwaithu, przejmie Tharbad, a potem my też zaczniemy

mu ciążyć. Nie chciałbym przeciwko jego jeździe występować... Chyba żebym miał hird w sojuszu! Ale, z drugiej strony, jak odmówić Eodreidowi? On jeden nas szanuje, cła ustanawia niskie, a towary ma dobre, na pewno można je sprzedawać, nawet onym Easterlingom. Ale dlaczego w ogóle przyszedł mu do głowy taki pomysł? Uchodził zawsze za wojownika honorowego...

Przyjaciele wymienili spojrzenia. Nie, jeszcze nie pora, by mówić Farnakowi o swych domysłach. Za wcześnie.

- Nie wiemy sami - rozłożył ręce Malec. - Mamy do spełnienia misję poselską, więc wykonujemy zadanie. Choć to sprawa nie całkiem po naszej myśli.

Farnak pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Łakomy kąsek, oj, łakomy - przyznał, wzdychając. Słusznie Hjarridi prawił, i dziesięć tysięcy ludzi łatwo się uzbiera. Ale i z takimi siłami wojnę przeciwko Terlingowi wszczynać... chyba lepiej samemu sobie podciąć gardło. Wszak on bez trudu wystawi i sto tysięcy! A w bitwie pod Tharbadem pokazał, że jego dowódcy walczyć potrafią. Nie dadzą się zaskoczyć, a tym bardziej wystraszyć! Och, nie miała baba kłopotu...

- My i tak musimy do Umbaru - mimochodem wspomniał Folko. - Mamy tam pewną ważną sprawę do załatwienia.

- Cóż, raz jest sprawa. Co mi tam! Po starej przyjaźni odwiozę was bez zapłaty.

- Posłowie króla Eodreida nie mogą płynąć po przyjaźni. - Torin wyciągnął z zanadrza ciężką sakiewkę. - Jeśli ty nie chcesz, niechaj twoi chłopcy zabawią się jak należy!

- Ja nie potrzebuję. - Oblicze Farnaka pociemniało z urazy. - Ale moi ludzie, na ile ich znam, pofolgują sobie... - Zważył sakiewkę w dłoni. - Załatwione! Co będzie z wyprawą, nawet Morski Ojciec jeszcze nie wie, ale skoro macie sprawy w Umbarze, każę odbijać, jak tylko wrócicie. Zanim dopłyniemy do ujścia, tam się przeładować trzeba... Czas ucieka.

Hjarridi i Farnak udali się na statki; Folko, Torin i Malec postanowili wychylić jeszcze po jednym kielichu na pożegnanie.

Nagle usłyszeli dobiegający z kąta szelest.

- Szczury! - wrzasnął Malec. Nie znosił tych gryzoni. Bez namysłu cisnął w kąt dopiero co osuszonym drewnianym kubkiem.

W kącie ktoś jęknął.

- Mistrzu Holbytlo! - dał się słyszeć nieśmiały głosik. Z ciemnego zakamarka niespodziewanie wyłoniła się niewysoka, bardzo szczupła postać, której kruchości nie mógł ukryć nawet niekształtny gruby płaszcz.

Folko aż podskoczył:

- Eowina! Na Moce Ziemskie, co ty tu robisz?

- Masz ci los! - osłupiał Malec. - Nie zabiłem cię?

- Chyba nie... - padła cicha odpowiedź.

Dziewczyna stała, zaciskając dłonie tak mocno, że jej palce zbielały. Pod rozchylonymi połami płaszcza widać było zwyczajne odzienie młodego jeźdźca, na cienkim pasku miała umocowany sztylet, a za plecami niewielki myśliwski łuk.

Policzki dziewczęcia płonęły.

- Ja chciałam... ja myślałam... - zaczęła, próbując opanować zdenerwowanie, gdy nagle, jakby zawstydzona tym mamrotaniem, dumnie podniosła głowę: - Weźcie mnie ze sobą! wypaliła jednym tchem.

Malec po raz pierwszy w życiu zakrztusił się piwem.

- Ciebie?... Ze sobą?... - Oszołomiony Folko wbił w Eowinę wzrok. - Dokąd?

- Dokądkolwiek. - Zarumieniła się. - Dokądkolwiek, choćby i na koniec świata... Nie mogę już dłużej siedzieć w murach twierdzy! To moje imię... Nie mam siły... Też chcę być wojowniczką! - zakończyła z pasją.

- No i co mamy teraz robić, wlec się z powrotem do Hornburga? - zapytał Malec, nie zwracając na nią uwagi.

- Po co? - zdziwił się Torin. - Uciekła przecież! Oddamy rohańskiemu setnikowi! Niech wyprawi do domu, żeby rodzina jak należy skórę wygarbowała.

- Jestem Eowina, córka Eotara - błysnęła oczyma. - I nikt mi nie będzie niczego nakazywał i zakazywał! Moi rodzice zginęli, a siostra wychodzi za mąż. Nie chcę być niańką siostrzeńców! Ja znam się na broni, na walce, potrafię rany leczyć...

- Pierogi piec... - mruknął hobbit.

Eowina zarumieniła się jeszcze mocniej.

- Tak, i pierogi piec! - Jej głos drżał, z trudem powstrzymywała łzy. - Bo z pierogiem życie jest lepsze niż bez niego!

Krasnoludy roześmiały się.

- Weźcie mnie ze sobą... - prosiła żałośnie, tracąc znów pewność siebie. - Weźcie, przydam się...

- A jak cię zabiją, to co zrobię? - nachmurzył się rozgniewany już Folko. - Zupełnie ci się pomieszało w głowie! Tam, dokąd się wybieramy, nie masz nic do roboty!

- A jakby się znalazło zajęcie? Przypomnicie sobie mnie, ale będzie za późno!

- Może z trudem, ale jakoś sobie poradzimy bez ciebie! zakończył szyderczo rozmowę hobbit. - To wszystko. Mały! Nie widzisz tam gdzieś rohańskiego patrolu?

- Ja i tak za wami pójdę! - zacisnęła piąstki Eowina.

- Dziewczyno!... - Folko już tracił cierpliwość, ale nagle Torin lekko dotknął jego łokcia.

- Przecież ona jest w tobie zakochana po uszy - szepnął krasnolud na ucho hobbitowi. - A jeśli tak, to sprawa jest poważna. Nie znasz rohańskich dziewoi? Do rzeki się rzuci, utopi, wpadnie w łapy Hazgów, ale nie ustąpi!

Krasnoludy do problemów sercowych zawsze podchodziły nader poważnie, dokonując w życiu jednego jedynego wyboru - lub nie dokonywały go wcale. Ale w ich oczach przeszkadzać komukolwiek w takiej sprawie było grzechem ciężkim przeciwko postanowieniom Machala. Z punktu widzenia Torina, Folko już w tym momencie występował przeciwko sumieniu.

Zdumiony hobbit gapił się na przyjaciela, myśląc, że za chwilę zwariuje.

- To los - powiedział Malec, bardzo, bardzo, bardzo poważny Malec; takiego nie widział go Folko od czasu Szarych Przystani.

- Czy wyście!... - Hobbit wytrzeszczył na nich oczy. - Zabrać ze sobą... tam... tę dziewczynę?! Ależ Eodreid każe nas obwiesić za... za... przecież to jeszcze dziecko!

- Mogłabym już zawiązać włosy chustką zamęścia! - powiedziała Eowina dumnie.

To była prawda, w wyludnionym Rohanie wcześnie zawierano związki małżeńskie.

Krasnoludy bez słowa patrzyły na Folka, a ten na nich. Milcząca gra, kto kogo „przepatrzy", trwała dość długo.

- Gdzie dwaj, tam i trzeci, bracie hobbicie - zakłócił ciszę Torin.

- Więc to znaczy, że idę z wami?! - wykrzyknęła dziewczyna.

Folko wolno skinął głową, czując, że podpisuje na siebie wyrok.

Eowina nie kryła radości, podskakiwała i klaskała w dłonie.

- Jeśli Farnak nie weźmie jej na pokład, to nie będzie moja wina - z nadzieją w głosie mruknął hobbit.

7 Czerwca, Las Strażniczy
W Dolinie Nan Kurunir,
Południowy Kraniec Gór Mglistych

Trójka przyjaciół i Eowina bez żadnych przygód dotarli do granicy rohańskiego państwa. Dziewczyna okazała się znakomitym kompanem - nie kaprysiła, była wytrzymała na trudy i niezmordowana. Jak każdy w Rohanie, jakby urodziła się w siodle, potrafiła z niczego w mgnieniu oka sporządzić sycącą kolację, a prócz tego, co szczególnie cenił Malec, nieźle śpiewała i znała mnóstwo ballad - od kruszącej najtwardsze serce „Burzy nad Iseną", do triumfującej „Eodreid w Edorasie". Śpiewała też i o Olmerze, Królu Bez Królestwa; największego zdobywcę uhonorowali nawet wrogowie. W ogóle nie sprawiała kłopotów.

Przyjaciele podążali tym samym szlakiem, co dziesięć lat temu, kiedy w tajemnicy przedzierali się do Isengardu, mając nadzieję, że tam znajdą ślady tajemniczego Wodza... Tym razem było inaczej, nie musieli się ukrywać. Straże graniczne przepuściły ich za sprawą królewskiego glejtu. Eowina natomiast, zręcznie jak wężyk, przepełzła zaroślami. Nikt jej nie zauważył.

Pozostawiwszy na wszelki wypadek topory u dowódcy granicznego posterunku, Folko i jego towarzysze ruszyli dalej.

Tu, w Nan Kurunir, przez lata nic się nie zmieniło, w odróżnieniu od Rohanu, Arnoru i całego Eriadoru. Tak samo niezbyt głośno plotkowało na lekkim wietrze listowie buków i grabów, spokojnie płynęła Isena, i widać było, że od dawna ludzie unikają tej okolicy. Rohirrimowie nie zbliżali się do Lasu Strażniczego bliżej niż na trzy strzały z łuku. Eowina ucichła, z widocznym lękiem zerkała na potężniejącą ścianę drzew.

- No i co, znowu zacznie nas ciągać jak poprzednio? - wymamrotał ze złością Malec. - Uwielbiam potykać się o korzenie i karcze!

- Postaramy mu się przedstawić - odpowiedział Folko, podchodząc na wyciągnięcie ręki do zielonego muru zarośli i wysoko unosząc rękę z elfickim pierścieniem na palcu. Motylek w kamieniu, tak mu się wydawało, szybciej zamachał skrzydełkami. A może to tylko serce hobbita szybciej biło w uniesieniu? W burzach i zawieruchach ostatnich lat odszedł w zapomnienie Stary Ent. Los ciskał Folka to w rodzinne strony, gdzie za cenę obficie przelanej krwi przyszło odpierać napór Heggów i orków na Shire, to w odległe wschodnie ziemie - do Wielkiego Orlangura i włości księcia Forwego. A Stary Ent przez wszystkie te lata nie

opuszczał swojego lasu, lecz hobbit nie wątpił, że jeśli istnieje ktoś, kto jest osiągalny i może im pomóc, to tylko Drzewobród.

- Mellon! - wypowiedział wyraźnie słowo w elfickiej mowie. Kierował się intuicją, co czasem bywa skuteczniejsze niż najgłębsze przemyślenia. Eldarskie słowo otwierające Wrota Morii. Kto wie, może Fangorn nauczył tego słowa poddanych, na wszelki wypadek, gdyby ktoś z Pierworodnych zajrzał tu kiedyś? - Elbereth Gilthoniel! Przepuśćcie nas, idziemy do Drzewobroda, władcy Lasu Fangorn! Szukamy Fangorna!... Zaprowadźcie nas do niego!

Strażniczy Las różnił się od Fangorna tym, że tu - zwłaszcza w pierwszych rzędach - roiło się od huornów. Folko czuł: przygląda się im mnóstwo niewidzialnych oczu. Krasnoludy odbierały podobne wrażenia. Dreptały w miejscu, unosiły pozbawione broni ręce i na wszelkie możliwe sposoby pokazywały, że nie mają przy sobie toporów.

Nic się nie zmieniło. Wszystko pozostało po staremu. Nie otworzyła się magicznie żadna ścieżka prowadząca w głąb lasu, nie pojawił się przed wędrowcami Drzewobród. Po prostu spojrzenia, które ścigały hobbita i jego towarzyszy, nagle przestały być wyczuwalne. Folko odwrócił się do przyjaciół:

- Idziemy.

- Dokąd?! - wrzasnął Malec. Myśl o przedzieraniu się przez gęstwinę doprowadzała go do szału.

- Pójdziemy starym szlakiem, trzymając się skraju gór. W końcu przecież dotrzemy do domu Drzewobroda.

Malec z pasją splunął w trawę.

Tym razem wędrówka przez Las Strażniczy była łatwiejsza. Zniknęły tak przeszkadzające ongi sploty gałęzi, drzewa nie zwierały się ze sobą na podobieństwo bali w palisadzie. Dość szybko wędrowcy dotarli do skraju doliny; pozostawiwszy zbocza gór po lewej, ostrożnie ruszyli w głąb lasu. Najzręczniej radziła sobie z korzeniami i karczami lekkostopa, zwinna Eowina.

- Poczekajcie! - Torin stanął jak wryty. - Czy nie tu byliśmy już kiedyś?

Okrągła polana z miękką cienkoździebłą trawą; szare cielsko skały, pienista struga wodospadu; spieniony strumień, ginący gdzieś w gęstwinie; kamienny stół i kamienne dzbany w skalnej niszy. Tylko trawiaste łoże gdzieś zniknęło...

Dom Starego Enta był pusty.

- No i co? Nie posłuchaliście mnie! - wyrzucał przyjaciołom Strori. - Namordowaliśmy się, zdarliśmy podeszwy, i co? Teraz do Lorienu będziemy się taszczyć?

Ignorując jego zarzuty, Torin popatrzył na hobbita.

- Szukać Drzewobroda w całym Fangornie, oczywiście, nie będziemy - wolno powiedział Folko. - Ale jego dzbany... rozmyślał głośno. - Ja bym tam do nich zajrzał!

- Czyś ty zwariował?! - wykrzyknął Torin. - Kowadło ci na głowę spadło?

- Nie... - Wyczulone palce hobbita delikatnie dotykały zasklepionych gliną szyjek dzbanów. - Fangorn odszedł stąd... Czuję to. Ale owo miejsce przechowuje pamięć o nim, lecz on tu nie wróci.

- Co ty gadasz! - nie wytrzymał Malec. - Skąd możesz takie rzeczy wiedzieć?!

Folko z westchnieniem usiadł na ziemi obok jednego z dzbanów. Przez kilka chwil patrzył w górę, zasłuchany, a potem pokiwał głową i zwrócił się do Malca:

- Gdy szliśmy tędy przed dziesięcioma laty - okolica była przesycona magią. Nie taką, która może wywołać ogniste wichry czy inne nadprzyrodzone zjawiska. Miejscem tym owładnęła magia zadziwiająca, subtelna, prastara; mnóstwo było tajemniczych cieni, rzucanych przez duchy pod promieniami Nietutejszych Słońc... Widziałem zimne gwiazdy, zwiastujące pojawienie się Fangorna. A teraz nie ma nawet śladu magii. Las był żywy, nie chciał nas przepuścić... A teraz... Pusto tu, cicho i sennie. Trawa i drzewa uśpione. Magia opuściła te okolice. Czy kiedyś wróci? Kto to wie? Z jakiegoś powodu Drzewobród wyniósł się stąd... Coś spowodowało, że wrócił do środka Fangornu. Chciałbym wiedzieć, co!

Folko mówił z uniesieniem, śpiewnie, kołysząc się, jak w transie. Wewnętrznym spojrzeniem dostrzegał wirujące przed nim delikatne płatki niebieskiego kwiatka, uratowanego przed łapczywą ziemną paszczą, dziesięć lat temu, nieopodal tego miejsca. Nawet nie zdziwił go powracający po latach widok. Przeciwnie, byłby zdumiony, gdyby tak się nie stało. Budziły się do życia moce, które, jak się wydawało, na zawsze pożegnały ten świat po tym, jak zginęły Szare Przystanie i po Odejściu elfów...

Krasnoludy zerkały na siebie zatroskane, Eowina wpatrywała się w Folka z otwartymi ustami.

- Ee... tego... bracie hobbicie, kiedyś już przemawiałeś podobnie - pokiwał głową Torin. - Jakbyśmy znowu za Olmerem się uganiali...

- Goniliście Olmera? - zapytała Eowina, wstrzymując oddech, ale Torin jednym spojrzeniem sprawił, że zamilkła.

- Właśnie o to chodzi, że znowu - burknął Malec. - Pleciecie nie wiadomo co! Zawlekliście mnie do tej puszczy, Drzewobroda nie ma. Chyba nie musi tu kisnąć w oczekiwaniu na nas? A my znowu zaczniemy gonić jakieś widma? Och, nie skończy się to

dobrze, oj, nie!... Po co tu sterczymy? - prowokował do sprzeczki. - Bierzmy wory i jazda stąd!

- Gdyby Drzewobród na zawsze porzucił te okolice, nie pozostawiłby swoich dzbanów, zwłaszcza tak starannie zapieczętowanych - powiedział zamyślony Torin, ignorując Malca i jego złośliwe wywody.

- A może umyślnie zostawił? - rzucił Folko, uważnie wpatrując się w kamienny bok jednego z naczyń. - Mnie się wydaje, że ten właśnie dzban zapamiętałem. Chyba z niego nalewał mi napoju...

- Chcesz jeszcze urosnąć? - zachichotał Malec. Uważał, że wie już wszystko, i dlatego nudził się, przestępował z nogi na nogę, wściekle poskubując brodę.

- Podrosnąć, nie podrosnąć, ale... Torinie! Może weźmiemy je ze sobą? Mam przeczucie, że Stary Ent już ich nie potrzebuje...

Hobbit nagle urwał w pół słowa, znieruchomiał i uważnie wpatrywał się w kamień pierścienia. Wydawać by się mogło, że zdumienie odebrało mu mowę.

- Przestań, Folko - Torin pokiwał głową. - Nie podoba mi się twój pomysł. Napój entów to nie zabawka, i chyba niełądnie jest dobierać się do zapasów gospodarza w czasie jego nieobecności?; jak sądzisz?

Hobbit drgnął, wracając do przytomności.

- To nie są zapasy. - Pokręcił głową. - On zostawił podarunek... dla tego, kto przyjdzie tu i zechce skorzystać...

- Skąd możesz to wiedzieć, niech mnie zmiażdży Hrugnir! - wrzasnął, tracąc cierpliwość, Malec.

Zamiast odpowiedzi Folko uniósł rękę z pierścieniem. Krasnoludy, nie wierząc własnym oczom, jęknęły. Eowina nie powstrzymała się od okrzyku.

Purpurowy motylek zniknął. Zamiast niego pojawił się malusieńki, ruchomy obrazek: Noc, gwiazdy nad lasem, ciemny, sięgający nieboskłonu stok i jakaś wysoka postać... Stary Ent, który powoli ustawiał zapieczętowane dzbany.

- Wiem, że pewnego dnia przyjdziesz tu, niepokorny hobbicie - śpiewnie, niezwykłym jak na niego, zwyczajnym ludzkim językiem mówił Fangorn. - Wiem, że będziesz szukał. Widzenia! Tego, co sprawi, że będziesz widział dalej, niż sięga wzrok..., daleko poza widok z okna. Zostawiam ci swój napój. Zostawiam go specjalnie dla ciebie. Niech twa droga będzie szczęśliwsza... Moje słowa zapamiętają: woda i kamienie, trawa i gałęzie. Kiedykolwiek przyjdziesz tu, dar elfów pomoże ci mnie usłyszeć. Przewiduję: Świat nasz czekają jeszcze ciężkie próby, i los rzuci ciebie prosto w płomień.

Głos umilkł. Zapanowała porażająca cisza. Pierwszy odezwał się Folko:

- Usłyszałem go, kiedy dotknąłem dzbana - powiedział wolno. - Nie wiem dlaczego, ale od razu pociągnęło mnie do tego entowskiego napoju... Ręce same przypomniały sobie - jakbym to ja ustawiał dzbany.

- No właśnie - westchnął Torin po chwili milczenia. - Nie sądziłem, że sprawy przyjmą taki obrót. Nie mogę tylko zrozumieć, dlaczego Fangorn nie poczekał na nas tutaj.

Hobbit sięgnął po dzban. I - cud! Zaledwie jego ręce dotknęły kamiennej ścianki naczynia, zalśniło ono tak samo, jak kiedyś w dłoniach Starego Enta, ale było to niepokojące, purpurowe świecenie. Po lśniących ściankach przebiegały krótkie, ciemne błyskawice.

Folko szybko, jednym ruchem wybił gliniany korek i napełnił stojący obok kielich oczekujący, jak i dzban, gości.

- A my? - zapytał natychmiast Malec.

- Nie sądzę, by podziałało na was tak jak na mnie - pokręcił głową hobbit, ale, oczywiście, nalał i przyjaciołom.

- A tobie nie wolno - mruknął do przestępującej z nogi na nogę Eowiny, patrząc na nią umyślnie surowo. - Jeszcze ci zaszkodzi... Nie ma tu napoju dla ludzi.

- Więc ty, mistrzu Holbytlo, potrafisz również czarować! - Dziewczyna wpiła w hobbita zachwycone spojrzenie, nie zwracając uwagi na jego marsową minę.

- Przestań mi tu bzdury gadać! - krzyknął Folko. - Piliśmy już kiedyś ten napój. Ale jeden Eru wie, co się z tobą stanie, gdy spróbujesz entowskiego trunku. Siedź więc spokojnie!

Eowina ze skruchą skromnie spuściła oczęta.

- Zbliżmy kielichy - rzekł cicho Torin. - I podziękujmy władyce Fangornowi za jego dobroć.

Aromatyczny i cierpki napój kojarzył się hobbitowi z dobrze wyleżakowanym starym winem. Napój bardzo przypominał ten, którego skosztował podczas pierwszego spotkania z Drzewobrodem, ale wyczuł w nim coś dziwnego. Słodki i gorzki, zimny i gorący - wszystko jednocześnie. Folkowi zakręciło się w głowie, nie mógł ustać na nogach. W oczach zapłonął purpurowy płomień - taki, jakim świecił dzban. Na mgnienie oka zobaczył leśne ostępy Fangornu, a w samym środku wielkiego lasu wolno idącą postać piętnastostopowego olbrzyma. Stary Ent nagle znieruchomiał, popatrzył w górę - i spojrzenia ich spotkały się.

- Rad jestem, że mój dar cię odnalazł, huum, hom! - rozległ się znajomy głos w uszach Folka. - O co chcesz mnie zapytać? Śpiesz się!

- Światło! Widzisz to światło?! - krzyknął hobbit, wyczuwający szóstym zmysłem, że to

jest teraz najważniejsze, ważniejsze od tej głupiej wojny Eodreida, ważniejsze od wszystkiego, nawet od sztyletu i pierścienia.

- Światło? Huum, hom! Tak, tak! Stare światło! Wydaje mi się, że jego błyski były w oczach nazywanego Szarym Płaszczem, Thingola...

- Co powiedziałeś? Thingol?

- Thingol! - zagrzmiało w odpowiedzi. - I ta, która jest z nim... Elfy nazywały ją Mediana.

- W ich oczach? To światło? Drzewobrodzie, muszę się z tobą widzieć!

- Nic z tego, mój kochany hobbicie. Już jestem w drodze i nie zawrócę. To moja droga i nie pytaj, dokąd wiedzie! Mój dar pomoże ci odnaleźć mnie i rozmawiać ze mną! A teraz żegnaj!

Widzenie urwało się. Trwało niewiele dłużej niż kilka mgnień, i Folko szybko oprzytomniał.

Krasnoludy wytrzeszczały nań oczy.

- Smaczny, ale nic szczególnego - wydał opinię o napoju Malec.

- Widziałem Drzewobroda - powiedział wyraźnie Folko.

- Widziałeś Drzewobroda? - zdziwili się jego towarzysze.

Folko w kilku zdaniach przekazał to, co zobaczył.

Krasnoludy jednocześnie zaczęły się drapać po głowach, a oczy Eowiny przypominały spodeczki.

- Światło, światło, światło! - Hobbit ścisnął głowę dłońmi. - Co to za światło? Odblask, który widział Fangorn w oczach...

- Tych, którzy odwiedzili Valinor - ponuro dokończył Malec. - Według mnie, to wszystko bzdury. Napój entów nie takie widzenia może podsunąć! Wydaje mi się, że oni... tego... przesadzili...

Torin pokręcił głową, nie kryjąc wątpliwości.

- Dobra! Musimy wracać. Na razie nie porzuciliśmy służby u Eodreida, prawda?...

- Myślę, że powinienem zabrać dzban ze sobą. - Folko rozglądał się, szukając korka.

- Przelej do manierki - poradził Mały Krasnolud.

- O nie. - Folko stękał, ale wepchnął drewniany kołek w szyjkę naczynia. - To „opakowanie" jest nie mniej ważne niż jego zawartość.

- No to będziesz taszczył na własnym grzbiecie - prychnął Malec.

- Nie martw się, wytrzymam ja, i mój grzbiet nie zawiedzie - odparował hobbit.

Zbierali się do powrotnej drogi.

- Mistrzu Holbytlo, mistrzu Holbytlo! - Eowina ostrożnie dotknęła jego ramienia. - A... nie mógłbyś mi opowiedzieć... o Valinorze... bardzo bym chciała wiedzieć!

Popatrzył na dziewczynę. Policzki jej znowu płonęły, ale tym razem nie ze wstydu - już cieszyła się, że może zajrzeć za krawędź tej przepaści, do której, jak się okazało, schodził sam mistrz Holbytla...

Moce ziemskie, jakże ona jest podobna do mnie! - przemknęła przez głowę Folka zaskakująca jego samego myśl. Do mnie z tamtych czasów... kiedy przeczytałem w tę i z powrotem wszystkie księgi i gotów byłem oddać prawą rękę za prawdę o Valinorze i Valarach. I tak samo, jak Eowina, opuściłem rodzinny dom i poleciałem na złamanie karku za Torinem... po drodze, która doprowadziła nas najpierw do Szarych Przystani, a teraz tutaj...

- Opowiem, Eowino, opowiem ci - obiecał. - Gdy popłyniemy, czasu wtedy będzie aż za dużo...

- Świetnie! - Dziewczyna klasnęła w dłonie.

Do Farnaka dotarli na czas. Mimo pokusy, hobbit nie kosztował już napoju entów. Wznowił dawno zarzucone ćwiczenia: zaciskając myśl w cienką, twardą klingę, usiłował czerpać moc z pierścienia Forwego albo ostrza Otriny i sięgnąć spojrzeniem poza to, co widzialne. Jednakże, póki płynęli po Isenie, nic z tego nie wychodziło. Malec otwarcie kpił z przyjaciela i sugerował, żeby dar Drzewobroda postawić na stole podczas pożegnania z tanem Farnakiem...

Stary marynarz skrzywił się na widok dziewczyny, bo wiadomo, że baba na pokładzie to pewne kłopoty, ale słowa swego nie cofnął.

14 Czerwca, Tharn, Portowa Przystań Morskiego Ludu W Ujściu Iseny

Wojna toczyła się również nad brzegami Iseny. Arnorczycy porzucili Tharn na wieść o przebiciu się Olmera za Anduinę; część drużyn Morskiego Ludu weszła w sojusz z Wodzem i uczestniczyła w jego pochodzie na północ; jednakże próżno liczyli na wdzięczność zwycięzców. Heggowie mimochodem zajęli ujście Iseny; kilkuset Eldringów, którzy znaleźli się w Tharnie, odparło dwa szturmy, ale w końcu zostali wybici co do jednego. Heggowie spalili magazyny i przystanie, nie wiedząc, co począć ze zdobyczą; nienawidzili Morza i bali się go. Porzuciwszy pogorzelisko, odeszli na północ. Tharn przeszedł w ręce Howrarów, jednakże i oni niczego tu nie zbudowali. Eldringowie pamiętali o krzywdzie, i dlatego król Eodreid łatwo namówił ich do sojuszu, obiecawszy odbudowę Tharnu. Drużyna Farnaka była wśród tych, które w maju 1730 roku wdarły się w ujście Iseny; po zwycięstwie król Eodreid wynegocjował u Howrarów zwrot Tharnu Eldringom - co prawda, bez prawa budowy umocnień. Działania ostatniej wojny ominęły Tharn, a Morski Lud zadowalał się tylko przystaniami i magazynami. Miejsce to służyło jako zwyczajny punkt przeładunkowy, gdzie dostarczane po płytkiej Isenie na barkach towary przeładowywano na morskie „smoki". Co prawda, dziś nastały niedobre czasy dla handlu, Howrarowie nic nie kupowali u Rohańczyków, a Gondor był biedny... Tharn zmniejszył się niemal trzykrotnie w porównaniu z wielkością sprzed wojny.

Teraz przy długich przystaniach stały tylko trzy statki.

- Hedwigh, Oria i Fram - określił ich właścicieli Farnak, ledwie zerknąwszy na proporce. - Warto rozmawiać tylko z Orią. Pozostali to „drobnica", i to z tych gorszych. A Oria ma tysiąc mieczy. Silniejszy od niego jest tylko Skilludr, lecz ten jest teraz daleko, w Umbarze. Może go spotkacie...

- Nawet jeśli spotkamy, to zapraszać nie będziemy oświadczył stanowczo Torin.

Skilludr po upadku Szarych Przystani usiłował wtargnąć do Arnoru po Brandywinie, jednakże niegdysiejsi jego sojusznicy, Easterlingowie, dali mu mocny odpór. W okrutnej potyczce przebił się do Carn Fordu, ale tam, napotkawszy wojska Otona, zawrócił. Następnie Jastrząb, jak zwano Skilludra, niczym huragan przemknął przez całe wybrzeże. Bez żadnych sojuszników, działając w pojedynkę, spustoszył brzegi Minhiriathu i Enedhwaithu, spadł na Belfalas i nawet podchodził pod Dol Amroth, ale rzecz jasna, nie dał rady zdobyć

nieprzystępnej twierdzy. Jego drużyna bardzo się powiększyła, wyprowadzał w morze całą flotyllę - trzy dziesiątki „smoków" i dowodził prawdziwą armią z sześciu tysięcy mieczy, wyprzedziwszy znacznie pozostałych tanów, utrzymujących pięć - sześć setek wojowników i dwa- trzy okręty... Przez dziesięć lat Skilludr rujnował nadbrzeżne ziemie, walcząc z Gondorem, z Haradem, z Terlingiem i Otonem. Z powodu jego najazdów haradzcy władycy nieraz grozili, że zetrą Umbar z powierzchni ziemi, ale ich hufce, oczywiście, nie mogły sobie poradzić z tą twierdzą, tym bardziej że morskie przestrzenie niewątpliwie należały do „smoków" Eldringów.

Tan Oria przyjął wysokich posłów na pokładzie swojego najlepszego statku. Farnak zdążył już szepnąć staremu druhowi, co i jak, i do przedstawienia listów uwierzytelniających doszło dopiero w malutkiej kajucie sternika.

Oria, bardzo wysoki, chudy, całkowicie łysy, ze śladami straszliwych oparzeń na czaszce (w młodości wpadł w ręce haradzkich handlarzy niewolników), wysłuchał przemowy Folka spokojnie, nie mrugnąwszy nawet okiem.

- Farnak, rozumiem, już się zgodził, sztary lisz... - zaseplenił tan. Haradzcy nadzorcy mocno też przetrzebili jego zęby. - Znaczy, że sziedemszet mieczy już maczie... No to dodajczie jeszcze mój tysziąc! - I zdecydowanym ruchem sięgnął do wyłożonej przez Malca umowy. - Do Umbaru ż wami nie popłynę. Będę czekał w Tharnie. Aha! Wy też powinniszczie poczekacz - lada moment ma przybicz Szwaran. Ma trzy szelki, ale to uczciwy chłop, myszlę, że jutro, pojutrze będzie...

- Jeśli tak dalej potoczy się sprawa, to naprawdę uzbieramy całą armię! - szepnął hobbit do Torina, gdy wrócili na statek Farnaka. - Jednak nie bardzo mnie to cieszy...

Krasnolud też był pochmurny, bardziej niż zimowe niebo.

- Jeśli Eodreid tak łatwo raz złamał słowo, to dlaczego nie mógłby złamać i drugi raz? Nie sądzę, by zgodził się oddać jedyne wyjście Rohanu do Morza!

Folko westchnął. Gorszy humor miał chyba tylko po upadku Szarych Przystani...

Po rozmowie z Farnakiem przyjaciele rzeczywiście postanowili zatrzymać się na kilka dni.

- Swaran? Jakże - znam go. To młody tan, ale świetny wojownik. Był taki czas, kiedy trzymał się Skilludra, ale po tym, jak tamten zaczął polować na gondorskie kobiety, by sprzedawać je do Haradu, odszedł od Jastrzębia. Teraz sam się wyprawia... Oria od dawna mu patronuje. Dobra, poczekajmy. Warto.

15 Czerwca, Tharn

Przenocowawszy na statku, przyjaciele z rana postanowili wybrać się na spacer, przewietrzyć, rozprostować kości. Nie mieli wielkiego wyboru - nie było karczm, oberży ani nawet rynku, ale w Tharnie spotykało się nie tylko Eldringów. Mogli natknąć się na Dunlandczyka, trafiali się Hazgowie; ci żyli nieopodal, za granicą miasta, gdzie znajdowało się coś w rodzaju tymczasowego obozu. Ich głównym zajęciem była służba u morskich tanów, tu więc zbierali się ci, którzy chcieli wstąpić do swobodnych drużyn Morskiego Ludu.

Eowinę, mimo jej protestów, Folko zamknął w kajucie, przykazawszy Eldringom Farnaka pilnować jej, by przypadkiem nie uciekła.

Torin, Folko i Malec ruszyli jeszcze niewyjeżdżoną drogą i wkrótce opuścili Tharn. Isena została po prawej ręce; pokryta trawą łąka - urwista stepowa grzęda ciągnąca się wzdłuż rzecznego brzegu - niosła na swoim grzbiecie ścieżkę. Na niej rozminęli się z kilkoma Dunlandczykami; ci przed nieznajomymi w błyszczącej zbroi pośpiesznie zdjęli nakrycia głowy, jak należało, ale spojrzenia, jakimi obrzucili Folka i krasnoludy, były dalekie od przyjaznych...

- Może wybierasz się w gościnę do tego towarzystwa? zdziwił się Malec, kiedy Folko zdecydowanie skierował się do obozu eldringowych najemników.

- Chcę zerknąć, co się tam u nich dzieje. A ty, Strori, co, boisz się?

- Nie podpuszczaj mnie. Niczego się nie boję. Po prostu, nie lubię, kiedy tak się na mnie gapią, jakby mnie chcieli zarżnąć...

- Właśnie o tym oni marzą - uśmiechnął się Torin. - Myślisz, że imię mistrza Stroriego, dowódcy pułku pancernego w wojsku króla Eodreida, nie jest znane w tych stepach? Czy zapomniałeś, jak miesiąc temu cięliśmy tych właśnie Dunlandczyków pod Tharbadem?

Strori milczał.

W obozie powitano przyjaciół pogardliwym, zimnym milczeniem. Wszyscy im czapkowali i kłaniali się, ale w stronę pleców leciały ciskane przez zęby przekleństwa. Ani Folko, ani krasnoludy nie okazywali, że to słyszą.

Obóz był zwyczajnym zbiorowiskiem naprędce skleconych namiotów, szałasów, pośpiesznie wygrzebanych ziemianek i półziemianek. Folko dziwował się, jak mieszkańcy przetrzymują tu zimy - niby to południe, blisko morza, lecz zimno jest zimnem.

W pewnym oddaleniu, przy ognisku siedziała w kucki grupa Hazgów - około dziesięciu

wojowników, z szablami, ale bez swoich straszliwych łuków. Jeden z siedzących niespodziewanie cisnął w ogień garstkę jakiegoś proszku, płomień natychmiast zabarwił się na niebiesko. Rzucający wolno wyprostował się, podjął jakąś przeciągłą pieśń w swoim języku; używał starego słownictwa i Folko, nieźle znający potoczną mowę Hazgów, nie mógł niczego zrozumieć.

Nie przerywając śpiewu, Hazg stanął na otwartej przestrzeni. Krzywonogi, siwy, stary, poznaczony szramami... Jego oblicze wydawało się hobbitowi znajome. Czy nie byli razem w oddziale Otona? Hazg, szeroko rozłożywszy ręce i odrzucając do tyłu głowę, kręcił się w jakimś osobliwym tańcu.

Folko zamarł, wsłuchał się.

- Co się stało? - zdziwił się Malec.

- Cicho! - syknął hobbit.

„Światło, światło, światło! Leje się, leje, leje! Wstaje wróg, wstaje, wstaje! My też musimy wstać, bracia! Wstaniemy! Wstaniemy! Wstaniemy! - zrozumiał hobbit. - Ogień! Ogień! Ogień! Na starej ziemi, na naszej ziemi! Idźmy za światłem, za światłem idźmy! Ziemia - nasza! Nasza! Z ogniem i za nią!".

Mężczyzna szybko przestał mówić zrozumiale, wprowadził siebie w jakiś dziwny trans. Pozostali Hazgowie dołączyli do niego. Wirowali w uniesieniu, zapamiętale. Wyciągnęli szable z pochew.

- Hej, Folko, chodźmy stąd! - nachmurzył się Malec. - Jestem pewien, że oni nażarli się blekotu.

Stary Hazg nagle szarpnął się, jakby uderzył w coś, usłyszawszy imię hobbita. W tej samej chwili w jego ręku błyszczała szabla.

- Zdrajca! - dał się słyszeć niski wściekły ryk. Oczy Hazga miotały szaleńcze błyski; wziąwszy szeroki zamach, rzucił się na hobbita.

- Coś ty!? - wykrzyknął po hazsku Folko, uchylając się od ciosu, i w tej samej chwili poznał atakującego.

Jakże mógł go zapomnieć? To przecież ów stary przywódca Hazgów z oddziału Otona!

- Powstrzymaj się. - Miecz hobbita zgrzytnął w zetknięciu z szablą napastnika.

- Dopiero gdy twój łeb pójdzie na karmę dla świń! - padła odpowiedź.

Z obu stron na pomoc przyjacielowi ruszyły krasnoludy. Pozostali Hazgowie, nie pytając o nic, też chwycili za broń. Błyskawicznie pojawiły się straszliwe łuki. Brzęknęła puszczona cięciwa; po hełmie, który na wszelki wypadek nałożył hobbit, ześliznęła się strzała.

Folko zachwiał się, a stary Hazg natychmiast zaatakował. Ostrze chlasnęło po naramienniku hobbita - i bezsilnie odskoczyło od mithrilowej płyty.

- Nie poradzisz sobie ze mną! - Folko sparował cięcie szabli.

Hazg nie odpowiedział. Hobbit zakręcił nad głową młynka mieczem, odkrywając się, i przyłapawszy przeciwnika na zamachu, precyzyjnie skierował ostrze na prawe ramię starego wojownika. Hazg nie miał na sobie pancerza; hobbit chciał rozbroić przeciwnika, ale tym jakby kierowała jakaś zła moc: niespodziewanie potknął się, kiwnął do przodu i miecz Folka przeszył mu serce.

Krasnoludy odparły atakujących; jednakże widok martwego starca tylko rozjuszył stepowców.

- Powściągnijcie złość, bałwany! - krzyknął Malec, ale Hazgowie, wydawało się, przestali rozumieć Wspólną Mowę. Wybijemy was! - Miecz i jego daga wirowały i połyskiwały. Co prawda, na razie tylko się zabawiał. Niewielki to honor wy grać z nieokrytymi pancerzem, gdy ma się na sobie mithrilową kolczugę.

- Ale potem nasi waszych! - nieoczekiwanie wrzasnął jeszcze jeden Hazg, wyskakując zza pleców atakujących. Miecz Malca ześliznął się po podstawionej szabli i Hazg, zręcznie podciąwszy nogi, zwalił krasnoluda na ziemię. Czterech Hazgów natychmiast runęło nań z góry.

Sprawy przybierały zły obrót.

- Dość tych ceregieli! - ryknął Torin, a jego topór natychmiast zadał śmiertelny cios.

Folko w milczeniu, nie tracąc czasu na rozmowy, przebił na wylot jeszcze jednego stepowego wojownika. Ciężkie strzały uderzały w jego pierś i brzuch, jedna czy dwie trafiły w przyłbicę. Gdyby nie mithril, już byłby martwy.

Torin dwukrotnie ciął toporem, pomagając Małemu Krasnoludowi. Ten strząsnął z siebie pozostałych żywych i już się podnosił, jednakże, pomagając przyjacielowi, krasnolud na chwilę stracił z oczu tego samego Hazga, który tak zręcznie powalił Malca. Potężny, barczysty, niemal nie ustępował siłą synowi Dartha. Rękojeść szabli uderzyła w przyłbicę Torina. W tym momencie, nie wiadomo czy krasnolud źle zapiął pasek, czy może mocowanie pękło, hełm zleciał z głowy Torina. Połyskujące ostrze rozpłatało mu twarz. Malec z dzikim wrzaskiem poderwał się na równe nogi, zamachnął się, ale Hazg zręcznie odskoczył w bok i podniósł rękę, powstrzymując swoich.

- Dość! Chcę, byście odeszli. A tego - pogardliwie skinął na Torina, leżącego na wydeptanej trawie - oznakowałem. Drugi raz już nie ujdzie. Zabierajcie go i wynoście się stąd,

ale najpierw zostawcie rynsztunki!

- A to niby dlaczego?! - ryknął Malec.

- Dlatego, że bez swojego wspaniałego hełmu będzie martwy w mgnieniu oka. - Przywódca Hazgów skinął na łuczników, którzy już wymierzyli łuki w niechronioną głowę krasnoluda. - Jeśli jego życie jest wam drogie, zróbcie to, co mówię.

- My zdejmiemy rynsztunek, a wy nam wsadzicie po strzale w plecy?! - wychrypiał Malec.

- W odróżnieniu od was my nie łamiemy danego słowa rzucił pogardliwie stepowieć.

- Poczekaj, Mały. - Folko mówił i poruszał się umyślnie wolno, jakby w obawie, że gwałtowny ruch sprowokuje któregoś z łuczników do puszczenia naciągniętej cięciwy. - Poczekaj. Nasi wspaniali przeciwnicy zapomnieli o jednej ważnej rzeczy... Bardzo, bardzo ważnej rzeczy...

Mówiąc tak, hobbit odwrócił się bokiem do otaczających ich wojowników.

- Zapomnieliście o święcie rodu Haruz - powiedział, gwałtownie się prostując.

Coś krótko błysnęło w powietrzu. Trzej martwi łucznicy zwalili się na ziemię. Z piersi każdego sterczała rękojeść noża do miotania.

Hazgowie zostali kompletnie zaskoczeni, Malec natychmiast nałożył Torinowi na głowę hełm.

- Wycofujemy się!

Wycofywali się w dziwnym szyku: Malec podtrzymywał Torina, któremu po napierśniku obficie spływała krew, a hobbit cofał się, trzymając na widoku sprzęt do miotania. Hazgowie podnieśli łuki zabitych, pojawili się nowi łucznicy; wolno następowali, ale nie decydowali się na atak. Kilka wystrzelonych na chybił trafił strzał odskoczyło od rynsztunku Folka i krasnoludów.

Dunlandczycy ponuro gapili się na potyczkę, ale nie wtrącali się.

Pomogli im Eldringowie: dziesięciu wojowników Orii w jakimś celu kierowało się do obozu najemników.

- Co to za zamieszanie? - wrzasnął przysadzisty dziesiętnik, widząc uzbrojonych Hazgów. - Zapomnieliście o Tharnskim Rozejmie?

Niektórzy ze stepowych strzelców unieśli mimo wszystko łuki i, niewątpliwie, odważny wojownik Orii straciłby za chwilę życie, gdyby nie przywódca Hazgów.

- Niech uchodzą - zwrócił się do swoich. - Jeszcze się policzymy, i to szybko! A Tharnski Rozejm... Na razie jest nam jeszcze potrzebny. Ale potem...

Urwał, jakby przypomniawszy sobie, że jeden z wrogów dobrze rozumie hazską mowę. Podporządkowując się jego bezgłośnemu rozkazowi, Hazgowie natychmiast zniknęli. Wódz zatrzymał się. Widząc, że chyba chce coś powiedzieć, Folko zrobił krok w jego kierunku, starając się okazać, że jest gotów wysłuchać wszystkiego, ale nie da się już zaskoczyć.

- Dlaczego on mnie zaatakował? - zaczął pierwszy, mając na myśli zabitego przez siebie starego Hazga.

- Jeszcze się pytasz? - Przywódca pogardliwie splunął w trawę. - Czy nie przysięgałeś Wodzowi Earnilowi? Czy nie walczyłeś w oddziale Otona? Nie ty dowodziłeś potem słomianowłosymi, gdy ci wdarli się na nasze ziemie? Należałoby cię żywcem obedrzeć ze skóry! Może niebiosa będą przychylne i jeszcze uda mi się to zobaczyć!

- Czy to wszystko, co chciałeś mi powiedzieć? - beznamiętnie zapytał Folko.

- Nie! Nie wszystko! - Hazg wycharkiwał z siebie słowa jak najgorsze przekleństwa. - Powiedz swojemu królowi, że niczego nie zapomnieliśmy i niczego nie wybaczyliśmy. Wiemy, że Wielka Moc prostuje skrzydła swe gdzieś na południowym wschodzie - o tym powiedzieli nam nasi jasnowidze. Jednego z nich zabiłeś, niegodziwcze, dzisiaj! Wiemy, że ta Moc jest nam wroga. Wiemy, że być może ktoś znowu będzie chciał zetrzeć z powierzchni ziemi nasz lud. Zatem wiedz: nie będziemy pokornie czekali na uderzenie, jak byki w rzeźni! - Hazg splunął pod nogi Folka, odwrócił się doń plecami i szybkim krokiem odszedł, w ślad za ziomkami. Hobbit zgrzytnął zębami i też pośpieszył w swoją stronę.

Rana Torina, na szczęście, choć obficie krwawiąca, nie była groźna, ale czoło, tak to wyglądało, będzie miał do końca życia przekreślone szramą. Nie wiadomo dlaczego ostrze szabli nie rozcięło skóry, lecz poszarpało ją, obnażając nawet gdzieniegdzie kości czaszki. Potężny krasnolud z trudem dokuśtykał do okrętu Farnaka i dopiero tam pozwolił sobie na omdlenie.

Eowina tylko cicho jęknęła i sama, zasłaniając usta dłonią, natychmiast rzuciła się do pomocy.

Powstał spory rozgardiasz. Eldringowie bardzo byli czuli na punkcie porządku w swoich włościach: Oria proponował ruszyć kilkuset wojowników i spalić do cna wszystkie hazskie osady. Ledwo udało się go uspokoić. Starcie z odważnymi strzelcami i jeźdźcami, bez wsparcia potężnej rohańskiej jazdy, oznaczało daremną zgubę całego wojska.

Jednak około setki Eldringów w pełnym uzbrojeniu otoczyło obóz ze wszystkich stron i zażądało wydania Hazgów. Ale ci, jakby przeczuwając konsekwencje swego postępku, zdążyli uciec. Nikt nie zamierzał ich ścigać.

W przewidzianym przez Orię czasie pojawił się Swaran. Młody tan bez dłuższych wahań zgodził się uczestniczyć w wyprawie; wraz z Orią, podpisawszy umowę, został w Tharnie, czekając na nadejście głównych sił floty Eldringów.

- Wychodzimy w morze czy nie? - pytał rozgniewany Farnak Małego Krasnoluda.

- Wychodzimy, wychodzimy - uspokajał go ten. - Tylko niech Folko nazbiera ziół, żeby przygotować wywary dla rannego i - w drogę.

Zatrzymało ich to jeszcze na półtora dnia. Torin leżał w gorączce, rana się paskudziła, i kto wie, jak by się to skończyło, gdyby hobbit nie natrafił przypadkiem na ziele zdrowieńca nie wiadomo jakimi wiatrami przywiane tu z północy. Po jego zastosowaniu poszło ku lepszemu, i rano odcumowali. Torin zasnął spokojnie, oddech się wyrównał. Gorączka spadła.

„Smoki" Farnaka i Hjarridiego wyszły w otwarte morze.

20 Czerwca,
Trawers Przylądka Balar,
Otwarte Morze

Torin szalał. Od chwili gdy oprzytomniał, nie przestawał obrzucać siebie najcięższymi wyzwiskami, co prawda tylko wtedy, gdy nie było w pobliżu Eowiny, a ponieważ ta niemal przez cały czas była w pobliżu, pomagając Folkowi pielęgnować rannego, to oczywiste, że krasnolud dość długo gromadził zapas mocnych słów, które, gdy w końcu dziewczyna wyskakiwała na chwilę na pokład, natychmiast wyrzucał z siebie.

- Odzwyczaiłeś się przegrywać, mój drogi - zauważył Folko, zmieniając nasączony wywarem ze zdrowieńca opatrunek. - Mithril jest podstępny - nabierasz przekonania, że zranienie cię jest niemożliwe. A nieprawda!

- Znajdę tego stepowego psa - tracąc oddech ze złości, cedził krasnolud, rzucając się na łożu tak, że omal nie spadł na podłogę. - Znajdę i...

- Groził mi, że zedrze ze mnie żywcem skórę - wtrącił spokojnie Folko.

- Już ja go lepiej urządzę!

- Przestań, lepiej posłuchaj, co zapamiętałem z ich gadania...

Folko i Malec siedzieli przy łożu Torina, które znajdowało się w malutkiej - dwie osoby ledwo mogły się obrócić - kajutce pod krótkim dziobowym pokładem „smoka".

- Hazgowie też coś wyczuli. Ich szamani na pewno. I czują oni, że ta Moc - wroga im - popycha zwyciężonych do zemsty. Ich wódz otwarcie mi to powiedział, że nie zamierzają czekać, aż ich wyrżną jak bydło. Tak to zrozumiałem...

- Że mogą napluć na rozejm i zacząć pierwsi - dokończył ponuro Malec.

- Właśnie tak - skinął głową Folko. - I, przyznam się wam, że to mnie napawa największym lękiem.

- A czego tu się bać? - zapytał Torin, krzywiąc się z bólu. - Niech napadają! Przynajmniej wtedy Eodreid nie wyjdzie na wiarołomcę...

- Już jest wiarołomcą - oświadczył stanowczo hobbit. - Złamał słowo, gdy uznał, że umowa i przysięga to tylko puste słowa! Olmer, o ile pamiętam, od tego samego zaczynał. A to, co zauważyłeś, to światło - chociaż ja uważam, że to nie światło, lecz jakaś niespodzianka ze spadku po Ghortaurze Okrutnym albo i samym Melkorze - to światło doprowadza ludzi do szaleństwa, zmusza do zapominania o wszystkim, popycha ich do łamania przysiąg i obietnic,

byle tylko osiągnęli swój cel. Eodreid wymyślił wojnę na wyniszczenie. Gdy usłyszałem to, omal nie spadłem z siedziska po raz drugi. Czegoś takiego nie wykoncypowałby nawet sam Sauron! Hazgowie też wymyślili, że nie będą się ceregielić ze słomianowłosymi, nie będą czekali, aż ci przygotują zemstę i uderzą pierwsi. Nie zdziwię się, jeśli zaczną wyrzynać gdzie się da Rohirrimów... jak tam to szło w legendzie?

- „Co dorośli do osi wozu" - dokończył Malec. Jego oblicze spochmurniało i stało się mroczniejsze od burzowej nocy.

- Właśnie - skinął głową hobbit. - Oto dlaczego musimy jak najszybciej dostać się do Umbaru. To jest blisko naszego tajemniczego „światła". Mam nadzieję, że tam się jeszcze czegoś dowiemy.

- O ile w Umbarze już nie odbywa się rzeź - poderwał się Malec. - Może ten cały Skilludr pomyślał, że pozostali Eldringowie marzą tylko o jego śmierci, i zaczął rżnąć kogo się da, czy tego wart czy nie?

- Korzenie i sęki! O tym nie pomyślałem - przyznał hobbit. - W takim razie tym bardziej należy się śpieszyć. Bo nie zdążymy nawet na szturm!

- Światło, światło, światło... - mamrotał Torin. - Na Durina, co to może znaczyć?

- Nie łam sobie głowy, i tak masz ją nadpękniętą - rzucił Malec. - Och, jak mi się to wszystko nie podoba! W czasie tej zabawy z Olmerem - wróżyliśmy i co? Nic nie wyszło. Teraz, wspomnicie moje słowa, to samo nam wyjdzie. Znowu będziemy się pętać po Śródziemiu w poszukiwaniu wroga, a on się tuż pod nosem objawi. Zrozumiemy to, ale będzie za późno.

- Przestań krakać! - powstrzymał przyjaciela Folko. Masz rację co do Umbaru. Sądzę, że nie zaszkodzi tam zajrzeć. Gdzie mamy ten napój Drzewobroda?

- Na Machała, co chcesz zrobić? - jednocześnie zakrzyknęły krasnoludy.

- Przecież nie byłeś nigdy w Umbarze! - uzupełnił Strori.

- No to co?

- Jak to „no to co?" - obruszył się Malec. - Trzeba wiedzieć, co chce się zobaczyć - o ile w uczonych traktatach zapisano prawdę! To znaczy, że musisz sobie wyobrazić albo zatokę umbarską, albo samą twierdzę... Coś takiego czytałem.

- Nie wiem, może się i nie uda - przyznał hobbit. - Ale spróbować warto, nic nie tracimy.

- Jeśli zobaczysz coś, to uznasz, że tak jest naprawdę. A potem okaże się, że wszystko jest inaczej - mruknął Torin. - Porównamy, jak przypłyniemy do Umbaru.

Oba krasnoludy wzruszyły jak na komendę ramionami.

Folko wydobył z sakwy starannie zawinięty w koc kamienny dzban. Przez całą drogę bezlitośnie obciążał on plecy hobbita; nadeszła pora, by udowodnić, że nie był to daremny wysiłek.

Już po pierwszym łyku po całym ciele rozlało się przyjemne niczym kołdra w zimową noc, niczym dobre grzane wino w mroźny wieczór, ciepło, ale nie było w nim niczego, co mąciło zmysły. Hobbit zamknął oczy i skoncentrował się. Powinien był jak ptak przemknąć nad morskimi przestworami do ogromnej umbarskiej zatoki, do żółtoszarych skał, które niczym szczęki zwierały się na jej wąskiej gardzieli, do wysokich bastionów, od wieków broniących twierdzy przed atakami od morza; musiał pokonać powietrzne szlaki i zobaczyć prawdę!

Nad podziw łatwo udało się hobbitowi wejść w dalekowidzenie. Wzrok jego posłusznie pomknął w przestrzeń, w jednej chwili pokonawszy ogromne odległości. Pojawiły się zarysy umbarskiego brzegu.

Morze dotarło tu do dwóch starych, zbiegających się górskich grzęd. Głęboka dolina stała się zatoką, a zbocza gór - brzegami. Trudno naprawdę o lepszą ochronę przed burzami i sztormami.

W tej chwili w Umbarze zakotwiczonych było mnóstwo okrętów - i wiosłowych, i żaglowych. Najwięcej, rzecz jasna, „smoków" Morskiego Ludu, który zajął Umbar po klęsce królestwa Gondoru. Umbarscy korsarze - dawno temu napsuli niemało krwi królom z Minas Tirith i dali początek morskiemu plemieniu - mogli spać spokojnie - zostali pomszczeni. Co prawda, na Umbar od dawna zerkał pożądliwie bogaty i ludny Harad, ale tym razem wierni sojusznicy Saurona musieli odejść z kwitkiem. Z lądu twierdza była nieprzystępna, i haradzcy władcy chyba już się z tym pogodzili.

Z lotu ptaka hobbit widział kipiące życiem ulice miasta. Zupełnie nie przypominało Annuminas, ani tym bardziej Minas Tirith. Piętrowe i dwupiętrowe domy z żółtej gliny odwróciły się tyłem do ulic, okna wychodziły wyłącznie na wewnętrzne podwórza. O bruku nie było nawet mowy, kurz niemal przesłaniał słońce. Po ulicach wolno przemieszczały się karawany, ciągnęły łańcuszki dziwnych stworzeń - jedno- i dwugarbnych - przypominających trochę konie, ale większe. Targowiska wypełniały tłumy ludzi. Słowem - spokój.

Widzenie urwało się, jak zawsze, niespodziewanie.

Po opowieści hobbita krasnoludy tylko wzruszyły ramionami.

- Przypłyniemy do Umbaru, zobaczymy, co ci się naroiło - skwitował markotnie Strori.

20 Czerwca, Morski Brzeg,
Sześć Mil Na Północ Od Gwathlo,
Przy Ujściu Szarego Strumienia

Tego dnia połów był całkowicie nieudany. Niemłody rybak, w samych tylko płóciennych, podwiniętych do kolan spodniach, wlókł się ścieżką do swej chaty. Do pasa miał przytroczony kosz z rybami - było ich co najmniej o połowę mniej niż zwykle.

Ścieżka wspinała się po zielonym zboczu i nurkowała do zacisznego, zarośniętego wikliną parowu. Na jego zboczu stała chatka, krzywa nieco, ale dobrze osadzona w gruncie i solidnie zbudowana z niezbyt grubych bali - takich, by mógł je udźwignąć samotny człowiek. Rozszczekało się kudłate psisko, rzucając do nóg pana.

- Witaj, Sanie, witaj. - Rybak potarmosił psa za kudły na karku. - Zaraz będziemy jedli. Dziś jeszcze mamy co jeść, a jutro będzie głodno. Wytrzymasz?

Pies z radością pomachał ogonem - jutrzejszy dzień dla niego nie istniał.

Człowiek zabrał się do obrabiania połowu, ale nie zdążył nawet wypatroszyć trzeciej ryby, gdy zaskrzypiały drzwi.

- Pracujesz, Szary? - rzucił hardo gość. Był to niski mężczyzna, z wyraźnym brzuchem i czerwonym obliczem, ale - pomimo władczego wyglądu - ubrany niewyszukanie. Przez ramię miał przewieszony duży pleciony kosz na rzemykach. Dobrze czynisz, zuch, dziedzic będzie zadowolony. Tylko szybkim spojrzeniem oszacował stosik ryb - coś ich mało!

- Nic na to nie poradzę... - Rybak bezradnie poruszył ramionami. - Tyle się dało złowić... Masz zamiar wszystko zabrać, Millogu?

Rozmowa toczyła się w języku Howrarów. Dla poborcy był to wyraźnie język ojczysty, rybak zaś o imieniu Szary mówił z pewnym trudem.

- Coś ty, czy ja jestem jakimś zbirem? - oburzył się ten, którego imię brzmiało Millog. - Pracownik dotąd pracuje, póki ma co żreć - szybko odłożył na bok pięć gorszych rybek. To dla ciebie i psa twego.

- Dziękuję ci, czcigodny - obojętnie skinął głową rybak.

Millog zręcznie wrzucił zdobycz do kosza, jednakże nie zamierzał jeszcze odchodzić.

- Ech, Szary, Szary... Jakim durniem byłeś, takim zostałeś. Już dziesięć lat temu znaleźli cię ludziska w diunach, gołego, mamroczącego coś w obcym języku, a wcale nie zmądrzałeś od tego czasu. Ledwo, ledwo wyrabiasz daninę! Och, żeby się to nie skończyło na batach od

naszego władyki...

- Dziękuję ci, Millogu - poruszyły się nieznacznie wargi Szarego. - Wiem, że mnie bronisz...

Na obliczu grubasa pojawiło się coś na kształt współczucia.

- Od dawna ci tłumaczę - zmień to rzemiosło! Idź do drwali albo wypalaczy węgla. Las zawsze jest - można ciąć do woli. A tu - nigdy nie wiadomo: będzie zdobycz czy nie. A i tak, i tak daninę płacić trzeba. Poza tym - ile możesz tu siedzieć sam jak palec? Baby ci potrzeba, bo żyjesz jak zwierz jaki dziki. Chcesz, to ci poszukam? Bab niezamężnych jest teraz jak mrówek w mrowisku. Przecież tylu chłopów padło... Podziękuj mi, że cię do ruszenia nie powołali!

Szary stał i pokornie słuchał, opierając się spracowanymi rękami o stół, połyskujący rybimi łuskami. Broda opadła mu na pierś.

- Gdzie mi tam, do ruszenia... - odezwał się głuchym głosem. - Nawet miecza trzymać nie umiem...

- Wiadomo! - parsknął grubas z pogardą. - Pamiętam, jak ci go daliśmy...

- Nie ma co wspominać...

- Dobra. Pora mi, żeby ryby nie stęchły. No to jak z babą, co, Szary?

- Za starym, Millogu.

- Za stary, za stary... Ja przez te dziesięć lat się postarzałem, a ty - wcale. Aha! Jeszcze jedno! Słyszałeś, że Hazgowie w Tharnie poprztykali się z jakimiś rohańskimi szyszkami? Szhakara zabili...

- Szhakara? - Szary uniósł dłoń do zmarszczonego czoła.

- No tak! Przebili go na wylot, wyobrażasz sobie? I jeszcze ni to trzech, ni to pięciu zabili... A sami jak zaczarowani, strzały od nich odskakiwały...

Mętne oczy Szarego nagle zabłysły, ale tylko na moment.

- Odskakują strzały, powiadasz? Hazskie strzały? Bajki mi tu opowiadasz, czcigodny...

- Ależ nie, prawdę mówię! Trzech ich było. Dwa krasnoludy i jeszcze jakiś jeden niewyrostek...

- Niewyrostek w rohańskim wojsku? Przecież mówiłeś, że oni wszyscy są bardzo rośli...

- Durniu! To nie jest Rohirrim, pojmujesz? Z północy on jest. Takich połówieczkami zwą. Trzeciego roku naszych ziem wyrżnęli oni Heggów i orków Grahura niemal co do sztuki. Nie pamiętasz, jak ci opowiadałem?

Szary w milczeniu skinął głową.

- A teraz jeden się taki tu objawił - perorował poborca. Nie wiadomo tylko, po co się

przypętał. Wszyscy przecież wiedzą, że on rohańskiemu władcy, Eodreidowi - żeby się wywalił na równej drodze! - służył. No, i wiadoma rzecz - Szhakar nie wytrzymał. I głupio wyszło - z Wodzem Wielkim, Earnilem, tyle wojen przeszedł, Annuminas zdobywał, inne miasto - to elfickie, które się pod ziemię zapadło - i cały z tego wyszedł, a tu - znalazł śmierć.

- Szhakar zginął... - zamamrotał Szary. - Szhakar... Szhakar...

- Plótł on ostatnio jakieś wierutne bzdury. Że niby widzi ogień za górami, światło nieziemskie, że wojna się rozleje jak woda powodziowa, i że wrogowie nasi ruszą tedy na nas i wszystkich co do jednego wyrżną... Bzdury, i tyle. Widocznie na starość zupełnie zbzikował.

Rybak milczał.

- No dobra, zagadałem się. - Sieknąwszy, Millog zarzucił na plecy kosz. - Hej, no co tak stoisz jak głąb? Pomagaj! Sam mam na konia ładować?

Poborca odjechał. Rybak o imieniu Szary przez jakiś czas patrzył w ślad za nim, a potem, przygarbiony, powlókł się na brzeg. Suszył tam sieci, poszedł sprawdzić, czy nie porwały się gdzie.

- Szhakar... - powtarzał mrukliwie jak nakręcony, wlokąc się ku morzu wydeptaną przez dziesięć lat ścieżką. - No tak, pamiętam go! Hazg... Stary, siwy, na szyi miał szramę... Przekleństwo! Przecież ani razu go tu nie widziałem! Skąd więc tyle o nim wiem?

Pies truchtał przy nodze, z zatroskaniem zerkając na pana. Chętnie by mu pomógł, ale nie wiedział jak...

Szary żył w tej okolicy już prawie dziesięć lat. Pamięć nie wróciła mu, ale nie był dla nikogo ciężarem - nauczył się rybackiego fachu, jakoś radził sobie z sieciami i prostym kawalerskim gospodarstwem. Kiedy go znaleziono, nie pamiętał niczego - ani imienia, ani wieku. Na oko można mu było dać około czterdziestu lat; włosy miał zupełnie siwe, w brudnopopielnym kolorze. Co prawda, przez te lata mało się zmienił, i ponieważ w wiosce Howrarów pojawiał się Szary rzadko, to jego niezmieniony wygląd rzucał się jakoś w oczy. Ciało miał wojaka, howrarski władyka ucieszył się, sądząc, że człowiek ten pochodzi z Morskiego Ludu, a to znaczy, że będzie dobrym wojownikiem i innych jeszcze wyszkoli. Jednakże szybko wydało się, że Szary nie potrafi w ogóle trzymać miecza. Jeśli nawet był kiedyś wojownikiem, to cała jego wiedza zniknęła z pamięci. Władyka machnął ręką, kazał wkropić znajdzie tuzin batów, tak na wszelki wypadek, i przegonić na cztery świata strony albo, jeśli zechce, zostawić w swojej dziedzinie, ale dać mu coś do roboty...

Rybak wyszedł na piach. Leniwie toczyły się ku ziemi fale; morze było spokojne i gładkie; mogło się wydawać, że nigdy nie zdarzają się na nim burze czy huragany.

Wypraktykowanymi ruchami Szary zaczął sprawdzać sieci, nie przestając mamrotać do siebie - ciągle powtarzał imię zabitego Hazga.

Nagle znieruchomiał. Przycisnął lewą rękę do piersi i stał tak. Pies niespokojnie otrzepał się, podbiegł, postawił uszy, pytająco wpatrując się w pana.

- Boli coś... tu... - poskarżył się cicho psu człowiek, trzymając się za pierś. - Mocno boli... I pali, jakby płonął tam ogień...

Pies niespokojnie zaskowytał. Skoczył do Szarego, polizał go po twarzy i nagle zaczął biec ze wszystkich sił, jakby gonił uciekającą zdobycz. Zdumiony rybak przyglądał mu się, stojąc nieruchomo.

Ale ból nie ustępował, wręcz przeciwnie - stawał się coraz silniejszy. Szary opadł na piasek, ciągle trzymając dłoń na sercu. Jęknął cicho.

- Pali... - wyrwało mu się przez zaciśnięte zęby.

Niebo ciemniało. Ze wszystkich stron napływały chmury - ogromne niebiańskie pola, na których, jak wierzyli Heggowie, bogowie sieją ziarna, a deszcze padają, gdy podlewają kiełkujące zboża...

Szary wyprężył się, zajęczał i wstał. Chwiejnie podszedł do samej wody.

- Przeklinam cię! - krzyknął, grożąc pięścią bezkresnej przestrzeni przed sobą. - To ty mnie dręczysz, wiem to! Ale już ci nie sprawię takiej radości! Wołaj swoje ryby i raki, bo ja już nie mogę, płonę cały we wnętrzu!

Z tymi słowy runął prosto w fale. Chwila - woda zakryła go z głową.

Dało się słyszeć dźwięczne szczekanie. Chwilę później na plażę wypadł pies, a za nim, sapiąc i klnąc na czym świat stoi, podskakując w siodle, pędził grubas Millog. Pies i jeździec zamarli, wpatrzeni w świeży łańcuszek śladów prowadzących prosto do morza...

Pies od razu oklapł, usiadł na piachu, podniósł łeb i zawył.

- Musi utonął... - szepnął gruby poborca daniny. Twarz mu pobladła. - Bogowie wielcy, jestem ostatni, który z samobójcą rozmawiał! - Zadygotał. - Dziękuję ci, piesku... - Drżącymi rękami wygrzebał z torby i cisnął psu kawałek wędzonego mięsa, ale zwierzak nawet nie obrócił łba. - Nie wiedziałbym i jeszcze by mnie gorączka opadła, trzęsawka i łamikostnica... A tak, jeśli ciało na brzeg wyrzuci... a ja go zakopię... to i całe nieszczęście bokiem przejdzie. No, piesku, szukaj pana, szukaj... Mądry piesek, uratować mnie chciał... Mądry! Będziesz sobie u mnie żył, do końca dni twoich karmić cię będę i nie zażądam pracy żadnej w zamian...

Pies, jakby rozumiejąc, co się do niego mówi, niespodziewanie przestał wyć, poderwał się i rzucił wzdłuż brzegu. Sapiąc i kiwając się w siodle, grubas odwrócił konia i pokłusował za

psem.

12 Lipca, Reda Umbaru

Południowe słońce przypiekało. Tu, na rubieżach Wielkiego Haradu, było znacznie goręcej niż w Gondorze, gdzie góry i Anduina Wielka jakoś chroniły ziemię przed spiekotą. Farnak trochę się namęczył, wyszukując dla swoich gości odpowiednie ubrania.

- W rynsztunku zapewne będzie wam niewygodnie, ale nie radziłbym go zdejmować. Wszystko może się zdarzyć... W południe w ogóle się nie pokazujcie na ulicy, życie toczy się tu rankami i wieczorami, w upał wszyscy siedzą w domu pouczał przyjaciół stary tan.

Krasnoludom naprawdę było trudno znosić palące wściekle promienie słońca, natomiast Eowina czuła się jak w siódmym niebie. Twarz i ręce dziewczyny od razu pokryła ciemna opalenizna; szybko stała się kimś swoim na „smoku", starzy morscy tułacze każdego wieczora domagali się pieśni, porzuciwszy na ten czas swe ociekające krwią ballady. Eowina więc śpiewała, z rękami odwiedzionymi do tyłu, rozczulająco, jak wygłodniałe pisklę wyciągając do góry szyję. Zabijaki Farnaka dźwięcznie dziękowali za występ, waląc rękojeściami mieczy w tarcze, przymocowane od wewnętrznej strony burty.

I oto nastał dzień, kiedy z wody wyrosły strome urwiska otaczających Umbar Gór Skalistych. Przed dziobem statku pojawiła się wąska gardziel zalewu. „Smoki" zwolniły, refując żagle.

- Hej tam! Ruszać się! Wszystkich bym was wysłał do Morskich Ojców, ale skąd wziąć lepszych! Gondorskie szczury lądowe lepiej by się sprawiły! - zwyczajowo pokrzykiwał dziesiętnik, którego ludzie spuszczali na wodę ośmiowiosłową szybką łódź.

- Po co to, czcigodny Farnaku? - pytał hobbit, stojąc obok tana na dziobie „smoka".

- Jak to „po co"? A popatrz tam, widzisz - płyną za nami obce okręty? To Starch, jeśli mnie wzrok nie myli. Musimy przejąć miejsce przy nabrzeżu, bo inaczej będziemy się bełtali na środku zalewu, póki ktoś nie odpłynie...

Folko odwrócił się. Doganiając „smoka" Hjarridiego, z zachodu szybko płynął długi wąski okręt. Widocznie sternik dobrze znał wężowaty i niezbyt szeroki szlak wody, bo okręt nie zwalniał, wręcz przeciwnie - pomagał świeżemu, wydymającemu żagle wiatrowi wszystkimi co do sztuki wiosłami.

- Starch, Starch to jest, nikt inny tylko Starch - mruknął Farnak. - Nie honor nam zostawać z tyłu! Hej, zuchy, śpicie tam czy jak? Teraz nas nie wyprzedzi - dokoła rafy. Ale w porcie też spuści łódź - tam się nie da ścigać okrętem; wtedy zmierzymy się! A na razie

możemy się wlec...

Tak też się stało. Okręt Starcha zbliżył się na styk do „smoka" Farnaka. Folko widział, jak i z tamtej jednostki spuszczona zostaje łódź.

- No i dopłynęliśmy - rzucił Farnak, zwracając się do stojącego obok hobbita. Ledwo poruszając wiosłami, „smok" wsuwał się w wąski przesmyk, prowadzący do obszernej umbarskiej zatoki. Mogła ona zmieścić w sobie tysiące i tysiące statków: głęboka, wspaniale chroniona przed wiatrami lepszego postoju dla floty nie można było sobie wyobrazić. Z północy i południa otaczały ją góry. Na szczytach hobbit dojrzał wieże strażnicze; przełęcze przegradzały mury.

- Żeby od morza nie wtargnęli - wyjaśnił tan.

Sama twierdza wyrastała prosto z zielonkawych wód zatoki. Szare mury z czarnymi arkami tuneli przystani, w których cumowały statki, wystawały z fal.

- Gdyby nieprzyjaciel zdołał zająć północny i południowy grzbiet, to od strony zalewu i tak nie mógłby zaatakować. Te arki zamykane są bramami - i koniec! Zresztą, jak pamiętam, jeszcze nigdy nie było takiej potrzeby. I popatrz - ile zbudowano tratw, bo dla wszystkich miejsca w tunelach nie wystarczy...

Pokryte deskami powierzchnie tymczasowych przystani uginały się pod ciężarem setek i setek ludzi, jucznych zwierząt i pak z towarami. W pewnej odległości wyładowywano drewno z barek.

- Drzew w okolicy jest mało. Te, które były, wycięto, a nowe nie wiadomo kiedy wyrosną! Trzeba przywozić aż zza trzech mórz...

Ledwo statek flagowy eskadry Farnaka minął gardziel zalewu, natychmiast do przodu runęła ośmiowiosłowa łódź - z zadaniem wyszukania i zajęcia wolnego miejsca przy nabrzeżu, i teraz sternik wpatrywał się w gęstą mieszaninę statków, tratw, kutrów, łodzi i innych pływających drobiazgów, wyszukując swojej flagi.

- Tanie! Oto oni, tam z lewej burty! - krzyknął marynarz z bocianiego gniazda.

Farnak zarządził zwrot.

Ale wolne miejsce zauważono również na łodzi Starcha. Z rywalizującego „smoka" rozległy się wrzaski. Ludzie Farnaka też wyciągnęli szyje, usiłując rozeznać się w sytuacji. Siedzący przy przeciwległej burcie wioślarze sypali przekleństwami i żądali, by i im, na Morskiego Ojca, odpowiedziano, kto prowadzi.

Eowina, podniecona do granic możliwości, piszczała tak, że słychać ją było na drugim końcu zatoki.

Same „smoki” niemal zatrzymały się. Przed nimi gęsto było od drobnych łodzi, stateczków, barek, a między nimi, zręcznie lawirując i unikając w ostatniej chwili zderzenia, mknęły dwie szalupy - Farnaka i Starcha.

- Nie ma z moimi chłopakami szans - zauważył Farnak nie bez dumy w głosie. - Dobiją z ogonem mojej łodzi w zębach...

Łódź Starcha najpierw wysunęła się odrobinę do przodu; załoga Farnaka, jak przyklejona, mknęła za nimi. Sternik Starcha musiał lawirować, unikając walących ze wszystkich stron łodzi; wyczekawszy na odpowiednią chwilę, jego rywal zręcznie przemknął przed samym nosem niemal wywróconej barki i wyszedł na prowadzenie.

Eldringowie Farnaka ogłuszająco ryczeli i gwizdali.

To oni zdobyli miejsce przy nabrzeżu.

- No, teraz Starch będzie się wściekał - rzucił rozradowany Farnak. - Nikt tu nie lubi być drugi... Nic to, następnym razem będzie mądrzejszy. Mógł poprosić, byśmy stanęli burta w burtę - ale nie, wolał się ścigać...

Okręty Farnaka i Hjarridiego przybiły. Wtedy na dziobie swojego „smoka” pojawił się sam Starch - krępy, mocny, we wspaniałym hełmie z długim plumażem z piór nieznanego ptaka.

- Przypomnę ci to, Farnaku, pomiocie rekina! - wrzasnął, potrząsając pięścią. - Poczekaj, rekini pomiocie, jeszcze się gdzieś spotkamy!

- Z największą przyjemnością - odparł Farnak i dalsze pełne oburzenia okrzyki skwitował wzruszeniem ramion.

Pomocnicy Farnaka zabrali się do wyładunku.

- No, to i na nas pora. - Torin miał jeszcze na głowie opatrunek, ale czuł się już świetnie. - Folko! Jak tam ta twoja dziewczyna? Idziemy do miasta...

- Poczekajcie, my z Hjarridim też idziemy. - Na pokładzie pojawił się Farnak, narzucił na ramiona lekką pelerynę. - Dokąd się kierujecie?

Folko wzruszył ramionami:

- Chcielibyśmy zatrzymać się gdzieś na kilka dni, rozejrzeć się... Potem byśmy zdecydowali, co robimy dalej. Są tu jakieś zajazdy?

- Zajazdów jest tu niemało, ale nie ufałbym im całkowicie - rzucił Farnak, kiedy zbliżyli się do ciemnego otworu arki. - Lepiej wracajcie na noc na statek. Czy to wiadomo, co się może zdarzyć?

- To znaczy - co?

- Tutejsze karczmy i zajazdy są dla Haradrimów i przez nich są zajmowane - wyjaśnił tan. - Właściciele w większości też są z Haradu. A na nich trzeba uważać. Zdarzyło się, że gorące głowy proponowały, by wszystkich nie- Eldringów przegnać z miasta - ale gdzie tam! Nie mamy teraz z kim wojować, tylko z handlu żyjemy. Właśnie Haradowi niemal wszystko sprzedajemy. Nie możemy się z nimi wadzić... - Farnak westchnął. - Nigdy nie przepadałem za najazdami, ale teraz zaczynam żałować, że nie można, jak ongi, zwyczajnie... Wrogów prawie już nie mamy. Chyba że Easterlingowie i w Amorze... Ale do nich na „smokach" nie bardzo można się dostać. Skilludr mocny jest, a i on dał sobie spokój. No, dość już o tym. Jak zamierzacie odbywać swoje poselstwo?

- Pogadamy z tanami, których nam wskażesz, czcigodny Farnaku - wzruszył ramionami Torin. - Najmiemy wojowników - i tyle naszego pobytu.

- W porcie widziałem flagi... - zaczął Farnak wymieniać imiona i bojową moc tanów, z którymi, według jego słów, można było choćby i „Annuminas zdobywać". Torin słuchał uważnie; Malec, jak zawsze - rozglądał się na wszystkie strony. Ten etap działania nie interesował go zupełnie. Folko uważnie przyglądał się miastu.

Zakurzone ulice, głuche mury domów; smród czegoś gnijącego, wrzaski i nawoływania z kramów; i bezlitosne słońce nad głową. Hobbit zauważył, że Eldringów nie ma tu przesadnie dużo. Ciemnoskórzy Haradrimowie, smagli Khandyjczycy, inni zaś - czarni jak smoła, o grubych wargach i z krótkimi kędzierzawymi włosami, a takich Folko jeszcze w życiu nie widział. Większość mieszkańców miała na sobie narzuty w przedziwnych kolorach, przeważnie jaskrawych; na głowach widniały nakrycia dziwaczne - coś jak skręcone prześcieradła. Czarnoskórzy przechadzali się w samych przepaskach na biodrach. Nikt nie nosił tu broni - nikt, poza Eldringami.

W Umbarze było gorąco. Męczył upał i wszechobecny kurz. Ale, jak zauważył Folko, przechodnie byli jakoś dziwnie podnieceni, rozeźleni, gotowi z byle powodu wszcząć bójkę. Hobbit widział iskry niepokoju, ukryte zniecierpliwienie, niemal szał - Umbar puchł z gniewu, sam nie wiedząc, na kim rozładować wściekłość. Zupełnie inaczej powinno wyglądać, zdaniem Folka, wesołe portowe miasto, stolica hałaśliwego Morskiego Ludu! Teraz przypominało raczej twierdzę w przeddzień oblężenia, ale nikt nie wiedział, przed jakim wrogiem należy jej bronić.

- Jeśli wszystko pójdzie dobrze, to uwiniemy się w kilka dni - rzucił Farnak, kiedy w piątkę wchodzili przez szerokie drzwi do jakiejś oberży. - Chodzi tylko o jedno - żeby dotrzeć do wszystkich. Zaczniemy stąd.

Ogromna mroczna sala, trzy razy większa od legendarnego „Rozbrykanego Kucyka”. W poprzek stały długie wspólne stoły. Światło sączyło się przez wąskie okna, wychodzące na wewnętrzny dziedziniec. Folko oczekiwał, że zobaczą rozwrzeszczany hałaśliwy tłum, jednakże powitała ich głęboka cisza. Niewiele było zajętych miejsc, przy drzwiach, prowadzących do kuchni, nudziło się kilku haradzkich służących.

- Tu przychodzą tylko tanowie i zaproszeni przez nich goście - wyjaśnił Farnak, widząc zdumienie hobbita i krasnoludów. - Miejsc musi wystarczyć zawsze dla wszystkich, choćby nie wiadomo ilu gości się miało zjawić. Tu się obgaduje bieżące sprawy i zawiera sojusze. Tu, jeśli tak się spodoba Morskiemu Ojcu, znajdziecie brakujące miecze.

- Hej, Farnaku! - ryknął jeden z gości, siedzący w otoczeniu trzech zuchów - nie wiadomo, przyjaciół czy ochroniarzy, w każdym razie wszyscy oni byli uzbrojeni od stóp do głów. Dawno się nie widzieliśmy!

- Witaj, Wingetorze. - Farnak skinął głową. - Jak się udała twoja wyprawa na południe?

- Fatalnie, drogi przyjacielu, fatalnie!

- No, nie przesadzaj! Sądzę, że twoje „fatalnie” oznacza tylko, że zamiast pięciu barek z łupami, przywlokłeś do Umbaru tylko cztery.

- Niestety, drogi przyjacielu, nie do żartów mi dziś! Przysiądź się, czcigodny Farnaku, i twoich szanownych gości również zapraszam. Hej, wy tam, od kuchni! Piwa podać, zimnego piwa, jęczmiennego, naszego, a nie tego waszego skisłego mleka chorej wielbłądzicy!... Siadajcie, proszę, siadajcie!

- Wingetorze, zawsze słynąłeś z gościnności - zauważył Farnak, siadając. - Przedstaw mi swoich gości, ja poznam cię z moimi, i zacznijmy!

- A! - machnął ręką Wingetor. - To moi dziesiętnicy, Hlifjandi, Oswald, Braldo i Bakar. Zuchy na schwał.

Wojownicy Wingetora różnili się między sobą niczym dzień i noc, niczym rano i wieczór. Braldo był czarnoskórym olbrzymem, Bakar - szczupły, o żółtej skórze, skośnooki, Oswald - jasnowłosy, o grubo ciosanych rysach twarzy i zimnych niebieskich oczach, Hlifjandi zaś i z imienia, i wyglądu przypominał Hjarridiego. Od razu wpił się spojrzeniem w cichą Eowinę, a ta starała się trzymać możliwie blisko Folka.

Natomiast sam Wingetor był wytwornym mężczyzną około czterdziestki, szczupłym, żylastym, z ostrym jak klin podbródkiem. Po policzkach rozchodziła się cała sieć zmarszczek. Pod krzaczastymi brwiami kryły się przenikliwe szare oczy. Zupełnie nie przypominał wilka morskiego, raczej arnorskiego dworzanina z czasów ostatniego Namiestnika. Na stole przed

nim leżała dziwna broń, długa i szeroka klinga na półtorej dłoni, nieco podobna do hazskiej szabli, zatknięta na drzewcu o długości półtora łokcia, a zakończona przypominającym włócznię grotem. Środkowa część rękojeści była okuta żelazem. Morskie zuchy nie korzystały z takiej broni, choć coś podobnego widywał Folko w Annuminas - jeszcze przed jego upadkiem...

- Znasz Hjarridiego.

- Gratuluję, chłopie! Niedługo tanem będziesz. Jeszcze nas, starych, zakasujesz...

- To są moi przyjaciele - mistrz Folko, syn Hemfasta, mistrz Torin, syn Dartha, i Strori, syn Balina. Pochodzą z Północy.

Wingetor pokiwał głową. Jego uważne spojrzenie przemknęło po gościach.

- Krasnoludy! Nie sądziłem, że tu... Witamy, witamy!

Folko postanowił nie poprawiać tana. Niech sądzi, że on też jest krasnoludem.

- Ich towarzyszka, Eowina, wojowniczka z Rohanu przedstawił Farnak dziewczynę. Powiedział to bez cienia kpiny, bardzo serio i z szacunkiem. Ta zarumieniła się nieco, ale na lekki skłon głowy Wingetora odpowiedziała z prawdziwie królewskim dostojeństwem.

- Czyżby sławny Rohan tak mało miał mężczyzn, że wysyła na niebezpieczne wyprawy młode wojowniczki!? - zakrzyknął Wingetor, wpatrując się w Eowinę tak, jakby dopiero w tej właśnie chwili nagle wyłoniła się przed nim. Eldringowie uważali, że póki gość nie został przedstawiony, zwracanie na niego uwagi byłoby szczytem braku szacunku.

- Miałeś opowiedzieć nam o swojej wyprawie - przypomniał Farnak.

- O! Dawno już takiej nie odbyłem. Ruszyliśmy za południowe rubieże Haradu, za Góry Hlawijskie. Stanęliśmy na kotwicy, przecież wiesz - są tam bardzo dobre zatoczki, gdzie zawsze można było chwycić oddech. Ale okazało się, że w okolicy pojawili się jacyś nieznani nam wcześniej dwunodzy miłośnicy ludzkiego mięsa. Odparliśmy ich atak, lecz kosztowało to nas pięciu wspaniałych zwiadowców. Potem trafiliśmy na gaje palmowe, zatrute jakimś świństwem, dobrze przynajmniej, że zabijało toto od razu, bez męczarni - straciłem jeszcze dziesięciu ludzi.

- Poczekaj! - zaniepokoił się Farnak. - Zatrute gaje?!

- No tak! Owoce stały się trujące jak żmije błyskawki. Poszliśmy dalej. Przeprawiliśmy się przez Kamionkę i zamierzaliśmy się zatrzymać w Nardozie, popytać, co się dzieje w Haradzie Dalekim, a co ujrzeliśmy zamiast miasta?

Wingetor wytrzymał efektowną pauzę, właściwą szlachetnie urodzonemu arystokracie, wygłaszającemu ważne przemówienie, i Folko ostatecznie uwierzył, że ten człowiek znalazł się

w szeregach Morskiego Ludu tylko na zasadzie kaprysu wszechpotężnego losu. Opowiadający posługiwał się Wspólną Mową, mówił dobrze, ale z obcym akcentem, nieco nosowo takiej intonacji hobbit nie słyszał nawet w Cytadeli Olmera, gdzie Westron był zniekształcany niesamowicie.

- No i co? - zainteresował się Farnak, kryjąc uśmiech, bowiem dobrze znał ulubione sposoby na podtrzymywanie zainteresowania rozmówcy.

Z oblicza Wingetora zniknął uśmiech.

- Miasto zostało spalone. - Ton jego głosu brzmiał tak ponuro, że wszystkim wydało się, iż informuje co najmniej o rozpoczęciu Dagor Dagorrath. - Spalone do cna. Ulice zapchane szkieletami.

Farnak zbladł.

- Nie może być! - wykrzyknął Hjarridi.

- Może. A w okolicy rozpanoszyło się plemię jakichś pierzastorękich. Słyszeliście coś o takich?

Folko zacisnął pod stołem ręce. Oto i jest! Oto jest!...

Wymieniwszy spojrzenia, Farnak i Hjarridi pokręcili głowami.

- Najprawdziwsi pierzastoręcy, powiadani wam. Możecie popatrzeć, jeśliście ciekawi, jednego takiego przywiozłem tu żywego. We wszystkim jak normalni ludzie, ale na rękach, o, tu - przejechał po kancie dłoni i dalej, do łokcia i ramienia rosną im pióra. Co prawda, nie wszystkim, tylko wodzom. Pozostali mają jedynie ledwo widoczny kościsty grzebień.

- No, no! - zdziwiły się krasnoludy.

- Właśnie - no, no! My też tak... Gęby rozdziawiliśmy. A zanim zdążyliśmy zamknąć kłapaczki, oni powyciągali gdzieś spod brzegu ukryte tam łódki, i mieliśmy spore kłopoty. Walczyli jak szaleni i ani jeden się nie wycofał. Ich czółna szły burta w burtę, tak że nie widziałem wody. Zabijaliśmy setki ich, lecz i tak musieliśmy oddać zatokę. Ci pierzastoręcy walczyli nie za pomocą zwykłych mieczy czy włóczni. Nie! Na drzewce mieli pozakładane naostrzone łopaty, grabie albo widły! Jak wam się to podoba? A władają tą bronią niesłychanie zręcznie.

- Poczekaj, poczekaj! - Do Farnaka w końcu dotarła cała groza opowieści. - Powiadasz, że Nardoz spalony... a okolica? Przecież tam żyło niemało naszych!

- Wszyscy zginęli, chłopie - cicho odpowiedział Wingetor. W jego głosie nie było już słychać poprzedniej wesołości. Potrafił opowiadać o własnym niepowodzeniu pogodnie, ale gdy rzecz tyczyła innych...

- Nie ma już tam nikogo - powtórzył. - Pierzastoręcy opanowali całe wybrzeże od Kamionki do Milczących Skał... Posłuchajcie dalej! Po bitwie pod Nardozem przysiągłem sobie: zdechnę, ale dowiem się, co to za stworzenia i skąd się wzięły. Schwytałem jednego z ich wodzów, co nie było nawet takie trudne. Musiałem zarżnąć dziesięciu jego towarzyszy i nakarmić morskie stwory ich ciałami, zanim ten zaczął gadać i nauczyliśmy się rozumieć jego język. Zwie się Fellastr, opowiedział nam sporo ciekawych rzeczy, naprawdę sporo, choć będę musiał za to odpowiedzieć przed Morskim Ojcem, bo wyciągałem z pierzastorękiego wiadomości za pomocą rozżarzonych szczypiec... - Wingetor ze smutkiem pokiwał głową.

- Nie rozumiem - zdziwił się Farnak. - Torturowałeś jeńca, co w tym dziwnego? Wojna ma swoje prawa... Ja też torturowałem, zdarzało się. Nie poznaję cię!

Wingetor skrzywił się i opuścił wzrok.

- Dlatego że ów Fellastr, kiedyśmy go... hm... kiedy już dogadaliśmy się... wykrzyczał do swoich współplemieńców, co mu się przydarzyło, kim jesteśmy, jak zwą wodza porywaczy oraz gdzie i na kim on, Fellastr, będzie zemsty szukać.

- Jak to tak?! - nie wytrzymał Torin.

Wingetor ponuro zerknął na krasnoluda: - Sam ciągle pytam siebie, jak to możliwe. Podejrzewam mocne to podejrzenia! - że mój jeniec świetnie zna Westron, tylko ukrywa to umiejętnie. Ma też żelazną zaprawdę wolę. Sprawdzając go, głośno dyskutowałem z Oswaldem, jak lepiej postąpić z jeńcem - podsmażyć na wolnym ogniu, poćwiartować czy po prostu utopić - a ten pyszałek nawet nie mrugnął okiem, jakby to nie o nim była mowa! Myślałem, że nie rozumie, i dałem sobie spokój. Nie miałem jednak racji... A jak wszystko swoim przekazał... Wlekli się za nami przez cały czas. Wzdłuż brzegu po suwali się na swoich wielbudach, a gdy płynęliśmy - na łódkach. Nie atakowali, ale zdarzyło się, że byli całkiem blisko. A ten jakby ich wyczuł, gadzina! Zaczął wrzeszczeć, jak nie wiem co. W tych jego wrzaskach usłyszałem i „Umbar", i „Morski Lud", i „Eldringowie", i nawet - „tan Wingetor". Jak ci się to podoba?

- Mnie się to zupełnie nie podoba - wycedził przez zęby Farnak. - Byłeś w Radzie?

- No pewnie. Warty wzmocnione. Ale - czuje serce moje - to nie wystarczy! Musimy sami pójść na południe, dlatego że jeśli nie my pierzastorękich, to oni nas... A nie będzie to łatwe - wojowników tam mają tylu, co piasku na brzegu morza albo gwiazd na niebie...

- Wingetorze, Wingetorze... - zaczął Farnak. - Nie słyszałem, żebyś przemawiał jak targowy bajarz.

- Wcześniej nie przemawiałem tak - odparował sucho rozmówca. - I sam się śmiałem z

podobnych opowieści. A teraz trzeba będzie inaczej. Ponieważ na brzeg wyprowadzali oni potworne tłumy, rozumiesz, Farnaku - tłumy! Na trzydzieści mil stał zwarty szyk. Jak ci się to podoba? Myślisz, że Wingetor na starość zwariował i nie zamierzał pomścić towarzyszy? Akurat! Ale sam położyłbym swoich ludzi, gdybym spróbował przybić do brzegu. Pierzastoręcy wspaniale posługują się zapalającymi strzałami, zapewniam cię.

Chciwie przylgnął do kubka z piwem.

- Ale uciekłem im!... I nawet wylądowałem na brzegu!... W nocy, tam, gdzie mnie nie oczekiwali. Przeszedłem prawie sto dwadzieścia mil od morza. Spaliłem trzydzieści wiosek. Chciałem znaleźć ich słaby punkt. I znalazłem go. Znalazłem, rozumiesz? - Walnął kubkiem w stół.

Wszyscy zamarli.

- Oni się boją - oznajmił ponuro Wingetor. - Niezliczony, niezwyciężony naród śmiertelnie boi się jakiejś koszmarnej istoty, żyjącej gdzieś na wschodzie, nad jeziorem Sohot.

- Nad jeziorem Sohot? - zdziwił się Hjarridi. - Przecież tam zawsze zamieszkiwały pokojowe plemiona... I nie było nikogo więcej...

- To teraz już jest. Tam, gdzie się kończą Góry Szkieletów i las dochodzi do jeziora - tam żyje jakaś moc, która wypędziła pierzastorękich z ich starych włości i spowodowała, że stali się - niestety! - naszymi najgorszymi wrogami. Ta moc pędzi ich stale na północ. Wkrótce natkną się na Harad. Co się wtedy stanie - strach pomyśleć, ponieważ ci, którzy nie mają piór na rękach, są dla nich zwierzyną. Rozumiesz, Farnaku? Zwierzyną, niczym więcej! A ze zwierzętami nie prowadzi się rozmów, nie zawiera sojuszy i nie wymienia się jeńców. Albo my ich, albo oni nas. To właśnie chciałem wyjaśnić Radzie, ale chyba nie zdołałem jej przekonać. - Wingetor uśmiechnął się pogardliwie. - Przecież pierzastoręcy nie obozują jeszcze pod murami Umbaru. Chociaż dano mi wiarę, nie powiem, szczególnie kiedy pokazałem im jeńca. Jedyny, który zaniepokoił się tak naprawdę - to Skilludr.

- Aż tak? - Hjarridi był nieprzyjemnie zdziwiony, Farnak uniósł brew. Co się tyczy Folka i krasnoludów, to na razie woleli słuchać. Hobbit patrzył na Wingetora jak zaczarowany, Torin i Malec, widząc zainteresowanie swego druha, słuchali równie uważnie. Potem przedyskutują razem całą sprawę.

- Właśnie tak. Wydał chyba wszystko swoje złoto. Zebrał armadę - co zdarzało się tylko w przeszłości, i poszedł na południe. Sam, jak zawsze. Piętnaście tysięcy ludzi z nim.

- On sam zmontował taką wyprawę? - nie mógł uwierzyć Farnak.

- Tak. Przecież powiedziałem. Chyba cały swój majątek puścił.

- I co?

- Na razie nie ma wieści. Ale, ale! Nie zechcą moi szlachetni przyjaciele na własne oczy zobaczyć jeńca? Mam go tuż obok...

- Będziemy zaszczyceni! - wyskoczył przed wszystkich Folko.

Towarzysze Wingetora, którzy podczas całej rozmowy nie wypowiedzieli ani jednego słowa, wstali i nadal milcząc ruszyli za swoim panem.

Dom, w którym ulokowano ważnego jeńca, był prawdziwą twierdzą. Przez wąskie niskie drzwi musieli się przeciskać zgięci we troje. Dalej korytarz prowadził zakolami. W świetle mętnych lampek oliwnych hobbit widział gęsto rozmieszczone strzelnice na styku ścian i sufitu. Nieprzyjaciela, który wtargnąłby do budynku, czekała niechybna śmierć.

Wewnętrzny dziedziniec, odgrodzony od wiodącej na ulicę jaskini - nie da się tego określić inaczej! - żelazną bramą i kilkoma opuszczonymi kratami, zadziwiał wspaniałością pełnego aromatów ogrodu. W kadziach rosły niewidziane nigdy przez hobbita palmy różnych gatunków, a w sztucznym strumieniu drapieżnie poruszało mackami drzewo- rybołów. Fruwały pstre ptaki, specjalny sługa zajmował się ich karmieniem. Oswald, idący na czele, wykonał tylko jeden gest i cała czeladź zniknęła jak za podmuchem wiatru.

- Proszę tędy. - Wingetor pchnął przeciągle skrzypiące drzwi. Otworzył się widok na kamienne, spiralne schody prowadzące gdzieś w dół. Oswald wyjął z pierścienia w ścianie pochodnię i ruszył przodem.

- Zostało to zbudowane solidnie, na lata - pochwalił Torin, zerkając na masywne mury i sklepienia.

- Ha! Kiedy Gondorem władali Morscy Królowie, to w tym kraju potrafili budować! - krzyknął tan.

Spiralne schody doprowadziły ich do korytarza, niskiego i szerokiego, który okazał się głównym traktem podziemnego więzienia - niewielkiego, ale bardzo mocnego i pewnego. Czterech wielkich strażników wyprężyło się na widok pana.

- Nic się nie dzieje, tanie! - zameldował dowódca warty.

- Weź pochodnię, Andraście, i chodź z nami.

Jeniec znajdował się w najodleglejszej celi, niemającej nawet najmniejszego okienka. Wingetor odpiął od pasa ciężki klucz, otworzył drzwi. Strażnicy, nie czekając komendy, obnażyli miecze.

- Oto macie, napatrzcie się. - Tan wskazał żywą zdobycz.

Folko wpił się wzrokiem w postać. Najpierw zobaczył jakieś monstrum, tak dziwna i

znaczna była różnica między masywnym ludzkim torsem i rękami- skrzydłami, których nie powstydziłby się nawet któryś z orłów Manwego. Dopiero przyjrzawszy się uważniej, dostrzegł, że ręce jeńca są normalnej długości, zwyczajne, ludzkie, co prawda nieco szczuplejsze i słabsze, jeśli porównać je z torsem i wspaniale rozwiniętymi mięśniami nóg. Od ramion otaczały je ciemnopurpurowe pióra. Mogło się wydać, że to jakieś karnawałowe przebranie, jednakże pióra wyrastały prosto z rąk, jak włosy czy paznokcie u zwykłych ludzi.

Biodra pierzastorękiego okrywała brudna opaska. Skrzyżowawszy na piersiach ręce-skrzydła, jeniec patrzył w przeciwległą ścianę, umyślnie ignorując przybyszów. Szlachetne, przypominające kobiece rysy pociągłej twarzy można by uznać za ładne, gdyby nie nos, zgięty jak dziób drapieżnego ptaka. Wąskie wargi zaciśnięte były w pogardliwym grymasie.

- Oto, macie przystojniaczka - wskazał Wingetor. - Tak sobie stoi. Nie je, a od dwóch dni też nie pije. Pewnie postanowił umrzeć. Ale to mu się nie uda. Będziemy go karmić siłą!

Fellastr nawet nie drgnął.

- Dumny jaki. Ale nic to - raz się odezwał, to i teraz nie wykpi się milczeniem.

Folko uważnie przyglądał się więźniowi. Teraz bardzo by się przydała przenikliwość Drzewobroda. W spojrzeniu jeńca widział, może niepewnie i niewyraźnie, ale widział - ślady dziwnego szaleństwa, w jakiś sposób podobne do tego, które niekiedy dostrzegał we wzroku Eodreida.

Wingetor zaczął mówić, zwracając się do jeńca, w dziwnym, pełnym kląskających dźwięków języku. Pierzastoręki nie odwrócił nawet głowy.

- Na razie milczy. - Gospodarz rozłożył ręce. - Ale dzisiaj się nim zajmę. Rozgada się, bądźcie pewni.

- A... Hm... No tak - Folko z trudem oderwał spojrzenie od Fellastra, przypomniawszy sobie, że obowiązki związane z poselstwem, czy się tego chce, czy nie, należy wykonywać. A czy moglibyśmy z czcigodnym Wingetorem porozmawiać o jeszcze jednej sprawie, też nadzwyczaj ważnej i, jestem przekonany, dość korzystnej dla potężnego tana!...

- No to chodźmy na górę.

Wyszli na wewnętrzne podwórko.

- Eowino! - Folko odwrócił się do dziewczyny. - Musisz tu poczekać. Król Eodreid wysłał nas w sekretnej misji... i nie wolno ci słuchać, o czym rozmawiamy.

- Może moi słudzy potrafią zabawić wojowniczkę Rohirrimów? - ukłonił się z szacunkiem Wingetor, dając znak czeladzi. - Mam tu niespotykane kamienie i kwiaty, rzadkich gatunków ptaki i zwierzęta...

Dobre, a nawet dystyngowane maniery gospodarza bardzo różniły się od dość prostego, by nie rzec obcesowego traktowania hobbita i krasnoludów przez Farnaka i Hjarridiego. Folko nie potrafił się powstrzymać, by nie zadać pytania:

- Niemało miałem do czynienia z Morskim Ludem, ale...

- Ale nigdy nie spotkałeś podobnych do mnie, tak? - roześmiał się Wingetor. - Racja! Dlatego, że pochodzę z Gondoru. Moja rodzina długo żyła w Minas Tirith - jako zakładnicy korsarzy Umbaru jeszcze przed Wojną o Pierścień. Nasza krew zmieszała się z gondorską, a ja też niemało czasu tam spędziłem... Kiedy nadszedł odpowiedni czas, ponownie stałem się tym, czym powinienem był być - morskim tanem, przywódcą wolnej drużyny.

Folko z szacunkiem ukłonił się, dziękując uprzejmemu gospodarzowi za szczerość.

Same pertraktacje nie zajęły dużo czasu.

- Możesz nie kończyć. - Wingetor uniósł dłoń, nawet nie patrząc na listy uwierzytelniające króla Eodreida. - I tak świetnie wiem, z kim zetknął mnie Morski Ojciec. Wasze imiona, przyjaciele moi - mam nadzieję, że pozwolicie się tak nazywać? - znane są daleko za granicami Arnoru i Gondoru. Szczegóły wojny o przywrócenie do życia Rohanu długo były roztrząsane wśród morskich tanów. Wasze imiona padały tam często. Wierzę wam bez żadnych listów i skoro król Eodreid proponuje tak sowitą zapłatę, bez wahania podpiszę z wami umowę. Radzę też, byście porozmawiali z Amlodim i Grottim. To doświadczeni wojownicy, a i obaj są tu teraz. Każdy ma po pięć setek mieczy. Sądzę, że z powodu pierzastorękich musimy zatroszczyć się o pewniejsze niż Umbar schronienie na północy... Z tymi szalonymi południowcami przyjdzie nam i tak walczyć, ale przewidujący wódz zawsze ma dokąd się wycofać w razie niepowodzenia...

- No, to nasze poselstwo, możemy tak uważać, zostało spełnione - zauważył Torin, gdy przyjaciele urządzili się w zajeździe. Eowina zmęczona podróżą i wycieczką do miasta spała kamiennym snem, a Folko i krasnoludy siedzieli w sąsiednim pokoiku, walcząc z wędzonym kurakiem. - Policzmy. Farnak - siedemset mieczy, Swaran - trzysta, Oria - tysiąc, Hjarridi - dwieście, Wingetor - sześćset, to daje dwa tysiące osiemset; a jeśli jutro zgodzą się Amlodi i Grotti, to będzie już trzy osiemset. Dobrze byłoby znaleźć jeszcze jednego i... i już!

- Ale nic nie wyjaśniliśmy - mruknął Malec.

- Bo i nie wyjaśnialiśmy nic - odparował Folko. - Jakbyśmy jutro skończyli, to wtedy...

- Co „to wtedy”? Wiesz przynajmniej, czego chcesz szukać? - podskoczył Mały Krasnolud. - Człowieka, elfa, krasnoluda, orka? Miejsce, przedmiot, zjawisko? Co? Możesz nam wytłumaczyć?

Hobbit wolno pokręcił głową:

- Po historii z Olmerem przywykłem wierzyć we własne przeczucia i obawy, Mały. A teraz się boję. I jeszcze bardziej dlatego, że nie wiem, czego właściwie powinienem się bać.

Strori skrzywił się z niezadowoleniem i włożył do ust całe udo kury.

- Muszę trochę się rozejrzeć... popatrzeć... pomyśleć... ciągnął hobbit.

- A twoje amulety, talizmany to co? - nie ustępował Malec.

- To nie są lampki oliwne! Przysuniesz ogień - hop i płonie! Nie wystarczy sama chęć! I w ogóle, czy ty uważasz, że mnie się bardzo podoba siedzenie tutaj, w Umbarze?! Myślisz, że nie wolałbym się stąd wynieść? Żeby tak się stało, zrobię wszystko, co w mojej mocy! - Dla nadania wagi swoim słowom Folko huknął pięścią w stół.

13 Lipca, Umbar

Rankiem przybył goniec od Farnaka. Jego ludzie odnaleźli Amlodiego, Grottiego i jeszcze jednego tana, Fridleiwa, którego dobrze znał sam tan Farnak. Trzeba było pójść na spotkanie, zakończyć rokowania dotyczące wynajmu floty.

- Eowino! - Mały Krasnolud walił do drzwi jej pokoiku. Wstawaj, obiboku!

Ranek w Umbarze to rzecz wspaniała. Delikatny morski wiatr, szmaragdowe niebo, ciepło, ale jeszcze nie upał. Na ulicach tłumy, ludzie śpieszą się, chcąc zakończyć swoje sprawy przed nadejściem południowego skwaru...

Folko z przyjaciółmi nie zdążyli nawet minąć dwóch przecznic, gdy przyczepił się do nich jakiś przysadzisty ciemnoskóry Haradrim. Na hobbita i pozostałych runęła lawina szybko wyrzucanych słów. Mężczyzna nerwowo gestykulował, wywracał białkami oczu, uderzał siebie w policzki, usiłując coś przekazać. Przysłany przez Farnaka Eldring próbował odepchnąć bezczelnego typa, ale ten błyskawicznie wyszarpnął spod zwojów szarego chałatu połyskującą złotem płytkę, pokrytą jakimiś znakami. Wojownik Farnaka pochylił się nad nią, a gdy po chwili się wyprostował, jego oblicze wyrażało z trudem hamowaną wściekłość.

- Ten śmierdzący wypełzek, zrodzony tylko z powodu chwili nieuwagi Morskiego Ojca, jest głównym dostawcą niewolnic i nałożnic na dwór jego wysokości władcy Haradu - powiedział wojownik łamiącym się z gniewu głosem. - On ma... ten... placet Haradu...

- No to co? - Malec chwycił się pod boki i położył rękę na rękojeści szabli tak, by wszyscy to widzieli. Mały Krasnolud miał wielką ochotę na małą szamotaninę.

- To... że ten pożeracz padliny bardzo prosi was, czcigodni... hm... byście... - Oczy wojownika błysnęły. - Jednym słowem - chce kupić wojowniczkę Eowinę!

Bęc! Pięść Malca wbiła się w podbródek Haradrima, zanim ktokolwiek zdążył się odezwać. Handlarz niewolników wzleciał w powietrze i padł ciężko na plecy, śmiesznie zadzierając nogi w dziwacznych, drogich sandałach. Zwalił się na jezdnię jak wór z gnojem i nawet nie drgnął.

- Mały! - ryknął Torin.

- Żyje. - Folko dotknął gardła Haradrima. - Tylko zębów ma jakby mniej...

Grubas leżał na plecach i nie dawał znaku życia.

- Nie chciałem go... - tłumaczył się Malec, spoglądając na rozgniewanego Torina. - Samo tak wyszło...

- Nie mogłeś poczekać? Potem byśmy go w ogóle zatłukli!

- A dlaczego niby miał czekać? - oburzyła się Eowina. Czy można czekać, kiedy ktoś obraża wojowniczkę Rohanu?! Dziękuję ci, czcigodny Strori!

I, niespodziewanie objąwszy zaczerwienionego krasnoluda, mocno pocałowała go w usta.

Eldring odkorkował wiszącą u pasa manierkę i chlusnął wodą na twarz Haradrima. Ten jęknął i podniósł głowę. Wojownik Farnaka rzucił doń kilka ostrych krótkich słów w języku Południowych Ziem.

Na zakrwawionym obliczu handlarza niewolników pojawił się złośliwy uśmiech. Ponownie uniósł swój placet i coś piskliwie wykrzyknął. Obok nich zebrał się spory tłumek - wyłącznie Haradrimowie.

- Do broni! - rzucił Eldring. - Obnażcie miecze, te psy muszą stchórzyć...

Mgnienie oka później przed osłupiałymi Haradrimami wzbiła się w powietrze ściana stali. Mały Krasnolud nie przepuszczał okazji do pokazania swego słynnego wachlarza. Ciemnoskórzy odsunęli się. Grubas wstał, jęknął płaczliwie, rzucił kilka słów do swoich ziomków i kuśtykając opuścił miejsce potyczki, przycisnąwszy do gęby połę swego chałata.

- Chodźmy stąd! - Przewodnik miał ponurą minę. - Nie inaczej, jak narobiliśmy sobie kłopotów... Na pewno pójdą na skargę do Rady... A w Radzie takie psy z placetami rej wodzą...

- No to co? - wzruszył ramionami Folko. - Pierwszy zaczął.

- Zaczął, zaczął... On nie zaczął, bo tylko chciał kupić kobietę, tak? A kobiety u nich są uważane nie za ludzi, takie tam - bydło dwunogie! - Wojownik zaklął przez zaciśnięte zęby. Natomiast w Umbarze ważne są ich prawa... których on nie złamał, proponując kupno Eowiny...

- No to szkoda, żem go nie przebił na wylot - pożałował Malec.

- Obawiam się, że słono byś za to zapłacił, bracie krasnoludzie - pokiwał głową Eldring. - Wypędziliby cię z Umbaru co najmniej, a może i sprzedali Haradrimom do kopalni... Opowiadają ludzie, że nawet krasnoludy wytrzymują tam najwyżej trzy miesiące.

- Co się stało, to nie odstanie - rozłożył ręce Torin. W najgorszym razie zapłacimy temu psu. Złoto mamy.

- Dobrze, jeśli to wystarczy...

Ruszyli w dalszą drogę.

Dziwnie cicha Eowina szła teraz w środku, między Torinem i Malcem. Otwierał pochód wojownik Farnaka, Folko osłaniał tyły oddziału. W takim szyku dotarli do oberży, w której

wczoraj spotkali się z Wingetorem.

Folko i pozostali już na nich czekali. Przewodnik krótko przekazał istotę zajścia. Eldringowie w milczeniu wymienili spojrzenia.

- Musicie szybko stąd uchodzić - powiedział basem Grotti, prawdziwy olbrzym, mający siedem stóp wzrostu i ramiona jak u Torina. - Zresztą, na co macie czekać? Sprawa chyba zakończona. My się zgadzamy. Co wy na to, tanowie?

- Opowiedziałem im, tak pokrótce, o co chodzi - wyjaśnił Farnak.

Pozostali Eldringowie kiwali głowami.

W sumie udało się podpisać umowy na cztery tysiące trzystu wojów.

- Więcej chyba nawet nie trzeba - zauważył Farnak. Ziemi nie ma aż tak dużo... Jak zbyt wielu będzie do podziału...

- Cztery z hakiem tysiące, nie za mało to? - zapytał Torin. - Ta wojna to nie żarty!

- My też nie zamierzamy żartować! - huknął basem Grotti, a szklane naczynia rozbrzęczały się. - Uderzymy nie gorzej niż hird, zobaczycie!

- Nie wątpię, nie wątpię - zapewnił Folko rozgorączkowanego tana. - Jeśli wszystko pójdzie według planu...

- Czyżbyś nie wiedział, że każdy plan jest dobry tylko do pierwszej bitwy? Potem wszystko od nowa trzeba wymyślać uniósł brwi Farnak.

- Wiem, wiem - zgodził się Folko. - Ale to jest szczególny przypadek. Ryzykujemy przegraną, jeśli wszystko nie będzie wykonywane szybko i dokładnie jak trzeba...

Gdy rozmowy skończyły się, umowy zostały podpisane i tanowie ruszyli zbierać swoje drużyny, Folko i krasnoludy zatrzymali się w oberży.

- Zadanie wykonane. - Hobbit zmęczonym ruchem przetarł czoło. - Wypełniliśmy polecenie króla. Ale czy ta wojna wyjdzie Rohanowi na dobre, czy na złe? Nawet zwycięska?

- Na złe? - Eowina zrobiła wielkie oczy. - Jak może zwycięstwo obrócić się na złe?

- Lepiej o tym nie myśl - poradził nachmurzony Torin. Ani on, ani Malec nie tknęli nawet piwa. - Jakoś szybko i gładko poszło nam, tu, w Umbarze! Ani dzień nie minął, a flota już najęta.

- Tak, zostało nam tylko... - zaczął Malec, ale koniec zdania zagłuszył trzask kruszonego drewna i wściekłe, niezrozumiałe wrzaski.

Drzwi oberży wypadły z zawiasów. Do pustawej obszernej sali wpadł tłum wrzeszczących Haradrimów. Jedni wymachiwali krótkimi mieczami, inni wlekli sieć...

- Klnę się na Duri... - Torin zdążył poderwać się na równe nogi, a zaraz potem na

czwórkę przyjaciół runął tłum ciemnoskórych mieczników. W ich szeregach pojawiła się i zniknęła tłusta morda handlarza niewolników. Szczękę miał podwiązaną brudną szmatą.

- Aaagch! - ryknął Malec nie gorzej od tłumu napastników. - No to się wreszcie porządnie zabawimy!

Folko obnażył miecz, zasłaniając sobą przerażoną Eowinę.

Przyjaciele zostali otoczeni na samym środku sali. Haradrimowie zaopatrzyli się w mnóstwo arkanów i lin, żaden z nich nie był na tyle głupi, by pakować się w zasięg kling krasnoludów. Najpierw spróbowali użyć sprzętu do chwytania i pętania.

- Przebijamy się! - rzucił rozkaz Torin, obracając toporem nad głową. - Folko, osłaniaj dziewuszkę!

Jednakże Eowina wcale nie zamierzała poprzestać na byciu „osłanianą". Wyszarpnąwszy lekką krótką szablę, na łeb na szyję pognała za Torinem.

- Dokąd?! - ryknął na całe gardło Malec.

Dziewczyna omal nie podeszła mu pod cios ostrza.

Torin tymczasem wbił się w tłum Haradrimów jak odyniec w stado psów. Pierwszy ruch topora przeciął wroga od ramienia do pasa, chlusnęła krew, dokoła krasnoluda powstała pusta przestrzeń. Folko, sparowawszy wraży miecz, skoczył za Eowiną, usiłując zatrzymać ją, ale za późno. Wzbiły się w powietrze sieci, mgnienie oka potem dziewczyna została omotana, a wijący się kokon natychmiast został odciągnięty i zniknął za tylnymi szeregami Haradrimów.

Torin, Malec i Folko rzucili się w pościg. W wypróbowanym ustawieniu, ramię przy ramieniu, uderzyli w sam środek nieprzyjacielskiego szyku; jeden z napastników upadł, trafiwszy pod cięcie miecza hobbita, ale tak w ogóle, to Haradrimowie nie zamierzali stawiać oporu. Jednocześnie odwróciwszy się, próbowali uciekać. W drzwiach tawerny natychmiast powstał korek.

- Tnij!!! - wrzasnął Torin. Zachlapany krwią krasnolud walił z prawa na lewo i z lewa na prawo. Haradrimowie, wrzeszcząc cienko i przenikliwie, uskakiwali na boki, usiłując wydostać się z pułapki; Folko i krasnoludy, niemający dziś na sobie mithrilowego rynsztunku, rozrzucili na boki skłębiony przed drzwiami tłum, wypadli na zewnątrz - ale po grubym handlarzu ani po uwięzionej Eowinie nie było już śladu.

Zwabieni hałasem i krzykami, zbiegali się uzbrojeni Eldringowie. Po chwili w zaułku rozgorzała potyczka. Usiłujący uciec Haradrimowie wpadali na palisadę z mieczy, ale broni nie opuszczali, walczyli jak szaleni, jak zapędzone w ślepą uliczkę szczury. Morskich wojowników nie było wielu i kilku napastnikom udało się wyrwać z okrążenia.

- Hej! Czcigodni, co się tu dzieje? - dały się słyszeć ze wszystkich stron pytania, gdy potyczka się skończyła. - Co ich ugryzło?

Nie było kogo przesłuchiwać - ci, którzy zdołali, uciekli, pozostały tylko trupy i kilku rannych, ale oni lada moment mieli wydać ostatnie tchnienie.

- Porwali naszą wojowniczkę! - krzyknął Folko. - Dziewczynę ze złotymi włosami. Tę z Rohanu!

- Porwali?! Z Rohanu?! - rozległy się pełne oburzenia głosy. Tłum Eldringów szybko rósł, już ich tu było ponad trzydziestu. - Do bramy! Szybko! Wybijemy te psy!!!

Złowieszczo pobrzękując bronią, biegli przez wąskie uliczki w kierunku rogatek miasta. Folko pomyślał, że należało ściągnąć tana Farnaka i resztę... Ale za późno było, za późno, już nic nie dało się zrobić.

Ulice przed rozjuszonym tłumem błyskawicznie pustoszały, jakby poprzedzał ich jakiś magiczny taran. Po drodze dołączali do nich wciąż nowi i nowi Eldringowie; sądząc po tym, Haradrimowie nie byli tu kochani; po kilku słowach wyjaśnienia, o co chodzi, wojownicy chwytali za miecze i dołączali do pościgu.

Wychodzące na pustynię mury Umbaru niemal nie ustępowały bastionom Annuminas. Dumne i nieprzystępne, z milczącą wzgardą patrzyły na zgrupowane u swych stóp domki. Szeroka brama była otwarta na oścież, straż drzemała. Haradrimowie nie płacili myta.

Folkowi i jego towarzyszom nie poszczęściło się. Akurat w tym momencie do bramy podeszła karawana, juczne zwierzęta całkowicie zablokowały przejście.

- Hej, z drogi tam! Niech was Hrugnir!... - Torin, trzymając topór w ręku, rzucił się do poganiaczy. Strażnicy osłupieli, widząc rozjuszonego krasnoluda, za którym waliło pięćdziesięciu uzbrojonych po zęby Eldringów, z obnażoną bronią.

- Co to za awantura?! - ryknął dziesiętnik.

- Czy przed tą karawaną opuszczał ktoś miasto?! - rzucił Folko, powstrzymując Torina, który, jak się wydawało, gotów był w tej chwili do zwady z byle kim.

- Opuszczali, jakże nie, opuszczali! Haradrimowie, było ich półtora dziesiątki. Bez bagaży. Tylko jeden tobół chyba mieli. A pędzili, jakby sam Morski Ojciec ich ścigał.

Folko jęknął. Nieźle się sprawili - trójka doświadczonych wojowników, którym sprzed nosa ukradziono dziewczynę! Wstyd, hańba! I co się teraz stanie z biedną Eowiną?!!

Tłum Eldringów za plecami przyjaciół huczał podniecony.

- Zhardzieli ci Haradrimowie do cna! Nigdy nic takiego się nie zdarzało!

- Zaiste - poszaleli!... W biały dzień taka napaść?

- Zwierzęta! Ech, szkoda, że swego czasu Gondor ich nie...

- Hej, czcigodni, a co się stało, może wyjaśnicie mi? - Zaniepokojony dziesiętnik patrzył na tłum.

- Porwali dziewczynę przed chwilą - rzucił Malec. - I, o ile dobrze rozumiem, wywieziono ją z miasta... Trochę się posprzeczaliśmy...

- Co tam gadać, trzeba wyrżnąć całą tę bandę! - wrzasnął ktoś z tłumu. - Za dużo mają tu władzy! Gdziekolwiek się obrócisz w naszym pięknym Umbarze - wszędzie oni rządzą. A teraz to już zbiesili się - porywają nasze kobiety w biały dzień! Co się dzieje, bracia Eldringowie?!

- Tak jest! Słusznie prawi! - rozległy się głosy. - Chodźmy i skubnijmy ich! Niech wiedzą...

W powietrzu niemal wyczuwało się pogrom. Dziesiętnik wodził wzrokiem od Folka i krasnoludów do tłumu i z powrotem.

- Stójcie! - krzyknął Folko, wskakując na bardzo przydatny w tej chwili antałek. - Czy wyście aby nie poszaleli? Co jest winna reszta? Trzeba znaleźć porywaczy, a nie mścić się na niewinnych! Słyszycie mnie?!

Jego słowa podziałały jak kamienie na wzburzone morze. Błyszczały obnażone klingi; Eldringowie już nikogo nie słuchali, chyba nawet zapomnieli, co ich sprowadziło pod bramę.

- Zbiesili się, jako żywo, zbiesili - usłyszał hobbit szept Torina.

Ze dwudziestu ludzi naparło na haradzkich handlarzy i już ktoś uderzył rękojeścią szabli w twarz bezbronnego poganiacza. To stało się sygnałem. Rozległ się przeraźliwy wrzask „Bij!" i nad głowami zamigotała stal mieczy. Handlarze też nie wypadli sroce spod ogona - wyszarpnęli z tobołów ukryte tam szable.

Dziesiętnik w końcu pojął, co się dzieje, zrozumiał, że na powierzonym mu odcinku za chwilę zacznie się bój, i z całej siły wrzasnąwszy „Alarm!", rzucił się do rozdzielania gotujących się do walki. Folko, Torin i Malec pośpieszyli mu na pomoc.

Wyćwiczonymi ruchami odrzucając miecze ogarniętych szałem ludzi, Folko chcąc nie chcąc przypomniał sobie polną miedzę w Amorze i spokojną jesień, kiedy on, całkiem jeszcze młody hobbit, wraz z Torinem i Rogwoldem (ach, nie ma już Rogwolda, a jaki był z niego człowiek!...) przemierzali Arnor...

Szaleństwo, na szczęście, nie ogarnęło jeszcze wszystkich Eldringów. Odepchnąwszy najbardziej rozjuszonych, udało się stłumić rozpalającą się bitewną wściekłość. Haradrimowie mieli tylko kilku lekko rannych.

- Przepuśćcie nas! - krzyknął hobbit do rosłego wojownika w bogatej, haftowanej

purpurą i złotem pelerynie, wyraźnie dowodzącego tu. Trzymając w ręku cienką wygiętą szablę, roztrącając zaskoczonych poganiaczy, przepychał się on do miejsca potyczki.

- Hej, co się stało, dziesiętniku? - gardłowo wykrzyknął Haradrim. - Dlaczego?...

Mówił we Wspólnej Mowie czysto, bez śladów obcego akcentu.

- Dlaczego, dlaczego? - ryknął Eldring. - Dlatego, że twoi rodacy porwali dziewczynę! I wywieźli ją tuż przed tobą, Zalbulu! No to się nasi rozjuszyli... Bierz lepiej nogi za pas i wynoś się stąd, bo cię rozszarpią na strzępy!

Wspaniały biały pióropusz na wysokim hełmie Haradrima zakołysał się - przecząco - na boki.

- Odejdę, jak zawsze, a „nogi za pas" biorą tylko szakale, kiedy widzą lwa. Pamiętaj, dziesiętniku, że zamelduję o twojej bezczelności wysokiemu władcy Haradu! Czy może nie wiesz, że jestem Zalbul, dostawca dworu?!

Folko dałby sobie rękę uciąć, że stojący przed nimi Haradrim bardziej przyzwyczajony jest do kierowania w boju hufcami wojowników niż do prowadzenia kupieckich karawan.

- Na Młoty Morii! Po co marnujemy tu czas! - rozdarł się Malec.

- Nie dogonimy ich - stwierdził ponuro Torin. - Kuc nie dogoni konia.

- Musicie lepiej pilnować swoich niewolnic - rzucił kpiąco Zalbul.

Złość owładnęła Malcem niczym ogień pękiem słomy. Niewiele myśląc, użył pięści.

- Mały!! - ryknął Torin, któremu w ostatniej chwili udało się przechwycić pięść przyjaciela. - Nie dość mamy kłopotów, że jeszcze chcesz tu robić rzeź?!

Za ich plecami zgromadzili się Eldringowie gotowi w każdej chwili rzucić się na Haradrimów. Ci zdążyli się uzbroić, ale dwudziestu wojowników z lekkimi szablami ochraniających karawanę raczej nie miało szans w starciu z dobrą setką doświadczonych wojów, z których połowa, mimo upału, nie rozstała się z kolczugami.

- No, tak lepiej - wyniośle rzucił Zalbul. Odwróciwszy się z pogardą plecami do Folka i krasnoludów, umyślnie wolno ruszył w kierunku karawany porządkować szyki. Zwierzęta jedno po drugim ruszyły przez bramę, kierując się na pustynię.

- Ach, co za nieszczęście. - Dziesiętnik zaczął drapać się po głowie, kiedy Folko w kilku słowach przekazał mu szczegóły wydarzeń. - My tu na posterunku nie mamy nawet koni, żeby ruszyć w pościg...

Przyjaciele milczeli, wracając od bramy miasta. Kierowali się do portu, chcąc odszukać Farnaka. Malec najpierw klął, na czym świat stoi, ale po jakimś czasie i on zamilkł. Dopiero w porcie hobbit nie wytrzymał:

- Och, przecież wam mówiłem...

- Odszukamy ją - rzucił z ponurą determinacją Torin. Pójdziemy do Haradu i odszukamy ją. Jak myślisz, Strori?

- Odszukamy, odszukamy... - warknął Mały Krasnolud, jednak bez zwykłej zuchowatości. - Jeśli będzie to miłe Machalowi...

- Od kiedy to Machala prosisz o przychylność? - uśmiechnął się krzywo Torin. - Nie, jeśli sami sobie nie poradzimy, to nikt nam nie pomoże. My, jak i ty, Strori, jesteśmy winni, poradziliśmy Folkowi zabrać Eowinę ze sobą, to znaczy, że przede wszystkim my za nią odpowiadamy. I pójdziemy do Haradu...

O dziwo, Malec nie sprzeczał się. Skinął tylko głową.

- Farnak poprowadzi flotę bez nas. Wyślemy do króla Eodreida list... - zaczął Torin.

- Jasne, a on uzna nas za zdrajców! - rzucił Malec.

- No to niech uzna. Mam to w nosie. Dziewczynę trzeba odbić, a łaska króla... Jakoś to przeżyjemy.

Folko przemierzał zakurzone umbarskie ulice, a przez głowę przelatywały mu jakieś dziwne myśli, nie tylko dotyczące biednej Eowiny. Szaleństwo, niebezpieczne i niepojęte, rozpełzało się po Śródziemiu i zatruwało wszystkich jednako Eodreida i Skilludra, Eldringów i Haradrimów... Pierzastoręcy, nie wiadomo skąd i po co przybyli na wybrzeże... Szczęście, że, jak na razie, przynajmniej ani on, ani krasnoludy nie doświadczyli tego, co się stanie ze Śródziemiem, gdy owa trucizna przeniknie w dusze wszystkich jego mieszkańców, od północnych lodów począwszy, do południowych złotomrocznych pustyń.

I znowu, jak w czasie pamiętnego pościgu za Olmerem, pogoni za Pierścieniem Mroku, Folko całą duszą odczuł złowrogi napór obcej, straszliwej siły. Wrogiej Mocy, nieważne, jakie szaty przyobleka - Światła czy Mroku...

Drgał w pochwie obudzony tą siłą sztylet Otriny.

Uratujemy dziewczynę. Jestem tego pewien. Król Eodreid rzeczywiście będzie musiał obejść się bez nas...

W myślach podążył za Eowiną, wołał ją, próbując odszukać w przestworzach piaszczystego morza żywą drobinkę - ale nie, nie starczyło sił, a poza tym, trudno było skoncentrować się, będąc w tłumie na umbarskiej ulicy.

Farnaka twarz stała się ciemniejsza od chmury gradowej. Hjarridi długo i kunsztownie sypał przekleństwami.

- Więc jak możemy wam pomóc? Jesteśmy przygotowani do odpłynięcia... Nie

będziemy przecież wysyłali armii do Haradu! - ze złością rzucił stary sternik.

- Armii nie trzeba - odezwał się Malec. - Ale my pójdziemy. Popłyniecie bez nas...

- Włazić w takiej sile do Haradu to samobójstwo! - wypalił Hjarridi. - Co możemy zdziałać we trójkę?

- A co zdziała setka czy nawet tysiąc? - odparował Mały Krasnolud. - Nie, tu trzeba, jak Folko do Mordoru - albo olbrzymią siłą, albo w pojedynkę...

Farnak skinął głową:

- Nie będziemy was pouczali. Jak zdecydowaliście, tak będzie. Poprowadzę flotę do Tharnu. Tam się spotkamy z królem Eodreidem.

Zrozpaczony hobbit rąbnął pięścią w otwartą dłoń. Wszystko się waliło! Flota Eldringów przybędzie do Tharnu... i być może Rohan wytrzyma napór oszalałych Hazgów, Heggów, Howrarów i innych mieszkańców Minhiriathu... I kto wie, czy potrafi nowy dowódca poprowadzić jego pieszych łuczników?

Pomyślał także, że zabijanie nieszczęsnych Hazgów jest nieuczciwe, to jest to samo, co zabijanie chorych. Gdyby wojskowa moc Morskiego Ludu pomogła powstrzymać wojnę!... Gdybyż udało się całą sprawę załatwić pokojowo!...

- Oczywiście, wszyscy razem w ujście Iseny nie będziemy się pchali - dodał Farnak. - Król musi ruszyć swoje wojsko. A my z Tharnu wyślemy doń posłańców...

Farnak mówił coś jeszcze, ale Folko już go nie słuchał. Myślał o tym, że spełnili swój obowiązek Marszałków Marchii, wynajęli flotę Eldringów... i teraz nie zostało im nic innego, jak spełnić następny - nie pozwolić, by król Eodreid złamał swoje słowo. I uratować Eowinę! Niełatwy wybór - ratować życie ufnej dziewuszki czy królewskie słowo, którego złamanie pogrąży we krwi i Rohan, i Enedhwaith. Chociaż... kto wie, może to i lepiej - nie będą musieli uczestniczyć w tej haniebnej wyprawie...

Wstydź się! - natychmiast obsztorcował sam siebie. - Tam, w Rohanie, krwawa zawierucha... do której - nie wykręcaj się! - nie wolno ci dopuścić... A Eowina... - Hobbit odczuwał wstyd i ból. - Jesteś jej to winien. Odpowiadasz za nią. Od tego też się nie wykręcaj. Więc co zrobić? Co wybrać!?

- Mogę ci trochę pomóc. - Farnak tymczasem zaczął już mówić o czekającej przyjaciół drodze. - Będziecie wiedzieli o Haradzie to, co wiem i ja, otrzymacie pewnego przewodnika - w mojej drużynie są Khandyjczycy, ci wszak żyją od wieków z Haradem obok siebie...

- No taak!... - Malec splunął. - Zamiast gonić tego drania, siedzimy sobie i mądrze gadamy! A z Eowiny tymczasem... - Przerwał. „Nie wywołuj wilka z lasu, nie nazywaj

nieszczęścia po imieniu".

Nie, nie mogę jej opuścić - zdecydował, sam dziwiąc się swoim myślom, Folko. - To ponad moje siły...

- W tej chwili raczej nic jej nie grozi. - Mówiąc to, Farnak pokręcił głową. - Z waszego opisu wynika, że ten łajdak jest rzeczywiście znanym w Umbarze handlarzem niewolników. Od dawna mówiono o nim, że dostarcza nałożnic do pałacu monarchy. Jeśli to prawda, Eowiny nikt nawet nie tknie palcem. Musi trafić do rąk haradzkiego władcy cała i zdrowa, ale już potem...

- Mów, co potem - machnął ręką Folko.

- Gadają ludzie, że ulubioną rozrywką haradzkiego króla jest gotowanie młodziutkich niewolnic w oleju na wolnym ogniu, żeby jak najdłużej krzyczały i męczyły się.

Torin sypnął przekleństwami. Folko zbladł. Nie, zostaną tutaj!...

- Cała nasza wyprawa od początku szła jakoś kulawo! Najpierw oberwałem od tego Hazga, teraz zaginęła Eowina...

- Ale stać nas na to, żeby coś naprawić - zauważył Folko. - Jeśli wyruszymy dzisiaj przed wieczorem, możemy dogonić ich jeszcze w drodze...

Kiedy trójka przyjaciół wróciła do siebie, hobbit - sam nie wiedząc dlaczego - sięgnął po starannie przechowywany napój Starego Enta. Serce z wolna ogarniało mrożące krew przeczucie, mgliste i złowieszcze. Nie mógł znaleźć sobie miejsca. Co go tak nosi? Raczej nie jest to związane z Eowina. Niech się dzieje, co chce, spróbuje napoju! Myślowym spojrzeniem musi sięgnąć... wstecz? Do Rohanu? Tak! Zanim dokona ostatecznego, decydującego wyboru...

- Pakujcie się na razie beze mnie - zakomunikował bezbarwnym głosem.

Torin uważnie przyjrzał się druhowi i powiedział:

- Słusznie, to ty musisz zdecydować, bracie hobbicie. Wziąłeś Eowinę za naszą namową, więc tym razem będzie tak, że gdzie ty, tam my z Malcem. Prawda, Strori?

Mały Krasnolud energicznie skinął głową.

...I znowu, nużąc ducha wielką, nieobjętą przestrzenią, przed myślowym spojrzeniem hobbita pojawiły się przestrzenie Śródziemia. Złociste piaski Haradu z malutkimi zielonymi kropeczkami, gdzie wokół podziemnych źródeł kwitła bezpłodna pustynia; ponure góry Mordoru - co się tam teraz dzieje w Ciemnym Kraju? Błękit Anduiny; powoli odzyskujące siły po wojnie z Olmerem Minas Tirith... Ogrom Gór Białych i zielony dywan rohańskiego stepu... Dalej, dalej, do drzemiącego Fangornu i otoczonego czujną strażą Isengardu... Stop!

Tam, bardziej na północny zachód od Iseny i Dunlandu, na niewidocznych stąd

stepowych drogach pełzły, wijąc się, czarne węże hufców. Piesze, konne, na szerokich bojowych powozach z wysokimi burtami, na ogromnych wilkach... Hazgowie, Heggowie, Howrarowie, Dunlandczycy i inni, drobniejsze siły i ludy, których nazwy nie były mu znane - wszyscy oni szybkim marszem zmierzali na południe i południowy wschód - ku Łukowi Iseny, ku rubieżom Rohanu.

Wojna w Enedhwaicie zaczęła się już, ale nie tak, jak przewidywał to król Eodreid.

Folko przyjrzał się dokładnie wszystkiemu, co otworzyło się jego wzrokowi. Głowa bolała go coraz mocniej, tępy ból promieniował gdzieś od tyłu, łzy zraszały oczy, ale uparcie wpatrywał się, póki nie wyczerpały się siły - jego i Drzewobrodowego napoju.

- W Rohanie trwa wojna! - oszołomił wiadomością krasnoludy, ledwo doszedłszy do siebie. - Pokój został zerwany i to nie przez Eodreida!

Postarał się najwierniej jak mógł przekazać wszystko, co widział.

- No, może to i lepiej - odetchnął Malec. - Wychodzi, że król nie złamał danego słowa...

- Złamał je w chwili, kiedy wysyłał nas tutaj - pokręcił głową Torin. - I kto wie, może właśnie ta decyzja przechyliła Szale...

- Ale zamyślić coś, nie znaczy wcale dokonać! - obruszył się szczerze Malec.

- Nie zawsze jest to prawdą, przyjacielu Strori...

- Jakkolwiek jest - flota Eldringów przybędzie bardzo w porę - wzruszył ramionami Mały Krasnolud. - Ale dziwnie rozumujesz, Torinie. Możesz sobie powtarzać do śmierci „Piwo", a w ustach nie poczujesz ani kropli. Czy więc można myśli i gadanie przyrównywać do czynu?

Torin patrzył na niego z ponurą miną.

- Czasem wydaje mi się... - powiedział cicho - ...że z Olmerem może by się wszystko inaczej, lepiej ułożyło, gdybyśmy nie pragnęli go zabić.

Do rozmowy włączył się hobbit:

- Ależ co ty gadasz!... Przecież nas wysłał Radagast!

- Właśnie. I dlatego, że miał w tym swój udział jeden z Majarów... wszystko tak się potoczyło.

Strori machnął z rezygnacją ręką.

- Chcesz, przyniosę ci piwo, co? Jakoś mi się wydaje, że zacząłeś, bracie, tak się plątać w swoich wywodach...

Teraz Torin machnął ręką.

- No, przynajmniej wszystko się wyjaśniło - powiedział Malec, wzruszywszy

ramionami. - Rohan poradzi sobie i bez nas. Brego, choć i dwulicowy, ale na swojej robocie zna się jak mało kto. A dziewczyny na zmarnowanie nie damy, choć może Eodreid nas za to przeklnie...

- Niech sobie przeklina - zbył jego przepowiednię Folko. - Żebyśmy tylko sami siebie nie przeklinali, o tym powinniśmy myśleć. „Nie dla ludzi, ale dla siebie miej duszę czystą" - kto to powiedział?

- Słusznie - skinął głową Torin. - Zgadzam się z Folkiem. Jeśli Eodreid się na nas wścieknie... Cóż, znajdziemy takich, którzy zechcą, byśmy dowodzili ichnimi pułkami. Możemy się udać do Beorningów albo do Królestwa Łuczników...

- Nie ma co wróżyć! - zmarszczył czoło hobbit. - Najpierw musimy uratować Eowinę, a potem będziemy sobie głowy łamać...

- To też racja - zgodził się Torin.

Pakowanie nie zabrało im wiele czasu. Farnak i jego przyjaciele tanowie okazali się niezwykle szczodrzy - zdobyli wytrzymałe hazskie koniki i cały ekwipunek, potrzebny w dalekiej i niebezpiecznej wędrówce przez pustynię. Krasnoludy zawiązywały już ostatnie toboły z bagażami, gdy ktoś zastukał do drzwi.

Torin, chwyciwszy na wszelki wypadek topór, poszedł otworzyć. Czasy, kiedy wystarczyło krzyknąć „Wejść, otwarte!", skończyły się nieodwołalnie.

- Kto tam?

- Od tana Farnaka z pozdrowieniem i słowami: „Jestem przewodnikiem z Khandu!". - I gość wypowiedział hasło.

- No to wchodź - Torin odsunął zasuwę.

Przewodnik musiał mocno się pochylić, żeby nie rozwalić głowy o niską framugę. Wysoki, szczupły, o wąskiej twarzy, spalony słońcem, w obszernej białej szacie; w ruchach jego widoczna była leniwa gracja doświadczonego wojownika, chociaż broni na widoku nie trzymał. Szare oczy Eldringa patrzyły przenikliwie i otwarcie. - Mój tan opowiedział mi o waszej sprawie. - Khandyjczyk nieoczekiwanie uśmiechnął się, błyskając oślepiająco białymi zębami. - Powiem wam, że to dla mnie robota! Im bardziej szalone przedsięwzięcie, tym lepiej! Kto przemierza diuny - jest do ptaka podobny, Do sokoła czy orła szlachetnej krwi, Kto statecznie przemierza gościńce Tego nie wypada nawet nazwać mężem! - wyrecytował nieoczekiwanie. - Zwą mnie Ragnur. Tak na mnie mówiono w drużynie, prawdziwe moje imię jest znacznie dłuższe... Pora nam w drogę. Trakt od Umbaru do Hrissaady, stolicy Haradu, znam jak swoje pięć palców. Nie martwcie się, uratujemy dziewuszkę! Żar dnia opadał,

ustępując miękkim falom napływającego od oceanu chłodu. Czwórka jeźdźców minęła wrota Umbaru.

CZĘŚĆ DRUGA

ROK 1732 ŚRODEK LATA

1

14 Lipca, Umbar,
Targ Niewolników

- Frrch! - Tan Starch wykrzywił się z obrzydzeniem, patrząc na szary tłum wystawionych przezeń do sprzedaży niewolników. - Pomioty rekina! - rzucił do pierwszego zastępcy. Kto to weźmie?! W Haradzie nie kupują już teraz byle czego...

- A skąd mamy wziąć lepszych? - usprawiedliwiał się zastępca. - Proszę, do czego doszliśmy! Howrarów wystawiamy! Czy kiedyś było to do pomyślenia?

- Pomiot rekina! Było, póki ten bałwan Skilludr nie ruszył z Olmerem...

- No właśnie! Przecież bywało tak, że mieliśmy same gondorskie dziewczyny, ach, gdzie te czasy! I mamona była, i spokój... Towar wyrywali z rąk!

- Dobra, nie zadręczaj wspominkami... - przerwał rozeźlony Starch. - Jeszcze ten Farnak nam nabruździł... Przez niego bełtaliśmy się na redzie tyle czasu, spóźniliśmy z załadunkiem... Ludzie mówią, że Zalbul już wyruszył, nie czekał na nas... Kto teraz kupi tych zdechlaków?...

Pierwszy zastępca uznał, że należy to pytanie przemilczeć.

Ogromny zakurzony plac nieopodal miejskich ścian Umbaru zajmowało targowisko niewolników - obecnie jedna z ważniejszych dziedzin handlu portowego miasta. Tu stały długie szare pomosty z gęsto rozmieszczonymi pierścieniami, na które to pomosty pędzono niewolników, by można ich było obejrzeć ze wszystkich stron. Powiadali ludziska, że czasem sprzedaje się tam i kupuje po dziesięć tysięcy niewolników, ale kto by to policzył?...

Starch, ciągle skrzywiony, jeszcze raz rzucił okiem na swój towar. Mało! Dwie setki, i to kto - on, pierwszy łowca niewolników wśród umbarskich tanów! Pół biedy, gdyby niewolnicy ci byli z Gondoru czy Rohanu, ale nie! Żałosna wschodnia banda, mizeroty, które przywlokły się na Zachód, trzymając poły peleryny Olmera Wielkiego! Starch gardził nimi z całej duszy. Do niczego się nie nadaje to dwunogie bydło, chyba tylko do tego, by przynosić jemu, Starchowi, brzęczący haradzki pieniądz.

W szeregach stało stu czterdziestu mężczyzn i tylko sześćdziesiąt kobiet. Wyprawa wyraźnie się nie udała, ktoś uprzedził wieśniaków i większość z nich zdążyła się ukryć.

Mężczyźni - głupcy! - usiłowali walczyć. Starannie, bez zbytnich strat - trupa się nie sprzeda, komu taki potrzebny! - ludzie Starcha odcięli broniących się od lasu, otoczyli i zmusili do złożenia broni. Ale mężczyźni niewolnicy ostatnio kiepsko szli w Haradzie. O, kobiety - tak! Mogą wykonywać niemal wszystkie męskie prace, a to że z wysiłku umierają przedwcześnie, nie ma znaczenia, Eldringowie przywiozą nową partię. No i jeszcze jedno - baby są znacznie mniej skłonne do buntów niż chłopy.

Ale i ze schwytanych kobiet Starch zadowolony nie był. Młode i ładne zdążyły się ukryć, dostały mu się tylko te starszawe. Z miną jakby go bolały zęby, tan zezował na szerokie płaskie twarze z wystającymi kośćmi policzkowymi i nieco skośnymi oczami. Kobiety stały w milczeniu i wpatrywały się w pomosty pod swoimi stopami. Starch splunął. Za najładniejszą z nich dadzą co najwyżej pięć monet... podczas gdy za złotowłosą rohańską dziewoję płacono po pięć tysięcy! Co prawda, Starchowi jak dotychczas takie w łapy nie wpadały, co bardzo go martwiło, ale nie starczało mu odwagi popłynąć w górę Iseny i napaść na włości Eodreida.

Tan z nawyku nie słyszał odwiecznego i nieodłącznego hałasu targowiska. Eldringowie, właściciele niewolników, nigdy sami nie zachwalali swego towaru, tym zajmowali się specjalnie wynajmowani Haradrimowie zachwalacze, którzy zdzierali sobie gardła, wzywając najczcigodniejszych klientów, by „...zwrócili swą łaskawą uwagę właśnie na naszych herosów, ślicznotki nasze i sokoły i nie gapili się na schorowane trupolce i szkarady z wystawionych naprzeciwko!”.

Takie zachęty tanowie od dawna puszczali mimo uszu. Haradrimowie kupują - niech dla nich się starają zachwalacze...

Szary - bezimienny rybak z howrarskiej wioski - stał w tłumie niewolników Starcha. Nogi miał skute żelaznym łańcuchem, jednym końcem umocowanym do ogólnego łańcucha, wspólnego dla całej gromady niewolników. On, jedyny w całym tym zmęczonym, wynędzniałym, zobojętniałym tłumie, patrzył spokojnie przed siebie. Coś się zmieniło w Szarym, po tym jak rzucił się w fale, chcąc skończyć ze sobą i z życiem, które tak mu zbrzydło...

Nie pamiętał, co się z nim działo. Przez chwilę, gdy już zanurzał się w seledynowej otchłani, przed jego oczami przemknęło niespodziewanie oblicze wojownika - zdecydowana, poważna twarz obramowana gęstą brodą. To był młody jeszcze mężczyzna, ów wojownik z przymocowanym do pleców mieczem, ale w jego postawie i obliczu widać było wyraźnie, że przywykł do rozkazywania i wydawania poleceń. Stojąc na wyłożonym kamiennymi płytami dziedzińcu twierdzy, wojownik niespodziewanie wyszarpnął z pochwy miecz, a klinga zalśniła

niebiańską bielą, i uniósł go nad głową, jakby wydawał rozkaz ataku...

I, nie wiadomo dlaczego, ten władczy ruch - naprzód, na wroga, nie liczmy strat! - dodał sił tonącemu Szaremu. Jego ręce i nogi wbrew własnej woli wypchnęły ciało na powierzchnię...

Wyłowił go okręt Starcha.

- Po licho ci on! - zbeształ dziesiętnik Eldringa, który rzucił Szaremu koniec sznura. - Stary i siwy - komu on się przyda? Nie dadzą za niego nawet monety! Zobaczysz - nie sprzedamy, to sam za niego zapłacisz, ze swojej doli.

- Nic to, stary, ale krzepki - oponował Eldring. - Zobacz, jakie bary! A że siwy, to nie kłopot...

Szary nie wypowiedział nawet jednego słowa, znalazłszy się na pokładzie „smoka". Milczał, kiedy zakuwano go w łańcuchy, milczał podczas całej drogi do Umbaru, milczał i teraz, stojąc na pomoście hańby. I tylko oczy, przedtem bezbarwne, a teraz znowu brązowe - powoli rozpalał zimny ogień.

Oddał się wspomnieniom. Wolno i boleśnie, ale coś zaczynało wracać, pobudzało myśli. Co powiedział wojownik z błękitnym mieczem? Skąd się wzięło to widzenie? Czy to tylko było przedśmiertne majaczenie, dziwnym sposobem przywracające jego, Szarego... nie, jakoś inaczej kiedyś się nazywał! do życia? Nie wiedział.

Ale to, że wcześniej nie nosił takiego imienia - wiedział już na pewno.

W końcu pojawił się klient. Wysoki, chudy jak żerdź, kupiec, którego wspaniała zielona odzież podkreślała chorobliwie żółtą cerę, niespiesznie, z godnością wszedł w przejście, wzdłuż którego ustawieni byli niewolnicy. Zachwalacze jednocześnie potroili wysiłki, niemal zdzierając sobie gardła.

Mężczyźni pozostali obojętni. Kobiety wyciągnęły szyje, a nuż którąś kupi? Natomiast Szary, jako jedyny z niewolników, popatrzył kupującemu prosto w oczy, rzucił tak ciężkie i przenikliwe spojrzenie, że Haradrim potknął się na równej drodze i wymamrotał gniewnie przekleństwo. Starch skrzywił się - teraz to już na pewno nie kupi... Ci południowi barbarzyńcy uważają, że jeśli ktoś się potknie przed kramem, towar stamtąd przyniesie mu pecha...

Jednakże tym razem stało się inaczej. Obrzuciwszy spojrzeniem przysadzistych, słabowitych z natury Howrarów, kupiec jakby w zamyśleniu wyciągnął wargi w dziobek, pocmokał i, kiwnąwszy do zachwalacza, podał cenę.

Starch w zdumieniu wytrzeszczył oczy. To ci historia! Chce wziąć wszystkich, razem, i na dodatek mężczyźni po raz pierwszy od dłuższego czasu drożsi od kobiet! Ale tan nie byłby tanem, gdyby od razu ustąpił, nawet w tak dogodnym dla siebie interesie, bez targowania.

- Zaraz, zaraz - zbył go machnięciem ręki Haradrim. Wpatrzył się w szeregi niewolników, póki ponownie nie skrzyżował spojrzenia z Szarym. Kupiec przełknął ślinę i pośpiesznie się odwrócił.

- Tak... biorę. Jaka, powiedz, jest twoja cena...

Dobiwszy targu, Starch tylko się uśmiechał i kiwał głową, głaszcząc pod lekką peleryną mocno wypchany mieszek ze złotem. Niesłychane powodzenie! Niesłychane!... W uszach jeszcze rozbrzmiewały ostatnie słowa dziwnego kupca:

„Wieź ich więcej, tanie. Potrzebujemy młodych mocnych mężczyzn i kobiet, żeby je łączyć z mężczyznami...".

No, to już zupełna nowość! Ale czy warto, by szlachetny morski tan zawracał sobie głowę dziwactwami brudnych barbarzyńców? Skoro dureń ma dużo pieniędzy, uczyń tak, by przeszły one do ciebie - ty je wykorzystasz lepiej...

Tego samego dnia, gdy tylko niewielka flotylla Starcha uzupełniła zapasy żywności i wody, opuściła Umbar. I nie tylko jego statki wypłynęły w morze. Haradrimowie wykupili wszystkich wystawionych na targ niewolników i wszystkim sprzedającym mówili to samo: przywieźcie jeszcze. Jak najwięcej!...

Skuci jednym długim łańcuchem niewolnicy wychodzili przez bramę Umbaru. Strażnicy przyglądali się im obojętnie: takie widoki były tu na porządku dziennym. Emocje wywołało coś innego: od świtu do nocy wyprowadzono co najmniej dziesięć tysięcy niewolników. To się jeszcze w historii miasta nie zdarzyło, ani za czasów rozkwitu Umbaru korsarzy, nienawidzących Gondoru, ani w ciągu ostatnich dziesięciu lat, kiedy władał Morski Lud.

Pierwszy etap. Nowi właściciele zatroszczyli się o zakupioną własność: karawana poruszała się w nocy, w dzień kryjąc się przed palącym słońcem w specjalnie urządzonych „miasteczkach" pod płóciennymi dachami. Roznoszono lekko osoloną wodę.

Chudy kupiec z dwoma przysadzistymi ochroniarzami wpatrywał się w tłum. Żeby utrzymać dyscyplinę, nie wystarczy nawet setka wojowników, jeśli sami niewolnicy nie będą się wzajemnie pilnowali. Od dawna wypróbowany i stosowany chwyt - dziel i rządź... Doświadczone oko handlarza natychmiast wychwyciło z tłumu niemłodego niewolnika, wyróżniającego się dumną postawą - ten nie wyglądał ani na zaszczutego, ani na wymizerowanego.

Szary wyróżniał się z tłumu niewolników, jak wyróżnia się wilk ze stada kundli.

- Ty!... - Palec kupca uderzył w pierś Szarego. - Będziesz nimi dowodził. Uważaj, jeśli

ta padlina zacznie zdychać, za nim dojdziemy do Hrissaady, to zostawię cię w pustyni związanego, na żer piaskownikom!

Szary w milczeniu skinął głową. Ponownie kupiec odwrócił się, nie mogąc znieść pogardliwego wzroku dopiero co kupionego przezeń niewolnika...

Szary zabrał się do pracy.

- Hej, chłopcze! - Jego cichy głos nie wiadomo dlaczego zmuszał wszystkich do przerywania rozmów. - Zostaw tę wodę. Swoją już dostałeś.

Mężczyzna, chyba najmocniejszy ze wszystkich jeńców, wyszczerzył kpiąco zęby:

- Ba, Szary! Właśnie nie mogłem sobie przypomnieć, skąd znam twoją gębę?!

Wcześniej żył we wsi sąsiadującej z osadą Szarego. I teraz, jak to mieli w zwyczaju jemu podobni, zamierzał odebrać naczynie z wodą jakiejś kobiecie.

- Zostaw tę wodę - powtórzył Szary, a niewolnicy zaczęli się odsuwać, najdalej jak pozwalały na to łańcuchy.

Chłopak wyprostował się:

- Ty mi tu zamierzasz rządzić?

Szary nawet się nie odsunął. Zwarł się w sobie, a pięść niewolnika, zamiast wylądować na jego twarzy, opadła. Mężczyzna zawył, chwyciwszy się za dłoń - wydało mu się, że uderzył w kamienną ścianę. Szary stał nieruchomo, a jego oczy raziły czarnym blaskiem.

- Zostaw tę wodę - powiedział po raz trzeci, i to wystarczyło, buntownik już się nie stawiał.

Niewolnicy patrzyli na Szarego z trwogą. A potem jakaś kobieta jęknęła: „Szary, Szary, uratuj nas, Szary!...”.

Przez ogarnięte rozpaczą ludzkie mrowisko przeszedł spazm. Brzęcząc łańcuchami, ludzie skierowali błagalne spojrzenia na niego, wyciągnęli doń ręce, z gardeł wyrywał się ni to jęk, ni to zwierzęcy skowyt...

Rybak stał nieruchomo, tylko oczy jego płonęły coraz mocniejszym ogniem, i otaczającym go niewolnikom wydawało się, że gdyby teraz rozkazał okowom „Opadnijcie!”, to żelazne bransolety zniknęłyby jak sen złowrogi...

Ale nadzorcy też nienadaremnie jedli chleb pana swego. Świsnęły baty, zafurkotały pałki, kilku łuczników nałożyło na cięciwy po strzale i drżąca, składająca się z wielu ciał, wielu rąk i nóg istota znieruchomiała, skurczyła się w sobie, zwinęła pod razami...

Szary nawet nie drgnął, kiedy dokoła jego ciała owinął się bicz.

- Hej, czcigodni! - krzyknął, wiedząc już, że strażnicy karawan najczęściej znają

zachodnie narzecze. - To się więcej nie powtórzy! Uśmierzcie swój gniew!...

Drżący i skowyczący tłum niewolników przylgnął doń niczym pisklęta do matki.

Kilka słów Szarego przywróciło porządek. I po chwili większość zastanawiała się: co też takiego zobaczyli w tym niemłodym niewolniku, dokładnie takim samym, jak inni?...

Dalej już karawana poruszała się we wzorowym porządku. Chciwe demony pustyni, zawsze zbierające obfite żniwo z takich pogrzebowych pochodów, tym razem musiały się zadowolić jałmużną...

28 Lipca,
Przedmieścia Hrissaady

Dwa tygodnie szła karawana przez martwą pustynię, gdzie rządził tylko piasek, upał i wiatr. Droga wiła się jak szary wąż, od jednej oazy - zielonego wybuchu na żółtym popielisku piachu - do drugiej. Studnie trafiały się rzadko, a woda w nich była wyraźnie słona. Na poboczu, wyżarzone przez słońce leżały obficie porozrzucane kości i czerepy - pozostałości po niewolnikach, którym nie udało się dotrzeć do haradzkiej stolicy. Najpierw wszyscy z lękiem wpatrywali się w kości, potem przywykli...

Ale powoli, powoli pustynia zaczęła się zielenić, stopniowo zmieniając w trawiasty step. Na horyzoncie zarysował się wąski niebieski pasek - to były lasy. Zaczęła się pojawiać woda, a potem karawana dotarła do granic miasta.

Na ogromnym, wydeptanym niemal do lustrzanego blasku polu, otoczonym wysokim kolczastym płotem, Haradrimowie zmieścili chyba z dziesięć tysięcy nowo zakupionych niewolników. Kobiety uwolniono z łańcuchów, mężczyźni na razie pozostawali w okowach.

Na wysoki pomost, skąd widać było całą wypełnioną przez niewolników przestrzeń, wchodzili ludzie w drogich, purpurowo- złotych ubraniach. Było ich pięciu - wszyscy rośli, dumni, uzbrojeni. Wraz z nimi wspiął się na pomost dowódca nadzorców, tego zagonu dwunogiego bydła.

- Słuchajcie mnie, wy, wielbudzia mierzwo! - krzyknął nadzorca, jak na tę funkcję zbyt dobrze zbudowany i dumny mężczyzna, u którego na trzy mile widoczna była gwardyjska postawa. - W wielkiej swej łaskawości bezkresny jak piaszczyste morze władca Tcheremu, znanego wam pod nazwą Harad, powiada - każdy może zasłużyć na swą wolność i bogactwo! Słyszycie mnie - wolność i bogactwo! Jeśli będziecie wiernie służyć sile Tcheremu!

Przez tłum przetoczyła się fala pełnych zdziwienia okrzyków i pomruków. Nadzorca ciągnął:

- Mężczyźni mają wybór - udają się do kopalń złota Tcheremu albo wstępują do jego wspaniałej, niezwyciężonej armii! Mogą stać się prawdziwymi wojownikami Wielkiego Tcheremu, na zawsze uwolnić się od losu niewolnika! A gdy upadną miasta naszych wrogów, każdy taki gród będzie oddawany wam na trzy dni i wszystko, co tam znajdziecie, będzie wasze! Mężczyźni, którzy wstąpią do wojska, otrzymają kobiety! Każdy stać się może dziesiętnikiem, setnikiem czy nawet tysięcznikiem, jeśli będzie wyróżniał się w służbie! A

teraz, kto chce do kopalń, niech wychodzi za bramę!

Tłum zamarł. Wydawało się, że wszyscy przestali oddychać.

Jednakże Haradrimom potrzebni byli również ludzie do katorżniczej pracy w kopalniach. Ze trzy tuziny strażników z krótkimi włóczniami zaczęło wywlekać mężczyzn za wrota, wybierając starszych i słabszych. Rozpaczliwe krzyki i błagania wcale ich nie wzruszały.

- Ja, ja mogę walczyć! - wrzeszczał jeden z nieszczęśników. Straciwszy panowanie nad sobą, rzucił się do strażnika i zwalił na ziemię, uderzony w głowę tępym końcem włóczni. Strażnicy nie zwracali już więcej na niego uwagi - chwycili po prostu za nogi i powlekli za wrota.

Inni wbijali się w tłum, coraz głębiej i głębiej: byli odważni, ci Haradrimowie - niewolnicy, nawet skuci, mogli śmiało zdławić ich samą tylko swą liczebnością.

Para nadzorców znalazła się obok Szarego. Rybak stał ze skrzyżowanymi na piersiach rękami; jeden ze strażników obrzucił go pogardliwym spojrzeniem - za stary i pewnie do niczego już się nienadający niewolnik.

- *Grar'd ermon!*[1]

Wojownik brutalnie chwycił Szarego za ramię, szarpnięciem odwrócił do siebie. I - niespodziewanie znieruchomiał, potem, jakby coś sobie przypominając, uniósł dłoń do czoła.

- *Inszach'kr ermon'w, Satlach!*[2]

Nadzorcy poszli dalej. Szary westchnął ciężko, dumnie wyprostowane ramiona nagle jakby się zapadły. W jednej chwili postarzał się o dobry dziesiątek lat.

- Jakże ciężko... - mruknął do siebie, choć wydawało się, że nie bardzo rozumie sens wypowiedzianych słów. - Zupełnie już nie mam siły...

[1] Bierz tę ruinę! - j. haradzki.
[2] Ależ to wcale nie jest ruina, Satlachu! - j. haradzki.

30 Lipca, Około Dwóch Godzin Przed Północą,
Przedmieścia Hrissaady

- Tfu, tfu, tfu! - Strori zawzięcie spluwał. - Żeby go młotem spłaszczyło, ten wiatr! I piach! I upał!

- Co to, nigdy nie przypiekałeś się przy piecu kowalskim? - zapytał Torin.

-

- - Też mi porównanie! - prychnął Malec. - Czy tam panuje taki żar? Nie, tamten żar sprawia, że krew szybciej krąży w żyłach! A ten? Czuję się jak kawałek ciasta na ruszcie!

- Cicho tam! - syknął Folko. - Ragnur powiedział przecież, że jest tu pełno strażników. A psy słyszą, jak trzy mile dalej myszy wygrzebują nory!

- Też mi! - machnął niefrasobliwie ręką Mały Krasnolud. Rozstawszy się z pułkiem, tangar ponownie wrócił do beztroskiego trybu życia, stając się na powrót chwatem, radującym się z każdej okazji do walki. - Co to, nie położymy ich?

- Jemu się wszystko w głowie z upału pomieszało - zauważył Torin. - Dobra, już teraz milczymy!

Ukrywali się w niezbyt gęstym zagajniku nieopodal przedmieść Hrissaady. Za sobą mieli trudną dwutygodniową drogę przez Harad - dokoła, w tajemnicy, niespokojnie... Wąska nić szlaku do Umbaru wiła się między zalegającymi niczym piaskowe żmije barchanami, a był on szczególnie chroniony. Studnie i oazy trafiały się rzadko i każde takie miejsce strzeżone było przez dwa pierścienie wojowników.

Gdyby nie Ragnur, przyjaciele chybaby nie dotarli do haradzkiej stolicy. Dokoła nich rozciągał się zupełnie im nieznany świat, świat wypalonego rozżarzonego piekła, bezwodnej pustyni, nad którą panoszyło się bezlitosne słońce. Nie czułe i darujące życie, lecz niszczycielskie i rujnujące. Wędrować można było tylko w nocy.

Ale nie tylko upał, słońce i brak wody stawały na przeszkodzie. Jakaś inna siła, jakaś niewidzialna i uparta moc nie chciała ich puścić na Południe, usiłując rozdmuchać żartobliwe przekomarzania do walk na śmierć i życie, a przynajmniej wywoływać głupie spory z byle powodu i bez powodu. Dziwił się nawet Ragnur.

- Nic nie rozumiem - rzucił zmęczonym i ponurym tonem, gdy chwilę wcześniej omal nie doszło do bójki na noże z Malcem. - Co się ze mną dzieje? Jakby mnie coś przygniatało... Skądś z wewnątrz...

- Nie tylko ciebie - odezwał się cicho Folko. - Nas wszystkich... i chcę powiedzieć, że nie tylko naszą czwórkę, ale cały Harad... i Khand... i Umbar...

Hobbit wyraźniej niż inni wyczuwał ten napór. Nie przygniatający do ziemi ciężar, który zwalił się na Froda, gdy Władca Pierścienia zbliżył się do czarnej twierdzy Saurona - ale coś, jak bijący w twarz wicher, który napierał, a potem przenikał na wylot i rozpalał w duszy niedający się ugasić pożar szału. Gniew mógł wybuchnąć lada moment, nie broniły przed nim żadne talizmany i amulety. Ostrze Otriny odżyło, ale nie pomagało już właścicielowi. Pierścień księcia Forwego, raz wskazawszy hobbitowi drogę na Południe, pokierował ich krokami, lecz przeciwstawić się szaleństwu mogła tylko ich własna wola.

W miarę swych sił Folko usiłował rozeznać się w tym, co dokoła się działo. Za pomocą pierścienia elfów próbował odnaleźć źródło przeciwstawiającej się im siły, zrozumieć, skąd płynie, i, być może, kto za nią stoi.

Jednakże z niezwykłą uporczywością powracało do niego jedno i to samo widzenie: Światło, oślepiające światło, tak podobne do tego, które panowało tu, w wyżarzonej pustyni Haradu. Światło, w którym tonęło wszystko dokoła, światło, pożerające nawet cienie; tu nie było miejsca na noc i mrok. Dla jego promieni, wydawało się, nie istniały żadne przeszkody, przenikały przez skały i rzadkie drzewa, mury starej Hrissaady i nawet owo wzgórze, na którym siedziała teraz kompania. Musieli wytężać wszystkie swoje siły, by utrzymać się w ryzach - każdy czyn druha wydawał się obrazą, każde słowo brzmiało jak kpina, a każde własne działanie uważane było za jedyne prawidłowe i słuszne...

Kiedy cała czwórka opuściła Umbar, Khandyjczyk Ragnur, pokazując w uśmiechu olśniewające zęby, poradził przyjaciołom, by zdjęli i ukryli dobrze swoje kolczugi.

- Przez pustynię musimy przechodzić tak, by nie wyczuł nas czujny haradzki pies. Dlatego, że tu nie ma gdzie się ukryć, nie ma lasów, nie to, co u nas, w Khandzie, czy bardziej na południe - za Hrissaadą. Od studni do studni musimy przemykać bardzo ostrożnie, żeby i konie nie padły, i strażnicy nie dostrzegli. No bo co - może powalimy dziesięciu, ale setka na pewno nas pochwyci.

Nie wiadomo, czy nie trudy wędrówki były cięższe od całego poprzedniego żywota. Ragnur prowadził ich szerokimi pętlami, zacierając ślady, myląc tropy, by dojść do zapomnianych przez wszystkich kamiennych ruin, które niczym ogryzione do cna gnaty sterczały z piaszczystych fal i gdzieś w głębokich piwnicach udawało się odszukać zapomniane studnie.

- Czyje to miasta? Kto tu wcześniej żył? - dopytywał się Folko.

- Ziemia jest haradzka, od zarania dziejów. Wcześniej, tak mówią ludzie, było tu pod dostatkiem i lasów, i stepów, i nawet rzeki płynęły - krótkie, płytkie, ale jednak rzeki. A potem... Jakby ktoś przeklął tę ziemię - czy to poprzedni mordorski władca, czy ci, którzy są na Zachodzie, za Morzem... Krótko mówiąc - pola przestały rodzić, ludzie porzucali je i zaczynali uprawiać inne. A początki uprawy wiadomo jakie są - topór i ogień. Gdy las stąd odszedł, na jego miejsce przyszedł piasek... Nawet się nie obejrzeli, jak dokoła rozpanoszyła się pustynia. No to ludzie odeszli na południe, gdzie dokoła Hrissaady ziemie bogate są... A tu pozostały mury i wieże...

W starych ruinach żyły tylko żmije, drobne ptactwo gniazdowało wysoko na zniszczonych murach. Przez pokiereszowane okna wpadał piach, ale pod jego warstwą czuło się mocne jeszcze fundamenty. Podłogi przykrywały ogromne gładkie płyty; z ciekawości krasnoludy, jeszcze nie zmęczone wędrówką, zmiotły piach. Odsłoniły się stare, ale solidne piwnice, czas nie dał im rady. A płyty podłóg pokryte były nieznanym pismem, nie Kirithem ani nie Tengwarem.

- Co to? - nie mógł powstrzymać ciekawości Folko.

- Kto to wie? - wzruszył ramionami Khandyjczyk. - Takie pismo nie jest mi znane. A zresztą - co ja do tego mam? Będę się cieszył, jeśli studnia nie wyschła. Właśnie to powinno nas zajmować!

Hobbit długo się wpatrywał w przedziwne kreski znaków. Nie było w nich lekkiej powagi runów Feanora, wymyślności krasnoludzkiej symboliki; szybkie, zaokrąglone, zlewające się, z wieloma kropkami i zawijasami, wyglądały jak zastygły strumyk, otoczony obłokiem lekkich rozbryzgów...

I oto całe piekło wędrówki poza nimi. A przed nimi - haradzka stolica. W odróżnieniu od Minas Tirith i Annuminas, tu władcy nigdy nie zapominali, że należy w odpowiednim czasie odnowić umocnienia albo wznieść nowe. Wydawało się, że szare porowate cielsko miasta jest mocno przepasane licznymi rzemieniami - brązowe mury przecinały miejskie dzielnice, a w samym środku, na wzgórzu, panującym nad mętnymi wodami jeziora Sohot, wznosił się pałac władcy - cytadela, twierdza w twierdzy.

Hrissaada nie była taka stara, ledwie minęło jej sześćset lat. W porównaniu z Isengardem, Edorasem - nie wspominając już o Minas Tirith czy Annuminas - to naprawdę niewiele.

Po drodze Ragnur wiele opowiadał o Haradzie. Czarna wola Saurona podporządkowała sobie tutejszych mieszkańców już dawno temu, jednakże przez długi czas południowe

plemiona żyły w rozdrobnieniu, często wojując między sobą, nie zważając na zakazy mordorskiego Władcy. Ale potem znalazł się jeden wódz - silniejszy od innych, a może po prostu miał więcej szczęścia - który zjednoczył wszystkie plemiona w jeden kraj. Wtedy, sześć wieków temu, założył on właśnie Hrissaadę - o trzy dni drogi od słynnej Czarnej Skały, którą od wieków czciły haradzkie plemiona.

- A drzewo Nur- Nur? - przypomniał hobbit.

- Aaa! - Khandyjczyk machnął ręką. - Bzik na tym drzewie rośnie i tyle, najprawdziwszy!

- Bzik - na drzewie? - zdziwił się Folko.

- W Khandzie tak mówią. Nur- Nur ma i korę, i orzechy, i liście - wszystko z jakimś świństwem. Haradrimowie żują liście, z orzechów jakiś odwar przyrządzają, a i z kory robią coś, co podobno wojownika czyni odważniejszym w boju. Moim zdaniem to wszystko bzdury. Nasi ludzie ryzykowali życie, liście owe zdobyli, ale potem trzy dni spali jak zabici, jakby się mocnym winem upili.

- A to... drzewo... duże jest? - zapytał Malec. - Olbrzymie - skinął poważnie głową Eldring. - Takich wielkich to chyba nigdzie więcej nie widziałem. Sięga obłoków! Nie tak łatwo i pień dokoła obejść. - Hm?! - prychnął Torin. - Co? - Ragnur zasępił się. Dumny Khandyjczyk nie lubił, kiedy ktoś wątpił w jego słowa. - Nie wierzysz mi czy co? - Bez obrazy. - Torin klepnął go w ramię. - Nie ma w Śródziemiu takich drzew! Rozumiesz? Wiatr by je łatwo powalił, choćby nie wiem jakie miało korzenie. Możesz mnie, tangarowi, wierzyć. Przychodzi nam wiele budować, potrafimy więc obliczyć, co gdzie wytrzyma, a co gdzie runie.

- Sam widziałem to drzewo, na własne oczy! - Ragnur gniewnie uderzył się w pierś.

- Cicho, cicho, przyjacielu, uspokój się. Nie mówię tego po to, by podać w wątpliwość twoje słowa. Musi być w tym drzewie jakaś magia, rozumiesz? W przeciwnym razie nie mogłaby istnieć tak ogromna roślina.

- Co do magii - to nie ze mną rozmowa. - Khandyjczyk machnął ręką. - We wszystkie te cuda po prostu nie wierzę. Dlatego, że nie widziałem jeszcze ani jednego czarodzieja, który mógłby powstrzymać burzę.

- A my widzieliśmy - wtrącił się Malec. - I burzę powstrzymałby, i nasłałby, gdyby chciał!

- Kto to był? - zdumiał się Khandyjczyk.

- Olmer, któż by jeszcze! - Malec machnął ręką.

- O, Olmer! Olmer Wielki - inna sprawa! Chociaż dlaczego wdał się w wojnę z elfami -

niech mnie Ojciec Morski utopi - nie wiem do tej pory. Co mu oni przeszkadzali?

- Tan Farnak też nie bardzo, jak pamiętam, ich szanował? - przypomniał Torin.

- Szanował, nie szanował - nie napadaliśmy na nich. Oni na nas też. Przecież nasz tan ze Skilludrem na przystanie elfów nie poszedł, prawda? A Olmer... Mógłby zawojować Gondor i Arnor, potem Beorningów by podbił... A elfy by sobie poszły precz - wszak ludzie mówią, że i tak już same się do odpłynięcia szykowały. No to po co się do nich pchał? - zakończył Ragnur z wyraźnym żalem.

- Z kim byście wtedy wojowali, gdyby cały brzeg stał się jednym państwem? - zapytał Malec.

- Wstąpilibyśmy na służbę do niego. On też ziemie obiecywał, ale nie zdołał spełnić obietnic. Ech, szkoda... Wojaczka, wiecie, też z czasem zbrzydnie... Ale - błysnął śnieżnobiałym uśmiechem Eldring - na razie jeszcze się nie znudziła!

Wszystko to było już za nimi. Wędrówka, długie etapy od jednej sekretnej studni do drugiej, patrole Haradrimów... Malec aż podrygiwał z oburzenia, gdy oni, czwórka świetnie uzbrojonych i doświadczonych wojów, leżała w krzakach, z nosami wbitymi w piach i kurz, a obok nich przejeżdżała mizerna para czujek z nowego zaciągu.

- Wyrżnąć ich i po kłopocie! - warczał Mały Krasnolud.

- Po co, Strori, po co, powiedz?! - tłumaczył mu Folko. Co ci zrobili ci chłopcy? Nie wojujemy jak na razie z nimi.

- Nie mówiąc już o tym, że takie czujki możemy, oczywiście, wyciąć, ale odnajdą ich szybciej, niż byśmy tego chcieli wsparł go Ragnur. - Wtedy nie unikniemy obławy. Poczekaj, krasnoludzie, dojdziemy do Hrissaady - popracujesz swoim mieczem...

I oto Hrissaada przed nimi.

Obcy, odległy świat. Wszystko tu jest inne - niebo, drzewa, trawa, zwierzęta... Świat nieznany hobbitowi, tu przychodzi mu znowu się uczyć, a opanowanie przedmiotu sprawdzi najsurowszy z nauczycieli - bój.

Zmierzchało. Ragnur przekręcił się na plecy i włożył ręce za głowę. Khandyjczyk przed chwilą wrócił - chodził na zwiad do miasta. Nowiny na południowych targowiskach rozchodzą się migiem: karawana, z którą przybyły niewolnice dla władcy złotych pustynnych mórz, przybyła o jeden dzień wcześniej. Wieść ta żywo interesowała wielu handlarzy żywym towarem, i nie było w tym nic dziwnego - niewolnice, odrzucone przez monarchę, pójdą na licytacji, a północne piękności od dawna wysoko cenione były w Haradzie...

- Wszystkie nowo przybyłe są już w pałacu. Eowina żyje, widziały ją służebnice i,

oczywiście, nie pominęły okazji rozgadać wszystkiego po całym bazarze. Jedyna złotowłosa branka, nie ma z kim jej pomylić.

- Więc dlaczego tu siedzimy? - obruszył się Malec.

- Nie denerwuj się, tangarze. Niech się trochę ściemni ruszymy. Dzisiaj nie będzie księżyca, to dobrze.

- Nie możemy wejść w dzień? - zainteresował się hobbit.

- Nie możemy. Krasnoludów nigdy tu nie było, straże od razu się przyczepią: kto i po co, a pokażcie list podróżny, a dlaczego nie ma cech z posterunków przydrożnych... Do miasta lepiej przedostać się potajemnie. Mam tam kryjówkę.

- A potem zastukamy do pałacowych wrót i powiemy: wybaczcie, ale musimy stąd zabrać pewną dziewuszkę? - zakpił Malec.

- Mniej więcej tak - odpowiedział Ragnur. - Zaufaj mi, znam dobrze Haradrimów i mam z nimi od dawna na pieńku. Swego czasu przyparli nas do morskich gór i niewiele brakowało, by wycięli wszystkich co do jednego. Wodzowie uratowali plemię tylko dlatego, że runęli do stóp gospodarza Czarnej Wieży, a ten przywołał do porządku Haradrimów...

- A plan pałacu? Gdzie będziemy szukali Eowiny? Masz pojęcie? - zapytał Folko.

- Planu nie mam, oczywiście - Ragnur błysnął beztroskim uśmiechem. - Ale i nie potrzebuję go. Będziemy działali tak...

31 Lipca, Około Godziny Po Północy,
Hrissaada Pałac Władcy

Eowina szykowała się na śmierć. Młoda córa Rohanu od maleńkości była wychowywana na heroicznych balladach, w których dziewice wojowniczki, znalazłszy się w niewoli, zawsze wybierały śmierć, byle uniknąć hańby; starały się przy tym zabrać ze sobą możliwie wielu prześladowców.

Przez cały czas była pilnie strzeżona. Z pragnienia i wyczerpania umierały inne niewolnice, jej nawet włos nie spadł z głowy. Drogę od Umbaru do Hrissaady przebyła w zamkniętej lektyce, wody dostawała pod dostatkiem. Kiedy odmawiała jej przyjmowania, była zmuszana do picia. Haradzcy handlarze niewolników mieli spore doświadczenie w takich sprawach. Dziewczyny pilnowali bez przerwy dwaj słudzy, którzy nie mogli dopuścić, by ta szczególnie cenna niewolnica, mająca dogadzać żądzom i kaprysom Władcy, targnęła się na życie. I dopiero tu, w pałacu, który oszałamiał brzydką, zbytkowną wystawnością, uwolniła się od ich towarzystwa.

Eowina została ulokowana w maluteńkiej komórce z okratowanym oknem, wyłożonej miękkimi dywanami. Prócz me talowego naczynia nie było tu żadnego przedmiotu mogącego posłużyć jako broń. Przez otwór w suficie docierało światło. Zamiast drzwi były kraty. Potężna strażniczka, ciemnoskóre babsko, szerokością barów nieustępująca krasnoludowi, uzbrojona w bicz i sztylet, przechadzała się tam i z powrotem po długim korytarzu, za każdym razem zatrzymując się przed komórką. Najwidoczniej babsztyl szanował swoje zajęcie.

Ciężkie kroki nadzorczym głuchym echem dudniły w ciszy korytarza. Eowina wsłuchiwała się w nie i nagle drgnęła; przed komórką pojawił się ktoś jeszcze. Zaskoczenie jej było tym większe, gdy przyjrzała się owej postaci.

Kobieta miała sięgające ramion, bezładnie rozrzucone ciemnoblond włosy. Mocno zaciśnięte wargi nadawały twarzy ostry wyraz. Policzki zdobiły figlarne dołeczki, zupełnie niepasujące do groźnego wyglądu przybyłej.

Nieznajoma była bardzo młoda, może tylko o dwa czy trzy lata starsza od Eowiny. Wydawało się, że jest ciemnej karnacji, ale była to opalenizna, a nie naturalny kolor skóry. Miała wyraźnie zaznaczone łuki brwi, delikatne kości policzkowe i ostry podbródek - co sugerowało, że mogła pochodzić z Rohanu lub innych ziem północnych. Ubrana była w cienką białą bluzę i białe szarawary, doskonałe do jazdy konnej. Szczupłą talię okalał wąski brązowy

pasek. Uzupełnienie stroju stanowiły budzące respekt dodatki: cienka krzywa szabla, broń haradzkich wojowników, para kindżałów, niewielki łuk za plecami, na nadgarstkach kolczaste bojowe bransolety. Dziewczyna była uzbrojona po zęby.

Ale najważniejsze w całym jej wyglądzie były oczy.

Ogromne, ciemne, przykuwały uwagę i odstraszały. Czaił się w nich mrok, głęboka otchłań przepastnej, bezksiężycowej i bezgwiezdnej nocy, z czasów kiedy jeszcze nie istniały stworzone przez Vardę niebiańskie ognie... Wzrok dziewczyny przeszywał niczym ostra szpada.

Mimo swej odwagi i hartu, Eowina nie mogła opanować drżenia kolan. Była przygotowana na spotkanie z oprawcami, na tortury, na ból, nawet na śmierć, ale nie na to druzgocące, łamiące wolę spojrzenie.

- Tak, tak... - odezwała się przybyła we Wspólnej Mowie. - To ci historia! Hurguz mnie oszukał! Stary, parszywy wielbud! Skąd jesteś?

Eowina chciała dumnie milczeć, ale spojrzenie czarnych oczu uniemożliwiało nawet myśl o oporze. Wargi jakby same wypowiedziały:

- Jestem Eowina. Z Rohanu.

Dziewczyna uniosła brew:

- Ach tak? Rzadka zdobycz, klnę się na wszystkie piaszczyste morza Tcheremu! Jak Hurguzowi udało się ciebie porwać? Nigdy nie uwierzę, że ten parszywy worek szakalego gówna ośmielił się przekroczyć Harnen!

- Dlaczego niby mam ci odpowiadać? - Eowina chciała pokazać, że nie brakuje jej odwagi. - Kim jesteś?

- Ja? - roześmiała się nieznajoma. - Zwą mnie... zresztą, nie musisz znać mego prawdziwego imienia, jeszcze mnie przeklniesz... Tu nazywają mnie Tubala, co po tcheremsku znaczy mniej więcej „Polująca w mroku".

Kroki nadzorczyni rozległy się w pobliżu i Eowina zobaczyła, jak ciemnoskóra strażniczka pochyliła się w ukłonie przed Tubala. Ta odpowiedziała tylko lekkim skinieniem głowy, jak doświadczony kapitan poborowemu.

- Nie będę nic mówić. - Eowina walczyła ze sobą i gościem, przywoławszy na pomoc wszystkie zasoby męstwa. Niech mnie zabiją, będę milczeć!

- No, zabić, to i tak cię zabiją - czy będziesz milczeć, czy też oszołomisz wszystkich swym krasomówstwem. - Tubala wzruszyła ramionami. - Ale jeśli uda ci się mnie ubłagać, uśmiercę cię szybko i bez męczarni. Gotowanie się we wrzącym oleju... Chyba przyznasz, że to

bardzo, ale to bardzo nieprzyjemne uczucie. Gotują cię wolno, niejedną godzinę, tak że mięso odchodzi od kości, a ty ciągle żyjesz...

Eowina zadygotała, przeszył ją dreszcz.

- Boisz się? Słusznie. Ja cię nie okłamuję. No to jak, porozmawiasz ze mną? Obiecuję ci celną strzałę prosto w serce, zanim zaczną cię torturować. Co masz do stracenia?

- A jeśli kłamiesz? Ja muszę skończyć ze sobą nieodwołalnie!

Brwi Tubali zetknęły się. Przez kilka chwil wpatrywała się uważnie w oczy niewolnicy. Tej wydawało się, że niewidzialne szponiaste łapy rozszarpują jej ciało na tysiące kawałków.

- Widzę, że jesteś zdecydowana na wszystko! - powiedziała wojowniczka, wolno wymawiając słowa. Zaskoczona nieco pocierała podbródek. - Chyba naprawdę jesteś gotowa... Słuchaj, mnie się to podoba. Klnę się na swój łuk, że zabiję cię w każdym przypadku, i tutejsi fagasi nie dotkną cię nawet swoimi łapskami. - Tubala zrzuciła z ramion łuk i kołczan, usiadła na podłodze na wprost kraty. - Ale może mi coś o sobie opowiesz?

- Porwano mnie w Umbarze - wykrztusiła Eowina.

- W Umbarze? - Tubala jakby mimowolnie uniosła brwi. - Jak się tam znalazłaś? Przecież to dość daleko od Rohanu!

- Przywędrowałam tam razem... razem z pewnym... człowiekiem.

Nie zamierzała podawać Tubali imienia mistrza Holbytli.

- O, ho, ho! Uwielbiam historie miłosne! No, opowiadaj dalej! To jest jakiś sławny rohański rycerz? Twój mąż?

Eowina zarumieniła się.

- To jest sławny rohański wojownik - powiedziała dobitnie. - Jest dowódcą jednego z pułków króla Eodreida!

- Jest dowódcą pułku?... Hm... Brego jest niezdarny w mowie, nigdy by go nie posłali do Umbaru, bo nic by nie załatwił, na dodatek jest od dawna żonaty... Erkenbrand jest stary i może co najwyżej się ślinić... Hama jest za młody, tego też nikt by nie posłał do Morskiego Ludu... Teomund jest z Anorienu, nie zna wolnych tanów... Eotajn jest zbyt porywczy, Seorl natomiast za dużo gada, nie potrafi ukrywać myśli... Pod każdym względem nadałby się Freka, ale ten też jest żonaty... i to od niedawna... a o narzeczonej jego mówiono, że włosy ma bielutkie jak śnieg... Więc kto tam jeszcze został z Marszałków? Nikt! Wydaje mi się, że łżesz, przyjaciółko moja...

- Nie kłamię! - odparła z przekonaniem Eowina. Monolog Tubali zrobił na niej duże wrażenie. Nawet ona nie znała tylu szczegółów dotyczących rohańskiego dowództwa.

Wojowniczka znowu skierowała ciężkie spojrzenie na brankę. Po policzkach Eowiny popłynęły łzy, jednakże nie odwróciła wzroku.

- Rzeczywiście - nie kłamiesz! - stwierdziła zdziwiona Tubala. - Więc kim jest ten rohański wojownik? Czy został Marszałkiem niedawno?

To było okrutne przesłuchanie. Wola Tubali skuwała świadomość dziewczyny, oplątywała ją tysiącami tysięcy łańcuchów; w uszach dudnił uporczywy rozkaz: „Prawdę! Prawdę! Prawdę! Tylko prawdę!".

- Co ci do tego? - jęknęła Eowina. - Widzę, że chcesz jak najwięcej ze mnie wydobyć! Nie uda...

I zamilkła ugodzona przenikliwym spojrzeniem mrocznych oczu. Z gardła jej wyrwał się nieartykułowany okrzyk.

- Wydobyć? - Tubala uśmiechnęła się, ale jej oczy pozostały straszne, nie potrafiły się uśmiechać. - Tak, chyba tak, dziewczyno. Mam do ciebie pytanie... Jeśli twoja odpowiedź będzie twierdząca... to obiecaj, że pomożesz mi, a wtedy ja przysięgam na Czarną Skałę Tcheremu, wyciągnę cię stąd! - Nawet przez mocną opaleniznę Tubali przebił się wyraźny rumieniec podniecenia. Mówiła teraz gorączkowo, nie bacząc na nic, jakby dokoła nie było pałacowej straży i nie spacerowała po korytarzu, dudniąc podkutymi buciorami, barczysta nadzorczym...

- Wyciągniesz mnie stąd? - zapytała Eowina. Nie chciała mówić, ale też nie chciała umierać, była przecież taka młoda...

Tubala w milczeniu skinęła głową.

- Ale jeśli spytasz mnie o nasze wojsko...

- Milcz, głupia! Wszystko, czego mi potrzeba - wiem. Patrz mi w oczy! I mów prawdę, czy znane ci są krasnoludy Torin, syn Dartha, Strori, syn Balina, i... - głos jej zadrżał, jakby z nienawiści - i taki niewysoki człowiek, który dowodzi pułkiem łuczników pieszych Rohanu, mistrz Holbytla? Odpowiadaj szybko!

- Znam ich - odpowiedziała Eowina, zanim zdążyła zasłonić usta dłonią. - Oj!...

- No, to wszystko. - Tubala wolno otarła pot z czoła. - To właśnie chciałam wiedzieć. Teraz rozumiem... Czy oni są tu, w Umbarze? Odpowiadaj!

Mroczne spojrzenie przeszywało duszę branki.

„Przecież nie ma w tym nic złego, że znam mistrza Holbytlę!" - krzyknęła bezdźwięcznie w obronie własnej Eowina.

- Czy oni są w Umbarze!? - ryknęła wojowniczka, wczepiając się rękami w kratę.

- Tak... - wykrztusiła oszołomiona dziewczyna i nagle straciła czucie w nogach. Pochlipując, usiadła na podłodze. Głowa pękała jej z bólu, oczy paliły, czuła pod powiekami piasek...

- To znaczy, że porwali cię sprzed ich nosa... Świetnie! Tubala przyjęła dumną postawę. - Cóż, ja nie złamię swego słowa. Dzisiaj w nocy wyprowadzę cię stąd! Jeszcze przed świtem będziesz wolna!

Obróciła się gwałtownie i natychmiast zniknęła Eowinie z oczu. Udręczona dziewczyna znieruchomiała, zwinąwszy się w kłębek na miękkich dywanach. W tej chwili stać ją było tylko na płacz.

31 Lipca, Trzy Godziny Po Północy,
Hrissaada

Dokoła panował gęsty nieprzenikniony mrok. Szli z wyciągniętymi rękami, wyznaczając sobie kierunek drogi dotykiem. Malec nawet wcisnął między zęby jakąś szmatę, żeby nie przeklinać zbyt głośno, kiedy co rusz o coś się potykał.

Kozią percią Khandyjczyk przeprowadził wędrowców pod mury obronne otaczające miasto.

- Grube te mury, ale postawione byle jak - szepnął Torin, obmacując ścianę. - Nie wytrzymają porządnego tarana.

- A kto tu przyjdzie z taranem! - syknął Ragnur. - Cicho bądźcie! I idźcie za mną...

- Na Machala! Tu są jeszcze jakieś ciernie!... - wściekał się Malec, przedzierając przez zarośla.

- Bądźże cicho - napomniał Khandyjczyk. - Jesteśmy na miejscu...

Dał się słyszeć szelest rozwijanych lin.

- Tu umocuj. Masz hak?

- Yhy. - Torin zarzucił pętlę na wbity w szczelinę między kamiennymi blokami kołek. Zręcznie zaciągnąwszy węzeł, Ragnur bezszelestnie, niczym kot, wspiął się wyżej.

- Drugą pętlę dawaj!... Tak... Trzyma! Folko, wchodź tu! Torinie, przygotuj pętlę! On mi ją poda...

Hobbit jednym ruchem podciągnął się wyżej, palce wymacały żelazny hak. Wisząc na jednej ręce, przejął od Torina linę, zacisnął na niej zęby i chwycił zwisający koniec innej liny. Teraz należało wspiąć się wyżej i przekazać linę Ragnurowi...

Tym sposobem, po wbitych w ścianę kołkach, czwórka wędrowców szczęśliwie przedostała się na wysoki parapet. W zamyśle miała na nim być warta, ale czy któremuś ze strażników przyszłoby do głowy, że złoczyńca mógłby pokonać siedemdziesięciostopowy mur? To się nigdy nie zdarzyło... Dlatego wartownicy spokojnie spali w wieżyczce strażniczej, drzemał również dowodzący nimi setnik - warta na murach uważana była za coś w rodzaju wypoczynku.

- Świetnie. - Khandyjczyk szybko i zręcznie zwijał liny. Teraz na dół!

- A kto powbijał te haki? - Odwieczna ciekawość hobbita i teraz wzięła górę nad ostrożnością.

- My - odparł Ragnur. - Zwiadowcy Morskiego Ludu. Haki można zauważyć tylko z bliska - dobrze udają kamienie. A o strażach u dołu murów to już nawet zdążyli zapomnieć...

Zejście ze ściany okazało się znacznie łatwiejsze od wspinaczki po niej. Na dół prowadziły szerokie schody, przez nikogo niepilnowane.

U stóp mieli Hrissaadę. Obce, całkowicie obce miasto. Nie dobre, nie złe - po prostu obce. Obce było tu wszystko, nawet zapachy i dźwięki. Miasto mruczało i przewracało się przez sen niczym ogromny pies. Migotały ogniki w wąskich oknach; kiwając się płynęły przez ulice pochodnie trzymane przez nocną straż; w zajazdach i jadłodajniach już szykowano się do nowego dnia. Miasto oddychało, owiewając przyjaciół aromatami pieczonej baraniny i świeżego chleba, pospołu ze smrodem ścieków, które spływały brzegami ulic prosto do rzeki.

- No, idziemy. - Khandyjczyk ruszył pierwszy.

Mimo upału, nieco tylko słabszego w nocy, czwórka zwiadowców miała na sobie kompletny rynsztunek. Ragnur zawistnie zerknął na dziwne, srebrzystoperłowe kolczugi Folka i tangarów - sam włożył zwyczajną oksydowaną kolczugę, podwójną, uczciwie splecioną - ale, rzecz jasna, nie można jej było w żaden sposób przyrównać do tych, które wykonali podziemni mistrzowie.

- Teraz idźcie za mną. W razie czego, jak się umawialiśmy: stoicie nieruchomo, bez słowa, z wartownikami sam będę gadał.

Czwórka uzbrojonych po zęby wojowników przemierzała kręty labirynt hrissaadańskich uliczek. Im bliżej pałacu, tym - to naturalne - były szersze i czystsze, stały przy nich okazałe i bogate domy.

- Na peryferiach miasta jest najbezpieczniej - zauważył półgłosem Ragnur. - Straże wchodzą tam rzadko - wyjaśnił i po chwili dodał: - Co prawda, jeśli już, to całą obławą. A nam już niewiele zostało.

Folko maszerował z mieczem wysuniętym na jedną trzecią z pochwy. Lata wędrówek wiele go nauczyły: bardzo często wynik walki określają pierwsze uderzenia. Jeśli wyprzedzisz wroga o mgnienie oka - to już możesz dzięki temu wygrać. Nie bardzo wierzył słowom Ragnura, że ten potrafi bez rozlewu krwi poradzić sobie z wartownikami, bowiem to niewidzialne palące światło, światło, które poprowadziło go na tę nową wyprawę, już od dawna zalewało Hrissaadę, nierozłącznie sczepiając się ze świadomością tutejszych mieszkańców. Szóstym zmysłem hobbit wyczuwał rozlany dokoła gniew niemający przyczyny, czekający tylko okazji, by wypłynąć na zewnątrz - nieważne, na kogo się zwali, na swego sąsiada na targowisku czy kogoś obcego...

Myśli Folka były jasne i precyzyjne. Nie pozwalał sobie na rozluźnienie, trzymał się w ryzach - mistrz Holbytla, bywały i doświadczony wojownik, dowódca pieszych łuczników, dawno temu zastąpił Folka Brandybucka, spokojnego miłośnika ksiąg, lubiącego zakpić z wujaszka Paladyna (pokój z tobą, wujaszku, śpij spokojnie, miałeś wspaniałą stypę...).

Światło, Światło, Światło... Światło to dobro. Tak samo jak Mrok. Pod warunkiem, że każde zajmuje należne mu miejsce i nie usiłują się nawzajem wyprzeć. Przychodzi dzień - dojrzewają kłosy zbóż, ludzie pracują, zdobywają pożywienie zwierzęta i ptaki; nadchodzi noc, a wraz z nią przyjazny, dający wypoczynek sen. Nabiera sił ziemia, a ludzie w wieczornej ciszy układają pieśni - albo kochają się, poczynając dzieci...

- Jesteśmy na miejscu! - szepnął Khandyjczyk. - Oto pałac!

- A co dalej? - zapytał niepotrafiący poskromić swej wiecznej ciekawości Malec.

- To proste. - Ragnur obnażył szablę i bezceremonialnie zastukał rękojeścią w drewniane drzwi.

Znajdowali się przed bocznymi drzwiami, pewnie jakiegoś wejścia do pałacowej kuchni czy magazynu. Przez jakiś czas nikt nie reagował na stukanie - wtedy Ragnur rzucił kilka głośnych przekleństw po haradzku.

To podziałało. W drzwiach otworzyło się niewielkie przeszklone okienko, zamigotało mętne i słabe światło lampki. Senny głos zapytał o coś z niezadowoleniem, zapewne - „kim jesteście?”.

Władczego głosu Ragnura mógłby pozazdrościć pałacowy mistrz ceremonii. Tak czy inaczej, drzwi uchyliły się, akurat tyle, by khandyjski zwiadowca mógł wetknąć w szczelinę szablę. Ktoś zachrypiał, coś zabulgotało, jakiś ciężar runął na podłogę.

- Torinie!

Drzwi zabezpieczał gruby łańcuch, który można było zdjąć tylko od wewnątrz, i to wtedy, gdy były one całkowicie zamknięte. Krasnolud zamachnął się toporem - mithrilowe ostrze, wykonane w piecu Durina, ścięło pętlę zamka.

- Za mną! - rzucił Ragnur.

Przestąpili przez rozciągnięte na ziemi ciało strażnika.

Ależ łatwo przychodzi nam zabijanie... - pomyślał mimowolnie hobbit, patrząc na nieruchomą, wykrzywioną zdumieniem i bólem twarz nieszczęsnego wojownika, młodego chłopaka, na którego twarzy nie było jeszcze nawet zarostu.

- Folko! Nie zostawaj z tyłu!

Znaleźli się w nisko sklepionym pomieszczeniu. To był jakiś magazyn: pod ścianami

leżały wory, rozmaite toboły i paki. Skąpe światło dawał jeden jedyny kaganek; w odległym końcu znajdowały się jeszcze jedne drzwi, a za nimi schody na górę.

Teraz potrzebowali już przewodnika. Nawet Ragnur nie wiedział, gdzie mieszkają niewolnice haradzkiego władcy.

Schody wyprowadziły ich na piętro. Zrobiło się jaśniej tu wisiały prawdziwe lampy, mocniej świecące. Ściany udrapowane były purpurowo- czarno- żółtymi gobelinami, obrazującymi takie sceny, że na ich widok Folko spłonął rumieńcem.

- Dobrze jest - szepnął Khandyjczyk. - To musi być korytarz prowadzący do Sali Rozkoszy władcy... Za mną!

Posterunek ochrony znajdował się za następnym zakrętem. To spotkanie całkowicie zaskoczyło Ragnura, w każdym razie chwilę się zawahał. Nie było tam tłustego haremowego sługi, lecz czterej uzbrojeni od stóp do głów wojownicy z gwardii przybocznej władcy...

Folko nawet nie zorientował się, kiedy miecz znalazł się w jego ręku, a ciało, posłuszne instynktowi, wyrzuciło klingę przed siebie w głębokim wypadzie. Miecz, ostrzejszy niż słynna khandyjska szpada, prześliznął się po pancerzu strażnika, tylko lekko drasnąwszy go w gardło.

Cisza wybuchła hałasem. Szczęk i brzęk broni, ochrypły ryk, wrzaski pełne zdumienia - wszystko przez chwilę zmieszało się. Mimo zaskoczenia Haradrimowie zachowali zimną krew. Jeden z nich rzucił się do sznura dzwonu alarmowego, trzech, ramię przy ramieniu, stanęło do walki.

Przez mgnienie oka hobbita zalała gorąca fala wstydu. Jak mógł tak spudłować?! I zanim jego przeciwnik zdążył się zdziwić, że walczy z nim jakiś niedomiarek, Folko z zaskakującą siłą odbił w bok szablę strażnika i, powrotnym cięciem, mocno uderzył, celując w szczelinę między niskim hełmem i wierzchem kolczugowej koszuli...

Mithrilowe ostrze przecięło pierścienie kaptura, podbródek i żuchwę strażnika. Zachłystując się krwią, runął na podłogę, a Folko natychmiast opuścił z tyłu miecz na głowę Haradrima, walczącego z Ragnurem. Po kilku chwilach wszystko było skończone. Strażnika, który skoczył do dzwonu, zarąbał Torin, jego topór z taką siłą wbił się w hełm żołnierza, że uderzenie wgniotło czaszkę. Malec precyzyjnie, jak na ćwiczeniach, wbił dagę w gardło swego przeciwnika, żywy został tylko jeden wartownik, ogłuszony uderzeniem Folka.

- Szszybko! - syknął Ragnur, przez jego twarz przebiegały nerwowe skurcze. - Pokazuj drogę... O, przekleństwo! przeszedł na haradzki.

Ledwo oprzytomniały strażnik mrugał powiekami, wytrzeszczając oczy. Dopiero przyłożony do gardła sztylet zmusił go do działania. Gorliwie pokiwał głową i ruszył

korytarzem. Ragnur szedł obok, trzymając jego wykręconą za plecy rękę, Torin przyłożył do gardła ostrze sztyletu.

- Powiedziałem, że jeśli zaprowadzi nas nie tam, gdzie trzeba, to umrze pierwszy - przetłumaczył na Wspólną Ragnur.

- Zapamiętujmy drogę powrotną! - rzucił Malec, licząc drzwi i zakręty.

Zostało im mało czasu, bardzo mało czasu: do chwili kiedy obchód, albo ktoś, kto usłyszał podejrzane hałasy, natrafi na pływające w kałużach krwi ciała.

31 Lipca, Cztery Godziny Po Północy,
Hrissaada, Pałac Władcy

Eowina przycupnęła w kąciku celi jak myszka. Czyżby Tubala naprawdę chciała ją uratować? Czyżby?... Już nie zastanawiała się, kim jest ta dziwna wojowniczka. Nie dawała jej spokoju inna myśl: być może naprowadziła na trop mistrza Holbytli prawdziwego zabójcę. Tubala potrafi posługiwać się szablą...

Zmieniły się straże. Teraz w tę i z powrotem wzdłuż długiego korytarza maszerowała inna strażniczka - co prawda, olbrzymią posturą przypominająca poprzedniczkę. Za każdym razem przechodząc obok celi Eowiny, obrzucała ją badawczym spojrzeniem.

- No, jestem.

Dziewczyna drgnęła zaskoczona. Przed kratą jej celi stała Tubala. Była lekko zasapana, jakby biegła po schodach. W jej ręku kołysał się i cicho pobrzękiwał pęk kluczy. Nie przejmując się obecnością strażniczki, wojowniczka otworzyła zamek.

- Wychodź - poleciła.

Czy jej wszystko przychodzi tak łatwo? - zdążyła pomyśleć Eowina chwilę przed tym, jak na widok tego, co się dzieje, nieludzkim głosem rozdarła się nadzorująca.

Tubala niemal bezgłośnie wyszarpnęła szablę.

Ale strażniczka nie zamierzała walczyć. Błyskając piętami, rzuciła się do ucieczki, tam, gdzie z dziury w suficie zwisał gruby sznur w purpurowym kolorze.

Coś brzęknęło, potem szczęknęło, świsnęło w powietrzu i strażniczka w połowie w biegu jakby złamała się; objąwszy rękami przebitą na wylot szyję, zachwiała się i runęła na podłogę. Brzęknęła o podłogę zbroja, która nie ochroniła swojej właścicielki.

Tubala opuściła w dół niewielką, wspaniale wykonaną kuszę. Nie śpiesząc się, przeładowała ją i skinęła na Eowinę:

- Chodźmy. Będziemy mijały jeszcze kilka posterunków, więc idź ze spuszczoną głową, ręce do tyłu - niech myślą, że prowadzę cię do władcy... Co to?!

Pod sklepieniem rozległ się alarmujący dźwięk dużego dzwonu. Potem dało się słyszeć kolejne uderzenie, potem jeszcze jedno... Przerażona Eowina dostrzegła, jak jej zbawczym z wściekłością przygryza wargi.

- Być nie może!... Co to jest?... Uciekajmy! - To ostatnie skierowane było do branki.

Jednakże nie udało im się uciec. W przeciwległym końcu korytarza otworzyły się

szerokie okratowane drzwi i co najmniej tuzin pałacowych strażników z szablami i krótkimi włóczniami wpadł do środka. Widząc leżącą na ziemi strażniczkę, jednocześnie rzucili się do biegu: wydawało im się, że odkryli przyczynę alarmu.

Ten najszybszy dostał strzałę w szczelinę hełmu i, krótko jęknąwszy, poturlał się pod nogi pozostałym wojownikom; biegnący z nadzieją na nagrodę współtowarzysze po prostu zadeptali leżącego.

- Uciekamy!

Wydawało się, że droga przez drugie drzwi korytarza jest jeszcze wolna.

- Trzymaj! - Tubala podała Eowinie długi kindżał. - Żywej mnie nie wezmą!

Niczym wicher przemknęły przez otwarte drzwi; Tubala zatrzymała się na chwilę, żeby zamknąć zasuwę - otwierała się tylko z ich strony, więc ścigający nie mogliby ich gonić - gdy rozległ się tupot ciężkich stóp. Cwałował tabun prześladowców. Eowina zdążyła zauważyć, jak wyszczerzyła zęby Tubala - niczym rozwścieczona kocica, potem zobaczyła, że wojowniczka ponownie unosi kuszę - i nagle zza rogu wynurzyło się czterech... Tej czwórki Eowina w żadnym razie nie spodziewała się tu i teraz. Chociaż nadzieja tliła się jeszcze gdzieś głęboko w jej sercu...

- Nie! - pisnęła i rzuciła się do Tubali, ale za późno. Wojowniczka była szybsza.

Strzała, brzęknąwszy z bezsilną złością, odbiła się od pancerza Torina.

Nadbiegający z tyłu strażnicy z rykiem szarpali zamknięte kraty.

Tubala zamarła, patrzyła wytrzeszczonymi, szklanymi oczami. Wydawać by się mogło, że spotkała się z upiorami. Jak zaczarowana wpatrywała się w stojącego przed nią hobbita i krasnoluda, jej ręka nerwowo szukała czegoś przy biodrze, i nie znajdowała rękojeści szabli...

- Eowina! - krzyknął Folko, chwytając dziewczynę za ramię. - Chodźmy stąd szybko! Jesteście razem? - Skinieniem głowy wskazał Tubalę.

- Ona mnie uratowała! - krzyknęła Eowina.

- Dokąd?! - wychrypiała wojowniczka. Jej wzrok był rozbiegany, jak u szaleńca.

- Uciekajmy stąd! - ryknął Torin, łapiąc ją za rękę.

Wojowniczka, oszołomiona spotkaniem, nawet się nie sprzeciwiła. Wybiegli w szóstkę. Krótkie wściekłe starcie na schodach - oprzytomniawszy, Tubala wyrwała rękę z dłoni Torina, przeładowała kuszę, a jej strzała położyła kapitana dowodzącego oddziałkiem.

W pałacu panował wściekły harmider. Biły niezliczone dzwony, miotali się wrzeszczący ludzie, na łeb na szyję gnały skądś dokądś grupki strażników... Zostawiwszy po sobie siedem trupów, uciekinierzy wyrwali się na wolność.

Teraz prowadził ich Ragnur. Kilka zakrętów, nieprzyciągające uwagi podwóreczko, zawalona śmieciami pokrywa w odległym kącie podwórka - i mrok podziemi.

Dopiero tu mogli chwycić oddech.

- Na co czekamy? - pierwszy oprzytomniał Malec. - Musimy wiać stąd, póki straże na murach się nie obudziły!

- Zaraz. - Ragnur otarł czoło obficie zroszone potem. Natychmiast wyślą wsparcie do bram; jak usłyszymy, że przetupali nam nad głowami - wychodzimy!

Ciężko dysząc, dochodzili do siebie. Eowina błyszczącymi od łez oczami wpatrywała się w ciemność, starając się przyjrzeć przyjaciołom - nie porzucili jej... przyszli po nią... przyszli jej na pomoc, ryzykując życie... Och, nie na próżno mówi się, że mistrz Holbytla jest najodważniejszym wśród żołnierzy króla Eodreida!

- A ty kim jesteś - dziewczyno wojowniczko? - zapytał Malec najbardziej wytwornym tonem, na jaki mógł się zdobyć. W mroku piwnicy nie widać było kompletnie niczego.

- Ja? - odezwała się Tubala ochrypłym głosem. - Ja...

- No ty, jasne, że ty! Co się tyczy mnie, to jestem Strori, syn Balina, krasnolud z Gór Księżycowych... dokładniej - były krasnolud z Gór Księżycowych, ponieważ od dawna tam nie bywałem. A kim ty jesteś i dlaczego uratowałaś Eowinę?

Dziewczyna nagle poczuła na gardle żelazną dłoń Tubali - jej siła chyba nie ustępowała sile dorosłego mężczyzny.

- Milcz, jeśli chceszszsz żyćć! - syknęła tamta wprost do ucha Eowiny. Szyi dziewczęcia dotknęło zimne ostrze.

W tym momencie nad głowami, jak to przepowiedział Ragnur, zatupały stopy biegnących strażników.

- Trzydziestu co najmniej - zauważył Khandyjczyk, wstając. - Idziemy, nie ma co tu siedzieć. - Daj rękę, Eowino - powiedział cicho Folko. Czuł: w podziemiu gromadziła się duszna nienawiść. Ktoś tu strasznie mocno nienawidził jego, Folka Brandybucka - a to mu się bardzo nie podobało. Uprzedzając o niebezpieczeństwie, silnie drgnął na piersi sztylet Otriny. Poza tym, hobbit wyczuwał strach Eowiny, strach nie o siebie, lecz o kogoś innego...

Wydawało się, że Tubala jest zaskoczona i nie wie, co począć. Folko zrobił krok w stronę, z której dochodził cichy, drżący oddech Eowiny, ostrożnie wyciągnął rękę... i natrafił na łokieć, oblany rękawem kolczugi. Łokieć ten znajdował się w takiej pozycji, jakby gardła Eowiny dotykała jakaś broń...

Bez wahania Folko szarpnął tę rękę do siebie. Tubala wściekle syknęła, jak

rozsierdzona kotka, jednak hobbit już wołał krasnoludy:

- Do mnie!

Miecz wyskoczył do przodu, ostrze oparło się o szyję Tubali. Wszystko to działo się w kompletnych ciemnościach, i Folko mógł tylko się dziwić, jak dobrze ta dziwna wojowniczka widzi w takim mroku!

Hobbit działał intuicyjnie, jak zawsze w chwili niebezpieczeństwa. Nie tracił czasu na rozmowy. Dokładnie wiedział, że dłoń Tubali ściska sztylet przytknięty do szyi Eowiny, i nie miał czasu zastanawiać się co, dlaczego, po co... Zrobił tę jedyną rzecz, którą według niego można było zrobić. Pewnie, potem Tubala mogłaby się wytłumaczyć, mówiąc, że wszystko to było tylko przypadkiem - ale kiedy dowody słowne nie mają mocy, mogą za dowody posłużyć i odczucia.

Do akcji wkroczyły krasnoludy, Tubala została rozbrojona.

Ręka hobbita dotknęła twardej małej dłoni Eowiny.

- Potem wypytamy tę diablicę, co i jak! - ponaglał Ragnur. - Szybciej ruszajmy, bo wszystko się zawali!

- Ależ mocna! - sapnął Malec.

On i Torin trzymali wściekle wyrywającą się dziewczynę.

- Zostawcie ją! - rzucił gwałtownie Khandyjczyk. - Mamy Eowinę - czego jeszcze chcecie? Chodu teraz, chodu!

- Nieee! Nie uwolnicie się ode mnie! - pisnęła wojowniczka, zapomniawszy o wszelkiej ostrożności. - Nie uwolniiicie się!...

- Poczekajcie! - krzyknęła Eowina. - Przecież ona mnie uratowała!...

Malec i Torin, zebrawszy wszystkie siły, odepchnęli w ciemność szalejącą Tubalę i skoczyli do wyjścia. Pokrywa zatrzasnęła się przed samym nosem rozjuszonej dziewczyny. Ragnur sieknąwszy zasunął zardzewiały skobel.

I zaczął się bieg przez śpiące miasto. Krzyki zaskoczenia dokoła, miotający się ludzie z pochodniami; nikt z haradzkich wojowników do końca nie wiedział, co się dzieje; w zamieszaniu mały oddziałek pokonał mury.

Zatrzymali się, by wypocząć, kiedy od miasta dzieliły ich co najmniej trzy mile. Tu, ukryte w zaroślach, spokojnie czekały ich wierzchowce.

Eowina, zaciskając zęby, z całej siły starała się powstrzymać łzy.

- No, teraz opowiadaj! - zażądał niecierpliwie Malec. Co to za cudo znalazło się obok ciebie?

- Ona mnie uratowała - chlipnęła dziewczyna. - Uratowała, zabiła strażniczkę, otworzyła celę...

- No to dlaczego groziła ci śmiercią? - zdziwił się Folko.

- Ona... Ona... - I Eowina opowiedziała wszystko.

- Szukała nas?! - Wysłuchawszy opowieści, zakrzyknął Folko. - Szukała nas? Po co?!

Eowina pociągnęła nosem:

- Nie wiem... Ale mnie się wydaje, że w jej sercu panuje mrok...

- Rozumiem - mruknął Torin. - Szukała nas, żeby wypruć flaki. Tylko dlaczego, kto mi powie?

- Czy musimy sobie nad tym głowy łamać? - Malec obojętnie wzruszył ramionami. - Co to - mało komu nadepnęliśmy na odciski? Ot, weźmy na przykład, Marszałka Brego...

- A tak, i Trzeci Marszałek Marchii wysłał za nami do Haradu najemnego zabójcę! - uśmiechnął się krzywo Torin.

- Co to za różnica, kto wysłał! - splunął Malec. - Na razie nie dotrzemy do niego i tak. A potem się zobaczy. Coś nie chce mi się za daleko w przyszłość zaglądać... Dobrze by było, byśmy z Haradu cało uszli!

- O to się nie martw - zapewnił go Ragnur. - Jakim sposobem przyszliśmy, takim i odejdziemy. Przy okazji - nie za długo tu biwakujemy? Na koń!

W zaroślach rozległ się cichy gwizd, a w umyśle Folka natychmiast pojawiła się jadowita mgła niespokojnego przeczucia.

- Do broni! - zdążył krzyknąć, już nie kryjąc się, na całe gardło.

Krzewy dokoła zatrzeszczały, przedzierało się przez nie co najmniej dwudziestu haradzkich wojowników. W półmroku hobbit zdołał tylko zobaczyć spiczaste wysokie hełmy.

Wściekle rozszczekały się puszczone ich tropem znakomicie ułożone psy.

Nie było nawet czasu na dziwienie się, jakim sposobem Haradrimowie tak szybko i skutecznie namierzyli mały oddział, który - jak można by sądzić - dobrze ukrywał się i mylił tropy w upalnej południowej nocy...

Księżycowe światło matowo zalśniło na ostrzu topora - Torin spokojnie uniósł broń, już szukając wzrokiem pierwszej ofiary, tego zucha, który wkroczy w zabójczy krąg - zasięg jego oręża.

Jednakże Haradrimowie specjalnie nie kwapili się do starcia. Dał się słyszeć głośny tupot wielu nóg, porywiste komendy - od strony miasta wyraźnie nadchodziło wsparcie.

- Przebijamy się - rzucił bezgłośnie Folko, a towarzysze zrozumieli go.

Eowina została osłonięta ze wszystkich stron plecami przyjaciół.

- Nie zostawaj z tyłu - szepnął do niej hobbit.

W następnej chwili rzucili się na już triumfujący pościg.

Zmyliwszy wielkoluda z Południa, Malec spokojnie, jakby to była nie śmiertelna walka, tylko zabawa, wetknął ostrą dagę w serce przeciwnika. Tak mocny okazał się cios, że dobra przecież kolczuga nie wytrzymała - a może pomogła rozpacz?

Bój na przebicie był szybki, błyskawiczny, trwał krótko pląs kling, brzęk, zgrzyt - i oto przed oczami hobbita już rozwarła się zbawcza czerń nocy. Z tyłu wrzeszczeli i wyli Haradrimowie, wściekle ujadały psy, jęczeli ranni - a przed nimi był tylko mrok i poły jego płaszcza otulały zbiegów, chroniąc lepiej od wszelkich kolczug. Ragnur, nie odwracając się, cisnął za plecy garść jakiegoś suchego proszku, potem jeszcze jedną i jeszcze - zbijał z tropu psy.

Folko i przyjaciele oddalali się od miasta. Porośnięte rzadkimi kolczastymi drzewami wzgórza ciągnęły się daleko na południe i wschód. Uciekinierzy oderwali się od pogoni. Eowina, urodzona chyba w siodle, na grzbiecie konia od razu zapomniała o przejściach w niewoli i zmęczeniu - krasnoludy ledwo nadążały za nią.

- Świetnie! - sapnął Malec, gdy Ragnur zaordynował popas. - To była czysta robótka, tangarowie!

Niekiedy, w przypływach dobrego humoru, Mały Krasnolud zwracał się do pozostałych tak, jakby wszyscy oni należeli do rasy Podgórskiego Plemienia. Szczególny to honor, zwłaszcza jeśli się wie, jaką wagę przywiązują krasnoludy do pokrewieństwa i rodzimego języka - nawet Folko, od dziesięciu lat wędrujący obok Torina i Stroriego, znał z tego języka tylko jakieś pięć czy sześć zwrotów, a i to były przekleństwa.

- Oderwaliśmy się? - zapytał Folko Khandyjczyka. Zmysły podpowiadały mu, że tak, że pościg skręcił gdzieś w zalesionych wzgórzach i przynajmniej do świtu, póki nie pofruną na poszukiwania specjalnie wyszkolone sokoły, nie mają czego się obawiać. Ale co powie na to urodzony nieopodal tych okolic?

- Oderwaliśmy się - skinął głową Ragnur. - Czcigodny krasnolud ma rację - czysta robota. Muszę przyznać, bić się umiecie, czcigodni! - W głosie wojownika zabrzmiała pewna zawistna nutka, lecz była to nutka szlachetnej zawiści doświadczonego wojownika wobec bardziej doświadczonego, od którego nie jest hańbą czegoś się nauczyć. - Pamiętam, dziwiłem się, kiedy słuchałem opowieści o waszej trójce... Teraz wiem, że ludziska nie kłamali. Hobbit, choć wiotki, a nie da się przełamać nawet taranem! - Roześmiał się.

- Dzięki - uśmiechnął się Folko. - Dziękuję za dobre słowo, ale i ja mam dla ciebie słowa uznania: gdyby nie twój proszek, dawno byśmy mieli pościg na karku...

- To prawda - zgodził się od razu Khandyjczyk i obaj roześmiali się - co to tak siebie zachwalać wzajemnie? Każdy z nich, będąc sam, już dawno by zginął...

Krasnoludy tymczasem zajęły się Eowina. Dziewczyna znakomicie spisała się podczas okrutnego starcia - i dopiero teraz, gdy niebezpieczeństwo minęło, zaczęła dygotać. Ale przede wszystkim była Rohanką, więc od razu obrugała Torina za źle założoną uprząż.

- Jeśli koń natrze sobie grzbiet, to jak się stąd wydostaniemy? - wyrzucała tangarowi, zręcznie poprawiając rzemienie i klamry. - Patrz, jak to ma być... Tak i tak... i tu...

Torin i Malec z minami najgorliwszych uczniów słuchali jej uwag, to było jasne - przez nich Eowina znalazła się w oddziale i ich obowiązkiem było sprawić, by jak najszybciej zapomniała o koszmarnych przejściach...

Tak zhardzieli, że rozpalili nawet ognisko. Ragnur wyłowił z głębin przysiodłowej sakwy szkic haradzkich ziem:

- Jesteśmy teraz, najprawdopodobniej, tu... Udanie uciekaliśmy, aż dziw, że to było na chybił trafił... W pobliżu nie ma posterunków. O świcie ruszymy na północ.

Folko skinął głową. Jego umysł zaprzątało już co innego: znaleźli się na dalekim Południu. Czy nie uda się stąd za pomocą magii elfijskiego pierścienia sięgnąć do źródła nieznanego płomienia?

Eowina, zmęczona musztrowaniem krasnoludów, usiadła przy ogniu, nie spuszczając z hobbita uważnego spojrzenia.

Folko zagłębił się w siebie, wpatrzony w tajemniczy kamień. Myśli wolno odpływały... Dziwny motylek w pierścieniu odżywał, szykując się do ucieczki na wolność...

Ale gdy tylko hobbit podniósł wzrok, gdy w źrenice uderzył parzący strumień wściekłego płomienia, omal nie krzyknął z bólu - podobnie poczułby się, gdyby patrzył na słońce szeroko otwartymi oczami, patrzył i nie mógł przymknąć powiek...

Wtrąciła się własna wola: przecież to nie jest słońce, powiedział sobie, zmagając się z bólem. Powinieneś walczyć i wytrwać. W innym wypadku... Może się zdarzyć, że będzie jeszcze gorzej niż z Olmerem...

Płomień był blisko. Folko czuł jego płonące serce, które uderzało miarowo i ciężko. Jego puls szedł od ziemi.

Tak, od ziemi, ponieważ przez kurtynę z łez widział rozmyte zarysy jakichś gór, wzgórz, dolin; pozbawione światła wydawały się mieć piaskowoszarą barwę w tym wściekłym

białym płomieniu. Nie były to zwidy ani miraż, lecz prawdziwy, zwyczajny grunt.

Płomień, wydawało się, trawił całą jego duszę, na zawsze, wczepiając się w nią. Ból w opalonych oczach nie słabł, coraz trudniej było wytrzymać - a na dodatek znowu zaczęła piec stara oparzelina na lewej ręce, blizna- pamiątka pozostawiona przez pierścień Olmera. To sprawiło, że hobbit powrócił do zwyczajnego świata, gdzie nad głowami migotały jaskrawe południowe gwiazdy, gdzie dokoła słała się noc i, jakby rywalizując ze sobą, nieustannie hałasowały miejscowe pasikoniki.

Folko przecknął się, czując, że ktoś z całej siły potrząsa go za ramię.

- A... Eowino, przestań! - wykrztusił. - Już wszystko w porządku!...

- Patrzcie, przecież on jest blady jak śmierć! - zawołała dziewczyna odwracając się, najwidoczniej do krasnoludów.

- Nic to, oczmycha się! - powiedział basem Torin. - Zrobił to umyślnie...

- Daj mu łyknąć - rozległ się głos Malca i do warg Folka ktoś przystawił szyjkę manierki.

Hobbit pociągnął. Cierpkie, aromatyczne wino, tylko Malcowi wiadomym sposobem zdobyte w Umbarze, najprawdopodobniej jeszcze sprzed wojny, leżakowało w jakiejś przyjaznej piwniczce. Co teraz jest w miejscu tych winnic, lepiej nie myśleć...

Folko wyprostował się, otarł łzy z oczu. Ból w ręce stopniowo mijał, a to świadczyło, że wszystko, co widział, nie było maligną.

Siedzące w kucki krasnoludy wpatrywały się weń z uwagą.

- Co... coś widziałeś? - zająknąwszy się, zapytał Torin.

- Widziałem - westchnął Folko. Wciąż jeszcze ocierał łzy, wszystko przed oczami rozmywało się. - Widziałem i... wydaje mi się... że wiem, gdzie szukać tego płomienia.

- Jak to?! - zakrzyknęli jednocześnie Torin i Malec. Wiesz, skąd bije?

Eowina patrzyła na nich, nic nie rozumiejąc. Ragnura jakieś tam ognie i inne bzdury nie interesowały zupełnie Khandyjczyk nawet nie przysłuchiwał się rozmowie. Siedział, ostrzył szablę...

- Tak, wiem... Jeszcze bardziej na południe od Haradu. Tam są góry... bardzo wysokie... i chyba morze jest nieopodal - przypominał sobie z trudem hobbit, wywlekając z pamięci opalony białym światłem szary brzeg; o brzeg z pluskiem uderzały takie same szare, martwe fale, jakby nie była to woda, tylko jakiś trujący śluz...

- Góry? Na południe od Haradu? - poderwał się Ragnur, dosłyszawszy ostatnie słowa hobbita. - Są tam góry! My je nazywamy Górami Szkieletów. Tam w niepamiętnych czasach

odbyła się podobno niesamowita rzeź... Kto z kim walczył i o co - tylko Morski Ojciec wie. O ile, rzecz jasna, zaglądał kiedykolwiek do tych krain.

- A dlaczego „Szkieletów”? - zapytał hobbit.

- No bo kości się tam wala - nie wiadomo ile. Całe hordy, jak sądzę, tam poległy. Broni pełno - starej, bardzo starej. Wiadomo, w pustyni żelazo wolniej rdzewieje, nie to co u nas, na morzu.

- Góry... - powiedział w zamyśleniu Folko. - A za górami...

- A za górami jest rzeka, rzeka Kamienka... Oraz Nardoz - nasz Nardoz. Stoi sobie... to znaczy - stał. - Khandyjczyk zacisnął pięści. - Jeszcze bardziej na południe są Milczące Skały. I - Dalekie Południe.

- Pierzastoręcy! - sapnął hobbit. - To ich ojczyzna...

Ragnur skinął głową:

- Tan opowiadał mi, zanim mnie do was wysłał... Mówił, że widzieliście jeńca tana Wingetora?

- Yhy - burknął Torin.

- I co - naprawdę pierzastoręki?

- Najprawdziwszy z najprawdziwszych, po trzykroć pierzastoręki! - zapewnił Khandyjczyka Malec. - Oczywiście, nie ma piór jak orzeł Manwe... ale ma. Wódz to, podobno.

- Cuda i cudeńka... - Przewodnik rozłożył ręce. - Z nimi jeszcze się nie biliśmy... Ale to nawet lepiej! Będzie ciekawiej...

Dla Ragnura wojna była wciąż jeszcze zabawą, śmiertelną i krwawą grą, w której stawką jest śmierć, ale to tylko podniecało wojownika.

- No, jak na razie nie wybieramy się do pierzastorękich, lecz do Umbaru - zauważył Mały Krasnolud. - Czy ktoś się już wybiera do tych, jak im tam, Gór Szkieletów? - zapytał z przebłyskiem przeczucia, przenikliwym spojrzeniem obrzucając Torina i Folka.

- Nie zapominaj, po co się tu wybraliśmy - przypomniał przyjacielowi hobbit.

- O Wielki Durinie! - jęknął Malec, ścisnąwszy głowę rękami. - I za co to wszystko - czyżby kara za miłość do piwa? Za co nasłałeś na mnie tych dwu szaleńców, po co mi dałeś takich przyjaciół? Przecież ciągle pakują się w jakieś sprzyjające utracie głowy miejsca - a ja, chcę tego czy nie, wlokę się za nimi, bowiem musi im towarzyszyć choć jeden zdrowy na umyśle tangar!

- No, no! - Torin nie powiedział już nic więcej, machnął tylko ręką, przyzwyczaiwszy się do dziwactw ziomka.

- Ktoś musi pomóc Eowinie dostać się do Umbaru oświadczył Folko nieznoszącym sprzeciwu tonem. - I nie ma o czym gadać! Raz już ją porwano... Brakowałoby tylko, żeby teraz ją po prostu zabili, jeśli nas dogonią! Słyszycie mnie, o tangarowie?!

- Nigdzie nie pójdę! - Eowina prychnęła jak rozjuszona kotka. - Za nic!

- Jak to sobie wyobrażasz, bracie hobbicie? - niewinnym tonem zapytał Torin, z wielkim zainteresowaniem przyglądając się ostrzu swego topora. - Że jeden z nas porzuci pozostałych i powlecze się do Umbaru? I tam będzie sobie spokojnie popijać piwko w oberżach - fatalne piwko, należy powiedzieć sobie szczerze, właściwie nie można tego nazwać piwem! - łapać muchy sobie będzie i głośno narzekać na nudę?! Chcesz skazać jednego z nas na taką mękę? Ty, nasz stary przyjaciel?

- Torinie! - Hobbit aż kipiał ze złości. - Nie rozumiesz, że Eowina nie może tu pozostać? Czy w twojej tępej krasnoludzkiej łepetynie wszystko już się pomieszało z powodu picia bez umiaru piwa?

Torin spurpurowiał, na policzkach zadrgały wzgórki mięśni, a ogromne pięści zacisnęły się. Zawsze tak wyglądał przed najokrutniejszymi bitwami.

- Czy ty aby nie uznałeś, ty... - zaczął krasnolud i zapewne wszystko skończyłoby się poważną awanturą, gdyby hobbit nie opanował się pierwszy.

- Torinie, opamiętaj się! Przecież to właśnie owo szaleństwo, które dręczy Haradrimów i pierzastorękich! Rozumiesz czy nie? Mały, pomóż mi!

Malec działał, jak zwykle, szybko i bez namysłu. Chwyciwszy kociołek z wodą, w mgnieniu oka wylał ją za kołnierz Torina. Ten ryknął jak dziesiątka balragów jednocześnie - tak że Ragnur, skrzywiwszy się, zawisł na jego ramionach, mało uprzejmie usiłując zamknąć mu usta.

- Zwariowałeś, krasnoludzie! - krzyknął Khandyjczyk wprost w ucho Torina.

Na ryczącym tangarze zawiśli Ragnur i Malec, chwilę potem dołączył do nich Folko. I - czy to podziałała wylana przez Stroriego woda, czy jeszcze coś innego, ale Torin nagle jakoś zwiotczał, opuścił ręce i przestał się wyrywać.

- Już, przyjaciele, już koniec. - Przetarł twarz szeroką dłonią, jakby ściągał z niej obrzydliwą pajęczynę. - Już mi przeszło... Uff!...

- Nie wolno nam się sprzeczać, czy nikt tego nie rozumie? - powiedział hobbit z wyrzutem. - Owszem, na nas to coś działa słabiej - ale działa i tak, i tak. Po prostu popodcinamy sobie gardła, jeśli zaczniemy się kłócić z byle powodu...

- No właśnie - poparł go Malec. - Zatem może ty byś ustąpił na początek?

Eowina popatrzyła błagalnie na Folka. Ten, nie wytrzymawszy jej spojrzenia, odwrócił głowę.

- Eowino... Myśmy wiele przeżyli, wędrujemy i walczymy od dziesięciu już lat... A ty nie masz na razie ani sił do tego, ani doświadczenia... Będziemy musieli przez cały czas myśleć nie o tym, jak spełnić nasz obowiązek - dobrowolnie na siebie wzięty - ale o tym, jak ustrzec cię przed niebezpieczeństwem. Popełniłem ogromny błąd... Już tam, w Rohanie... kiedy zgodziłem się, żebyś wędrowała z nami...

- Sprzeczacie się, kto wróci z osławioną wojowniczką Eowina. Mogę to być tylko ja - oświadczył spokojnie Ragnur. - Mój tan polecił mi pomóc ją uwolnić i wracać z powrotem. Nie dostałem rozkazu wędrowania z wami do Dalekiego Haradu - a wiecie, jak się karze u nas za niewykonanie rozkazu tana, któremu przysięga się dobrowolnie i służy bez przymusu...

- Innymi słowy - stchórzyłeś - powiedział wolno Malec, czyszcząc paznokcie koniuszkiem sztyletu.

W następnej chwili na ramionach Khandyjczyka zawiśli Torin i Folko - wraz z Eowina.

- Przyjaciele, przyjaciele! - krzyknął rozpaczliwie hobbit, gdy mokry Torin doprowadził Ragnura do przytomności tym samym, jak wcześniej doprowadzono jego, sposobem - wylewając nań drugi kociołek wody.

- Ktoś musi pójść po wodę - skończyła się, a czuję, że pooblewamy dziś się wzajemnie - zauważył Malec.

Ragnur, prychając niczym kocur, grzebał w worku w poszukiwaniu suchego odzienia.

- Słusznie - mruknął, wyciągając koszulę. - Słusznie, bracie Folko - pozabijamy się wzajemnie... Ponieważ teraz jest tak, że każde słowo sprzeciwu staje się śmiertelną obrazą...

- Czy rozumiesz już, po co chcemy pójść do Dalekiego Haradu? - zapytał wprost Torin.

- Nie rozumiałem... póki nie poczułem tego na własnej skórze - uśmiechnął się krzywo Khandyjczyk, uwalniając się od kolczugi.

- No to widzisz chyba też, że nijak nam bez ciebie? - napierał krasnolud. - To nie północne ziemie... tu nawet trawa jest inna!

Ragnur opuścił głowę, oddychał ciężko, w blasku księżyca jego czoło lśniło od potu.

- Poczekaj, Torinie, poczekaj! - opamiętał się Folko. - Jeśli tak, to kto odprowadzi Eowinę do Umbaru?

- Nie pójdę do żadnego Umbaru! - poderwała się dziewczyna. - Raz mnie schwytali, ale klnę się na Eowinę Wielką, której imię noszę, że drugi raz to się nikomu nie uda! A co, zresztą, może być lepszego od śmierci w słusznej sprawie?

- Och, te dziewuszki, które się nasłuchały bohaterskich ballad! - westchnął hobbit.

- Przestań, Folko. - Torin klepnął go w ramię. - Tak nie wolno. Wiek to nie przeszkoda w godnym życiu. Mamy wolny wybór. Pomyśl, co by się stało, gdyby zabronił ci iść moim śladem twój wujaszek Paladyn - niech jego dusza odpoczywa w spokoju na drugim brzegu Grzmiących Wód!

Hobbit spuścił głowę. Krasnoludy to krasnoludy, nic się na to nie poradzi. Każdy jest kowalem swego losu - co chcesz, to rób. To zapewne rezultat rządów silnej ręki ich podziemnych władców - tam, w starych, liczących niejedno tysiąclecie miastach...

Z resztką nadziei zerknął na Ragnura, ale Khandyjczyk, jak gdyby nigdy nic, już nakładał na siebie kolczugę.

Eowina nagle pokazała Folkowi język.

1 Sierpnia, Druga Po Południu,
Dziewięć Mil Na Południowy Wschód
Od Hrissaady

Od czterech dni, niczym nabrzmiałe wodą rzeki wczorajszych niewolników, a dziś już jakby wojowników Wielkiego Tcheremu, płynęły na Południe, do granic Haradu. Dumnemu mocarstwu groziła wojna z niewiadomego pochodzenia hordami dziwnych przybyszów. Kobiety szły wraz z mężczyznami, karmiono wszystkich lepiej, ale oków na razie nie zdejmowano. Pojawili się też haradzcy półtysięcznicy, tacy, którzy znali Westron, każdy otoczony dwudziestoma- trzydziestoma wojownikami z najbliższej ochrony. Setnicy i dziesiętnicy pochodzili z niewolników.

- Z tą bandą mam wojować! - Wziąwszy się pod boki dowódca - Haradrim w pełnym rynsztunku bojowym - zatrzymał się przed zgrupowanymi dokoła Szarego niewolnikami.

Karma dla ścierwników! - Splunął z obrzydzeniem. - Dlaczego tu jest tylu starców? - zapytał półtysięcznik nie wiadomo kogo. - Dlaczego ciągną ich na południe? Czy może ktoś sądzi, że jestem ślepy? Przecież połowa z nich nawet nie umie trzy mać broni!

Była to prawda, choć nieco przesadzona. Wśród dwóch setek niewolników, którzy trzymali się Szarego, ze trzydziestu rzeczywiście nie nadawało się do szyku - howrarscy starcy, schwytani przez zuchów Starcha i hurtem sprzedani w Umbarze wraz z silnymi, zdrowymi i młodymi. Czekały ich zabójcze kopalnie, gdyby nie... gdyby nie Szary i dziwna ślepo ta, która poraziła nadzorcę, który wybierał kopalnianych skazańców...

Haradrim obrzucił znieruchomiały tłum uważnym spojrzeniem doświadczonego wojownika. I jak podziemna żyła wodna przyciąga witkę poszukiwacza źródeł, tak spojrzenie Tcheremczyka wczepiło się w oblicze Szarego. Dowódca bezbłędnie wyczuł w tym nierzucającym się w oczy niemłodym mężczyźnie prawdziwego przywódcę. I znowu, jak na drodze, którą przemierzała karawana z Umbaru do Hrissaady, rozległo się gwałtowne:

- Ty! Jak zwą? Ile lat? Skąd pochodzisz?

Szary spokojnie zrobił krok do przodu. Głowę miał dumnie uniesioną, ręce skrzyżowane na piersi.

- Zwą mnie Szary - odparł niezbyt głośno, patrząc uważnie na Haradrima. - Skąd pochodzę? Z Minhiriathu. Ile lat? Nie liczyłem. Nieważne to.

- Skoro cię pytają, wielbudzi flaku, masz odpowiadać, klęcząc! - rozgniewał się

Haradrim. Jego ręka już się zacisnęła na rękojeści szabli.

- Nie nauczono mnie klęczeć. - Głos Szarego nawet nie zadrżał.

- W takim razie, to bydlę harde - poćwiartować - polecił dowódca umyślnie wolno i spokojnie, dając znak otaczającym go wojownikom, i natychmiast powtórzył - już dla swojego otoczenia - polecenie w ojczystym języku:

- *Grar'doa chir! Rezar'g! Nassir'g!**[3]

Szary ani drgnął.

- No to koniec, wykończą... - szepnął ktoś za jego plecami. Jednakże, jakkolwiek cichy był to szept, rybak usłyszał go i odwrócił się. Czterysta oczu patrzyło nań ze strachem i nadzieją.

- Postaram się, by im się to nie udało - powiedział z zimną krwią i ponownie się odwrócił.

Dwaj Tcheremczycy znajdowali się już obok niego. Jeden brutalnie chwycił Szarego za prawy nadgarstek, wyraźnie szykując się do wykręcenia ma ręki - tradycyjny chwyt haradzkich nadzorców - jednakże Szary, wyraźnie ustępujący im i wzrostem, i posturą, stał tak, jak wcześniej. Z równym powodzeniem strażnik mógłby próbować wyrwać gołymi rękami stuletni dąb. Na pomoc pierwszemu strażnikowi pośpieszył drugi - z takim samym skutkiem.

Ich dowódca spurpurowiał. Szabla z cichym świstem wyfrunęła z pochwy. Przez tłum niewolników przemknęło ciche westchnienie.

Szary zrobił krok do przodu, strząsnąwszy z siebie wojowników jak niedźwiedź psy. Jeden z nich, niczym kłoda, runął w pył drogi, wprost pod nogi rybaka. Pochyliwszy się, Szary wyrwał przytroczoną do jego pasa szablę - żelazny łańcuszek pękł jak przegniły sznurek. Przez chwilę niewolnik uważnie wpatrywał się w broń... a potem jego twarz wykrzywiła się, jakby z bólu, i niespodziewanym gwałtownym ruchem złamał szablę wraz z pochwą o kolano.

Niewolnicy jęknęli.

Haradrim tak samo błyskawicznie bladł, jak przed chwilą purpurowiał. Smagła skóra południowca poszarzała, na czoło wystąpił pot.

- Mogę być dobrym wojownikiem - powiedział wolno Szary, patrząc mu w oczy. - Udowodniłem to.

Dowódca spazmatycznie przełknął tkwiącą w gardle kulę.

Szary spokojnie westchnął.

- No dobrze, widzę, że rzeczywiście jesteś silny - rzucił przez zęby Haradrim. - Ale nie

[3] Brać go! Zabić! Poćwiartować! - j. haradzki.

okazałeś szacunku i musisz być ukarany. W naszym wojsku za to dostaje się tuzin batów.

Nie spuszczając oka z dziwnego niewolnika, Haradrim sięgnął po przytroczony do prawego biodra długi bicz.

Szary nadal się nie ruszał. Ale niewolnicy widzieli, że jego plecy nagle zalśniły od potu. Powaleni na ziemię strażnicy stękali, podnosząc się. Z lękiem zerkając na Szarego, pośpiesznie usunęli się na boki. Ten, którego szabla została połamana, po złodziejsku zerknąwszy na Szarego, chwycił odłamki i odskoczył.

Świsnął bicz, owinął się dokoła ramion Szarego. Ten drgnął, ale nie wydał ani dźwięku i nie poruszył się.

- Raz - usiłując nadać głosowi poprzednią pewność, liczył dowódca. - Dwa... Trzy... Cztery... - Razy spadały jeden po drugim, tryskała krew, ciężki bicz z ostrymi krawędziami rwał skórę na plecach i ramionach. Szary milczał, choć pięści mu zbielały, i raz, nie wytrzymawszy, zgrzytnął zębami.

Haradrim odliczył dwanaście razów. Nieoczekiwanie Szary opuścił się na jedno kolano niczym szlachetny gondorski arystokrata przed królem:

- Przyjąłem karę.

Powiedział to twardo, bez najmniejszego drżenia w głosie - jakby plecy i brzuch nie ociekały mu krwią.

Dowódca roześmiał się z przymusem. Nie rozumiał, co się dzieje, ale nie był głupi i postanowił poczekać.

- Tak, przyjąłeś karę, godnie wytrzymałeś ból. Jesteś prawdziwym wojownikiem i będziesz odtąd setnikiem! Dziesiętników wybiorę później! - Haradrim pośpiesznie wskoczył w siodło i dał ostrogi koniowi.

Kawalkada zniknęła przesłonięta wzbitym z drogi pyłem. Dopiero teraz Szary mógł sobie pozwolić na słabość i zwalił się na ręce śpieszących doń niewolników.

1 Sierpnia, Trzecia Po Południu,
Sześć Mil Na Południowy Wschód
Od Hrissaady

Popas Folka i jego towarzyszy nie był spokojny. Gdzieś nieopodal, według słów Ragnura, przebiegał jeden z głównych haradzkich traktów i teraz ciągnęło nim stale wojsko. A bokami, nie wiadomo czego się obawiając w sercu własnych ziem, węszyły konne patrole Haradrimów, czasem zapuszczając się głęboko w zarośla. To były tereny myśliwskie władcy Wielkiego Tcheremu, nadętego z dumy po długo oczekiwanym upadku Gondoru.

- Tu starają się nie wspominać Olmera - zauważył półgłosem Ragnur. - Przyjemniej im jest, gdy przekonują siebie, że sami osiągnęli zwycięstwo... A właśnie - że Minas Tirith znowu jest gondorskie, i to od dawna - też się nie mówi... Co za kraj, niech go pochłoną wody zesłane przez Morskiego Ojca!

Z powodu tych patroli - a Folko od razu wyczuł, że coś tu jest nie tak - musieli kilka razy zmieniać miejsce dziennego postoju, niedostrzegalnie dla nikogo przemieszczając się głębiej w zarośla. Ragnur, który miał sokoli wzrok, zauważył kilka drapieżnych ptaków krążących nad lasem, ale czy były to wysłane na poszukiwania nocnych mącicieli spokoju tropiące sokoły, czy nie, powiedzieć nie mógł.

- Lepiej uważajmy, że nas szukają - zaproponował hobbit.

- Tak jest, i nie ruszymy się z miejsca, póki wszyscy dokoła nie pójdą sobie. Mnie się tu podoba, a w manierce zostało mi jeszcze stare gondorskie. Dobrze, żeś Folko, tam, w Minas Tirith, domyślił się i zajrzeliśmy do piwniczki!... Znakomite wino tam było przechowywane, królewskie, słowo daję! Nie gorsze od piwa, żebym padł! Tak, ale piwko by było... - Mały Krasnolud ze smutkiem pokiwał głową.

- Przestań marzyć! - ofuknął druha Torin. - Jeszcze coś wykraczesz, niech nas Durin strzeże...

Tym razem nie usłyszeli ani trzasku krzewów, ani podnieconego szczekania gończych psów. Nic nie poruszyło się, nie zaszeleściło, po prostu między nimi, bezszelestnie - niczym elf Thranduila - pojawiła się wojowniczka Tubala.

Nawet w długiej kolczudze, włożonej na grubą koszulę, była smukła i silna, jak młode drzewko, już dysponujące własnymi siłami i dwukrotnie wyższe od sadownika, który je posadził.

- O, ho, ho!... - zdołał wykrztusić Malec, rzucając się do broni, ale wyprzedziła go Eowina:

- Tubalo! Poczekaj! Po co mamy się bić?! Przecież mnie uratowałaś!

- Odejdź, dziewczynko - rzuciła ozięble młoda wojowniczka. W pełnym, choć lekkim rynsztunku, z obnażoną szablą, uważnie wpatrywała się w hobbita - i tylko w niego. Jednakże Folko nie wątpił, że widzi przy tym również każdy ruch Torina i Malca, i Ragnura...

Khandyjczyk nie zwlekał. Jego szabla, znacznie dłuższa i cięższa od tej, leżącej w dłoni Tubali, połyskiwała matowo. Dobra stal, może nie z podziemnych kuźni, ale i tak mocna.

- Przyszłam - powiedziała dźwięcznym głosem Tubala po to, by was zabić. Będę walczyła ze wszystkimi naraz albo z każdym po kolei - mnie jest bez różnicy. Wyprzedziłam wysłanych w celu schwytania was gwardzistów - ale władca otrzyma wasze głowy, tyle że nie od swych zapasionych dupasów, co tylko potrafią muchy tłuc w wartowniach, ale ode mnie!

- Po co tyle słów, dziewczyno. - Folko zrobił krok w jej kierunku. Zdążył włożyć hełm z mithrilu i zostało mu tylko opuścić przyłbicę. - Ileż słów, i to jakich! Ale zapomniałaś: jest wojna, a nie turniej. Nas jest czworo...

- Pięcioro! - krzyknęła oburzona Eowina.

- Pięcioro - poprawił się hobbit. - Pięcioro, a ty sama. Masz nadzieję pokonać wszystkich?

- Właśnie tak! Nawet jeśli czcigodny połówieczek zajdzie mnie od pleców, jak jeden z jego słynnych ziomków na Polach Pelennoru! - rzuciła z pogardą Tubala.

- Ona chyba zwariowała. - Malec ruszył do przodu. Jego miecz i daga połyskiwały. - Po co z nią gadamy, Folko? Tu, w Haradzie, wszyscy mają trochę nie po kolei. Na dodatek to światło...

- Ja bym ją rozbroił, zabijać nie ma potrzeby według mnie - zauważył spokojnie Torin, też unosząc topór.

- Posłuchaj, a nie mogłabyś nas oświecić, dlaczego właściwie chcesz nas zabić? - zapytał hobbit, nie dotykając nawet miecza.

- Kiedy już będziesz się walał na ziemi z rozprutym brzuchem, to może ci powiem, wolno nawijając twoje flaki na mój kindżał! - odparowała dziewczyna.

- No, w takim położeniu raczej nie będę cię słuchał uważnie. - Folko uśmiechnął się, ciągle mając nadzieję, że uda się uniknąć awantury. Wyraźnie mieli do czynienia z szaloną dziewczyną, a takich się nie bije i nie zabija, choć mogą być niebezpieczne...

- Postaram się, byś posłuchał - zapewniła go wojowniczka.

I w następnej chwili zaatakowała go.

Nigdy jeszcze dotąd Folko nie zetknął się z takim przeciwnikiem. Szczupła i krucha na oko dziewczyna dysponowała siłą i kunsztem Sandella; jej szabla tak mocno uderzyła w klingę Folka, że ten, omal nie utraciwszy broni, ledwo ustał na nogach. Obca klinga zahaczyła o kolczugę; metal zgrzytnął oburzony, jakby odzwyczajony od odpierania wrażych ciosów.

Torin, Malec i Ragnur rzucili się ze wszystkich stron na Tubalę. Z szaleńcami nie ma co się pojedynkować, trzeba ich wiązać - dla własnego dobra.

Wojowniczka broniła się po mistrzowsku - jej ruchy były odmierzone, dokładne, a klinga ani na mgnienie oka nie pozostawała za myślami. Żelazny wicher Malca rozbił się o niezbyt wyszukaną, ale precyzyjną obronę Tubali. Torin, stęknąwszy, uderzył swoim toporem, chcąc wybić szablę z jej ręki - ale ta, nawet nie mrugnąwszy okiem, sama podstawiła klingę i krasnolud, który tym uderzeniem przecinał osłoniętego zbroją przeciwnika od ramienia do pasa, zachwiał się i został odrzucony - a Tubala tylko się uśmiechnęła.

- Jest gorsza od garbusa! - wyrwało się Małemu Krasnoludowi.

Zamigotała, zlawszy się w szary wichrowy okrąg, szabla Ragnura. Khandyjczyk był, jak się okazało, znakomicie wyszkolony w posługiwaniu się klingą - i Folko, wykorzystawszy odpowiedni moment, runął pod nogi dziewczyny. Za chwilę na powaloną wojowniczkę rzucili się wszyscy razem.

Tubala zawyła jak ranna wilczyca. Otrzymawszy solidny kopniak w pierś, odleciał na bok Malec; Torin przeklinając osłabił chwyt; i kto wie, jak skończyłaby się ta potyczka, gdyby nie wmieszała się w końcu Eowina. Dziewczyna wczepiła się palcami w gardło Tubali i w czasie gdy ta usiłowała oderwać jej wczepione w swoją szyję palce, Malec, Torin i Folko z Ragnurem zdołali spętać mieszkankę Południa.

- Uffff... - Malec zrzucił hełm. - Ale historia! Gdzie się rodzą takie cuda?

- Nigdy się tego nie dowiesz, niedomiarku! - Tubala syczała i pluła, miotając się w pętach niczym pantera. - Nigdy nie pokonalibyście mnie, słyszycie? Tylko podłością możecie pokonać...

Nikt jej nie odpowiedział - po prostu nikt nie zdążył. Nowa walka rozgorzała, zanim jeszcze tak naprawdę zakończyła się poprzednia.

Nienadaremnie krążyły tu te ptaszyska - zdążył pomyśleć Folko. Ze wszystkich stron nadchodzili Haradrimowie.

Jak zdołali podejść niezauważeni, jak mógł hobbit, zawsze tak wyraźnie przeczuwający zagrożenie, nie wyczuć ich nadciągania - nikt w tym momencie nie wiedział. Po prostu

nadszedł czas walki.

Być może przyjaciołom udałoby się ponownie przebić przez szeregi wrogów - ale okazało się, że Haradrimowie szybko się uczą. Tym razem było ich znacznie więcej, przybyli zakuci w ciężkie pancerze, rośli, prawdziwi giganci, od stóp do głów zakryci żelazem i ogromnymi - niemal ludzkiego wzrostu - tarczami.

Dziko wrzasnęła, wijąc się w pętach, Tubala - usiłowała sięgnąć węzłów zębami - najwyraźniej nie miała złudzeń również co do swego losu.

Krzyk ten, przepełniony niemal zwierzęcym i jakimś nieziemskim smutkiem, echem odezwał się w duszy hobbita. Cokolwiek o niej mówić, to właśnie Tubala uratowała Eowinę... zdradziła władcę Haradu, i nie można było porzucać jej, bezbronnej i bezsilnej... Zanim sam zrozumiał, co robi - ostrze jego miecza dwukrotnie przemknęło po więzach wojowniczki, uwalniając ją.

Ale potem wściekły wir walki rozdzielił ich. Nie udało się uratować koni. Teraz można było postarać się tylko o jedno za wszelką cenę rozerwać śmiertelny pierścień wrażych tarcz.

- Razem! - ryknął Torin. Ale nawet mocarz krasnolud musiał ustąpić miejsca hobbitowi - przeciwko zakutej w pancerz sile konieczna była zręczność.

- Eowino, nie zostawaj! - z kolei ryknął hobbit.

Znalazłszy się na czele szyku, Folko zanurkował pod miecz najbliższego pancernego, skoczył za brzeg ogromnej tarczy i wyrzucił do przodu rękę z mieczem, celując w szczelinę w pancerzu. Stal znalazła dla siebie drogę, Haradrim z wrzaskiem runął na plecy, i zanim jego towarzysze zdążyli zewrzeć szereg, cała piątka znalazła się po drugiej stronie zaganiaczy.

Są tacy, którzy uważają krasnoludy za niezgrabne i powolne istoty, ale to są ci, którzy nie widzieli w akcji przedstawicieli tej podziemnej rasy. Kiedy trzeba, tangarowie potrafią biegać, i to bardzo szybko. Teraz właśnie była taka chwila prawie prześcignęli szybkiego jak kuna Ragnura.

Obcy las za wszelką cenę starał się nie dawać schronienia uciekinierom. Ciężkie, duszne powietrze, jak żądny krwi wampir, wysysało z piersi oddech i siły. Korzenie wypełzały z ziemi w najmniej oczekiwanych miejscach, usiłując chwycić w swoje pętle stopę i powalić. Drogę przegradzały nie wiadomo skąd biorące się albo niespodziewane parowy, albo szerokie strumienie o bagnistych brzegach czy nagle wyrastające niemal na środku bagien wzgórza.

Ale udało im się oderwać od ciężkich haradzkich pancernych. Oderwali się - ale tylko po to, by stanąć twarzą w twarz z kolejnym zagrożeniem.

- Eowino!!!

Przed nimi, połyskując metalem zdobionych pancerzy i dumnymi złotymi herbami na purpurowych tarczach, nadciągał drugi łańcuch.

Tu poradził sobie, przewodzący teraz grupie, Torin. Tcheremczycy nie zdołali zewrzeć szeregów, potyczka była jeden na jednego, i krasnolud z nieoczekiwaną zręcznością nagle cisnął swój, zupełnie do tego nieprzeznaczony, bojowy topór. Mając całkiem inne wyważenie niż broń do miotania, topór ze świstem przeleciał nad tarczą Haradrima i ugrzązł w przyłbicy. Wojownik jęknął, upuścił tarczę - i już obok stał Malec, jednym ruchem dagi dobijając rannego.

Przebili się raz jeszcze. Ale Eowina miała mniej szczęścia. Haradrim z prawej był nieco bardziej roztropny i odważniejszy, niżby się tego chciało, i Eowina chwyciła za broń, osłaniając tyły przyjaciół. Ale rozpaczliwy wypad jej dziecinnej szabelki został sparowany kantem ciężkiej tarczy, a w następnej chwili dziewczyna została uderzeniem tarczy rzucona o ziemię. Co prawda, gibka i zręczna jak kot poderwała się od razu na równe nogi, ale między nią i towarzyszami wędrówki wyrosła ściana tarczowników.

Nie było innego wyjścia.

- Eowino, uciekaj! - odwróciwszy się, Folko zaatakował prześladowców.

Za nim, rycząc z wściekłości, uderzyły krasnoludy.

Czasu było mało, bardzo mało - ale jednak wystarczyło go, by, powaliwszy jeszcze jednego z haradzkiego szeregu, dać dziewczynie możliwość ucieczki. Może i nie ma dokąd uciec ale i tak lepsze to niż niewola! Przecież nie będzie spokojnie czekała, aż narzucą jej arkan na szyję!?

Znowu rozpaczliwy skok. Dobrze, że mithril jest znacznie lżejszy od stali, pozwala zachować siły podczas długiego biegu...

Psy straciły trop - na szczęście Ragnur zachował kilka garści niszczącego psi węch ziela.

Eowino, Eowino, co mamy teraz robić?! Gdzie cię szukać?!

2 Sierpnia, Wczesny Ranek,
Dwadzieścia Pięć I Pół Mili Na Południowy Wschód Od Hrissaady,
Obóz Niewolników

Szary nie mógł zasnąć. Do pobudki miał jeszcze niemało czasu, jego oddział spał, spał też cały ogromny obóz niewolników, których nie wiadomo dlaczego haradzcy dowódcy uparcie nazywali „wolnymi wojownikami Wielkiego Tcheremu".

Nieopodal zaskrzypiały koła ogromnych wozów, które przywoziły do obozu wodę z najbliższych studzien. Wodę wydzielano skąpo, nie wystarczało jej dla wszystkich, i dokoła beczek nieustannie wybuchały bójki. Zaczęli się ruszać niewolnicy pilnujący wozów - ci mają pędzić do beczek, ledwie te się zatrzymają.

Szary energicznie podniósł się z legowiska. Nikt mu tego nie kazał, ale co rano robił obchód swojego oddziału, jakby pamiętając jakiś mocno wbity w pamięć wojskowy rytuał. Wyglądało, że to zajęcie nie ma sensu - ale ludzie czuli się pewniej, jeśli pierwszą rzeczą, jaką widzieli obudzeni chrobotaniem skórzanej grzechotki, była postać Szarego, w milczeniu dokonującego obchodu placyku, zajętego przez stu swoich.

- Już, już, dowódco. - Dwaj chłopcy nieco mocniej zbudowani od innych, podtrzymując łańcuchy kajdan, pośpieszyli z wiadrami do beczek. Nikt ze śpiących jeszcze się nie poruszył - czekał ich ciężki dzień, i każdy starał się do końca wykorzystać wydzielony im przez panów wypoczynek.

Przemierzając teren, Szary znalazł się nieopodal granicy obozu. Na rogach rozlokowały się warty Tcheremczyków, ale ogrodzenia dokoła nie było. Mimo kuszącej bliskości krzewów nikt nie próbował uciec. Zbyt świeże były w pamięci wrzaski tych, którzy kiedyś zaryzykowali. Psy gończe i sokoły migiem ich znalazły. Kara była okrutna: schwytani umierali nad dyszącymi żarem węglami, a idące obok kolumny niewolników posępnie patrzyły na kaźń... Wszyscy mieli nadzieję, że tam, gdzie spotkały się armie Haradu i nieznane hordy południowych przybyszów, będzie lepiej. Powinni im przecież dać broń, w końcu! I rozkuć... A wtedy zobaczymy kto kogo...

Tak, czy też niemal tak, myślała miażdżąca większość niewolniczego wojska, które powoli i niezgrabnie posuwało się coraz bardziej na południe...

O jakieś pięć kroków od krzaków Szary zatrzymał się. Nie, nawet mu przez myśl nie przeszło, żeby uciekać, choć pozostawione przez bicz półtysięcznika blizny mocno bolały. Po

prostu - tam, w gęstwinie, zauważył chyba jakiś ruch - jakby ktoś przedzierał się przez plątaninę krzewów, ostatkiem sił, rozpaczliwie starając się ujść depczącej po piętach pogoni.

A pościg naprawdę się zbliżał. Szczękała broń, chrypiały i rżały wierzchowce; haradzcy myśliwi zręcznie i nieubłaganie wypędzali ofiarę na skraj lasu.

Szary zamarł, przysłuchiwał się. Obóz lada chwila powinien zostać obudzony, ale dokoła wszyscy ciągle jeszcze spali, wysysając resztki nocnego wypoczynku. Wartownicy Haradrimowie leniwie przeciągali się na swych posterunkach - Szary, który stał niedaleko od krzewów, nie wzbudzał ich zainteresowania. Nigdzie nie zniknie - w kajdanach, zresztą. A jeśli i z głupoty spróbuje uciec - od tego są psy.

Ofiara pogoni tymczasem zbliżała się do Szarego, pędziła resztkami sił. Prosto do miejsca, w którym stał.

Liście drgnęły i rybak zobaczył ładniutką, choć podrapaną i posiekaną gałęziami, wymęczoną twarzyczkę młodej dziewczyny. Złociste włosy splątały się. Wielkie szare oczy przepełnił strach - dziewczyna zobaczyła przed sobą zakutego w kajdany człowieka, a nieopodal - haradzkich łuczników. Ale z tyłu dopędzała ją pogoń, na twarzy uciekinierki pojawiła się rozpacz i rezygnacja. Szary zobaczył, że wyjęła z pochwy lekką szablę.

Wtedy samym wzrokiem polecił jej:

„Chodź tu do mnie!”.

Wartownicy obojętnie gapili się na boki. Odgłosy pościgu zbliżały się i uciekinierka podjęła decyzję. Jednym skokiem pokonała dzielącą ich odległość i znalazła się przy Szarym. Nie mówiąc ani słowa, pchnął ją w kierunku leżących na ziemi, śpiących jeszcze ludzi. Skinęła głową - i, szybko przykrywszy brzegiem odzienia wspaniałe złote włosy, natychmiast udała śpiącą.

Nikt niczego nie zauważył. Tylko dziesiętnik, wśród ludzi którego Szary ukrył dziewczynę, zerknął na niego i kiwnął głową. Skoro setnik tak postąpił - widocznie tak trzeba.

Rozległ się trzask w krzakach. Wartownicy natychmiast unieśli łuki - ale od razu je opuścili. Z zarośli wypadła kawalkada tcheremskich myśliwych; na długich smyczach prowadzone były psy. Dowodzący polowaniem na niewolnika krzyknął coś do strażników, i wcale nie trzeba było znać haradzkiego, by zrozumieć, że pyta: „Nie pojawiła się tu?...”.

Wartownicy zgodnie pokręcili głowami - nie widzieliśmy, nic nie wiemy. Psy natomiast niespodziewanie zaskowyczały, zaparły się łapami w ziemię - nie chciały się ruszyć.

Szary uważnie popatrzył na nie.

Dowodzący pościgiem splunął, wściekle ryknął na kręcącego się obok końskich kopyt

psa i wykonał na koniu zwrot. Za nim, poganiając konie, popędziła reszta polujących.

Szary wolno odwrócił się do zarośli plecami. Jego twarz była dosłownie zlana potem. Wydawać by się mogło, że przed chwilą przetaszczył na własnym grzbiecie dobrą setkę ciężkich tobołów.

Całe to zajście trwało zaledwie kilka minut.

I chwilę potem rozległ się sygnał pobudki.

3 Sierpnia, Centrum Haradu

Nie ma potrzeby tłumaczyć, że Folko i jego towarzysze byli w rozpaczy. Nikt się nie odzywał. Ukrywszy się w ciemnym, zarośniętym jarze, wyszukanym przez Ragnura, milczeli solidarnie jak zaklęci. Żaden nie miał sił ani chęci otworzyć ust. Malec coś szeptał, zacisnąwszy pięści - ni to przeklinał najgorszymi słowy, ni to wzywał na pomoc praojca Durina... Torin po prostu milczał - ale twarz jego mogła w tej chwili przestraszyć śmiertelnie wszystkich dziewięciu Nazguli z Sauronem na dodatek. Najspokojniej wyglądał Ragnur - Khandyjczyk mocno wierzył w przeznaczenie. Zrobili wszystko, co mogli, a nawet więcej. Wszechpotężny Los zrządził inaczej - więc nie ma co się teraz zabijać! Widocznie Eowinie sądzone jest pozostać w Haradzie...

W końcu Khandyjczyk przerwał grobową ciszę:

- Musimy uciekać. I to szybko. Oni zorganizują nowe polowanie, a my nie mamy ani zapasów, ani wierzchowców. Północny szlak na pewno zostanie szczelnie zamknięty. Dlatego musimy uciekać tam, gdzie się nas nie spodziewają - na południe.

Słowa padały z jego ust wyraźnie i zdecydowanie, jakby Ragnur wszystko już przemyślał i nie miał wątpliwości, jak należy postępować.

- Na południe? - Folko popatrzył na niego. - Słuch mnie nie myli? Na południe?

- Właśnie tak. - Khandyjczyk stuknął pięścią w dłoń. Tam nas nie czekają. Konie i wszystko inne zdobędziemy na wrogach. A potem - do morza!

- Tak, złożymy sobie tratwę i popłyniemy - zakpił Malec.

- Jeśli potrzeba przyciśnie nas do muru - może i popłyniemy. Jeżeli, oczywiście, chcesz wrócić do Umbaru - powiedział Ragnur poważnie, bez cienia uśmiechu. - My, Morski Lud, mamy swoje sekrety. Tak więc, jeśli dotrzemy do określonego miejsca na wybrzeżu i wyślemy sygnał - ktoś nas zabierze. Pierwszy okręt, jaki się nadarzy.

- Jak to? - zaciekawiło to Folka.

- Zobaczysz - nie wdawał się w szczegóły Eldring. - To jest jedna z naszych tajemnic.

- Rozumiem - powiedział, przeciągając głoski, Folko. A Eowina niech sobie ginie? Tak?

- Los nam nie sprzyja - wzruszył ramionami Khandyjczyk. - Zrobiliśmy wszystko, co mogliśmy. Ale jeśli powiesz mi, że to nieprawda, że możemy jeszcze coś zmienić - zgodzę się z tobą!

Hobbit spuścił głowę. Wszystko przepadło! I drogocenne naczynie z napojeni Drzewobroda też. Nie sięgnie teraz Eowiny nawet w myślach, nie dowie się, gdzie ona jest... A zresztą nie ma co żałować tego, co niemożliwe! Konie przejęli Haradrimowie, można o wierzchowcach zapomnieć. Jak i o bagażach w sakwach przy siodłach. Dobrze przynajmniej, że broń została przy nich...

Milczał, nie znajdując słów, żeby odrzucić okrutną prawdę Ragnura. Rzeczywiście - co może wywalczyć teraz ich czwórka, pozbawiona wszystkiego? Niechby nawet w walce zdobyli wierzchowce - co dalej? Pościg natychmiast uczepi się ich pleców. Poza tym - co mogą zdziałać tam, przy morzu? Sekretne sygnały Morskiego Ludu? Ile będą musieli czekać na odpowiedź?

- Nie możemy odejść - powiedział Torin spokojnie i poważnie, patrząc prosto w oczy Khandyjczykowi. - Nie możemy - powtórzył. - Ty uczynisz, jak zechcesz. Odejdź, jeżeli ci pozwala twoje sumienie i honor.

Ragnur poderwał się na równe nogi, jego oblicze zalała purpura, sięgając głębin oczu, ręka wyszarpnęła do połowy szablę z pochwy.

Mały Krasnolud natychmiast stanął naprzeciw niego, z mieczem i dagą w gotowości.

- Stójcie, przestańcież! - Folko rzucił się do rozdzielania człowieka i krasnoluda, gotowych wczepić się sobie w gardła. - Zupełnie powariowaliście! Ragnurze! Mały! Torinie! Zapomnieliście, z czym mamy do czynienia?

- A bo on... - razem wypalili Khandyjczyk i Strori.

- Każdy powiedział, co myśli - odezwał się z powagą hobbit. - Nie możemy się wzajemnie sądzić. Każdy sam wybiera dla siebie drogę. Będzie nam ciebie bardzo brakowało, Ragnurze, ale jeśli tak zdecydowałeś - idź. Zostaniemy tu i albo zginiemy, ratując Eowinę, albo dokonamy tego. Powrót bez niej jest dla nas gorszy od śmierci. Ot, i wszystko. I nie ma się o co bić... - zakończył zmęczony.

Torin ponuro skinął głową na znak zgody. Malec schował broń. Także Khandyjczyk zdjął dłoń z rękojeści. Przez chwilę panowała głęboka cisza.

- To szaleństwo... - wycedził w końcu przez zęby Ragnur. - Szaleństwo, ale... A, wszystko mi jedno! Zostaję! - I od razu, jakby nie było żadnej kłótni: - A jak macie zamiar szukać naszej zaginionej?

Folko, Torin i Malec jednocześnie i głęboko westchnęli. Udzielić odpowiedzi nie mógł nikt.

4 Sierpnia,
Dziewięćdziesiąt Mil Na Południowy Wschód Od Hrissaady,
Obóz Niewolników

Nie tak łatwo jest ukryć nowego niewolnika, skoro codziennie rano i codziennie wieczorem odbywa się sprawdzanie stanu osobowego. A na dodatek wszyscy dokoła są w kajdanach, a ten nowy nie. I na domiar nieszczęścia, jest to jedyna złotowłosa dziewczyna w ogromnej niewolniczej karawanie.

- Rohanka! - pisnęła jakaś młoda niewolniczka - z plemienia Heggów, sądząc po wydłużonym owalu twarzy, ostrym podbródku i nieco skośnych oczach.

- Rohanka! - podchwyciło kilka głosów.

Przez szeregi oddziału Szarego, w którym, o ile policzono by kobiety, byłoby tak naprawdę dwadzieścia dziesiątków niewolników, przetoczył się głuchy pomruk: „Rohanka...", „Rohanka...", „Rohanka...", „bydlę"... Dokoła Eowiny błyskawicznie powstał pusty krąg. Kobiety wściekle syczały, mężczyźni zerkali z nienawiścią.

Dziewczyna miała wzrok zaszczutego zwierzęcia. Od momentu, gdy znalazła się wśród niewolników, czuła, jakby zalała ją nagle obca zła wola. Nie mogłaby nawet wytłumaczyć, co skłoniło ją do zrobienia tego decydującego kroku z zarośli na spotkanie Szarego. Może, gdyby potrafiła przeczekać tam, w krzakach, uszłaby pogoni i zdołała odszukać przyjaciół... A teraz ukrywa się w tłumie wczorajszych wrogów, wśród tych, którzy śmiertelnie nienawidzą jej zwycięskiej ojczyzny, stepów zielonego Rohanu i dumnego, wiecznego cwału białego rumaka na jej sztandarach... Eowina czuła, że tylko szabla, którą schowała w okrywających ją łachmanach, w jakie obficie zaopatrzył ją Szary, powstrzymuje pozostałych niewolników od natychmiastowego ataku - skoro setnik nie pozwolił wydać jej ochronie...

W nocy bała się spać. Co ją uratuje, jeśli ci wszyscy brudni Heggowie, Howrarowie i inne dzikusy, zalewający w czasie wojny zachodnie ziemie, w ciemnościach rzucą się na nią? Nie pomoże ani szabla, ani krótki sztylet, który ukrywała za szerokim pasem.

Szary zauważył to. Kiedy po pierwszej nieprzespanej nocy zataczająca się Eowina stanęła w szeregu, natychmiast znalazł się obok niej.

- Nie spałaś - powiedział, nawet nie pytając. - Dobrze. Dzisiaj położysz się ze mną.

Zaczerwieniła się. Ona, dziewczyna wojowniczka, usłyszała po prostu: „Kładź się ze mną!".

Szary zerknął na nią - i Eowina odwróciła wzrok. Rozumiał wszystko. Bez słów, od jednego spojrzenia. I jego wzrok odpowiadał - nieco ironicznie i jednocześnie uspokajająco: „Nie wygłupiaj się, dziewczyno, nie wygłupiaj”.

Na kobietę setnika nikt, rzecz jasna, nie śmiał podnieść ręki. Szary utrzymywał w swoich szeregach surowy ład. Dwa czy trzy razy na początku musiał użyć pięści - najmocniejsi, najzdrowsi mężczyźni walili się nieprzytomni na ziemię.

Złote włosy Eowiny pokryła teraz gruba warstwa szarego wyschniętego błota. Cała twarz również została zasmarowana na szaro. Na nogach i rękach brzęczały kajdany - nieprawdziwe, rzecz jasna. Łańcuchy to skuteczna broń w doświadczonych rękach, i w niewolniczym wojsku nie walały się bezużytecznie gdzie popadło, ale Szaremu udało się zdobyć dla siebie odpowiednie pęta. Pochodzący nie wiadomo skąd łańcuch był stary i zardzewiały, bez żelaznych bransolet, musiał więc po prostu owinąć go dokoła nadgarstków i kostek. Haradrimów mogło wprowadzić to w błąd tylko z daleka...

Rybak o nic nie wypytywał dziewczyny. Chronił - tak, bronił - tak; ale zupełnie nie interesował się ani nią, ani tym, jak się znalazła w haradzkich lasach, o setki mil od Rohanu... To Eowina nie wytrzymała:

- Dokąd idziemy?

Zapadał wieczór. Obóz przygotowywał się do noclegu. Trakt przecinał rzadki las i wchodził w senne, upalne gęstwiny, gdzie drzewa sięgały niebios. Ale jakież to były drzewa! Nigdy dotąd Eowina nie widziała takich. Kora olbrzymów tonęła w strumieniach oplatających szczelnie pnie lian, okrytych z kolei wspaniałymi barwnymi kwiatami. Ciemnozielone mięsiste liście jakby rozpychały się, zachłannie dążąc ku słońcu. Panowała duchota - i było bardzo wilgotno. Tcheremscy przewodnicy kilka razy obeszli całe wojsko, uprzedzając: niechby nie wiadomo jak chciało się pić, to używać można tylko wody przywożonej w beczkach. Leśne strumienie i rzeczki, takie miłe i czułe, niosą śmierć...

Im dalej na południe, tym mniej szans na powrót do domu, tym mniej szans, że mistrz Holbytla i jego przyjaciele odszukają ją...

- Dokąd idziemy?

Eowina leżała na gołej ziemi. Obok na plecach, ze skrzyżowanymi rękami na piersi (co za dziwna, niewygodna pozycja!), wyciągnął się Szary.

Nie odpowiedział. Tylko niemal niezauważalnie poruszył głową - nie wszystko ci jedno? I tak nic nie da się w tej chwili zmienić.

- Ja tak dłużej nie mogę! - wyrwało się dziewczynie.

- Nikt nie może - odezwał się cicho Szary. - Ale wszyscy idą.

- Dokąd? Dokąd, co tam nas czeka?

- Tam nas czeka wojna. - Szary leżał zupełnie nieruchomo, jak nieżywy. - Będziemy walczyć... za Wielki Tcherem.

Nie wiadomo, czy mówił serio, czy żartował.

- Wojna? Przecież nie można walczyć w okowach?!

- Będziemy pierwsi - odpowiedział beznamiętnie rybak.

- A broń?

- Sądzę, że trzeba będzie ją zdobywać na wrogu. Tak więc twoja szabla nam się przyda.

- Zdobywać? - nie mogła uwierzyć Eowina. - Gołymi rękami?

Szary nie odpowiedział.

Na ziemię opadała noc. Daleko na południu, za lasem, na skraju nieba pląsały i wiły się olbrzymie białe błyskawice, ale w obozie nie słychać było żadnych odgłosów grzmotów. Dziwna jakaś ta burza...

Eowinę przebiegł dreszcz, jakby zmarzła - choć dokoła wszystko tonęło w gorącym, dusznym, przesyconym fetorem gnijących bagien powietrzu. Było ono nieruchome, upalne jakby zły duch tych okolic złym okiem zerkał na tych, którzy wtargnęli do jego włości; ludzie bezskutecznie starali się odszukać dla siebie choćby najmniejszy powiew powietrza.

Dziewczyna zwinęła się, zakrywając głowę rękoma. Głupia, głupia, nieszczęsna wariatka! Co ona sobie wymyśliła... Jak ładnie wszystko wyglądało w marzeniach! Połyskujący zbrojami szyk piechoty, niczym lawina pędzące pułki jazdy, włócznie i strzały, ciała pokonanych wrogów - wszystkie, co do jednego, wstrętne, nieludzkie - a ona w kolczudze, spływającej po ciele, jak woda, z uniesionym mieczem, pędząca co sił na pierzchające na sam jej widok wraże hufce... I co ma zamiast tego? Najpierw porwanie i niewola, seraj władcy Tcheremu, potem Tubala, wyciągająca ją z pułapki, jak kocię z przerębli, potem mistrz Holbytla i jego przyjaciele, dla których okazała się być tylko niepotrzebnym ciężarem, a na koniec głupia ucieczka i szczyt wszystkiego - karawana niewolników!

Oczywiście, Eowina nie szła w okowach. Każdej nocy mogła spróbować szczęścia - zarośla kusiły bliskością. Jednakże dziewczyna wiedziała, że tym razem daleko nie ucieknie. Karawana była starannie strzeżona. I mimo że tcheremskich strażników nie było aż tak wielu, to główne niebezpieczeństwo stanowiły lotne oddziały myśliwych ze specjalnie wyszkolonymi psami i sokołami - właśnie oni nie pozwalali, by karawana rozbiegła się po okolicy. Ci, którym starczyło odwagi, by spróbować się ukryć, zapłacili za to straszną cenę. Niewielu było takich,

którzy chcieli pójść w ich ślady.

No i te lasy... Obce, niezrozumiałe, w których śmierć czai się na każdym kroku, w których wszystkie drzewa, wszystkie krzewinki i bylinki są nieznane, gdzie nie wiadomo, co można zjeść, gdzie przytulić głowę, żeby nie obudzić się w brzuchu nocnego drapieżnika...

A na dodatek Szary. Jego oczy, dziwne, niemrugające powiekami, dość często zatrzymywały się na Eowinie - a wtedy dziewczynę przeszywały dreszcze. Była na siebie zła: dlaczego drżę? Z jakiego powodu? Szary nie był ani olbrzymem, ani siłaczem, ani szczególnie złym człowiekiem. Niemłody, zupełnie siwy... mógłby być starszym bratem ojca Eowiny... Niczego szczególnego nie było w tym człowieku: zwyczajna twarz, zwyczajne oczy, nieco wyblakłe, a przecież jak popatrzy - strach człowieka ogarnia. Jakiś dziwny człowiek... jakby martwy.

Jednakże rybak nie wiadomo jakim sposobem całkowicie panował nad dwustu oddanymi mu pod rozkazy ludźmi. Wystarczyło, by spojrzał, rzucił słowo czy dwa - i koniec. W oddziale Szarego nikt się nie bił o kęs jedzenia, nie gwałcił kobiet, jak to miało miejsce w sąsiednich oddziałach. Niemłody przywódca dziwnym jakimś sposobem zawsze pojawiał się tam, gdzie tego wymagała sytuacja. Eowina była cała i zdrowa tylko dzięki niemu.

Dziewczyna nie rozmawiała z nikim. Plecy płonęły od nienawistnych spojrzeń innych niewolników, jakby to ona, dlatego, że urodziła się w Rohanie, była winna ich niewoli. Nie miała złudzeń, że gdyby tylko spróbowała ucieczki, znalazłoby się aż nadto chętnych, by donieść o tym strażnikom. Nawet Szary by nie pomógł...

Noc, rozłożywszy na całym nieboskłonie swe skrzydła, Opadła na cichnący obóz. Jak puchacz na nietoperza.

Eowina przymknęła powieki. Niech się dzieje, co chce.

5 Sierpnia, Ranek,
Cytadela Olmera

Błysnąwszy krótko, miecz werżnął się w bok uszytego z trzech byczych skór wora, wypełnionego po brzegi piaskiem, w który zazwyczaj pięściami i stopami tłukli nowi poborowi, szkolący się w walce bez broni. Piasek wychwytuje i tłumi każde uderzenie, ale dłoń trzymająca miecz okazała się silniejsza. Ostrze rozcięło „świnię" na dwie części: górna część wisiała nadal na linie, dolna plasnęła pod stopy miecznikowi. Piasek bryznął na wszystkie strony.

- Widziałeś? - zapytał miecznik skrzypiącym, zimnym głosem.

Na szerokim dziedzińcu szkoły wojskowej, jeszcze pustym i cichym, obok majtających się jak wisielcy skórzanych worów z piaskiem, stali dwaj wojownicy. Jeden, wcale nie stary jeszcze, wysoki, postawny, w bogatym, choć nieco zbyt wyszukanym jak na skromne miasteczko odzieniu: malinowa, haftowana złotem peleryna, jasnopurpurowa koszula, wysadzany rubinami pas tangarskiej roboty, karminowe zamszowe buty z odwiniętymi cholewami - a cholewy zdobione cienkimi złotymi łańcuszkami, za pasem - nieoczekiwanie prosty miecz, w wysłużonej pochwie i z rękojeścią zupełnie nierzucającą się w oczy. Obok mężczyzny odzianego w rozmaite odcienie czerwieni stał przysadzisty garbus w wytartej kurtce skórzanej, w czarnej pelerynie i czarnych butach z grubej skóry. W ręku trzymał dziwny wygięty miecz, zupełnie niepodobny do zachodnich.

- Nie jestem ślepy - rzucił z rozdrażnieniem człowiek w purpurach. - Co mi chciałeś przez to udowodnić, Sandello? Jesteś mi potrzebny tu. Zabraniam ci opuszczać Cytadelę! W ogóle, nie rozumiem, jak mogło ci to przyjść do głowy? Wkrótce nadejdzie jesień, Dorwagowie zbiorą plony - i dokąd, jak sądzisz, się wybiorą? Czy aby nie tu?

- Nie trzeba było ruszać tej dziewczyny, Olwenie. - Spojrzenie zmrużonych oczu najwierniejszego współtowarzysza Olmera było ciężkie.

- Władco Olwenie! - Mężczyzna gwałtownie poprawił starego miecznika.

Wąskie, blade wargi garbusa nieco drgnęły. Lodowate spojrzenie niemal zniknęło pod przymkniętymi powiekami.

- Nie trzeba było ruszać tej dziewczyny, władco Olwenie. To, w końcu, córka jednego z dorwaskich seniorów. Słowo „władco" akcentował szczególnie.

- Będziesz mnie pouczał, starcze? - poderwał się syn Króla Bez Królestwa.

Sandello wolno i starannie włożył miecz do pochwy. Wyprostowawszy się, na ile mu pozwalał garb, przejechał brązową dłonią po pomarszczonej i pokrytej bliznami twarzy. Odetchnął.

- Jeśli władcy Olwena nie potrafię już niczego nauczyć to po co mnie tu trzymasz?

- A kto będzie dowodził?! - oburzył się Olwen. - Może te szczeniaki? - Z rozdrażnieniem wskazał ruchem głowy na szkołę wojskową.

- Władca Olwen, który nie potrzebuje już moich lekcji, oczywiście - beznamiętnie odpowiedział Sandello.

Ten spochmurniał i przygryzł wargi. Widocznie obecny władca Cytadeli Olmera nie uważał za konieczne ukrywanie swych uczuć.

- Sam sobie nie poradzę. Jesteś tu koniecznie potrzebny, by uderzyć w odpowiednim momencie! Kto lepiej od ciebie będzie wiedział, kiedy nadeszła taka chwila?

- Czy to znaczy, że władca Olwen odmawia mojej prośbie? - lodowatym tonem zapytał garbus.

- Odmawiam, odmawiam, czy to nie jest jasne? - prychnął Olwen. - A rozpłatany przez ciebie wór stanowi kolejny dowód na to, że wypuszczać cię to to samo, co wysypać złoto w przydrożny pył!

Kącik wąskich ust drgnął. Sandello niezręcznie ukłonił się, odwrócił plecami do Olwena i odszedł. Maszerował zgięty i nawet jakoś przechylony, tak że koniuszek pochwy pozostawiał w kurzu wąską bruzdę. Olwen przez jakiś czas, skrzywiony, jakby go bolał ząb, patrzył za nim, a potem głośno gwizdnął. We wrotach pojawił się stajenny, trzymający za uzdę wierzchowca władcy.

8 Sierpnia, Południowy Zachód Haradu

...Jakże drży i tłucze się to niewidzialne, leżące na ziemi słońce! Tam, przed nimi, za pnącymi się ku chmurom grzbietami gór, za szerokimi przestrzeniami lasów, za bagnami i rzekami, za murami i twierdzami - tam, na południu, bije, płonie ono, a przed jego promieniami nie ma gdzie i jak się ukryć. Na razie jeszcze nie wszyscy to zauważają - ale z każdą chwilą przenikają one coraz mocniej i sięgają coraz dalej. Nadejdzie taki czas, kiedy sięgną najbardziej oddalonych zakątków Śródziemia - a wtedy już nie uratuje się nikt. Nie będzie „jasnych" ani „ciemnych", ani dobrych, ani złych, ani elfów, ani orków - dlatego, że wszystko, co żyje, zetrze się w straszliwej wyniszczającej bitwie, jeszcze straszliwszej niż Dagor Dagorrath, ponieważ - w odróżnieniu od Ostatecznej Bitwy - będzie ona całkowicie bezsensowna, okrutna i zakończy się dopiero wtedy, gdy polegną wszyscy, co do jednego, wojownicy, ponieważ każdy będzie walczył z każdym. Ale czym jest to Światło? Z jakiego tajnego pieca Melkora - czy Aule'a - bije ono? Kto, jak i, co najważniejsze, po co rozpalił, tam na odległych rubieżach, w jakim celu? Czy naprawdę - by oczyścić ziemię ze wszystkiego, co na niej żyje?...

Hobbit otworzył oczy. Dokoła głucha ciemna noc. Obok malutkiego ogniska siedział Malec, trzymając obnażony miecz na kolanach. Nad głową pokrzykiwały nieznane ptaki.

- Mały! - Folko uniósł się na łokciu. - Kładź się. Teraz moja kolej.

Mały Krasnolud nie kazał sobie tego powtarzać. Mruknąwszy pod nosem coś w rodzaju: „Dokoła spokój" - zsunął się z pieńka przy ognisku, zrobił krok w bok, zwalił na opuszczoną przez Folka derkę i po krótkiej chwili już zaczął sapać przez nos.

Hobbit obszedł ich mały obóz. Khandyjczyk Ragnur spał, wyciągnąwszy się jak gotowy do skoku leopard - Folko widział kiedyś takie zwierzę w cudem ocalałym z wojennej pożogi zamku Etchelion. Wiedział, że przewodnik poderwie się na równe nogi, gdy tylko pościg da się słyszeć w oddali. Torin, syn Dartha, też spał - toż zdziwiłaby się dumna starszyzna Haldor Caisa, gdyby wiedziała, gdzie zaniosło beztroskiego poddanego! Palce Torina nawet we śnie zaciskały się na rękojeści topora. Wargi krasnoluda poruszały się, wypowiadał czyjeś imię; przez cały czas, przez całych tych dziesięć lat - jedno i to samo, wciąż to samo...

Na razie jeszcze się trzymamy - pomyślał Folko. - Szaleństwo jakby odstąpiło od nas. Spróbowało raz i dało sobie spokój... Co nam pomaga? Jaki talizman? Ostrze Otriny czy pierścień Forwego?... Czy może coś innego?...

Zastanawiał się, a uszy i oczy, niezależnie od myśli, trzymały straż, wychwytywały

niemal niezauważalne szelesty w miarowym oddechu nocnego lasu. Niby dokoła spokojnie, ale... coś nie tak... Do haradzkich wartowni daleko. Pościg?... Nie... Chociaż, po tym jak zaskoczyli ich Haradrimowie gdy zaginęła Eowina - czy można ufać swoim zmysłom?... Hobbit czynił sobie wielkie wyrzuty za ten wypadek - jak mógł tak przegapić moment! No nic, teraz już za późno na takie rozważania. Raz wyciągnęli Eowinę z haradzkich łap, drugi - nie udało się... A żeby zachować choć resztki dumy, należy udać się na Północ, gdzie armie Eodreida i Morskiego Ludu zetkną się w śmiertelnym boju z mieszkańcami minhiriackich równin... Z wrogami... Dość! - hobbit plasnął dłonią w kolano. Opamiętaj się, jacyż to wrogowie? Wrogiem był Sauron... był Olmer... A Hazgowie, Heggowie, Howrarowie i inni - to nieszczęśnicy, zaślepieni, doprowadzeni do szaleństwa przez bijące od Południa Światło... Fałszywe, rzecz jasna, Światło. Światło rozgrzanych do białości szczypiec w rękach kata. Światło, które rozpaliło wstrętną czarną moc. I on, Folko, winien za wszelką cenę dotrzeć do jego źródła! Cokolwiek stać by się miało! Bo w innym wypadku... przyjdzie zabijać wszystkich tych biedaków tylko po to, by samemu nie zginąć...

Hobbita oblał zimny pot.

Bo to wszystko było gorsze od Saurona. Gorsze od Olmera, bowiem ten, gdyby udało mu się zwyciężyć, niewątpliwie poszedłby drogą Ar- Farazona Złotego, ostatniego numenorskiego władcy, nic więcej. Ale jeśli to promieniowanie będzie zalewało Śródziemie swoją niewidzialną truciznę... Przekleństwo - jesteś sam na odludziu, nie ma kogo zapytać, nie ma już Radagasta, który naprowadzał na właściwy trop, nie ma mędrca Forwego ani Wielkiego Orlangura - obojętnego, ale pomagającego wszystkim - i dobrym, i złym, byle nie zatrzymała się przemiana Światów... Koniec, nie ma nikogo. Pierścień księcia Avarich, choć odżył, ale niezupełnie - do Wód Przebudzenia nie da rady sięgnąć...

Znowu, jak w czasie szalonej Pogoni za Olmerem - wstrętna szara mgła przed oczami. Można ją ciąć mieczem, można przeszyć strzałą - wszystko na próżno. Zostaje tylko jedno wlec się na oślep.

W skroniach pulsowała krew. Przedbitewny szał zalał duszę hobbita, wypełnił ją nowymi siłami. Folko znieruchomiał, zacisnął pięści i mocno zmrużył oczy. Wydawało mu się, że otaczający mrok powoli staje się szarym półświatłem, że on sam jakby szybuje nad ziemią - nawet bez napoju Drzewobroda. Las pozostał na dole; pnie drzew zmniejszyły się, wyglądały jak koszmarne kopie szkieletów ze sterczącymi na boki kościanymi rękami- gałęziami. Hobbit wznosił się coraz wyżej i wyżej, i widział: gęstwiny dokoła niego są puste, tylko drapieżniki węszą i szukają żeru, tcheremski pościg gdzieś się zgubił. Co prawda, niecały. Jeden jedyny

jeździec uparcie wlókł się po tropach uciekinierów. Szczupła, raczej drobna postać, wcale niepodobna do haradrimskiego wojownika... Czyżby to ciągle była namolna Tubala?...

Zresztą, jak na razie jeszcze jest daleko. Popatrzmy lepiej o tam...

Stop! Co to znowu?! Droga? Tak... właśnie tak... I... ludzie na drodze! Tcheremskie wojsko? Ciekawe, dokąd się kieruje... Ale niech lepiej idzie sobie, gdzie chce, byle dalej od granic wycieńczonego, rzuconego już na jedno kolano Gondoru... I... Nie - stop! Tam, na drodze!

Hobbitowi wydało się, że traci rozum. Tam... w szarym tłumie, nagle mignęły mu, lejące się złotą strugą niczym płomienie na wietrze, włosy Eowiny! Pokryte błotem w celu odwrócenia uwagi - ale czy można oszukać elficki pierścień?

9 Sierpnia, Wielki Step,
Droga Od Cytadeli Olmera Na Południe

Wytrzymały konik bez pośpiechu kłusował przed siebie, po niekończących się wielkich easterlingowych stepach. Wielu, zbyt wielu odeszło z tych okolic w poszukiwaniu lepszego życia na Zachodzie, pod sztandarami króla Olmera; wróciło bardzo niewielu. Większość ocalałych osiadła w Amorze, założywszy nowe królestwo. Rodziny ich powoli także przeniosły się na Zachód, a pozostałych tu, wiernych obyczajom przodków, było zbyt mało, by step, jak ongi, ciemniał plamami niezliczonych tabunów. Rzadko trafiały się obozy i osady, a jeszcze rzadziej można było spotkać w nich młodzież. Starcy, choć nikt ich nie krzywdził przy podziale łupów, spoglądali na gościa pochmurnie, z łaski cedząc przez zęby obowiązkowe według praw gościnności słowa. I to wszystko dotyczyło wędrowca, dobrze znanego w tych okolicach.

Garbusa Sandello.

Wyjechał z Cytadeli w nocy, zmyliwszy czujnych wartowników. Chłopaczki! Czy tacy potrafią go upilnować! Ech, Olwenie, Olwenie... Chciałeś uderzyć - uderzaj. Wsadź do lochu, zakuj w łańcuchy, a stawiaj na straży bezwąsych chłopaków, przekonanych, że garbaty szermierz może swoją klingą zaledwie od much się opędzać.

Blade wargi wykrzywił niby- uśmiech. Nie zabił żadnego durnia z ochrony. Jednemu wystarczy skaleczone biodro, drugiemu zranione ramię. Młode ciała, pozarastają się szybko. „A w kość nie trafiłbym" - tak, zapewne, mógł pomyśleć Sandello w chwili, kiedy ręka jego dotknęła pary noży do miotania wiszących na pasie.

Bano się go. Plotka pędziła przed nim, wyprzedzając znacznie starego wojownika. Ustępowano mu najlepsze miejsca w namiotach, i on sam, potrafiący kiedyś spać w dowolnym miejscu, na zimnie i wietrze, chcąc nie chcąc, garnął się teraz do ciepła.

Prawie nie odzywał się do nikogo. W milczeniu przyjmował poczęstunek i, wydawało się, nie obchodzą go ani kłujące spojrzenia, ani gwałtowne słowa - wszystko to już na granicy przyzwolenia przez stary obyczaj. Kładł tylko w poprzek kolan miecz w wytartej starej pochwie - a na plecach garbusa przytroczona była druga klinga, dokładnie owinięta szarymi szmatami.

Niekiedy zatrzymywał się na szczycie jakiegoś wzgórza i stał długo znieruchomiały, wpatrując się w horyzont na północy. Ale niczego, prócz trawiastego morza i nieba,

zlewającego się gdzieś tam, poza granicą widzenia, z wielkim wschodnim stepem, nie widział. Czasem dostrzegał nieliczne figurki jeźdźców zawsze otoczonych wianuszkami jucznych wierzchowców czy nawet wozami o wysokich burtach - easterlingowski lud przenosił się na nowe miejsce. Kto mógł uwierzyć, że jeszcze nie tak dawno z tych okolic wylewała się fala niebywałego najazdu, fala, która wywróciła i pogrzebała pod sobą wieczne, wydawało się, mocarstwa?... Zresztą, Gondoru, tak naprawdę do końca nie dobili...

Nie zawsze wieczorem udawało mu się znaleźć stanowisko Easterlingów. Wtedy garbus, stękając, urządzał się na nocleg w jakiejś ustronnej niecce czy zarośniętym parowie. Węchem, nieustępującym zwierzęcemu, odnajdywał wodę. Podróżował na dwu wierzchowcach; napoiwszy konie, jadł co popadło, z zapasów, nie rozpalając ogniska. Niepętane konie ochraniały pana lepiej od ostrych psów.

Mrok zmywały ulewy słonecznych strzał, ale Sandello już wcześniej siedział w siodle. Na bladym obliczu garbusa żywe były tylko oczy, tylko oczy. Cała reszta przypominała nieruchomą maskę. Nie uśmiechał się. Nie cieszyła go ani zieleń równin, ani poświstywanie małych ptaków, ani kołyszące się na wietrze fale trawiastego morza. Przez te lata garbus jeszcze bardziej wyszczuplał, właściwie - wysechł, jego policzki zapadły się, nos wyostrzył; na głowie - same siwe włosy, a i tych, aż śmiech bierze, zostało niewiele. Do licznych blizn z walk doszły zmarszczki; staruch i tyle, taki powinien siedzieć na zapiecku i przeżuwać bezzębnymi dziąsłami, przecierając nimi podaną przez żonę młodszego wnuka kaszę...

Jednak mało kto wiedział, że wzrok Sandello ma ostry jak w młodości. Że jego ręce, które nie leniły się ani przez jeden dzień życia, z łatwości rozegną podkowę, zwiną w rurkę monetę, zawiążą gwóźdź na supełek; że jego nóż do miotania trafi w wąską szczelinę przyłbicy z dwudziestu kroków; i że przez dziesięć lat od śmierci Olmera garbus Sandello ani razu nie został pokonany. Nigdy i przez nikogo. Prócz... prócz tej trójki, ale o tym lepiej nie myśleć.

„Olwen... No, spotkamy się jeszcze z tobą, głuptasie. Spotkamy się na pewno kiedyś...".

Sandello podążał na południe. Sam. Ale - z dwoma mieczami.

9 Sierpnia, Wieczór,
Południowy Harad

- A ja ci mówię, że ona jest tam! - Rozgniewany Folko tupnął nogą. - Widziałem ją, rozumiesz?

- W haradzkim wojsku? - Malec z niedowierzaniem uniósł brew. - Oszalałeś, bracie hobbicie. Mało tego, że poderwałeś nas ze snu i przez cały dzień wleczesz przez te gęstwiny - to jeszcze na dodatek zaczynasz mówić od rzeczy! Jak mogła znaleźć się w armii Haradu?! Przecież zostałaby rozszarpana na strzępy!

- Ale jakoś nie została rozszarpana - odciął się hobbit.

Malec plasnął w dłonie, pozostali, Torin i Ragnur, z zainteresowaniem przysłuchiwali się ich sporowi.

- Tamtędy akurat przechodzi wojenna droga Haradrimów - zauważył Khandyjczyk. - Znam te strony kiepsko, ale co do Traktu nie mylę się. Bardzo prawdopodobne, że mogą to być Tcheremczycy. I Eowina, jeśli także została schwytana nie przez myśliwych władcy - oby mu bandzioch rozerwało z powodu niestrawności! - tylko przez zwyczajnych aptarów, wojowników.

- Nie rozumiem, Mały. Proponujesz, żeby ją tu pozostawić własnemu losowi? - nacierał tymczasem Folko.

- A może nie chciałeś jej porzucić, kiedy skierowaliśmy się do morza! - odgryzł się Mały Krasnolud.

Folko zarumienił się. Niby sam rozumiał, że nie mieli innego wyjścia, chyba że powrót do Hrissaady, do rozjuszonego gniazda os, na swoją zgubę, mając płonną nadzieję, że już schwytaną brankę wprowadzono ponownie do pałacowego więzienia. Czy nie stchórzyłeś, bracie hobbicie?

- Tak zdecydowałem. To prawda. Ale teraz tak sądzę, możemy ją uratować.

- A jeśli tylko ci się wydawało? Albo coś ci się pojawi w Wodach Przebudzenia, to co - tam nas poniesie? - nie ustępował Mały Krasnolud.

- Jak mi się coś przywidzi w Wodach Przebudzenia, wtedy będziemy o tym gadać - nachmurzył się Folko. - A na razie mamy do niej kilka dni marszu!

Malec wzruszył ramionami:

- Co mi tam... Pamiętam, co prawda, że śpieszyliśmy się do Rohanu, żeby na wojnę

zdążyć - ale niech będzie...

Krew uderzyła hobbitowi do głowy.

- Czy nie chcesz powiedzieć, że stchórzyłem?

- O co wam chodzi? O co chodzi?! - ryknął Torin, migiem rzucając się między przyjaciół. - Folko! Strori! Czy wyście powariowali?!

Malec chlusnął sobie w twarz kilkoma garściami wody.

- Spróbuj tego - pomaga - posępnie burknął do Folka. Co się wyrabia - naprawdę jesteśmy gotowi rzucić się sobie do gardeł?

- Jeśli nie będziemy trzymali się w ryzach - na pewno tak - rzucił podobnym tonem hobbit. - Dobrze, że na razie mamy kogoś, kto nas powstrzyma... Ale jeśli się wszyscy poddamy?

- Według mnie, po prostu nie powinniśmy się sprzeczać oświadczył rozsądnie Khandyjczyk.

- Jak to? - osłupiał Strori. - A jeśli ja z czymś nie będę się zgadzał?

- Zagryź zęby na rękojeści topora. Nie wolno nam się sprzeczać, rozumiesz? Ja mam wyprowadzić was do morza nie ma co się ze mną sprzeczać. A na dodatek mamy uratować dziewczynę - jeszcze raz... Skoro mistrz Folko uważa, że jest w wojsku Tcheremu, znaczy trzeba tam pójść. Jeśli to nie ona - po prostu stracimy cztery dni. To strata, ale nie śmiertelna. Natomiast jeśli to ona...

- Stracimy głowy... być może - krzywo uśmiechnął się Malec. - Ale - na wszystko jest wola Machala! Znasz drogę, Ragnurze? Prowadź więc, póki się nie rozmyśliłem!

10 Sierpnia, Obóz Niewolników

Straszna droga przez lasy dobiegała końca. Jeszcze dwa, najwyżej trzy dzienne etapy i wyrwie się z leśnych oków na przestrzenie urodzajnych stepów. Tam, pośród niezmierzonych zalewów traw, świeżo upieczonym obrońcom Tcheremu przyjdzie stanąć do pierwszego boju... w kajdanach.

Po zatłoczonej niewolniczymi karawanami drodze maszerowali nie tylko niewolnicy. Szerokim krokiem przemierzały ją oddziały piechoty, pędziły konne rozjazdy i oddziały - ale było ich mało, bardzo mało. Cały ciężar pierwszego uderzenia miał przyjść na niezborny tłum wziętych w Minhiriacie rabów. O wrogu Tcheremczycy nie mówili wcale; i powoli, powoli, ale coraz głośniej, niewolnicy zaczynali się burzyć. Gdzie obiecana broń? Gdzie normalne pożywienie? Już niewiele zostało do przejścia, a tylu z nich wciąż jeszcze nie odzyskało sił i wlecze się noga za nogą! Jak tacy mają walczyć?

Eowina powoli doszła do siebie. Urodzona w Rohanie, od małego przyzwyczajona do siodła, nie załamała się, nie pogrążyła w tępej obojętności, jak wielu jej towarzyszy. Kiedy spłynęło z niej oszołomienie pierwszych dni i nawet wzrok Szarego, jak jej się wydawało, stracił swą moc, Eowina znowu, i to poważnie, rozmyślała o ucieczce. Po co pędzą do walki takie tłumy niewolników? Przecież nie po to, by dzielili się z Tcheremczykami zdobyczą, wiadomo... Może wrogowie Haradrimów okażą się ich sprzymierzeńcami? Zresztą, na to było niewiele szans. Nie, jest przed nią tylko jedna droga - na północ, do Gondoru. Co prawda, przez niezmierzone przestrzenie wrogiego Haradu, ale sądziła, że gdy wojna wy buchnie z całą siłą, to i tej małej szansy na ucieczkę już nie będzie.

Zaczęła gromadzić chleb. Ostrożnie, by nie zauważyli tego inni, a szczególnie kobiety. Rzucą się tłumnie i co - zabijać je?... W głębi ducha miała nadzieję, że namówi do ucieczki także Szarego.

Niemal codziennie między rabami wybuchały sprzeczki, natychmiast przeradzające się w bójki. Haradzcy strażnicy nie mieszali się - ale i oni robili się coraz bardziej źli. Najmniejsze podejrzenie - i niewolnik ryzykował, że wpakują mu włócznię w bebechy. Na obóz jakby opadła niewidzialna sieć szaleństwa.

Wieczorem, kiedy znużona karawana w końcu się zatrzymała, a tego dnia konni Haradrimowie z niewytłumaczalnym okrucieństwem zmusili niewolników, by maszerowali jeszcze sześć mil, zanim pozwolili rozbić obóz, Eowina znalazła dobry moment i chciała

ostrożnie dotknąć łokcia Szarego.

Stał do niej plecami, ale, jak się okazało, chyba widział wszystko, co się dzieje dokoła: nagle zaczął mówić, zwracając się do dziewczyny, zanim jeszcze dotknęła jego ręki:

- Chcesz uciekać?

Eowina skamieniała. Powiedział to niezbyt głośno, spokojnym głosem, beznamiętnie.

- Z tobą - wykrztusiła, zebrawszy wszystkie siły.

Szary westchnął, opuszczając głowę, jakby przykro mu się zrobiło z powodu tępoty uczennicy.

- Uciekniesz na spotkanie wolnej i okrutnej śmierci - powiedział znużony. Jego usta niemal nie poruszały się i stojąca tuż obok Eowina musiała wytężać słuch, by zrozumieć wypowiadane słowa. - Tu można się uratować, tylko patrząc do przodu, a nie wstecz. Drogi powrotnej nie ma. Tam czyha jeszcze bardziej okrutna śmierć, straszniejsza niż śmierć od strzał i włóczni wroga na południu.

- Ale... przecież nas pędzą na rzeź!

Szary uniósł głowę i dziewczyna odruchowo odsunęła się: setnik wyszczerzył zęby niczym czujący zdobycz wilk. Wyblakłe oczy nagle ściemniały, a niezbyt szerokie ramiona wyprostowały się, jakby wzbierała w nich moc. Przed wystraszoną Eowina stał zupełnie inny człowiek - okrutny, bezlitosny, gotowy zabić nawet zębami, nawet pazurami.

- Na rzeź - skinął wolno głową. - Ale... zobaczymy jeszcze, kto kogo zabije!

- Chcesz wybić Tcheremczyków? - wyrwało się dziewczynie.

Szary uśmiechnął się:

- Tcheremczyków?... O nie. Na to nie wystarczy nam sił. Gdybym był sam... - Nagle urwał, ale jakby wcale nie dlatego, że powiedział za dużo, raczej sam zdziwiony swoimi słowami.

- To co wtedy? - jęknęła cicho Eowina.

- Zobaczysz - ponuro rzucił Szary. - Wiem, że musimy iść na północ, nie na południe. Ratunek jest tylko tam. Ratunek... i zemsta.

Była to chyba najdłuższa rozmowa Eowiny z Szarym.

11 Sierpnia, Granica Lasu I Stepu, Południowy Harad

- Ech, jakaż tu okolica piękna! - zachwycił się Malec, patrząc na rozciągający się przed nim widok.

Rzeczywiście - było czym się zachwycać. Od wschodu na zachód ciągnął się olbrzymi grzbiet. Między górami leżały szerokie zielone doliny. Z różowawych od słońca wiecznych śniegów w dół, na równinę, spływały niezliczone strumyki i rzeczki. Wśród porozrzucanych tu i tam wzgórz gdzieniegdzie połyskiwały błękitne plamy jezior. Ziemia błogosławiona.

Wybiegając z lasu, haradzka droga natychmiast zaczynała się rozgałęziać. Wszędzie widoczne były osady, pola uprawne i ogrody. Na równinie pasły się stada.

- Teraz musimy być ostrożniejsi - nie zapomniał ostrzec Ragnur. - Wszystko widać jak na dłoni... Łowcze sokoły Haradrimów są wspaniale ułożone.

- Kto powiedział, że kowadło ma młot pouczać? - rzucił zaczepnie Malec. - Co to, sami nie wiemy?

Khandyjeżykowi drgnął policzek, ale udało mu się opanować.

- Dość tego, Strori! - skrzywił się Torin. - Ragnur mówi do rzeczy. Raz się zagapimy i natychmiast nas capną.

Malec przetarł mocno twarz rękami.

- Sam nie wiem, co mnie opętało - przyznał nieco zawstydzony. - Te słowa, choć wcale tego nie chcę, same wylatują mi z ust!

- Wiadomo dlaczego - mruknął Torin, ale Mały Krasnolud rozjuszył się jeszcze bardziej.

- Nie wierzę! - wrzasnął, wyciągając miecz, jednym cięciem ściął niczemu niewinne drzewko. - Nie wierzę, żeby ktoś tak mną sobie rządził! Nawet z Olmerem... nie tak było! Co to ja jestem dla nich - lalka?!

- Nie jesteś lalką. - Folko po przyjacielsku położył mu dłoń na ramieniu. - Nie jesteś i zabawką, i my też - nie... Ale jeśli nie ugasimy tego ogniska - niewątpliwie jeden drugiemu w gardło się wczepi... o ile nie starczy sił, by wcześniej ze sobą skończyć.

- To ci dopiero śmieszna historia! - Malec uspokajał się powoli, ciężko dysząc. - Hej, Ragnurze! Ty, tego... nie złość się. Lepiej prowadź nas dalej.

- Ale dokąd? - zapytał Khandyjczyk. - Niech Folko powie, w jakim kierunku!

Hobbit posępnie milczał. Kierunek! Nie takie to proste...

- Musimy wziąć „języka” i porządnie go wypytać - odezwał się Torin. - Gdzie są wojskowe obozy i takie inne rzeczy... Wtedy będziemy mogli działać nieco pewniej...

- Patrzcie! - Malec przerwał mu, wskazując coś gwałtownie uniesioną ręką.

Z pobliskiej bramy leśnej na przestwór zielonego stepu wypełzał olbrzymi szary „wąż”. Haradzką drogę przemierzały szare kolumny ludzi - wcale nie wojskowe oddziały. Folko wpatrzył się w nie.

- Niewolnicy - powiedział po chwili. - Idą w kajdanach, po bokach tcheremska straż. Oho, niemało ludzi prowadzą!

Kolumna rzeczywiście nie miała końca.

- Oto masz odpowiedź - zauważył Khandyjczyk. - Idźmy za nimi! Widzę tam kogoś w złoconej zbroi...

Przebiegając z miejsca na miejsce, kryjąc się jak tylko można w rzadkich zaroślach, Folko i jego towarzysze podążali za kolumną rabów. Było to okropnie niewygodne i niebezpieczne, ale jedyne co mogli zrobić. Byle udało się dociągnąć w ten sposób do zmierzchu, a w ciemnościach... Fortuna sprzyja odważnym!

Niewolnicy - według najskromniejszych szacunków Folka było ich co najmniej pięć tysięcy - szli po Trakcie do samego wieczora. I dopiero gdy zgęstniał południowy zmierzch, marsz skończył się w bramie ogromnego warownego obozu.

- Na Młot Durina! - niemal jęknął Torin, patrząc, jak otwarte wrota połykają kolumnę po kolumnie. Ochrona, jak się okazało, też nie zamierzała spędzać nocy na otwartym terenie - mimo że wojsko jeszcze nie wyszło poza rubieże Wielkiego Tcheremu.

Obóz znajdował się w pewnym oddaleniu od osad i wsi. Malec z Ragnurem ruszyli, chcąc najpierw obejść obóz dokoła - i wrócili dopiero po północy. Torin i Folko umierali z niepokoju.

- Co najmniej piętnaście mil przedreptaliśmy, uf! - Malec zwalił się na ziemię. - Dadzą tu coś jeść głodnemu krasnoludowi czy nie?

- Dadzą, dadzą - mruknął Folko, pełniący, jak za starych czasów, obowiązki kucharza. Lasy obfitowały w dziczyznę choć nieco dziwną, jak na hobbita gust. Ale po dziesięciu latach wędrówek nauczył się, że należy jeść wszystko, co biega, fruwa, pływa czy pełza. Oto i teraz - kolacja wędrowców składała się ze schwytanej wczoraj przez Ragnura grubej szarej żmii. Malec niemal zwymiotował na widok takiej zdobyczy ale nic lepszego nie udało się upolować, i Mały Krasnolud, zacisnąwszy powieki, cicho klnąc, jadł ze wszystkimi, po omacku sięgając

łyżką do kociołka. Potem, co prawda, przestał i mrużyć oczy, i kląć. Mięso to mięso.

- Obóz jest naprawdę ogromny - wskazał ruchem głowy Ragnur. - Nigdy nie widziałem takiego. Jeden bok - cztery i pół mili! Ileż tam jest ludzi? I po co tyle, oto pytanie!

- Dowiemy się jutro. - Malec z wyraźnym żalem wylizywał łyżkę - kolacja była nie tylko późna, ale i skąpa. - Jak spotkamy inną kolumnę... to już nie przepuścimy.

Obóz wyglądał teraz jak nieco ciemniejsze wzgórze - tylko na wieżach strażniczych płonęły ognie sygnałowe. Folko z druhami urządzili sobie nocleg nieopodal, od nawietrznej może Haradrimowie mają w pogotowiu psie sfory?

- I nie zapomnijcie o Tubali! - uprzedził pozostałych hobbit. - Wcześniej czy później dotrze ona do nas...

- Niech mnie Durin oświeci - kim ona jest? - warknął Malec. - Za dobrze się bije!

- I czego od nas chce? Dlaczego nas nienawidzi? - Torin odruchowo poprawił swój topór.

- Może jesteście dłużnikami krwi? - zapytał Ragnur.

- Dłużnikami krwi? - powtórzyła jednocześnie cała trójka - Torin, Folko i Malec.

- No tak. Zabiliście jej przyjaciela... Czy może ojca albo brata - więc mści się - wyjaśnił chętnie Khandyjczyk. - Co to - mało z waszej ręki poległo ludzi? A Tubala dowiedziała się, kto zabił bliskiego jej człowieka... Nic innego nie przychodzi mi do głowy.

- Może tak być - mruknął Malec. - Ale nie za bardzo przypomina ona mieszkanki Południa... Powiedziałbym raczej, że jest z Północy... Może z Królestwa Łuczników...

- Na ziemiach Bardingów nie ma obyczaju krwawej zemsty - pokręcił głową Torin.

- No, może ona jest jakaś szczególna... - podsunął Ragnur.

- Dobra. - Folko ziewnął. - Walmy się spać... Jutro o świcie ruszamy na polowanie...

11 Sierpnia, Wielki Step,
Na Północny Wschód Od Mordoru

Sandello klęczał. Obok spokojnie szczypały trawę wierzchowce. Przed nim na rozłożonej derce leżało obnażone ostrze - właśnie to, które były współtowarzysz Olmera zazwyczaj nosił na plecach. Garbus wpatrywał się w miecz, splótłszy dłonie na piersi. Stary miecznik szeptał - namiętnie, gorąco, zapamiętale; nie odrywał wzroku od miecza.

Dopalał się zmierzch. Góry Czarne, północna granica Mordoru, zakrywały połowę nieba. Tam, za ciemnymi stromiznami, leżała pusta, jak i Wielki Step, ziemia - mało któremu z uczestniczących w Olmerowym pochodzie orków udało się wrócić do swych domowych pieleszy...

Nieoczekiwanie garbus wyprostował się. Jego miecz wymknął się z pochwy z zadziwiającą lekkością i gracją żmii.

- Udowodnię! - ryknął Sandello. Klinga głęboko weszła w ziemię, płonąc w wieczornych promieniach słońca, niczym ognisty miecz samego Tulkasa, Słonecznego Valara, w dniach dawno temu odbywających się Bitew Wielkich Bogów.

Ziemia stęknęła ciężko. Ponury i wściekły jęk gniewnego bólu rozległ się dokoła; wokół zatopionej w ciele ziemi klingi zakipiała ciemna krew. Twarz Sandella pobladła, ale garbus ani drgnął. Gwałtownym ruchem wyszarpnął pokryty czernią miecz.

- Udowodnię! - Uniósł poczerniałe ostrze, grożąc nie wiadomo komu - Zachodowi, Północy czy Południu.

Jak szalony wskoczył w siodło i ruszył cwałem przed siebie.

A na szczycie wzgórza po wetkniętym w ziemię mieczu pozostała wąska szrama wypełniona ciemną krwią. Tylko czyją?

12 Sierpnia, Świt, Obóz Niewolników
Na Południowej Granicy Haradu

Rogi posępnie odegrały pobudkę. Szary akurat zdążył położyć ostatnią garść rzadkiego błota na złociste kędziory Eowiny i sprawdzić, czy dobrze trzymają fałszywe łańcuchy.

- Stawać, wronia padlino, stawać w szeregu! - wrzeszczeli haradzcy heroldowie. Tcheremczycy, dowodzący swoimi półtysiącami, niespiesznie kierowali się do oddziałów; setnicy z szeregów niewolniczych szybko ustawiali swoje oddziały w szeregach.

- Dziś się wszystko zacznie... - usłyszała Eowina cichy szept Szarego. Podniosła wzrok i nie wytrzymała - odskoczyła. Wyblakłe oczy płonęły. Czarny wicher na mgnienie oka pojawił się w nich - i ponownie zniknął.

- Cco?... Co się zacznie? - dziewczynie plątał się język, ledwo wypowiedziała tych kilka słów.

- Wróg jest blisko - wytchnął Szary. Jego oblicze lśniło od potu. - Walka... jak nie dziś, to jutro.

Więcej niczego nie zdążyła Eowina od niego usłyszeć ryknęły trąby, pięciosetnik wrzasnął, stojąc w otoczeniu kilkudziesięciu ochroniarzy - szereg zamknięty, strzały na cięciwach, włócznie w pogotowiu:

- Słuchajcie mnie wszyscy! Okrutny wróg jest blisko! Nadszedł czas, byście okazali, że macie prawo do wolności. Za mną! Marsz!... Naprzód!...

Oddział za oddziałem, ogromna armia rabów Haradu a do tego obozu spędzono co najmniej sto tysięcy ludzi, zapewne wybrawszy z niewolniczych targów wszystko, co się dało, z Umbaru i wewnętrznych domen kraju - wypływała przez bramy.

- Broń!... Gdzie jest broń? - niosły się głosy nad nierównymi szeregami.

Eowina trzymała się blisko Szarego. Dłoń córki Rohanu dotknęła ukrytej w łachmanach szabli. Usiłowała przechwycić spojrzenie milczącego setnika, ale on nie wypowiedział już ani jednego słowa - tylko, mrużąc oczy, rozglądał się na boki.

Oddział Szarego wyprowadzono z obozu. Przed niewolnikami, płynnie obniżając się ku horyzontowi, leżała obszerna, ozdobiona kilkoma wzgórkami, równina z wystającymi gdzieniegdzie z traw kępami drzew. Na pierwszy rzut oka kraj wyglądał na bogaty i spokojny - gdyby tylko po cienkich taśmach dróg nie ciągnęły się niemające końca łańcuchy wozów, wyładowanych domowymi skarbami. Słońce wzbijało coraz wyżej, ale południowo- wschodni

skraj horyzontu - tam, gdzie kończyły się góry - nie zamierzał jaśnieć. Całe niebo nad tą okolicą zasnuwały dymy pożarów.

- Co to jest?... - usłyszała za plecami czyjś szept Eowina. To była jakaś kobieta - nikt nawet nie pomyślał o tym, by oddzielić je od mężczyzn wojowników.

Na spotkanie szukającym ratunku w ucieczce mieszkańcom południowego Haradu szły tcheremskie oddziały konne ale było ich mało, bardzo mało...

- Hej! Słuchajcie mnie wszyscy! Wasze zadanie - kopać rowy i sypać wały! - wrzasnął Haradrim herold, chłopak ze zdartym od krzyków gardłem. Obok niego zamarł na koniu ponury pięćsetnik - jego twarz była ciemniejsza od bezksiężycowej nocy. - Brać kilofy i rydle!

Brzęcząc żelastwem, z bram obozu wyjeżdżały już wozy z narzędziami. Łucznicy konni rozwijali szyk, przygotowując łuki. Niewolników odpędzano nieco w bok od obozu.

- Kopać - stąd i dalej! - Dowódca machnął ręką w dość nieokreślony sposób. - Głębokość rowu - dwa razy mój wzrost. Wał... Sami zobaczycie. Do roboty!

- To nie są rozkazy - usłyszała Eowina ciche mamrotanie Szarego.

- Co powiedziałeś? - zapytała.

- To nie są rozkazy, powiadam. Kopcie, i już. A na dodatek - tu nie ma potrzeby kopać rowów. Nie ma tylu rąk, by przegrodzić równinę. Oni po prostu grają na zwłokę...

Niemniej jednak należało się zabrać do pracy serio Haradrimowie nie znali się na żartach. Szary szybko rozstawił swoich ludzi na miejsca - kto ma kopać, kto wybierać, kto wynosić; kopanie posuwało się szybciej niż w sąsiednich oddziałach, w których wszyscy grzebali się w ziemi, jak chcieli.

Słońce wznosiło się wyżej i wyżej; strumień uciekinierów zaniknął. Nie pojawiały się też oddziały Tcheremczyków. Tylko na horyzoncie kłębił się czarny dym pożarów.

12 Sierpnia, Zmierzch,
Okolica Obozu Niewolników

- Jak się nie wiedzie, to nie wiedzie. - Malec przewrócił się na plecy i, założywszy ręce pod głowę, filozoficznie wpatrzył się w stopniowo ciemniejące niebo. - Dzień szczurowi pod ogon! Przez cały dzień ani pieszego, ani konnego!

Prowadząca na północ droga rzeczywiście wymarła. O trzy mile dalej, na południowy wschód burzyła się niezliczona armia niewolników - kopali ziemię, budowali umocnienia, których plan Torin ocenił bardzo nisko.

- Chyba się opili mocnego piwa czy jak? Po co im tu rowy? Gdziekolwiek wykopaliby, i tak można je obejść.

- Może chcą walczyć na skrzydłach? - zastanawiał się Folko. - A tu, tylko tak, żeby łatwiej utrzymać środek?

- No to gdzie są wojownicy? - nie dał się przekonać Ragnur. - Tu jest tylko kilka tysięcy straży! Wystarczy, żeby niewolników trzymać w ryzach, ale nie żeby powstrzymać poważny szturm!

- W nocy pójdę do obozu. - Zmrużywszy oczy, hobbit patrzył na brzydką narośl ze ścian i wież, szpecącą wspaniałe, wielkie zielone wzgórze. - Nie sprzeczajcie się! Pójdę sam. Wy, krasnoludy, więcej hałasu czynicie niż turlane pod górę beki z kamieniami.

- Jak coś powiesz! - Malec z szacunkiem podrapał się po brodzie, zapomniał nawet się obruszyć.

- Krasnoludy - tak - spokojnie rzucił Ragnur. - A my, Khandyjczycy? Na dodatek - jak będziesz przesłuchiwał Haradrima?

- Zobaczysz - hardo postawił się hobbit.

- Nie masz racji, Folko. - Torin pokręcił głową. - Musimy iść razem. Znajdziemy jakiegoś Khandyjczyka, takiego bogatszego i...

- Tylko się nie kłóćmy! - wtrącił się ostrzegawczo Malec. - Bo, jak znam życie... znowu zaczniemy się żreć...

- W obozie jest pełno luda - próbował przekonywać ich Folko. - Niewolnicy, nadzorcy, wojownicy... Sam przemknę niezauważony - a cała grupa będzie musiała zdejmować wartowników! Lepiej poczekajcie na mnie pod ścianami. Przygotujcie pochodnie i jak dam sygnał - podpalicie wszystko dokoła!

- Jaki sygnał?! - zakrzyknęli jednocześnie Torin i Malec.

Zamiast odpowiedzi Folko otworzył zaciśniętą pięść.

Na dłoni leżał niewielki drewniany cylinder, którego końce zapieczętowane były purpurowymi pieczęciami. Pleciony sznur przenikał przez łąkowy korek, wchodząc do wnętrza cylindra.

- Co to za zabawka? - zdziwił się Torin. - Skąd to masz?

- Zmajstrowałem, kiedy jeszcze byliśmy w Bucklandzie. Folko podrzucił cylinderek. - To chyba jeszcze spadek po starym dobrym Gandalfie... Kiedy się pociągnie za sznurek, z cylindra wylatuje purpurowa ognista kula... Nawet nie wiedziałem, że jeszcze się zachowała w Hobbitanii sztuka wykonywania tego. Ale, zachowała... Pewien mistrz w Bucklandzie nauczył mnie, podczas gdy wy, czcigodni, sprzeczaliście się, gdzie jest lepsze piwo - w „Zielonym Smoku" czy w „Złotej Grzędzie"!... Słowem, jeśli zrobi się kiepsko, wypuszczę tę kulę, a wtedy wy postarajcie się narobić możliwie dużo zamieszania!

13 Sierpnia, Pierwsza W Nocy,
Obóz Niewolników

Mimo zmęczenia całodzienną pracą Eowina nie mogła zasnąć. Dokoła kłębiła się upalna, duszna noc. Nie wiadomo skąd nadleciały chmary ssaczy; nawet kiedy karawana wlokła się między śmierdzącymi leśnymi bagnami, tych małych drapieżców nie było aż tyle.

Ale nie tylko owady okazały się problemem. Ledwo ucichły hałasy wielotysięcznego obozu, gdy powiew upalnego południowo- wschodniego wiatru przyniósł odległe wielogłose wycie - na poły z głuchym dudnieniem, jakby setki bębnów grzmiały unisono.

Szary uniósł się na łokciu. Oblicze miał ponure, ale spokojne.

- Rano tu będą - oświadczył cicho i beznamiętnie.

Ten niemłody i dziwny człowiek był jedyną nadzieją Eowiny; czasem wydawało się, że dopiero wczoraj pojawił się na świecie, a innym razem - że od dawna przemierza niemające końca ścieżki tej ziemi.

- Kto?

- Wrogowie Tcheremu. Haradzkie wojsko ucieka. Jutro skończy się nasza niewola. - W oczach Szarego pojawił się dziwny wyraz - ale raczej nie dałoby się go uznać za pewność zwycięstwa.

- Ale... rowy niewykopane... nic nie zostało przygotowane...

- Oni musieli tylko przetrzymać tych biedaków do nadejścia napastników. A żeby do głowy im nie przychodziły głupie myśli, dali szpadle.

- Ale... jak będziemy jutro walczyli?! - Mimo upału po ciele Eowiny przebiegły zimne ciarki. - Gołymi rękami?!

- Nie sądzę. Za dużo w obozie mamy dziwnych wozów... odpowiedział cicho Szary.

I nie udało się już Eowinie wyciągnąć z niego ani słowa.

13 Sierpnia, Druga W Nocy,
Obóz Niewolników

Folko bez przeszkód przedostał się przez wysoką ścianę obozu. Na wieżach strażniczych płonęły pochodnie, wymieniali okrzyki wartownicy, czasem szczeknął pies - źle wyszkolony, dobry stróż daje głos tylko wtedy, kiedy jest pewien, że wróg jest tuż obok - ale czy to wszystko mogło powstrzymać zręcznego, gibkiego hobbita, mającego za sobą dziesięć lat niebezpiecznych wojennych wypraw? Bezszelestnie zahaczywszy owinięty szmatami hak o krawędź ściany, Folko po kilku chwilach znalazł się na szczycie muru. Starannie zwinął sznur i ukrył.

Obóz był budowany w pośpiechu, wewnątrz mury podtrzymywała gęstwina podpór. Hobbit jak cień przemknął w dół. Nikt go nie zauważył. Przed nim rozciągała się ogromna przestrzeń, pokryta namiotami, daszkami i osłonami. Zwinąwszy się na nędznych derkach, niewolnicy spali, gdzie kto padł. Po wąskich ścieżkach między nimi przechadzała się uzbrojona po zęby straż - co najmniej czterej wojownicy w każdym patrolu. Było dość jasno - ogniska płonęły na każdym skrzyżowaniu. Teraz należało dokonać tylko jeszcze jednej rzeczy - schwytać Tcheremczyka. Najlepiej dowódcę, by mógł odpowiedzieć na pytania. Folko nie miał nadziei na odszukanie Eowiny - chyba żeby przypadkowo natrafił na nią.

Odpowiedni Haradrim znalazł się nadspodziewanie szybko. Gruby, poruszający się z pewnym trudem, w wyzłoconej zbroi, ciężko przemaszerował do wejścia wysokiego namiotu, niedbałym gestem odprawiając straż.

Wyczekawszy na odpowiedni moment, hobbit ruszył jego śladem. Zwykła sprawa... czy to mało razy ujmował takich pewnych siebie, pozłacanych siłaczy, którzy patrzyli nań z góry i sądzili, że mogą go zmiażdżyć jak muchę?

Co się ze mną dzieje? - myślał Folko ukryty w gęstym cieniu obok namiotu. - Jakby czyjeś spojrzenie wpijało się w plecy... Albo... nie, coś znanego... gdzieś blisko... już to przeżywałem... czułem... dawno temu...

Przenikał go niepokój. Nie po raz pierwszy przedzierał się w sam środek wrażego wojska, ale dotąd nigdy nie odczuwał tego, co dziś. Jakieś uczucie, jakby zapomniane całkowicie... Wewnętrzne spojrzenie ciągle natrafiało na dziwne odstępstwo w otaczającym go szarym półmroku - tam, w pewnej odległości, puchło Coś, odpychając to, co ludzie zazwyczaj nazywają Realnością. Gruda nowo zrodzonej, nieludzkiej Mocy... Ślepej, nieznającej swej

własnej potęgi... Bardzo, nawet bardzo podobnej do...

Chyba masz nie po kolei - ofuknął sam siebie Folko. - Już ci się wszystko miesza... Zwidzi ci się nie wiadomo co... Potrząsnął głową i postarał się usunąć z niej to, co zobaczył. Rozważy to potem... Kiedy już upora się z Tcheremczykiem.

Obok wybranego namiotu płonęło ognisko. Piętnaście kroków od niego siedzieli wartownicy. Rzuciwszy na nich tylko jedno spojrzenie, hobbit prześliznął się pod połą namiotu.

Tcheremczyk był bardzo zdziwiony, kiedy jego gardła dotknęło nagrzane ciałem hobbita ostrze sztyletu. A dalej wszystko poszło gładko.

Zręcznie posługując się jedną ręką, Folko spętał Haradrimowi ręce.

Ten rozszerzonymi ze strachu oczami gapił się na nie wiadomo skąd przybyłego wroga. Sztylet pewnie leżał w dłoni, ciemne oczy nocnego gościa patrzyły zimno i zdecydowanie. I tcheremski tysięcznik nagle uwierzył, że ten typek naprawdę poderżnie mu gardło w tym samym momencie, w którym on otworzy usta, żeby wezwać pomoc... Przy tym poderżnie, zanim uda mu się zaalarmować obóz... Pogodzony z losem Haradrim postanowił się nie sprzeciwiać.

Folko związał porządnie jeńca i zakończywszy pewne inne sprawy, machnął ręką w stronę wyjścia.

Tak właśnie szli - ogromny Tcheremczyk i niewysoki hobbit. Jeniec czuł stal tuż pod sercem i maszerował potulnie tylko pocił się obficie, zapewne ze strachu. Wartownicy z szacunkiem oddali honory oficerowi, umiejętnie kryjącego się w cieniu jeńca hobbita nikt nie zauważył. Zresztą, nikt się nie spodziewał takiego wroga w dobrze strzeżonym obozie. Owo przekonanie sprzyjało hobbitowi.

Podeszli do muru, Tcheremczyk zasyczał, kręcąc głową Folko niedwuznacznie popychał go w górę - ale po jednym ukłuciu sztyletem w lewe żebro podporządkował się.

Pozornie wydawało się, że udręczony duchotą namiotu wojownik wyszedł odetchnąć w chłodzie nocy. Strażnicy na murach leniwie zerknęli na oficera. Skoro nie sprawdza posterunków, to niech sobie robi, co chce...

Nic tak nie ukrywa jak otwartość. Na oczach wszystkich wartowników jeniec wszedł na krawędź ściany i zatrzymał się, opierając o częstokół. Tego, że w cieniu jego dużej postaci kryje się zręczny hobbit, nie zauważył nikt.

Lewą ręką Folko narzucił na belki owinięty gałganem hak. Lina ześliznęła się w dół z cichym szelestem. Teraz nadeszła kolej na najtrudniejszą rzecz.

Z dołu dotarło do hobbita potrójne skrzypienie - krasnoludy i Ragnur byli na miejscu. Folko musiał tylko czekać.

Nie trwało to długo. Nad jednym z namiotów niespodzianie wzbiły się w niebo jęzory płomieni. Wiecznie głodny ogień pomknął po bogatych, haftowanych zasłonach, szczodrze sypiąc snopami iskier. Strażnicy poderwali się na równe nogi; ktoś uderzył na alarm.

Na to właśnie czekał hobbit. Wartownicy na wieżach, wszyscy jak jeden, gapili się tylko w stronę szybko rozszerzającego się pożaru; chwilę potem oszalały ze strachu Tcheremczyk, zdzierając dłonie do żywego mięsa, ślizgał się po linie w dół - prosto w objęcia Małego Krasnoluda.

- Uciekamy! - Folko zsunął się zaraz po jeńcu. - Zaraz się zorientują, co i jak...

Jednakże tam, za murami, wszyscy zajmowali się pożarem i tylko pożarem. Gwałtowny ruch Tcheremczyka, przełażącego przez ścianę, zauważył kątem oka tylko jeden wartownik, ale i temu wydało się, że oficer poruszył się, energicznie zbiegając w dół po schodach - dlatego nie przydał temu znaczenia... Ale o tym Folko nigdy się nie dowie.

- Ale zuchy z was, hobbitów! - pokręcił głową zachwycony Malec, gdy znaleźli się w bezpiecznej odległości. - Ja bym nigdy na to nie wpadł... Jakżeś to załatwił?

- Nic specjalnego - machnął niedbale ręką Folko. - Oliwna lampka, sznurek i ogarek świecy.

Pożar tymczasem rozszerzał swe włości. W obozie rozumiano powagę sytuacji - coraz głośniej i mocniej biły na alarm sygnałowe grzechoty. Ktoś nawet użył bojowego rogu.

- Dobra, niech się miotają - machnął ręką Torin. - Mamy ważniejsze sprawy...

Ragnur, nie tracąc czasu, zabrał się do dzieła. Jeniec, oszołomiony do głębi ducha łatwością, z jaką został wykradziony z samego serca tcheremskiego wojska, pogodził się ze swoim losem i odpowiadał, niczego nie kryjąc - tym bardziej że jego porywacze nie przypominali wcale tych wrogów, którzy nadchodzili z południowego wschodu... Folko i jego przyjaciele dowiedzieli się wielu ciekawych rzeczy. Wielki Tcherem, jak się okazało, walczył z dziwnym plemieniem pierzastorękich, którzy nie wiadomo skąd zwalili się na jego południowo- wschodnie rubieże. Wojna toczyła się z fatalnym dla Tcheremu skutkiem - Tcheremczycy wycofywali się, ponieważ wróg bił się z niebywałą zaciętością, bez namysłu składając siebie w ofierze, jeśli tego wymagała sytuacja. W tej okolicy miała się odbyć ostatnia walka...

- Dlaczego ostatnia? - zdziwił się Folko.

Właśnie - na północ od urodzajnego stepu ciągnęły się gorące i wilgotne lasy,

neprzebyte gęstwiny i bagna; tam jeden człowiek z łukiem mógł powstrzymać całą armię.

- Wielki Władca i szlachetni doradcy szukali pomocy i wskazówek obok Czarnej Wieży i odpowiedź Mocy była dokładna i jednoznaczna - wyjaśnił Ragnur. - Wroga należy za trzymać tutaj.

- Ależ głupia ta ich Moc! - prychnął Malec bez cienia szacunku.

- Może nie o to chodzi - zauważył Khandyjczyk. - Może w Hrissaadzie ktoś chce kogoś wysadzić z tronu... Takie rzeczy tu, u nich, są na porządku dziennym.

- Zapytaj go, po co im tu tylu niewolników - zwrócił się do Ragnura Folko. - I jeszcze o jedno zapytaj - czy on rozumie, że walkę na tych pozycjach musi Tcherem przegrać?

- Sprzyjają nam wielkie Moce - padła odpowiedź. - Wrogowie nasi jutro obleją się krwią!

- Co to za bzdury?! - Torin wzruszył potężnymi ramionami.

- To nie bzdury... - rzucił zamyślony Folko. - Sądzę, że nie obeszło się tu bez tego, czego szukamy...

- Jesteś pewien?... - zaczął Malec.

- Właśnie. Cuchnie wyraźnym szaleństwem... Postawić wojsko na z góry skazaną pozycję... Przecież my byśmy wybrali inną... A dlaczego? Dlatego, że ktoś z władców pomyślał, iż ustępowanie przed wrogiem jest hańbą i należy tu walczyć na śmierć...

- To nam niczego nie ułatwia - burknął Mały Krasnolud.

Folko przytaknął:

- Tak, prawdy możemy chyba dowiedzieć się tylko od pierzastorękich...

- Od ich przywódców - sprecyzował Torin.

Khandyjczyk pokiwał głową:

- Ja tamtejszych okolic nie znam. Już tu prowadzę bardziej na intuicję...

- E tam, nam to nie pierwszyzna! - machnął beztrosko ręką Malec. - Tyle mil przeszliśmy na wyczucie... Możemy i dalej tak iść.

- Jedno mnie tylko martwi - nie znamy południowych języków - zauważył Torin.

- Ja też mogę gadać tylko po haradzku. - Ragnur rozłożył ręce.

- Wingetor by się przydał - powiedział Folko. - On znał ich mowę...

- Bez niego też sobie poradzimy - uznał Torin.

- A Eowina? Co z Eowiną? - przypomniał Khandyjczykowi Folko.

Jednakże teraz przyjaciele musieli pogodzić się z porażką. Zresztą, nie było dużych szans na sukces - chyba żeby dziewczyna trafiła w ręce strażników. Raczej nie rozstaliby się tak

łatwo ze złotowłosą Rohanką...

Ale wszystkie ich wysiłki poszły na marne. Jeniec, a nie byle jaki, bowiem był to tysięcznik, niczego nie wiedział o Eowinie. Chociaż przez zęby wykrztusił, że mogłaby ukryć się między rabami...

- Znaczy - będziemy szukali między niewolnikami - podsumował Torin. - Folko! Nie mógłbyś...

- Oczywiście, że mógłbym, gdyby tylko pewien krasnolud nie szarpał mnie przez cały czas - uśmiechnął się hobbit.

Zadziwiający napój Drzewobroda zaginął bez śladu i Folko mógł tylko liczyć na siebie - może jeszcze na wsparcie pierścienia Forwego. Niełatwo jest zmusić do wygaśnięcia wszystkich co do jednej myśli; szalony blask wypalał oczy nawet przez zaciśnięte powieki.

Wewnętrznym spojrzeniem hobbit zobaczył falujący tłum. Wydawało się, iż ludzie w nim stoją tak ściśnięci, że kto opuści rękę, już jej nie uniesie.

„Eowino!”

Ognisty motylek wyrwał się spod ręki, wzleciał w powietrze nad obozem, gdzie kończono zalewanie wodą resztek kilku spalonych namiotów.

„Eowino!”

Każde machnięcie tęczowych skrzydeł odzywało się bólem w całym ciele. Tłum... mnóstwo ludzi, tyle myśli... Jak odszukać w tym skupisku czyste i jasne myśli Eowiny?

Ale - co to? Motylek jakby natknął się na niewidzialny mur... Który natychmiast zmienił się w okrutny, wlokący do siebie zgubny płomień. Nieznająca litości - jak nowo na rodzone niemowlę - Moc, bez kształtu, bez pamięci, na poły ślepa...

I niezmiernie potężna.

Folkowi wydawało się, że motylek pełznie przez wąski tunel, którego ściany gęsto usiane są ostrymi, szarpiącymi ciało kolcami. Motylek wbijał się w zgęstniałe powietrze niczym włócznia w ciało wroga. Tęczowe skrzydełka zatrzepotały bezsilnie i opadły; posłańca utrzymywała tylko wola hobbita.

Na dole poruszała się bezkształtna masa.

I nagle... Znajomy blask złota - rozrzucone w niespokojnym śnie włosy, pokryte zaschniętym błotem, ochroną przed nieprzyjaznym wzrokiem - tuż obok tej obcej Mocy!... Tej właśnie, która...

Folko jęknął. Motylek stał się bezkształtnym kłębkiem strzępków tęczowych skrzydełek. Ręka hobbita sięgnęła do ostrza Otriny: może jeśli da się klindze napić krwi, ona

przyjdzie z pomocą...

Tak, to była Eowina. W oczy bił żółty płomienisty blask, ale hobbit poznał dziewczynę. A obok niej...

Tylko przez jedno mgnienie oka patrzył na leżącego obok Eowiny człowieka. A potem nieznana Moc z łatwością, niczym puszek, odrzuciła hobbita precz...

Ocknął się. Usta miał pełne krwi, z oślepionych oczu obficie płynęły łzy, ręce, jakby nagle oddzieliły się od ciała i zaczęły żyć własnym życiem, spazmatycznie szperały w trawie.

Zaniepokojone krasnoludy długo cuciły przyjaciela, zużywając ostatnie krople zachowanego na podobne okazje wina.

- Oona jest tam... - wykrztusił w końcu hobbit, gdy odzyskał zdolność widzenia, myślenia i słuchu. - Znalazłem ją. Ale tam jest jeszcze... ktoś... nie wiem... duch... ucieleśniony duch... bardzo, bardzo silny... pochyliłem się nad nim... chciałem dojrzeć twarz... ale nie dałem rady... tylko mrok... mrok i nic więcej... twarzy nie ma, rozumiecie, zupełnie nic nie ma!

Osłupiałe krasnoludy słuchały go w milczeniu. Ragnur zaś tylko pokręcił głową, nie rozumiejąc z tego ani słowa.

- Czarodziej?... Mag wśród niewolników? Co za bzdury? burczał pod nosem Torin. - Skąd miałby się tam wziąć?

- Lepiej zapytaj, skąd w ogóle miałby się wziąć w Śródziemiu! - Folko zaciekle tarł zaognione powieki. - Czasy magów się skończyły! Dawno temu! Olmer... zabity! Jego powłoka została zmyta przez fale Wielkiego Morza!

- Saruman... - podsunął ostrożnie Malec.

- No tak, pewnie - Saruman - prychnął ironicznie hobbit. - O ile Varda ulitowała się i przywróciła mu poprzedni wygląd! Nie gadaj głupot...

- Elf? - rzucił pytającym tonem Torin.

- Och, nie wiem! - Folko opadał na plecy, zasłaniając twarz dłońmi. - Powiadam wam - nic nie dało się zobaczyć ani zrozumieć...

- No to mamy jeszcze jedną zgryzotę! - splunął rozzłoszczony Malec. - Za co nas tak nie lubi Wielki Durin?...

- Na pewno z powodu twojego zamiłowania do piwa - zażartował ponuro Torin. - Ale co za sens pytać Praojca? Może w Morii udzieliłby łaskawie odpowiedzi, ale tu... Zbyt daleko jest do naszej ojcowizny. Zapomnijmy więc o Durinie! Przynajmniej póki nie wrócimy na Północ...

- Nic nie rozumiem z waszego gadania, ale niech wam będzie - uśmiechnął się Khandyjczyk. - Powiedzcie lepiej, co robimy dalej. Folko odnalazł dziewczynę, i co teraz?

- Teraz trzeba będzie znowu wejść do obozu - mruknął Torin. - Jak inaczej ją uratujemy?

- A może wymienimy z Haradrimami na tego tłuściocha? - zaproponował Ragnur.

- Ty lepiej ich znasz i wiesz, czy zgodzą się na taką wymianę - wzruszył ramionami Folko.

- Może się zgodzą... tyle że potem i tak ze skóry wylezą, żeby nas dogonić i zetrzeć z oblicza ziemi - powiedział cicho Ragnur. - Szansa jest niewielka...

Pogrążył się w namyśle, coś od czasu do czasu mrucząc pod nosem.

Krzątanina w obozie ucichła.

- Zaraz zaczną szukać tego wieprza... i, obawiam się, będziemy musieli wiać stąd bez oglądania się za siebie - zauważył Folko.

- Tak, trzeba się wycofać - poderwał się Ragnur. - Wstawać, wstawać! Póki jeszcze nie spuścili psów...

- A co z nim? - Malec z żądnym krwi wyrazem twarzy wskazał na jeńca i sięgnął do sztyletu.

Jeniec zadygotał.

- Zostawimy tu. Najpóźniej rano go odnajdą - odpowiedział Folko, szybko pakując niewielki bagaż. - Nie będziemy sobie plamić rąk krwią...

- Też racja - poparł decyzję druha Torin. - Nie jesteśmy bandziorami...

Cztery okryte pelerynami postacie zniknęły w mroku. Skrępowany tcheremski tysięcznik pozostał na ziemi, nie mogąc uwierzyć we własne szczęście.

Nad Śródziemiem zamarła noc. Zamarła w niespokojnym oczekiwaniu - co przyniesie świt?

13 Sierpnia, Noc

Przez cały czas, póki Folko, Torin i Malec podróżowali z Hornburgu do Umbaru i dalej, póki gromadzono flotę Morskiego Ludu i dokonywały się pozostałe wydarzenia, najpierw skrajem Minhiriathu, a potem Belfalasu wędrowała dziwna para - niezgrabny gruby jeździec w towarzystwie złego psa. Zaciekle przeszukiwali każdą stopę brzegu, żywiąc się skąpymi łupami z przybrzeżnego polowania i wędkowania.

Zbieracz podatków Millog i osierocony pies szukali ciała Szarego.

13 Sierpnia, Wczesny Ranek,
Północno- Wschodnie Rubieże Mordoru

Tej nocy garbus o imieniu Sandello kiepsko spał. Gdyby ktoś mógł zobaczyć jego twarz, pomyślałby zapewne, że starego szermierza wyczerpały senne koszmary. Oczy wojownika zapadły się, otoczyły je sine kręgi. Obudziwszy się, długo nie mógł zebrać myśli.

Miał za sobą długą drogę. Przed nim piętrzyły się skały Mordoru - ogromne, czarne, groźne. Łańcuchy grzbietów zakrywały wierzchołek Orodruiny, ale olbrzymia góra nie spała - nad szczytami w niebo wzbijała się cienka smuga czarnego dymu. Zmrużywszy oczy, garbus przez moment patrzył tam, na południowy zachód, a potem jego ręka sięgnęła do niewielkiej sakiewki przytroczonej do pasa. Rozwiązał ściągający ją rzemyk, naciągnął rękawicę i ostrożnie sięgnął palcami do wnętrza.

Wyjął najpierw cienki czarny łańcuszek, a potem wiszący na nim pierścień z matowego żółtego metalu. Policzek Sandella drgnął, nie wiadomo - czy to z pogardy, czy oburzenia.

- Szukaj - polecił cicho, pozwalając, by pierścień zawisł swobodnie na łańcuszku.

Przez kilka chwil nic się nie działo, i na twarzy garbusa już widać było rozczarowanie, gdy pierścień nagle drgnął i łańcuszek odchylił się od pionu. Zadziwiający kompas wskazywał na południe.

13 Sierpnia, Rano,
Południowe Rubieże Haradu

Jeśli nawet wysłano za oddziałem Folka pościg, to na próżno. Czwórka wędrowców szczęśliwie ukryła się w zaroślach na granicy stepu i lasu. Obóz pozostał na południowym wschodzie.

- Możemy uważać, że zmyliliśmy pościg - podsumował Torin, rozglądając się po okolicy.

- Zmylić może i zmyliliśmy, ale sądzę, że nie z powodu naszej zręczności i szybkości - uśmiechnął się ze szczytu drzewa Malec. - Popatrzcie, o tam!

Mały Krasnolud wlazł nawet wyżej.

- No i co? - dopytywał się niecierpliwie Torin.

- Właź, to sam wszystko zobaczysz!

Na zaproszenie Malca zareagował także Folko.

Ze szczytu dobrze widać było okolicę na południe i wschód. Oto obóz, oto czarne krechy rowów, wały i cała reszta... Zgromadzenie jakichś dziwnych wozów o sześciu olbrzymich, wysokości mężczyzny, kołach, każde z tej odległości już ledwo widoczne... Oto i kolumny niewolników wychodzące z bram obozu...

- Nie tam patrzycie, nie tam - syknął Malec, wygodnie usadowiony w rozwidleniu o pięć stóp niżej. - Dalej patrzcie, dalej!

Wzrok hobbita pomknął ku samemu horyzontowi.

Zakrywała go czerń. Słoneczne promienie nie mogły przeniknąć przez szczelną kurtynę. Dym tworzył prawdziwą ścianę, a wysokość jej sięgała wieluset stóp, jeśli można było ją szacować według górskiego łańcucha, wpijającego się w czarną zasłonę. Przy samej ziemi, od czasu do czasu, błyskały purpurowe i żółte iskierki.

I jeszcze coś się tam działo. W pobliżu ściany dymu zieleń stepu znikała, pogrzebana pod jakimś falującym pokryciem. Z wolna hobbit zaczął odróżniać poszczególne strumyki i rzeki, nieubłaganie spływające na północny zachód - ludzkie rzeki. To falujące pokrycie było w istocie olbrzymią armią - armią liczącą nie wiadomo ileset tysięcy wojowników i wszyscy oni szybko walili przed siebie.

Nie wierząc własnym oczom, Folko przetarł je. Nic, rzecz jasna, się nie zmieniło. Owszem, chwilowo armia ta jest daleko, dość daleko, ale nie minie i godzina... Ale nie, to

głupota, bzdura, nonsens! Przecież nie zaatakują od razu - po takim długim marszu? Wojownik musi iść w bój wypoczęty, a nie wyczerpany długą drogą, i to jeszcze w tutejszym południowym upale!

W obozie Haradrimów również zauważono nadciągające niebezpieczeństwo. Porzucając niedokończone rowy, oddziały niewolników schodziły z drogi wytaczanym wozom i nielicznym haradzkim tysiącom, na koniach i wielbudach.

Hobbit tylko pokręcił głową. Owszem, rabów Haradrimowie przyprowadzili tu wielu... Tylko czy będą oni walczyć? I czy może tych kilka tysięcy tcheremskich wojowników powstrzymać miażdżącą wszystko szarą lawinę, która toczyła się z południowego wschodu?

Od gór na południu do zielonego pasma lasów na północy - w nadciągającym szarym morzu nie widać ani jednej wyrwy! Gdzie tam do nich Sauronowi z jego żałosnymi oddziałami orków! Gdzie do nich Olmerowi, który przyprowadził na Łuk Iseny około stu tysięcy! Nie. Tych, nadchodzących w tej chwili na jeden jedyny umocniony obóz Tcheremczyków, było znacznie więcej. Znacznie więcej...

Ale to jest niemożliwe! - wykrzyknął sam do siebie Folko. - Skąd mogła się wziąć taka armia? Przecież tam wszyscy powinni byli wymrzeć z głodu albo pragnienia! Na drodze szarej armady jeden po drugim zaczynały płonąć malutkie pudełeczka domów. Czarna pionowa ściana dymu powoli zbliżała się.

I krasnoludy, i Ragnur skamienieli, wpatrzeni w toczącą się lawinę. Jaka skała ją powstrzyma? Ile ludzkich ciał legnie u podstawy tej skały, zanim bitewny szał napastników rozbije się o upór obrońców?

- Eowina! - wyrwało się hobbitowi. - Ona jest teraz tam!

- To nasza ostatnia szansa - rzucił ochrypłym głosem Torin. - W zawierusze bitwy...

- W razie czego - odeprzemy atak! - rzucił beztrosko Malec. - Tylko Ragnur...

- No, na pewno nie ustępuję ci w zręczności, króciaku! obruszył się Khandyjczyk. - I nie cofnę się, nie myślcie sobie!

- No to dobrze. - Hobbit pośpiesznie uzbroił się po zęby. - Idźmy, nie możemy zwlekać!

- Poleje się mnóstwo krwi... - rzucił Torin.

- Tak! - odparł Folko. - Ale co możemy na to poradzić? Postaramy się nie zabijać bez potrzeby...

Mały Krasnolud podskakiwał z niecierpliwości. Dla niego, jak i wcześniej, każda walka była zabawą...

Biegli przez równinę, niemal nie kryjąc się, licząc na szczęście. Oczywiście,

wyprzedzali mocno szarą falę, ale jak potem odnaleźć Eowinę, gdy zacznie się walka? I na dodatek na piechotę... Jak zabrać dziewczynę sprzed samego nosa atakujących?

- Ot, i wszystko - powiedział Szary bardzo spokojnie, opuszczając dłoń, którą osłaniał oczy przed słońcem. - Ot, i koniec. Już tu są. Naprawdę, Rohanko, warto na to popatrzeć!

Przez ostatnie dni setnik zwracał się wyłącznie do Eowiny.

Oddział jego znalazł się przed wszystkimi innymi niewolniczymi formacjami, nadejście całej szarej armady widzieli ze wzgórza jak na dłoni. W tłumie rozległy się wrzaski strachu, ktoś już przeklinał swój żywot, ktoś inny upadł na ziemię i zakrył głowę rękoma. Czyż mogli wytrzymać ów widok ci nieszczęśni oracze i drwale Minhiriathu, którzy nigdy wcześniej nie rwali się do boju?

Eowina zamarła, przygryzając wargę. Czuła w dłoni ciepłą rękojeść szabli. Nie, niedoczekanie, by zhańbiła rohańską krew wrzaskami i szlochami! Jeśli tu sądzone jej walczyć po raz ostatni, to niech tak będzie. Może i nikt nie ułoży pieśni o jej śmierci, może i nikt nie będzie opłakiwać. Starsza siostra się nie liczy, na pewno jej wiano, pozostawione przez mateńkę, już zabrała... Niech tak będzie! Ale ona chce walczyć na tym wzgórzu tak, jak walczyli herosi Łuku Iseny i Hełmowego Jaru!

Tymczasem Haradrimowie, jak się wydawało, otrząsnęli się z zaskoczenia. Niezbyt przestraszył ich widok nadciągającej wrażej hordy - widocznie wiedzieli, z czym przyjdzie im się zetknąć. Świsnęły baty; uzbrojeni po zęby strażnicy zaprowadzali porządek. Niewolników, dziesiątka po dziesiątce, setka po setce, pędzono do olbrzymich sześciokołowych wozów nadzwyczaj dziwnych wozów z niezwykle wysokimi burtami i ogromnymi kołami o bardzo grubych szprychach i okuciach.

- Ho, ho! - Szary w zdziwieniu uniósł brwi, przypatrując się osobliwym konstrukcjom. Najbardziej przypominały one ustawione na kołach drewniane pudełka. Żadnych oznak tego, że powinno się do nich zaprzęgać zwierzęta pociągowe. Poza tym, krzątający się dokoła wozów mistrzowie szybko i zręcznie mocowali do obręczy kół długie, połyskujące klingi w kształcie sierpów, długości trzech, a nawet czterech łokci. W górnej części pudeł znajdowały się szeregi wąskich otworów, przypominające strzelnice. Burty obite były mokrymi skórami.

W oczach Szarego coś błysnęło.

- Zwariowali - szepnął do nierozumiejącej, co się dzieje, Eowiny. - Nic z tego nie wyjdzie. Ugrzęźnie cała ta machina...

- Do wnętrza! Do środka! Wszyscy do środka! - przerwały jego słowa wrzaski półtysięcznika.

Z tyłu burty wozów otwierały się jak prawdziwe wrota. Zarówno na długość, jak i na szerokość powozy te były dwukrotnie większe od największych znanych Eowinie.

Na poziomie piersi od jednej burty do drugiej ciągnęły się długie poprzeczne żerdzie - tak że można było na nie napierać i rękami, i piersią. Nad głowami - sufit z desek. Od dołu wóz bojowy chroniły podwieszone na łańcuchach deski ochrona przed ewentualnymi strzałami.

- Ale wymyślili!... - Wargi Szarego wykrzywił niedobry uśmiech.

- Wasze zadanie - popychać to! - wrzasnął dowódca Tcheremczyk. - Ci co na dole - pchają! Część na górze - bije wroga strzałami i włóczniami!

- I tylko tyle? - zapytał spokojnie stary rybak. - A jak można skręcić?

Okazało się, że przednia oś jest skrętna...

- Za mną. - Setnik pierwszy wszedł do wnętrza.

Na górze rzeczywiście znalazły się łuki, włócznie, topory na długich rękojeściach i bardzo dużo strzał. Cały stuosobowy oddział Szarego zmieścił się w czterech wozach.

- Trzymaj się mnie - rzucił dowódca do swojej podopiecznej, ustawiając ludzi na miejscach i dodając otuchy tym, którzy już się załamywali. Dokoła siebie setnik zgromadził najmocniejszych i najzręczniejszych. Eowina była jedyną dziewczyną, która trafiła pod jego dowództwo.

- Tam, na dole - wrzeszczał tcheremski herold - jest wasza wolność! Wszyscy, którzy wrócą do obozu - zostaną wolnymi i szlachetnymi Tcheremczykami! Każdy, kto stchórzy i ucieknie - będzie okrutnie ukarany! Wybierajcie sami: wolność czy dół z głodnymi szakalami!

Wzdłuż długiej grzędy wzgórz ustawił się niemający końca szereg wozów bojowych. Wszyscy Tcheremczycy byli w drugiej linii. Teraz pozostało tylko czekać.

- A może by tak... - szepnęła cichutko Eowina do Szarego - ...może wszystkich tych Haradrimów... ich własnymi strzałami... i uciekniemy?

- Nie. - Szary nawet nie odwrócił głowy. - Ci, którzy będą myśleli o uratowaniu własnej skóry, zginą.

- Ale dlaczego... - zaczęła Eowina, i nagle okazało się, że głupie myśli przychodzą jednocześnie do kilku głów.

Z jednego z rydwanów w stronę Haradrimów wyfrunęła chmara strzał. Rydwan zaskrzypiał i ruszył z miejsca, kierując się prosto ku grupie haradzkich jeźdźców. Dwóch czy trzech z nich padło pod strzałami - ale okazało się, że tcheremscy wojownicy dobrze przygotowali się do takiej niespodzianki. Pod stopy poruszających rydwanem niewolników poleciały naszpikowane gwoździami deski - i to nie jedna czy kilka, ale całe dziesiątki. W

jednej chwili buntownicy znaleźli się w kłującym pierścieniu. Krzyki i wrzaski tych, którzy pokłuli sobie stopy... przekleństwa... i rydwan stanął. Teraz przyszło najgorsze.

Nie dało się podejść do rydwanu, ustawili się dokoła niego haradzcy procarze, założyli zamiast kamieni do rzemiennych pętli jakieś dymiące naczynia. Ciskali tymi przedmiotami, a one leciały wolno, ale krótko, trafiały w rydwan, rozbijały się i wybuchały dymiącym jaskraworudym płomieniem.

Eowina krzyknęła.

Wóz stanął w płomieniach, od kół do dachu, strumienie ciekłego ognia płynęły po mokrych skórach; powietrze błyskawicznie przesiąkło straszliwym smrodem. Dzikie przedśmiertne wycie dobiegało z wnętrza wozu, ludziom pozostało do życia kilka zaledwie chwil, zabije ich nie tyle nawet ogień, ile czarny żrący dym...

Pozostali niewolnicy, wszyscy ilu ich było, skamienieli z przerażenia. Tak, Haradrimowie nie byli skłonni do żartów.

Krzyki ucichły. Słychać było tylko trzask płomieni.

Dziewczyna zerknęła na Szarego: stał, skrzyżowawszy na piersiach ręce, i w milczeniu wpatrywał się w pożar. Jakby już kiedyś widział coś podobnego... coś bardzo podobnego... i wtedy cierpiał z powodu straszliwego bólu...

- Patrzcie, zapalili wóz nie wiadomo po co! - zdziwił się Malec na widok wzbijającego się w niebo płomienia.

Przyjaciele zatrzymali się, żeby odetchnąć. W końcu czekał ich prawdziwy bój i lepiej było oszczędzać nań siły.

- Podpalili, to i dobrze - machnął ręką Torin. - Oby nam się to na coś przydało.

- Nie sądzę - powiedział ze smutkiem Folko. - Widziałeś, że rabów do środka zapędzili! Żeby jeszcze wiadomo było dlaczego... Czy teraz mamy zaglądać do każdego wozu i rozpytywać: wybaczcie, panowie szlachetni, nie ma tu wśród was niejakiej Eowiny z Rohanu?

- Jak trzeba będzie - zajrzymy do każdego wozu - zagroził Strori.

Został im do pokonania jeden skok. Ale już po gładkiej i równej jak stół łące. Przed sobą mieli tylko jedno jedyne drzewo, na którego gałęziach rozsiadło się stado ścierwojadów z gołymi szyjami, czekających na ucztę...

- Nażrą się dziś - zauważył ponuro Mały Krasnolud. - No to co teraz? Wstaniemy wyprostowani i - naprzód?...

- Naprzód, naprzód... Hej, wydaje się, że Haradrimowie smażą w tym ognisku ludzkie mięso. - Torin zacisnął dłonie w pięści.

- Eowiny tam nie ma! - wyrwało się hobbitowi.

- Ale są inni, wcale nie gorsi - stwierdził poważnie Torin. Folko tylko westchnął ciężko i zgrzytnął zębami. W duszy jego panował mrok, już nawet nie myślał o tym, iż oni sami mogą nie wyjść z tego boju cali i zdrowi; najpierw przyjdzie im walczyć z Tcheremczykami, a potem z ową tajemniczą szarą armadą, która nadchodziła z południowego wschodu. Czyżby naprawdę byli to pierzastoręcy?

- Jeśli bez krycia się, to właśnie należy iść, a nie biec. Torin jeszcze raz sprawdził, czy topór łatwo wychodzi z pochwy. - Jeśli pobiegniemy, to nawet ostatni głupiec zrozumie, że coś tu nie gra... A jak pójdziemy, może się uda...

- Szaleństwo, prawdziwe szaleństwo... - mamrotał Folko, nie spuszczając spojrzenia z płonącego rydwanu. - Chyba nawet większe niż wtedy, z Olmerem... pod Błotnym Zamkiem...

- Gdyby co - nie pchajcie się od razu do bójki, ja najpierw z nimi porozmawiam - rzucił pośpiesznie Ragnur. - Coś im naplotę... „Jesteśmy najemnikami z Umbaru, pragniemy walczyć u waszego boku”... Dobrze? Za broń zawsze zdążymy chwycić...

Słońce tymczasem wznosiło się coraz wyżej i, jakby zazdroszcząc dziennemu światłu, jakby usiłując z nim walczyć o dominację, rosła na horyzoncie ściana dymu. Wrogie wojsko było już blisko. Folko nagle pomyślał, że dla Wielkiego Orlangura bitwy ludzi naprawdę mogą być niezwykle widowiskowe. Potężna, zmiatająca wszystko po drodze szara fala ludzkich ciał, przed którą wyrasta tama, budowana w pośpiechu przez Tcheremczyków; długi szereg wysokich rydwanów z połyskującymi stalą okutymi kołami (o takich rydwanach hobbit czytał i słyszał w Gondorze i Edorasie); szyk kawalerii Haradrimów na koniach i wielbudach, jeźdźców w połyskujących zbrojach, purpurowych i złotych strojach; zieleń stepu, który dawno już powinien być spłowiały i żółty; błękit nieba, czerń wzbijającej się w górę kurtyny dymu. Po raz pierwszy w życiu hobbit patrzył na rozwijający się przed jego oczyma dramat z boku, wzrokiem hobbita, a nie wojownika, różniącego się od ludzi tylko wzrostem i gęstym owłosieniem na stopach. To, co widział, było wspaniałe. Straszne. Oszałamiające. Zgubne. Rozumiał, że już za chwilę ów zachwycający widok, który mógł cieszyć oko zimnego, stojącego ponad Dobrem i Złem Złotego Smoka, zniknie, zginie, rozwieje się jak poranna mgła pod naporem wiatru. Rozwieje się, gdy tylko przeciwnicy się zetrą. Do trzech podstawowych kolorów obrazu dojdzie czwarty - purpura, kolor krwi. A ta barwa, zapewne, rozleje się tu niczym wiosenna powódź.

Nagle hobbit przypomniał sobie atak hirdu w tej pierwszej, zwycięskiej bitwie z wojskiem Olmera w połowie drogi między Annuminas i Fornostem, przypomniał sobie

kolorową łaciatą derkę, która padła pod stopy atakujących podziemnych włóczników. To samo stanie się również tu... tylko że teraz szara fala pierzastorękich zaleje i pogrzebie pod sobą wystrojone haradzkie tysiące. Nic na to nie można już było poradzić. Czwórka nie zatrzyma takiej armii. Żeby tylko udało się uratować Eowinę - a potem, stanie się - jak to mówią krasnoludy - według Durina woli...

Czwórka wojowników szła przez pole, prosto do linii haradzkiej armii. Moment został wspaniale utrafiony: bój za chwilę miał się zacząć - Tcheremczycy będą mieli inne kłopoty na głowie. Ale jak dać znać Eowinie o swojej obecności?

Cylinderek, zalakowany purpurowym korkiem!... Dziecinna zabawka, ognista uciecha, którą tak lubi pokojowe plemię hobbitów!... Awantura, bezsensowne ryzyko - ale co jeszcze można zrobić?

Ręka hobbita już ściskała ciepły drewniany cylinder, palce już dotknęły sznurka... A wtedy w haradzkich szeregach zagrzmiały bojowe rogi i wszystkie rydwany, co do jednego, szybko nabierając impetu, ruszyły w dół zbocza.

Szeroko otwartymi oczami, zapomniawszy o szabli i o łuku, Eowina patrzyła przed siebie, nie mając siły odwrócić spojrzenia. Gdziekolwiek spojrzeć, od horyzontu do horyzontu, od gór do lasu, rozwijała się kapa z setek tysięcy żywych istot. Za ich plecami widać było tylko dym. Wydawało się, że to właśnie on je rodzi, swe niezliczone sługi i niewolników, którzy posłuszni złej woli chmury, idą i idą przed siebie - by zabijać i być zabijani. Przednie oddziały podeszły już wystarczająco blisko; można było zobaczyć poszczególnych wojowników, lekko uzbrojonych, z krótkimi dzidami albo toporami. Nie nosili hełmów, tarcz ani kolczug.

Bolesne pchnięcie w ramię przywróciło dziewczynę do przytomności. Zmrużywszy oczy, Szary uważnie wpatrywał się w nią, a jego spojrzenie sprawiło, że Eowinę natychmiast opuścił strach. Ich rydwan, nabierając impetu, turlał się w dół po łagodnym, długim zboczu, prosto na spotkanie z najeźdźcami. W dole, pod podłogą z desek, słychać było miarowy tupot nóg. Błyszczały, zlewając się w jeden wirujący krąg, ostre kosy na obwodach kół. Wojownicy Szarego już się przygotowali do walki. Nałożyli strzały na cięciwy, wystawili włócznie...

Z prawej i lewej strony wozu Eowiny turlały się dziesiątki innych rydwanów. Ich długi łańcuch rozwinął się na trzy, a może nawet i więcej mil, ale skrzydła wrażej armii i tak mogły bez przeszkód otaczać bojowe wozy rabów.

- Pierwsze uderzenie niczego nie przesądzi - zauważył spokojnie Szary. Setnik znieruchomiał w swojej ulubionej pozycji - ręce skrzyżowane na piersi - i beznamiętnie spoglądał na szybko zbliżające się wrogie szeregi.

Pierzastoręcy atakowali bez żadnego szyku, dodając sobie ducha wizgliwymi bojowymi okrzykami. Wydawać by się mogło, że widok zbliżających się rydwanów wcale nie poruszył wrogów Wielkiego Tcheremu. Wojownicy innych ludów być może staraliby się usunąć z drogi, rozstąpić, przepuścić rozpędzone już, najeżone żelazem powozy; pierzastoręcy natomiast jakby niczego nie zauważali. Wręcz przeciwnie - wydawało się, że blask wirujących kos na kołach nawet ich przyciąga.

- Przygotować się! - rzucił rozkaz Szary. Niewolnicy unieśli łuki i włócznie. Eowina natomiast była w rozterce z sumieniem: Po raz pierwszy w życiu miała przystąpić do walki z tymi, którzy nie uczynili jej żadnej krzywdy, nie wyrządzili zła ani jej, ani jej ziomkom. Dlaczego zabijać tych ludzi? Chociaż miała dopiero piętnaście lat, widziała już śmierć i cierpienie; i - mimo że dziewczyny w rohańskich stepach dorośleją szybciej niż gdzie indziej i uczą się walczyć na równi z chłopakami, ona nie mogła się zmusić, by pierwsza wypuścić strzałę w stronę atakujących.

Szary chyba zrozumiał jej wahanie.

- Albo zabijesz ty, albo zabiją ciebie. - Obdarzył ją okrutnym spojrzeniem. - Wybieraj, ale nie zwlekaj!

Wojownicy pierzastorękich byli tuż- tuż. Oczywiście nie mieli na rękach piór. Jak to wyjaśnił Wingetor, pióra były tylko znakiem odróżniającym arystokrację od reszty. Eowina widziała zupełnie zwyczajnych ludzi, szczupłych, wysokich, z wydłużonymi owalami twarzy, smagłych. Każdy z nich miał na głowie pióropusz.

Świsnęła pierwsza strzała wypuszczona przez któregoś z pierzastorękich. Tcheremczycy nie wyposażyli niewolników w zbroje, chroniły ich tylko ścianki wozów; co rusz trzeba było chylić głowę przed szeleszczącą śmiercią. Pod stopy Eowiny trafiła już spadająca strzała - grube drzewce, byle jak umocowane opierzenie, grot z kości... Takie służyły rohańskim dzieciakom do zabawy, gdy otrzymywały swoje pierwsze w życiu pancerze z grubej byczej skóry. Ech, gdyby tak miała kolczugę!... Niechby nawet nie była taka jak mistrza Holbytli, niechby była najzwyklejsza!...

- Strzelaj! - ryknął Szary. Do wrażych szeregów pozostało niewiele. Rydwan rozpędzał się coraz bardziej, wściekle wirowały sierpy na kołach, gotowe wciąć się w nieosłonięte niczym ludzkie ciało.

Pozostali niewolnicy razem wystrzelili, pośpiesznie nakładali na cięciwy nowe strzały. Nie sposób było spudłować, tak zwarte i szczelne były szeregi wrogów. Eowina niepewnie uniosła łuk... i nagły ból lewego ramienia, niespodziewany i gwałtowny, jak oparzenie, zmusił

ją do wypuszczenia pierwszej strzały.

Na zawsze pozostający bez imienia wojownik pierzastorękich chwycił się za przebitą pierś i runął.

Kilka chwil później rydwan wbił się w tłum.

Pierwszą rzeczą, jaką usłyszała Eowina, był tępy, straszliwy chrzęst. Chrzęst, który w mgnieniu oka zmienił się w przerażający chór przedśmiertnych wrzasków. Miażdżąc, tnąc i kalecząc, rydwan wyrąbywał sobie drogę przez morze ludzi, a jego burty stały się w kilka chwil purpurowe od krwi.

Eowina wystrzeliła tylko jedną strzałę. I znieruchomiała porażona koszmarem, nie mając siły patrzeć, nie mając też siły się odwrócić. Widziała, z jaką łatwością ogromne kosy szatkowały ludzkie ciała, jak przebijały na wylot pierzastorękich długie włócznie, cięły topory i przeszywały strzały. Zamiast rozstąpić się przed potworem, ci rzucili się nań ze wszystkich stron. Widziała ich twarze - nie były to ludzkie oblicza, nie były to nawet zwierzęce pyski, nie... Wyglądali tak, jakby jakaś siła wyssała do cna dusze tym nieszczęśnikom, wydając ich potem na rzeź. Napastnicy najwidoczniej zapomnieli o tym, że życie dostaje się tylko raz, że walka polega na pokonaniu przeciwnika tak, by samemu nie zginąć, że umieranie bez sensu jest rzeczą najprostszą... Pierzastoręcy pchali się do rydwanu ze wszystkich stron, jakby chcieli zatrzymać go gołymi rękami. Ich toporki usiłowały skruszyć pociemniałe od krwi sierpy - bezskutecznie; sami wojownicy rzucali się pod koła, usiłowali chwycić za wystające groty włóczni i wspiąć się po nich do góry - tylko po to, by rozwaliły im czaszki długie topory wojowników Szarego.

Sam setnik nie dotknął ani włóczni, ani łuku. Nie zwracając uwagi na odbywającą się dokoła straszliwą rzeź, na bryzgi krwi, rozglądał się bacznie, rzucając rozkazy. Najgorsze, co mogło się przydarzyć rydwanowi i jego załodze, to ugrzęźnięcie w stertach martwych ciał, utrata rozpędu i zatrzymanie wozu. To byłoby wyrokiem na cały oddział. Zanim wyczerpią się siły tych, którzy popychają rydwan, Szary musiał wyrwać się z terenu bitwy albo znaleźć takie miejsce, w którym mogliby przetrzymać oblężenie...

Eowina odwróciła się. Tam, na grzbiecie wzgórza, nieruchomo stała kawaleria Wielkiego Tcheremu. Stali jeźdźcy, obojętnie przyglądając się rzezi. Nie musieli się na razie niczym przejmować - ani jeden z wojowników wrażej falangi nie przedarł się przez linię wozów bojowych. Nie dlatego, że nie dało się tego zrobić, ale dlatego, że żaden z pierzastorękich nie uchylił się od walki.

Zbocze kończyło się, wozy przemieszczały się coraz wolniej. Każdy z nich

przypominał teraz niedźwiedzia, ze wszystkich stron otoczonego wściekłymi psami. Burty były podobne do skóry nastroszonego jeża - tak wiele wpiło się w nie dzid. Sierpy grzęzły w krwawej mieszance mięsa i kości.

Z przodu i z tyłu, gdzie nie było krwawych kos, wrzały szczególnie zajadłe walki. Pierzastoręcy błyskawicznie tworzyli żywe piramidy, usiłując po nich wdrapać się na górę; groty włóczni grzęzły w nadzianych na nie trupach. Stalowe noże cięły tych, którzy usiłowali własną piersią powstrzymać rydwan, ale w miejsce zabitych stawali nowi i nowi wojownicy. Wydawało się to niemożliwe, ale tak było. Rydwan Szarego pozostawiał po sobie szeroką drogę, wyłożoną martwymi ciałami; zapewne wojownicy innych plemion zatrzymaliby się, może spróbowaliby jakoś inaczej poradzić sobie z niedostępnym wrogiem, ale nie pierzastoręcy. Ci z niepojętą zaciekłością i szaleństwem pchali się na pewną śmierć.

Draśnięte strzałą ramię Eowiny krwawiło, ale dziewczyna nie czuła bólu. Porażona widokiem straszliwej jatki z trudem utrzymywała się na nogach. Niewolnicy z oddziału Szarego znakomicie radzili sobie bez niej. Twierdza na kołach przebijała się przez tłum nieprzyjacielskich oddziałów i teraz już cała zalana była gorącą ludzką krwią.

Sąsiednie wozy, naśladując Szarego, przebijały się coraz głębiej i głębiej w szeregi pierzastorękich, którym los sprzyjał tylko w jednym wypadku. Eowina widziała, jak, wzniósłszy prawdziwą barykadę z martwych ciał, wdarli się na przód wozu i wkrótce przez jego burty poleciały rozszarpane na kawałki ciała rabów.

- Patrzysz? - zainteresował się beznamiętnie Szary. Setnik stał niczym kamienny posąg, nieprawdopodobnie spokojny; wydawało się, że wie, co się będzie działo za chwilę, że zna przyszłość. - Patrz sobie, patrz. To pożyteczne... Hej, wy tam! Teraz walcie prosto!...

Lawirując, cofając się i przedzierając do przodu, rydwan przebijał się coraz dalej i dalej, na spotkanie ściany dymu. Szeregi pierzastorękich wydawały się nie mieć końca; miejsce zabitych zajmowali natychmiast nowi wojownicy. Niewolnicy tracili ducha.

- To daremne! - Olbrzymi niewolnik, który dopiero co zarąbał kolejnego wroga, nagle odrzucił halabardę, zwalił się na tyłek i zaszlochał głośno, wbiwszy brodate oblicze w dłonie. Wszystko to dareeemneee...

- Wstawaj natychmiast! - krzyknęła niespodziewanie dla samej siebie Eowina. - Wstydź się, tchórzu! I popatrz!

Chwyciła łuk i wypuściła strzałę. Pierzastoręki, który wdrapał się na burtę wozu z zaciśniętym w zębach nożem, w milczeniu runął na plecy, a wirująca kosa przecięła jego ciało na dwie części.

- Zuch! - usłyszała pochwałę z ust Szarego. - Działaj tak dalej!

Po pierwszej strzale wystrzeliła drugą, trzecią, czwartą... Nie można było spudłować, strzelając w taki tłum, trafiłby nawet ślepy. Wrogowie padali jeden po drugim. Bez pancerzy, niemal bezbronni... Wymachiwali toporami, ciskali dzidy- ale Eowinę jakby chroniły inne, wyższe moce. Młoda Rohanka odpowiadała wrogom, puszczając kolejny raz cięciwę - i liczba zabitych powiększała się o następną ofiarę.

- Teraz walimy prosto! - wydał rozkaz Szary. Zaczynało się tu łagodne zbocze; jeśli skierowaliby się nieco w lewo, to może udałoby się przebić do ciemniejącego w oddali lasu. Inne wozy, prowadzone przez mniej sprawnych dowódców - ciekawe, gdzie mógł Szary zdobyć takie doświadczenia - zostały w tyle.

Dopiero teraz Eowina zobaczyła, że wojsko pierzastorękich nie jest bezgraniczne. Szeregi wojów w szarych narzutach z pióropuszami rzedły; stała się widoczna wydeptana, zmacerowana ziemia. A przed nimi, o kilka mil przed rydwanem, wzbijała się w niebo gigantyczna czarna ściana. Wzdłuż jej dolnej krawędzi pełgały niewielkie języki płomieni.

- Co to jest?! - zawołała przerażona Eowina.

- To płonie ziemia! - odkrzyknął w odpowiedzi Szary. Wychylił się do przodu, uważnie przypatrując ścianie dymu.

- Jak to?

- Nie wiem. Wygląda mi na jakiś czar!

Niewolnicy, wszyscy jak jeden mąż, zaczęli wyć:

- Zawracajmy! Zawracajmy!

- Nie! - ryknął Szary, jak stary przywódca na stado ze zjeżoną ze strachu sierścią. - Do przodu! Tylko tak możemy się uratować!

- Ale...

- Żadnych „ale”! Obejrzyjcie się - tylko nie zwalniajcie, tnijcie i rżnijcie, póki jeszcze nas nie zatrzymali i nie rozdarli na strzępy!

Eowina obejrzała się. Słusznie - wolno, bo wolno, ale jednak, za cenę niesłychanej liczby ofiar, pierzastoręcy zatrzymywali rydwany jeden po drugim. Moc wozów polegała na ruchu, zatrzymując się, prędzej czy później, nie wytrzymywały naporu. A wtedy fale smagłych, z lekka przykrytych szarymi narzutami wojowników, z okrzykami triumfu wdzierały się do wnętrza... Zwycięski wizg mieszał się z przedśmiertnymi wrzaskami i żałosnymi błaganiami o litość...

Spory natychmiast ustały.

- Hej, na dole! Jeszcze popracujcie! Już niewiele zostało!

Rubież dymu też nie stała w miejscu. Zbliżała się, i to dość szybko. W szczelinie między ziemią i dolną krawędzią nieprzeniknionego mroku szalał ogień. Dziewczyna mogła już odróżnić pędzące ku górze kłęby płomieni, jaskraworude, przenicowane czarnymi strugami dymu... Eowina zadrżała ze strachu. „Wszak to pewna śmierć!" - wrzeszczał jej umysł i całe ciało. Ale Szary, niczym na pozór się nie przejmując, prowadził wątły drewniany okręt coraz dalej i dalej, już w dół po stoku, na spotkanie ognistego wału. Wojownicy pierzastorękich ciągle walili się pod koła, upadali pod razami toporów, turlali się w dół przeszyci strzałami i włóczniami...

Ale już tracili siły ci, którzy popychali rydwan, tam, pod spodem. Zgrzytając zębami, Szary skierował na dół z pół tuzina wojowników, z grupy tych silniejszych; Eowina zmuszona została walczyć za trzech. Zarzuciwszy łuk na plecy, chwyciła w dłonie ukrytą przez cały czas szablę. Pierwsza głowa, która pojawiła się ponad burtą wozu, spadła z ramion; dziewczyna sama nie wiedziała, że może tak ciąć - dokładnie, skutecznie... Chlusnęła nań ciepła krew, za zabitym na wóz wspinało się dwu innych...

Nie zostało już nic innego, jak wziąć się do dzieła i samemu Szaremu. Eowina nawet nie widziała zamachu - tylko jęknęło przecinane ostrzem powietrze. Szeroki topór na długiej rękojeści ściął głowy dwu pierzastorękim, którzy na swoje nieszczęście wdarli się na burtę wozu...

To nie jest zwyczajny człowiek - pomyślała nagle dziewczyna. - Człowiek nie może tak ciąć. Tylko jakiś heros... taki jak Hama... A Szary przecież... na oko... nie jest zbyt silny...

Setnik w kilka chwil oczyścił burty od wiszących i wspinających się na nie wrogów. Niewolnicy na dole wytężyli siły, rozległy się stękania, pohukiwania - i wyrwali, wydawałoby się ugrzęzły w trzęsawisku z porąbanych ciał, rydwan.

Ogień jarzył się już całkiem blisko. Eowina całym ciałem odczuwała groźny, zły oddech płomienia. Miała wrażenie, że tam, przed nią, płonie sama ziemia i chciwy ogień nie uspokoi się, dopóki nie pożre wszystkiego pod sobą, aż dotrze do kamiennych Kości Ziemi, od których nie ma na świecie nic mocniejszego.

Niewolnicy walili się na deski z żałosnymi jękami, rzucali broń i zakrywali głowę rękami. Byli przekonani, że ich setnik zwariował, kierując swój wóz, już niemal uwolniony od zaciekle atakujących napastników, wprost w objęcia śmierci. Nie skapitulowała tylko Eowina cała zachlapana krwią, niczym jakieś pradawne bóstwo wojny.

Pierzastoręcy nie ośmielili się walczyć blisko ściany ognia. Z ochrypłymi wrzaskami i

wyciem rozbiegli się na boki. Droga była wolna.

Płomień triumfalnie huczał, zwijając się w jędrne wydłużone wiry. Zanim runęła na deski, kryjąc się za płaskimi burtami, Eowina rzuciła ostatnie spojrzenie za siebie: tam, daleko z tyłu, bez pośpiechu ruszyła ze wzgórz haradzka jazda. Nie istniała już lawina, jednolita fala pierzastorękich; pośród usianej wieloma tysiącami trupów równiny ocalali najeźdźcy z okrutną rozkoszą dobijali niewolników w ich bojowych wozach. Haradzcy stratedzy dobrze wybrali czas na uderzenie. Ani wcześniej, ani później ich oddziały nie mogłyby dokonać więcej...

Żar parzył skórę twarzy, dziewczynie wydawało się, że za chwilę zacznie na niej płonąć ubranie.

- Przykryj głowę! - usłyszała wściekły krzyk Szarego. Setnik, jedyny z otoczenia, ciągle stał, jakby przekonany, że jemu płomień nie może wyrządzić krzywdy.

W następnej chwili rydwan zanurzył się w ogniu.

W całym swoim życiu Folko nie widział okrutniejszego widoku.

Brał udział w wielu bitwach, poznał czarną rozpacz na wieżach skazanej na zagładę twierdzy Kirdana, kiedy myślał, że wali się w gruzy cały świat. Poznał śmiertelną gorycz - po porażce na Łuku Iseny, kiedy pod stopy wojska Olmera legło trzydzieści tysięcy rohirrimskich zuchów. Walczył z upiorami i widmami, stał twarzą w twarz z samą Nocną Włodarką, doświadczając na sobie działania jej złośliwej uśmiercającej magii. Przez dziesięć lat życie targało nim, jak mogło; w tym czasie przemierzał na własnych nogach całe wielkie Śródziemie, od Wód Przebudzenia na Wschodzie do Gór Niebieskich na Zachodzie, walcząc pod sztandarami Rohanu, Beorningów, Gondoru, Esgarothu, ojczystej Hobbitanii - ale nigdy nie bał się tak, jak tego dnia.

Ukrywszy się za murem porzuconego haradzkiego obozu, czując nieznany wcześniej ból rozrywający serce, Folko Brandybuck widział, jak toczyły się po zboczu wzgórza wozy bojowe Haradrimów. Nie trzeba było długo się zastanawiać, by zrozumieć ich zamysł. To, co na pierwszy rzut oka wydawało się szaleństwem, w rzeczywistości okazało się dobrze przemyślanym planem. Pierzastoręcy rzucili się na wozy jak wygłodniałe psy na zdobycz, zapomniawszy o wszystkim.

Z zamierającym sercem, czując, że za chwilę może stracić oddech, Folko przyglądał się, jak masa wozów bojowych wcina się coraz głębiej i głębiej w pulchne szeregi wojska pierzastorękich. Każdy z pojazdów pozostawiał za sobą szeroki krwawy ślad - prawdziwe kurhany porąbanych i zmiażdżonych ciał. Jeszcze przed chwilą to martwe ścierwo było żywym mięsem żywych ludzi, bezsensownie wychodzących własnej śmierci na spotkanie... Nie żywił

do nich nienawiści, wręcz przeciwnie - nieoczekiwanie dla samego siebie odkrył, że współczuje im. Wiele tysięcy żegnało się ze światem tam, na zboczu wzgórza, rozstawali się z życiem nie wiadomo po co i dlaczego. Nigdy już nie wrócą do rodzin, ich ogniska domowe ostygną, a synowie zaczną gromadzić siły i rozdmuchiwać w duszach żądzę zemsty.

Nastanie dzień, kiedy do niej dojdzie.

Stal sierpów na kołach wozów bojowych zabrała wiele tysięcy żywotów, a hobbit z zaskakującą jasnością zrozumiał, po co przywiodła jego i współtowarzyszy tu, na dalekie Południe. O nie, nie przybyli tu po to, by wyrwać z niewoli Eowinę, w tak niedobrym czasie uczepioną ich trójki, i nawet nie po to, by poznać naturę Światła, które wywołuje szaleństwo świata. Nie.

Przywiódł ich tu sam Los, ten sam Los, który stoi ponad elfami, ludźmi i krasnoludami, ponad magami i widmami, ponad Orlangurem i Valarami, ponad nawet Jedynym. Przywiódł po to, by hobbit i dwa krasnoludy zdławiły tę wojnę. Poprzednim razem nie udało im się powstrzymać Olmera. Z wielką szczodrością Los darował im drugą szansę.

Oto masz przed sobą pole śmierci, hobbicie. W każdej chwili kilkuset wojowników rozstaje się na nim z życiem. Żelazo sieka ciało, miażdży kości, koła wgniatają trupy w ziemię, a nadchodząca ze wschodu ściana płomieni kończy tę niesłychaną bitwę w gigantycznym stosie pogrzebowym, pożerając wszystkich, i martwych, i rannych, i umierających. Już nie możesz im pomóc, hobbicie. Ale w twej mocy jest uczynić tak, by ten koszmar pozostał w przeszłości. Już chociażby dlatego warto, byś żył.

Krasnoludy i Khandyjczyk stali w milczeniu obok. Folko gotów był postawić swą mithrilową kolczugę przeciwko zardzewiałemu gwoździowi, że jego towarzysze myślą i czują w tej chwili dokładnie to, co i on.

Było coś przyciągającego w tym olbrzymim krwawym przedstawieniu, równego któremu nie widziano od czasu Wojny Gniewu...

Drugiego takiego pola śmierci w Śródziemiu nie będzie aż do Końca Dni.

Niewolnicy niemal wykonali swoje zadanie. Wojsko pierzastorękich tarmosiło ich rydwany jak sfora dzikich psów, szarpało i - traciło, traciło, traciło ludzi, dziesiątki ludzi, setki, tysiące... Tam gdzie inni wojownicy - nawet źle dowodzeni - zapłaciliby pięćdziesięcioma ludźmi, pierzastoręcy walili się tysiącami.

Dla Folka było to nie do pojęcia. Jego umysł skapitulował, nie mogąc objaśnić tego, co widziały oczy. Co to za dziwny atak? Kto nim dowodzi? Szaleniec? I całe jego wojsko też składa się z szaleńców? Skąd się wzięli? Jakie olbrzymie królestwo mogło wystawić taką

niepoliczalną armię? To, co widział, nie mieściło się w żadnych ramach...

- Musimy odszukać Eowinę - usłyszał własny głos.

Malec aż podskoczył, nie zwracając uwagi na stojących dość blisko haradzkich jeźdźców.

- Co ty gadasz?! Gdzie ją odszukamy, co? Tam?! - Tknął palcem w stronę pola śmierci.

- Skoro jest tam, więc powinniśmy ciągnąć za nią. - Hobbit rozumiał, że oznacza to niemal pewną śmierć, ale jednak...

Ostrze Otriny władczo trąciło go w pierś, jakby mówiąc: „Ja mogę! Pomogę!". „Dziękuję" - zwrócił się w myślach do sztyletu. Palce zwarły się na rzeźbionej rękojeści i poprzez znajomy rozwichrzony korowód niebieskich płatków Folko dojrzał malutką postać ze złotymi włosami, która zaciekle machała szablą, stojąc przy burcie - tej, która najbardziej zbliżyła się do skraju ognistej chmury - swojego rydwanu.

- Przekleństwo! - Folko poderwał się na równe nogi, zapomniawszy o ostrożności.

Uratowało go tylko to, że właśnie w tym momencie haradzkie rogi zagrały sygnał do ataku.

Równa linia jazdy niespiesznym krokiem ruszyła w dół. Niektórzy wojownicy unieśli łuki, inni przygotowali kopie; rogi zagrzmiały powtórnie i wszystkie wierzchowce Tcheremczyków ruszyły z miejsca. Z krzykami, wizgiem i szczuciem, wystawiwszy kopie i ustawiwszy szereg, Haradrimowie pomknęli po zboczu, w stronę, gdzie pierzastoręcy dobijali niewolnicze oddziały.

A w ślad za groźną lawiną jeźdźców biegła czwórka dzielnych pieszych wojowników, na których nikt dotychczas nie zwrócił uwagi. Bojowy sztandar Tcheremu w kolorze purpury rozwinął się daleko z prawej; tam, dokoła tcheremskiego dowódcy, zostało jeszcze kilkudziesięciu wojowników jego osobistej ochrony. Wszyscy inni, co do jednego, poszli w bój - dokończyć dzieła niewolników. Jeśli ktoś nawet zobaczył Folka i jego towarzyszy, nie przywiązywał do tego wagi.

Hobbit biegł, usiłując nie stracić w swym wewnętrznym widzeniu rydwanu, na którym zaciekle walczyła przy burcie Eowina. Wkrótce pokryte murawą zbocze skończyło się - ziemia zniknęła pod warstwą trupów.

Na rękach zabitych, od ramienia do nadgarstków widoczne były niewysokie grzebienie, niektórzy mieli je wyższe, inni mniej wyraźne; oczywiście - nie dało się ich porównać z prawdziwymi piórami Fellastra, ale nie można było się pomylić. Poza tymi grzebieniami nic nie różniło ich od ludzi - byli wysocy, piękni... Co prawda ich ręce ustępowały siłą

mieszkańcom Północy, ale jeśli ten naród może wystawiać takie hufce...

Niektórzy jeszcze żyli, bezsensownie usiłowali pełzać, dygotali, chrypieli w agonii i w końcu umierali.

A przed nimi wciąż trwał bój. Uparcie walczyło jeszcze o życie kilkadziesiąt rydwanów. Zajęci atakiem, a może po prostu oślepieni jakąś Mocą - pierzastoręcy, zamiast zewrzeć szyk czy przynajmniej odwrócić się i nie dać zaskoczyć od tyłu, ciągle szturmowali wysokie ścianki wozów. Haradzka jazda, wysyłając przed siebie śmiertelne wachlarze strzał, wbiła się w tłum jak kosa Śmierci.

Konie deptały kopytami ludzi. Jeźdźcy przeszywali pierzastorękich włóczniami, cięli z wysokości siodeł krzywymi szablami i szpikowali strzałami z łuków. Na spotkanie atakującej kawalerii poleciały nieliczne dzidy, zbyt mało, bo większość tkwiła w burtach rydwanów. Herosów Tcheremu nie mogły powstrzymać. Straciwszy co najwyżej dwudziestu ludzi, konna lawina zaczęła gnać pierzastorękich na wschód, ku płonącej ognistej ścianie.

- Nie zdążymy! - wykrzyknął z rozpaczą Folko.

Rydwan z Eowiną toczył się prosto ku ognistej kurtynie. Co za szaleniec prowadzi na śmierć ocalałych w tym niesłychanym boju ludzi?!

Bliżej, bliżej, jeszcze bliżej... Folko biegł z zamkniętymi oczami - nieznana Moc prowadziła, chroniąc przed upadkiem. Wewnętrznym wzrokiem trzymał w polu widzenia małą postać ze złotymi włosami - oto nieumiejętnie, ale wściekle dźgnęła szablą jakiegoś wojownika pierzastorękich... Oto, zakrywając przed żarem rękami twarz, rzuciła się na podłogę z desek...

W tym momencie rydwan wbił się w ogień.

- Nie! - Zachłystując się krzykiem, Folko potknął się, runął na ziemię, wprost na porąbanego, pokrytego krwią trupa. Świat zniknął mu z oczu. Cienka nić, przeciągnięta między nim i złotowłosą postacią, nagle pękła, chlasnąwszy piekącym, nie możliwym do wytrzymania bólem, Folko niemal stracił przytomność. Widział, jak zamknęły się dokoła wozu fale płomieni, błyskawicznie pochłaniające upragnioną zdobycz...

Koniec. Dalej nie było już po co biec.

Mocne ręce przyjaciół krasnoludów pochwyciły hobbita i postawiły na nogi.

- Uciekamy! Póki Haradrimowie nie natknęli się jeszcze na nas... - Malec kręcił głową, rozglądając się na boki.

Bój przesuwał się powoli dalej i dalej na południowy wschód. Pierwszy impet haradzkiej kawalerii wygasł, ale przewaga w uzbrojeniu i umiejętnościach walki zostały. Cienki szyk jeźdźców jak i poprzednio spychał pierzastorękich prosto ku ognistej ścianie.

- Do lasu! - polecił Torin.

- Nie! - Folko z trudem rozkleił wargi. - Naprzód... za nią... trzeba... znaleźć...

- Przecież oni wjechali w płomień! - ryknął Malec. W ogień! Już ich nie ma, tak należy uważać!

- Może... przez ogień... można przeskoczyć - wykrztusił hobbit, podtrzymywany przez krasnoludy. - Powinniśmy... wiedzieć to dokładnie... na pewno... Rozumiesz?

- Rozumiem, rozumiem! Flaki z nas Haradrimowie wyprują, wtedy wszystko zrozumiemy!

- Naprawdę, Folko... - zaczął Torin, ale hobbit tak wściekle się wykrzywił, a oczy jego rozbłysły takim blaskiem, że nawet doświadczony Malec, nieustępliwy pieniacz, odchrząknął i bez sprzeciwów ruszył do przodu.

Zdradziecka słabość w nogach ustępowała. Do chwili, kiedy półtora dziesiątka wojowników w poszarpanych, zakrwawionych szarych narzutach rzuciło się ze wszystkich stron na mały oddział, Folko odzyskał już całkowicie siły. I pierwszy zaatakował - płazem uderzywszy w głowę szaleńca, który rzucił się na niego z dzidą.

- Nie mordujcie ich! - krzyknął hobbit do przyjaciół. Zdążył na czas - daga Malca już sunęła ku gardłu skazanego na śmierć przeciwnika; cienka szabla Khandyjeżyka odrzuciła na bok lekki toporek pierzastorękiego i wyraźnie mierzyła w głowę napastnika. - Przebijemy się i tak!

Rzeczywiście - przebili się. Lekkie dzidy i niemal nieważkie toporki pierzastorękich - żadna przeszkoda dla wykutej w Kuźni Durina broni. Ogłuszywszy i powaliwszy na ziemię pół tuzina ludzi, hobbit i jego przyjaciele oczyścili dla siebie drogę do ognistej ściany...

Chyba po raz pierwszy w ciągu dziesięciu lat burzliwego życia wędrownego wojownika, Folko przez cały czas tej potyczki odczuwał wstręt i strach. Zabić szaleńca to tak jakby zabić dziecko, które dla żartu cisnęło w kogoś kamykiem. Może ci ludzie byli złoczyńcami, gwałcicielami i zabójcami. Ale czyż on ma prawo osądzać ich, skazując na śmierć bez możliwości obrony?!

Pozostawili po prawej stronie znieruchomiały rydwan niewolników. Trupy piętrzyły się niemal do górnej krawędzi burty. Wśród szarych płaszczy gdzieniegdzie pojawiało się odzienie tcheremskich niewolników i wiele wskazywało na to, że byli żywcem wyszarpywani z rydwanu i rozdzierani na strzępy gołymi rękami...

W końcu jednak, dwukrotnie jeszcze zetknąwszy się z biegnącymi dokądś pierzastorękimi, dotarli do ognistej ściany. Płomień atakował, wyrzucając przed siebie długie

ścielące się po ziemi języki - jakby jakiś niezwykły jaskraworudy podpalany na czarno zwierz chciwie lizał bezbronną ziemię, a ta natychmiast zaczynała płonąć, nawet jeśli - wydawało się - nie miało co na niej płonąć.

Niestety, dalej już nie mogli iść. Żar panował taki, że nie dało się podejść nawet na sto kroków. Płomień śpiewał pieśń zwycięstwa, niemającą końca, szyderczą... Płomień nacierał. Co będzie, gdy dotrze do lasu?

- Musimy uciekać! - krzyknął Torin. - Spełniliśmy nasz obowiązek! Teraz czas pomyśleć o innych!

Folko jęknął i rzucił się do przodu, ale Mały Krasnolud zręcznie zawisł na jego ramionach, błyskawicznie przycisnąwszy do ziemi.

- Opamiętaj się wreszcie! - ryknął do ucha hobbita.

Krasnoludy zmuszone były siłą wyciągać go z pola śmierci. Najpierw Folko milcząc zawzięcie usiłował się wyrwać, potem stał się apatyczny i poddał się woli przyjaciół. Torin z niepokojem patrzył na niego: czy aby nie postradał zmysłów?

Folko ledwo widział, co się dokoła dzieje. Wszystko przesłaniała mu czarna kurtyna rozpaczy. Eowiny już nie ma... w tym piekle nic nie mogło ocaleć... zginęła... przez niego...

Jego drugi wzrok, ten wewnętrzny, zaniknął w jednej chwili i całkowicie, gdy tylko rydwan przekroczył granicę ognistego łuku. Mogło to znaczyć wszystko: dziewczyna nie żyje, a płomień pożera w tej chwili jej kości... albo w ognistej kurtynie kryje się jakaś magia...

Ani Haradrimowie, ani pierzastoręcy nie ścigali tej czwórki, byli zbytnio zajęci wzajemnym mordowaniem się.

13 Sierpnia, Wieczór,
Okolice Wschodniego Krańca
Gór Popielnych

Dawno już pozostawił za sobą stepy Easterlingów i Błękitne Lasy Nadrunia. Przed garbusem leżał wschodni Mordor - porzucona, bezludna ziemia. Zawsze były to ubogie tereny, ale jakoś karmiły osiadłych po Upadku Barad- duru mordorskich orków, tych, którzy zmienili miecz na pług oracza czy kielnię murarza. Dziesięć lat temu wszystkie tutejsze plemiona, przypomniawszy sobie przeszłość, zgodnie powstały, zgromadziwszy się pod sztandarami Earnila. Szły pod nimi od zwycięstwa do zwycięstwa, podbiły Zachód, dotarły do ostatniej elfijskiej twierdzy - gdzie znalazły swoją zgubę. Wyprowadzeni przez Olmera z walki Easterlingowie rozkoszowali się owocami długo oczekiwanego zwycięstwa w kamiennych miastach Arnoru, a orkowie... Orkowie ruszyli za swoim Wodzem na ostateczny, decydujący szturm i znaleźli się w samym środku potężnego wybuchu, gdy Szare Przystanie zginęły wraz z triumfującymi zwycięzcami.

Ziemie Mordoru całkowicie się wyludniły. I jeśli w stepach Easterlingów ci, którzy pozostali, wiedzieli, że ich synowie, bracia czy po prostu krewniacy są żywi i zdrowi w nowym potężnym państwie - królestwie Terlinga (który zdążył już ogłosić siebie prawowitym następcą Króla Elessara), to mieszkańcy Mordoru tak samo na pewno wiedzieli, że ich bliscy stali się pokarmem dla ryb...

Sandello wjechał do przygranicznej wioski. Orkowie, tak samo jak hobbici, niechętnie rozstawali się z wielowiekowym przyzwyczajeniem mieszkania pod ziemią, i domy budowano tylko w ostateczności. W północno- wschodnim Mordorze - pustynnym, pofałdowanym wzgórzami, bezleśnym - domy były z konieczności - kamienne.

Garbus zsiadł z konia. W wiosce znajdowało się może z dziesięć domów, z których trzy wyraźnie zostały porzucone. A pozostałe... Osada żądnych krwi orków, tak długo będących postrachem całego Śródziemia, niczym szczególnym nie różniła się od, powiedzmy, odległych osiedli Easterlingów oraczy. Takie same dzieci, bawiące się na poboczu jedynej uliczki, tacy sami starcy, wygrzewający się w słońcu...

Siedzący obok pierwszego z brzegu domeczku stary goblin, mrużący oczy, żeby lepiej widzieć, wpatrzył się w znieruchomiałego przybysza, owiniętego czarnym jak noc płaszczem. Wpatrzył się - i nagle drgnął, jak uderzony, usiłując poderwać się i ukłonić. Prawa jego noga

była sztywna, potraktowana kiedyś klingą - goblin zachwiał się, niezgrabnie zamachnął rękami, usiłując utrzymać równowagę, i...

Mocna ręka Sandella podtrzymała starca.

- Pan... pan... - wychrypiał ork, z lękiem wpatrując się w twarz garbusa.

- Czasy się zmieniły, Gorbagu - zauważył spokojnie stary miecznik. - Nie nazywaj mnie panem.

Ork wyprostował się urażony, błysnął gniewnie oczami.

- Służyłem wielkiemu wodzowi Earnilowi. Wiem, kto był jego prawą ręką! I do śmierci swej nie zapomnę tego! I pamiętam, jak należy zwracać się do dowódcy!

- No to rozkazuję ci zapomnieć o tym - westchnął Sandello...

- ...Tak oto sobie żyjemy od tamtego czasu. Ani jeden chłopak nie wrócił z wojny. Tylko ja, kaleka, którego nie wzięto do ostatniego ataku! - Gorbag opuścił głowę, czarne włosy opadły na płaską, pokrytą bliznami twarz. Sandello wiedział, że na tej twarzy zostawiły swe znaki i strzały Rohirrimów, i włócznie Gondorczyków, i miecze Arnoru...

Siedzieli w niewielkim domku goblina przy zniszczonym, pociemniałym ze starości stole z desek. Garbus pomyślał, że dokładnie taki sam stół, odrapany, pocięty nożem, nigdy nieprzykrywany obrusem, znajdował się w jego, porzuconym na los szczęścia, domu - tam, na północnym wschodzie, w Cytadeli Olmera...

- Wiesz coś o drodze na południe? - Sandello rozłożył na blacie stołu mapę. - Przechodziliśmy skrajem tych okolic, ale bardziej na wschód... Nie chciałbym znowu nadkładać drogi.

- Kiedyś wojowaliśmy z Khandem - wychrypiał Gorbag. Teraz nikt nie pamięta już dlaczego. Ktoś na kogoś napadł, ktoś odpowiedział... Pocięliśmy się, ale każda strona została na swoim...

Sandello cierpliwie słuchał.

- Przypominam to dlatego, bo właśnie chcę powiedzieć, że droga do Południowej Ściany jest czysta, a dalej, przez Khand, może być ciężko. U nas wszystko jest łatwe i proste... Tylko trochę na zachód trzeba się odchylić. Tu jest mało naszych wsi.

Milczeli długą chwilę. Stary ork opuścił głowę - wydawało się, że ciężkie spojrzenie Sandella sięgało do najgłębszych pokładów jego myśli. Gość chyba chciał o coś zapytać, już nawet otworzył usta, ale z jakiegoś powodu powstrzymał się, wykrzywił wąskie wargi i nie odezwał się.

- Co do noclegu... - zaczął Gorbag, ale miecznik już wstawał:

- Dziękuję. Czas na mnie.

Skinąwszy lekko głową w odpowiedzi na niski ukłon, Sandello przekroczył próg.

Doświadczone spojrzenie wojownika ponownie obiegło wioskę. Tak... Z takimi nie da się wojować. Dzieciaki! Tych to dopiero trzeba by szkolić i szkolić...

Przybycie garbusa oczywiście nie pozostało we wsi niezauważone. Pod domem Gorbaga zebrali się pozostali mieszkańcy - kobiety w średnim wieku i staruchy. Gobliny, te młodsze, przestępowały z nogi na nogę w tylnych szeregach.

- Po co, burcgulu, znowu do nas przyszedłeś?

Straszna siwa starucha wysunęła się przed innych. Pocięte zmarszczkami ręce, powykręcane z powodu ciężkiej pracy palce, zapadnięte policzki... Ale nadal miała dumną postawę.

Sandello w milczeniu patrzył na mówiącą. Dziesięć lat garbus był... a zresztą, po co wspominać, teraz już nie ten czas. Niby dlaczego miałaby mile witać jego, który uprowadził na śmierć wszystkich co do jednego wojowników jej ludu...

- Znowu potrzebujesz naszych chłopaków? Posłuchaj mnie, czarny snaga, wynoś się stąd po dobremu! Jesteś zręczny w machaniu mieczem, wiem - ale i my potrafimy ci odpowiedzieć!

Za nią przestępowało z nogi na nogę kilku łuczników, wszyscy młodzi, smarkaci wręcz.

Sandello milczał. Starucha rozpalała się coraz bardziej:

- Dopiero zaczęliśmy odzyskiwać siły, dopiero nam wnuki, zamiast pozabijanych synów, podrosły - a ty znowu tu?! Poprzednim razem ci głupcy wrzeszczeli: „Naprzód!" i „Wódz Earnil!". Teraz nikt już nie będzie wrzeszczał. Zmądrzeliśmy, chwała Lugburcowi! Więc po coś tu przybył?

Gorbag pojawił się za plecami Sandella:

- Jest moim gościem, Garro.

- Gościem... - nie milkła starucha. - Znamy takich gości. Pewnie znowu potrzebujecie naszych jataganów. Żeby co znowu mścić się na kimś?

- Nie, czcigodna - odpowiedział cicho Sandello. - Po prostu jadę na południe. Nie potrzebuję waszych jataganów ani waszych strzał. Ale przewiduję i przepowiadam, że wkrótce będą wam one potrzebne. A teraz - żegnajcie! *Galakh golug narkuu gimbubut lat!*[4]

- Poczekaj! - poderwał się Gorbag. - Ty... z tobą... czuję to... - Wciągnął głośno powietrze przez szerokie nozdrza.

[4] Oby nie znalazł cię Noldor - Czarna Mowa.

- Część Mocy mojego - i twojego, Gorbagu!, pana - odparł spokojnie Sandello, dotknąwszy palcami sakwy przy pasie. - Ale jeśli okaże się, że mam rację... to ta rzecz jeszcze wyjdzie na światło dzienne, a wy zmuszeni będziecie wyjąć jatagany i oczyścić ze rdzy groty włóczni!

Wieś pożegnała garbusa złowieszczą, niedobrą ciszą. Milczał nawet Gorbag, znieruchomiały, z ręką uniesioną do góry, by się podrapać po głowie. Sandello wskoczył w siodło i wkrótce wieś zniknęła za zakrętem.

Przenocował w szczerym polu, daleko od osady. Sierpniowa noc była zimna i deszczowa, jakby Władca Wichrów ciągle jeszcze gniewał się na tę nieszczęsną krainę, raz po raz wysyłając pełne Łez Ulma chmury od zachodnich granic do brzegów ponurego Nurnenu. Deszcz niemiłosiernie ciął łany i tak już leżącego, cherlawego zboża, jakie z wielkim trudem udało się orkom- oraczom wyhodować na jałowych, chyba pozbawionych Błogosławieństwa Yavanny, ziemiach. Garbus spędził tę noc w namiocie zszytym z futer włosem na zewnątrz; chronił on jakoś przed ukośnie tnącymi zimnymi strugami, ale ogniska nie dało się rozpalić... Sandello siedział długo, wpatrywał się w żółty okrąg pierścienia. Kiedyś Olmer zrobił ten Talizman dla swych dowódców, przez jakiś czas posiadał go Oton... Potem Wódz odebrał pierścień, jakby zwątpiwszy w wierność Otona. Przed ostatnią walką otrzymał go Sandello... ten - przekazał Olwenowi... A syn Wodza nie potrafił godnie wykorzystać spuścizny po ojcu. Już się Talizman Olwenowi nie przyda - oblicze garbusa stało się ponownie zimne, twarde i okrutne; tak samo wyglądał jak kiedyś, dziesięć lat temu, gdy bardzo- bardzo wystraszył pewnego młodego hobbita w pewnym przygórzańskim zajeździe...

Garbus delikatnie uwolnił z nędznych szmat zawinięty w nie miecz. Nie ten, który służył mu jako broń powszedniego użytku i który odebrał niemało wrażych żywotów, tylko ten drugi, mocno przytroczony za plecami, żeby, niech strzeże Wieczna Noc, nie zgubić go przypadkiem. Nawet udając się na spoczynek, nie rozstawał się z nim.

Odległe, odległe dni widziała ta klinga, nie tak znana, jak Pierścień Barahira czy Berło Gondoru, ale w mroku Nan Elmothu Eol Ciemny Elf wykuł go ze skrzydlatego żelaza, które spadło z niebios, połączywszy w jedno z innym swym zadziwiającym tworem - gelvornem, wynalezionym przez siebie metalem, nieustępującym mithrilowi. Jego syn, Maeglin, w tajemnicy wyniósł ostrze z Nań Elmothu, gdy uciekał wraz z matką Aredhelą, siostrą Turgona. Cudowna broń trafiła do Gondolinu; Tuor z Idrilą uratowali go z ruin płonącego miasta, a poprzez Earendila, ich syna, miecz trafił do Elrosa, pierwszego króla Numenoru.

Broń owa długo przechowywana była w królewskiej skarbnicy, a Elros chyba niezbyt

lubił ten miecz, stworzony rękami Eola i pamiętający zdrajcę Maeglina. Nigdy pierwszy władca Numenoru nie przypasał go; nigdy nie obnażył w boju. I, jakby za milczącą zgodą, wszyscy następni królowie unikali dotykania wspaniałego ostrza. Mówiono, że podczas pierwszej wojny z Sauronem, w 1701 roku Drugiej Ery, wielką sławę zyskał Erneldur, ówczesny Lord Andunie, a Tar- Minastir niemal z radością pozbył się złowieszczego skarbu, nagrodziwszy nim wspaniałego dowódcę. Być może nie była ta opowieść niczym więcej niż jedną z bajd, być może nie leżała nigdy ta broń w królewskiej skarbnicy, a od powstania przechowywana była w zachodniej przystani Numenoru... Sandello w swoim czasie przebywał w książnicy zajętego przez Haradrimów Minas Tirith, zupełnym przypadkiem ocalałej z pożogi... Król Olmer wysłał do gondorskiej twierdzy kilka wyborowych oddziałów, których jednym jedynym zadaniem było uratowanie za wszelką cenę przed rozszalałymi haradrimskimi wojownikami starożytnych rękopisów, od wieków przechowywanych w Twierdzy Ostatniej Nadziei. Oddziały wykonały rozkaz, biblioteka przeszła w ręce zwycięzców cała i nietknięta, ale... Wodzowi Earnilowi nie było już sądzone z niej skorzystać.

Ze statkami Elendila Wysokiego miecz Eola trafił do Śródziemia. I ponownie los uczynił go więźniem pałacowej skarbnicy. Do bitew królowie Gondoru stawali z innymi mieczami, chroniąc drogocenną klingę; najważniejszy twór Ciemnego Elfa był ukryty za siedmioma zamkami. Skończyły się wojny z Easterlingami, potem - z umbarskimi korsarzami, jeszcze później - z Haradrimami, i w końcu, po Wojnie o Pierścień, miecz Eola nieoczekiwanie zyskał wolność...

Sandello westchnął i przymknął zmęczone powieki. Szczupłe palce garbusa głaskały ciemne ostrze... Staremu wojownikowi wydawało się, że jak na jawie widzi ten dzień w stolicy zwycięskiego Gondoru, trzy wieki temu...

„Wesołość i radość zapanowały w Mieście. Znienawidzony wróg padł, Mrok został na zawsze zwyciężony, nowy, Prawdziwy Władca ponownie zjednoczył pod swym berłem Północne i Południowe Królestwa, skończył się czas strachu i braku nadziei, nadszedł czas odbudowy zburzonych miast i orki na porzuconych polach...

Mówią, że Król Aragorn, Elessarem Elfijskim zwany, wraz z piękną małżonką swą, Arweną Undomiel, Gwiazdą Wieczorną elfów, siedzieli w sali tronowej, sprawując królewskie sądy. A w czasach tych, powiadają, trafić przed oblicze Wielkiego Króla wcale nie było tak trudno, nie to co w latach następnych! I oto strażnicy przyprowadzili przed jego oblicze pewnego młodzieńca, czarnowłosego i o szlachetnym obliczu. Nie skłaniając głowy, stał on przed tronem Władców, zuchwale wpatrując się w Elessara.

- Co sprowadza cię tu, młodzieńcze? - takimi słowy, jak głosi opowieść, zwrócił się Aragorn do przybysza. - Twarz twa dziwnie jest mi znajoma...

Uśmiechnął się młodzian i w milczeniu pokazał Wielkiemu Władcy dwie połowy przeciętego rogu, oprawionego w srebro.

- Róg... róg Boromira! - zakrzyknął Aragorn i nawet najjaśniejsza Arweną ze zdziwieniem popatrzyła na gościa. Skąd go masz?

- Przyjrzyj się uważnie, władco, i ty też, władczyni! - odpowiedział surowo młodzieniec.

Zmarszczył czoło Wielki Władca, albowiem nadmiernie zuchwałym wydało mu się zachowanie gościa; ale Arweną Undomiel spojrzała na niego i jej łagodny wzrok zmiękczył serce Elessara.

- To jest syn Boromira, syna Denethora, ostatniego Namiestnika Gondoru - rzekła Arweną, albowiem potrafiła, jak i wszyscy Pierworodni, czytać w ludzkich sercach. - I w duszy tego młodziana jest gniew na ciebie, mój królu. Nie odpowiadaj mu tym samym, proszę cię. Bądź dla niego łagodny, a wtedy... wtedy groźny cień, który widzę, ominie nasz kraj...

Cichym głosem powiedziała to Władczyni Arweną i nie wiedział gość, o czym rozmawiają Władcy; dlatego odziedziczony po ojcu gwałtowny charakter sprawił, że młodzieńca zaślepiła złość:

- O czym szepczecie, wy, przez oszustwo zajmujący tron mojego ojca? O czym szepczecie, wy, którzy nie przeszkodziliście mojemu dziadowi zginąć straszliwą, męczeńską śmiercią na stosie? O czym szepczecie, wy, nie wiadomo skąd osiedli w mieście, którego moi przodkowie od pokoleń strzegli?

Wiele jeszcze słów wypowiedział syn Boromira, gniewnych i głupich, oskarżając Wielkiego Króla o przejęcie władzy. W milczeniu wysłuchał go Aragorn.

- Dlaczego zginął mój ojciec - zginął z ręki żałosnych orków, podczas gdy cała reszta pozostała przy życiu? Dlaczego nie okazałeś mu pomocy, gdy przywoływał cię? Wiadomym mi jest, że chciałeś jego śmierci! Dlatego, że według starego prawa winien był on, ojciec mój, Boromir, syn Denethora, rządzić w Minas Tirith, a nie ty, osadzony na tronie przez tego włóczęgę w szarych łachmanach!

Mocno rozgniewał się Władca Aragorn, Prawdziwy Władca, Odnowiciel - ale Władczyni Arwena spojrzeniem powstrzymywała go. I nie wdając się w kłótnię z gościem, tak odpowiedział mu Król Elessar:

- Smutek zmącił twój rozum, młodzieńcze. Boromir był wspaniałym wojownikiem i

zginął śmiercią wojownika. Niech padnie na mnie przekleństwo Valarow, jeśli choć słowem czy nawet myślą zhańbię jego pamięć! Przyjdź do mnie znowu za siedem dni, kiedy twój umysł zapanuje nad uczuciami.

- Aha! - zakrzyknął gość, który ciągle jeszcze nie wypowiedział swego imienia. - Boisz się sprzeczać ze mną! To znaczy, że wszystko, co mówiłem, jest prawdą! Boisz się zhańbić usta kłamstwem tu, w świętej sali Gondoru!

- Nie, zaiste ból i smutek złamały twego ducha - pokiwał głową Władca Aragorn. - Jutro będziesz się wstydził swych słów, jestem tego pewien. Po prostu przeczysz sam sobie. Skoro jestem takim potwornym złoczyńcą, jakim mnie odmalowałeś, to cóż dla mnie znaczyłaby świętość jakiejś sali? Nie spieram się z tobą nie dlatego, że nie mam ci nic do powiedzenia, ale dlatego, że i tak w tej chwili mnie nie posłuchasz. Przyszedłeś tu, by cisnąć mi w twarz gniewne słowa, przyszedłeś w nadziei, że odpowiem ci gniewem - ale pomyliłeś się. Możesz odejść bez przeszkód, a po siedmiu dniach, jak powiedziałem - wracaj! Bardzo bym chciał ci pomóc...

- Prędzej bym przyjął pomoc Saurona! - padła harda odpowiedź.

I młodzian odszedł, a trzy dni później wyzwał Wielkiego Króla na pojedynek.

»Boromir, syn Boromira, syna Denethora, prawny władca Gondoru - głosił dostarczony Wielkiemu Królowi zwój - wzywa na pojedynek śmiertelny Aragorna, syna Arahorna, mieniącego się Królem Arnoru i Gondoru«.

I wiele innych obraźliwych słów dołączonych było do tego posłania...

Nikt nie wie, co powiedziała królewskiemu małżonkowi Władczyni Arwena, ale Wielki Król przyjął wyzwanie.

Powiadają, że na obszernym dziedzińcu Twierdzy starli się oni, a żadne oko nie widziało tego pojedynku. Ale Mądrzy wiedzą: nim zamknęły się wrota, uniósł młody Boromir miecz wysoko nad głowę, dumnie pytając Aragorna: znany jest ci ten miecz?

Jednego spojrzenia wystarczyło Królowi Elessarowi, by poznać broń. Słynny miecz Eola Ciemnego Elfa nie wiadomo jak znalazł się w rękach młodego i nieujarzmionego wojownika. Być może mocą swą przewyższał on nawet Anduril Króla... Ale nie uchylił się Aragorn od potyczki ani nie żądał zamiany broni na równą co do mocy, choć miał przy sobie zwykły, niczym niewyróżniający się miecz.

- Kradzione szczęścia nie przynosi - zauważył spokojnie i były to ostatnie słowa, jakie usłyszeli ludzie w Twierdzy, zanim zatrzasnęły się wrota.

A potem otwarły się i wyszedł przez nie tylko Król Aragorn...

Słudzy widzieli plamy krwi na kamieniach dziedzińca, ale nikt nie ośmielił się zapytać

Elessara, jak zakończył się ów pojedynek i gdzie zniknęło ciało nieszczęsnego Boromira, którego od tamtej pory nikt nie widział ani w Gondorze, ani w Arnorze, ani nigdzie w granicach Zachodu. Wraz z młodzieńcem zniknął bez śladu i miecz.

Nikomu i nigdy, aż do samej śmierci swej, nie opowiedział Władca o tym, co też się wydarzyło na dziedzińcu Twierdzy, prócz jednej tylko osoby, małżonki swej, królowej Arweny Undomiel, ale i ona święcie strzegła tajemnicy...".

Sandello gwałtownie uniósł głowę. Tak, tak właśnie to się odbyło - albo prawie tak. Nikt już teraz nie wyjaśni wszystkich wydarzeń sprzed trzech wieków. Ale miecz Eola w pewnej chwili przeszedł we władanie Olmera, poszukiwacza złota z Dale - długo przed tym, nim stał się wodzem Earnilem i Królem Bez Królestwa...

A teraz oto miecz leżał przed garbusem o imieniu Sandello.

Oblicze starego wojownika było zachmurzone. Czasem wydawało się, że patrzy na miecz zupełnie obojętnie, bez szacunku, niemal z nienawiścią. Tak, Sandello strzegł miecza ale nienawidził przy tym może nawet mocniej niż przeklętego Pierścienia, który przyniósł zgubę jego właścicielowi i potem, po zwycięstwie, z dobrej woli oddany został niewysoczkowi Folkowi Brandybuckowi. Wtedy jeszcze Olwen słuchał Sandella... Udało się go przekonać, choć bardzo niechętnie rozstawał się z przeklętym Pierścieniem...

- Dokąd prowadzisz mnie tym razem, mieczu? - szepnął garbus, niemal dotykając wargami zimnego czarnego metalu. - Jaka moc tam, na południu, przywróciła cię do życia, natchnęła ponownie żądzą krwi? Wiem, wiem, że ciemny duch twego stworzyciela wciąż jeszcze mieszka w tobie... Wiem, że tylko ręka mojego pana godna była twej rękojeści! Wiem, że byłeś rad, tnąc elfy pod murami Szarych Przystani, ponieważ nie wybaczyłeś im śmierci mistrza, który cię wykuł!... Powiedz zatem mi - co się wydarzyło?... Co się stało?...

Ale miecz nadal zachowywał pogardliwe milczenie. Co tam dla niego, pamiętającego trzy epoki Śródziemia, jakiś garbaty wojownik! Co znaczy dla niego, który znał rękę Maeglina, Tuora - co tam Tuora, samego Turgona! - Sandello, dzisiejszy jego powiernik? Tylko jednego człowieka uznawał za swego pana - ale pan ten od dziesięciu lat spoczywał na dnie nowo powstałego zalewu, znajdującego się na najdalszym zachodzie Śródziemia...

Garbus nie zasnął do świtu. Czasem jego wargi poruszały się, a wtedy mogło się wydawać, że przemawia do kogoś; ale odpowiedź chyba nie nadchodziła...

Rano zwinął swoje malutkie obozowisko i pogalopował dalej. Na południe, na południe, patrząc prosto w oblicze słońca, jak wojownik, piersią nacierający na wroga...

14 Sierpnia Noc,
Pole Bitwy W Południowym Haradzie

Wyrzucając przed siebie ogniste jęzory, straszny jaskraworudy zwierz pełzł, wciąż pełzł przed siebie, chciwie pożerając wszystko na swojej drodze: trawę, drzewa, resztki rydwanów, trupy niewolników, pierzastorękich, Haradrimów - i, wydawało się, nie ma dla niego granic, nic nie może go powstrzymać, przejdzie tak, niezatrzymany, do samego brzegu morza - a, co tam do morza! - do Gór Mordoru, obracając po drodze w popiół wszystkie miasta i osady Wielkiego Tcheremu...

Ale nie; łapska, szpony i paszcza ognistego potwora z rozbiegu uderzyły w nasyconą wodą ścianę lasów i... potwór odskoczył. Bezsilnie syczały języki płomieni, ale jaskrawe, soczyste liście, pędy, pnie tylko zwęglały się, nie zapalając. Żar płomieni wysuszył leśną gęstwinę na pięćdziesiąt kroków w głąb - i zdechł.

Na pokrytej popiołem równinie nie zostało nic żywego. Kilka ocalałych haradzkich oddziałów, ledwo zdążywszy pozbierać rannych, pośpiesznie wycofało się drogą, porzuciwszy na pastwę płomieni swój ogromny obóz, zbyt duży dla niewielkiej garstki pozostałych przy życiu. Pierzastoręcy, którzy byli w stanie, podążyli gdzieś na południe, wzdłuż płomienistej ściany, z nadzieją na ratunek.

Ogień skierował się na zachód, ale i tam stały mu na drodze bastiony lasów, a na dodatek około północy lunął ze zgęstniałych chmur ulewny deszcz. Ostatnie iskry zdychały pod naporem mocnych wodnych strug; na ziemi pozostawało wstrętne rzadkie błoto - rozmiękłe węgle zmieszane z popiołem.

Mały oddział Folka schronił się przed deszczem pod rozłożystym dębem, które Khandyjczyk nazwał albalomem, drzewem wędrowców. Szerokie i gęste listowie wspaniale chroniło przed lejącą się z góry wodą, ziemia dokoła pnia pozostawała sucha. Na mocnych, wystających z gruntu korzeniach można było wygodnie siedzieć, nawet leżeć!

- To duże szczęście - powiedział Ragnur. - Albalom rzadko występuje tak daleko na południu. Tu jesteśmy bezpieczni... w każdym razie żadne jadowite gady do nas się nie zbliżą - nie znoszą zapachu albalomu. Możemy spać spokojnie.

- Jakoś wcześniej nam nie mówiłeś o jadowitych gadach! - wzdrygnął się Malec, którego stosunek do miejscowych latających, pełzających, skaczących, biegających i innych pozbawionych rozumu zwierząt był nader skomplikowany.

- Nie mówiłem, nie mówiłem... Nie chciałem was przestraszyć - mruknął Khandyjczyk. - A widziałeś to?

W ręku przewodnik trzymał gruby sznur. Co noc otaczał nim obóz, a na pytanie Folka, po co to robi, odpowiedział tylko, że dzięki temu można będzie spokojniej spać...

- Właśnie ta lina jest nasączona wywarem z kory albalomu. Gdy leży na ziemi dokoła obozu - nie ma się czego bać... Skorpiony ani prugasty za nic jej nie przekroczą. A nikt nie zna lekarstwa na ich ukąszenie, ani w Khandzie, ani u nas, w Umbarze...

- Tfu, sczeźnij! Oby cię Hrugnir zgniótł za takie rozmowy przed snem! - splunął Malec. - Straszyć mnie tu będzie...

Folko uśmiechnął się w ciemności. Malec, bojący się strasznych opowieści przed snem - warto było to zobaczyć.

Pojawił się mały płomyk ogniska. Mimo ulewy pod listowiem albalomu było sucho. Torin umocował nad płomieniem okopcony kociołek i pogrążył się w niewesołych myślach, podparłszy głowę ogromną pięścią; broda krasnoluda śmiesznie zadarła się, ale nawet kpiarz Strori nie ośmieliłby się naigrawać z tego.

Rzucali się w wir obozowych zajęć z większą niż zazwyczaj ochotą, by zapomnieć, odgrodzić od myśli, że na zawsze stracili Eowinę. Nikt nie mógł przeżyć w ognistym piekle, które szalało nad równiną zaledwie kilka godzin temu.

Hobbit leżał na plecach. Twardy korzeń albalomu wydawał mu się miększy od najlepszej hobbiciej pierzyny. Widział wyraźnie lśniące niczym złota iskra włosy Eowiny, mgnienie oka przed tym, nim jej wóz wbił się w płomienie; niewolnicy woleli honorową śmierć męczenników w ogniu niż straszną i haniebną śmierć z ręki rozszalałego wroga. Eowina... taka wiotka niczym trzcina i taka mocna duchem jak stalowa klinga. Eowina, która porzuciła Rohan dla przygód i... nie, lepiej o tym nie myśleć! Lepiej wmówić sobie, że wszystko to się wydawało, zwidziało, przywidziało... Dziewczyny już nie ma. Spotkają się dopiero... dopiero po spełnieniu Drugiej Wielkiej Muzyki Amurów, kiedy zamysł Jedynego zostanie wcielony tu, w Ardzie, królestwie zagubionym wśród niezliczonych gwiazd Ea...

Drzwi Nocy... - myślał hobbit. - A za nimi - pustka... zimna, wszystko przenikająca, milcząca... Pustka, czarne zapomnienie... Elfy mówią o „prezencie" Jedynego... Po swojej śmierci Pierworodni ucieleśniają się tu, na ziemi - a ludzie? Czy ich czeka taki sam los? Ale nie tu - tam, na krańcu tajnych dróg, biorących swój początek od Drzwi Nocy. A Nienna opłakuje pewnie każdego odchodzącego tą żałobną drogą, ale co znaczą jej łzy? Czy zmniejszyły one ból oparzeń ostatnich chwil życia Eowiny? A jeśli nie - to po co są?...

Jesteś winien jej śmierci, Folko - bezlitośnie podsumował siebie. - Ty i nikt inny. Mogłeś nie brać dziewczyny ze sobą, ale nie - ustąpiłeś namowom krasnoludów, a dlaczego? Ależ dlatego, że chciałeś ustąpić. Zbyt pochlebny dla cię był jej zachwyt, z jakim patrzyła na ciebie...

Udręka, ból nie ustępowały, i wiedział, że od tej chwili zawsze będą mu towarzyszyły - do samego końca jego ziemskiej drogi, a może nie odejdą i po tamtej stronie Zachodnich Mórz...

„Jednakże, przysięgam na Brodę Durina, musisz sobie z tym poradzić! Niech ból i żal będą z tobą - ale nie mogą one pozbawić cię siły. Główny cel nie został osiągnięty, jutro czeka nas ciężka wędrówka przez spalony step - musisz wytrzymać!".

Wysiłkiem woli hobbit zdławił ból.

- Hej, coście się tak zasmucili? - Wiedział, że jego wesołość jest naciągana, ale nic nie mógł na to poradzić. - Dość już tego zamiatania ziemi brodami, czcigodni wy moi! Powiedzcie mi lepiej, co się stało we wczorajszej bitwie.

Torin uniósł oczy, jakby budził się ze snu:

- Wczorajszej?

- No tak! W życiu nie widziałem niczego bardziej krwawego i... dzikiego.

- To prawda! - odezwał się jak echo Khandyjczyk. - Nigdy bym nie pomyślał, że coś takiego może się naprawdę wydarzyć...

- Zbyt wiele tu niedorzeczności - ciągnął hobbit. - Pierzastoręcy - skąd ich tylu? Idą lawiną, bez szyku, jakby ich sam Morgoth pędził, nie pozwalając się zastanowić. Jednej czwartej tej armii wystarczyłoby, by załatwić się z rydwanami, a pozostali w mig rozprawiliby się z Haradrimami!

- Tcheremczycy też dobrzy - podchwycił Torin. - Gdzie ich wojsko? Dlaczego niewolnicy? Po co bronili już skazanej ziemi?

- Nie takiej znowu, jak się okazało, skazanej - zaprotestował Mały Krasnolud. - Haradrimowie, to jasne, stracili niemal wszystkich swoich ludzi, a pierzastoręcy gdzie się podziali?

- Gdyby ci pierzastoręcy nie postępowali tak głupio... zaczai Torin.

- Jak postępowali, z takimi przyszło walczyć - przerwał mu Malec. - Widocznie wiedzieli Haradrimowie...

- Że ich wrogowie są głupi? No to dlaczego wcześniej ich nie powstrzymali? - nie ustawał Torin. - Skąd Tcheremczycy wiedzieli, że pierzastoręcy wszyscy co do jednego będą

napierać na wozy? Że żaden z nich nie poprowadzi dalej ataku? Przecież oni dokonali rzeczy najgłupszej z możliwych - wypuścili te wozy...

Malec wzruszył ramionami:

- Folko na pewno powie: „Światło winne...".

- Może i tak - odezwał się hobbit. Wydawać by się mogło, że już stracił zainteresowanie sporem, który sam wszczął. Jego palce niecierpliwie skubały elficki pierścień. - Skąd możemy wiedzieć?...

- Jakoś dziwnie to Światło działa - pokręcił głową Malec. - Na nas, właściwie - słabo... A Eodreid, można powiedzieć, zupełnie zwariował... Na Eldringów chyba nie działa, i Haradrimowie ze sobą też się nie biją, ja przynajmniej tego nie widziałem.

- A Hazgowie ruszyli na Rohan - zauważył Torin.

- Właśnie! O tym właśnie mówię! - ucieszył się Malec. Na jednych, jak widać, działa, a na innych - nie?

- Przecież Pierścień też różnie działał. - Folko podrzucił polano do przygasającego ogniska. - Bilbo, proszę, ile lat go posiadał! A Boromir? Już po kilku miesiącach bliskiego przebywania stracił rozsądek! Denethor również...

- Hej, o czym mówicie? - zdziwił się Ragnur. - Jaki znowu Pierścień? Jaki Denethor? Imię jakby gondorskie...

- To długa historia... - machnął ręką Torin. - Potem kiedyś opowiemy... kiedy będzie trochę spokojniej. No, przyjaciele, możemy jeszcze długo się sprzeczać, ale dokąd jutro pójdziemy? Do morza?

- Do morza mogę was poprowadzić - wtrącił Ragnur. A na południe - raczej nie. Nie znam tutejszych okolic...

Folko opuścił głowę. Tak, ich pierwotny plan - przedostać się do morza i czekać pomocy od Morskiego Ludu - był chyba najlepszy. A jednak... jakieś dziwne uczucie podpowiadało hobbitowi: droga na południe będzie łatwiejsza, choć przyjdzie iść przez pożartą przez ogień, spustoszoną przezeń ziemię. A poza tym...

- Zaraz.

Pierścieniu, drogocenny pierścieniu, bezcenny darze elfickiego księcia! Przecież możesz podpowiedzieć mi, czy żyje jeszcze złotowłosa rohańska dziewczyna, czy kości jej zmieszały się z kośćmi innych rabów w jednej wielkiej mogile, przykryte tylko cienką warstwą popiołu - a i ten może zmył wczorajszy deszcz...

Tęczowy motylek łatwo wyskoczył z kamiennego schronienia. Zatrzepotały, rozwijając

się, wielobarwne skrzydła, i ciemny nocny nieboskłon runął na spotkanie.

Naprawdę był ciemny. Okaleczoną przez ogień równinę jakby pokryła jadowita mgła - mgła z wrzeszczących w ostatniej męce dusz poległych w tym boju wojowników. Bezcielesne widma wyciągały długie ręce do dziwnej istoty, w nadziei, że je ustrzeże od koszmaru drogi przez Drzwi Nocy. Wysiłkiem woli Folko popychał swoje skrzydlate „ja" przed siebie, popędzał, nie zwracając uwagi na zapalające się na całym ciele drobne, ale bolesne płomyki - jakby przedzierał się przez chmurę ognistych strzał.

Wola hobbita pędziła tęczowego motylka coraz dalej i dalej, przez ciemne, wypełnione wirującym popiołem, powietrze. Nic... nic... nic... I nagle - iskra!

Iskra wśród czarnych wzgórz, malutki żywy ognik; motylek śmignął jak wystrzelona strzała.

Iskra natychmiast zgasła.

Folko doznał bolesnego rozczarowania. Wydawało mu się... wydawało... i nie dziw, że po takim dniu... Czyżby? z resztką nadziei wpatrywał się w mrok...

Rozczarowanie sprawiło, że powrócił do realnego świata; odkrył, że siedzi obok starego, twardego korzenia albalomu, drzewa wędrowców. Krasnoludy i Ragnur zajęci byli jakimiś swoimi sprawami, nikt nie patrzył na hobbita, rozumiejąc, że jego poszukiwania są bezowocne i wywołują tylko ból w sercu.

- Nie ma... Nic nie ma... - zmusił się do powiedzenia tego głośno.

Torin westchnął głęboko, Malec zasępił się, niezachwianie wierzący w przeznaczenie Ragnur rozłożył ręce - że niby na przekór losowi nie da się iść.

- Nie jesteś tylko ty winien, bracie hobbicie, my też jesteśmy winni. - Torin zrobił krok w kierunku przyjaciela.

- Dobra, nie ma co gadać! - krzyknął Folko łamiącym się głosem. - Co było, to było... Jej... Eowiny... już nie przywrócimy. Trzeba zdecydować, co dalej!

- Przecież już zaczęliśmy o tym mówić - zdziwił się Malec. - Ja myślę tak: nic nam nie pozostaje, jak iść ku morzu. Według mnie, na południe lepiej się nie pchać. Wrócimy do Umbaru, znajdziemy sposób...

- Do tego czasu może i Umbaru już nie będzie - prychnął Folko. - Nie wiadomo, czy nie zetrą się oni z Haradem...

- Przecież sam widziałeś, ilu tu poległo Tcheremczyków zaoponował Ragnur. - Czy oni według ciebie całkiem zwariowali, żeby pchać się na mury Umbaru?

- Może i zwariowali, skąd mamy to wiedzieć? - powiedział Torin. - Popatrzcie na

pierzastorękich - jak ich musiało przycisnąć, żeby tak wszyscy na śmierć poszli?

- Dodaj jeszcze - skąd się wziął płomień? - wtrącił Folko.

- Płomień? - zdumiał się Torin.

- No - płomień. Co się tak gapisz, jakbym był zdechłym szczurem w beczce z piwem? Gdzie widziałeś ogień, który strawi takie góry trupów? Ileż drewna poszłoby na stosy pogrzebowe! A tu - nic, goła równina, rzadko kiedy jakieś drzewko się trafiało, sama trawa... Pamiętasz, jak płonęło wszystko?

- Wiesz co - masz rację! - zgodził się Malec. - Jak to się stało, że tego nie zauważyliśmy?

- Ja też dopiero teraz o tym pomyślałem - przyznał hobbit. - A wtedy... co innego mieliśmy na głowie.

- Magia? - od razu zapytał Ragnur.

Folko powątpiewająco pokiwał na boki głową:

- Niby nie ma kto teraz magią władać...

- Kiedy pojawił się Olmer, wszyscy wtedy mówili: „Nie ma kto, nie ma kto!...". A czym się sprawa skończyła? - burknął Malec.

- No właśnie. A my się wybieramy do morza... - wyrwało się Folkowi.

- A gdzie byś chciał? - szczerze zdziwił się Mały. - Chyba nie przez pustynię?

Hobbit milczał. Serce podpowiadało mu, że należy iść na południe... Ale przyjaciele mają rację: wędrówka przez pozbawioną życia równinę do gór, nie znając w nich szlaków ani przełęczy - to naprawdę samobójstwo.

- Gdzie dwaj... to znaczy trzej - tam i jeden. - Torin uznał za stosowne przypomnieć starą zasadę, jaką kierował się ich oddział.

Folko przemilczał jego słowa.

Noc spędzili pod drzewem wędrowców, a kiedy się rozwidniło, ruszyli na zachód. Ku morzu.

20 Sierpnia, Rubież Khandu I Mordoru

Słońce przypiekało. Sierpniowy upał daleko od morza był naprawdę trudny do zniesienia. Sandello z przyjemnością wędrowałby nocami, ale przecież nie przez te dzikie i niegościnne ziemie. Przeciął kilka starych, na poły zarośniętych traktów, prowadzących ongi od granic Mordoru na południe i wschód, do podbitych krajów. Dawno nieuczęszczane szlaki były tylko ponurym wspomnieniem niegdysiejszej potęgi Barad- duru. Szerokie, starannie brukowane dopasowanymi do siebie płytami, trwale opierały się próbie czasu. I mimo że ze szczelin wybijała trawa, to jazda po takiej drodze była nadzwyczajną przyjemnością.

Sandello widział, że z dróg tych od dawna nikt już nie korzystał. Wojowniczy Khandyjczycy i mordorscy orkowie uważnie strzegli ich, przesłaniając mocnymi wartowniami. Nie chcąc ryzykować, stary miecznik musiał zejść z traktu.

Dokoła niego na wiele mil ciągnęły się drobne, niewysokie, ale bardzo, bardzo strome wzgórza. Deszcze i wiatry były dla nich niczym; pokryte gęstymi krzewami wydawały się nie do przebycia, a gęsto usiane kolcami gałęzie odbierały chęć przedzierania się przez chaszcze.

Sandello długo przemierzał labirynt wzgórz, póki nie natknął się na owinięty bluszczem szary głaz, wrośnięty trwale w ziemię. Trójgraniastą piramidę, mocną, pokancerowaną, pokrywało nieznane pismo.

- Witaj, Kamieniu Drogi - wyszeptał garbus, westchnąwszy z ulgą. - No, to teraz i ścieżkę pewnie odnajdę z łatwością...

Śpieszył się. Ostrożnie, bokiem podszedł do Kamienia, delikatnie dotknął dłonią szorstkiej powierzchni.

- Tędy szliśmy z tobą, Olmerze - powiedział cicho, chyba po raz pierwszy od wielu lat wymówiwszy głośno imię swego pana. - Szliśmy razem... a przy Kamieniu Drogi zobaczyłeś Znak...

Garbus zamilkł, przyłożywszy czoło do Kamienia.

- Podpowiedz mi... - wyszeptał drżącymi wargami.

Ale Kamień milczał. Milczały też okoliczny las, i ziemia, i niebo. Zachmurzywszy się, Sandello cofnął się o krok, znowu sięgnął do troskliwie przechowywanego miecza Eola.

Czarna klinga obojętnie dotknęła Kamienia Drogi. Żelazo i kamień... Wydawało się, że nie mają ze sobą nic wspólnego. Zwyczajny miecz... zwykły głaz...

Ostrze miecza wolno przesunęło się po złożonych zawijasach runów. Nie Tengwar, nie

Kirith - tylko zupełnie inne znaki. Olmer znał je... i zabrał tę wiedzę ze sobą.

Stał wówczas długo przy Kamieniu, prowadząc palce po rysach zagadkowego pisma; co wtedy mu się pokazało? I czego, tak naprawdę, chce się dowiedzieć tu on, Sandello?

Rozczarowany westchnął i zaczął zawijać w szmaty miecz Olmera. Już owinął ostrze, wyprostował się i wtedy obok jego ucha świsnęła strzała. Grot z brzękiem trafił w głaz - wystrzelił snop iskier, jakby kowal uderzył młotem w rozżarzony metal. Pod nogi garbusa upadło drzewce z białym opierzeniem.

Ręka Sandella już miała chwycić miecz... gdy nagle znieruchomiała. Wyprostował się i umyślnie wolno skrzyżował ręce na piersi. Zbyt dobrze znał te strzały, zbyt dobrze używających ich łuczników.

W zaroślach rozległ się cichy śmiech - czysty, lekki, melodyjny. Nie drgnęły kłujące gałęzie, nie zaszeleściła trawa, nie trzasnął chrust. Nie wiadomo jak obok Kamienia Drogi znalazła się piątka wysokich postaci w szarozielonych pelerynach, używanych do sekretnego przemieszczania się po lasach. Czworo miało naciągnięte łuki i ich strzały były gotowe natychmiast poszybować w stronę Sandella. Piąty zrobił krok w jego stronę, tak samo skrzyżowawszy ręce na piersiach.

Garbus stał nieruchomo, łucznicy zwolnili cięciwy, ale nie zdejmowali z nich strzał. Stary miecznik dobrze wiedział, że zdążą w każdej chwili je naciągnąć. Szybciej, niż on mrugnie okiem.

Nikt i nigdy nie mógł się mierzyć w Śródziemiu z Pierworodnymi w strzelaniu z łuków. Pewnie tylko niewysoczek Folko Brandybuck odważyłby się rywalizować z nimi w celności.

Byłby to prawdziwy „pojedynek serc", jak mówią na Wschodzie. Miecz garbusa wisiał w pochwie, tak samo jak klinga jego przeciwnika - długa i wąska, którą wygodniej było kłuć, niż ciąć. Gdyby znalazł się tu wspomniany Folko, od razu przypomniałby sobie noże do miotania Sandella i to, że garbus potrafił przeciąć na pół siedzącą na ścianie muchę.

- Od księcia Wód Przebudzenia Forwego wojownikowi Sandellowi - pozdrowienie! - odezwał się w końcu elf.

- Od Sandella Forwemu - również pozdrowienie! - odpowiedział garbus z chłodem w głosie, nie spuszczając z oka elfickiego księcia.

Przez minionych dziesięć lat elf zupełnie się nie zmienił. Wiadomo, dla Pierworodnych to krótki okres. Szlachetne czoło księcia opasywała złota obręcz z iskrzącym zielonym kamieniem, wielkie oczy patrzyły uważnie i przenikliwie.

Sandello czekał. Wydawało się, że nieoczekiwane spotkanie wcale go nie zdziwiło.

Milczenie to zaniepokoiło księcia. Lekko uniósł brew.

- Znalazłeś mnie, więc ty powinieneś zacząć mówić - wykrakał z uśmieszkiem garbus.

- Dokąd idziesz? - zapytał natychmiast książę ostrym tonem.

- Nie bądź taki ciekawy. Czy to są twoje włości?

- Pytam jako silniejszy. Czy wojownik Sandello rozumie inny język?

- Posłuchaj, może już dość tego, co? - zmarszczył nos miecznik. - Chcesz się bić - bijmy się. Nie, to nie. Ja się do ciebie na świeże piwo nie wpraszałem.

- Masz za plecami, ukryty w szmatach, starożytny miecz mojego ludu - stwierdził poważnie Forwe. - Wiadomo mi, czyja ręka władała nim dziesięć lat temu, poraziła Kirdana i Naugrima! Po co znowu wyniosłeś na światło dzienne tę przeklętą klingę?

- Nie twoja rzecz, ciekawski. Może chciałbyś przejąć miecz mojego pana? Weźmiesz go jednak dopiero po mojej śmierci.

- Gdybym tego chciał, byłbyś już równie żywy, jak ten głaz! - podniósł głos Forwe. - I świetnie o tym wiesz.

- No to każ swoim zuchom, by strzelali. - Garbus obojętnie wzruszył ramionami.

Forwe skrzywił się:

- Może przestańmy ciskać w siebie słowami. Wiadomo ci, że nie jesteśmy w tej chwili wrogami. Ale w twoim świecie dzieje się coś... coś groźnego, strasznego i nie do opisania, a my nie możemy zrozumieć, o co chodzi, i nie możemy też siedzieć z założonymi rękami...

- Skoro wy sami nie potraficie pojąć, co się dzieje, to czego mądrzy mądrością wieków Pierworodni chcą od zwykłego śmiertelnego? - odparował Sandello.

- Byłeś prawą ręką Olmera. Wiedziałeś wszystko - czy prawie wszystko - o jego planach. Kiedy więc usłyszeliśmy, że zaufany naszego wroga, najgorszego od upadku Saurona, udał się samotnie na odległą wyprawę na Południe, skąd wypływa na cały Świat cień niezrozumiałego niebezpieczeństwa - oczywista sprawa, że poczuliśmy niepokój. Wyśledziliśmy ciebie, ale przyznam, że nie było to łatwe. Nasi dwaj zwiadowcy zginęli w potyczkach z mordorskimi orkami, ale nie porzuciliśmy pościgu za tobą. Skoro udałeś się w drogę, Sandello, oznacza to, że wojna tuż- tuż. A my nie chcemy wojny, nie zachodzi potrzeba przelewania krwi - ludzie w Śródziemiu nie mają już wrogów. Nikt z waszego plemienia nie znajdzie drogi do Wód Przebudzenia, tak jak nie odnajdą marynarze Morskiego Ludu Prostej Drogi do Valinoru. Powiedz otwarcie z kim zamierzasz walczyć, Sandello? Z kim i o jaką sprawę?

- Od kiedy to elfy stały się dobrymi pasterzami ludzi? warknął nieprzyjaźnie garbus. -

Zostawcie nas w spokoju! Ze swoimi wrogami jakoś poradzimy sobie sami.

- Wiadomo mi, że jesteś twardym wojownikiem, mieczniku. Spokojnie poprowadzisz hufce do szturmu miasta i z czystym sercem oddasz je na trzy dni swoim zuchom na splądrowanie. Ale czy krzyki dzieci, które będą oni wrzucali do ognia, nic dla ciebie nie znaczą?

- Nie będę z tobą rozmawiał, elfie. To moje ostatnie słowo. Nie otrzymasz miecza mojego pana ani ci nie wyjawię, dokąd i po co się udaję. Rzekłem. A teraz - jeśli chcesz mnie zabić - zabijaj! Ale pamiętaj: nawet elficka strzała nie da rady od razu ściąć starego Sandella. Coś tam zawsze zdążę zrobić...

Garbus odwrócił się z lekka i Forwe zobaczył: palce Sandella już objęły rękojeść noża do miotania.

- Ta rzecz, choć leci wolniej od twoich strzał, ale zabija na pewniaka. - Uśmiechnął się drapieżnie.

Gdzie się podziały niezdecydowanie i niepewność starego wojownika! Ciało jego ponownie stało się zręczne jak ciało tygrysa; stał, kiwając się z lekka na napiętych nogach, i garb jego gdzieś zniknął, jakby nie było go nigdy, a po prostu teraz człowiek przygarbił się specjalnie, mając w zamyśle jakąś sztuczkę...

Forwe odetchnął ciężko. Pokiwawszy głową, zrobił jeszcze krok w kierunku miecznika i oparł się łokciem o Kamień.

- Jeśli sądzisz, że boję się śmierci - to mocno się mylisz. Komu sądzone jest wrócić do życia we własnym ciele i z własną pamięcią, nie boi się śmierci. Nie myśl, że nie szanuję twego męstwa. Gdybyśmy chcieli, moglibyśmy dalej cię śledzić, a ty - zapewniam cię - nadal byś nic nie wiedział. Ale nie chcę z tobą walczyć. Żebyś mógł uwierzyć w moje dobre intencje, opowiem ci wszystko, co wiem - mam nadzieję, że to docenisz.

Słuchaj więc, Sandello! Wiem, że Talizman twego pana, w który włożył on część zaczerpniętej od Połączonego Pierścienia Mocy, wezwał cię w drogę. Przez dziesięć lat drzemał ów Talizman, będąc najzwyklejszym pierścieniem, i w żaden sposób nie pomagał Olwenowi - przez dziesięć lat, to dużo według ludzkiej miary. Ale zupełnie niedawno pierścień obudził się. My, elfy Avari, poczuliśmy to pierwsi. Lecz przebudzenie to wcale nie było jedynym znakiem. Były również inne, uwierz mi. Tak, na przykład, obudził się ze snu i mój pierścień, swego czasu podarowany niewysoczkowi... O, nawet przypomniałeś sobie jego imię... Słusznie, to jest Folko Brandybuck, hobbit, który zabił twego pana...

- Nie zabił go, tylko uwolnił! - wykrzyknął ochryple Sandello.

- O, zrozumiałeś to? - Forwe uniósł brew, jakby nie zauważając płonącego w oczach garbusa gniewnego płomienia. - To nawet lepiej. Tak więc mój pierścień na ręku Folka ponownie odżył. Poczułem to od razu... Ale nie potrafiłem pojąć, co go obudziło. I ten twój Talizman... To nie przypadek. Nasi mędrcy ustalili, że niedobry wicher wieje z Południa. Tam obudziła się dziwna Moc. Nasi magowie, niestety, nie potrafili powiedzieć, gdzie bije serce tej Mocy. I oto ty, Sandello, udajesz się również tam, na Południe, samotnie, niosąc ze sobą Czarny Miecz Eola! W pałacu mojego dziada są klingi starsze od tej, ale ta... Ten miecz łaknie krwi! Każdy twój krok na Południe zbliża miecz do wojny, przed którą, obawiam się, blednie nawet wielka Wojna z Olmerem... Czego więc chcesz? Pomścić Olmera? Wtedy zaiste życie moje i moich towarzyszy będzie prawdziwie mizerną ceną za to, że uda nam się powstrzymać nieszczęście. Wiem, że jesteś mistrzem sztuki wojskowej, wiem, że nawet strzała w twoim gardle, sercu czy oku nie zabije cię w jednej chwili... Co więc? Na spotkanie sojusznika czy wroga idziesz?

Książę patrzył uważnie i badawczo. Oszukać elfa było nie sposób. Garbus chyba to wiedział.

- Nie jest ważne - wróg czy przyjaciel czeka mnie na Południu, i czy w ogóle czeka - odpowiedział wolno, ciężko rzucając słowa. - Dana mi jest tylko taka wiedza: od południa idzie nieszczęście.

- Nie powiedziałeś mi wszystkiego - pokręcił głową Forwe. - Domyślam się, że Talizman pomaga ci w odszukaniu drogi... Ja mam rzecz podobną, tak więc zapewne w końcu trafimy w to samo miejsce. Może byśmy stali się na jakiś czas sojusznikami? A potem z radością wyzwę cię na pojedynek, wojowniku Sandello, jeśli sobie tego zażyczysz.

Miecznik szarpnął się, jakby dostał cios. Wyglądało na to, że już za moment jego rozmówca usłyszy „tak", ale garbus tylko mocniej zacisnął usta i pokręcił głową.

Forwe westchnął rozczarowany: - Cóż, wybrałeś. Nie leży w naszych obyczajach zaczynanie walki zaraz po negocjacjach, nawet jeśli nie zakończyły się sukcesem. Rozstajemy się w pokoju, wojowniku Sandello, ale pamiętaj: jeśli nasze drogi przetną się raz jeszcze, to nie będę marnował strzały na kamień, tylko po to, by uprzedzić ciebie.

25 Sierpnia, Wybrzeże Haradu

- No, to dotarliśmy. - Malec cisnął do wody płaski kamyczek. - Siedem - policzył „kaczki" na wodzie. - I co dalej, Ragnurze?

Mieli za sobą dwunastodniową wędrówkę przez lasy wypełnione wstrętnymi stworzeniami. Kilka razy tylko zręczności Ragnura zawdzięczali, że przeżyli. Bez niego - przyznał Folko - oddziałek zginąłby w ciągu pierwszych kilku dni. Celność hobbita okazała się nieprzydatna - zwierzęta kryły się w nieprzeniknionych koronach leśnych gigantów, a poza tym - skąd mogli wiedzieć, które z tutejszych stworzeń są jadalne? Okazało się, że odrażające białe żmije znakomicie nadają się na gulasz, za to wspaniale utuczone ptaki - łakomy kąsek dla kucharza - potrafią szybko ciskać zatrutymi ciężkimi piórami, które rażą nie gorzej niż strzały. Mięso tych stworzeń było również jadowite...

Khandyjczyk bezbłędnie wyprowadził oddział na wybrzeże. Krasnoludy z ogłuszającym rykiem - skąd miały na to siły? - pokonawszy odwieczną w swoim plemieniu niechęć do wody, wskoczyły do niej, ledwo zdążywszy zrzucić z siebie kolczugi. Odzieży nie zdejmowali - nawet hobbit, który w końcu przewędrował z Torinem i Malcem dobrych dziesięć lat, nigdy nie widział tangarów nago.

Folko, czując, że słabnie, przysiadł na nadbrzeżnym kamieniu. Od tygodnia bardzo dokuczała mu lewa dłoń - ataki bólu różniły się czasem trwania, ale nie opuszczały go na długo. Mimowolnie wspominał swoje dawne, stare widzenie... Tylko skąd wziąć ten specyfik, który łagodził ból?

Obóz rozbito w osłoniętym miejscu. Krasnoludy i hobbit zostali w nim, Ragnur ruszył na zwiad po okolicy.

- Gdy odnajdę Znak - zawołam was!

Po drodze ani Folkowi, ani jego druhom nie udało się wywiedzieć, co to za Znak i w jaki sposób marynarze Morskiego Ludu dowiedzą się o potrzebującej pomocy czwórce.

- Krasnoludy mają swe sekrety - dlaczego nie mieliby ich mieć Eldringowie? - rzucił pewnego razu Ragnur. - Po tym, jak znajdziemy Znak, zostanie nam tylko poczekać.

- Ciekawe, jak długo... - burknął pod nosem Malec, ale Ragnur tylko wzruszył ramionami, i więcej niczego się nie dowiedzieli.

Czekając na niego, Folko siedział w milczeniu, przysłoniwszy oczy, oparty plecami o rozgrzany słońcem głaz.

Tu, na odległym południu, jesieni w ogóle nie widziano. Tu przylatywały z północnych krain ptaki; pory roku dzieliły się na te, podczas których padały deszcze, i te suche. Ale nawet pod koniec pory suchej lasy zieleniły się soczyście i liany, gardząc wszystkim, pokrywały się wspaniałymi jaskrawymi kwiatami...

Hobbit cierpiał z powodu upału i duchoty - nie tylko on, ale i przyzwyczajone do żaru kuźni krasnoludy. Co prawda, w kuźniach panował inny upał - suchy i dźwięczny, a tu - gnijący i wilgotny. Wszystko natychmiast pokrywała pleśń; wydawało się chwilami, że oddychając, wciąga się do płuc nie powietrze, ale jakąś lepką, palącą wnętrze kaszę. Nie mogli spać - atakowały drobne owady. Morza wyglądali jak ratunku.

I oto są na miejscu. Dawno zostawili z tyłu haradzki pościg, który stracił tropy jeszcze przed bitwą z pierzastorękimi; gdzieś zginęła wściekła Tubala (a właśnie, dlaczego tak zawzięcie ich prześladuje?); daleko, za wysokimi ścianami błotnistych lasów została Eowina - młoda Rohanka, której nie potrafili ustrzec przed fatalnym losem.

Znowu zalała go fala znanej już goryczy. Nie ucieknie od niej do końca życia... Ech, jakże brak teraz tego Drzewobrodowego daru! - Hobbit mógł tylko zgrzytać zębami. Przeczuwał Stary Ent, wielką miał intuicję, przewidział, że Folko zjawi się u niego po pomoc - i przygotował wszystko... A on, bęcwał, nie potrafił jak należy skorzystać z prezentu!

Oczywiste było jedno: trzeba wracać do Umbaru... I stamtąd zaczynać nową wyprawę na Południe - jeśli tylko nie we zwie do siebie Rohan. Nie wiadomo, w końcu, jak tam toczy się wojna... Ale nie, mając Morski Lud za sojusznika, powinni sobie poradzić. Eodreid, rzecz jasna, będzie się wściekał, że jego trzej Marszałkowie, dowodzący pułkami, zostali w Umbarze, zamiast pośpieszyć na Północ. Na pewno nazwie ich zdrajcami. Dobrze będzie, jeśli nie skaże ich na śmierć - bo jeszcze trzeba by się ukrywać przed rohańskimi łowcami nagród za zdrajców!

Rozmyślania hobbita przerwał zasapany Ragnur:

- Ale mamy szczęście! Znak jest tuż obok, nie musimy nigdzie iść! Chodźcie szybko, chodźcie!

Znakiem była ciemna i wąska pieczara, z której wydobywał się zapach pleśni i zgnilizny. Malec z niezadowoleniem zmarszczył nos; na ramionach wszyscy członkowie drużyny nieśli spore wiązki chrustu.

- Też mi - tajemnica! - prychnął pogardliwie Torin, kiedy zobaczył, że jaskinia kończy się małą półokrągłą komorą z paleniskiem w przeciwległym od wejścia końcu. - U nas w Morii takie coś działa od wieków! Zwierciadła tu macie, kamienne zwierciadła - a komin prowadzi do

góry. Muszą być soczewki, żeby skupiać światło i rzucać je daleko stąd... Tylko że raczej nie będzie to działało w dzień...

- Zwierciadła... Soczewki... Możesz sobie o tym pogadać z naszymi przywódcami, skoro tak wiele wiesz... - wzruszył ramionami Ragnur. - My mamy rozniecić ogień... i czekać.

Tak właśnie uczynili. Kiedy drużyna zeszła na dół, Folko ze zdumieniem zobaczył, że szczyt, położony jakieś sześćset stóp nad ziemią, wyglądał, jakby ogarnął go płomień; palący się tam ogień był znacznie jaśniejszy od słońca. Na pewno jest widoczny na wiele mil dokoła... w dzień i w nocy, niezależnie od pogody, nawet przy najbardziej jasnym świetle...

- Teraz czekamy - powtórzył Ragnur.

Pierwszą rzeczą, którą zrobił hobbit po powrocie do obozu, była próba kontaktu z pierścieniem Forwego. Światło, Światło, zagadkowe Światło lejące się skądś z pobliskich południowych okolic - co się z nim dzieje? Całym sobą czuł jego napór; każde słowo, każdy gest towarzyszy wywoływał rozdrażnienie, przez cały czas miał ochotę odpowiedzieć jakoś gwałtownie, kogoś urazić. Stale trzeba było powstrzymywać samego siebie, niemal co sekundę przypominając: ktoś zmusza cię do nienawiści... komuś bardzo na tym zależy, żebyście skoczyli sobie do gardeł... Nie poddawajcie się temu komuś, trzymajcie się, trzymajcie za wszelką cenę!

Wiedział, że pozostali odczuwają to samo. Trudy wędrówki pomagały gasić w zarodku spory i kłótnie, ale teraz, kiedy drużyna zatrzymała się na brzegu lazurowej zatoki, wszystko, co się podczas podróży nagromadziło, i... Folko drgnął, wyobraziwszy sobie, jak się biorą za łby Malec z Torinem.

Muszą wytrzymać! Muszą! Rzeź sprzed dwunastu dni, niepotrzebna i dziwna bitwa - wyraźnie była wynikiem działania tego wypalającego rozsądek płomienia! On, Folko, musi go wyczuć! Musi!

...I znowu, ulegając napiętej jak struna woli, udał się w podróż tęczowy motylek.

Czarna ziemia, ciemnogranatowe niebo, niemal niedające się oddzielić od gruntu - i bijący prosto w oczy, ostry jak grot włóczni, promień światła. Nic poza tym nie było widać w tym świecie, tylko czarną martwą ziemię i ciemnoniebieskie niebo bez gwiazd. Hobbitowi wydawało się, że zwalił się do niemającego dna dołu czasów, trafiwszy akurat na tę porę, kiedy zesłane przez Melkora chmury zasnuły całe niebo Śródziemia i w tej mgle, tłumiącej i światło Słońca, i Księżyca, obudziły się, zgodnie z legendą, Pierworodne elfy...

Tym razem ból nadszedł jeszcze mocniejszy. Zaczął się już w pierwszej chwili lotu i nasilał coraz bardziej. Oślepiające światło nie pozwalało nic zobaczyć, Folkowi wydawało się,

że leci nad górami, ale nie mógł dostrzec niczego wyraźnie. Powykręcany mrok na dole, który wydawał mu się szczytami górskich grzbietów, zmienił się w gładki mrok równiny a z niej bił w ciemne niebo, wąski jak sztylet nocnego mordercy, promień światła...

Hobbit usiłował przeniknąć jeszcze bliżej - ale nie, opór był zbyt silny, w głowie tłukły kowalskie młoty, jakby w całej Morii wszyscy jednocześnie stanęli przy kowadłach.

I nagle usłyszał głos. Właściwie wiele głosów. Niezbyt głośne, i przy tym niezbyt przyjemne.

- Tak, tak, znowu!... (Wszystko utonęło w łoskocie bębnów...)

- Znowu to samo, wład...

- Skieruj swą moc!...

- Spal niecnego czarodzieja!...

Ból w końcu wziął górę. Hobbit dosłownie został rzucony z powrotem w realny świat. Głowa pękała z bólu, huczało w skroniach, przed oczami wszystko się rozmazywało. Ale owe głosy zapamiętał dobrze. Słyszał je naprawdę. To nie była halucynacja czy przejaw szaleństwa. Zdania, które do niego dotarły - jakkolwiek krótkie i urwane - bardzo mu się nie podobały.

Po pierwsze, jakiś „wład...” - wiadomo, „władca”. A jego otoczenie używało zrozumiałego dla hobbita języka - w widzeniu była to Wspólna Mowa. Jeśli wszystko, co usłyszał, jest prawdą, należy sądzić, że próby hobbita zajrzenia za kulisy tego, co się dzieje w Śródziemiu, nie pozostały niezauważone. Wyobraźnia natychmiast wyrysowała posępny tłum starców w czarnych pelerynach, wymachujących chudymi, wysuszonymi przez czas rękami, potrząsających laskami - a na wysokim tronie ponurego jak chmura gradowa... kogo? Człowieka? Elfa? A może nie wiadomo jakim cudem ocalałego sługę Saurona, jakiegoś Czarnego Numenoryjczyka?...

„Spal niecnego czarodzieja”... Hm, no taaak... Stąd wiadomo, że, po pierwsze, istnieją również cni czarodzieje, co już jest zastanawiające; po drugie, doprowadzające do szaleństwa Światło mogło spopielać tych, którzy mieli zakusy na jego moc. Ciekawa historia, nie ma co...

Krasnoludy, rzecz jasna, nie omieszkały zasypać go pytaniami.

- Tylko się nie kłóćcie! - rzucił hobbit najsurowiej, jak tylko potrafił. - Na razie nie ma powodu. Wydaje się, że dokoła tej lampy zebrało się sporo drani, i obawiam się, że będziemy musieli włożyć sporo wysiłku, zanim ich rozpędzimy... Jacyś zaklinacze... Ludzie...

- Świetnie! To oznacza, że jest komu zdmuchnąć głowę z szyi! - drapieżnie wyszczerzył zęby Malec.

- Najpierw trzeba się do nich dostać - ostudził go lodowatym głosem Torin. - Nie ma co

się pchać na wariata na Południe. Musimy wrócić do Umbaru... I wszystko zacząć od początku.

- O ile dostaniemy aż tyle czasu - zauważył Folko.

- Raczej tak. Nie wszystko im wychodzi. Ot, posłali pierzastorękich na Harad - i czym się to skończyło?

- To wszystko nie jest takie proste - pokręcił głową hobbit. - Durniem jest, kto uważa wroga za głupca, bracie tangarze. Wydaje mi się, że to była tylko próba... co i jak...

- A skąd się wzięło tylu pierzastorękich? - nie zgodził się Torin.

- Nie zdziwi mnie, jeśli się okaże, że to było całe plemię, cały lud, co do jednego... - Wzruszył ramionami Folko. - Przypomnij sobie, co Wingetor opowiadał...

- Nie za bardzo podoba mi się pomysł, żeby taszczyć się aż za Harad! - oświadczył Malec. - Nawet tu, w Haradzie, mało co do Komnat Umarłych nie trafiliśmy... To nie Wschód! Tu należy poważnie się zastanowić...

- Jeśli się dobrze przygotujemy, to nic się nam nie stanie - zdecydowanie powiedział Torin. - W Umbarze jest dużo doświadczonych i odważnych ludzi. Weźmy, na przykład, Ragnura.

- Dlaczego nie? Ja - chętnie. - Khandyjczyk drapieżnie wyszczerzył zęby. - Raczej nie zdobędziemy podczas tej wyprawy bogactwa - ale co tam bogactwo w porównaniu ze sławą! Nie martwcie się, do Umbaru dotrzemy dość szybko. Okręty przepływają tu rzadko, ale światło Znaku widoczne jest na dziesiątki mil. Jakiś okręt nas na pewno zabierze.

- Skąd masz pewność, że będzie płynął w odpowiednim kierunku? - zapytał Folko.

- Dlatego, że płynący na wyprawę „smok" nigdy nie zmienia kursu - machnął ręką Ragnur. - Morski Ojciec każe pomagać innym, gdy załatwisz już swoje sprawy.

- Jakoś mi się to niezbyt podoba... - warknął Torin. - Ile razy miałem do czynienia z morskimi tanami, zawsze wychodziło wszystko nie tak, jak chciałem!

- To znaczy, że właśnie pomoc była dla nich tą „swoją sprawą" - uśmiechnął się Ragnur.

Krasnolud uniósł brew, ale nie odezwał się.

Rozpoczęło się męczące oczekiwanie. Znowu - „oczekiwanie na krawędzi"...

20 Sierpnia,
Południowy Harad, Pole Bitwy

Sandello osadził wierzchowca. Stało się, niestety, tak jak mówił ten godny pogardy tchórz z wystrojonej pałacowej straży - tu kończył się szlak. Nie kłamał, znaczy... Może nie trzeba było ścinać mu głowy?...

W ciągu dziesięciu dni garbus przemierzył cały Harad, pozostawiając po sobie bardzo ponure wspomnienia. Jechał znajomymi szlakami, gdzie często jeszcze spotkać można było ludzi, dobrze pamiętających i jego, i Olmera. Ale pod Hrissaadą fortuna przestała mu sprzyjać. Natknął się na konny rozjazd Haradrimów, którymi dowodził młody, zapalczywy, a to znaczy - głupi, dziesiętnik. Od garbusa zażądano jakiegoś glejtu, wypytywali, a skąd jedzie, a dokąd, a po co... Skończyło się na trzech trupach i parze rannych. Należało ich dobić, lecz te szakale tak wiły się u stóp, błagając o litość, że serce starego miecznika drgnęło - może nawet po raz pierwszy w życiu. Pozwolił tym hienom żyć... A potem na plecy wsiadł mu pościg. Oderwał się odeń, wykończywszy jeszcze kilku ludzi, i wymknął się pozostałym, zmyliwszy swoje tropy w dżungli. Dla człowieka z północy taki las był jednoznacznie śmiertelny, ale Sandello, widocznie, stał się tak twardy i żylasty, że nie posmakował Starej Mamuni, jak nazywano Kościstą w stepie Eastlandu - wyrwał się zatem i z leśnej twierdzy. I znalazł się na pogorzelisku.

Dwa tygodnie minęły od dnia starcia na tym polu hufców pierzastorękich i Wielkiego Tcheremu. Zwycięstwo przechyliło się na stronę Haradu - choć, można i tak powiedzieć - nikt tu nie zwyciężył. Obie armie wyniszczyły się wzajemnie niemal doszczętnie. Ale nawała pierzastorękich już nie zagrażała przedarciem się na północ, i w Hrissaadzie uznano to za najprawdziwszy triumf. Na umbarskie targowiska zostali wyprawieni kupcy; w kopalniach złota podniesiono rabom o połowę normę dziennego wydobycia...

Owszem, minęło pół miesiąca, ale pogorzelisko nie zmieniło się wcale od pierwszego dnia po bitwie - równinę pokrywała gruba warstwa zlepionego błota, skamieniałego w promieniach południowego słońca po ulewie, która ostatecznie ugasiła płomień. Konie chrypiały i nie chciały iść dalej. Zwęglone pnie drzew sterczały w niebo jak ręce umarłych, bezskutecznie wzywających pomocy. Nigdzie, aż do samych gór, Sandello nie widział najmniejszego skrawka zieleni.

Miał ze sobą niewielki zapas prowiantu - tylko tyle, żeby starczyło na czarną godzinę; zazwyczaj żywił się tym, co upolował. Ale tu, na wypalonej ziemi, nie było takiej możliwości. Garbus musiał skręcić z prostej drogi i, odchylając się na zachód, ominąć martwą okolicę.

Stał przez kilka minut, wpatrując się w czarną równinę. Nawet teraz, będąc sam jak oko sięgało, nie wysunął się na otwarty teren - dlatego też pierwszy zauważył małą postać, która, prowadząc konia za uzdę, wolno szła skrajem pogorzeliska i patrzyła w ziemię, jakby czegoś szukając.

Garbus nie spuszczał jej z oczu. Wzrok starego wojownika był niemal tak samo ostry jak w młodości. Przez równinę szła uzbrojona po zęby dziewczyna.

Jakby wyczuwając jego uważne spojrzenie, raptownie zatrzymała się, ustawiając twarzą do Sandella. Odwróciła się, popatrzyła - i jednym ruchem wskoczyła w siodło, kierując wierzchowca w stronę kryjących garbusa zarośli.

Wargi Sandella wykrzywił niedobry, zimny uśmieszek. Wyćwiczonym ruchem wyjął z pochwy hazski łuk, nałożył strzałę; szeroki kościany pierścień łucznika zawsze nosił na kciuku.

Nie lubił czarodziejów, do których - niebezpodstawnie - zaliczał każdego, kto wyczuwał obce spojrzenie. W końcu nic innego nie mogło zdradzić starego miecznika: starannie ułożone wierzchowce stały nieruchomo, a wiatr wiał mu w twarz.

„Może być tak... strzała wejdzie akurat w ramię. Z konia zwalimy, a potem się zobaczy. Wypytamy - kto zacz i po co się tędy wlecze”...

Uniósłszy łuk, Sandello gwałtownie wypchnął do przodu lewą rękę - strzelał sposobem przyjętym na Wschodzie, a nie zachodnim, kiedy naciąga się cięciwę prawą ręką. Wyprowadzał w ten sposób sam łuk, cięciwę jakby zostawiając na miejscu. Wstrzymał oddech, grot płynnie zakołysał się, ustawiając na celu...

Specjalnie obciążona strzała wyfrunęła, czuł, jak pędzi na spotkanie z ciałem wąski grot - takimi hazscy mistrzowie przebijali na wylot krasnoludzkie pancerze w bitwie pod Tharbadem. Zaraz, zaraz...

Krótka chwila okazała się długą, choć w rzeczywistości, oczywiście, upłynęło zaledwie kilka mgnień oka, może tylko jedno. Garbus widział, jak dziewczyna uniosła się lekko w strzemionach... i z łatwością złapała strzałę w powietrzu.

Sandello zmrużył oczy. Naprawdę, niełatwo było go zaskoczyć podobnymi sztuczkami - hazscy i angmarscy mistrzowie pokazywali nie takie cuda - dlatego wcale by się nie zdziwił, gdyby nie fakt, że zrobiła to niepozorna dziewczyna!

Druga strzała poszybowała w ślad za pierwszą. Została sparowana uderzeniem szabli.

Garbus westchnął głęboko i wyszarpnął miecz. Wyglądało, że potyczka może być zacięta. Lewa ręka wojownika już sięgała po nóż do miotania - w pojedynku mało z niego pożytku, nie można nim sparować wrogiego ciosu, ale Sandello mógł rzucić nim z każdej pozycji, czy to stojąc, czy siedząc, nawet leżąc.

Nie był na otwartym polu, a jego przeciwniczka na łeb na szyję rzuciła się w krzaki. Po co to?...

Nóż wyskoczył z ręki garbusa krótkim srebrzystym promieniem.

Brzęk. Szabla ponownie znalazła się w odpowiednim miejscu, w odpowiedniej chwili - o ćwierć mgnienia oka wyprzedzając ciśnięty nóż.

A potem z twarzy starego miecznika zniknęła - zwykle na niej goszcząca - chłodna obojętność. Na opadającym mieczu brzęknęły pierścienie.

Już uniesiona, przygotowana do uderzenia szabla zamarła w pół drogi.

- To ty?! - jednocześnie zakrzyknęli i garbus, i dziewczyna.

Ale broń pozostała w pogotowiu.

- Sandello!

- Oessie!

- Nie, nie Oessie! Dawno już nie Oessie... Tubala!

- Tubala... Co za barbarzyńskie imię!

- Nie bardziej barbarzyńskie niż te kraje.

- Jak tu trafiłaś?

- Jak tu trafiłeś?

Owe pytania też wyrwały się z ich ust jednocześnie.

Sandello rozciągnął wargi w czymś, co z daleka przypominało uśmiech:

- Nie układało się dobrze z Olwenem. Za bardzo chciał robić wszystko po swojemu... Wyprawiłem się na południe. Chciałem zostać najemnikiem w tcheremskiej armii, ale z nimi też się nie dogadałem. Musiałem uciekać... Oto, oderwałem się od pościgu, chciałem już skręcić na wschód... Tam, powiadają ludziska, dobre miecze są w cenie. A ty?

- Ja ścigałam znaną ci trójcę. Niedomiarka z owłosionymi stopami i dwa dębogłowe krasnoludy! - Piękną twarz Tubali wykrzywił grymas.

- Ach tak? - Sandello uniósł brew, dokładnie tak jak elficki książę Forwe podczas rozmowy przy Kamieniu Drogi. Jeszcze nie porzuciłaś tego głupiego pomysłu?

- Nie porzuciłam i nie porzucę nigdy! - krzyknęła zapalczywie Oessie- Tubala. - Rozmawialiśmy wszak o tym!

- Ale ty miałaś wtedy dziesięć lat! - przypomniał Sandello.

- Nic się nie zmieniło od tego czasu - padła zimna odpowiedź.

Pokręcił głową.

- Od dawna wiadomo, że skoro Oessie coś wbiła sobie do głowy, to nic jej od tego nie odwiedzie - rzucił, badawczym spojrzeniem omiatając młodą wojowniczkę.

- Właśnie. Radam, że to rozumiesz! - Tubala patrzyła nań zimno i hardo, jak pani na sługę swego. Garbus zaś ledwo zauważalnie uśmiechał się kącikami ust. W opuszczonej prawej ręce pozostawał jego szeroki, dziwny, niezwykły dla oka zachodniego wojownika miecz. Tubala odpłacała tym samym ostrze szabli spoglądało w ziemię, ale widać było, że dziewczyna gotowa była w każdej chwili do starcia.

- Skąd wiedziałaś, że na ciebie patrzę? - zapytał spokojnie Sandello.

- Od dawna mam tę umiejętność, tylko wcześniej jej nie zauważałeś - machnęła niedbale ręką. - A po co strzelałeś?

- Nie lubię czarodziejów - uśmiechnął się garbus. - Zwykły śmiertelnik nie powinien wyczuwać obcego spojrzenia. Poza tym - tak runęłaś na mnie...

- Że nieustraszony wojownik Wielkiego Olmera - ostatnie dwa słowa wypowiedziała z prawdziwym nabożeństwem tak się od razu wystraszył, że chwycił za ten głupi kij z naciągniętym sznurem z żył?

Po takich słowach Folko, syn Hemfasta, natychmiast uznałby, że musi dojść do zabójstwa.

Sandello tylko obojętnie poruszył ramieniem:

- Myśl sobie, jak chcesz. Dawno minęły czasy, kiedy moje słowo cokolwiek dla ciebie znaczyło. Ta twoja trójca też jest w Haradzie?

- Właśnie tak - rzuciła hardo Tubala. - Pędzę za nimi od Hrissaady... Natłukłam masę ludzi...

- Rozumiem. Przyjdzie słać władcy Wielkiego Tcheremu jakiś wspaniały dar, żeby przymknął oko na twoje harce - odpowiedział garbus.

- Nie twoja to sprawa! - ucięła Tubala, gryząc wargi.

- Nie moja, nie moja... Dawno już nie moja. Zostało mi słowo, możesz więc nawet na dno morskie się wybrać, skoro tego chcesz. Dobrze! Dokończ o swoich wrogach i - rozstajemy się... Tubalo.

- Widzisz go! - Dziewczyna wykrzywiła się pogardliwie, kryjąc za hardym uśmieszkiem zaskoczenie. - Jaki z ciebie... naprawdę...

- Jaki jestem, taki jestem. No więc?

- Ciekawy masz miecz. - Jakby nie słyszała jego słów. A po co te pierścienie?

- Weselej mi, kiedy dzwonią.

Tubala znowu skrzywiła się, ale milczała.

Sandello patrzył na nią spokojnie i twardo.

- Dwa razy zwiali mi sprzed nosa - mruknęła w końcu niechętnie dziewczyna. - Ślady prowadziły do tego pola... i tu je straciłam.

- Sądzę, że zginęła tu kupa ludzi - rzucił Sandello. - Może oni też padli i nie masz już na kim się mścić?

- Zapomniałeś, że mają mithrilowe kolczugi?!

- Nie ratują przed ogniem...

- Ale same kolczugi powinny były ocaleć!

- O ile nie zwinął ich jakiś szczęściarz...

- Nie! - wrzasnęła wściekle Tubala. Jej dłonie zacisnęły się w pięści, w oczach płonęło szaleństwo. Świsnęła szabla, posypały się na ziemię ścięte gałęzie. - Nie! Czułabym to. Czułabym smutek i rozpacz metalu... jęk ich kości... Nie! Oni żyją! Muszę tylko znowu wpaść na trop.

- Chętnie ci podpowiem. Poszli na zachód, do Morza. Nie ma innej drogi.

- Sama to wiem! - syknęła. - Znajdę ich! Cokolwiek by to miało mnie kosztować!

- No to świetnie. A teraz ruszajmy. Zachciało mi się zobaczyć tutejszy ocean. Mam nadzieję, że jest piękniejszy niż przy tej elfickiej twierdzy...

Tubala wydała z siebie stłumiony ryk.

- No to jak, idziemy? - zapytał niewzruszenie Sandello.

- Idź, gdzie chcesz - ja mam swoją drogę! - padła harda odpowiedź.

Garbus rozejrzał się na boki, jakby szukając kogoś:

- Nie chciałbym cię rozczarować... Ale po drodze spotkałem drużynę bardzo bojowo nastawionych elfów Avari, a ci uprzejmie zgodzili się iść za mną na południe... Raczej nie spodoba im się, jeśli przyjdzie ci do głowy mnie zabić. Tak więc lepiej nie sprzeczaj się ze mną... Tubalo.

- Ach tak? - Dziewczyna roześmiała się dumnie. - Chciałabym ich zobaczyć!

Strzała z białym opierzeniem uderzyła w ostrze opuszczonej szabli.

- Coo... - Wyglądało, że Tubala naprawdę jest oszołomiona. Zaskoczona rozglądała się wokół, usiłując dociec, skąd nadleciał śmiercionośny prezent.

- Uprzedzałem cię - powiedział spokojnie Sandello. - Elfy kochają mnie nie mniej niż ty i obiecały naszpikować strzałami jak jeża, jeśli wejdę im w drogę, ale jednocześnie jestem im potrzebny. Tak więc nie sprzeciwiaj się mi.

- Czy oni cię śledzą? - syknęła Tubala.

- Właśnie tak. Przez cały czas. Okazuje się, że czasem człowiek jest śledzony i wychodzi mu to na dobre. Tak więc pomyśl: jeśli zaczniemy walczyć, i tak nie pozwolą ci mnie zabić.

Tubala opuściła głowę, owładnięta bezsilną złością przygryzła aż do bólu wargę. Celność elfickich łuczników była przysłowiowa.

- Jednym słowem, jeśli chcesz wypróbować mój miecz próbuj - skończył wywód Sandello.

- Zbyt wiele dla cię honoru, by z tobą walczyć, snaga wykrztusiła Tubala, usiłując opanować wzburzenie.

- Ajjajjaj! Tyle słów, i to jakie mocne! Nie sądzę, by spodobały się moim elfickim wojownikom. Jaka jest więc twoja decyzja?

- Niech będzie... - wycedziła wojowniczka. - Idziemy razem... Ale jeśli staniesz mi na drodze... przysięgam, wtedy nie pomogą ci nawet twoje zachwalane elfy...

Sandello ponownie się uśmiechnął - jak dorosły, któremu grozi obrażony dzieciak.

Ruszyli na zachód.

Wrzesień, Latarnia Morskiego Ludu
Na Wybrzeżu Południowego Haradu

Ostrza z szorstkim, jędrnym odgłosem wbijały się w twarde drewno. Odszedłszy na jakieś dziesięć kroków, hobbit Folko Brandybuck raz po raz ciskał nożem w kółka wielkości małej monety narysowane na karbie pnia. Wysoko za pniem jarzył się lśniący białym płomieniem szczyt góry - tajny Znak Morskiego Ludu. Piętnaście dni trwało oczekiwanie, męczące, ciągnące się, nieznośne; cień zbliżającego się zagrożenia zatruwał każdą chwilę, stale przypominał o sobie. Nie, nie było to prymitywne Zaklęcie Kłótni, które, zgodnie z tym, co głosiły stare gondorskie księgi, potrafili rzucać podwładni Sauronowi czarodzieje, wcale nie! Było to coś znacznie bardziej wyrafinowanego i o wiele bardziej niebezpiecznego. Tajemnicza Moc działała tylko na odważnych i silnych, penetrując ich umysły i wypaczając ich sekretne ciągoty; im odważniejszy był obiekt jej działania, im wyżej stał w hierarchii - tym cięższe było jego brzemię. Teraz Folko już nie wątpił, że Eodreid, król Rohanu, stał się jedną z pierwszych ofiar - tak samo jak i jego odwieczni wrogowie, Hazgowie, Heggowie i Howrarowie. Teraz na granicy Rohanu wrze nowa wojna... Może mieszkańcom Minhiriathu udało się odeprzeć atak, a może wojenne szczęście odwróciło się od jasnowłosych jeźdźców i wraże hufce stoją już pod murami Edorasu? Nie dane jest wiedzieć... Do tamtych miejsc wzrok Folka bez cudownego, ale - niestety - straconego daru Drzewobroda sięgnąć nie mógł.

Wracali do Umbaru... Znowu porażka! Porażka i pierwsze straty. Potrzeba dużo czasu na podróż do twierdzy Morskiego Ludu, jeszcze więcej - na wynajęcie okrętu na południe... Kto wie, czy nie powtórzy się historia z Olmerem - stanęli z nim twarzą w twarz, kiedy już za późno było cokolwiek naprawiać...

Dlatego Folko aż do przesady długo zajmował się ciskaniem nożami do celu, usiłując zagłuszyć trawiący go od wewnątrz niepokój.

Doświadczone oko Ragnura pierwsze zauważyło płynącego do brzegu „smoka".

- Heej! Długobrodzi! Zbierajcie swoje wory!

Torin i Malec, zawzięcie ćwiczący pojedynek - dwuręczny topór przeciwko mieczowi i dadze - jednocześnie opuścili broń.

Z zachodu, z morskiej mgły niespodziewanie wynurzył się niski i długi kontur. Wiatr wydymał mu żagiel, czternaście par wioseł rytmicznie zanurzało się i wynurzało z wody, wysoki dziób, ozdobiony głową morskiego smoka, dumnie ciął fale.

- O! O! - Ragnur nie potrafił ukryć zdziwienia. - To ci historia! Tan Wingetor! Jak się ma szczęście, to się ma szczęście!

- Wingetor? - zdziwił się Folko. - Ale... Przecież powinien teraz być na północy, w Rohanie! Podpisał z nami umowę.

- Może wojna już się skończyła? - podsunął Malec.

- Akurat! Rozpal ogień i czekaj, aż sztaba sama wlezie do pieca! - prychnął Torin. - Wojna właśnie powinna toczyć się na całego... Już prędzej uwierzę, że w ogóle nie popłynął do Rohanu...

- No to poprosimy go o wyjaśnienia i nie będziemy zważali, że jest tanem! - hobbit zacisnął pięści.

- Poczekajcież! Jeśli Wingetor nie wyruszył na wyprawę, to znaczy, że wyprawił tam kogoś w swoim zastępstwie! - wtrącił się do rozmowy obrażony za tana Ragnur. - Najpierw trzeba poznać prawdę, a dopiero potem sądzić kogoś, czcigodni!

„Smok" zwalniał, zbliżając się do płycizny. Z pokładu opuszczono małą łódeczkę.

- Mówiłem, że długo tu nie będziemy czekali. - Mimo wysłuchanych przed chwilą pełnych oburzenia słów towarzyszy, twarz Ragnura rozjaśniał radosny uśmiech. - Zostało nam tylko wygasić ogień w jaskini i zasłonić wejście...

Tan Wingetor był tak ciekaw, któż to rozpalił alarmowy ogień w tych dzikich okolicach, że machnął ręką na zwyczaje Morskiego Ludu i udał się osobiście na brzeg. Przywódca nie pozbył się pancerza mimo upału i poruszał się w nim ze zręcznością urodzonego dworzanina. Towarzyszyły mu dwa barczyste zuchy, obaj - z łukami w dłoniach.

Ragnur wystąpił przed drużynę, przykląkł na jedno kolano:

- Ragnur, wojownik tana Farnaka, dziękuje silnemu i potężnemu tanowi Wingetorowi!

- Tan Wingetor mówi odważnemu Ragnurowi, wojownikowi silnego i potężnego tana Farnaka: działanie moje niewarte jest podzięki... Ba, kogo ja tu widzę! Krasnoludy - i niewysoczek?! Jak się tu znaleźliście?

- Długa to historia, szlachetny tanie - powiedział hobbit. - Jeśli można, opowiem ci całą, bez skrywania czegokolwiek... ale już na pokładzie okrętu. Po tym, jak usłyszę opowieść samego tana. Sądziliśmy, że tan prowadzi swoją odważną drużynę, by zawojować dla siebie ziemie w ujściu Iseny? Coś się stało? Przecież, jeśli dobrze rozumiem, silny i potężny tan kierował się do Umbaru?

- Wszystko to prawda - skinął głową Wingetor. - Wysłałem dwa inne okręty z flotą Farnaka i dodałem jeszcze jednego „smoka" swojego rodaka, tak więc liczebność nic na mojej

nieobecności nie straciła... Nie można było zostawić Południa bez ochrony, niziołku. Mógł mnie kusić ziemią i złotem - które i tak dostanę, chociaż mniej niż pozostali - ale ja muszę wiedzieć, co to pełznie na nas z Południa! Rozumiesz? Muszę! Nie miałbym ani chwili spokoju... Ani ja, ani cała moja drużyna, ta, która była ze mną na Południu... Wziąłem więc dwie setki dobrych zuchów i ruszyliśmy ponownie na południe. Minęliśmy Harad Góry Szkieletów i Kamionkę... potem poszliśmy dalej, swoim starym szlakiem... Nie bardzo wiedziałem, dokąd kierować swój statek - bogate handlowe miasta Dalekiego Południa, znajdujące się przy samym Zakręcie, nie interesowały mnie, szliśmy na chybił trafił... Krótko mówiąc, zobaczyliśmy wiele i dowiedzieliśmy się wiele, o czym ty i twoi szlachetni towarzysze na pewno wkrótce usłyszycie. Teraz wierzysz mi, że nie złamałem umowy?

Towarzysze Folka nie kazali na siebie długo czekać. Dwoma kursami łódeczka przewiozła ich i dobytek na pokład „smoka”.

12 Września, Ta Sama Okolica

- Koniec, dalej śladów nie ma! - jęknęła z rozpaczą Tubala.

- Oczywiście, że nie ma. I nie będzie - rzucił Sandello, obojętnie obserwując jej wysiłki.

- Dlaczego?

- Dlatego, że wsiedli na statek. Czy to nie jest jasne?

- Aha, a statek czekał tu na nich przez cały czas? - Dziewczyna zrobiła pogardliwy grymas. - To być nie może! Oni gdzieś tu są, tylko zmylili tropy...

- Myśl sobie, co chcesz, ale to ja mam rację - rzucił garbus tak samo obojętnie. - Wziął ich na pokład „smok" Morskiego Ludu... na pewno tak było... musieli dać im jakiś znak. Tak więc, czy to ci się podoba, czy nie, niesądzone ci jest dogonić ich tutaj.

- W takim razie, gdzie?!

- Skierowałbym się do Umbaru - wzruszył ramionami. Twoja trójca odbyła nie wiadomo w jakim celu podróż na Południe...

- Wiem po co! - przerwała mu Tubala. - Ratowali pewną rohańską dziewczynę...

Sandello znów tylko wzruszył ramionami. Widać było, że wszystkie rohańskie dziewczyny, nieważne, ile ich jest na świecie, zupełnie go nie interesowały.

- Myślę więc, że ona została uratowana - mamy do czynienia z wyjątkowo upartą drużyną, jak mogłaś się sama przekonać. A teraz skierowali się na północ...

Garbus rzucał obojętne słowa, ale na dnie jego oczu czaiły się podejrzliwość i trwoga. Wydawało się, że wszystko, co powiedział, ma jeden jedyny cel - przekonanie Oessie- Tubali, że jej zadanie tu, na Południu, skończyło się. Można by sądzić, że Sandello uznał towarzyszenie tej energicznej wojowniczce za swoje zadanie, a miał ją uchronić przed spotkaniem z Folkiem, Torinem i Malcem. I raczej stary wojownik nie troszczył się w tym momencie o bezpieczeństwo owej trójki.

Tubala zaś w tej chwili, jak nigdy dotąd, przypominała rozjuszoną panterę, której sprzed nosa sprzątnięto zdobycz. Trzy kroki w prawo - zwrot, aż piasek wzbijał się w powietrze spod obcasów, trzy kroki w lewo - zwrot, i tak dalej. Przez zaciśnięte zęby wyrywało się tylko hamowane warczenie dzikiego zwierza. Sandello natomiast - odwrotnie - trwał spokojnie, niewzruszony, zimny i opanowany.

- No i stoimy teraz w miejscu! - krzyknęła dziewczyna. Dokąd dalej?

Garbusowi drgnął policzek.

- Dokąd zechcesz. Jeśli chcesz do Umbaru - kieruj się do Umbaru...

- A... A ty?

- A ja - tam. - Ręka starego wojownika wskazywała na południe.

- Po co?

- Po nic. Po prostu na starość naszła mnie ochota na wędrówkę - rzucił oschle. - Tak więc rozstaniemy się teraz...

- A... dlaczego byś nie miał ruszyć ze mną do Umbaru?

- W Umbarze już kiedyś byłem, nie ma tam dla mnie nic ciekawego.

- Ale nie możesz iść na Dzikie Południe z takimi zapasami, z jednym jucznym koniem! Coś przede mną ukrywasz, garbusie!

- Minęły te czasy, kiedy obawiałem się twego gniewu, Tubalo. Zapomniałem, jak nosiłem cię na rękach, taką małą kruszynę... i uczyłem fechtunku... i jazdy konnej... i nie płakać, kiedy się spada z wierzchowca... Wtedy nazywałaś mnie inaczej i rozmawiałaś też inaczej, nie tak, jak teraz. To twój wybór. Mnie już jest wszystko jedno. Szedłem z tobą do oceanu, ponieważ wiedziałem - jeśli zetrzesz się z niziołkiem i krasnoludami na serio, to nie pomoże ci nawet twa zręczna szabla, którą potrafisz parować strzały. Folko jako łucznik jest ode mnie o niebo lepszy... Jego strzał byś nie uniknęła. A jedno uderzenie krasnoludzkiego topora połamałoby ci wszystkie kości... nawet jeślibyś parowała je szablą. Spłaciłem swój ostatni dług... wiesz sama, kogo mam na myśli. Teraz, kiedy twoi wrogowie są daleko, ja mogę udać się tam, gdzie się od dawna wybierałem.

Garbus mówił cicho, oschłym tonem. Patrzył chłodno, lecz w jego spojrzeniu czaiła się, głęboko ukryta, odrobina starej goryczy. Szeroki miecz położył na kolanach; jedna ręka zaciśnięta była na rękojeści, druga trzymała klingę za oczko obok szpica.

Tubala zaskoczona słuchała niezwykle długiej, jak na zazwyczaj oszczędnego w słowach wojownika, przemowy. Nie oczekiwała takiej odpowiedzi - jakby nagle zyskała dar mowy drewniana lalka, która wcześniej służyła do ćwiczenia na niej uderzeń...

- Ale, Sandello...

- Żadnego „ale", Tubalo. Wyrzekłaś się przeszłości, zmieniłaś imię... Już nie jesteś Oessie. Wybrałaś drogę zemsty bezsensowną, wyniszczającą duszę - cóż, twoje prawo. Ale ja nie zamierzam ci na niej towarzyszyć. Mam swoje własne sprawy do załatwienia. Tak więc - żegnaj.

Garbus wstał i, nie wiadomo dlaczego kulejąc mocniej niż zazwyczaj, pokuśtykał do swoich koni. Gryząc wargi, dziewczyna patrzyła w ślad za nim. Sandello nie odwracał się.

Stary miecznik już siedział w siodle, gdy nagle poderwała się:

- Poczekaj, Sandello! Poczekaj! Ja... jadę z tobą!

Garbus niemal niezauważalnie wzruszył ramionami.

- Cóż, proszę. Ja kieruję się na Daleki Harad. Zapasów mamy mało, będziemy musieli polować. Gotowa?

- Gotowa - burknęła Tubala. - A co tam będziemy robić?

Przez oblicze Sandella przemknął cień.

- Zobaczysz - rzucił obiecującym tonem, ściągając wodze. - Jeszcze jedno... Jeśli moje domysły są słuszne, to nie warto, byś tropiła Folka, Torina i Malca w Umbarze. Wydaje mi się, że będziemy szli ich śladami... - Ale ostatnie zdanie stary miecznik wypowiedział cicho, niemal bezgłośnie, jakby tylko do siebie.

Niewielka kawalkada ruszyła wzdłuż brzegu na południe - tam, gdzie widniały góry. Sandello nie oglądał się - ale wiedział, że pięć wysokich, gibkich postaci w szarozielonych pelerynach nie odstępuje go ani na krok, nie obawiając się ani bagien, ani lasów - i na pewno nie stracą oni tropu.

Tubala też pamiętała o białej strzale, która dziobnęła jej szablę.

- A ci Avari? - rzuciła i zacisnęła wargi. - Nie przeszkodzą w twojej sprawie?

- Przeszkodzą - odpowiedział spokojnie Sandello. - Ale zanim oni się do nas zabiorą, my dobierzemy się do nich.

14 Września, Umbar

Przychylny wiatr i mocne ręce wioślarzy Eldringów znakomicie wykonały robotę - „smok" tana Wingetora przeleciał wzdłuż całego haradzkiego wybrzeża w ciągu pięciu dni. A wraz z okrętem dumnego tana na północ, do twierdzy Morskiego Ludu mknęła groźna wieść: z południowego wybrzeża niemal zniknęły hordy pierzastorękich. Co prawda, niezupełnie. Zostały tylko wyborowe oddziały. Ale to połowa nieszczęścia. Teraz do pierzastorękich dołączyli wojownicy innych plemion - smagli, o garbatych nosach, we wspaniałych kolczugach. Było ich niewielu - ale walczyli nader umiejętnie. Wingetor schwytał kilku jeńców; milczeli zawzięcie, a ich upór złamały dopiero tortury - zwyczajna, choć okrutna taktyka morskich zuchów. Tan dowiedział się o dziwnych sprawach - o powstającym tam, na Południu, wielkim państwie i wielkim wodzu, który wstrząsa ziemią i niebiosami, o władcy dusz, panu widm i duchów, rządzącym strachem i lękiem.

Poza tym jeźdźcy mówili, że potężną rękę tego władcy już uznały wszystkie południowe krainy, a teraz nadeszła kolej na północne; do jego stóp także gotów jest paść Wielki Tcherem, chociaż tak naprawdę wcale nie jest on wielki, to tylko pył, niegodny tego, by deptały go stopy Największego... Pierzastoręcy uznali jego władzę i wkrótce stanie się tak z całą ziemią, do samych lasów, które gubią jesienią swe listowie...

Wingetor pojął, że sprawy mają się źle. Na jego okręcie też działo się niedobrze - spory i kłótnie między Eldringami stały się sprawą powszednią. Najlepszym sposobem na takie humory załogi było złoto, i Wingetor, po niedługim zwiadzie, natknął się na niedawno zbudowany port, wyrosły jak spod ziemi, port, gdzie stały dziwne pękate statki - według opowieści starych tanów, takie spotkać można na Tamtej Stronie.

Niedługo myśląc, poprowadził drużynę do szturmu. Eldringowie zaatakowali z zaskoczenia, w nocy, ale natknęli się na silny opór. Miasteczko okazało się być wypełnione mistrzami walki... Było ich tak wielu, że zaczął w tym podejrzewać chytrą pułapkę. Ale tej nocy Morski Ojciec pomógł swym zuchwałym dzieciom, i o świcie nienazwana zatoka znalazła się w ręku umbarczyków. Zdobycz rzeczywiście była znaczna, ale następnego dnia do mocno podniszczonej pożarami twierdzy podeszły hufce tutejszych władców - pierzastorękich wespół z orlonosymi. Spalony, w wielu miejscach powalony częstokół nie mógł już służyć obronie, więc Wingetor wyprowadził drużynę w pole - wojownicy, jak jeden mąż, odmówili powrotu na okręt. Szyk Eldringów zwinął się, niczym kłujący jeż, przed dymiącymi resztkami palisady.

Wingetor oczekiwał ataku jazdy - miał nadzieję, że taki atak otrzeźwi jego zapalczywych ludzi, którzy pamiętali spalony Nardoz, i to tan odprowadzi oddział na okręt. Jednakże oddział umbarczyków zaatakował bezładny, na pierwszy rzut oka, tłum wojowników, uzbrojonych fatalnie i dziwnie - trzymali w rękach ni to zaostrzone łopaty, ni to szerokie miecze na drzewcach kopii... Szyk Eldringów walczył umiejętnie, choć, rzecz jasna, ustępował w skuteczności hirdowi krasnoludów. Ale dziwaczna broń wojowników Południa cięła drzewca włóczni Eldringów niczym suchą trzcinę, lekki rynsztunek napastników pozwalał im na zręczne uchylanie się od ciosów, obficie zdobiące ich broń haki pomagały im wyszarpywać poszczególnych wojowników ze zwartego szyku umbarczyków.

Ale i tak Wingetor nie przegrał potyczki. Zaważył kunszt łuczników, procarzy i kuszników Morskiego Ludu, którzy potrafili razić przeciwników ponad głowami swoich albo trafić w otwierające się na chwilę luki w szyku pierwszego rzędu. Wrogowie zmuszeni byli rozejść się - nie zwyciężyła żadna ze stron. Co prawda, wojownicy Wingetora zmądrzeli po tej bitwie i już nie sprzeciwiali się rozkazom swojego tana... „Smok" popłynął dalej na południe.

Im wyżej stawało w południowej godzinie słońce, tym groźniejsze i mroczniejsze dochodziły do nich wieści. Stamtąd, zza zapory gór, spoza równin, chciwie wyciągało łapy nowe silne mocarstwo. Dowódcy jego hufców już umacniali nadmorskie ziemie i nikomu wcześniej nieznane plemiona, wypchnięte na widok falą najazdu, rozbijały swe namioty na samym morskim brzegu...

Jednakże pewnych wiadomości było mało. Najważniejsze siły nowego mocarstwa na razie trzymały się z daleka od Morza; wpływania do wąskich rzek Wingetor nie zaryzykował. Nieznane także było imię wielkiego władcy, za sprawą którego dokonywało się to wielkie przemieszczenie narodów. Większe niż według słów Wingetora - podczas wtargnięcia armii Olmera.

- Wcześniej przepływaliśmy od Kamionki do Milczących Skał, prawie nie cumując do brzegu - opowiadał wolno Wingetor. - Brzeg był właściwie pustynią, no - może na poły pustynią, z rzadka trafiały się ubogie plemiona... a teraz w jednej chwili wszystko się zmieniło. Nie przez dziesięciolecia - przez kilka miesięcy! Na ogromnym odcinku morskiego brzegu trwają wytężone prace ziemne... A mnie się robi jakoś dziwnie na samą myśl o tym, co jeszcze może uczynić owa moc, jakie będzie następne zadanie.

- Może skieruje się na południe? - podsunął Ragnur.

- Wątpię - wzruszył ramionami tan. - Południowe miasta są bogate, ale nieliczne. Tam możemy pożywić się my, tanowie... A krajowi, który widziałem, nie wystarczy tego nawet na

półkęsek...

Dowiedziawszy się wiele, Wingetor zawrócił do Umbaru. A po drodze niespodziewanie jego uwagę zwróciło jasne światło jednego ze Znaków Nieszczęścia.

Potem przyszła kolej na opowieść Folka.

Wingetor tylko pokiwał głową, kiedy hobbit opowiedział o wielkiej bitwie w Południowym Haradzie, o śmierci olbrzymiej armii pierzastorękich, o zwycięstwie Haradu, kupionym za cenę rzuconych na rzeź wielu tysięcy niewolników...

- Tak czy inaczej - horda została powstrzymana - w zamyśleniu rzucił tan, wysłuchawszy opowieści. - Jednakże chciałbym wiedzieć, kto dowodził tymi nieszczęsnymi pierzastorękimi! Gdybym miał choć dziesiątą część ich armii, przeszedłbym na wylot przez cały Harad!

- Dlatego prawdziwe niebezpieczeństwo nadejdzie wtedy, kiedy pojawią się u nich silni, mądrzy i odważni dowódcy - zauważył Torin.

- Słusznie! Dziwną opowieść usłyszałem z waszych ust. To jest takie... takie głupie...

- My też tak uważamy - wtrącił Malec.

- I to mi się szczególnie nie podoba! - Zawsze opanowany Wingetor z całej siły walnął pięścią w dębową belkę dziobnicy, drewno odpowiedziało pełnym niezadowolenia odgłosem. - Nie mogło się to obejść bez magii!

- Magii... - powtórzył wolno Folko. - Nie wiem. Skąd by się tam wzięła? Ostatnie resztki Spuścizny Saurona odeszły wraz z Ostatnim Pierścieniem Nazguli...

- Co, co? - zdziwił się Wingetor.

- Była w nim część Mocy Olmera Wielkiego. Potem tę rzecz udało się zniszczyć... - machnął ręką hobbit.

- Posłać na dno - wtrącił szybko Torin.

- No tak. - Folko potarł czoło. Krasnolud odezwał się w bardzo dobrym momencie, bo on, Folko, jakoś o tym zapomniał... - Potem nie powinno już być w Śródziemiu magii. Może tylko u Entów... Nastąpiła ogłoszona wcześniej Epoka Ludzi...

- A tu nagle pojawili się pierzastoręcy, i to na dodatek w liczbie przekraczającej zdrowy rozsądek! - zauważył Wingetor.

- Tak - przyznał hobbit. - Pojawili się pierzastoręcy... I tej tajemnicy nie udało się nam, jak na razie, rozwikłać.

- A kto by potrafił? - wzruszył ramionami tan. - Ja na pewno nie. Przestańmy więc łamać sobie głowy. Dowiemy się więcej - wtedy można będzie coś decydować. Na razie czeka

nas Umbar - chcę uprzedzić Radę... chociaż, obawiam się, że niewiele ma to sensu. W Radzie wszyscy uważają za głównego wroga Harad i dopóki to państwo się nie ruszy, nie ma co liczyć na fjergun Morskiego Ludu. Chyba że uda się zjednoczyć kilku tanów, takich rozsądniejszych, jak na przykład potężny Farnak, o ile, oczywiście, jego drużyna ocaleje w iseńskiej wyprawie...

- A czy nasz dostojny gospodarz ma na ten temat jakieś wiadomości? - od razu zapytał Folko.

- Niestety, nie. Skąd?... Wypłynąłem z Umbaru jednocześnie z flotyllą Farnaka. Obyczaj każe tym, którzy wyruszyli na podobnego typu wyprawę, słać gońców do Umbaru... Żeby w razie potrzeby można było wysłać pomoc, a gdyby wszyscy zginęli - pomścić.

- A często... tak... mściliście? - zainteresował się Malec.

- Zdarzało się. - Spojrzenie Wingetora nabrało ostrości. Wcale nie wszyscy wracali z wypraw na Tamtą Stronę... Zbieraliśmy wtedy fjergun - i mściliśmy się. Nikt nie może poszczycić się nieukaranym zwycięstwem nad Morskim Ludem! Obawiam się, byśmy nie musieli tym razem po tej stronie walczyć!

A Moc płynie właśnie stamtąd - pomyślał Folko. - Samo się rodzi pytanie - czy nie ona właśnie stworzyła to królestwo? Chociaż - dlaczego królestwo? Przecież wtedy poznalibyśmy imię władcy... Trzeba, koniecznie trzeba tam się udać! Na Dalekie Południe, na najbardziej oddalone granice Haradu, za popielisko, które nas zatrzymało, za góry, widoczne na horyzoncie... Eowinie nie przywrócimy życia. Zostało nam tylko jedno: dług. I jeśli nie wywiążemy się po raz drugi, to ja... ja przebiję się własnym mieczem.

- Czy dobrze biją się ci z południa? - pytał tymczasem Torin. - Chciałbym jak najwięcej o nich wiedzieć, potężny tanie!

- Ponieważ, jak mi się zdaje, wyruszymy na to przeklęte Południe, oby spłonęło w piecu Machala - wtrącił się Mały Krasnolud, najdokładniej jak potrafił wyrażając i myśli, i stosunek swoich druhów do ziem za Dalekim Haradem.

- Też tak sądzę - skinął głową Wingetor. - Muszę o wiele rzeczy zapytać Fellastra, jeńca z plemienia pierzastorękich...

- Pewnie znowu będzie milczał - burknął Malec.

- Jak się zaczyna słuszną sprawę od tortur... - zaczął Folko.

Wingetor uśmiechnął się.

- Nie, tym razem chcę od niego naprawdę niewiele. Obiecam mu wolność... a potem, jeśli naprawdę będzie rozmowny, wypuszczę go.

- Może nie uwierzy? Albo zełga? - nie ustępował Malec.

- Jeśli zacznie mówić - powie prawdę. Pierzastoręcy są na swój sposób uczciwi i przestrzegają danego słowa.

- Mam w nosie tego Fellastra! - machnął ręką Torin. Fjergun i tak, i tak przyjdzie zwoływać... Co było wcześniej na miejscu tego państwa?

- Nic tam nie było! - padła odpowiedź. - Rozumiem twój sposób myślenia, czcigodny krasnoludzie. Powtarzam: tak, mocarstwo to powstało znikąd, na pustym wcześniej miejscu, gdzie od wieków pędziło nędzny żywot kilka biednych koczowniczych plemion...

Pięć dni minęło jak jeden.

Umbarska zatoka powitała okręt Wingetora zwykłą codzienną krzątaniną. Obok pirsów spokojnie zamarły statki pod flagami Amlodiego, Grottiego, Hjarridiego i innych, którzy wyruszyli na wyprawę w dół Iseny. Znalazł się i proporzec Farnaka.

- A to ci historia! - wyrwało się Malcowi. - Wygląda na to, że oni już wrócili...

Umbar bardzo się zmienił. Niemal nie było widać na ulicach Haradrimów, co rusz stukały na brukowanych ulicach podkute buty Eldringów, wyznaczonych do pełnienia straży w mieście. Obok pamiętnej tawerny zbudowano prawdziwe szańce z bali i kamieni, obsadzone przez dwa dziesiątki uzbrojonych po zęby zuchów.

Folko, Torin, Malec, Wingetor i Farnak siedzieli we wnętrzu, przy długim stole. Sala była wypełniona ludźmi, dokoła panował gwar, fruwały ostre dowcipy i perlił się rechot. Zacni morscy tanowie bawili się.

- Nie można powiedzieć, że wszystko poszło jak po maśle - bez pośpiechu snuł opowieść Farnak, pociągając piwo. - Kiedy wyładowaliśmy się w Tharnie, nie został już po nim kamień na kamieniu, a czekający na nas Oria opowiedział, że Heggowie i Howrarowie podeszli w wielkiej sile. Nie było szans obronić twierdzy, przy jej wielkości i mocy murów. Dowiedzieliśmy się też, że większa część sił zbuntowanego Minhiriathu ruszyła na Rohan, na spotkanie Eodreida. A potem... potem zaczęła się zabawa - koty płakały, a myszy się śmiały. Uderzyliśmy z trzech stron... Bez Hazgów wszyscy ci Heggowie i Howrarowie nie oparliby się nam nawet przez kilka chwil, ale... walczyli jak szaleni, i niemało naszych poległo, zanim ich powaliliśmy. Właśnie powaliliśmy, a nie wybiliśmy - oni po prostu się rozbiegli. Zajęliśmy Tharn i ruszyliśmy w górę Iseny. Jeśli nawet król Eodreid miał jakiś plan na taką okoliczność, to powiadomić nas o tym, niestety, nie mógł. Jego wojsko walczyło na Łuku Iseny i utrzymało się, póki nie podeszliśmy my. Wspaniała odbyła się bitwa! Ale Hazgowie są Hazgami i zanim Rohirrimowie zdołali ich rozpędzić, stracili sami wielu wojowników... Krótko mówiąc - wojna skończyła się po jednej bitwie. Ludzie Minhiriathu rozpełzli się, gdzie kto mógł. Eodreid ruszył

za nimi, ale z Hazgami nie ma żartów - pułk awangardy został niemal całkowicie wybity. Fakt, że tych małych kapcanów- łuczników natłukł też porządnie. Potem wszystko się uspokoiło. Rohan pozostał na swoim - no, może przesunął się o jedną grzędę wzgórz bardziej na zachód. My dostaliśmy swoją ziemię w ujściu Iseny, chociaż mniej, niż się spodziewaliśmy. Nawet nie o króla Eodreida chodzi, i nie o Heggów i Howrarów - ale o to, że Rohan nie rozszerzył swych włości do morza! Zresztą, chciałbym wiedzieć, jak oni chcieli utrzymać tak obszerne nowe ziemie... Jednakże, tak czy inaczej, cała Isena aż do samego ujścia - w naszych i rohańskich rękach, i tak po prostu nie zamierzamy jej oddać. A przydział ziemi zmniejszyliśmy sami - nie należy brać tego, co się nie należy. Kiedy nastąpi to, że wróg, jak powiedziano w umowie, nie będzie mógł ruszyć na Edoras z Zachodu - wtedy zażądamy wszystkiego. Tak to, moi drodzy przyjaciele! - Łyknął piwa. Pokrótce - to tyle. O wyczynach bohaterskich zaśpiewają wam skaldowie! - Tan głośno się roześmiał.

- Czcigodny Farnaku... - Folko z trudem dobierał słowa. - A... czy widziałeś się z królem Eodreidem?

Torin i Malec od razu stali się czujni, domyślając się, skąd wiatr wieje.

- Widziałem go - machnął ręką Farnak. - Aż pobielał z szału, że jego plan się zawalił. I... hm... na was, przyjaciele moi, zły jest bardzo, ale to bardzo. Na razie nie powinniście pojawiać się w Rohanie...

Folko westchnął. Malec wykrzywił się z rozczarowaniem, Torin spuścił głowę. Nie oczekiwali niczego innego, ale... jakoś mimo wszystko nie dawali temu wiary.

- Pułk łuczników trafił pod dowództwo tego, jak mu tam, Siódmego Marszałka Marchii, zapomniałem jego imię - ciągnął Farnak. - Chłop to może i odważny, ale Morski Ojciec nie obarczył go zbyt wielkim umysłem. Wyprowadził swoich pięciuset łuczników w szczere pole przeciwko hazskiemu atakowi... Chciał osłonić królewską jazdę. No i położył połowę swoich ludzi.

Folko aż do bólu walnął pięścią w stół. Był pewien! Jego pułk! Przez niego skompletowany, wykształcony, przyzwyczajony do jego rozkazów!... Oczywiście! Teomund! Siódmy Marszałek! Nie powinien nawet dziesięcioma ludźmi dowodzić, co dopiero pułkiem! Przekleństwo! Żeby go Szeloba pożarła!

- Co się stało, nie odstanie się, Folko - mruknął ponuro Torin, obserwując przyjaciela.

- Tak. Tak. Masz rację. Nie odstanie się. - Hobbit niewidzącym wzrokiem patrzył w bok. Jego pułk!

- Nie zapomnij, dlaczego tak się stało - przypomniał Malec.

Machnąwszy ręką, Folko przyssał się do kufla. Cierpkie gondorskie... pił je teraz jak wodę.

- Nie możemy tu siedzieć - rzucił gwałtownie. - Musimy iść na Południe.

- Na Południe? - Zdziwiony Farnak uniósł brwi.

- Właśnie tak, potężny tanie. - Wingetor oparł dłoń na rękojeści miecza. - Właśnie na Południe. Ja też początkowo sądziłem, że należy znaleźć dla siebie dobre schronienie na Północy, żeby między nami i napierającymi z Południa znalazł się i Gondor, i Harad... a teraz widzę, że się myliłem. Ratunek jest tylko w natarciu. Szybkim, błyskawicznym... Jak wtedy, w tym roku, kiedy został wzięty Torhood...

- Fjergun! Proponujesz... fjergun? - zdziwił się Farnak.

- Gdybym mógł „proponować”! - Wingetor ze złością wzruszył ramionami. - Czy Rada mnie posłucha? Twoje słowo, potężny tanie, też tam niespecjalnie się liczy!

- Myślisz, że południowcy wkrótce zmiażdżą Harad i zwalą się na nas?

O ile wcześniej Harad nie zwali się na was - pomyślał Folko.

- Sądząc z tego, jak się urządzają na nowych włościach bez wątpienia.

- Zawsze lepiej jest nie doceniać niebezpieczeństwo, niż je przecenić... - burknął Farnak. - Ale, przekleństwo, moi ludzie są zmęczeni, klnę się na Morskiego Ojca! A połowa drużyny została w Tharnie!

- Do zwiadu więcej nie trzeba, przyjacielu - uśmiechnął się Wingetor. - Zbierzemy ochotników.

- Dwie drużyny na jednym okręcie? - Folko zmarszczył czoło. - To się musi skończyć mordobiciem, przecież wiesz!

- Nie. Dwa niewielkie okręty. Twój „Skrzydlaty Smok” i mój „Rybołów”. Dwanaście dziesiątków mieczy. Wystarczy.

- Klnę się na Morskiego Ojca! Gdyby nie ten pierzastoręki w twojej piwnicy... i opowieści moich starych przyjaciół... Powiedziałbym, że masz straszne sny, o potężny, nie gniewaj się, że mówię wprost!...

Przy okazji, o pierzastorękim - rzucił ponuro Wingetor. - Fellastr uciekł.

Jak to: „uciekł”? - zawołali jednocześnie obecni.

Właśnie tak. - Wingetor ze złością zacisnął pięści. - Dał radę uciec spod klucza, zabijając trzech strażników - doświadczonych, sprawdzonych wojowników... Podejrzewam, że pomógł mu ktoś z czeladzi... Nie będę marnował czasu moich szanownych rozmówców tymi szczegółami... Ważne jest jedno: Fellastr uciekł i, niewątpliwie, wkrótce o nim usłyszymy.

Zresztą, nie przeszkodzi nam to w przygotowaniach. A zwlekać nie należy...

- Zgadza się, wkrótce zaczną się jesienne sztormy... - burknął Farnak. - Dobrze by było, gdybyśmy przemknęli im pod nosem... Tam, dalej na południu, morze będzie spokojniejsze...

- Mam nadzieję, że za tydzień odcumujemy. - Wingetor nieoczekiwanie się podniósł. - Muszę jednak uprzedzić starszyznę...

A ja muszę ruszyć swoich... - Farnak dopił piwo. - Idziemy, przyjaciele...

21 Września, Umbar

Folko stał na wąskim dziobowym pokładzie „Rybołowa".

Ten okręcik, zaledwie o sześciu parach wioseł, raczej zasługiwał na nazwę „smoczek" niż dumny „smok". Lekki, zwrotny i szybki, przeznaczony był do błyskawicznych rajdów, zwiadu i nalotów na bezbronne kraje. Teraz miał rzucić wyzwanie po tężnemu i tajemniczemu mocarstwu, jak Feniks z popiołów powstałemu za najodleglejszymi rubieżami znanych w Gondorze i Amorze ziem.

W ślad za „Rybołowem" z zatoki wypływał „Skrzydlaty Smok" - też na sześciu parach wioseł, tak samo długi, wąskii szybki. Wiatr zmieniał się; ważne było, by złapać północny lub północno- zachodni i przeskoczyć tereny Umbaru w ciągu kilku dni, nie zatrzymując się na noclegi. Sternicy ponaglali pokładową załogę. I mieli rację.

Folko przez kilka miesięcy nie był w Umbarze i nie mógł nadziwić się panującemu w mieście zaniepokojeniu. Co rusz wybuchały bójki z Haradrimami, po ulicach ciągle przechadzali się wartownicy. Południowcy nie zostawali dłużni, dlatego wszystkie oberże, zajazdy i inne ulubione przez Eldringów miejsca wystawiły solidne ochrony. Z pustyni dochodziły zło wieszcze plotki: władca Haradu jakoby postanowił raz i na zawsze zdławić Umbar i przechwycić jedyną wielką zatokę na wybrzeżu Tcheremu. Co prawda, pogłoski te nie przeszkadzały umbarskim handlarzom niewolników z powodzeniem i zyskiem sprzedawać żywy towar haradzkim klientom - wszystkich niewolników zabierał sam władca Wielkiego Tcheremu...

Palące, złe Światło jak poprzednio bez przeszkód rozlewało się po południowych ziemiach; a tam, gdzie nie mogło przeniknąć, nieuchronnie zaczynał gromadzić się taki sam niedobry Mrok.

Szpiedzy powiadomili tana Starcha: jego wrogowie wyszli w morze. Uważał Farnaka za swojego największego wroga od chwili, gdy ten wyprzedził go w wyścigu do umbarskich pirsów. I nawet nie zastanawiał się nad tym, że wcześniej nie chciałoby mu się o tej sprawie myśleć - pewnie postarałby się sprawić Farnakowi kilka „miłych" niespodzianek. Ale tym razem nie udało się niczego takiego przygotować, i to dziwnie pozbawiło Starcha snu i spokoju. Nie cieszyły go nawet duże zyski ze sprzedaży rabów.

- Mój tanie! - Hirbach, jeden z dziesiętników Starcha, przestępował z nogi na nogę w drzwiach. - Wyszli w morze, mój tanie. Dwa okręty. „Skrzydlaty Smok" starego lisa Farnaka i

„Rybołów” tego gondorskiego węża Wingetora. Na obu pokładach, świadkiem mi Morski Ojciec, zaledwie półtorej setki mieczy - a najprawdopodobniej i tylu się nie nazbiera.

- Wspaniale - wycedził przez zęby Starch. - Płyniemy za nimi. Ich skorupy, choć i szybkie, to do Dwurogiej Skały nie oderwą się od nas. Dawać mi tu gołębiarza!

Po jakimś czasie wytrenowany ptak wzbił się pod niebiosa, niosąc zawinięty w rurkę list Starcha, zaadresowany do potężnego tana Skilludra...

Ten Sam Dzień, Zachodni Kraniec Gór Hlawijskich

- No, to jesteśmy na miejscu - zauważył spokojnie Sandello.

- Dotarliśmy - sapnęła Tubala.

Po prawej mieli kolosy Gór Hlawijskich, w języku Tcheremczyków - Gór Lodowych Potoków. Garbus i wojowniczka ominęli olbrzymi grzbiet wąskim, przybrzeżnym pasem między skałami i oceanem, szerokim najwyżej na trzy czwarte mili. Tu kończyły się ziemie należące do Wielkiego Tcheremu. Kiedyś od Morza do gór ciągnął się prawdziwy wysoki mur z wieżami, ale potem krainy od strony gór wyludniły się i władca Tcheremu uznał utrzymywanie wielkiego garnizonu tak daleko od stolicy za zbyt kosztowne. Mur powoli zaczął zamieniać się w ruinę, bujny miejscowy las jak fala zalał ją, oplótł gibkimi łozami, podkopał się korzeniami, rozchwierutał kamienne bloki przerastającą spoiny trawą. Wieże strażnicze zostały porzucone... ale tak się tylko wydawało.

Tubala i Sandello wleźli nieco wyżej po wyszczerbionym murze, przyglądali się przechylonej nieco, pękatej wieży. Na pociemniałym, starym dachu widniały świeże, nowe łaty. Ktoś usiłował jakoś doprowadzić wieżę do stanu użyteczności... Czyżby Tcheremczycy?

- Nie przeciągniemy koni przez mur, a i ja już jestem za stary na skoki po skałach - rzekł miecznik. - Zobacz, jeszcze nie zdążyli naprawić bramy. A za bramą mamy ścieżkę?

Dziewczyna milczała.

- Właśnie tamtędy przejedziemy. Nie wiem, kogo nam tu zesłał los...

- Ale kimkolwiek są, mają dużego pecha - dokończyła Tubala.

Garbus posłał jej zimny uśmiech. Jego prawa ręka pogłaskała bandolet z nożami do miotania.

Zapewne wyglądało to na senny koszmar, nie wiadomo tylko dlaczego rozgrywający się na jawie, w biały dzień... Z gęstwiny wypadła para jeźdźców; brzęknęła cięciwa straszliwego łuku garbusa, świsnęła pierwsza strzała - jeden z wartowników, smagły młodzieniec o garbatym nosie, umarł, nawet nie wiedząc, że umiera. Błysnął ciśnięty nóż - ciężkie ostrze przebiło kuty pancerz drugiego strażnika. Ostrze, wyrzucone delikatną dziewczęcą ręką, przeszyło z łatwością stalowy napierśnik, mogący powstrzymać nawet bełt kuszy...

Niegdyś szeroki otwór bramy zamykały masywne skrzydła; czas, deszcze i inne południowe atrakcje spowodowały, że deski stały się próchnem. Obsada wieży zaczęła

remontować bramę, ale zdążyła zawiesić na zawiasach tylko jedno skrzydło. Drugą część otworu - na wszelki wypadek - przegradzały rogatki.

Tubala wyskoczyła przed garbusa. Póki ten naciągał łuk, mierząc do stojącego na szczycie muru włócznika, dziewczyna znalazła się obok bramy. Na spotkanie jej wyskoczył strażnik z długą partyzaną w ręku, ale nim szerokie ostrze straszliwej halabardy opadło, by ściąć za jednym zamachem głowy jeźdźcowi i wierzchowcowi, krótko i bezlitośnie błysnęła szabla. Cienka klinga z łatwością przecięła potężne, okute metalem drzewce i przepołowiła ciało nadmiernie odważnego południowca...

Za murem rozlegały się wrzaski:

- Henna! Henna!

Sandello strzałami z łuku zdjął z muru dwóch - ci już zdążyli napiąć cięciwy.

Tubala szarpnęła podwieszone z prawej strony siodła długie, szare zawiniątko. Sekundę później na światło dzienne wyjrzał prawdziwy stalowy potwór - nawet doświadczony co się zowie miecznik gwizdnął.

W ręku dziewczyny pojawił się miecz, ogromny dwuręczny miecz: szeroka garda, dwa dodatkowe ostrza w dolnej części klingi; taką bronią mogą walczyć tylko najsilniejsi i najbardziej doświadczeni wojownicy.

Tubala bez widocznego wysiłku uniosła straszliwą broń. Jedno cięcie i zapora w bramie rozpadła się na dwie części z suchym trzaskiem. Drugie cięcie - półokrągły cios skasował sterczące jeszcze do góry żerdzie.

- Idziemyy! - wrzasnęła.

Jej wierzchowiec przeskoczył przez powaloną przeszkodę, przewracając jeszcze jednego wroga.

Sandello ruszył za dziewczyną.

Wąska droga skręcała gwałtownie, zarośla dobrze ukryły dwoje poszukiwaczy przygód, z tyłu nie milkły wściekłe wrzaski. Las pędził uciekinierom na spotkanie...

Kluczyli. Starali się zmylić ewentualny pościg. Zmuszeni byli do wyszukiwania przerw w zwartej ścianie drzew, musieli skręcać, odszukiwać strumienie i leżące z dala od macierzystych skał gruzowiska - a z tyłu nie milkło ujadanie psów.

Ale te wysiłki nie na wiele się zdały. Ścigali ich prawdziwi mistrzowie swego fachu. Wrzaski „Henna! Henna! Kuanlo! Henna!" - rozległy się coraz bliżej. Konie Tubali i Sandella niosły prócz jeźdźców ciężkie juki, prześladowcy galopowali bez obciążenia.

Garbus gwałtownie osadził wierzchowca.

- Nie uciekniemy! - wychrypiał, przygotowując łuk. - Musimy popracować...

Tubala zrozumiała go bez zbędnych słów.

Wąska dróżka - zupełnie niedawno przetarta w miejsce zwierzęcej ścieżki. Z lewej - głuchy szczelny las, dziwny, straszny i obcy człowiekowi z Północy, z prawej - bagniste miejsce, szeroki i płytki strumień, w którym łatwo ugrzęznąć...

Pierwsza strzała Sandella wyrwała z siodła pędzącego na czele pościgu wojownika. Garbus strzelał niemal z kilku metrów, zdążył posłać tylko jeszcze jedną strzałę, gdy z zarośli po prawej od ścieżki wypadła jak błyskawica Tubala, unosząc swój straszliwy dwuręczny miecz.

Błyszczący półokrąg cięcia pozbawił głowy wierzchowca jednego z prześladowców. Jeździec poleciał w kurz i strzała wpiła się w jego niechronioną pancerzem szyję. Nad ramieniem i głową dziewczyny jęknęły cicho dwie wraże strzały, ale ona, wydając z siebie potworny ryk, niczym rozjuszony berserk, nie zwróciła na nie uwagi. Dwuręczny miecz wzniósł się do zamachu równie lekko jak szabelka, cięcie - i górna połowa tułowia jeźdźca spadła, nogi i krzyż pozostały w siodle, jakby miały jeszcze ochotę posiedzieć w nim...

Sandello odrzucił łuk.

Pierścienie na mieczu radośnie i beztrosko brzęczały jak dziecięca zabawka.

Szczerbiąc się, wraża klinga zgrzytnęła po pierścieniach. Obrót - i ręka napastnika odleciała od tułowia...

Dokoła Tubali szalał krwawy wicher. Ciężki, prosty miecz, w jej wydawałoby się szczupłych i słabych rękach, fruwał ni czym motylek, tnąc na prawo i lewo. Nikt nie zdążył nie tylko chwycić za łuk, ale nawet ściągnąć wodzy. W kilka chwil, straciwszy dziesiątkę, prześladowcy cofnęli się, ale niedaleko. Ktoś dziko wrzasnął: „Kuanlo! Henna! Henna!” - i dziesiątka ocalałych ponownie rzuciła się do ataku...

W końcu padł ostatni z nich. Dziewczyna z pogardliwym uśmieszkiem otarła pokryty krwią dwuręczny miecz i starannie przytroczyła go do siodła.

- Nieźle walczyłaś, naprawdę nieźle - pochwalił garbus. Jednak to miejsce nie nadaje się na postój dla nas.

- Ale... poczekaj, to nie są Tcheremczycy! - zawołała dziewczyna, przyjrzawszy się dokładnie twarzy jednego z zabitych.

- Oczywiście, że nie. Dopiero teraz to zrozumiałaś? Nie zwróciłaś uwagi, że rogatki w bramie zamykały drogę z północy na południe, a nie odwrotnie? - uśmiechnął się Sandello i trącił piętami konia.

- Otworzyliśmy drogę tym twoim Avarim... - syknęła Tubala i zacisnęła wargi.

- Otworzyliśmy - zgodził się garbus bez cienia uśmiechu. - Ale to nawet lepiej. Wszystkich ich strzał nie sparujesz nawet ty, moja najlepsza uczennico... A im, z kolei, wystarczy teraz rozumu, by w razie czego nie pchać ci się pod miecz...

Minęły dwa kolejne dni. Przedgórskie wilgotne lasy skończyły się; przed wędrowcami ponownie rozwinął się niemający końca step, po którym wędrowały niezliczone stada rogatych antylop.

- No, to gdzie się teraz kierujemy? - zapytała dziewczyna zrzędliwym tonem, gdy zatrzymali się na szczycie wygładzonego deszczem i wiatrem wzgórza.

- Odejdź na pięćdziesiąt kroków i nie przeszkadzaj mi odparł spokojnie garbus, twardo patrząc w oczy wojowniczce. - Nie masz na co patrzeć.

- A to dlaczego? - odezwała się przekornie Tubala, ale spojrzenie zimnych oczu Sandella nie zmieniło się, i dziewczyna, sypiąc pod nosem takimi przekleństwami, które wywołałyby rumieniec na twarzy skończonego pijaczyny Eldringa, odeszła precz.

Sandello wyjął Talizman Olmera.

Tubala drgnęła, jakby poczuła uderzenie, gdy tylko matowo połyskujący krążek żółtego metalu, nierówny, podrapany, nawet w kilku miejscach zgnieciony, wynurzył się ze skórzanej sakwy u pasa garbusa.

Chwilę potem Sandello wyprostował się:

- Teraz kierujmy się dokładnie na wschód. Wzdłuż tych gór. Jedziemy...

Były poborca podatkowy Millog i nieodstępujący go pies szli bez przerwy na wschód. Dawno już minęli Druwaith Laur, zostawili za sobą Andrast, jakoś tam, omal nie utonąwszy, przeprawili się przez Lefnui, minęli całe Anfalas, skradając się obeszli bokiem Dol Amroth, na ukradzionej łódce pokonali Deltę Anduiny i weszli do Południowego Gondoru. W nadmorskich osadach Milloga uznawano za szaleńca, ale nie przepędzano go i nie krzywdzono, czasem nawet karmiono. Grubas schudł, zniszczył swe odzienie, psu można było policzyć wszystkie żebra. Przeszukiwali każdy jard wybrzeża; Millog ciągle rozpytywał rybaków, czy nie trafiał się im topielec. Ludziska się śmiali - skąd może się wziąć w tych okolicach topielec, skoro utonął aż za ujściem Iseny! Millog nie przejmował się kpinami. Po prostu odwracał się i szedł dalej. Gdy Sandello i Tubala dotarli do Gór Hlawijskich, Millog z psem zbliżali się do Poros.

CZĘŚĆ TRZECIA

ROK 1732 JESIEŃ

PROLOG

Wąska, kręta dolina prowadziła z północy na południe, przebijając się przez Góry Hlawijskie. Ocieniona czarnymi cielskami stromych skał, wypełniona warczącymi wodospadami, walącymi się na łeb na szyję z ogromnych urwisk. Mimo stromizny i wysokości górskich ścian, upalne południowe słońce zaglądało również i tu, i dolina wspaniale się zieleniła. Wiła się po jej dnie mało widoczna, ale uparcie niepoddająca się naporowi zarośli ścieżka; wyraźnie została wydeptana przez ludzi, nie zwierzęta. Teraz ścieżką szły dwie osoby. Poruszały się z wielkim trudem. Dziewczyna miała bujne złociste włosy, uwagę zwracała jej wymizerowana twarz - policzki były zapadnięte, oczy podkrążone; niepewnie stawiała kroki, opierając się o ramię towarzysza - niemłodego, siwowłosego mężczyzny ze szczupłą, wysmaganą wiatrami twarzą i płonącym spojrzeniu głęboko osadzonych oczu. Odzienie wędrowców stanowiły osmalone gałgany, na ramieniu starca wisiał pośpiesznie wykonany prymitywny łuk; za sznurem, który zastępował mu pas, wetknięta była cienka wytworna szabla z małą rękojeścią. Na plecach miał przytroczoną drugą klingę miecz, znacznie większy i cięższy. Jedną ręką mężczyzna mocno podtrzymywał dziewczynę, która coraz bardziej słabła. Patrzyła pustym wzrokiem, obojętna na wszystko, wydawała się skupiona tylko na jednym: zmuszać nogi do posłuszeństwa iść. Mężczyzna, niczym w transie, parł do przodu, jakby przedzierał się przez wraże szeregi, dążąc do tylko sobie znanego celu. Ciemne oczy płonęły szaleństwem.

Szary i Eowina przebijali się na południe. Jakimś cudem, niemal konając z pragnienia, pokonali spopieloną równinę. Eowina nigdy nie dokonałaby tego sama. Gdy świadomość jej zaczynała się mącić, widziała pochyloną nad sobą, wykrzywioną grymasem twarz Szarego; jego wargi szeptały coś, a wtedy nie wiadomo skąd wstępowały w nią nowe siły i pragnienie ustępowało.

A potem na skraju popieliska znaleźli mały strumyk, spływający z gór do przypadkowo ocalałego z pożogi zagajnika... Jakże wtedy pili!...

...Ostatnie, co pamiętała Eowina, to wzbijające się w niebo, rozszalałe, huczące kurtyny ognia. Żar opalił jej twarz i ręce... Straciła przytomność, nawet nie zdążyła się wystraszyć czy pomyśleć o śmierci. Gdy doszła do siebie, był już wieczór. Ogień został stłamszony przez deszcz, pole walki zmieniło się w pokryte wyschniętym błotem cmentarzysko.

- Nie ma ich... nikogo... - wyraźnie, jak mówi ktoś, kto stracił słuch, powiedział Szary, a dziewczyna nagle uświadomiła sobie, że siedzi on tak i powtarza te słowa już od dłuższego czasu - może nawet minęło kilkanaście godzin.

Stary rybak przeniósł nieprzytomną dziewczynę do niewielkiego źródełka, które jakimś cudem znów przebiło się przez popioły i błoto. Wszystko, co im zostało, to szabelka Eowiny i znaleziony przez Szarego miecz.

- Nie ma... ich... nikogo - powtórzył znowu, podnosząc się. - A ja winien byłem ich uratować. Obiecałem im! - wykrzyknął, zaciskając pięści. - Obiecałem!

- Co... - wymamrotała Eowina.

- Kiedy wjechaliśmy w płomień - zaczął ponurym głosem, ale spokojnie Szary - powiedziałem mu: „Zatrzymaj się!”. Ale on mnie nie posłuchał...

Zwariował! - pomyślała ze strachem Eowina.

- Myślisz, że straciłem rozum? - uśmiechnął się, jakby czytając w jej myślach. - Wcale nie. Patrz!

Jego pięść wbiła się w pokrytą popiołem ziemię. W powietrze uniósł się szaroczarny obłoczek, pokazały się dyszące żarem węgle i zamigotał pierwszy płomyczek. Co tu mogło się palić? Nie wiadomo... Przecież przebiegająca tędy ściana ognia pochłonęła wszystko, co mogło spłonąć...

Po czole Szarego obficie spływał pot, zostawiając brudne smugi na pokrytym sadzą obliczu. Oddech miał ciężki, przerywany.

- Mogę rozpalić. Mogę też zgasić. Patrz!

Szary ponownie wyciągnął rękę, zacisnął w pięść. Wycelował nią w ognisko - i wytężył się. Przez twarz przebiegł skurcz.

Języczek płomienia drgnął i zniknął, węgle zirytowane zasyczały, jakby polanę wodą.

- Jesteś czarownikiem! - wykrzyknęła Eowina. - Najprawdziwszym czarownikiem.

- Ja? O nie! - roześmiał się z goryczą. - Gdybyż to było możliwe! Nie przemierzyłbym całej tej drogi w kajdanach niewolnika, a tu, na polu bitwy, znalazłbym sposób, by uratować wszystkich, wespół z którymi walczyłem! Nie, Eowino, nie. Nic więcej nie potrafię. Kiedy ogień runął na nas i zrozumiałem, że nie ma już ratunku... nagle poczułem, że jestem w stanie opanować płomień... ocalić przynajmniej tych, którzy w tej bitwie stali ze mną w jednym szeregu. Ale wyciągnąłem z pożogi tylko ciebie! Zapytasz - dlaczego? Nie wiem! Ktoś mnie powstrzymał... Ktoś wyraźnie podstawił mi nogę... Chciałbym wiedzieć - kto?... Dobrze, idziemy dalej, na południe. Jakaś Moc mnie popycha... czuję, że wszystko jest tam - wszystkie

odpowiedzi, cała prawda... Kim jestem? Jak się naprawdę nazywam? Gdzie moja ojczyzna? I... zobacz...

Stary rybak sięgnął po miecz. Długi niemal na cztery stopy, z szeroką klingą - taką bronią wygodnie jest ciąć i kłuć, można walczyć jednorącz i dwuręcznie. Podczas świąt i turniejów w Hornburgu Eowina widziała potężnych wojowników z podobnymi mieczami. Najważniejsze, że taka broń dobrze się sprawdza zarówno w pieszym, jak i konnym boju - tak mówił, przypomniała sobie, jej nauczyciel. W Rohanie sztuki walki uczono wszystkie dzieci, bez względu na płeć...

Szary chwycił miecz. Mgnienie oka - i ostrze świsnęło, prując powietrze; klinga natychmiast stała się mglistym obłokiem, który przesłonił Szarego. Eowina skamieniała w bezruchu. W taki sposób można wymachiwać szabelką, ale nie czterostopowym mieczem!

Szary gwałtownie obrócił się dokoła siebie. Lewą ręką chwycił rękojeść poniżej prawej dłoni, klinga syknęła; mignęło cięcie jak błyskawica. Gdyby w tym miejscu stał wojownik, nawet w pełnym rynsztunku - zostałby przecięty na dwie połowy.

- Tak to. - Setnik opuścił broń. - Tam, gdzie wcześniej żyłem, nie wzięto mnie nawet do ruszenia... nie wiedziałem, z jakiego końca trzyma się miecz...

Mieli szczęście, natrafili na prowadzącą w góry, prawie niewidoczną ścieżynkę. Krucho było z jedzeniem. Szary zmajstrował łuk, wyskubawszy na cięciwę nici z ubrania. Strzały szkoda, że bez grotów, tylko opalone na ognisku i zaostrzone kamieniem - znakomicie wyważone leciały tam, gdzie on chciał, ale zwierzyny było tu mało, musieli żywić się korzonkami i jakimiś podejrzanymi ziołami, po których potem szumiało w głowie, a myśli się plątały. Eowina ledwo się ocknęła po pierwszym takim obiedzie...

Wąwóz wydawał się martwy - ani ludzi, ani zwierzyny, tylko z rzadka podrywały się do lotu ptaki. Droga długo pięła się w górę, i każdy krok kosztował Eowinę coraz więcej wysiłku. Ale w końcu nastał dzień, kiedy minęli grzbiet łańcucha i zaczęli schodzić w dół.

1

28 Września,
Trawers Zachodniego Krańca
Gór Hlawijskich

W lewej ręce powoli narastał rwący, uporczywy ból. A jak doszło pieczenie, jeszcze bardziej doskwierał. Folko już przywykł do takich ataków. Powtarzały się z ponurą regularnością co cztery dni i trwały godzinę, a czasem dłużej. Kiedy ból stawał się nie do wytrzymania, hobbit zgrzytał zębami. Przyjaciele nie mogli mu pomóc w cierpieniu, nawet doświadczony w leczeniu Wingetor. Hobbit znosił mężnie kolejne napady, mając nadzieję, że wcześniej czy później uda im się znaleźć źródło tego przeklętego Światła - i zgasić je.

Na malutkim „Rybołowie" było bardzo ciasno. Znaczną część miejsca pod pokładem zajmowały przechowywane tam zapasy; Folko mógł co najwyżej wcisnąć się gdzieś w kąt. Przeklęty ból! Zbliża się brzeg, pierwszy zwiad - a on leży tu, czując, że jego lewa ręka sięgnęła do gniazda dzikich pszczół!

Przemógłszy własną słabość, wyszedł na pokład. „Rybołów" z powodu małego zanurzenia mógł podejść do samego niemal brzegu, ale sternik Wingetora, jasnowłosy olbrzym Oswald, był ostrożny, nie zamierzał ryzykować w nieznanym miejscu. Dlatego została spuszczona tylko niewielka łódeczka.

Przyciskając lewą rękę do piersi, Folko z zawiścią patrzył, jak Torin i Malec wsiadają do łódki. Na brzeg wychodzili z nimi jeszcze dwaj ludzie z załogi Wingetora. „Skrzydlaty Smok" Farnaka również wysyłał kilku swoich na zwiad.

Wyszło na brzeg ośmiu wojowników. Teraz lepiej niż z morza widoczny był stary mur z wieżami, zbudowany tu przez Tcheremczyków w odległych czasach; bystrooki Hjarridi, który ubłagał dowódcę i popłynął na wyprawę jako zwykły dziesiętnik, już z pokładu okrętu dojrzał strużkę dymu nad jedną z wież. Niewątpliwie było to dziwne. Umocnienia, jeśli wierzyć Wingetorowi i Farnakowi, zostały porzucone dawno temu. Zdecydowano, że należy się dowiedzieć, kto i po co rozpalił tam ogień. Wszystkich obowiązywał zakaz wszczynania bójek. Dlatego łódki płynęły, nie kryjąc się, ale na okrętach łucznicy i kusznicy zachowywali pełną

gotowość.

Wybieg okazał się skuteczny. Folko nie wątpił, że są obserwowani - wyczuwał obce zainteresowanie, obce uważne spojrzenia, które chciwie penetrowały pokłady statków. Sześciu Eldringów i dwa krasnoludy zatrzymali się na plaży, nie śpiesząc w głąb lądu. I dobrze zrobili - na spotkanie im szedł spory oddział.

Około dwudziestu wojowników - ludzi i pierzastorękich. Widać było łuki, kopie, lekkie tarcze - u rodaków Fellastra; długie jak koszule kolczugi i wysokie spiczaste hełmy - u ich towarzyszy broni. Rozmowa nie trwała długo, strony rozstały się w pokoju.

- Nie wiem nawet, co powiedzieć. - Zawstydzony Torin drapał się po głowie wszystkimi pięcioma palcami. - Normalni ludzie. I pierzastoręcy... można się z nimi dogadać! My ich mowy, rzecz jasna, nie rozumieliśmy, ale mieli w swojej kompanii jednego, który całkiem nieźle znał tcheremski...

- Z nim właśnie porozmawiałem - podchwycił Ragnur. Krótko: to jest graniczna straż wielkiego imperium Henna albo Henny... Uważają, że jest on posłańcem bogów. Jakiś czas temu doznał olśnienia, posiadł prawdę i... wszystkie plemiona oddały mu cześć. On wypełnia radością serca wiernych swych sług, a odstępców i wrogów karze szaleństwem... I takie tam inne rzeczy.

- Ja powiedziałem, że chcemy się z nim zobaczyć, przyłączyć się do jego grona - ciągnął Torin. - To im się chyba spodobało. W miejscu Nardozu budują teraz swoje miasto... Trzeba płynąć na południe, do ujścia Kamionki. A potem w górę rzeki. Tam, powiedzieli, będzie trakt wiodący do dowództwa tego właśnie Henny...

- Nie ma on stolicy? - zapytał podejrzliwie Folko.

- Kto? Henna? Wygląda na to, że nie. Koczuje na południowych krańcach Gór Hlawijskich, u źródła Kamionki - odezwał się Ragnur. - Właśnie tam mieszka...

- Mamy wpłynąć dwoma „smokami" w głąb kontynentu... hm... - rzucił zamyślony Farnak. - A oni nam rzekę w dowolnym miejscu zamkną... I co?...

- Niewesoło, to jasne - skinął głową Wingetor.

- Zapytaliśmy ich wprost - kontynuował Ragnur. - Ich dowódca odpowiedział, że niby Wielki Henna zawsze rad jest tym, którzy pragną skosztować owocu jego dobroci. Ja mówię: „jesteśmy uzbrojeni". A on: „my nie mamy się czego obawiać".

- A potem dowiedzieliśmy się o czymś jeszcze - przypomniał Torin. - Interesowało ich, skąd jesteśmy; Ragnur wyjaśnił, że z Umbaru, z Północy. Ich dowódca pokiwał głową i zapytał, czy nie ścigamy aby dwóch przestępców...

- To dlatego, że próbowałem się dowiedzieć, czy ostatnimi czasy ktoś tędy przejeżdżał! - wtrącił się Khandyjczyk. Nie mogłem pojąć, po co tu siedzą całą bandą i przed kim strzegą tych od dawna nikomu już niepotrzebnych murów. A usłyszeliśmy w odpowiedzi... że całkiem niedawno przez ich posterunek, uciekając się do oszustwa, okrutnego i złego czaru, przebiła się dwójka zbiegłych morderców. Za pomocą magii zabili kilku strażników...

- A to historia! Któż to był? - nie wytrzymał Folko.

Torin posępnie się uśmiechnął.

- Zaraz będziesz wiedział. Jedna dziewczyna, młodziutka, z ciemnoblond włosami. Walczy niczym uwolniony z podziemi demon. Drugi... niemłody już mężczyzna, również znakomity wojownik, łucznik... i garbaty na dodatek.

Folko poczuł zimne ciarki na plecach. Ostatnie słowa przyjaciela całkowicie go zaskoczyły. No cóż, nie pomylili się. Skoro sam Sandello przejechał setki i setki mil, podążając na Południe, to znaczy, że oni tym bardziej powinni się tam udać. Hobbit nawet nie poczuł, kiedy ból ręki ustąpił.

Sandello na Południu! A ciemnowłosa dziewczyna wojowniczka - nazbyt przypomina Tubalę! Gdzie ta para mogła się spotkać, jak trafili na siebie? Zresztą, czy to teraz takie ważne?...

- Powiedzieliśmy, rzecz jasna, że jesteśmy bardzo oburzeni - zakończył Ragnur. - Hej, co się tak na nas gapicie? Znacie tę parę złoczyńców?

- Przecież dziewczynę i ty znasz... - mruknął Torin.

- Tubala?... No tak, rozumiem. A drugi? Garbus?

- Też nasz stary znajomy...

Okręty popłynęły na południe.

30 Września, Źródła Kamionki,
Południowe Zbocza Gór Hlawijskich

- No i koniec. - Szary ostrożnie ułożył dziewczynę na miękkiej trawie. Przez ostatnie dwa dni Eowina była nieprzytomna. Mógł tylko poić ją, dopiero gdy zeszli z przełęczy, zwierzyna pojawiała się częściej. - Doszliśmy. - Pochylił się nad leżącą, ostrożnie dotknął szorstką dłonią jej czoła.

- Doszliśmy, ale ona umiera - powiedział nagle wyraźnie i spokojnie. - Duchy gór wyssały z niej wszystkie siły... A mnie się z jakiegoś powodu bały... Musisz sobie przypomnieć, co należy teraz zrobić... Musisz sobie przypomnieć!

Setnik poruszał się wolno i jakoś niepewnie, jakby we śnie - aż sam się temu dziwił. Długi, czterostopowy miecz wbił w ziemię obok głowy Eowiny, tak że cień krzyża utworzonego z rękojeści i jelców padał na jej lewą pierś, na serce. Lekką, wygiętą szablę Szary wetknął w ziemię u stóp dziewczyny; sam ustawił się plecami do zachodu, twarzą na wschód, szeroko rozłożył ręce i zaczął śpiewać.

Była to przejmująca, straszna pieśń, w zapomnianym języku plemion Wschodu. Ludy te czerpały energię ze wschodzącego Słońca i Księżyca, nasycając nią swe pieśni, by nabrały mocy zaklęcia; miarowo recytując, Szary odmierzał dziwne trójwiersze, a cień na piersi Eowiny gęstniał i ciemniał...

Gdy spod cienia nagle chlusnęła czarna krew, dziewczyna z westchnieniem otworzyła oczy:

- Co?... Gdzie?... Krew...

Szary bez sił opadł na kolana.

- Zjedz... - wychrypiał. - Zjedz... ja tam... strąciłem kilka ptaków... upiekłem. Zjedz...

Nie minął dzień, a Eowina niemal całkowicie odzyskała siły. Już szykowali się, by ruszyć w dalszą drogę, ku równinie, wzdłuż brzegu wąskiej, rwącej rzeczki, gdy Szary nagle wyprostował się i gwałtownym ruchem wyszarpnął miecz z ziemi. W pewnej odległości od nich pojawili się jeźdźcy i pędem gnali w ich stronę. Jakby dobrze wiedzieli, że tu ich spotkają.

Eowina sięgnęła po szablę; Szary przygotował miecz. Mieli za plecami gęste, nie do przebycia, zarośla. Ach, jaka szkoda, że tak daleko odeszli od skał! - ale drogo sprzedadzą swą skórę, jeśli tylko atakujący nie użyją strzał!

Jeźdźcy szybko dopadli i otoczyli wędrowców. Wysocy, potężnie zbudowani

wojownicy - było ich około piętnastu w długich kolczugach, z mocnymi, podobnymi do hazskich łukami i niezbyt długimi krzywymi szablami w rękach, wyglądali na doświadczonych i znających wojenne rzemiosło.

Trzech z nich, w pośpiechu rozwijając arkany, ostrożnie wspinało się na wzgórek. Pozostali trzymali łuki wycelowane w Szarego.

Eowina czekała, zaciskając dłoń na rękojeści szabli. Niech się dzieje, co chce, ale żywej jej nie wezmą! Wystarczy, już ma dość niewoli!

Trójka z arkanami nie śpieszyła się. Okrążeni i tak nie mogli uciec. Niech sobie stary wymachuje długim mieczem nikt mu pod klingę nie podejdzie... A jak będzie się miotał czy zechce pobiec w dół - to się go naszpikuje strzałami.

Nikt nawet nie zamierzał pytać obcych, skąd są, po co przyszli, dokąd idą... Najpierw trzeba ich związać, potem się zobaczy.

Śmignął w powietrzu pierwszy arkan i od razu za nim, jak błyskawica, drugi.

Szary machnął ciężkim mieczem. Taką bronią nie jest łatwo przeciąć w powietrzu lecący sznur, może to zrobić tylko najlepszy z najlepszych szermierzy - ale klinga w ręku Szarego świsnęła, zatoczyła koło... arkany jeszcze leciały, lecz każdy był już przecięty na trzy części. Pętle leżały na ziemi, tuż obok Szarego; ciężki miecz znieruchomiał, stanowiąc niejako przedłużenie nieumięśnionego nadmiernie ramienia setnika.

Wojownicy z orlimi nosami wymienili spojrzenia. Znali się na mieczach i wiedzieli, że zetknęli się z czymś nadzwyczajnym. Najrozsądniej byłoby teraz zacząć pertraktacje, trzymając, oczywiście, nieznajomych na celowniku. A potem...

Z tyłu, za szeregiem wojowników w kolczugach, na małym koniku siedział jakiś człowieczek w skromnym brązowym odzieniu, bez broni. Właśnie on, kiedy jeźdźcy rozważali, co robić, nagle uniósł się w siodle, wywrzaskując wysokim, zachrypłym głosem:

- Kulla! Kullaa, Henna, Henna, Hennaa!!!

Ten wizg przenikał aż do mózgu. Eowina upadła na kolana i, upuściwszy szablę, zasłoniła uszy dłońmi.

Szary potknął się i chwycił za pierś, jakby otrzymał cios niewidzialną bronią.

Doświadczeni i opanowani wojownicy, którzy jeszcze chwilę temu raczej nie zamierzali szafować swoim życiem, teraz zmienili się w szalonych, żądnych krwi dzikusów, uważających siebie za nieśmiertelnych.

Eowina chwyciła szablę i poderwała się na równe nogi. Szary, odzyskawszy siły, zamachnął się mieczem. Pędziła na nich Śmierć - gnała, rozdziawiając w krzyku usta i

wytrzeszczając szalone oczy. Dziewczynie wydawało się, że z ust wojowników wydobywa się piana, jak u epileptyków w czasie ataku.

Rzucili się ze wszystkich stron, któryś wpadł w krzaki i ciął je wściekle szablą niczym wrogów. Siedmiu zbliżyło się do Szarego i Eowiny.

Dziewczynie nieobca była sztuka walki. Pierwszy wykonany w jej kierunku wypad sparowała i zręcznie odskoczyła w bok. Kolczuga chroniła wojownika tylko do wysokości kolan. Eowina z całej siły cięła po nogach. Cięła i w pewnym momencie pociągnęła ostrze do siebie, jak ją uczono... Wróg zawył z bólu, waląc się na plecy.

Szary z całej siły młócił swoim długim mieczem. Jego klinga łamała szable jak trzcinę. Ale nawet nie mając już broni, wojownicy Henny nie ustępowali, a wtedy miecz raził ich bezlitośnie, nie szczędząc, na śmierć, prując kolczugi i ścinając głowy... Pięciu napastników zginęło, zanim pojęli, co się dzieje.

Innego przeciwnika zapewne taki obrót sprawy zmusiłby do przerwania walki, odwrotu, może zmiany szabli na łuki, by skutecznie naszpikować strzałami nadmiernie zręcznego szermierza. Ale nie tych nieszczęśników. Napierali na Szarego, usiłując powalić go choćby i gołymi rękami.

Człowiek w brązowym odzieniu ponownie uniósł się w strzemionach. Teraz już wrzeszczał bez chwili przerwy, jego wizg przypominał rozpaczliwy kwik mordowanej świni. Oblicze Szarego, i tak już pokryte potem, wykrzywił ból - ale nie zaprzestał rzezi.

Eowina znalazła się jakby na drugim planie. O niej wszyscy zapomnieli, chyba tylko prócz jednego napastnika, który wił się i gryzł ziemię, celnie ugodzony przez dziewczynę. A śmiercionośna broń Szarego wciąż cięła i cięła, przepoławiając hełmy, odcinając ręce... Grunt wokół nich był już nasiąknięty krwią. Ostatniego z napastników setnik przeciął na dwoje straszliwym uderzeniem z góry.

Ocalały człowieczek w brązowym odzieniu natychmiast odwrócił konia i, sieknąwszy go batem, pogalopował precz.

- Ufff... - Szary zwalił się na ziemię. - Jesteś cała? ; - Cała... : - Przestraszyłaś się?

- No pewnie... Strasznie... - Eowina zarumieniła się ze wstydu.

- Nie ma co się wstydzić prawdy - zauważył cicho Szary, wolnymi ruchami ścierając krew z klingi. - Wstawaj, idziemy. Dobrze by było konie schwytać... i poszukać kolczug. Wydaje mi się, że kilku po prostu ściąłem głowy...

Wkrótce oboje, już w kolczugach, ruszyli dalej. Dziewczynie kolczuga sięgała niemal pięt - ale stary setnik nalegał, by ją założyła.

- Ochroni przed przypadkową strzałą. No bo jeśli z bliska, to i kuty pancerz nie pomoże... Dobra, jedźmy Losowi na spotkanie. Czuję, że niesądzone nam długo wędrować... Jedźmy!

- A co to za dziwni ludzie? I ten w brązowym?

- Kto zamieszkuje te ziemie, nie wiem. Okrzyk „Henna!" słyszałem po raz pierwszy. Ale... widać ma on czarodziejską moc! Omal mnie na dwie części nie rozerwało, gdy dotarł do moich uszu... Światło... też cięło po oczach... jaskrawe, oślepiające... Ech, ledwo wytrzymałem...

Eowina podjechała bliżej.

- SSzary... powiedz mi... prawdę... Jesteś czarownikiem, wiem... ale... może... nie jesteś człowiekiem? Co?

- Nie jestem człowiekiem? Bzdura! - stary setnik rozsierdził się naprawdę, jego oczy błysnęły wściekle. - A kim? Elfem czy jak?

- Pierworodni władają potężną magią, tak mówili w Konanie...

- Czy ja jestem podobny do elfa?

- Czary mogą zmienić wygląd...

- Bzdura! - Złość wzbierała w nim z każdą chwilą. - Też mi porównanie! Jestem człowiekiem! Jasne?

- Ale władasz Mocą...

- Tego właśnie chcę się dowiedzieć - co to za Moc jest! ryknął. - Skąd się wzięła i czego ode mnie chce!... A teraz, dość już tych głupich rozmów! Trzeba wynosić się stąd, i to jak najszybciej!

1 Października, Południowe Krańce Gór Hlawijskich

To był wspaniały pościg. Niemal przez dziesięć dni co najmniej trzystu jeźdźców deptało po piętach Tubali i Sandellowi. Tu, w państwie tajemniczego Henny, rozkazy były wykonywane dokładnie i bezzwłocznie. Stróżujący na rubieżach widocznie powiadomili kogo należało i z południa nadeszło wsparcie. Do konnych oddziałów dołączyły piesze; pierścień nieubłaganie się zacieśniał.

Okolica była dzika i niezamieszkana. Garbus i jego towarzyszka musieli coraz mocniej zaciskać pasa - prześladowcy dosłownie siedzieli im na plecach. Nie było czasu na polowania. Sandello mógł tylko od czasu do czasu ustrzelić jakieś jadalne stworzenie.

Pierwsza nie wytrzymała Tubala:

- Ileż tak można uciekać jak zające? Urządźmy zasadzkę. Pokażemy tym bydlakom, co to znaczy ganiać za nami! Jeśli się nie zgadzasz - zrobię to sama! Moja siła wzrosła...

Sandello zmrużył oczy.

- ...więc mogę teraz o wiele więcej niż przedtem! Położę choćby i setkę!

- A sto pierwszy położy ciebie - skwitował beznamiętnie garbus.

- Raczej wątpię w to!

- Nie łudź się, położy. I to szybciej, niż myślisz. Zręcznie kręcisz mieczem, nie przeczę - ale położyć setki nikt nie może. Nie dasz rady nawet z trzydziestoma. Czyż nie widziałem, że pod koniec potyczki traciłaś siły? Jeszcze trochę i nie wytrzymałabyś...

Zaczerwieniona aż po czubek głowy Tubala wysyczała coś nieokreślonego i wściekłego.

- Dlatego posłuchaj mnie. - Sandello mówił spokojnie i z taką pewnością siebie, jakby stał za nim oddział w liczbie tysiąca szabel. - I nie sprzeczaj się, jeśli nie chcesz przed czasem przekroczyć progu Drzwi Nocy!

Słońce chyliło się ku zachodowi. Drogę garbusowi i Tubali przegrodziła kolejna głęboka dolina, leżąca między odgałęzieniami grzbietu; żeby ją przejść, musieli pokonać porośnięty rzadkimi krzewami stok. Sandello uniósł rękę:

- Stój! - tchnął niemal bezgłośnie. - Oni tam są.

- Skąd wiesz? - Tubala jakby tylko czekała na najmniejszy powód do sprzeczki.

- Pewien jestem, że tam siedzą!

- Czy to ci podpowiada Talizman, który nosisz nie wiadomo jakim prawem?

- Mam, jak mi się wydaje, do niego więcej prawa niż ty odciął się garbus. - A jeśli będziesz się sprzeczać, to na pewno dostaną go ci, którzy za nami gonią!

- Co więc proponujesz? - Tubala ujęła się pod boki.

- Ominąć ich.

- Jak?

- Skręcić na południe. Nie mamy innego wyjścia. Będziesz się pchała tą stroną pod ich strzały?

- Odbiję je!

- A te przeznaczone dla konia też? - Sandello przemawiał do niej z ogromną cierpliwością.

Tubala zamilkła.

- Gdyby się ciebie nie hamowało, dawno straciłabyś głowę - powiedział garbus pouczającym tonem.

Stał chwilę, mrużąc oczy, i wpatrywał się w zarośla po drugiej strome doliny. Potem spokojnie zdjął z ramienia łuk, nałożył ciężką strzałę z wąskim karbowanym grotem, takim do przebijania pancerzy, uniósł broń i, niemal nie celując, puścił cięciwę.

Czy to słońce błysnęło na broni któregoś z nagonki, czy poruszyła się gałązka, zdradzając nieostrożny ruch - tak czy inaczej, z trzaskiem łamiąc gałęzie, po zboczu poturlało się przeszyte na wylot ciało. Z takiej odległości hazski łuk uderza ze śmiertelną siłą.

- Teraz rozumiesz? - Sandello gwałtownie obrócił konia.

- Henna! Henna! Hennaa! - kwiknął przeraźliwie ktoś niewidzialny, a ze zbocza runęły natychmiast dziesiątki wojowników - w tym również pierzastoręcy. Tubala złowieszczo wyszczerzyła zęby, wyrwała z pochwy swojego dwuręcznego potwora.

- Lepiej oszczędzaj siły. - Pierścienie na mieczu garbusa zabrzęczały.

Wrogowie, piesi i konni otaczali ich ze wszystkich stron.

- Przekonałaś się? - rzucił garbus lodowatym tonem.

Dziewczyna prychnęła jak rozzłoszczona kotka.

Nie udało im się nigdzie uciec. Wśród rzadkich zarośli, na samym brzegu gęstego lasu, ponownie rozgorzała bitwa. Sandello i Tubala usiłowali przebić się przez szeregi południowców, ludzie i pierzastoręcy umierali z przedśmiertnym chrypieniem „Henna!" na ustach - i nawet niezrównany kunszt bojowy pary wojowników nie mógł pokonać ich waleczności i ofiarności. Wrogowie nie szczędzili siebie; na obliczach umierających malowały się błogość i szczęście.

Garbusa i dziewczynę popychano coraz dalej na południe. Pościg trwał aż do zapadnięcia nocy.

Gdy ziemię ogarnęły ciemności, nie mieli już sił ani ścigający, ani ścigani. Lasy przedgórza skończyły się, na ich miejscu pojawił się szeroki, kuszący do galopu step. Tu, w przeciwieństwie do górskich okolic, mieszkali ludzie - Sandello i Tubala przecięli często używaną, wyjeżdżoną drogę.

Zmęczone wierzchowce wymagały odpoczynku. Musieli się zatrzymać. Bez koni czekała ich pewna śmierć.

Stary miecznik wszedł na wzgórze. Wszystko dokoła tonęło już w mroku, słońce skryło się za zachodnim brzegiem horyzontu; garbus najpierw skierował wzrok na wschód - zupełnie blisko płonęły ogniska i słabe podmuchy wiatru przynosiły wielogłose pienia.

To samo na zachodzie i południu... Tylko północ była ciemna - ale tam czaił się pościg.

- Mamy tylko jedną drogę - na południe. - Nawet w takiej chwili głos starego wojownika był spokojny.

- A dlaczego nie na wschód czy zachód?

- Długo i uparcie pchaliśmy się na wschód. Podejrzewam... że tutejsi dowódcy wiedzą po co.

- Ciekawe skąd, skoro nawet ja nie wiem!

- Nie porównuj siebie do nich! Czyżbyś do tej pory nie zrozumiała, po co taszczę na południe Talizman Olmera...

- I Czarny Miecz... - Tubala uśmiechnęła się blado.

- Skoro tyle wiesz, to wstyd by było się nie domyślić reszty - zauważył bez emocji garbus.

- Domyślić? Czego?

Przysunął się do dziewczyny i powiedział jej coś do ucha.

Tubala jęknęła, i straciwszy przytomność, zwaliła się bezwładnie w objęcia oszołomionego Sandella.

2 Września, Ujście Kamionki

Gdy „Rybołów" i „Skrzydlaty Smok" minęły trawers Gór Hlawijskich, pogoda raptownie się zepsuła. Jakby na złość wyprawie zaczął wiać wiatr od dziobu, wioślarze pracowali bez wytchnienia. Postawiwszy skośne żagle, „smoki" łamanymi halsami uparcie posuwały się do przodu. Przez pięć dób okręty walczyły z niepogodą - podczas gdy przy pomyślnym wietrze straciliby na ten odcinek najwyżej dwa dni.

Do wioseł siadali wszyscy, nawet Folko, choć gruba rękojeść wiosła wyraźnie nie dla hobbita została wystrugana. Ciężka praca pochłaniała wszystkie ich siły, ochotnicy zaczęli się burzyć. Niby wiadomo było, z jakiego powodu, ale ta świadomość nie poprawiała sytuacji. Hobbit już nie próbował przebijania się swym wewnętrznym spojrzeniem do źródła tajemniczego Światła - brakowało mu sił. Na dodatek, pojawienie się na granicy królestwa Henny garbusa w towarzystwie Tubali dawało powód do zastanowienia. Skąd ta para mogła się znać? Czy może spotkali się przypadkowo i dopiero potem zostali towarzyszami broni?

Henna, Henna, Henna... Doznał objawienia...

„O, żeby mnie Durin natchnął mądrością - skąd ono mogło się wziąć?".

Pierwsze, co przychodzi do głowy - Opiekuństwo Valarow. Nie! Gdyby to był ich dar, to... to raczej nie zwariowałby cały naród i nie runęłyby na haradzkie miecze hordy nieszczęsnych pierzastorękich. Nie pogwałciłby umowy, nie zhańbiłby własnego honoru mądry i śmiały Eodreid. Nie ugrzązłby w bagnie wzajemnej nienawiści Umbar. Dary Mocy mogą być różne, czasami przepełnione goryczą... ale nie tak straszliwe. Nie!

Drugie - spuścizna po Sauronie. Folko dobrze pamiętał opowiadania Teofrasta o Czarnej Skale Haradu! Może ów Henna jest kimś w rodzaju Olmera, kimś, kto przeciera sobie drogę do władzy za pomocą zgubnego talizmanu z przeszłości? Nie, nie wygląda na to. Światło! Oto najważniejszy problem. Ani Sauron, ani były jego władca Melkor nigdy nie korzystali ze światła. Bali się go i nienawidzili - tak, w każdym razie, twierdzą elfy. Bronią Saurona jest Mrok... Nie mógł Henna wykorzystać niczego z arsenału Barad- duru. Oczywiście, o ile to tajemnicze światło jest owocem „objawienia", jakiego doznał Henna...

Trzecia możliwość - to coś zupełnie nieoczekiwanego. Wymyślić można wszystko, co się chce - od Błękitnych Magów począwszy do ingerencji Wielkiego Orlangura. Nie, to nie to. Orlangur nie miesza się do ludzkich spraw, one są dla niego czymś w rodzaju migotania słonecznych zajączków na powierzchni wody.

Błękitni Magowie... Naugrim... który nie wiadomo czy wyżył, po straszliwym ciosie Olmera pod murami Szarych Przystani... A kto jeszcze?

Pojawienie się któregoś z Majarów... Powrót Gandalfa...

Tfu, żeby to pokręciło! - hobbit zmarszczył się ze złością. Że też przychodzą do głowy takie głupie myśli... Upadły Szare Przystanie, upadła Prosta Droga! Może jest tak, że już i Avari, Oporni, nie mogą odnaleźć drogi do Błogosławionego Królestwa, gdyby nawet tego chcieli...

Hobbit odwrócił elficki pierścień kamieniem do góry.

...I prawie oślepł. Czuł się, jakby wpadł do samego środka, do serca jarzącego się oceanu białego, śnieżnobiałego płomienia. Nie parzył, ale pożerał, jak kwas, i pochłaniał nie ciało, ale duszę. Zaginął nawet w tym blasku tęczowy motylek.

Folko był sam w tym białym płomieniu, gdzie góra zlała się z dołem, prawa strona - z lewą, nie było punktów orientacyjnych - tylko jeden wielki ból. Nagle poczuł, że jest małym, przestraszonym i niedoświadczonym hobbitem, który w przygórzańskim zajeździe bez namysłu stanął do walki z doświadczonym miecznikiem. Rozumiał - właściwie, pamiętał jeszcze - że nie mógł zniknąć ani ocean, ani pasmo brzegu, że nad światem i nad nim na razie jeszcze świeci gorące, ale nie zabójcze słońce, że pod nogami ma pokład starego, mocnego „smoka”... Pamiętał to wszystko, ale właśnie - pamiętał. Świat, jaki pojawił się przed jego wewnętrznym spojrzeniem, znacznie różnił się od tego, który widziały oczy. Właściwie świat, jako taki, wcale tu nie istniał.

Jednakże było co innego. Gdzieś we wściekłym białym ogniu kryło się COŚ; ból parzył po dwakroć mocniej, gdy hobbit usiłował dojrzeć owo niewidzialne jądro Mocy. Ale właśnie ten ból jednocześnie go prowadził. Wysiłkiem woli Folko skierował motylka - a w rzeczywistości własną myśl - przed siebie, nieważne, w dół czy w górę, na wschód czy zachód najważniejsze, że przed siebie.

Pamiętał, że tam, w trzewiach ognistego wiru, czyhają nań owi tajemniczy „zaklinacze”. Jednakże z radością i beztroską neofity, który zanurzył się po uszy w niedostępnym innym śmiertelnikom świecie magii, Folko przebijał się do przodu. Jego wola gasiła ból, zmuszała do milczenia szarpany cierpieniem kształt „cienkiego” ciała, którego stał się posiadaczem, używszy elfickiej magii.

Poprzednim razem widział zalany Mrokiem świat, świat, przeszyty wąską słoneczną szpadą; teraz w tym miejscu było zamiast Mroku Światło, niemniej skutecznie przesłaniające widok. Wtedy płonął mały punkcik na łonie zalanej mrokiem ziemi; teraz natomiast otworzyło

się niewidzialne serce ognia, tajemnicze serce w bijącym i jarzącym się niespożytą mocą oceanie nieziemskiego płomienia. I teraz Folko potrafił już, pokonawszy parzący ból, przebić się przez wszystkie zasłony prosto do sekretnego jądra.

Wyobraźnia, pobudzona pamiętnym z poprzedniego razu „władcą" i innymi „czarodziejami", podsuwała mu widok ponurego zamku, jego wysokich arek, których szczyty ginęły w mroku, gigantycznych sal i - na koniec - olbrzymiego czarnego tronu...

Jednakże wszystko wyglądało zupełnie inaczej.

Folko widział wnętrze obszernego namiotu w słonecznym, złocistym kolorze. Nie było tu ani czarnych tronów, ani dymiących trującymi oparami kadzielnic. Podłogę w namiocie wyścielały jasne wielobarwne dywany, pokryte dziwnym ornamentem.

Nie było tu niczego mrocznego ani złowieszczego; zresztą, hobbit już dawno przywykł do tego - życie nie lubi czarno- białych kolorów. Wróg wcale nie musi być straszliwym potworem, czymś nieludzkim, co należy z zuchwałym okrzykiem rozciąć na pół, nieważne, czy będzie to bezmózgie monstrum, czy obdarzony rozumem i mową ork. Wróg, to się zdarza, również wierzy w jakieś ideały...

W namiocie siedziało pięciu mężczyzn. Czterech z nich w jednym szeregu, podkurczywszy nogi; piąty zajmował miejsce na podwyższeniu z kwiecistych poduszek, wysoki, o wyrazistym orlim profilu, z kruczoczarnymi włosami do ramion. Twarz okalała mu zadbana bródka. Oczy miał ciemne, duże, nieco skośne, dziwnie jarzące się w swych głębinach. Ramiona przykrywała obszerna, opadająca kaskadami peleryna z drogiego połyskliwego jedwabiu. Palce jego zdobiły pierścienie, na wspaniałym, wyraźnie krasnoludzkiej roboty pasie pysznił się sztylet w złocistej pochwie. Rubiny, szmaragdy, wielkie graniaste brylanty, niebieskie szafiry - wszystkie skarby głębin ziemi znajdowały się na pochwie i rękojeści sztyletu, świadcząc przy okazji o braku dobrego smaku jego właściciela.

Zebrani w namiocie używali dziwnej mowy. Folko skupił się, mając nadzieję wychwycić przynajmniej jakieś odległe podobieństwa do któregoś ze znanych języków. Przecież jakoś tam władał i quenejskim, i sindariańskim, językiem Rohirrimów i surowym hazskim, ubogą mową Dunlandczyków i prostym jak strzała językiem Easterlingów! Ale tym razem nie udało mu się niczego zrozumieć. Nie słychać było w tej mowie nawet haradzkich słów.

Jednakże wystarczyło, by wytężył wolę, zmienił ją w słuch - i rozmowa obcych stawała się cudownym sposobem zrozumiała, jakby w świadomości Folka ktoś powtarzał te słowa w znanym mu języku.

- ...W ten sposób pozbyliśmy się dokuczliwych tłumów do niczego nieprzydatnych pierzastorękich. Moc Tcheremu została zniwelowana. Będzie teraz łatwym łupem - mówił śpiewnie jeden z czwórki, siedzący z prawego brzegu, plecami do niewidzialnego Folka.

- Dzięki mądrości niezrównanego Henny, darowanej mu przez wspaniałomyślnych Bogów... - natychmiast podchwycił siedzący po lewej ręce mówiącego.

- Dość! - nieoczekiwanie gwałtownie wtrącił się czarnobrody mężczyzna w jedwabnej pelerynie, zasiadający na podwyższeniu - sądząc ze wszystkiego, ów właśnie tajemniczy Henna. - Dość tych pochlebstw, Boabdilu! Wiesz przecież, że my wszyscy, i ja w tej liczbie, jesteśmy niczym wobec mądrości Bogów. Oni mieli taki kaprys, by wybrać mnie i obdarzyć siłą i mądrością - ale to wszystko zawdzięczam im. Jestem tylko ich nikczemnym sługą - jak i wy wszyscy.

Głos Henny był niski i silny. Prawdziwy bas, niemal ryk. Płonące spojrzenie wyrażało wolę i zdecydowanie. W jakiś sposób przypominał Olmera...

- Wiadomo mi, że w rubieże nasze - mówił tymczasem Henna - wszedł oddział Bogom obrzydliwych elfów. Dlaczego do tej pory nie widzę jeszcze ich głów? Każda chwila, kiedy ich niegodne stopy depczą uświęconą przez Bogów i darowaną mi ziemię, jest najcięższym świętokradztwem i bezczeszczeniem najmiłościwiej na nas spoglądających Bogów. Saladinie! Chcę widzieć ich głowy!

- Życzenie najmiłościwszego władcy, pod stopą którego drży ziemia, jest rozkazem dla jego pokornego sługi. Ja, Saladin, przyniosę głowy tych ohydnych stworów albo pożegnam się z życiem...

- Nie tak kwieciście... - skrzywił się Henna.

- Moja wina... - Saladin ni to wydał z siebie krótki urwany szloch, ni to się zakrztusił, ale Henna nawet już nie patrzył na niego.

- Chciałeś coś powiedzieć, wierny nasz Boabdilu?

- Czy wolno będzie poprosić mnie, najpokorniejszemu słudze, Boskiego Hennę...

- Ile razy mam ci powtarzać, byś mnie tak nie tytułował! Zostaw pochlebstwa dla moich żon!

- Moja wina. - Boabdil zadygotał, ale nie tak wyraziście jak Saladin, w tym czasie już tyłem zmierzający do wyjścia z namiotu. Jego twarzy hobbit ciągle nie mógł zobaczyć. - Czy będzie mi dane wiedzieć, w jaki sposób zobaczył władca pojawienie się na naszej ziemi bogomzbrzydłych elfów? Będąc głównym czarodziejem, nie potrafiłem dostrzec ich szlaku! A znaczy to, że służba moja wierna nie jest już potrzebna Hennie Boskiemu i może on

natychmiast odsiec mi głowę lub ugotować w oleju wrzącym!...

Pod koniec tej namiętnej perory głos Boabdila drżał od tłumionych łez, a on sam, jak szalony, ale z dużą dozą zręczności, walił czołem w pokrytą dywanem podłogę.

- Uspokój się, mój wierny Boabdilu. - Henna uśmiechnął się łaskawie. - Darowana mi przez Bogów władza może, jak się okazuje, ukazać drogę kalających Boski Zamysł. Dotąd nie miałem okazji zrozumieć tej strony mojej mocy, ale gdy pojawili się oni na naszych ziemiach, to Światło Adamantu wskazało mi ich. Od granicy północnej, od wież na granicy z Tcheremem, kierują się oni do Kwatery naszej i, bez wątpienia, mają złe zamiary w stosunku do Naszej Osoby!...

- Śmierć im! - wrzasnęli jednocześnie trzej pozostali doradcy.

- Śmierć im - skinął głową Henna. Jego oczy płonęły niczym węgle. - Ale najpierw niech powiedzą nam oni, przez kogo zostali wysłani, gdzie jest przystań wrogów Naszych i jakie do nich prowadzą szlaki... A gdy przejdzie w Nasze ręce Tcherem - wtedy zjednoczone hufce Nasze ruszą dalej i skończą ostatecznie z gniazdami bogomzbrzydłych plemion i wstrętnych herezji!

- Oby poumierali wszyscy potomkowie żmij i szakala! wtrącili się ponownie doradcy.

- Poumierali, tak - poumierali... No, opowiadajcie co dalej!

- Przybyli na dwóch okrętach mianujący się Morskim Ludem w liczbie niedużej, nie więcej niż dziesięć tuzinów. Proszą o pozwolenie stanąć przed obliczem Boskiego. - Boabdil nisko pochylił głowę, na wszelki wypadek jeszcze raz walnął czołem o podłogę. - Z mowy sądząc - szukają Jego łaski...

- Morski Lud? Hmmm... Jest to ciekawe nader. - Henna przyłożył do czoła palec, wskazując, całą postawą dając do zrozumienia, że jest strasznie zamyślony. - Cóż... Darujemy im swą łaskę... Stu i dwudziestu nie może zagrozić wojsku Naszemu - więc niech podążają. Oczywiście - w towarzystwie wzmocnionego konwoju. Myślę... - przerwał ponownie na chwilę - ...tysiąc pancernych będzie akurat.

- Bos- s- s- s- s- s- ki... - siedzący z samego brzegu doradca nagle wydał z siebie coś, co jednocześnie przypominało syk i gwizd. - Jesssteśśśśmy podsssssłuchiwani!

- Co?! - Henna w jednej chwili stał na nogach. Jedwabna peleryna opadła z jego ramion, ukazując potężny tors prawdziwego wojownika. Na szyi wisiał gruby złoty łańcuch, na którym umocowany był olbrzymi kamień, szary i niepozorny - zaostrzony, zwężający się ku dołowi odłamek.

Co za ozdoba - zdążył pomyśleć hobbit i w tej samej chwili albo sam Henna, albo jego

czarodzieje, a może wspólnie odpowiedzieli uderzeniem. Nie, nie był to huraganowy szkwał wszystko spopielającego płomienia, znacznie gorzej - skrzydła tęczowego motylka zatrzepotały, spętane niewidzialną pajęczyną. Obraz się rozmazał, zniknął - została tylko jednolita poruszająca się masa czegoś bezkształtnego, szarego, jakieś puchnące i zapadające się kłęby - i trzepocący w mocnych okowach tęczowy motylek.

W świadomość wpijał się nowy, nieznany, dławiący ból, jakby Folka ściskały ogromne cęgi. Krzyczał, bezskutecznie usiłując uwolnić się z pęt; przed oczami eksplodowały fajerwerki barw... i nagle poczuł pod łopatkami deski pokładu. Potrząsał nim Torin. Szarpał z całej siły.

- Folko, Folko, ocknijże się, ocknij w końcu!... Och, co za nieszczęście!...

Hobbit jęknął. W głowie chórem waliły potężne młoty, znajdujące się w rękach co najmniej setki silnych kowali.

- Ocknij się! Znowu mamy z kim walczyć. Spotkaliśmy Skilludra!

- Och!... Czego od nas chce?

- Chce nami nakarmić tutejsze rybki! Wstawaj, zaraz zrobi się gorąco!

Hobbit nie nadawał się do walki. Świat rozmazywał się przed oczami, ręce drżały, nawet podniesiony przez Torina ledwo stał na nogach. Krasnolud z rozpaczą machnął ręką:

- Przynajmniej załóż kolczugę! I podkolczugę! Siedź tu i nie ruszaj się! Bo jeszcze się na coś napatoczysz...

Jednakże Folko wygramolił się na pokład - w chwili gdy „smoki" Skilludra znajdowały się całkiem blisko.

Było ich dużo - mniej więcej dwadzieścia okrętów, ogromna siła na skalę Morskiego Ludu. Skilludrowi pomagał sprzyjający wiatr, podczas gdy załogi „Skrzydlatego Smoka" i „Rybołowa" musiały jeszcze przed walką przyłożyć się do wioseł.

Flota zbliżała się w szyku sierpa, obejmującego okręty Farnaka i Wingetora z boków, odcinając i drogę honorowego wycofania się w otwarte morze, i drogę haniebnej ucieczki na brzeg. Tarcze już były uniesione, na dziobach stali łucznicy; sternicy „Rybołowa" i „Smoka" mogli już tylko jedno - wykonać zwrot i zwiewać z całej siły na północ, polegając na szybkości swoich okręcików. Skilludr, wydawało się, przewidział i taki manewr - jego lewe skrzydło wyciągało się coraz dalej i dalej, z wyraźnym zamiarem odcięcia wrogowi ostatniej możliwości ucieczki.

- Hej!... Czego oni chcą? - wielce zatroskany Malec, ciągnący ogromną tarczę na dziób „Rybołowa", znalazł się obok Folka.

- A! - Mały Krasnolud machnął beznadziejnie ręką. Krzyczeliśmy do nich - nie

odpowiadają. Farnak wywoływał samego Skilludra - też nic. Oni, popatrz no, nie żartują!

- Przecież Skilludr podobno poszedł walczyć z pierzastorękimi...

- Widocznie wrócił.

Na dziobie „Rybołowa" nagle pojawił się Wingetor w paradnym, czarnym ze złotymi cętkami, rynsztunku, ale bez hełmu, z odkrytą głową i bez broni.

- Heej! Skilludrze, tanie Skilludrze! Jeśli jesteś tu i chcesz napaść na nas, to wiedz - poślemy na dno całą twoją armadę!

- Co on plecie? - wymamrotał pod nosem hobbit.

Ani jeden ze statków Skilludra nie zwolnił. Na żadnym nie opadły tarcze i nie odsunęli się od burt łucznicy.

- Ma w nosie twoje słowa - burknął Folko. - Niech nie będę sobą, jeśli wszystko to nie jest sprawką najjaśniejszego Henny!

„No to po co w takim razie mówi do swoich najbliższych doradców, że wszyscy, którzy chcą zażyć jego łaski, nie napotkają na swej drodze przeszkód?"

Krwawa bitwa miała się za chwilę rozpocząć. Jeszcze moment i fruną pierwsze strzały. Gdzieniegdzie nad okrętami Skilludra pojawiły się wątłe dymy - przygotowywano tam pociski zapalające. Nikt nie zamierzał brać „Rybołowa" i „Smoka" do niewoli.

Skilludr, wiadomo, niczego nie robi za darmo! A to znaczy, że dla niego ten bój ma jakąś wartość, jest mu do czegoś potrzebny...

Walka oznaczała pewną śmierć. Folko widział, że olbrzym Oswald usiłuje przechwycić spojrzenie swego tana - czy nie wyda rozkazu odwrotu?

Wioślarze porzucili wiosła; przez „smoka" przeniknął brzęczący żelazem skurcz - Eldringowie zbroili się.

Skilludr jest tak samo szalony, jak i wszyscy w tym królestwie Henny - pomyślał hobbit. - A szaleństwo czasem zmywa się... krwią!

Dziesięć lat temu, głuchy las przy wypalonym przez Niebiański Ogień dole - i płonące żądzą mordu oczy Otona. I lecące na spotkanie ostrze Folka...

Pierzastoręcy na polu bitwy w Południowym Haradzie, otrzymawszy ranę, wcale nie wypadali z mocy czaru Henny.

Na piersi poczuł ciepło. Odżywało, prosząc, by wziąć je w ręce, ostrze Otriny. Czy czuło swoją moc, czy odpowiadało tylko na niewypowiedzianą chęć właściciela użycia go?

Walcząc ze słabością, Folko podszedł do burty. Sztylet z niebieskimi kwiatami na klindze już leżał w prawej ręce.

- Gdzie jest „smok” Skilludra?

- O tam, akurat na nas prze. - Oblicze Oswalda było mroczniejsze od chmury gradowej.

Potężny czarny okręt, wspaniały w swej mocy, walił na nich jak taran. Jednakże łucznicy na jego pokładzie na razie nie strzelali - i Wingetor, odwróciwszy się do swoich ludzi, również wydał rozkaz - nie strzelać!

- Niech nie będzie, że to my rozpoczęliśmy walkę!

Strzelców na dziobie Skilludrowego okrętu zasłaniały wielkie czarne tarcze. Folko zmrużył oczy: można trafić w szczelinę, ale...

Okręty już zbliżyły się na jedną trzecią lotu strzały. Skilludr milczał.

- Może się uda... - bąknął niepewnie ktoś za plecami hobbita.

I wtedy strzały wzbiły się w powietrze.

Skilludr nie czekał nadaremnie. Nie strzelał na chybił trafił, tylko na pewniaka. Pokład „Rybołowa” zalał się krwią, rozległy się krzyki rannych. Wojownicy Farnaka i Wingetora odpowiedzieli - nikt nie ośmieliłby się nazwać ich tchórzami. Ich strzały raziły równie celnie - ale „Rybołów” i „Smok” nie miały szans na odparcie natarcia dziesięciokrotnie silniejszego przeciwnika.

- Skilludrze - Folko przepchnął się do burty, nie zwracając uwagi na świst śmierci dokoła. Wysoki głos hobbita nieoczekiwanie dźwięcznie rozległ się nad Morzem i - w jaki sposób nabrał takiej siły! - zagłuszył nawet odgłosy walki.

- Skilludrze! Wyzywam cię! Tylko ciebie! Ja, Folko, syn Hemfasta, Rycerz Gondoru i Rohanu, Marszałek Marchii, dowódca pułku strzelców pieszych!

Fruwały obojętne strzały. Odpowiedzi nie było.

Gorąca fala dopłynęła do serca. „Nie, nie poddam się tak łatwo! Nie dam się wysłać na dno tym łobuzom!”.

Folko zdjął rynsztunek.

- Co ty wyprawiasz?! - zdążył wrzasnąć Torin, ale w następnej chwili oszalały hobbit w samej koszuli wskoczył na burtę i rzucił się w wodę.

Zamurowało nawet wojowników Skilludra.

Folko wychował się nad Brandywiną - niewielką według miar Śródziemia rzeką. Ale dla hobbitów jest ona czymś jak Anduina Wielka dla ludzi. Pływał nieźle, potem życie zmusiło go, by doskonalił swój kunszt. Ale żeby tak skoczyć do oceanu, i to na widoku podpływającego wrogiego „smoka”?! Co by pomyślał wujaszek Paladyn, gdyby przyszło mu to zobaczyć?...

Tnący fale „smok” wydawał się pływakowi olbrzymim morskim potworem. Niewysoka

niby- burta wzbijała się niemal pod niebiosa. Wiosła, jak ogromne łapy, mocno wpijały się w fale i Folko w każdej chwili ryzykował, że otrzyma potężne śmiertelne uderzenie w głowę.

Oto i burta. Obok nagle plusnęła strzała - nie wiadomo przypadkowa czy wypuszczona przez któregoś ze Skilludrowych zuchów. Hobbit mocno chwycił się wiosła. Podciągnął się i zaczai wdrapywać wyżej.

Całym ciałem czuł ostrość grotów wycelowanych w niego strzał. Lekki ruch ręki Skilludra - i on, Folko Brandybuck, stanie się poduszką dla igieł.

Zmrużone oczy patrzyły spoza opierzenia. Mokry, w oklejającej ciało koszuli, chwycił się burty „smoka".

Eldringowie najpotężniejszego na Morzu tana patrzyli na Folka z niepojętą wprost nienawiścią. Widział zmarszczone brwi, zaciśnięte na rękojeściach mieczy dłonie, zbielałe kostki (nie wszyscy wojownicy mieli pancerne rękawice); jasne było, że tylko żelazna wola Skilludra powstrzymywała ich od rozstrzelania hobbita już w wodzie. Jeszcze jedna cegiełka legła u podstaw piramidy. Za co wojownicy Skilludra tak nienawidzą Folka? Na jaką zdobycz liczą ci wojowie, widząc dwa małe stateczki, wyraźnie zwiadowcze?

Szeregi łuczników rozsunęły się. Hobbit zobaczył Skilludra.

Tan bardzo się zmienił. Dawniej, kamienne, zimne oblicze beznamiętnego, pewnego siebie dowódcy zuchwałej morskiej drużyny, teraz było pełne napięcia. Twarz z mocno zmrużonymi oczami przypominała maskę. Widać było, że człowiek ten z trudnością nad sobą panuje. Mięśnie na policzkach drgały. Skilludr odziany był w obszerną czarną kolczugę, ale hełmu nie założył. W ręku trzymał długi prosty miecz.

- Czego chcesz, niewysoczku? - Tym rykiem zapewne wprawiłby w popłoch i zmusił do ucieczki stado wygłodniałych wilków.

- Zaproponować uczciwą walkę tanowi Skilludrowi, słynącemu z tego, że jest najsprawiedliwszym ze sprawiedliwych. - Folko stał spokojnie, skrzyżowawszy ręce na piersi, i wszyscy widzieli: miał tylko krótki sztylet.

- Uczciwą walkę? - Skilludr zarechotał. - Nie walczę z niedomiarkami!

Ale dał znak - pomrukując z niezadowoleniem, nie obawiając się nawet gniewu tana, ludzie Skilludra opuszczali łuki. Hobbit, jak nigdy, gorąco modlił się do Morskiego Ojca by natchnął mądrością Farnaka i Wingetora...

Wydawało się, modły zostały wysłuchane. Z małych okrętów przestały dolatywać strzały.

- Niedomiarki? No to patrzcie na tę linę! - Folko nie mógł pochwalić się siłą, na pewno,

ale zręczność i szybkość były jego mocnymi stronami. Rraz! - jego ręka wyszarpnęła zza pasa sztylet, oczywiście, nie zza swego pasa, tylko stojącego jakieś sześć stóp dalej Eldringa.

Skok udał się nad podziw; ostrze jak srebrzysta rybka przemknęło powietrzem, dźwięcznie uderzyło w maszt. Lina została przecięta; gdzieś na górze załopotało uwolnione płótno żaglowe.

Nie można powiedzieć, by Eldringowie porozdziawiali usta, jakby zobaczyli nie wiadomo co. Na pokładzie było wielu wspaniałych wojów. Jednakże Skilludr - co było zupełnie do niego niepodobne - stracił do końca cierpliwość. Folko zapewne znalazłby drogę do pokojowego rozstrzygnięcia sporu, gdyby dano mu taką szansę, ale postawa tana prowadziła do zakończenia problemu szybko i prosto.

- Dobrze! - ryknął hobbit. - Będziemy się bić!

Okręty Wingetora i Farnaka tymczasem zdążyły wykonać zwrot. Co prawda i skrzydła floty Skilludra zdołały już całkowicie zamknąć okrążenie, „Rybołów" i „Skrzydlaty Smok" były otoczone. Tan zrzucił kolczugę, przekazał zbrojmistrzowi broń, zostawiając sobie sztylet, który kształtem swojej gardy przypominał nieco dagę Malca. Ludzie rozstąpili się; na niewielkim pokładzie dziobowym zwolniło się miejsce dla pojedynkowiczów.

Hobbit wiedział, że brak miejsca jest dla niego zabójczy, ale nie mógł się już wycofać.

- Bijemy się do pierwszej krwi czy na śmierć? - Wytężywszy całą swą wolę, Folko spojrzał Skilludrowi prosto w oczy. Pamiętaj, że nawet jeśli ja zginę, to moi towarzysze nie poddadzą się.

- Wiem - skinął głową tan. - Ale ja i tak będę górą. To znaczy - jeśli choć raz uda ci się mnie drasnąć... pozwolę wam odejść, choć twoi nowi przyjaciele - i Farnak, i Wingetor - to tylko podli zdrajcy świętego bractwa morskich tanów...

To było coś zupełnie nowego. Zdrajcy? Nie, Skilludr na pewno zwariował. I on, i jego ludzie...

Na pewno.

- Po co, po co, tanie? - rozległy się ze wszystkich stron gniewne okrzyki. - Przecież to zdrajcy! Wszyscy, jak jeden mąż! Na dno z nimi! Danina dla Morskiego Ojca!

- Cicho! - ryknął Skilludr. - Cicho! Nikt nie może powiedzieć, że ja tchórzliwie uchyliłem się od walki! Nikt!... Słyszycie? Jesteś gotów? - zwrócił się z pytaniem do hobbita. - No to zaczynamy!

Skilludr trzymał sztylet ostrzem skierowanym ku pokładowi.

- Bijemy się do mojej pierwszej krwi. - Skilludr patrzył hardo, wysoko zadarłszy głowę.

- Lub do mojej śmierci?

- Lub do twojej śmierci - uśmiechnął się.

- Nie za bardzo to uczciwe, nieprawdaż?

- Nie masz wyboru.

Folko w milczeniu skinął głową. „Dobra, skończyły się pogaduszki. Zaczynamy, silny i potężny tanie! Zobaczymy, czyje będzie na wierzchu”... Hobbit nie odczuwał strachu, zniknęło też zmęczenie i znużenie niezliczoną ilością pojedynków, w których zmieniały się tylko twarze przeciwników... Dziś walczył nie o uratowanie siebie; i to napełniało jego ciało energią, jak dobre, wyleżakowane mocne wino.

„To nie jest twój wróg, albowiem nie wie, co czyni” - wypłynęło z odmętów pamięci.

Skilludr zaatakował pierwszy. Zabójcza stal runęła ku ofierze, a Folko, zamiast odstąpić, sam skoczył do przodu. A usunął się dopiero w ostatniej chwili - gdy sztylet już miał sięgnąć jego ciała.

Ostrze Otriny nie zawiodło. Skilludr wykonał ruch lewą ręką - ale za późno. Klinga hobbita wykreśliła długie, krwawe pasemko od lewego ramienia w poprzek całej piersi.

Nad pokładem zawisła cisza. Tylko woda pluskała za burtą i świstał wiatr w olinowaniu. Wojownicy zamarli. Folko zaciskał lewą dłonią krwawiące ramię; Skilludr znieruchomiał w oszołomieniu, wpatrując się w purpurową wstęgę, która w jednej chwili przekreśliła koszulę.

Sztylet Otriny słabo, niemal niezauważalnie, ale jarzył się. W jasnych promieniach słońca tylko hobbit mógł to dostrzec. Syczała i puchła pęcherzykami krew na ostrzu. Skąd jej aż tyle? Przecież cięcie było płytkie...

Od cudownej broni falami rozchodziła się Moc, obudzona do życia krwią Skilludra. A hobbitowi przypomniały się słowa Henny, podsłuchane w namiocie władcy Południa:

„Światło Adamantu wskazało mi ich...”. Żeby tylko nie wskazało ono i jego, Folka Brandybucka, na którego piersi od wielu już lat wisiał sztylet z błękitnymi kwiatami na ostrzu...

Tan z wysiłkiem przeciągnął dłonią po twarzy - z dołu do góry, jakby ścierał lepką pajęczynę. A kiedy się odezwał, głos jego był głosem znanego dawniej hobbitowi Skilludra - zimny, spokojny, beznamiętny:

- Wstrzymać ogień.

4 Października, Lewy Brzeg Kamionki,
Dzień Drogi Od Gór Hlawijskich

Eowina i Szary pokonali kolejną grzędę wzgórz. Przed nimi leżała rozległa, słabo pofałdowana równina, cała ozdobiona pstrymi plamami namiotów.

- Tu - odezwał się z mocą Szary. - To tu.

Dziewczyna wstrzymała konia. Przez pięć dni, w ciągu których przedzierali się na wschód, szczęśliwie unikając spotkań z patrolami, jej towarzysz bardzo się zmienił. Rysy twarzy się wyostrzyły, policzki zapadły, oczy płonęły gorączkowym blaskiem. W nocy często mamrotał coś niezrozumiale - we Wspólnej Mowie. To w końcu ją przekonało, że setnik nie jest z rasy Pierworodnych. Na jego obliczu coraz częściej pojawiał się dziwny grymas - jakby powracał jakiś dawno temu przeżyty ból...

- Wydaje mi się, że przypominam sobie... - Szary znieruchomiał w siodle, wolno wymawiając słowa, i chyba nie bardzo się przejmował tym, czy słyszy go Eowina czy nie. - Kierujemy się na tajemne słońce. Ono pali... ono prześwietla... Pamiętam... armia szła na zachód...

- Posłuchaj, zaraz zostaniemy zauważeni! - odezwała się dziewczyna.

- No to co? Teraz to nam nawet na rękę.

- Na rękę? Przecież nas zabiją...

- Nie odważą się - rzucił władczo Szary. Nie był to już ten nieśmiały rybak, którego poniewierał nawet poborca podatkowy. Postawę miał teraz iście królewską, resztki odzienia - podarte, przepalone, okopcone - nosił niczym purpurową opończę.

Eowina nie ośmieliła się sprzeciwić. Ten człowiek... to była Moc, sama w sobie.

Dolinę wypełniało mnóstwo namiotów. Bystre oczy młodej Rohanki widziały przemieszczające się mozolnie między namiotami i daszkami postacie ludzi; w różne strony galopowali jeźdźcy, przemaszerował nawet ogromny olifant. Eowina odprowadziła go zdumionym spojrzeniem szeroko otwartych oczu - o olifantach opowiadały rohańskie pieśni-gesty, ale co innego zobaczyć ogromnego bajkowego zwierza na własne oczy! Tego wcześniej dziewczyna nie doświadczyła.

Nieproszeni goście zostali szybko zauważeni. Nie kryjąc się, w stronę znieruchomiałych na szczycie wzgórza dwóch postaci ruszyła cała kawalkada - co najmniej pół setki po zęby uzbrojonych jeźdźców. Przyjrzawszy się, Eowina zauważyła również dwóch w

brązowych pelerynach - owinięci w nie byli po same uszy, mimo upału.

- Stado i poganiacze - uśmiechnął się pogardliwie Szary. - No, nic to, nic to... Nie próbuj tylko machać szabelką!

Jeźdźcy w galopie naciągali łuki. Pędzili w ich stronę nie tylko smagli wojownicy wyróżniający się orlimi nosami, byli tu pierzastoręcy, znani już Eowinie, byli także czarnoskórzy, żółtoskórzy i skośnoocy - synowie najprzeróżniejszych plemion Śródziemia.

Pierścień dokoła Szarego i Eowiny zamknął się, a wtedy mąż nagle uniósł się w strzemionach, dumnie uniósł rękę i zakrzyknął:

- Prowadźcie nas do Henny! Musimy widzieć się z Henną! - I widząc, że jego słowa wprawiają napastników w zmieszanie, z lekkim uśmiechem mruknął: - Źle, och jakże źle zostaliście wyszkoleni! Nigdy nie należy słuchać słów wroga... Prowadźcie nas do Henny! - krzyknął do nich raz jeszcze.

Oszołomieni wojownicy opuścili łuki. Skierowanych do siebie słów niemal na pewno nie rozumieli, ale imię swojego władcy...

Dziesięciu jeźdźców zbliżyło się do Szarego i Eowiny; dziewczyna wzdrygnęła się, widząc ich pożądliwe spojrzenia bezwstydnie smakujące jej postać. Dowódca straży, dobrze zbudowany mężczyzna, posiadacz kilku szram po cięciu szablą, rzucił kilka krótkich słów. Szary z uśmiechem rozłożył ręce i z kolei sam zaczął mówić, powtarzając to, co powiedział wcześniej po haradzku.

Dowodzący uniósł brwi i obejrzał się. Jeden z jego wojowników, pierzastoręki, wyprowadził wierzchowca na front od działu i szepnął coś dowódcy. Zaczęła się rozmowa; Eowina z trudem rozumiała tylko pojedyncze słowa. Jej towarzysz, jak się domyślała, przekonywał, że spotkanie z potężnym Henną jest sprawą życia i śmierci; dowódca patrolu natomiast dopytywał się, kim są wędrowcy, skąd i po co się tu pojawili. Jednakże niełatwo było sprzeczać się z Szarym. Przemawiał z takim dostojeństwem, tak imponował postawą, królewską dumą i wspaniałym lekceważeniem otoczenia - albo leniwie cedził słowa przez zaciśnięte zęby, albo wrzeszczał na tłumacza tak, że tamten kurczył się w siodle. I w końcu...

- Uff! - Setnik odwrócił się do Eowiny. - Koniec. Oddaj im szablę. Nie będziemy potrzebowali teraz broni... To znaczy - przyda się, ale później. Dziewczyna podporządkowała się. Oczy Szarego z brązowych stały się czarne jak węgle. Kłębił się w nich Mrok - archaiczny Mrok. Niczym król z młodą księżniczką w otoczeniu pocztu honorowego - tak wjechali do obozu Henny. Sponiewierani jeźdźcy zwarli szeregi ze wszystkich stron, ale Szary tylko pogardliwie mrużył oczy, patrząc na straże.

- Wziąłbym ich... na miesiąc... zrobiłbym z nich wojowników... - usłyszała Eowina. Przez zwarty mur jeźdźców nie mogła przyjrzeć się obozowi - a Szarego wcale to nie interesowało. Pogardliwie patrzył gdzieś ponad głowami żołnierzy, ale Eowina wyczuwała straszliwe napięcie, jakiego doświadczał jej towarzysz - napięcie, pokonywane równie straszliwym wysiłkiem żelaznej woli. Zmuszono ich do zejścia z koni na ogromnym placu przed okazałym złocistym namiotem. Obok wejścia, tradycyjnie, za marli liczni strażnicy; po obu stronach pełniącej funkcję drzwi poły namiotu płonęły dwa ogniska, obłożone z jakiegoś powodu glinianymi kulami, upstrzonymi czarnymi literami i znakami.

Tłumacz pierzastoręki coś powiedział do Szarego.

- Mamy przejść między tymi ogniskami. Światło z nich bijące podobno zniszczy w nas złe pomysły. - Stary setnik uśmiechnął się na pokaz. - Cóż, chodźmy...

- A... a... - nagle Eowina zadrżała, przypadkowo zerknąwszy w prawo. - Tam... tam są głowy na palach?!

- Słusznie. - Szary spokojnie obrócił się do tłumacza. On powiada, że są to głowy niepokornych, którzy nie chcieli się poddać oczyszczającemu działaniu ogni.

- Nie chcieli? Dlaczego?

- Mówi, że nie pozwalała im na to ich wiara.

- Co?... - zupełnie pogubiła się dziewczyna.

- Potem ci wyjaśnię. Mam nadzieję, że nie odmówisz przejścia między ogniskami, choć i tak jest tu ciepło?

„Tak po prostu prowadzą nas do Henny... do tego, który posłał na pewną śmierć hordę pierzastorękich...” - Eowina wysłuchała wiele pieśni- gestów, w których bohater długo i z wielkim trudem walczył o to, by najważniejszy złoczyńca, przywódca niezliczonego wrażego wojska, zniżył się do rozmowy z nim...

Przeszli między płonącymi ogniskami i dziewczyna zdziwiła się znowu - nikt ich nawet nie przeszukał. A co stało na przeszkodzie, by w okrywających ją łachmanach ukryła niewielki, ale ostry nóż do miotania? Czy naprawdę aż tak mocno wierzą ci ludzie w oczyszczającą moc dwóch słabych, zwyczajnych ognisk?

Odrzuciwszy ciężką połę namiotu, weszli do wnętrza. Eowina zauważyła, że jej towarzysz z każdą chwilą coraz bardziej mruży oczy i marszczy się, jakby był zmuszony patrzeć w jaskrawo świecące słońce...

Ogromny namiot, w którym zmieściłaby się pewnie dobra setka ucztujących, był niemal pusty. Czworo ludzi w śnieżnobiałych płaszczach z kapturami siedziało bokiem do

wchodzących. Na wprost zaś nich zajmował miejsce młody, potężnie zbudowany mężczyzna z twarzą okoloną czarną brodą. Jego głębokie, czarne oczy przewiercały na wylot.

Jeden z siedzących zamierzał się odezwać, ale Henna natychmiast powstrzymał go władczym, gwałtownym gestem.

Szary i Henna skrzyżowali spojrzenia, a Eowina nagle zadrżała - wydawało się jej, że między tymi dwoma wojownikami przeleciały niebieskie błyskawice. Twarz Henny stężała, brwi niemal zetknęły się ze sobą, pięści zacisnęły - jakby lada chwila miał zaatakować nieproszonego gościa.

Setnik natomiast stał zupełnie spokojnie, na jego wargach błąkał się leciutki, nieco gorzki uśmieszek, i patrzył na rozjuszonego przeciwnika. Wydawało się, że czyta z niewidzialnych stronic - czyta, na nowo odkrywając dla siebie każde słowo. Przez jego oblicze przemykały cienie bólu. Bólu i czegoś jeszcze - gorzkich wspomnień. W końcu Szary po prostu zrobił krok do przodu, wyciągając rękę.

- Daj mi go.

Skoku i wściekłego ryku pozazdrościłby Hennie nawet leśny zabójca - tygrys. Czwórka w białych opończach poderwała się na równe nogi; z trzaskiem pękła wejściowa poła i do namiotu wdarli się strażnicy.

Już po nas! - zdążyła pomyśleć Eowina. Strach przejechał jej po plecach lodowatym łapskiem... i natychmiast ustąpił pod naporem nieujarzmionej rohańskiej dumy.

„Nie, nie zobaczą, że się boję!" - dziewczyna rzuciła się pod nogi nadbiegającego wojownika. Szary zaś jednym ruchem strząsnął z siebie obsiadła go sforę - dokładnie jak niedźwiedź wiszące na nim psy - i, nie zwracając uwagi na turlających się ludzi, postąpił w kierunku Henny.

- Oddaj - usłyszała Eowina wypowiedziane spokojnie przez setnika słowo.

W następnej chwili przeciwnik wyszarpnął zza pasa kindżał...

Dziewczyna błyskawicznie chwyciła upuszczoną przez strażnika szablę. Zamachnęła się raz, drugi - klinga z brzękiem starła się z wrogami - i nagle zrozumiała, że śmierć naprawdę zagląda jej w oczy. Nacierali na nią trzej wojownicy, i każdy z nich bardzo zręcznie władał mieczem!

- Zaraz ci pomogę. - Głos Szarego - jakby z lekką nutką rozczarowania - rozbrzmiał nad samym jej uchem, a potem silna ręka pociągnęła Rohankę do tyłu. W mgnieniu oka znaleźli się na zewnątrz.

Na placu panował niesamowity rozgardiasz. Z namiotu dochodziły wściekłe ryki

samego Henny, ze wszystkich stron walili tu strażnicy...

- Wydaje mi się, że zostawialiśmy naszą broń i konie gdzieś tutaj. - Szary był nadal spokojny jak kamień. Tylko twarz miał zupełnie obcą.

Nad głową świsnęły pierwsze strzały. Towarzysz Eowiny pociągnął ją przez tłum; nikt nie odważał się ich zaczepić.

- Nie myśl o nich - rzucił nagle Szary. - Nie myśl, a nie tkną cię.

Z namiotu wypadł Henna. W ręku trzymał już nie krótki kindżał, lecz szeroki, wygięty miecz, nasadzony na długie, niemal długości kopii, drzewce.

Wraz z jego pojawieniem się niezrozumiałe, paraliżujące wszystkich oszołomienie powoli mijało.

Ale Rohanka i stary rybak byli już w siodłach. Ciężki, prosty miecz Szarego zawirował z sykiem - zrozumiałe dla każdego ostrzeżenie przed próbą ataku i pościgu.

Zalewał ich deszcz strzał - i wszystkie padały obok. Czyżby łucznicy Henny nagle stracili umiejętność celowania? - pomyślała Eowina...

Było jasne południe. Para jeźdźców galopowała co sił, dziewczyna jeszcze nie wierzyła w cudowne ocalenie. Za plecami wzbierał tętent setek kopyt - ruszył pościg, a na jego czele, jak się wydawało, pędził sam Henna...

5 Października, Koryto Kamionki

Folko mrużył oczy jak zadowolony kot, przytuliwszy się do nagrzanej tutejszym słońcem drewnianej szyi morskiego zwierza, zdobiącego dziób „Rybołowa". Snycerz, który wykonał tę rzeźbę, zadziwił wszystkich, nałożywszy łeb drapieżnego ptaka na długie, pokryte łuskami smocze ciało. Wyszło z te go ni to, ni owo - ale załoga „Rybołowa" utrzymywała coś wręcz przeciwnego.

Po raz pierwszy od wielu dni Folko miał świetny humor znakomity, nawet jeśli uwzględnić sporego siniaka, którego zafundował mu rozgorączkowany Malec, już po tym, jak Skilludr wstrzymał atak swoich zuchów.

Klinga Otriny sprawiła się wspaniale. Dziwne szaleństwo Skilludra minęło bez śladu. Jednak, wcale nie od razu dali się przekonać pozostali sternicy i setnicy - kilku Skilludr kazał na postrach wyrzucić za burtę. Co prawda, zaraz potem polecił ich wyłowić...

Zostawiając tana z zadawanym sobie ciągle tym samym pytaniem: „Co też na mnie naszło?" - „Rybołów" i „Smok", tak jak zdecydowali wszyscy wcześniej, ruszyły w górę Kamionki. Jej ujście zamykała nowo wybudowana cytadela; nurt przegradzały łańcuchy. Floty Skilludra nikt, rzecz jasna, nie zamierzał wpuszczać; dlatego zdecydował on, że zostanie na redzie.

Straszne jest to tajemnicze Światło - pomyślał wtedy Folko. - Domysły zmienia w pewność, i nie wystarczy usunąć zaklęcie cudownym ostrzem - jego mocy wystarczyło zaledwie na samego Skilludra; trzeba jeszcze przekonać pozostałych... Inna sprawa, że jeśli się ich przekona, to są gotowi rżnąć i palić z poprzednim zdecydowaniem, tylko zmieniają cel...

Ale, jakkolwiek by to było, w cytadeli Henny okręty zwiadowców spotkało może nie serdeczne, ale też i nie wrogie przyjęcie.

- Dobrej drogi! - życzono im. - Dobrej drogi! Obyście jak najszybciej przyłączyli się do łaski Boskiego Henny!

Słysząc słowo „boski", Folko czuł lodowate ciarki na skórze. Był już taki numenorski król, który też bardzo chciał się zrównać z Bogami... albo chociażby z elfami... a co z tego wyszło...

Okręty płynęły przez ludne ziemie. Kiedyś należały do pierzastorękich, od „nadwyżek" których tak „sprytnie" uwolnił się Henna i jego pomocnicy; teraz osiadło tu mnóstwo plemion, które przybyły ze wschodu i północnego wschodu. Przez jakiś czas hobbitowi nawet wydawało

się, że ponownie jest w Cytadeli Olmera - tyle tu przemieszało się narodów.

Teraz nie musiał już uciekać się do daru Forwego. Czuł: okręty płyną na spotkanie straszliwej Mocy - Mocy promieniującej zgubnym Światłem. Nie żywym światłem czułego słońca - lecz zgubnym, spopielającym... porównywalnym może tylko z blaskiem pożaru zwęglającego wszystko. Na przykład, z tym, który pożarł ciała padłych w bitwie pierzastorękich z Haradrimami... Czyżby Henna panował nad taką magią?...

„Smoki" płynęły napędzane wiosłami; broń marynarze trzymali w pełnej gotowości. Zbliżali się do obozu „Boskiego"...

6 Października, Pierwsza Po Północy,
Środkowy Bieg Kamionki

Sandello opadł ciężko na rozgrzaną upałem ziemię. Na całym Zagórzu, jak nazywał po prostu okolice na południe za Grzbietem Hlawijskim, panowała duszna noc. Tu nie znano jesieni. Upał nie zamierzał słabnąć. Chłód pozostał daleko na północy, i wojownik pomyślał, że jego starym ranom służą znacznie lepiej tutejsze ciepło i słońce niż zawieje i chłody Cytadeli Olmera... Zresztą, nie Olmera już, lecz Olwena... Garbus zmarszczył się i pokiwał głową.

Tubala stała obok, przywiązawszy konie do wspaniałej sykomory. Pościg udało się zmylić, teraz mogli pozwolić sobie na noc spędzoną nie w siodłach, bez mylenia śladów...

Od czasu jak straciła przytomność, Tubala zachowywała się zupełnie inaczej. Każde słowo Sandella stało się dla niej prawem. Każde jego spojrzenie - poleceniem wykonania. Każdy ruch brwi - znakiem, któremu należy się podporządkować.

- Nieważne dlaczego i jak, ale osiągnęli to, co chcieli powiedziała cicho wojowniczka. - Odparli nas daleko na południe...

- Nigdy nie jest za późno, by skręcić na wschód - odparł Sandello. - Śpieszę się, to jasne - mam mało czasu, ale jeśli mi się nie uda...

- A czy ja potrafię? - wystraszyła się dziewczyna.

- I to mówi moja najlepsza uczennica! A skąd ja mam wiedzieć, czy potrafię? Ale jeśli nie ja i nie ty, to kto? Olwen?

Tubala tylko się skrzywiła.

- No, to znaczy, że nie możemy się wycofać. Dojdziemy do końca, a jeśli czeka nas porażka...

- To polegniemy - dokończyła wojowniczka głuchym i zdecydowanym głosem. - A moja pomsta nie zostanie spełniona...

- Twoja pomsta... - uśmiechnął się znowu garbus. - Chciałaś wymyślić dla siebie cel życia - i wymyśliłaś. Władza została przy Olwenie... A ty postanowiłaś, że się zemścisz. Nie przeczę, na jakiś czas dało ci to siłę. A dalej? Nawet jeśli poradzisz sobie z tą trójką - tak przy okazji - bardzo wprawną?

- Że są wprawni - sama już wiem!

- No to przestań myśleć o nich. Jeśli Los będzie tego chciał...

- Pierwszy raz słyszę, by najlepszy wojownik armii Olmera Wielkiego mówił o Losie!

- Nie, to nie tak, pierwszym wojownikiem zawsze był sam Wódz... A co do Losu - nie zarzekaj się. Ponieważ, o ile mam rację, to wcześniej czy później ci trzej powinni pojawić się w naszej historii.

Tubala przeciągnęła się z gracją młodej lwicy.

- Dobrze!... A z innej beczki - przyznaj, że zręcznie zmyliliśmy pościg!...

- Poczekaj do rana - poradził miecznik.

5 Października, Druga W Nocy,
Ta Sama Okolica

Tej nocy sternicy długo nie mogli przycumować. Gdzieś po brzegu na skróty cwałował konwój w obsadzie dziesięciu setek wojowników, a wzdłuż rzeki, zmieniając się co jakiś czas, czaty bez chwili przerwy prowadziły obserwację okrętów. Mijały godziny, coraz wyżej wspinał się po niebiańskiej ścieżce księżyc, a Eldringowie ciągle wiosłowali i wiosłowali, jakby postanowili, że w ciągu jednej nocy pokonają całą, dzielącą ich od brzegu do obozu „boskiego" Henny, odległość.

Wszystko było obce w tym odległym świecie, odległym i od wydarzeń Wojny z Olmerem, i nawet - aż strach powiedzieć! - Wojny o Pierścień.

Tu dopiero zaczynały powstawać miasta - w gorączkowym pośpiechu, jakby budowniczowie mieli zamiar w ciągu jednego roku przekształcić ogromny step w Krainę Bogatych Miast. Dziwacznie mieszały się ze sobą różne plemiona i Folko ciągle gubił się w domysłach: dlaczego Henna rzucił na rzeź setki tysięcy nieszczęsnych pierzastorękich? Co się stało z ich żonami, dziećmi, starcami? Jak udało mu się zebrać taką armię? Dlaczego nie wysłał z nimi prawdziwych dowódców? Przecież taka potęga śmiało mogła dojść pod Minas Tirith, miażdżąc po drodze wszystkie armie Wielkiego Tcheremu... Folko nie znajdował odpowiedzi na te pytania. A to go złościło. W działaniach Olmera przynajmniej widać było jakiś sens. A tu...

No i zostawało, oczywiście, najważniejsze pytanie: co to jest za Światło, wyraźnie niemające nic wspólnego ze Światłem Prawdziwym? Chociaż nie znajdzie się raczej taki Śmiertelny, który powie, jak się rodzi „prawdziwe światło"... Światło Valinoru? Niegasnące Światło Dwóch Drzew, z których powstały Słońce i Księżyc? Istnieją archaiczne rękopisy, podające odwrotną kolejność. Najpierw były Słońce i Księżyc, a dopiero potem - Dwa Drzewa... po zhańbieniu Słońca przez Melkora... Jest też opowieść o Miłości Upadłego Valara do pięknej Arieny, słonecznej Maia... „I błagał Melkor, naonczas nienoszący jeszcze haniebnego imienia Morgotha Bauglira, błagał niezrównaną Arienę, by została jego małżonką - ale spotkała go dumna odmowa i, wybuchnąwszy, chciał on porwać ją siłą... I w gniewie opuściła Ea piękna Ariena, a światło Słońca od tamtej chwili jest przygaszone gniewem i bólem Melkora... I stworzone zostały Dwa Drzewa, by chroniły źródło słonecznego światła...". Tak... Nie ma co ślepo wierzyć rękopisom, nawet jeśli są to „Przekłady z elfickiego" słynnego Bilba

Bagginsa. Zawsze znajdzie się ktoś, kto powie co innego. A gdzie leży prawda? Nie wie tego sam Forwe... Chyba że Wielki Orlangur...

Rozmyślania Folka przerwał nieoczekiwanie stłumiony jęk, dochodzący z lewego, północnego, brzegu. A chwilę potem rozległ się plusk - jakby do wody runęło coś ciężkiego. Rozdzwoniła się stal, na brzegu w całkowitym mroku wybuchła potyczka.

- Ciekaw jestem, kogo tam oni tną. - Hobbit stanął na palcach, by lepiej wpatrzyć się w ciemność...

Pierwszego z napastników przepołowiła Tubala swym straszliwym dwuręcznym mieczem. Sandello, bez szczególnego wysiłku, w całkowitym mroku przeszył jednego strzałą, zarzucił łuk na plecy i chwycił miecz. Walczył w sposób niezwyczajny dla wojownika północnych i zachodnich krain, nieznaną na Zachodzie bronią; nie parował uderzeń, ale odchylał klingi przeciwników.

Potyczka wybuchła nagle. Jak wojownikom Henny udało się podejść niezauważalnie tak blisko? Przecież jeszcze chwilę temu było spokojnie, cicho pochrapywała przez sen Tubala, jak dziecko podłożywszy sobie dłoń pod policzek, a stojący na warcie garbus przywarł plecami do pnia drzewa i drzemał - co prawda, czujnie, jak dobry pies wartowniczy. W mgnieniu oka cisza zanika w jednej chwili. Chrypią konie, dźwięczy stal, ostatni, przedśmiertny jęk niesie się po okolicy...

Niespodziewany atak nie był prowadzony przez głupców. Straciwszy trzech wojowników, nie pchali się więcej pod razy Sandella i Tubali. Zamiast tego zasypali ich strzałami z ciężkimi tępymi grotami. Starali się nie zabić, a nawet nie zranić ściganych, tylko odciągnąć ich uwagę, by potem mogły dokończyć dzieło arkany. Najpierw dziewczyna odbiła zręcznie mieczem dziesięć albo i więcej lecących w jej kierunku strzał, ale pośród tych tępych trafiła się jedna bojowa, i szeroki niczym nóż grot przeciął skórę na jej lewym ramieniu.

Sandello pierwszy pognał ku rzece, z trudem zarzuciwszy na plecy ciężki tobół. Chlasnął mieczem rzemień, którym przywiązany był koń, ale przeciwnicy udaremnili ucieczkę. W zad zwierzęcia wpiło się jednocześnie kilka prawdziwych, ostrych strzał, wierzchowiec stanął dęba, zarżał - i wyrwał się. Używszy całej swej siły, garbus nie zdołał powstrzymać potężnego ogiera.

A rzeką niespiesznie sunęły, pluskając wiosłami, dobrze widoczne w księżycowym świetle, dwa dziwne, nieznane w tych okolicach statki... Miecznik wpatrywał się w nie chwilę, potem chwycił Tubalę za rękę i skoczyli do wody.

- Patrzcie! Chyba do nas płyną! - zdziwił się Malec, stojący w tym momencie ramię w

ramię z Folkiem. - A tamci - zobacz! - za nimi!

Strori naiwnie zachwycał się nieoczekiwaną rozrywką. Dla niego na tej ziemi wszyscy byli wrogami i jeśli jeden wróg tnie drugiego, to dlaczego miałby nie pogapić się i nacieszyć oka? Folka trochę to raziło, ale chyba tylko Wielki Durin mógłby zmienić Malca...

Uciekający przed pościgiem rzeczywiście płynęli prosto ku burcie „Rybołowa". Ostrzegawczo krzyknął sternik. Skoczył do burty Wingetor, trzymając w ręku miecz; niespokojnie zadudniły kroki na pokładzie płynącego kilwaterem „Skrzydlatego Smoka".

- Prosto do nas - mruknął Malec. - Och, czuje serce moje - będziemy mieli kłopoty!

Dwójka uciekinierów znalazła się obok burty. Za nimi, co prawda odstając sporo, ale nie szczędząc sił, płynęli prześladowcy. Jeszcze chwila i ręka płynącego wczepiła się w znieruchomiałe - na rozkaz Wingetora - wiosło.

- Wciągnąć ich! - polecił tan.

Świsnęły liny rzucone z pokładu. Prześladowcy rozwrzeszczeli się. Z brzegu ktoś wypuścił wymierzoną w okręt strzałę.

Pierwszy uratowany przewalił się przez burtę, za nim następny. Folko schylił się odruchowo - i nawet niezbyt zdziwił, zobaczywszy garbusa. Los uporczywie wplątywał byłego towarzysza Olmera w tę historię; i jeśli pojawił się w niej - na zachodnim krańcu Gór Hlawijskich - bez wątpienia łatwo się nie wywikła. A skoro Sandello jest tutaj, to znaczy, że nie da się uniknąć...

- Ho, ho! To ci spotkanie! W końcu wypruję ci flaki! usłyszał hobbit. Tak zapewne syczałaby rozjuszona kocica, gdyby potrafiła mówić.

Tubala podniosła się, spływały z niej strugi wody, sklejone włosy zasłaniały oczy, ale nieujarzmiona wojowniczka już uniosła miecz - i to nie lekką zakrzywioną szabelkę, jaką zapamiętał Folko, lecz prawdziwy dwuręczny miecz, nieomal jej wzrostu!

„Jakim cudem nie utonęła z nim...".

- Hej! Hej! - Torin i Malec jednocześnie wysunęli się do przodu.

Parskając podniósł się również Sandello. Wydawało się, że nie jest zaskoczony tym spotkaniem.

- Dziękuję silnemu i potężnemu tanowi...

Na skinienie Wingetora Oswald uderzył w dysk z brązu. Wioślarze przyłożyli się do roboty. Utonęły w mroku wściekłe wrzaski prześladowców.

A na pokładzie stali twarzą w twarz Tubala i krasnoludy. Oblicze wojowniczki przesłaniały cienie nocy, ale księżycowe światło rzucało blask na wspaniałą klingę.

Eldringowie gotowi już byli rzucić się na dziewczynę, ale Sandello ostrzegawczo uniósł rękę.

- Zaraz - powiedział dobrze znanym hobbitowi lodowatym głosem i wysunął się do przodu, zasłaniając Folka i krasnoludy.

- Najpierw będziesz musiała stanąć do walki ze mną.

Niezwykle szeroki, zakrzywiony miecz uniósł się do pozycji obronnej.

- Najpierw będziesz musiała stanąć do walki ze mną - powtórzył tym samym lodowatym tonem garbus.

Tubala ciężko dyszała. Jej ogromne ostrze drgnęło i uniosło się odrobinę.

- Nie wtrącajcie się! - rzucił gwałtownie miecznik, kątem oka dostrzegając poruszenie wśród Eldringów.

- Hej, Sandello, czy to ty, czy nie? - dopiero teraz zorientował się Malec. - Torinie, co to, on chce nas zastąpić?! Kto to widział?!

Folko i Torin przesunęli się do przodu, trzymając broń w pogotowiu.

- No, to w takim razie wszyscy umrzecie! Wszyscy! - wrzasnęła piskliwie Tubala.

Wyglądało, że pozbyła się ostatnich wątpliwości.

Sandello zaatakował pierwszy.

Srebrzysty wicher pochwycił w obroty uniesiony miecz Tubali, zakręcił nim, odchylając w bok; garbus wykonał jeden miękki, niedostrzegalny ruch, w mgnieniu oka znalazłszy się obok dziewczyny; jego pięść trafiła w podbródek wojowniczki - niezupełnie według szlachetnych zasad pojedynku, ale za to skutecznie. Tubala runęła na plecy.

- No i już - rzucił z zimną krwią Sandello. - A teraz niech no ją ktoś podniesie!...

Garbus odwrócił się do znieruchomiałej trójki przyjaciół. W księżycowym świetle hobbit zobaczył, że wąskie wargi starego miecznika rozciągnęły się na podobieństwo uśmiechu.

- Oto znowu się spotkaliśmy. - Powiedział po prostu, jakby nie dzieliło ich od ostatniego spotkania dziesięć lat, tylko co najwyżej tydzień.

- Więc ty jesteś Sandello? - Wingetor potrafił szybko kojarzyć fakty.

- We własnej osobie.

- No, chcielibyśmy zadać ci parę pytań...

- Ale nie otrzymacie odpowiedzi na wszystkie.

- A ja powiem - witaj, odważny Sandello! - Hobbit, czując, że awantura wisi w powietrzu, pośpiesznie wystąpił do przodu i wyciągnął do garbusa rękę. Ten, już schowawszy miecz, ostrożnie dotknął jego dłoni wilgotnymi palcami - i Folko natychmiast przypomniał

sobie siłę tej ręki...

- Witaj i ty, śmiały hobbicie, którego nazywam „oswobodzicielem Olmera” - odpowiedział miecznik chłodno, ale nie bez szczerego szacunku. - Umówmy się: ja nie zamierzam wnikać w wasze sekrety - twoje i twych przyjaciół. Nic mi do tego, czego szukacie tu, ale jestem gotów wesprzeć was swoim mieczem. W zamian proszę tylko o jedno - nie przeszkadzajcie mi w spełnieniu mojego obowiązku.

- Jak możemy się na to zgodzić, skoro niczego nam nie powiedziałeś? - Wingetor uważnie wpatrywał się w garbusa. Po co nam obietnice twej pomocy? Może nasze zamysły przeczą twoim?

- W takim razie pierwszy zakomunikuję ci o tym, wszechpotężny tanie. - Sandello wzruszył ramionami. - Ty zdecydujesz, jak postąpić ze mną. Teraz powiem ci tylko jedno: jestem wrogiem mieszkańców tych ziem. Oni ścigają nas i, jestem pewien, drogo wyceniliby nasze głowy - Tubali i moją.

- A czy ty może wiesz, kim ona jest? - wskoczył mu w słowo ciekawski Malec.

- Wiem - skinął głową garbus.

- No to kim?

- O tym kiedyś porozmawiamy, nie teraz i nie tu! - uciął Sandello.

Zachowywał się tak, jakby to nie on został uratowany od niechybnej śmierci z rąk rozjuszonych prześladowców, wręcz przeciwnie - jemu zawdzięczają życie wszyscy znajdujący się w tej chwili na pokładzie „Rybołowa”.

Rozległy się pomruki niezadowolenia. Głos Wingetora nabrał metalicznego brzmienia:

- Chcesz, byśmy ratowali cię, wyciągali za skórę z wody jak tonącego kociaka, a potem zostawili w spokoju? I to w takiej sytuacji! Do tej pory nie mieliśmy żadnych waśni z narodem tych ziem, żadnych powodów do wrogości! Teraz już jesteśmy skłóceni, przez ciebie!

- Czy mam skakać z powrotem za burtę, wszechpotężny tanie? - zapytał zgrzytliwym głosem Sandello.

- Według mnie, tak byłoby lepiej! - nie krył gniewu Wingetor.

- Życzenie wszechpotężnego tana będzie spełnione. Proszę tylko o pozwolenie doprowadzenia do przytomności mojej towarzyszki. Zapewne szlachetny tan nie wyrzuci za burtę bezbronnej kobiety?

Sandello, który tak mówi o kobiecie?... Nie uwierzyłbym nigdy w życiu! - przemknęło przez myśl hobbitowi.

- Będzie, jak chcesz! - rzucił Wingetor i, już odwracając się plecami do garbusa, polecił

jednemu ze swych dziesiętników: - Jeśli nie odejdzie po dobremu, wyrzucić siłą!

- Obawiam się, że wtedy polegnie połowa załogi, mój tanie - odezwał się półgłosem Folko. - Garbus położy ich, nawet nie mrugnąwszy okiem. A mrugnąwszy, położy drugą połowę.

- Łucznicy do mnie! - ryknął Wingetor.

- Pozwól mi porozmawiać z nim! - Folko zdecydowanie zastąpił drogę tanowi. - Sandello nie ma równego sobie w walce i starcie z nim to próżne przelewanie krwi. Skoro nie chce mówić, znaczy, że ma ważkie powody. Uwierzmy jego słowom. Dziesięć lat temu byliśmy wrogami i nawet walczyliśmy - jeden na jednego - ale potem wszystko się zmieniło.

- Będzie, jak rzekłem, niziołku. - Wingetor odwrócił się, dając do zrozumienia, że rozmowa została zakończona.

- Składam podziękowanie wszechpotężnemu tanowi za sprawiedliwy osąd - odezwał się spokojnie garbus. - Nie było innego wyjścia. Ja nie mogę wyjawić wam mojego zadania, wy mnie swojego. Dlatego dziękuję za ratunek... i odchodzę.

Odwrócił się do nieprzytomnej Tubali, którą Eldringowie podnieśli już i posadzili, opierając plecami o maszt.

- Wszechmocny tan popełnia błąd - powiedział Folko cicho, by nie usłyszał nikt z drużyny.

- Jeśli to mój błąd, to odpowiem za niego! - odparł Wingetor również półgłosem, nie odwracając się.

- A nie sądzi wszechpotężny tan, że nasza sprzeczka tylko raduje Hennę? - rzucił Folko, nieco zmieniając znane słowa z Czerwonej Księgi.

On też przez cały czas powstrzymywał się, gasząc napierający gniew. „Pamiętaj, że to nie twoje uczucie, ale pochodzące z zewnątrz! Zaciśnij zęby i pamiętaj o tym przez cały czas!”.

Sandello tymczasem zajął się nieprzytomną Tubalą. Wydawało się, że nie obchodzi go już nic, co się dzieje na pokładzie. Hobbit nie wątpił, że za kilka minut, kiedy dziewczyna się ocknie, garbus z zimną krwią przeskoczy burtę i zniknie w odmętach.

- Nasza sprzeczka tylko raduje Hennę... - Wydaje się, że Wingetor myślał o tym samym. - Posłuchaj, mieczniku! Henna jest twym wrogiem?

- Odpowiedziałem już wszechpotężnemu. Jest mym wrogiem.

- Dobrze, zostań do rana - mruknął niezbyt zadowolony z obrotu sprawy Wingetor. - Tylko dlatego, że wstawił się za tobą niziołek Folko...

- Jestem wdzięczny wszechpotężnemu. - Sandello ukłonił się z szacunkiem.

- Więc nic nam nie opowiesz? - zapytał tan, zamierzając odejść.

- Dlaczego „nic”? Wszystko, co wiem o Hennie i jego wojownikach, wszystko o tym, jak walczą, wszystko o tym, co widzieliśmy po drodze.

- No to chodźmy. Przebierzesz się w suche rzeczy.

- A czy znajdzie się coś dla niej? - Sandello kiwnął głową w stronę Tubali. Wojowniczka już dochodziła do siebie, ale jeszcze nie była świadoma tego, co się wydarzyło.

- Znajdzie się - mruknął Wingetor. - Chociaż dziewczyna na pokładzie „smoka” to pewne nieszczęście!

- Ale nie jesteśmy w morzu - uśmiechnął się garbus...

Sandello rzeczywiście opowiadał wiele, niczego nie ukrywając. Tubalą, już oprzytomniawszy, siedziała wyraźnie oszołomiona, co jakiś czas ostrożnie, niemal z szacunkiem dotykając ogromnego siniaka, który zdobił jej brodę. Garbus szepnął jej tylko kilka słów na ucho, ale wojowniczka, choć wzrok miała nieprzyjazny, zaprzestała ostrych wypowiedzi i nie wyrażała głośno namiętnego życzenia wyprucia flaków z hobbita i krasnoludów. Rozwiązanie owej zagadki Folko odłożył na później - a na razie słuchali Sandella...

- I przebiliście się przez wszystkie te zapory? - zapytał z niedowierzaniem Wingetor.

- Dlaczego nie? - wzruszył ramionami, przybyły z pokładu „Skrzydlatego Smoka” w związku z niecodziennym wydarzeniem, Farnak. - Opowieści o tym człowieku od dawna krążą również wśród Morskiego Ludu.

- Ale powiedz mi, jaką mamy korzyść z jego słów? - rzucił rozgorączkowany Wingetor.

- To zależy od tego, co zamierzacie zrobić - wzruszył ramionami garbus.

Rozmówcy wymienili spojrzenia.

- Zamierzamy odszukać... odszukać coś, co wnosi zamieszanie i gniew do życia Śródziemia - zaczął hobbit.

- Odszukać - i co dalej? - Sandello wpił się w niego spojrzeniem.

- Zobaczymy, jak znajdziemy. - Hobbit uchylił się od jednoznacznej odpowiedzi.

Stary miecznik zmrużył oczy.

- Niestety! Nie możemy sobie ufać. Każda ze stron obawia się, że ta druga przeszkodzi w jej planach - odparł z lekkim uśmiechem.

- No to powiedz, co zmusiło cię do tej wyprawy? - zapytał wprost Folko.

- Co mnie zmusiło... - Wąskie wargi Sandella wykrzywił grymas. - Poczułem, że z Południa wali na mnie upalna lawina Mocy... Że stamtąd promieniuje Coś, co nie ma sobie

równego w naszym Świecie od bardzo, bardzo dawna... Pamiętam Moc Pierścienia. Znam moc Talizmanu... Ale tym razem to jest niepodobne do niczego! Jakby mnie ktoś przywoływał... I... ten głos jest podobny do... - Garbus na chwilę zamilkł, oddychając chrapliwie. - Rzuciłem wszystko i popędziłem na Południe. No i spotkaliśmy się. A ty... - przenikliwie popatrzył na hobbita. - Nie zdziwię się, jeśli powiesz, że poczułeś to samo. I, nie tracąc czasu... Jesteś zuch. Zebrałeś taką siłę...

- Ale co zamierzasz zrobić z tą Mocą? - nie wytrzymał Torin. - Czego chcesz - podporządkować ją sobie? Zakończyć to, co nie udało się Olmerowi? Podarować jego synowi całe Śródziemie?

Oblicze garbusa nie wyrażało żadnych emocji.

- Olwen od dawna kieruje się swoim rozumem i włada Cytadelą według swego uznania. Co zaś się tyczy mnie...

- To na wszelki wypadek przejąłeś Talizman? - Folko siedział odchylony do tyłu, ze zmrużonymi oczami. Na jego skroniach obficie perlił się pot.

Tubala wbiła paznokcie w dłonie, jej spojrzenie przeszywało hobbita na wylot.

- Czujesz to? - Sandello wcale się nie zdziwił. - Oczywiście, przecież tyle wędrowałeś z Otonem... Tak, Talizman jest przy mnie. Co z tego?

- Dziwne, że Olwen rozstał się z taką relikwią...

- Ukradłem mu Talizman - oznajmił spokojnie garbus.

- Ukraadłeś? - Malec aż się zająknął.

- Właśnie tak. - Garbus spokojnie potwierdził słowa skinieniem głowy. - Wskazywał mi drogę.

- A... gdzie leży twój cel? - Folko wpatrywał się w niego z napięciem, mimochodem przypomniawszy sobie, iż swego czasu byli nieprzejednanymi wrogami, i ciśnięty ręką Sandella nóż omal nie wysłał go na tamtą stronę Grzmiących Mórz...

- Tam, gdzie i wasz, jak rozumiem - stary wojownik obojętnie wzruszył ramionami. - Na wschodzie, na południowych rubieżach Gór Hlawijskich. Tam, skąd wypływa Kamionka.

2

7 Października,
Jaskinia Wielkiego Orlangura

Przez niedostępne północne lasy, omijając bezdenne czarne bagna, pełne rozmiękłych, pokrytych mchem karczów, przez bory sosnowe, w których dopalały się jeszcze na kępkach iskierki brusznicy, szedł wędrowiec, wąską, niewidoczną niemal ścieżką. Jak na krasnoluda był za wysoki, jak na człowieka zbyt barczysty. Miał na sobie prostą podróżną opończę, narzuconą na skórzaną kurtę; na plecach dźwigał pękaty wór. W prawej ręce trzymał, niczym kostur, ciężki i długi berdysz. Grube buty z wołowej skóry walczyły niestrudzenie z pokrytą wilgotnymi liśćmi ziemią. Wydawało się, że drogę wędrowiec zna doskonale - prawie się nie rozglądał, bezbłędnie odnajdując właściwy kierunek wśród leśnej gęstwiny, bagien, wysepek i wzgórków.

To były włości Wielkiego Orlangura i nawet elfy Avari starały się zaglądać tutaj jak najrzadziej. Jakby kpiąc sobie ze wszystkich, Duch Wiedzy zgromadził wokół siebie mnóstwo osobliwych potworów, penetrujących najbliższe chaszcze. Jednych przestraszały, innych zawracały z drogi, a niektórym zadawały śmierć...

Ale stanąć na drodze dziwnemu wędrowcowi nie ośmielił się nikt po tym, jak jednym uderzeniem berdysza rozsiekł pełznącego mu na spotkanie wielogłowego potwora. Wędrowiec uśmiechnął się, strącił resztki stwora do bagna i maszerował dalej - już bez takich koniecznych przystanków.

Wyszedł z mroku przepastnych borów.

Oto i łąka, przed samym wejściem...

Jesień panowała i tu - Wielki Duch Wiedzy nie ingerował w naturalny porządek rzeczy. Czas życia i czas śmierci, czas rozkwitu i czas owocowania - jak należy, jak zapisano na niewidzialnych tablicach w skarbnicach Świata tego, tak ma być. Złoty Smok nie miał w swym otoczeniu bajkowych ogrodów. Milsze mu było to, co zgodne z odwiecznymi prawami natury...

Przed czarną paszczą jaskini, jak kazał prastary obyczaj, powitał gościa odźwierny - dokładna kopia wchodzącego. Wędrowiec puścił oko do samego siebie, zasalutował sobie berdyszem i bez cienia strachu wszedł pod niskie sklepienie.

W samej jaskini nic się nie zmieniło. Ten sam miękki, zielonkawy półmrok, to samo

kamienne łoże Wielkiego Smoka i on, jak zwykle, na podwyższeniu zwinięty w ciasne spirale... Oczy o czterech źrenicach wpiły się w przybysza.

- Witaj, Wszechwiedzący.

- Witaj i ty, stary przyjacielu - odezwał się delikatny głos w świadomości gościa.

- Przyszedłem z zapytaniem. - Przybysz stał na szeroko rozstawionych nogach, opierając się na wbitym w ziemię berdyszu, jakby przygotowany do odparcia fali sztormowej.

- Znane mi jest twe pytanie i znana odpowiedź nań. - Powieki Smoka drgnęły i opadły.

- Może również znasz moje zamiary?

- Przecież wiesz, że nie dysponuję taką wiedzą. Będę wiedział, jeśli tego zapragniesz.

- Mędrcy Księstwa Środka...

- I elfy czarodzieje Wód Przebudzenia...

- Jak to? Czy to znaczy, że nie jestem pierwszy, który przyszedł z tym do ciebie?

- Pierwszy. Ale oni odwoływali się do mnie... a ja przeczytałem ich niepokój i niepewność.

- No to możesz przeczytać i moje. Stara rana odezwała się i dręczy... I gdybyż tylko tyle!

- Wiem o wszystkim, co zakłóca porządek tego świata. Cudowne oczy Wielkiego Smoka zamknęły się całkowicie. I czy w jego niesłyszalnym głosie nie rozbrzmiał zaskakujący ból?

- Muszę iść na Południe. Czuję, że zgubne drżenie zaczyna rozchodzić się po Kościach Ziemi. Czarne Krasnoludy robią, co mogą, ale...

- Wiem to.

- Przyszedłem zapytać - czy i tym razem będziesz stał z boku?!

Odpowiedź nie przyszła od razu, była poprzedzona długim westchnieniem. Gdyby to westchnął człowiek, wędrowiec pewnie uznałby, że przepełnione było ono skargą i bólem. Ale nie - wszak Duch Wiedzy nie odczuwa bólu.

- Cały ten świat gotów jest się poruszyć. Drzemiące Moce budzą się. I po raz pierwszy w ciągu tych wszystkich wieków nie mogę przewidzieć, co się stanie. Może stanie się tak, że bariery runą wcześniej, niż przewidywano. I losy Świata znajdą się w rękach garstki zuchów... podczas gdy widziałem potężną armię, w której każdy od dawna ma już moc równą mocy wojowników armii Błogosławionych Królestw.

- Ach tak? Ale może jeszcze nie jest za późno, by załatwić wszystko pokojowo?

- Pokojowo? Możliwe. Ale raczej Władcy Zachodu nie pogodzą się z tym, że stworzona

przez nich na Początku Początków Wielka Muzyka całkowicie się zmieni.

- Oni są dobrzy i szlachetni - zaoponował wędrowiec.

- Możesz tak uważać - zgodził się Smok. - Ale dawno temu porzucili powszednie sprawy tego świata...

- Podobnie jak i ty - z surowością w głosie rzucił przybysz.

- Tak samo, jak i ja. Ja nie pasę narodów...

- Ale też ich nie... Dlaczego spokojnie przyglądasz się wojnom, bezprawiu i nieszczęściom, nie podejmujesz żadnych kroków, nawet wtedy, gdy dobrze wiesz, kto jest winien?

- Rozumiem twój gniew - zaszeleściła odpowiedź. - Ale żyjący nie są moimi dziećmi. Nie mnie sądzić ich czyny...

- Jeśli ręka zabójcy uniesie się nad dzieciną - co tu sądzić?... Ja też rozumiem ciebie. W swoim czasie myślałem tak samo, jak ty. Do czasu, póki...

- Póki nie wyszedłeś na pole bitwy pod murami Szarych Przystani... - zauważył Smok.

- Tak - padło ciężkie niczym kamień słowo. - Przeżyłem cudem. I przysiągłem, że póki me ręce mogą utrzymać topór, będę walczył. I jeśli nie uda mi się rozsądzić dwu wojujących stepowych rodów, to przynajmniej mogę nie dopuścić do zabójstwa dzieci. Może nie uratuję wszystkich. Ale - kogo uratuję, tego uratuję. Czy mnie rozumiesz?

- Rozumiem, co czujesz. Dziękuję ci, że dałeś mi o tym znać.

- Więc i teraz pozostaniesz tu?

- A co, według ciebie, powinienem zrobić?

- Jak to „co”?! Zgasić Płomień!

- A czy wiesz, co to jest?! - W niematerialnym głosie Ducha Wiedzy pojawiło się coś, co przypominało gniew.

Po długiej chwili milczenia:

- Nie. A ty?

- Ja - wiem.

- I czekasz? Bezczynnie?

- Tak. - Zabrzmiało głucho, jak uderzenie tarana w mur cytadeli.

- Ale dlaczego, na Podziemne Moce?! Na Południu ludzie wyrzynają się z taką łatwością, jakby kroili chleb do obiadu!

- Wiem to. Ale jeśli taka jest ich wola...

- To przymus z zewnątrz!

- Nie. To idzie z wnętrza. Po prostu jest wzmocnione.

- Jakie to ma, w końcu, znaczenie! Czarne Krasnoludy codziennie przynoszą wieści, jedną straszniejszą od drugiej. Harad, oszalawszy, przyniósł wojnę Umbarowi. Niezgoda w Rohanie. Dojrzewa bunt w Gondorze. Jeszcze ci tego mało?

- Co to znaczy „mało" czy „dużo"? Takie jest ludzkie życie.

- Ale w twej mocy jest to zmienić!

- Nie uczynię tego. A ty bardzo szybko zrozumiesz dlaczego...

Gość milczał, ciężko oddychał. Po jego twarzy spływały krople potu i ginęły w gęstej brodzie.

- Słuchaj i zapamiętaj. - Głos Smoka stał się głośniejszy. - Czeka cię ciężka droga na Południe. Ja nigdy nie wtrącałem się do wielkiego Tańca Mocy, ale teraz proszę cię o jedno...

- Chcesz, żebym ci TO przyniósł?

- Tak.

- A dlaczego Wielki Orlangur sam nie może tego zrobić? Kto się oprze twojej mocy?

- Władający TYM teraz - oprze się.

- Zrozumiałem cię, Wielki. Żegnaj.

- Żegnaj. Pamiętaj: jeśli TO nam umknie - wszystko, czemu poświęciło się Księstwo Środkowe, okaże się bez sensu. A chóry Ainurów zagrzmią wcześniej, niż będziemy gotowi.

- Szkoda, że nie chcesz powiedzieć mi wszystkiego. Wcześniej nie byłeś taki.

- Wcześniej nigdy nie stawałem po czyjejś stronie. A teraz stanąłem. I tracę przez to odporność na Moc Valarow. Czy teraz już wszystko rozumiesz?

- O, największe Podziemne Moce! - Wędrowiec odruchowo chwycił się za serce, jakby poczuł, że przestało na chwilę bić.

Słabe jesienne słońce świeciło prosto w twarz wędrowca. Najpierw musiał dotrzeć do Czarnych Krasnoludów... A potem ich sekretnymi szlakami - na Dalekie Południe. Nie wolno zwlekać. To, co nie udało się nawet Olmerowi Wielkiemu, całkiem dobrze może się udać nieznanemu oszustowi z południa. Nie wolno nadużywać cierpliwości Mocy Świata. Jeśli trzeba uderzyć, to na całego!

Ten Sam Dzień, Wybrzeże Haradu,
Pięćdziesiąt Mil Na Południe
Od Umbrau

Millog żył jeszcze, choć pozostał z niego wysuszony cień. Miał za sobą straszliwy Gondor, miał za sobą jałowe, wypalone ziemie między Anduiną i Harnenem, gdzie w zaroślach niepodzielnie rządziły szakale. Zostawił w tyle Zatokę Umbar i dumną twierdzę w pierścieniu niezdobytych murów. Zostawił za sobą haradzkich myśliwych polujących na niewolników, ich łowcze sokoły i sfory psów tropiących. Milloga, który nigdy nawet nie myślał o takich wędrówkach, jak widać, strzegł sam Los. Omijał jedno niebezpieczeństwo po drugim, nawet nie podejrzewając tego; przyzwyczaił się ślepo wierzyć instynktowi psa, swego wiernego przewodnika.

Mimo że przysiągł psu, iż będzie go karmił do końca dni jego i nigdy nie zaprzęgnie do pracy, to - jak na razie - działo się inaczej. Właśnie pies wyszukiwał jedzenie w tych niezbyt obfitujących w zwierzynę okolicach i uczciwie dzielił się zdobyczą z Howrarem. Millog, z kolei, usiłował łowić ryby, i czasem jego wysiłki opłacały się.

Człowiek i pies jak poprzednio przeszukiwali każdy skrawek brzegu. Oczywiście, te ich starania wywołałyby uśmiech każdego zdrowo myślącego człowieka: jaki jest sens szukania w Haradzie ciała człowieka, który utonął na wybrzeżu Enedhwaithu! Ale dla Milloga, jak się zdawało, te sensowne rozważania nie miały żadnej wartości. Sam nigdy się nad tym nie zastanawiał, a pies, nawet jeśli się zastanawiał - nic nie mówił.

Tego dnia postanowili, że staną na odpoczynek.

- Chyba powinny tu być ryby - tłumaczył Millog patrzącemu na niego z wyrzutem psu. - Coś musimy jeść. Już drugi dzień nie udało się nic upolować...

Pies żałośnie skamlał, cały czas zezując na Morze. Spokojne, niebieskie, ciepłe - wylegiwało się w promieniach słońca. Nie wiadomo dokładnie, skąd Millog czerpał przeświadczenie, że pogoda i miejsce sprzyjają rybołówstwu; a psu, choć mógłby posprzeczać się z człowiekiem w tej kwestii, pozostało tylko szczekanie i popiskiwanie. Zwróciwszy się do Morza, zjeżył sierść, warczał, szczerząc zęby.

- Co się z tobą dzieje? - zdziwił się Millog. - Takie piękne miejsce... Woda pod nosem i cień, i wszystko inne... Odpoczniemy, a jutro ruszymy dalej!

Pies chwycił Milloga zębami za ubranie, pociągnął dalej od brzegu.

Ale było już za późno.

Horyzont niespodzianie ściemniał. Tam, na styku wody i nieba, powstał wąski mglisty pasek - jakby obłoczek postanowił wstrzymać swój bieg i odpocząć na morskiej gładzi. Co prawda, obłoczek zaczął nie wiadomo dlaczego gwałtownie puchnąć, zbliżać się, i po chwili w całej swej upiornej krasie pokazała się olbrzymia, zielonkawa fala - sięgająca chyba nieba. Millog skamieniał. Pies w trwodze zaczął miotać się po brzegu; ale potem, wściekle warcząc, ustawił się przy nogach Howrara i obnażył kły. Był gotów do boju. Millog stał, upuściwszy prostą wędkę, z szeroko otwartymi ustami, unieruchomiony strachem - gigantyczna fala, pędząca na ląd, zmiecie wszystko, co stanie jej na drodze; nie było schronienia na płaskim, rozległym brzegu. Nie pozostało nic innego, jak czekać na śmierć...

Jednakże wkrótce stało się jasne, że nadciągający wodny żywioł nie zamierza trwonić mocy w bezsilnym szale, zmywając do Wielkiego Morza drobne śmieci. Fala z wolna traciła wysokość i pęd, jej grzbiet obniżał się, a wraz z nim zwalniał bieg cudowny, śnieżnobiały okręt z dziwnymi skośnymi żaglami, bardzo przypominającymi rozwinięte skrzydła gotowego do lotu łabędzia. Dziób okrętu był wygięty niczym szyja dumnego ptaka, ozdobiona głową łabędzia.

Fala wygładzała się, cudowny okręt zwalniał bieg, wyraźnie zamierzał przybić do brzegu.

Pies przy nogach Milloga już nie warczał. Po prostu stał gotów do walki, gotów bić się do końca i spotkać śmierć jak prawdziwy wojownik - twarzą w twarz. Fala tymczasem zupełnie zniknęła - jakby wcale nie istniał jakiś ogromny wał, pędzący ku brzegowi jak sam Ulmo...

Okręt zwolnił jeszcze bardziej. Nie przybijając do brzegu, zatrzymał się, z cichym pluskiem wpadły w wodę kotwice. Wydawało się, że białe żagle i burty lśnią miękko i ten blask widoczny jest nawet teraz w jasny, bezchmurny poranek. Lekka szara łódeczka śmigała po wodnej przestrzeni jak nieważki puszek; dwaj wioślarze na dziobie i rufie niemal nie poruszali długimi wiosłami. Prócz nich w łodzi siedziały jeszcze dwie osoby - w lekkich pelerynach z kapturami, chroniącymi przed wściekłym południowym słońcem. Mężczyzna cicho pojękiwał. Z każdą chwilą w prostej duszy Howrara narastał paniczny strach, ślepy, bezsensowny, z powodu którego ludzie albo rzucają się w przepaść, albo podcinają sobie żyły, byle tylko uwolnić się od niego. Nogi Milloga wrosły w nadbrzeżny piasek.

Pies, warcząc głucho, cofnął się o krok, przypadł do ziemi i szykował do skoku. Oczy jego płonęły purpurowym ogniem i wyglądały teraz jak prawdziwe płomieniste karbunkuły.

Łódeczka mknęła do brzegu, Millog mógł tylko śledzić jej bieg, nie mając sił ani

poruszyć się, ani odwrócić wzroku. Żywy trup. Pot lał się zeń jak krople deszczu.

Łódeczka wbiła się dziobem w piach. Dwie postacie w pelerynach ostrożnie, starając się nie zmoczyć stóp, wyszły na piasek. Mężczyzna, niemłody, w rozkwicie sił, i kobieta, o której minstrele powiedzieliby coś w rodzaju: „Piękna jak sama Miłość!". Wspaniałe złociste włosy, wydawało się, zachowały odblask innej, nie z tego świata błogości, dostępnej tylko niektórym...

Wioślarze pośpiesznie - nawet bardzo pośpiesznie, jak wydało się Howrarowi - odepchnęli czółno od brzegu. Łódka niczym strzała pomknęła z powrotem, kilka ruchów wiosłem wystarczyło, by przybiła do burty okrętu. Została szybko wciągnięta na pokład i statek, wykonawszy niemożliwy dla żaglowca manewr, obrócił się i oddalał niespiesznie, aż zginął w niespodziewanie zbierającej się mgle. Przybysze pozostali na brzegu.

Kobieta wyglądała młodo, ale chyba nikt nie ośmieliłby się nazwać jej dziewczyną. Mądrość całych wieków widniała w jej oczach. Mądrość niezliczonych wieków, ból i nadzieja, smutek i radość. Nie było Śmiertelnego, którego nie poruszyłoby takie spojrzenie.

Mężczyznę, dumnego, postawnego, wyróżniało przenikliwe spojrzenie jasnych oczu. Jego ruchy były szybkie i zdecydowane; zarówno on, jak i jego towarzyszka nie mieli przy sobie broni. Przechodząc obok osłupiałego Milloga, dziwni przybysze nie obdarzyli go nawet jednym spojrzeniem - i nagle w powietrzu jakby śmignęła szara błyskawica. Pies skoczył, a oczy jego płonęły jaśniej niż rozżarzone węgle.

Rozległ się krzyk. Pies przewrócił złotowłosą podróżniczkę na ziemię, zęby rozorały jej ramię i już miały zewrzeć się na gardle...

Czarnowłosy mężczyzna, błyskawicznie chwyciwszy psa za kark, jedną ręką, bez trudu odrzucił go o jakieś dziesięć kroków w bok, po czym sam ruszył ku niemu, osłaniając sobą towarzyszkę. Biała peleryna zabarwiła się krwią.

Pies skoczył, udając, że zamierza rzucić się na czarnowłosego, nagle gwałtownie odbił w bok, jak wąż przeniknął między rękami mężczyzny i ponownie zaatakował kobietę.

Jednakże ta zachowała zimną krew, nie uciekała, tylko wpatrywała się w płonące szałem oczy psa. Nieoczekiwanie wyciągnęła rękę, chcąc pogłaskać zjeżoną na karku sierść zwierzęcia. Wargi poruszyły się i rozbrzmiał śpiewny melodyjny język, jakiego nigdy wcześniej Millog nie słyszał.

Pies zaskowyczał, rzucając łbem, jakby chciał się pozbyć uroku. Złotowłosa powiedziała coś do swojego towarzysza, ten zrobił krok w kierunku Milloga.

- Czy... to... twój... pies? - zapytał wolno mężczyzna. Howrara zalało lodowatą falą

spojrzenie jego stalowych oczu.

- Nnie... - Wargi poruszyły się same, bez wysiłku woli. To... jest pies... Szarego...

- Kto to jest Szary? - Mężczyzna był bardzo cierpliwy.

- Szary... rybak... morze go wyrzuciło... Dziesięć lat temu...

Pies odczołgał się do tyłu, żałośnie skowycząc. Jakby opłakiwał swoje poniżenie. Złotowłosa, ciągle siedząc na piasku i przyciskając dłoń do skaleczonego ramienia, uważnie, nie mrugając, wpatrywała się w oczy zwierzęcia.

Po słowach Milloga „morze go wyrzuciło" - czarnowłosy rzucił szybkie spojrzenie na swoją towarzyszkę. A ta równie szybko, niemal niezauważalnie, skinęła głową.

- Gdzie potem podział się Szary? - dopytywał się przybyły, a jego ostre spojrzenie zmuszało Milloga do odpowiadania, mimo że wcale tego nie chciał:

- Rzucił się... do morza...

- A ty, co tutaj robisz?

- Szukam... ciała... Szarego...

- W Haradzie? - Mężczyzna ironicznie uniósł brwi.

- Wszędzie... od samego ujścia... Iseny...

- A to historia!... - Czarnowłosy uśmiechnął się.

Nagle kobieta wstała. Nie odwracając magicznego spojrzenia od wycofującego się na brzuchu psa, podeszła doń, chwyciła w dłonie wielki łeb i coś cicho, z żalem powiedziała w tym samym, nieznanym Howrarowi języku.

Pies zawył tak, jakby ktoś dźgnął go rozpalonym do białości metalowym prętem. Szarpnąwszy się, odskoczył w bok, dwoma susami dopadł krzewów i zniknął. Złotowłosa z żalem pokręciła głową.

Dziwna para, niczym z bajki, przeszła obok Milloga. Przybyli nie wiadomo skąd i nie wiadomo dokąd się kierowali. Bez bagaży, bez koni, bezbronni... Odeszli. Howrara niespodziewany ból ścisnął za serce, nagle runął na piasek i szlochał.

Złotowłosa odwróciła się. Spojrzenie cudownych, przyzywających, bezkresnych jak samo Morze oczu przeszyło Milloga tak, że ten skurczył się, gdyż serce znowu dało o sobie znać. Wydawało mu się, że kurtyna mgły za chwilę spadnie - ludzkie oczy nie mogły, nie powinny patrzeć na tę doskonałość.

Towarzysz złotowłosej piękności zatrzymał się. Rzucił kilka słów w swoim tajemnym, melodyjnym języku. Kobieta kiwnęła głową.

- Słuchaj mnie! Ty i twój pies pójdziecie z nami. Już dość tego szukania topielca. I tak

go nie znajdziesz... a przed gniewem Losu jakoś cię obronimy.

Kobieta przyłożyła do ust zwinięte w trąbkę dłonie. Gdzieś w przestworza uleciało melodyjne zawołanie, czułe, ale jednocześnie poważne.

Z podwiniętym ogonem z zarośli wyłonił się pies. Szedł tak, jakby miał przetrącone łapy. Kobieta skinęła z zadowoleniem głową i znowu coś zaśpiewała w swoim dziwnym języku. Pies skowyczał, grzebał pazurami w piasku, potem przewrócił się na grzbiet, tarzał... a kiedy już się wyszalał, pokornie wstał i powlókł się za nową właścicielką...

8 Października, Noc,
Pokład „Rybołowa”

Hobbit Folk Brandybuck miał zadziwiające sny. Wydawało mu się, że jeszcze chwilę temu pod plecami czuł twardy, pachnący smołą pokład „smoka” - a teraz, patrzcie, stoi na morskim brzegu i widzi straszliwą falę, która toczy się, niczym hird olbrzymich krasnoludów, na skamieniały z trwogi brzeg. Toczy się - i nagle rozpływa, zostawiwszy na nieprawdopodobnie gładkiej toni okręcik - dokładnie jak na starych rysunkach, których kopie cudem udało mu się zobaczyć w Minas Tirith... legendarne elfickie „łabędzie” z czasów Pierwszej Ery i nawet jeszcze starsze, niemal z czasów ery Wielkiej Wędrówki. Poza tym śniło się Folkowi, widział to, jak z tego okrętu na brzeg zeszła para. Mężczyzna i kobieta odziani w niewidzialne dla innych, widmowe peleryny Mocy, tej właśnie Mocy, która objawiła się w słynnym magicznym pojedynku Saurona z Finrodem Felagundem - bezbronni, niepotrzebujący ani mieczy, ani włóczni czy sztyletów, niczego, prócz samych siebie, Mocy swego ducha; widział więc, jak zeszli oni na brzeg, a pies z płonącymi niczym piece Morgotha oczami rzucił się na nich i został poskromiony, para zaś ruszyła w głąb lądu, nie obawiając się nikogo ani niczego...

Hobbit otworzył oczy. Dokoła chrapali Eldringowie. Ani Farnak, ani Wingetor nie ryzykowaliby teraz przybicia do brzegu. O powrocie też nikt nawet się nie zająknął. Wszyscy rozumieli - jeśli nawet będą wracali, to nie bez walki.

Folko przywykł ufać swym przeczuciom. Teraz ten sen... Ale z drugiej strony - przecież to zupełnie nieprawdopodobne! Biały elficki okręt, przybyły na grzywaczu niesamowitej fali co to może oznaczać? Nie ma Prostej Drogi!

„Ale za pozwoleniem Wielkich mogą jeszcze płynąć okręty po Prostej Drodze...”.

Nie, nie, nie! To być nie może! A jeśli tak? Jeśli płynące stąd Światło sięgnęło Valinoru? Może władcy Zachodu postanowili zmącić tok wydarzeń? Może nowi Istari zstąpili dziś na ziemię Haradu?... Kto wie, może w Śmiertelnych Ziemiach więcej nie ma już takich, którzy potrafią zrozumieć słowa Zachodu? Elfy Zachodu... odeszły. Elfy Wschodu - mają swoje drogi. Arnor padł, Gondor długo jeszcze będzie leczył swoje rany; kto więc jeszcze? Orły? Pewnie Radagast mógłby wezwać je. Radagast albo Gandalf...

...Nie strasz samego siebie pustymi snami - pomyślał nagle Folko. - Rób, co powinieneś zrobić, a Mocami możesz się zająć wówczas, gdy staniesz z nimi twarzą w twarz. Śpij, Folku

Brandybucku, i myśl lepiej o tym, żeby ci we śnie nie poderżnęła gardła Tubala!

Wingetor polecił na wszelki wypadek trzymać wojowniczkę pod strażą. Wywołało to prawdziwy wybuch szału, ale Sandello szepnął jej coś na ucho - i ta podporządkowała się.

Noc, niczym rzewna, dorodna piękność, czarnooka, kruczowłosa, płynęła nad Południowymi Ziemiami. Z różnych stron ciągnęli tu, do zagubionych w odgałęzieniach Gór Hlawijskich obozów Henny, różni, bardzo różni wędrowcy...

8 Października, Świt,
Okolice Obozu Henny

Słońce dopiero wzeszło. Z lewej strony pięły się w niebo posępne olbrzymie kształty Gór Hlawijskich, a między wyciągniętymi daleko na południe długimi ramionami grzbietów ciągle jeszcze zalegał mrok. Wkrótce, wkrótce upalne promienie dotrą i tu, do ostatnich legowisk nocy - ale na razie było jeszcze ciemno i dość chłodno.

Eowina uniosła głowę. Oczy ją paliły, jakby pod powiekami miała piasek: tej nocy udało im się oderwać od pościgu, i dziewczynie, mało bo mało, ale udało się pospać. Szary natomiast nie zmrużył oka. Teraz też stał na warcie, co prawda wyglądał na strasznie zmęczonego, jakby przez całą noc walczył niezmordowanie z hufcami wroga. Oczy miał zapadnięte, pod nimi sine wory. Twarz przybrała bladą, chorobliwą barwę. Siedział oparty plecami o pień drzewa, prawą ręką mocno ściskał rękojeść wetkniętego w ziemię miecza.

- My... musimy... iść - wyrzekł z wysiłkiem.

- Dokąd?

Od czterech dni mylili jak zające tropy, plątali swoje ślady. Przez pierwsze dni pościg dosłownie niemal wisiał uczepiony ich pleców, ale potem jakimś cudem udało się od prześladowców oderwać. Co prawda Eowina podejrzewała, że najważniejszą rolę w tym sukcesie odegrały szczególne umiejętności jej towarzysza - nie wątpiła, że jest wielkim czarodziejem. To uspokajało i odstręczało jednocześnie. Z jednej strony jest takim samym człowiekiem jak i ona, tak samo cierpi z powodu głodu i pragnienia, tak samo się męczy, tak samo potrzebuje snu, a z drugiej strony - rozkazuje potężnym Mocom, które mogą wyrwać ją, Eowinę, z paszczy ognistej śmierci... Kim on jest? Kim?...

- Musimy wrócić do... Henny. - Oczy Szarego zmieniły się w prawdziwe przepaście, zalane mrokiem.

To na pewno cień tak pada na jego twarz - uspokajała siebie Eowina.

- Musimy wrócić... Ponieważ on ma klucz... Klucz do wszystkiego... - Pięści Szarego spazmatycznie zaciskały się i prostowały. - Wiem, że ja to nie ja, że nie jestem sobą... a kiedy patrzyłem na tę jego oślepiającą Moc... czułem, jak mi wraca pamięć... Na razie to są tylko skrawki, oderwane i mroczne... Pamiętam, że miałem córkę i syna...

- Ale oni nas zabiją... - zaprotestowała nieśmiało Eowina, która nie wiadomo dlaczego od razu przypomniała sobie, że ma dopiero piętnaście lat.

Szary popatrzył na nią przenikliwie, a dziewczyna poczuła się jak spoliczkowana.

- Pójdę tam. A ty pójdziesz ze mną. Albo zwyciężymy, albo zginiemy. Jeśli padniemy - to tylko udamy się za Grzmiące Morza... gdzie już raz byłem. To wcale nie jest straszne...

- Jjak to? Bybyłeś?...

- Umierałem - mruknął ponuro Szary. - Śmierć stała tuż przy moim sercu... i już widziałem otwierającą się przede mną Czarną Drogę... Tam, do Błogosławionego Królestwa, dokąd odeszły elfy... Ale potem... ktoś chyba postanowił zobaczyć, czego jeszcze mogę dokonać - i zawrócił mnie.

- Ależ stamtąd nie ma powrotu! Tylko Beren...

Po zwycięstwie w Wojnie o Pierścień sporo spuścizny po elfach przeszło do pieśni - szczególnie w Rohanie, gdzie zawsze słowo mówione panowało nad pisanym. „Gesty o Leitan", „Uwolnienie z pęt" często były prezentowane w szerokich rohańskich stepach, przed złotym tronem władców Edorasu i w szałasach pastuchów na letnich pastwiskach. Nieraz słyszała tę pieśń Eowina.

- Beren umarł naprawdę - zaprzeczył ponuro Szary. Umarł i został przywrócony... z powodu szczególnej łaski Najwyższych. Ze mną zaś było co innego. Czarna Droga stała przede mną otworem... ale nie wszedłem na nią.

- Ale ja i tak nie chcę umierać! Boję się!

Szary przez kilka chwil wpatrywał się w dziewczynę.

- Ani ty, ani ja nie mamy wyboru. Twój Los zaczął się snuć w chwili, kiedy cię porwano w Umbarze. Potem już kroczyłaś po ścieżce swojego Losu. Pomyśl - czy mogliśmy wrócić po bitwie z pierzastorękimi? Dokąd byśmy poszli? Do Haradu, na spotkanie nowej niewoli i śmierci?

- Ale czy ty, taki potężny...

- To nie musiało się powtórzyć - poważnie odparł setnik. - Czułem, że tam na Południu płonie podsycający moje siły ogień i gdybyśmy zawrócili na Północ, nie wiadomo, jak by się to skończyło. Nie, nie oszukujmy siebie. Musimy iść naprzód do samego kresu. Według mnie śmierć w boju jest znacznie godniejsza niż haniebna śmierć pod haradzkimi biczami, czy nie tak?... Ja mam za sobą Mrok i Śmierć. Ale wiem też, wystarczyło mi jednego spojrzenia! - że w przeszłości nie byłem zwykłym rybakiem czy nawet wojownikiem. Coś ważnego i niesłychanie wysokiego ciągnęło mnie... Czyżbyś ty, odważna Eowino, która porzuciła ojczyznę dla przygód - czyżbyś ty nie chciała zaryzykować wszystkiego, żeby zagarnąć też wszystko?

- Nie rozumiem... - Dziewczyna skurczyła się w sobie.

- Posiadałem Moc. - Głos Szarego opadł do szeptu. - Nie tę, co teraz... zupełnie inną... czystą jak skrzydła nocy! Nie, co ja mówię... Nie, ona... ona mnie ciągnęła... gdzieś... ja walczyłem... nie rozumiejąc...

Wydawało się, że bredzi. Głowa majtała mu się we wszystkie strony, czoło błyszczało zroszone potem. Walcząc ze strachem, Eowina dotknęła dłonią płonącego policzka Szarego no tak, ma gorączkę. Co teraz począć? W stepie, w znajomym lesie nie straciłaby głowy, znała dziesiątki ziół, i leczniczych, i trujących...

Szary nagle odepchnął jej rękę, upadł twarzą w trawę. Dygotał, oddychał ciężko. Potem zachrypiał, jakby nie starczało mu powietrza... i gwałtownie się wyprostował.

- Och... Coś mnie naszło... Jakieś szaleństwo... Wiesz, coś widziałem przed chwilą... dziwne... niczym sen - dwie postacie na brzegu, w białych szatach, piękne jak... jak elfy. Kobieta ze złotymi włosami, nawet piękniejszymi od twoich, wybacz patrzyła prosto na mnie... - Głos Szarego z każdym słowem stawał się spokojniejszy i zimniejszy. Eowinie wydawało się nawet, że nabierał innego brzmienia. - Patrzyła prosto na mnie - uśmiechnął się - patrzyła z lękiem... Bała się mnie! Nie wiem, co oznacza to widzenie, ale... Kiedy ktoś się ciebie boi, to znaczy, że ma do tego powód. W każdym razie - chciałbym w to wierzyć. - Spojrzał przelotnie na dziewczynę. - Wystraszyłaś się? Myślałaś, że wpadłem w obłęd? Nie, wcale nie.

Szary podniósł się z ziemi - miękkim, kocim ruchem, jakiego Eowina nigdy nie widziała u tego niemłodego, siwowłosego setnika, rzuconego na pewną śmierć niewolniczego hufca.

- Idziesz ze mną?

- Ppo co?... Odebrać?... - nie dokończyła.

- Właśnie tak. Odebrać Hennie jego Moc. Nie wierzę, że należy mu się z prawa urodzenia. Więcej powiem - jestem niemal pewien, gdzie leży serce tej Mocy. Przywrócę sobie pamięć, a potem uczynię cię królową.

- Coo?... - wyszeptała oszołomiona Eowina.

Setnik patrzył na nią bardzo poważnie, bez cienia ironii czy kpiny.

- Mam pewien dług... - powiedział wolno. - Jeszcze z przeszłości... to jedno z pierwszych wspomnień, które do mnie wróciło... Martwa dziewczyna, taka jak ty... zginęła, bym ja przeżył. Pamiętam jej spojrzenia... Palą mnie... Stary dług, ale musi być spłacony. Wstawaj! Będziesz pierwszą wojowniczką mojej nowej armii... i przysięgam ci na swe imię, którego jeszcze nie znam, królewski wieniec ułoży się na twej głowie!

W jego słowach tłukło się serce Mocy. Widmowa opończa królów z przeszłości,

wykończona purpurą i złotem, powiewała za jego plecami.

Jednym zręcznym ruchem Szary wskoczył w siodło. Porwana jego energią - w tym momencie już czuła na głowie ciężar korony - Eowina ruszyła za nim.

Gardząc niebezpieczeństwem, pędzili prosto do głównego obozu Henny.

Ten Sam Dzień, Podziemny Szlak
Czarnych Krasnoludów

Czółno wbiło się dziobem w kamienne osypisko. Nurt potężnej podziemnej rzeki rozgałęział się tu, a na rozdrożu, jak i należało oczekiwać, powstała niewielka osada. Miejsce było jeszcze dobre dlatego, że udało się przebić stąd do dolnych horyzontów, gdzie, według zamysłu władców Podgórskiego Plemienia - winien był zalegać mithril. Dlatego osada, choć niewielka, kipiała życiem.

Dwaj wioślarze czekali, aż ich ważny pasażer wyjdzie na brzeg.

- Coś niedobrego się szykuje, czuje serce moje - z niepokojem w głosie odezwał się jeden z przewoźników, odprowadzając pasażera wzrokiem. - Wiadomo, że ON tak z byle powodu się nie pokazuje...

- A ja poczułem, że mam lodowate wnętrzności, jak GO zobaczyłem - podchwycił drugi.

Rozmowę prowadzono, ma się rozumieć, w języku Czarnych Krasnoludów - tajnym, nawet bardziej tajnym niż narzecze innych plemion dzieci Aule'a...

- Oj, coś się wydarzy... - westchnął pierwszy przewoźnik.

- Na pewno. Pojawił się ponury jak chmura gradowa! Strażnicy na górze mówili, że nigdy GO nie widzieli z takim obliczem. Do nikogo nawet słowa nie powiedział - od razu do nas, na dół ruszył... Gdzieś na Południe, powiadają ludzie, się śpieszy...

- Ale tam! Nie na Południe! Na Zachód - tak słyszałem.

- Ciekawe, kiedy zdążyłeś to usłyszeć? - zapytał z niedowierzaniem drugi wioślarz.

- Po prostu - zdążyłem, a w tym czasie co poniektórzy jakichś głupot słuchają...

- Co za „poniektórzy”? Czy to może o mnie mowa?! - rozgniewał się drugi. - Będę ci musiał pokazać...

Z pochwy na szerokim zdobionym pasie wyfrunął sztylet. Ale i pierwszy wioślarz nie wypadł sroce spod ogona zręcznie odparował uderzenie przestebnowanym stalą rękawem i uderzył sam - nożem w gardło swego do niedawna jeszcze przyjaciela. Ten zachrypiał, zabulgotał, zachłystując się krwią; jednakże wystarczyło mu jeszcze sił na jeden jedyny wypad. Sztylet wbił się prosto w serce przeciwnika, zbyt wcześnie świętującego już swe zwycięstwo... Szalona bójka skończyła się po kilku chwilach. Dwa trupy pozostały w płytkiej wodzie.

9 Października, Południe,
Brzeg Kamionki W Górnym Jej Biegu,
Nieopodal Obozu Henny

Sztafeta Henny - konna lub wielbudzia - może niezbyt, ale jednak wyprzedziła okręty Eldringów. Kamionka stała się rzeczką bardzo wąską i szybką. Kile „smoków" lada moment mogły zacząć zgrzytać po kamieniach dna. Na brzegach wypiętrzyły się wzgórza, z północy coraz pewniej stawiały się do przeglądu przednie oddziały zagajników i lasów. Tam, w przedgórzu, zleją się one w jeden zwarty zielony dywan, bez najmniejszej luki zaścielający ziemię.

Marynarz na oku gwizdnął perliście.

- Przystań!

- Zbroić się! - polecił natychmiast Wingetor, a dziesiętnicy podchwycili jego komendę. Któryś już z kolei raz, nie mogąc oderwać oczu, Folko gapił się, jak Eldringowie nakładają rynsztunek. Słońce południa paliło niemiłosiernie, miejscowi przedkładali nad ubranie luźne, powiewne białe szaty; północny rynsztunek nie nadawał się tu raczej, ale w ładowniach do świadczonego tana, który nieraz chadzał na Odległe Południe, znalazło się wszystko, co potrzebne i na taką okazję.

Dokoła przystani kłębiła się chmara ludzi. Wyglądało, że Henna nie zamierzał oszczędzać na przysłanej gościom z Północy eskorcie. Samej tylko jazdy wojowników w mieniących się na słońcu długich kolczugach i spiczastych stalowych hełmach Folko naliczył co najmniej setkę. Trzymając pionowo zdobione proporczykami kopie, zamarli w milczącym groźnym szeregu, gotowi w każdej chwili runąć do ataku połyskującą lawiną... A dokoła nich zgromadzili się łucznicy i procarze, oszczepnicy - prawie nadzy czarnoskórzy wojownicy - i inni czarnoskórzy - z długimi włóczniami, zwieńczonymi niezwykle szerokimi i wydłużonymi grotami - niemal długości mieczy. Nad samą wodą siedzieli w siodłach dwaj niscy - jeśli uwzględnić ludzkie miary - jeźdźcy, okryci wyzywająco prostymi brązowymi opończami. Nikt nie ośmielił się zbliżyć do nich bliżej niż na dziesięć kroków.

- To właśnie ci, o których opowiadałem, połówieczku - dał się słyszeć nad uchem hobbita skrzypiący głos. Garbus Sandello, uzbrojony od stóp do głów, podszedł bezgłośnie do burty i stanął obok hobbita. - Oni zastępują pastuchów... tego ludzkiego stada, które umiera z wrzaskiem „Henna!" na ustach...

- Słyszałem - odparł hobbit, nie odrywając spojrzenia od ludzi w brązowych opończach - że dziesięć lat temu... wielu umierało z wrzaskiem „Olmer!”.

- Earnil - sprostował garbus. - Nie Olmer. Armia znała go jako Wodza Earnila - nie pamiętasz?

- Co za różnica?

- Masz rację... - Sandello odwrócił się.

Wcześniej hobbit usiłował ostrożnie wypytać niezbyt rozmownego garbusa, co się dzieje na Wschodzie, jak się mają sprawy w Cytadeli i o inne takie rzeczy, ale natknął się na mur milczenia. Najwierniejszy z wojowników Olmera opowiedział tylko o jednej rzeczy. O swoim dziwnym, nieznanym na Zachodzie mieczu.

- Czasami trafiali do nas do Cytadeli - opowiadał - dziwni wojownicy, których skóra jest żółta, włosy czarne, a oczy skośne. Żyją oni na najbardziej wysuniętym na wschód skraju ziemi, gdzie nie sięga już wzrok Władców Zachodu. Dysponują dziwnymi talentami i wiedzą, dziwne są ich cele i drogi, niepojęte dla nas, którzyśmy wyrośli na drugim końcu ziemskiego Widnokręgu... Jakoś tak pojawili się w Cytadeli dwaj - młody chłopak i starzec, odziani w żałosne szmaty... Wszystko, co mieli, to para mieczy... i osobliwych włóczni, których ostrza, szerokie i zakrzywione, były jak jatagany. Młody zażądał - nie poprosił, tylko zażądał - przydzielenia mu jakiejś honorowej służby, oświadczywszy, że weźmie górę nad każdym, kto do walki stanie... Przypadkowo był tam Berel, który nie strzymał takiej bezczelności, wyszedł do pojedynku z nim... I omal nie pozbył się uszu. Zhańbiony, targnął się na życie... Wtedy wyszedłem ja. - Garbus rozciągnął wargi w czymś, co miało być uśmiechem. - Długo walczyliśmy... A ja nie mogłem go pokonać. Ja, Sandello - nie mogłem! Chłopak śmiał mi się w twarz. Ale i on nie mógł mnie razić, chociaż... kosztowało mnie to sporo trudu. Wtedy opuściłem miecz i powiedziałem, że chcę być jego uczniem. Ten bezczelny szczeniak znowu się roześmiał. „Gdzie ci, stary! - rzucił mi w twarz. - Zręcznie machasz tym swoim żelastwem, ale zaraz zobaczymy, co zrobisz, kiedy zacznę się bić na serio!”. Zaatakował... i tym razem rzeczywiście zacząłem się pocić. W końcu... w końcu potknąłem się. On wykorzystał to... i przystawił mi miecz do piersi. Wtedy... pokazałem mu, że walczyć można nie tylko mieczem, ale i nogami, nawet jeśli są to nogi garbusa. Odrzuciłem go, a kiedy w końcu wstał, to zrozumiałem, że odtąd będziemy walczyć na śmierć i życie. Miałem parę noży... już zastanawiałem się, czy nie powstrzymać chłopaka, raniąc go w udo - gdy wtrącił się jego stary towarzysz. Wszedł między nas - raz, dwa, zamach, drugi - i chłopak został bez broni, a starzec podszedł do mnie i skłonił się: „Uczyniłeś mu wielki honor, tak jak się go okazuje mistrzowi.

Prosiłeś, by pozwolił ci być jego uczniem. Odmówił, gdyż gniew zapanował nad nim. Wybacz mojemu nierozsądnemu synowi! Jestem gotów stać się twoim nauczycielem...". A kiedy się rozstawaliśmy - podarował mi to ostrze.

Folko potrząsnął głową. Sandello przypomniał sobie owo wydarzenie bardzo w porę. Na przystani było wielu ludzi, uzbrojonych w niemal takie same miecze i dziwne włócznie...

Do garbusa podeszła Tubala. Z całą pewnością wymógł na niej słowo, że nie będzie atakowała hobbita i krasnoludów. Ale czy zechce go dotrzymać, kto to wie?

- To tu? - Nie podarowawszy hobbitowi ani jednego spojrzenia, wojowniczka skinęła głową, brodą wskazawszy brzeg.

- Tu - potwierdził Sandello. - Spełnimy nasz obowiązek albo zginiemy.

- A ci - pogardliwie spojrzała na Folka - nie przeszkodzą nam? Bo jak tylko spróbują, to ja...

- Może byś mnie zapytała, co? - rozeźlił się hobbit.

Tubala przeszyła go nienawistnym spojrzeniem.

- Zemsta moja cię dosięgnie - syknęła.

- Gniew mój wszystko pokona. - Nie wytrzymawszy, Folko odpowiedział w podobnej manierze zapalczywej wojowniczce.

Torin i Malec, już w rynsztunku, na wszelki wypadek podeszli bliżej.

- Dość! - rzucił lodowatym głosem Sandello. - Mamy do wykonania wspólne zadanie... Będziemy się kłócili, gdy zostanie zakończone.

- Jakbyś wszystko wiedział o przyszłości! - prychnął Mały Krasnolud.

- Co wiem, to wiem - odparował garbus.

„Smoki" przybijały do przystani. Wingetor, w paradnej zbroi, w otoczeniu świty - potężnych dziesiętników - stał przy burcie. Ludzie w brązowych opończach jednocześnie unieśli nieuzbrojone ręce, jakby na znak pokojowych zamiarów.

- Nie spuszczaj z nich oka - jeszcze raz uprzedził hobbita garbus. - Jeśli tylko zaczną wywrzaskiwać to swoje „Henna! Henna!" - wal w nich bez namysłu. Bo inaczej oni wykończą nas.

Folko uniósł brew:

- Nie będę zabijał bezbronnych.

- Głupcze! - Przez policzek Sandella przemknął skurcz powstrzymywanego gniewu. - Biłem się z tymi gadami! Oni pędzą ludzi na śmierć niczym bydło do rzeźni.

- Powiedziałem. - Folko wysunął do przodu brodę.

Garbus westchnął, milcząc pokręcił głową, ale już się nie odezwał.

Burta „Rybołowa" dotknęła drewna przystani. Zaraz za nią przybił „Skrzydlaty Smok". Wingetor odwrócił się - Farnak ze swoimi już się zbliżał. Folko, Torin, Malec i Sandello z Tubalą skromnie trzymali się z boku. Ich czas nadejdzie później.

Ludzie w brązowych szatach śpieszyli się. Spotkanie z tanami odbyło się w połowie mola; wraz z Wingetorem i Farnakiem jako tłumacz poszedł Ragnur.

Zaległa cisza. Nie drgnęły szeregi wojowników na brzegu; milczeli Eldringowie, gotowi w każdej chwili wyciągnąć miecze i naciągnąć łuki. Jeden z posłańców Henny powiedział coś; w rozmowie, należało tak sądzić, posługiwali się haradzkim. Ragnur przetłumaczył - umyślnie głośno, by ludzie na statkach też usłyszeli.

- Najpokorniejsi słudzy świetlistego Henny, którym dozwolone zostało całować pył, po którym przeszły stopy jego, radzi są powitać odważnych gości z Morza!

Odpowiadał posłańcom Farnak jako starszy.

- I my jesteśmy radzi powitać was!... - Chciał dodać coś jeszcze, ale herold Henny przerwał mu, jak gdyby obawiając się, że nie zdąży powiedzieć wszystkiego, co ma do powiedzenia.

- Przybyliście tu niezaproszeni, ale nie ma to żadnego znaczenia. Jesteśmy radzi każdemu, kto chce otrzymać błogosławieństwo Boskiego Henny. (Ragnur zająknął się na „boskim", wyraźnie nie mogąc od razu przypomnieć sobie tego słowa). Boski Henna jest gotów przyjąć was. Jeśli chcecie zachować przy sobie broń - nie będziemy się upierać. Widząc na własne oczy Boskiego, odrzucicie sami wszystkie podejrzenia i staniecie w szeregach naszych wojowników.

- Nie sądzę... - mruknął Malec. - I, przy okazji, skoro już zapraszają nas w gościnę, to zamierzają może czymś poczęstować?

- Wątpię - zauważył sceptycznie Torin. - Popatrz na tych w brązowych szatach - skóra i kości! Ledwo żyją! Dmuchniesz, to odlecą...

Sandello tylko się uśmiechnął, słysząc naiwne przechwałki krasnoluda.

Maszerowali po udeptanej drodze. Farnak, Wingetor, Ragnur, Folko, Torin, Malec, Sandello z Tubalą i jeszcze dziesięciu Eldringów, takich mocarniejszych, wybranych przez samych tanów. Pozostałym gościom gospodarze zaproponowali tymczasem pobyt na statkach - co prawda na molo zaczęły od razu podjeżdżać wozy z prowiantem. Oczywiście, nikt nie zamierzał go dotykać - co to za gwarancja, że posłańcy sami go kosztowali! Może to były specjalnie znaczone kawałki... Uzbrojeni po zęby Eldringowie czekali.

Farnak i Wingetor chcieli najpierw ukryć Sandella i Tubalę, pod pozorem, że niby trwa na nich polowanie, i że gdy tylko zausznicy Henny zrozumieją, że to właśnie ci ludzie... Ale garbus tylko pokręcił głową:

- Nie. To moja sprawa i muszę iść do końca. Ona - wskazał na Tubalę - też.

Hobbitowi i jego druhom towarzyszył robiący wrażenie oddział wojowników Henny. Jak zakomunikował Ragnur, godności obu wysłanników przekładały się z haradzkiego mniej więcej jak „obdarzeni mocą Światła" - „grar' le' on pros'g".

- Coś jak tysięcznicy - wyjaśnił Khandyjczyk.

Kwaterę główną Henny tworzył ogromny koczowniczy tabor. Długie szeregi namiotów we wszystkich możliwych kolorach, wśród których wyróżniał się jedyny połyskujący czystym złotem. Tak wspaniała była praca tkaczy, że poły namiotu wydawały się być bardzo cienkimi, giętkimi arkuszami szlachetnego metalu.

- Skoro wszystko tu jest takie błogosławione, to po co im tylu strażników? - mruknął Folko pod nosem.

Hobbit wsłuchiwał się w siebie. Nie miał już żadnych wątpliwości - stał tuż obok serca i źródła tajemniczej Mocy. Tu, gdzieś w pobliżu, już nie była takim spopielającym wszystko ogniem. Wręcz przeciwnie - miękkim, ciepłym światłem, czułym i delikatnym. Co to za dziwna przemiana? Czy może wszystko zależy od tego, komu ta Moc jest podporządkowana? Ale w takim razie - kim jest Henna?

Niebiescy Magowie... czy też inni Słudzy Valarow, posłani do walki z Sauronem... Czarni Numenoryjczycy...

„Zresztą, zaraz sam to zobaczysz. Przypomnij sobie - długo i bezskutecznie ganiałeś za Olmerem, ścigając go po całym Śródziemiu... a teraz wszystko jest inaczej. Z przeszłością łączy cię tylko jedno - znowu uzurpujesz sobie prawo do sądzenia i ferowania wyroków. Zobaczyłeś, że zmienił się Eodreid... i postanowiłeś ratować Śródziemie przed nowym zagrożeniem. Wygląda na to, że ratowanie staje się twoim obowiązkiem... Oto, na przykład - zobaczysz zaraz Hennę... znowu, tym razem w swoim ciele, a nie tylko duchem, wejdziesz do złotego namiotu... i co uczynisz? Rzucisz się, by go udusić? Przypomnij sobie, jak żałowałeś, że nie zabiłeś Olmera w jego własnym namiocie, niechby i za cenę własnego żywota... Co, wszystko się powtarza? Wystarczy ci zręczności, by z trzydziestu kroków przebić nożem muchę... nie spudłujesz. Ale czy jesteś pewien, że masz prawo tak po prostu zabić tego człowieka? Przecież to nieważne, czy jego śmierć coś zmieni, czy nie... Och, co za niebezpieczne myśli... W ten sposób rozumując, można spowodować, że ręce we właściwym

momencie zadrżą... Pewnie, bo chwilami są mądrzejsze od swojego właściciela. Popatrz - czy ma coś wspólnego z upiorną atmosferą Mordoru? Czy to jest podobne do nieziemskiego Mroku, który tak rwał się do Szarych Przystani, pochłonąwszy już duszę i ciało Olmera, Króla Bez Królestwa? Nie! Niezliczone legiony pierzastorękich poległy w bitwie z Haradrimami, bitwie tak samo bezsensownej, jak i niepojętej. Noże rydwanów... Jak mogły one z taką łatwością ciąć ludzkie ciało? Jak ostre musiały być te ostrza?

I Sandello... Co wlecze go tu, do serca Płomienia? Znalazł tu drogę. Po co?... Kim jest dla niego Tubala? Kim w ogóle ona jest i dlaczego tak bardzo chce wypruć ze mnie flaki? Co ją tu ciągnie? Czy tylko chęć zemsty? Czy?...

Strażników dokoła coraz więcej... Na garbusa i Tubalę zezują coraz częściej i wcale się z tym nie kryją... Pojawił się trzeci kurdupel w brązowych szmatach... coś mówi do tych, jak im tam... grarleonprosgów... uf, język sobie można zwichnąć... A tu już namiot...".

Folko zmrużył oczy - i złota miękka pajęczyna spłynęła nań, owinęła, otuliła, zasnuła spokojnym błogim snem. „Oto i sam Henna... no to co... też mi - popatrzymy sobie i pójdziemy... i wszystko będzie dobrze... wszystko dobrze...".

Ocknijże się! - wrzasnął sam na siebie. - To pułapka! Pułapka!...

Plac z dwoma ogniskami. Tłumy strażników wypełniły szczelnie przestrzeń dokoła. Mały Krasnolud rozglądał się nerwowo i Folko zauważył, że ręka Malca niespokojnie dotknęła rękojeści.

„Co oni... Co oni mówią? Że należy przejść między dwoma ogniskami, żeby oczyścić się od złych pragnień?... Możemy przejść... A teraz co? Zostawić broń? To już gorzej... Ale - trzeba będzie... Co tam? A, Wingetor nakazuje świcie, by została i pilnowała broni... Słusznie... Jakby się coś działo - może zdążymy... Ale nie, nie zdążymy... O, ilu łuczników... Jeśli nie są głupi - naszpikują strzałami, nie wdając się w ogóle w bój...

Poła się odchyla... Dobra, wchodzimy!".

I - płomień po oczach! A pośród tego płomienia - wznosząca się ku niebiosom postać. Cała z ognia, złotego, purpurowego, rudego; a w tym ognistym żywiole wyróżniają się dwa jeziora oślepiającego Światła - oczy.

Folko zniknął. Znikli jego towarzysze. Zniknęło wnętrze namiotu. Zniknęło wszystko. To się nie zdarzało nawet w jaskini Wielkiego Orlangura.

Tak. To była Prawda. To było Wielkie Światło, Światło Promieniste, Światło Niespotykane.

Milczenie. Słowa nie są już potrzebne. Przed małym hobbitem, który nie wiadomo w

jaki sposób zamienił chochlę i sekator na sztylet i miecz, był Prawdziwy Władca. Dokoła nich - lśniący świat, świat, w którym nie zostało nic żyjącego, prócz czystej Mocy. I Folko patrzy w oczy Pytającego. I nie znajduje ani słów, ani siły, by się sprzeciwić. Tu nie używa się słów.

Płomień wdarł się do duszy hobbita. Głęboko, głęboko, aż do najskrytszych wspomnień. Jakimiż teraz głupimi i płytkimi wydawały mu się jego zamiary i plany! „Zabić", „rozprawić się", „zniszczyć"... Nie! Służyć Mu - oto prawdziwe szczęście!

„Stop. Czy już tak nie było, nie pamiętasz? - nagle powstała inna, szydercza myśl. - Przypomnij sobie, jak stałeś przed Olmerem... Właściwie, to już nie przed Olmerem, lecz przed Tym, Kto zawładnął nim... I wtedy też lały się strumienie jasnego, białego Światła... Wtedy też zawładnął duchem przejmujący, dławiący w gardle zachwyt...

A potem odezwał się głos - głos Olmera. «Zabij mnie!». I to zerwało kurtynę. A teraz? Może jednak otworzysz oczy?".

Spopielający wszystko blask zniknął. Czyste, krystalicznie czyste Światło ustąpiło miejsca normalnemu światu. Wewnątrz złotego namiotu na podwyższeniu stał wysoki, zupełnie zwyczajny człowiek, ten sam, którego Folko widział, gdy ostatnio skorzystał z pierścienia Forwego. I ta sama czwórka siedzących szeregiem... O, ten, to chyba Boabdil... A co z resztą, z towarzyszami?

„Jak ciężko... Czuję się, jakbym spoglądał w słońce"...

- Czy ty jesteś Henna? - Skrzypiący głos Sandella zerwał słodkie miraże. Nie okazując żadnego szacunku, garbus zrobił krok przed siebie. Pozostali, i krasnoludy, i Wingetor, i Farnak, i Khandyjczyk Ragnur - znieruchomieli w jakimś dziwnym oszołomieniu. Pewnie i Folko stał tak samo jeszcze kilka chwil temu...

Sandello odezwał się pierwszy, zmiatając wszystkie oznaki czci.

Przemówił Henna, i nie był potrzebny tłumacz, by zrozumieć wypowiadane gromopodobnym głosem słowa. Niemniej jednak tłumacz - nie Ragnur, tylko jeden z czwórki siedzącej w rzędzie, po lewej ręce od najbliższego Hennie - zaczął przekładać. Kwieciste, pochlebcze epitety Folko przepuszczał mimo uszu.

- ...Ja, pokorny Saladin... („Jak to, przecież chyba obiecywałeś, że przyniesiesz głowy elfickich potworów? Przyniosłeś? Czy nie? A jeśli nie - dlaczego nie ugotowano cię we wrzącym oleju?")... okazano mi zaszczyt... donieść do gości mowę wielkiego, potężnego („I tak dalej!")... Tak powiada Henna do gościa swego: dlaczego naruszyłeś pokój w ziemiach moich? Wiadomo mi, że z ręki twej padło niemało moich wojowników, a ja, Saladin, dodam - drzyj przed wszechwiedzą i wszystkowidzeniem Boskiego!

- Nie będę bawił się z tobą w słówka, Henno. Wiem, że mnie zrozumiesz. Przyszedłem zabrać to, co sobie przywłaszczyłeś. Odbiorę to, bo takie jest prawo silniejszego. - Sandello spokojnie postąpił o krok, nie zwracając uwagi ani na podrywających się na równe nogi doradców Boskiego, ani na gniewnie chwytającą za sztylet rękę samego Henny. Za garbusem niczym cień przemknęła Tubala.

Zwariował! Zgubi nas wszystkich! - tylko zdążył pomyśleć hobbit. Boski Henna coś ryknął - do namiotu ze wszystkich stron waliły straże - i ludzie, i pierzastoręcy.

Nagle oszołomienie znikło, jakby zaklęcie skuwające ich członki straciło moc. Sandello jednym ruchem wyciągnął zza cholewy krótki i cienki nóż. Tubala bez polecenia rzuciła się na znajdującego się obok niej strażnika. Torin potężnym uderzeniem odrzucił na dziesięć stóp najodważniejszego z wartowników - może był to również ten najmniej ostrożny. Farnak i Wingetor ustawili się plecami do siebie, odpierając ataki; z zewnątrz słychać było krzyki i brzęk stali - drużyna tanów starła się ze strażą Henny.

„Wszystko było wcześniej przemyślane. - Folko usunął się z drogi potężnej maczugi. - Henna wszystko obliczył z góry! Wiedział wszystko... i o mnie, i o Sandellu... A my - daliśmy się tak łatwo podejść".

W ruch poszły arkany, a nie było czym ciąć gibkich rzemiennych pętli. Pierwszy został powalony Farnak, za nim Wingetor. Lina owinęła się wokół ramion Torina, lecz potężny tangar, ryknąwszy z wysiłku, jednym ruchem rozerwał pętlę.

Sandello, niczym śmiercionośna czarna żmija, przemknął między wyciągającymi się do niego rękami. Jego krótki nóż już zdążył łyknąć krwi. Garbus rwał się do Henny. Zostawiając skrawki odzienia na pamiątkę tym, którzy wczepiali się w mego, w jednej chwili znalazł się obok Boskiego. Folko, sprytnie unikając lecących w jego stronę arkanów, zdążył zauważyć kątem oka atakującego już miecznika. W prawej ręce trzymał nóż, a w lewej przez mgnienie oka błysnął złoty okrąg Talizmanu... W tej samej chwili opończa Henny rozchyliła się. Wiszący na jego szyi kamień, który na pierwszy rzut oka wydawał się szary i niepozorny, nagle rozjarzył się od wewnątrz. W jednej chwili zniknęły niezgrabne i nierówne jego krawędzie; osłupiały hobbit zobaczył najpiękniejszy, z kiedykolwiek widzianych, skarb. To był brylant! Adamant najczystszej wody! W tysiącach powierzchni migotało magiczne, lejące się z wnętrza Światło.

Sandello zachwiał się i znieruchomiał, jakby uderzył piersią w niewidzialną przeszkodę. Na pomoc mu skoczyła Tuba la, ale jakiś sprytny wartownik był szybszy i rzucił się dziewczynie pod nogi.

Torin, roztrąciwszy strażników, w mgnieniu oka znalazł się przy garbusie, lecz było już za późno.

Henna nie unosił rąk, nie używał zaklęć ani czarów. Po prostu pod garbusem ugięły się nogi, runął ciężko i niezgrabnie na bok, a szarańcza natychmiast go oblepiła.

„Więcej nie da się już nic tu zrobić. Uciekaj!".

Mimo całej swej zręczności, w walce bez broni, bez - chociażby - kufla do piwa, hobbit nie był szczególnie groźny.

- Uciekaj, Folko! - dał się słyszeć rozpaczliwy krzyk Malca.

„Dokąd?!" - omal nie wrzasnął hobbit. Jednakże, kiedy udało mu się przemknąć pod już dopadającymi go łapskami, z rozbiegu rzucił się pod dolną krawędź namiotu. Taka tkanina powinna szczelnie przylegać do gruntu, ale hobbit miał po prostu niesamowite szczęście - po raz pierwszy chyba od czasu rozpoczęcia wyprawy. Przeturlał się pod płachtą... i znalazł na zewnątrz.

Dokoła namiotu wrzała bitwa na śmierć i życie. Doświadczeni, silni i dobrze uzbrojeni Eldringowie walczyli z zaciekłością, która powstrzymała nawet szturm wyborowych oddziałów straży Henny. Folko pognał w kierunku swych towarzyszy.

Bzyknęła pierwsza strzała. Wojownicy Henny wcale nie byli głupi. Rzuciwszy się na doświadczonych szermierzy- marynarzy, szybko zrozumieli, że nie był to najlepszy pomysł. Lepiej wysunąć przed front łuczników - i spokojnie rozstrzelać opornych Eldringów.

Po kolczudze przejechał ze zgrzytem krzywy miecz. Hobbit na moment stracił równowagę i zarył nosem w warstwę pyłu na ziemi.

- Mistrzu Folko! Co się dzieje? - wrzasnął czarnoskóry Braldo, jeden z dziesiętników Wingetora, którego hobbit poznał dawno temu w umbarskiej oberży tanów. Olbrzym kręcił młynka ogromnym młotem bojowym, ulubioną swoją bronią.

Łucznicy zbiegali się ze wszystkich stron. Przemknęła druga strzała, trzecia, czwarta... Zostawiając zabitych i rannych, wojownicy Henny z wolna opuszczali plac boju...

- Wynosimy się stąd! - machnął ręką hobbit.

- Nie odejdziemy! - ryknął Braldo, celnym uderzeniem miażdżąc pierś zbyt powolnie wycofującemu się strażnikowi. - Coś ty? Przecież tam jest nasz tan!

Przed namiotem stali już łucznicy niczym żywy kłujący mur.

- Zaraz nas wystrzelają! - wrzasnął rozpaczliwie Folko, ale było już za późno.

Strzały sypnęły gradem ze wszystkich stron. Eldringowie mieli dobry rynsztunek, jednak nie mógł on powstrzymać strzały z bezpośredniej odległości. Z przekleństwem na

ustach zwalił się jeden z odważnych marynarzy, za nim drugi. Strzała przeszyła kolczugę Bralda i olbrzym, ryknąwszy wściekle, wyrwał ją z zalanego krwią ramienia.

Trzy czy cztery strzały posłano do Folka. Mithril odbił je, ale i tak same uderzenia bolały - strzały były niemożebnie ciężkie.

- Za mną! - krzyknął hobbit.

Daremnie. Ocalali Eldringowie z chóralnym rykiem rzucili się na odgradzający ich od namiotu szereg łuczników. Przez chwilę Folko był sam... a za moment padła śmiertelna salwa. Rażony kilkoma strzałami olbrzym Braldo jeszcze trzykrotnie zakręcił swoim niszczycielskim młotem, a każdy zamach zabierał ze sobą życie pechowego wroga. Ale oto i ten groźny wojownik runął w pył - głowa jego natychmiast odcięta została bezlitosnym cięciem...

I wtedy Folko rzucił się do ucieczki. Do tchórzliwej, haniebnej ucieczki, ponieważ wybór był jasny: albo umrzeć teraz i tutaj, albo spróbować przeżyć i ratować przyjaciół. Przecież nie zabijano ich, pętano tylko, co znaczyło, że słaba, ale jednak, nadzieja pozostała...

- Hullahulalala! - Cała armia Henny pognała za hobbitem.

Uciekać! Nie biegnie, lecz frunie. Dziobnęła w ramię strzała. Celnie strzelają... Unik, skręt, skręt! Otwarte w krzyku usta, oszalałe wytrzeszczone oczy... i coraz silniejszy, palący duszę wewnętrzny ogień. Henna chyba poskładał wszystko i już co nieco zrozumiał...

Hobbit miotał się jak ścigany zając. Mithrilowa kolczuga w tej sytuacji mogła uratować go co najwyżej od przypadkowej strzały. Sztylet Otriny, miecz i łuk ze strzałami - tylko odsuną w czasie moment ostatecznej klęski. A on przecież musi...

Ledwie dysząc, Folko już za granicą obozu wbił się w ścianę zarośli. Za nim narastał tętent koni. Ratunku nie było. Jednak na razie wrogowie nie pojęli, gdzie podział się ten zwinny niczym wąż uciekinier, ale do odgłosu końskich kopyt dołączyło już hałaśliwe ujadanie psów. Sprawy przybrały więc fatalny obrót.

Folko czuł, że już nie jest w stanie zrobić ani kroku. Jeszcze trochę i będzie go można schwytać gołymi rękami.

„Nie, już nie będę dalej uciekał. Wybaczcie, bracia tangarowie, wybacz, Farnaku i Wingetorze... i ty, Sandello, też wybacz... Pewnie myślicie, że może wyratuje was z opresji zręczny hobbit, tak jak Bilbo wyciągnął przyjaciół krasnoludów z lochu Thranduila... a tymczasem zręczny hobbit po prostu szykuje się na śmierć...".

Zerwał z ramienia kołczan, ukrył się za drzewem, uniósł łuk. Dwa tuziny dobrych strzał... dobrych elfickich strzał... miał dziś ze sobą... wziął ze „smoka" właśnie te, jakby czuł... Jeszcze ma inne kupione u Radagasta, i nowsze - prezent od księcia Forwego... Zacisnął dłoń na

drzewcu, starając się wyrównać oddech...

Pierwszego napastnika zdmuchnął z siodła jak na turnieju strzeleckim - grot wpił się żarłocznie w wąską szczelinę pod podbródkiem jeźdźca. W ostatnim przedśmiertnym odruchu wojownik zamachał rękami... ciało jego zwaliło się na ziemię, pod kopyta własnego rumaka.

Druga strzała. I jeszcze jedna. Ale wojowników Henny dziś nic nie powstrzyma. Konie skaczą ponad leżącymi. Pościg coraz bliżej...

Tego Samego Dnia
I Prawie W Tym Samym Miejscu,
Szary I Eowina

- Wygląda, że tam coś się dzieje - zauważył Szary. - Ścigają kogoś...

Obóz Henny leżał przed nimi jak na dłoni. Tutaj setnik powoli odzyskiwał utraconą pamięć i stanowczo postanowił sobie, że „nadrobi" stracony czas. Co prawda, Eowina nie potrafiła wyobrazić sobie, jak można tego dokonać...

- O, patrz, kogoś schwytali! - Szary z nieukrywanym zainteresowaniem czemuś się przyglądał. - Nie... no zobacz!

Wyłoniwszy się ze złotego namiotu, ciągnął osobliwy pochód. Pod strażą, powoli maszerowało kilku ludzi, jak można było przypuszczać, jeńców. Dwaj wysocy, postawni mężczyźni, dwie postacie niskie i barczyste nad podziw, szczupła, raczej kobieca postać - Szary uniósł brew - i, na końcu, dziwnie wyglądający, mocno pochylony jeniec, z - chyba potwornie ciężkim - tobołem na plecach...

Oczy starego setnika nagle rozbłysły. Zniecierpliwiony strzelił palcami, jakby złoszcząc się na siebie samego, że nie może przypomnieć sobie czegoś niezwykle ważnego. Eowina widziała, że Szary nie odrywał wzroku od z wolna oddalającej się kolumny.

- Poczekaj! - wyrwało się jej.

Miała pewne przypuszczenia. Ci dwaj niscy siłacze - czy to nie bracia tangarowie Torin i Malec? Twarzy, oczywiście, z tej odległości nie da się rozróżnić... ale ci jeńcy tak przypominają krasnoludów! A gdzie w takim razie mistrz Holbytla?! Czy może?... Serce jej zalał ciekły lód.

Szary, zakłopotany i spięty, tarł czoło.

- Musimy ich ratować! - Eowina zacisnęła pięści.

- Kogo? Tych jeńców? Dlaczego musimy ich ratować? wzruszył ramionami Szary.

- Czyżbyś ich nie znał?! Wydawało mi się...

- Mnie też... wydawało się... Ale teraz mamy ważniejsze sprawy.

- To są moi przyjaciele! Krasnoludy! Torin i Strori! I mistrz Holbytla musi być z nimi! Na pewno mnie tu szukali!

W tym momencie dziewczyna nawet nie zdawała sobie sprawy, że plecie bzdury...

- Mistrz Holbytla? Albo...

- Albo Folko Brandybuck! Hobbit z Shire!

- Folko Brandybuck... - Głos Szarego nagle stracił swą dźwięczność. - Tak... przypominam sobie... - Niespodziewanie jego ręka dotknęła piersi, tam, gdzie - Eowina to widziała przecinała skórę niewielka, ale głęboka szrama, jaką pozostawia wbity sztylet albo nóż.

- Musimy ich uratować!

- Być może. Ale najpierw muszę zrobić to, co przygnało mnie tutaj. A potem - jeśli są moi - ja ich nie zostawię - zakończył niezrozumiale dla Eowiny Szary.

- A... co nas tu przygnało? Wiem, zwrócenie ci pamięci... ale jak?

- Wykonuj wszystko, co ci każę.

I Szary powrócił do obserwowania obozu.

Folko

Nie zauważył, skąd wymknęła się strzała, która wybiła z siodła kolejnego jeźdźca. Jakby nagle zrodziło ją samo powietrze. Strzała z białym opierzeniem, wyciosana, wydawało się, z lśniącego kryształu. Zaraz za pierwszą przemknęły, wyśpiewując swą pieśń śmierci, inne; pędzący jeźdźcy znajdowali swą zgubę w połyskujących srebrem grotach.

Dopiero gdy runął dziesiąty z rzędu wojownik, poddali się i wycofali. Folko oszołomiony rozglądał się - to, co się tu stało, zbyt przypominało cud, by mogło być prawdą.

I wtedy usłyszał znajomy głos:

- Oto i spotkaliśmy się ponownie, mistrzu Folko! Trzymaj! Pytania zostaw na później!

Coś rozwinęło się, na ramiona hobbita opadła jakaś miękka, delikatna, mglista materia. Chwilę przedtem ku zaskoczeniu hobbita pojawiła się twarz księcia Forwego!

- Potem pytania i odpowiedzi! Teraz uciekamy!

Wilgotny półmrok lasu wchłonął ich, rozpuścił w sobie, stopił z szalonymi splotami gałęzi. Gdyby któryś z nich przytulił się do drzewa - nie dojrzy go żadne oko. Opończe elfów Avari były lepsze nawet od słynnych lorieńskich; znakomicie ukrywały zwiadowcę, wróg mógł przejść o krok od niego i nic nie zauważyć...

- Stój nieruchomo! - szepnął książę.

Zamarli, przytuliwszy się do pomarszczonej kory jakiegoś leśnego olbrzyma. Napotkawszy nieoczekiwany, zaciekły i skuteczny opór, jeźdźcy Henny byli teraz mądrzejsi i ostrożniejsi; każdy cień wydawał im się być owym zaczajonym łucznikiem, który tak pewnie raził ich i towarzyszy, znajdując najmniejszą szczelinę w zbroi... Dziwne, ale straciły trop czujne psy; skowycząc i podwijając ogony, kręciły się w jednym miejscu, jakby przeklęty uciekinier poszybował prosto w niebiosa!...

Po dłuższej chwili pościg przemieścił się w inne rejony lasu. Szczekanie psów ucichło; zarzuciwszy tarcze na plecy, na ugiętych kolanach, jeźdźcy starali się możliwie szybko wynieść z zaczarowanych zarośli.

- Oto spotkaliśmy się znowu, Folko, synu Hemfasta! Forwe uśmiechnął się szeroko. - W szczęśliwej godzinie. - Wyciągnął rękę.

- Witam wysoko urodzonego... - zaczął Folko, ale elf nieoczekiwanie klepnął go w ramię.

- Przestań, jesteśmy na wojnie. A może ona być jeszcze straszliwsza niż z Olmerem.

- Książę!... Ale... skąd się tu wziąłeś?! I... Czy wiesz coś o Torinie i innych?

- Po kolei, przyjacielu mój, po kolei. - Forwe odrzucił do tyłu kryjącą twarz maskę z siatki. Miękko lśnił zielonkawy kamień na obręczy okalającej czoło. Czas nie zostawił najmniejszego śladu na pięknym obliczu księcia - może tylko na dnie oczu osiedlił się niemożliwy do usunięcia smutek.

- Skąd się tu wzięliśmy? Łatwo na to odpowiedzieć. Nie tylko ty poczułeś, że skądś z Południa leje się dziwne i straszne Światło, niemające nic wspólnego ze światłem, do którego już przywykliśmy. W Wodach Przebudzenia wszyscy się zaniepokoili. Także w Księstwie Środka. Wyruszyło kilka oddziałów zwiadowczych, mój jest jednym z nich. Sądzę, że ucieszysz się ze spotkania z niektórymi spośród starych znajomych.

- Czyżby Amrod, Maelnor i Bearnas? - wyrwało się hobbitowi.

- Oczywiście. Jak mógłbym się bez nich obejść?... Ojciec i dziad byli przeciwni mojej wyprawie, ale uparłem się. Sprawa jest poważna... Jednakże nigdy byśmy tak szybko nie znaleźli serca tego ognia, gdyby nie twój stary znajomy, a mianowicie - garbus Sandello. Wyśledziliśmy go... i spotkaliśmy obok Kamienia Drogi.

- Co to jest?

- Kiedyś ci opowiem. Tak więc, kiedy wartownicy, pełniący służbę na granicach Cytadeli Olmera, zameldowali, że garbus samotnie wyruszył na Południe, od razu pomyślałem, że sprawa nie jest czysta. Podejrzewaliśmy, że Sandello, odwieczny i wierny towarzysz Króla Bez Królestwa, też nauczył się wyczuwać niewidzialne... A poza tym - wziął ze sobą Talizman i... i czarne ostrze, które nosił Olmer. Spotkaliśmy się ze starym miecznikiem. Zaproponowałem mu, byśmy zapomnieli o przeszłości, ale... on się nie zgodził. Wtedy uczciwie uprzedziłem go, że będzie śledzony i nie uwolni się od nas ani nie oszuka. Garbus czuł nasz oddech na plecach... ale szedł dalej. Wraz z pewną bardzo dziwną wojowniczką, Tubalą, przebili się przez zapory Taregów - bo tak się zwie naród Henny i ruszyli dalej na wschód, po południowej stronie Grzbietu Hlawijskiego. Ścigano go zaciekle, ale on za każdym razem potrafił się oderwać, walcząc tak, że nie mogliśmy wyjść z podziwu. A jeszcze bardziej zdumiała nas nieprawdopodobna, nieludzka siła Tubali. Włada mieczem, który z trudnością uniósłby najmocniejszy wojownik. Śledziliśmy garbusa przez cały czas, aż do chwili, kiedy wziął go na pokład wasz okręt na Kamionce, jak zwą tę rzekę Eldringowie... Tak więc nie dziw się, że przybyliśmy ci na pomoc - sam Los nas tu sprowadził.

- Dziękuję - powiedział szczerze Folko. - Wam zawdzięczam...

- Zostawmy to - machnął ręką książę. - Całe Śródziemie winno ci podziękować - gdyby

nie twoja klinga, Olmer odniósłby całkowite zwycięstwo i jeden Eru wie, co stałoby się wtedy z naszym światem!

Hobbit wzruszył ramionami. Ostatnio nawet już myślał, że mocarstwo Olmera, być może, byłoby lepsze niż trwające nieprzerwanie wyniszczające wojny, które nie kończą się w Eriadorze. Ale głośno, oczywiście, tego nie powiedział.

- Powiedz lepiej, czego udało ci się dowiedzieć! - poprosił elf.

- Zapewne będzie to jeszcze dłuższa opowieść niż ta o Kamieniu Drogi - wzruszył ramionami Folko. - Na dodatek nie to jest w tej chwili najważniejsze. Torin, Malec i inni moi towarzysze - a przy okazji: Sandello i Tubalą też - trafili w łapy Henny. Mnie się udało cudem uciec... a potem ocaliła mnie twoja zręczna ręka, książę. Według mnie należy przede wszystkim ratować jeńców, a potem będziemy gadać o sprawach wyższych!

Książę skinął głową:

- Masz rację, mój drogi przyjacielu. Hej, Maelnorze!

Elf wojownik jednym płynnym, bezgłośnym ruchem znalazł się przy nich. Wydawało się, że to po prostu ożyło drzewo, niezbyt wysoki młody ent albo huorn - tak udane było maskowanie.

- Jestem, mój książę! Cieszę się, że widzę cię w zdrowiu, przyjacielu Folko!

- Będziesz musiał przedostać się do obozu Henny. Zmień opończę z lasu na step.

- Idę z nim! Nie powiesz, książę, że hobbici są głośniejsi od elfów?

- Nie powiem - uśmiechnął się książę Opornych. - Idźcie razem. Musimy dowiedzieć się, gdzie są przetrzymywani jeńcy, byśmy mogli uderzyć w nocy! Dobrze by było zdobyć konie... Mamy, co prawda, swoje, ale na dłuższą drogę przydałyby się luzaki...

- Konie - to inna sprawa - zauważył Maelnor. - Dobrze, by Bearnas z innymi ruszył i zdobyli z dziesięć, najlepiej z uprzężą. Przypuszczam, że druhowie Folka raczej nie są przyzwyczajeni do naszego sposobu jazdy...

Elfy od wieków nie korzystały ani z uzdy, ani z siodeł. Koń też może sprawić, że będzie się na nim jechało lepiej, niż siedziało w wygodnym fotelu - tak mawiali Pierworodni.

- Masz rację - skinął głową Forwe. - Wydam dyspozycje. A wy już idźcie! Póki pościg będzie przeczesywał lasy, nikomu nie przyjdzie do głowy szukać uciekiniera w obozie Henny...

- Ruszamy, przyjacielu. - Maelnor uśmiechnął się do hobbita. - Jestem rad, że znowu stanęliśmy obok siebie!...

- Ja też. - Folko ukłonił się ceremonialnie. - Pośpieszmy się! Co najjaśniejszy książę powiedział o tym płaszczu?

- O płaszczu? A, płaszcz - potrafi przyjmować różne kolory. W nim łatwo możesz udać kępkę na równej łące czy garb na stepie, czy zwiniętą połę namiotu. Wcześniej nie mieliśmy takich, potrzeba matką wynalazków!...

- Potrzeba? - zapytał hobbit. Szli przez las ku rosnącym na jego brzegu zaroślom, gdzie zaczynało się miasteczko namiotów. - Często walczyliście od czasu, gdy byłem w Wodach Przebudzenia?

- Zdarzało się - skinął nieznacznie głową elf. - Ale najważniejsze - po Wojnie z Olmerem, Wielki Władca, dziad naszego księcia... posłuchał rad młodszych. Przedtem zbyt wiele czasu poświęcaliśmy na śpiewy, na rozprawianie o pięknych i nieziemskich sprawach, za bardzo pogrążyliśmy się w interesujących, ale oderwanych od rzeczywistości rozmyślaniach... To jest, oczywiście, potrzebne, wręcz konieczne do życia, ale nie można całkowicie oddalić się od Świata rzeczywistego. Mimo naszej magii! Owszem, nikt teraz nie ma dostępu do Wód Przebudzenia, ale my wiemy już, że nie można tworzyć piękna tylko dla siebie, nie wolno odwracać się z pogardą od wojen i niedoli, które dotykają ów nieszczęsny Świat poza kryształowymi ścianami naszych włości... A żeby wejść do tego Świata i nie ginąć niepotrzebnie, potrzeba rynsztunku i broni... I opończe, takie jak mamy teraz, też są przydatne. Obecnie dobry tkacz, który potrafi nie tylko utkać opończę, ale dodać do niej silne czary, jest szanowany i ceniony nie mniej niż dobry minstrel! Dawniej nie było tego w naszym Świecie! I nie wszystkim to się podoba... Ale my jesteśmy z domeny Forwego, z jego oddziału, i nikt z nas nie chce siedzieć w pałacu Wiecznego Władcy... Kocham przestrzeń i powietrze, Folko! Duszę się za murami, nawet jeśli są to mury magiczne i nie stoją na drodze ani wiatrom, ani światłu. Och, coś się rozgadałem... Idziemy na zwiad, a rozmawiamy o sprawach wiecznych. - Roześmiał się cicho.

- Zgadza się - odparł Folko. - Patrz, prześwit. Dalej już jest otwarta przestrzeń! Pełzniemy?

- Myślę, że trzeba będzie. Jeden pełznie, drugi osłania. Kierujmy się na tamten namiot!... Lepiej by było w nocy, ale skoro tak wyszło...

- Kto wie, może ich stracą o zmierzchu - zauważył ponuro hobbit, przyklękając. - Nie możemy czekać!

Maelnor zapiął opończę i zręcznie ułożył się obok hobbita.

- No, pełzniemy!

Poszli. Mimo że zaczął się październik, trawa była soczysta i zielona. Posuwali się na zmianę - póki jeden obserwował drugi parł do przodu. Potem zmieniali się rolami, nie oddalając

zbytnio od siebie. Bez trudu dotarli do stojącego z brzegu namiotu, ukryli się za nim. Folko ze zdziwieniem zauważył, że jego okrycie zlało się z tkaniną samego namiotu - nie dało się ich odróżnić.

- Widzisz teraz? - powiedział elf, nie bez przechwałki w głosie. - No, ruszajmy! Skokami!

Kwaterę Główną Boskiego Henny wypełniali ludzie. Byli tam i czarnoskórzy, i pierzastoręcy, i orlonosi Taregowie o smagłych obliczach, i jeszcze jacyś inni, nieznani... Dziwnie i różnorodnie uzbrojeni, w jaskrawych odzieniach; mało kto miał pancerz czy kolczugę. Co prawda, Folko też by nie wytrzymał w swojej kolczudze, gdyby była ze stali, a nie z mithrilu...

Skradając się, krótkimi skokami, zwiadowcy przedostali się bliżej do centrum obozu. Niekiedy przyszło długo czekać póki nie zwolniła się droga.

Jednakże im dalej, tym trudniej było się poruszać, w końcu szlak całkowicie został zamknięty.

- Musimy inaczej - szepnął do Maelnora hobbit. - Musimy wstać i iść, jak gdyby nigdy nic. Ci, którzy się nie kryją, nie wzbudzają podejrzeń...

- Chyba nic innego nam nie pozostaje - zgodził się elf.

Strażnicy byli niemal przy każdym namiocie. Maelnor wyciągnął dłonie nad opończę hobbita, mruknął coś cicho, rozglądając się na boki - i okrycie Folka nagle nastroszyło się, zmieniło kolor, upodabniając hobbita do snujących się po obozie wojowników. Oczywiście, uważne czujne oko, przyjrzawszy się, wykryłoby maskowanie, ale nie można było uniknąć ryzyka.

Z zatroskanymi minami, nie rozglądając się na boki, pomaszerowali w głąb obozu. Manewr udał się znakomicie - szeregowi strażnicy nawet nie popatrzyli w ich stronę, a dowódcy, jak należało przypuszczać, niechętnie chodzili po terenie. Folko i Maelnor bez przeszkód dotarli do pamiętnego placu przed namiotem Henny. Ciągle płonęły tu dwa ogniska; ciała zabitych uprzątnięto, plamy krwi zostały posypane świeżym piaskiem. Namiot otaczał potrójny pierścień straży.

- Nie rozglądaj się! - szepnął hobbit. - Usiłuję zlokalizować Torina... dowiedzieć się przynajmniej, czy żyją...

Elf skinął głową. Minęli placyk, ponownie zanurzyli się w labiryncie namiotów i daszków. „Na pewno musieli ich ukryć gdzieś w głębi. Henna nie zadowoli się zwykłym namiotem. Loch, jeśli nawet tu jakiś ma, to chyba nie głęboki... pewnie raczej coś w rodzaju

wykopu... zasłonięty od góry... Szukaj, hobbicie, szukaj!”.

Ale pamiętał Folko również i o zagadkowym kamieniu na piersi władcy. Czy nie on właśnie promieniuje tym szalonym płomieniem? Wydaje się, że tak, chyba tak... Adamant... Adamant Henny... z powodu którego przelało się już tyle krwi, że nie śniło się nawet Olmerowi!

Zwiadowcy mieli szczęście. Przemierzywszy obóz od krańca do krańca, z powodzeniem uniknąwszy czujnych spojrzeń strażników i dość bezceremonialnej gościnności Taregów, znaleźli to, czego szukali.

Pomógł im Malec. W niewoli Mały Krasnolud rozładowywał napięcie w ten sposób, że przeklinał we wszystkich znanych sobie językach - Wspólnej Mowie, rohańskim, narzeczu Beorningów, mieszkańców Królestwa Łuczników, nie gardząc nawet słownictwem z Czarnej Mowy. Klął nieustannie, tworząc niewyobrażalne kombinacje - tak że od czasu do czasu słychać było protesty oburzonej Tubali. Jedną z takich tyrad usłyszeli właśnie Folko i Maelnor.

- Nie zapominaj, głąbie nieokrzesany - jestem damą! wrzeszczała Tubala.

Namioty w tym miejscu były ustawione w krąg. Przestrzeń między nimi została wydeptana do cna, na środku ustawiono płot, nie dla zapobieżenia ucieczce jeńców, lecz dlatego, że napierali swoi ludzie. Za płotem przechadzała się szóstka strażników z obnażonymi mieczami. Nieopodal nudziły się dwie pary łuczników, również przydzielonych do ochrony jeńców.

Na środku placu Folko zobaczył okrągłą dziurę w ziemi, przesłoniętą gęstą drewnianą kratą z grubych, okorowanych bali. Między nie z trudem wsunęłaby się nawet szczupła ręka hobbita.

Dokoła płotu zebrało się mnóstwo gapiów. Folko musiał znaleźć sposób, by choć pobieżnie obejrzeć wejście do więzienia.

- Wszystko jasne, wracajmy - rzucił szeptem Maelnor. Zapamiętałem wszystko. W nocy wrócimy tu. Sprawa nie będzie trudna. Strażników - strzałami... więźniów wyciągniemy linami. Wracamy!...

Szary I Eowina

- Kiedy wzejdzie księżyc... - rzucił Szary i urwał. Odwrócił się na plecy i przesłonił zmęczone oczy dłonią. - Dzisiaj w nocy - dodał, nie kończąc. - A jutro, jeśli wszystko się uda - u naszych stóp legnie całe Śródziemie. Chcesz tego, co? Podbiję całe Śródziemie i rzucę ci do stóp.

- O czym ty mówisz? - Eowina patrzyła na setnika szeroko otwartymi ze strachu oczami. Nie, on naprawdę oszalał... Żeby takie rzeczy wygadywać...

- Myślisz, że zwariowałem? - Znużony, odruchowo potarł czoło. - Rozumiem cię, rozumiem... Staruch z utraconą pamięcią, bełkocący o władzy nad Śródziemiem! Śmieszne... oczywiście, że śmieszne. Mnie też by to rozbawiło. Ale o wiele śmieszniejsze jest to, że moje słowa są prawdziwe. Tak, tak, Eowino - wszystko, co usłyszałaś, to czysta prawda! Kiedy mówię, że mogę podbić Śródziemie - tak właśnie jest. Temu bałwanowi Hennie udało się przejąć potworną, niewyobrażalną Moc... Moc, która przyszła z tak odległej przeszłości, że nawet elfy o niej zapomniały! Nie wie, głupiec, jak tę Moc wykorzystać... Wystarczyło mu pomysłu tylko na to, by wysłać nieszczęsnych pierzastorękich na rzeź... Teraz ja przejmę Serce Wielkiej Mocy. Przywróci mi ono pamięć... - Nagle uśmiechnął się, lecz był to uśmiech pełen goryczy, zmęczenia i smutku. - A właściwie - po co? Z przyjemnością podbiłbym Śródziemie... uczyniłbym cię królową... i wróciłbym do tego cienia, z którego wyszedłem. Do Morza, które mnie odrzuciło... Nie wiem, kim byłem. Mogę się tylko domyślać... zważywszy na sposób, w jaki władam mieczem. Ciekawe, jakie otchłanie otworzą się przede mną, gdy całkowicie wróci mi pamięć? Przecież były tam i strach, i lęk, i ból - lecz tego się nie obawiam. Tam była też krew - ale czy życie nasze nie jest okrutne już od urodzenia? Było tam również coś ciemnego, niekształtnego, strasznego... ja... walczyłem... z tym... i, jak mi się wydaje, przegrałem. Ale chcę spróbować jeszcze raz! Chcę usłyszeć, jak trzaśnie krtań mego wroga pod naciskiem mych rąk! Nigdy nie przegrywałem - a wtedy przegrałem! Nie mogę tego znieść! Rozumiesz?

- Rozzumiem - wykrztusiła Eowina.

Dziewczyną znowu zawładnęła potężna wola tego człowieka, wola, która niosła ich gdzieś przed siebie, do ostatniej walki z nie wiadomo kim. Teraz Szary tłukł się o pręty niewidzialnej klatki, ale młoda Rohanka czuła: jeśli te niewidzialne mury upadną, to Szary się zmieni. Całkowicie. Zniknie Szary, prosty rybak, niewolnik Wielkiego Tcheremu. Kto go zastąpi? Czyżby naprawdę wielki zdobywca, który pchnie całe Śródziemie w pożogę

wyniszczającej wojny?

Zrodziło się mocne jak rohańska stal, jak upór młodego rohańskiego rumaka przekonanie: „Muszę mu przeszkodzić! Prawdą jest, że uratował mnie, ale to szaleniec. Potrzebny jest mu dobry lekarz i troskliwa opieka. Serca, o którym przez cały czas gada, nie powinien zdobyć! Jeśli będzie do tego dążył, to dostanie je po moim trupie!”.

Szary tymczasem leżał spokojnie, milczał, uważnie przyglądając się swojej towarzyszce. Potem odezwał się ponownie:

- Nie śpieszmy się. Ja rozumiem, że każda z was, którą obdarzono imieniem Eowina, przez całe życie w tajemnicy marzy o tym, by spotkać swego Wodza Nazguli... spotkać i pokonać go, dorównując w ten sposób swojej wielkiej imienniczce... Ale nie sądź pochopnie! Nie śpiesz się nazywać mnie szaleńcem! Czy przez cały czas, od kiedy wędrujemy razem, nie udowodniłem, że tak nie jest?

Dziewczynie język przywarł do podniebienia, nie mogła wykrztusić ani słowa. Wszechwiedza i przenikliwość tego człowieka dosłownie wstrząsnęły nią. Czytał w jej myślach jak w otwartej księdze.

- Boisz się mnie - powiedział w końcu Szary z wyrzutem. - Chyba nie uważasz, że mogę przeniknąć do twego umysłu? Zapewniam cię, że tak nie jest. Po prostu nie sprawia mi żadnego trudu odgadnięcie, o czym w tej chwili myślisz... A zresztą wy, z Rohanu, nie potrafiliście nigdy ukrywać swoich zamysłów. Jesteście prości jak drzewce kopii!... Dlaczego wówczas nie byliśmy razem?... - powiedział nagle, ni w pięć, ni w dziewięć, jakby pytał sam siebie. - Ale dość. Eowino, masz swoją szablę. Przysięgam na swoje jeszcze nieodkryte imię nie będę się bronił, jeśli uznasz, że trzeba mnie zabić. Oddałbym ci mój miecz, lecz tej nocy mi się przyda, wybacz, więc. A potem... Czuję, że stoję o krok od Wielkiej Mocy. Nie mogę się mylić - czy nie wyrwałem cię z płomieni? Tak, więc... Pomyśl - może bycie królową Śródziemia nie jest złym losem dla dumnej córy Rohanu?

Eowina milczała. Całym sercem wierzyła, że Szary nie kłamie. Mówił prawdę, być może nigdy nie zdobył się na taką szczerość, nieważne - w tym życiu czy w tym poprzednim. Otwierał przed nią ciemne otchłanie swojej duszy, gdzie kłębił się nieprzenikniony czarny dym bólu, gniewu i strachu. Nie ukrywał niczego. Domyślała się, że nawet jeśli nie uda im się zawładnąć owym tajemniczym Sercem Mocy, to i tak Szary nigdy już nie będzie z nią rozmawiał w ten sposób. W najlepszym razie - obdarzy ją zimnym uśmieszkiem. Będzie natomiast zwyczajny, otwarty, nawet czuły - dla innych. Ale z nią, z nią, która widziała go takim, jakim jest w tej chwili - nigdy! Dlatego wykupuje się, proponując najwyższą cenę, jaką

może zaoferować śmiertelnik. Nie swoje życie, bo co tam - życie! Zdarza się, że i żałosny tchórz, czerpiąc siły z własnego strachu, wbija w siebie sztylet. Nie - Szary chce oddać to, co wy maga żelaznej woli, wielkiej siły i nieopisanego okrucieństwa, to coś, co wzbudzi wściekłość i gniew Valarow.

Milczenie przeciągało się. Zresztą - wcale nie było męczące. Szary czekał, czekał spokojny. A Eowina rozumiała, że od jej decyzji nic już nie zależy, że naprawdę zostało jej tylko jedno - zabić tego człowieka, ponieważ nie da się go już powstrzymać w inny sposób. Bo on pójdzie dalej, nie bacząc na nic. Nie przeszkodzą ani strzały, ani włócznie wrogów - pokona wszystko, wykorzystując tę ślepą, niszczącą Moc, która już uwiła gniazdko w jego duszy.

Pójdzie po trupach. A skoro tak - Eowina powinna go zabić. Powinna, cokolwiek się stanie. Nie bacząc na to, że ma dopiero piętnaście lat. Zresztą, jej ręce i tak już są splamione krwią...

„Ale to co innego! Ręce splamione krwią?! Krwią pierzastorękich, których zabijałaś, żeby ocalić własne życie! A teraz zamierzasz sądzić Szarego!”.

- Uspokój się, dziewczyno. - Stary setnik wstał. - To wszystko tylko wydaje się okropne. Nie dręcz siebie. Powiadam ci - nie będę się bronił. Zabijesz mnie, jeśli uznasz za konieczne. Powiem więcej - sam cię będę prosił o śmierć... jeśli zobaczysz, że Serce Mocy, do którego dążę, zmienia mnie, robi ze mnie... robi ze mnie coś potwornego. Oczywiście słuchałaś bajek, w których bohaterka winna była zabić ukochanego, by uchronić go przed znacznie gorszym losem? Tak więc bądź gotowa zrobić to właśnie teraz. Wiadomo, że nie jestem twym ukochanym, ale mi wszystko... Uszanujesz moją prośbę, prawda?

Eowina zdobyła się na milczące skinienie głową.

- No i świetnie. Wierzę w to bardziej niż w jakieś wymyślne przysięgi. - Wyszarpnął z pochwy miecz i zaczął ostrzyć klingę. - Nie stój tak bezczynnie! Sprawdź swoją szablę. Nie powinna cię dziś zawieść. Zawierzasz jej swe życie. Dawaj, dawaj - sprawdzaj! Mam dla ciebie kamień szlifierski. Zajmij się czymś, bo jak nie ma dla rąk zajęcia...

Dziewczyna posłusznie wyjęła szablę.

- Żeby mi błyszczała! - powiedział surowym tonem, dokładnie jak królewski setnik, szkolący poborowych. - Miej na uwadze, że sprawdzę!

- A jeśli nie będzie błyszczała? - wypaliła Eowina, zebrawszy całą odwagę.

- Wytnę witkę i wysiekę - zagroził Szary.

10 Października, Noc,
Kwatera Główna Henny,
Folko, Forwe, Elfy

Noc była nad podziw cicha. Cudowne, niezwykłe zapachy drażniły powonienie, łaskotały niczym dokuczliwe mrówki. Folko leżał na skraju lasu. Przed nim rozpościerał się obóz grzmiały bębny i grzechotki, rozlegały się wrzaskliwe pieśni i pijackie okrzyki podchmielonych wojowników Henny. Wysoko w niebo wzbijały się kąśliwe iskry licznych ognisk. O zachodzie słońca wrócił do obozu wysłany za Folkiem pościg. Hobbit zdążył zauważyć, że jeźdźcy wieźli ze sobą jakąś spętaną postać. Wkrótce ów nieszczęśnik został szybko i zręcznie pozbawiony głowy przez obozowego kata. Folko zastanawiał się chwilę, czy to aby nie pechowy setnik, dowodzący pogonią za nim, zapłacił życiem za nieudaną wyprawę, a jego, hobbita, szczęśliwe spotkanie z elfami.

Egzekucja nie wywołała w obozie żadnego wrażenia. Widocznie takie rzeczy były tu na porządku dziennym. Trup został odciągnięty poza teren i porzucony. Wystarczyło, by ludzie odeszli, a z gęstniejącego mroku do martwego ciała wypełzły jakieś niskie, przywierające do ziemi stwory ni to wielonogie węże, ni to wężowate wielonogi... Dał się słyszeć chrzęst i mokre mlaskanie, któremu towarzyszyły wściekłe, zduszone syki. Nocni padlinożercy ucztowali. Folko obejrzał się - przez moment wydawało mu się, że już czuje obrzydliwe dotknięcia zimnych, pokrytych łuską ciał. Ale nie - wyglądało, że miejscowe stwory zostały dobrze ułożone i wiedzą, na kogo mogą zapolować, a przed kim nawet nie ważyć się rozewrzeć pyska. Żaden z nich nie zbliżył się do hobbita.

- Widziałeś? Co za ohyda - szepnął na ucho Folkowi leżący obok Bearnas. - Skąd to się bierze? Nic innego, jak spuścizna po Melkorze!

- Nie wymawiaj tego imienia! - zbeształ elfa wojownika książę Forwe. - Nie ma co przywoływać jego cienia. Wystarczy Zła w tym miejscu...

Księżyc przesłoniły chmury. Nic lepiej nie mogło sprzyjać powodzeniu planu hobbita. Elfy świetnie widzą w ciemnościach; Folko, mimo że widział gorzej, też nie spudłowałby na sto kroków w mroku, który dla zwykłego człowieka był ciemnością nieprzeniknioną.

- Idziemy. - Forwe podniósł się z ziemi. - Nie myślcie teraz o tym Hennie!

- Stójcie! - wykrzyknął nagle hobbit. - Jakże mogłem zapomnieć! Nie możecie, nie wolno wam nigdzie iść!

- Dlaczego? - zdziwił się książę.

- To ja, ja, ja jestem wszystkiemu winien... - I hobbit, jąkając się, śpiesząc się i połykając w pośpiechu końcówki słów, opowiedział przyjaciołom Avarim o swoim widzeniu, o tym, że Henna potrafi chyba coś widzieć za pośrednictwem „darowanej mu Mocy", o tym, że żądał dla siebie „głów boguzbrzydłych elfów"...

- Wiedzieliśmy, że nas ścigają - powiedział wolno Forwe. - Ale nie chcieliśmy dopuścić do przelewu krwi i dlatego tylko myliliśmy tropy i zwodziliśmy pościg na manowce. A tu się okazuje...

- Zgadzam się z Folkiem. Przed nami na pewno jest zasadzka - mruknął posępnie Amrod. - Henna wykorzystuje jeńców jako przynętę. Może nawet wcale nie chcieli cię doścignąć, bracie hobbicie... Ten drań świetnie wiedział, że nie porzucisz swych przyjaciół w niedoli.

- Cokolwiek się dzieje, teraz już nie możemy się wycofać - zauważył spokojnie Maelnor, - Nawet jeśli czyha na nas pułapka, powinniśmy działać. Bo inaczej... - Zamilkł, ale nie musiał nic więcej mówić.

- Tak, Maelnor ma rację - skinął głową książę Forwe. Zielony kamień na jego obręczy jarzył się delikatnie. - Nie możemy się wycofać. Idziemy!

Siedem cieni bezszelestnie ruszyło przed siebie.

Ten Sam Czas I Miejsce,
Szary I Eowina

Klinga z lekkim szelestem wysunęła się z pochwy.

- Dobijaj tych, których tylko zranię - rzucił do dziewczyny Szary, podnosząc się z ziemi.

Słabe księżycowe światło padało na długie ostrze, upodabniając miecz do strasznych morgulskich kling. Towarzysz Eowiny wyszedł z ukrycia w zaroślach i, zarzuciwszy broń na ramię, pomaszerował prosto w kierunku namiotów.

10 Października, Noc,
Lasy Południowego Haradu,
Na Szlaku Do Pola Bitwy Z Pierzastorękimi

Nigdy jeszcze Millog nie wpadł w takie tarapaty. W milczeniu, pokornie wlókł się za ciągle go zadziwiającą parą współwędrowców. Nie można powiedzieć, by odnosili się doń źle albo że, powiedzmy, był traktowany jak służący. Wcale nie. Złotowłosa piękność i jej towarzysz często i długo rozmawiali z nim, wypytywali o życie, o mieszkańców jego rodzinnej wsi, o ich obyczaje i zajęcia, o to, co on sam przeżył podczas dni Wojny... I Howrar opowiadał. Nie mógł powstrzymać się od paplania ani skłamać. Jedno spojrzenie magicznych oczu pozbawiało go wszelkich myśli o sprzeciwie.

Nikt też nie krzywdził psa. Ale ten na wszelkie próby złotowłosej, by jakoś się pogodzić, odpowiadał warczeniem, z którego - co prawda - przebijała niemoc, ale też i niemal ludzki smutek. Jadł tylko to, co udawało mu się schwytać w okolicznych zaroślach, mimo że współtowarzysze Milloga mieli spory zapas dziwnych placków. Po zjedzeniu nawet kawałeczka takiego, Howrar przez cały dzień rozkoszował się błogim uczuciem sytości, jak w czasach, kiedy służył jako poborca podatkowy...

Millogowi zdarzyło się, że usiłował sam zadać kilka pytań, ale wszystkie jego usiłowania gasiły pobłażliwe, a jednocześnie nieprzeniknione uśmiechy pary wędrowców. Uśmiechali się czule i życzliwie, mężczyzna klepał Howrara po ramieniu (sam Millog nie potrafił sobie wyobrazić czegoś takiego w stosunku do niego) i natychmiast kierował rozmowę na inne tory.

Może i niespecjalnie rozgarnięty, Millog jednakże rozumiał, że nieoczekiwani współtowarzysze podróży, którzy tak szybko i ostatecznie go zniewolili, szczególnie są zainteresowani Olmerem Wielkim. Z nieukrywanym zainteresowaniem i uwagą wysłuchiwali wszelkich, nawet najdrobniejszych szczegółów, jakie zachowała niezbyt dobra pamięć Howrara.

...Millog przeżył straszliwą potyczkę nad Anduiną, kiedy jego tratwa na samym początku bitwy została poczęstowana kamieniem z katapulty. Porzuciwszy tarczę i miecz, Howrar zdołał się uczepić jakiejś belki i udało mu się przedostać na brzeg. W czasie boju z niezwyciężoną westfoldzką falangą Millog mocno oberwał w głowę, i do końca bitwy walał się na ziemi, nieprzytomny. Potem był Łuk Iseny, gdzie oddziały Howrarów długo i bezskutecznie

usiłowały przełamać rohański szyk, i tu Millog, umiejętnie lawirując, kiedy trzeba - wycofując się do tylnych szeregów, kiedy indziej - ponownie wysuwając się na czoło - wyszedł z bitwy bez najmniejszego zadrapania, choć w jego tysiącu poległo trzy czwarte wojowników. A potem nadeszły czasy już weselsze. Jedno po drugim kapitulowały arnorskie miasta... ale na nich zaraz kładły łapy ulubieni Wodza Easterlingowie, i nadzieje Milloga, że dojdzie do miłego łupienia, nie ziściły się.

Najgorzej było pod przeklętą elficką twierdzą. Wódz - kto wie dlaczego! - najpierw poprowadził na szturm oddziały ludzkie, pozostawiwszy orków, trolli i innych nieludzi w odwodzie. Oddział Milloga był wyznaczony do pierwszej wieży szturmowej i gdy obrońcy twierdzy podpalili maszynę oblężniczą, Milloga uratował tylko prawdziwy cud. Miał w ręku topór; ściąwszy nim jakąś linę, Howrar wyrzucił jej koniec ze strzelnicy i zaczął po niej zjeżdżać. Co prawda szalejący w wieży płomień przepalił sznur i Millog runął na ziemię, ale było już do niej blisko, zapłacił więc za upadek tylko kilkoma złamaniami. Nic takiego, nosił jakiś czas łupki, potem zdjął i chodził normalnie. Dopiero teraz stare kości dały o sobie znać, bolały na zmianę pogody... Książę za rany i kontuzje odwdzięczył się wojownikowi, dając mu ważną i sytą funkcję poborcy podatków. Millog służył mu więc wierniej niż pies. Wiedział, że w razie czego chlebodawca nie będzie się długo zastanawiał, wyśle do lasu, na wyrąb, i po krzyku... Żegnaj wtedy, miękka pościeli, dobre jedzonko i miła żonko... Nieważne, że cudza, nie swoja...

A potem nawinął się Szary... Szukaj go teraz po całym Śródziemiu...

Rozmowy te nieodmiennie kończyły się tym samym - mężczyzna poklepywał Milloga krzepiąco po ramieniu, a kobieta mówiła:

- Nie bój się. Zły Los cię nie dosięgnie.

Howrar, nawiasem mówiąc, nie zdecydował się zapytać swoich towarzyszy wędrówki, jak się nazywają...

10 Października, Noc, Obóz Henny,
Folko I Elfy

Niczym bezszelestne, nieważkie cienie przemknęli ku namiotom. Rozpłynąwszy się w mroku, będąc mniej wyczuwalni niźli lekki leśny wiaterek, hobbit i elfy ostrożnie zbliżali się do pierścienia wartowników. Na noc Henna wystawiał posterunki i czaty. Ale czy zwyczajni Śmiertelni są w stanie zobaczyć, w nieprzeniknionym południowym mroku nocy, Pierworodnych, na dodatek owiniętych w maskujące opończe? Bez najmniejszego dźwięku Forwe i jego oddział przeniknął obok wartowników, nie odbierając ani jednego życia.

Dół, w którym trzymani byli jeńcy, znajdował się nieopodal północnego skraju obozowiska. Dokoła płonęły ogniska, chodzili w tę i we w tę wojownicy, trwały uczty i poczęstunki, pieczono na rożnach mięsiwa i stały otwarte beczki z napojami. Ale wewnątrz ogrodzenia nadal przebywali trzeźwi i czujni strażnicy. Tuzin łuczników... osiemnastu mieczników... miecznicy wewnątrz ogrodzenia, łucznicy na skraju wolnej przestrzeni... I co najmniej pół setki podchmielonych wojowników dokoła. I te trzy tuziny kobiet!... Folko zacisnął zęby. Widział, że sprawa będzie trudna.

- Jak na razie nie widzę żadnych pułapek - zaszeleścił nad uchem głos Forwego.

- Czekają, aż my zaatakujemy - odparł hobbit również szeptem.

- Jaki w tym sens? Przynęta jest tu, my też. Skoro nas widzi...

- Po co budzisz licho, skoro siedzi cicho - rzucił Folko, zapomniawszy o królewskim pochodzeniu rozmówcy. - Idziemy, na co jeszcze czekać? Myślisz, że oni tu w końcu się uspokoją?... Raczej nie, a i tak już minęła połowa nocy...

- No więc zaczynajmy - usłyszał głos księcia i natychmiast po tym - chór puszczanych cięciw.

Strzały z białym opierzeniem przeleciały ponad placem niczym błyskawice. Siedmiu łuczników mierzyło przez cały czas w wartowników obok dołu i w stojących w pogotowiu wrażych strzelców. Pierwsze strzały jeszcze nie sięgnęły ciał ofiar, gdy pomknęły za nimi następne. W mgnieniu oka zapanował chaos. Wrzaski i jęki umierających i rannych, przeraźliwe krzyki przestraszonych kobiet, przekleństwa i ryki na poły pijanych wojów, po omacku szukających na ziemi swojej, tak beztrosko odłożonej onegdaj broni.

- Naprzód - polecił cicho Forwe, i siódemka wojowników ruszyła przez plac, w biegu puszczając cięciwy. Ręce Folka odruchowo wykonywały krwawą robotę. Wzrok sam

wychwytywał kolejny cel, określał poprawkę, dłonie same naciągały łuk i wychwytywały strzały z kołczana. Elfy i hobbit zaatakowali w formacji klina, i ostrzem tego klina był Folko, jedyny w drużynie, który miał prawdziwą mithrilową kolczugę. Zdumieni wrogowie nie zdążyli nawet mrugnąć okiem, gdy siedem chybocących w ciemnościach cieni przebiło się przez ogrodzenie. Połowa mieczników ochrony już poległa rażona celnymi strzałami, a ci, którzy się ostali, parli naprzód. Szerokie krzywe miecze, tak niepodobne do prostych kling Zachodu, uniosły się w górę, walka nimi również nie przypominała tej zachodniej - stal nie uderzyła w stal, jak miałoby to miejsce, gdyby walczył Eldring z Gondorczykiem. Te klingi służyły raczej do odwodzenia broni przeciwnika, a nie do podstawiania pod cięcie wroga. Z prawej strony hobbita błysnął długi i cienki miecz księcia Forwego; cios został zadany z taką szybkością, że Tareg po prostu nie zrobił żadnego ruchu. Na hobbita natomiast natarł znacznie zręczniejszy przeciwnik - pierwszy wypad Folka sparował, odbił i drugi... ale bzyknęła nagle elficka strzała i wojownik Henny runął ze strzałą w oczodole.

Strażnicy natychmiast wytrzeźwieli i biegli ze wszystkich stron. Trójka elfów sypnęła im na powitanie strzałami, ale to ich nie powstrzymało. Odważni ratownicy mieli jeszcze tylko kilka chwil, by nie stać się łupem... i wykorzystali je. Powaliwszy swego przeciwnika, Forwe uniósł miecz nad głową, znieruchomiał na moment jak posąg i z niespodziewaną mocą uderzył w drewnianą kratę. Połyskujący matową szarością miecz przemknął przez grube drewniane bele jak przez pustą przestrzeń; odłamki runęły w dół, skąd od razu dobiegł głos niezadowolonego Malca:

- Hej, wy tam! Trochę ostrożniej może, co? Drzazgi mi się za kołnierz sypią!

Zaraz za przeciętymi belkami poleciały w dół liny z pętlami na końcu. Folko, starłszy się z kolejnym Taregiem, z całej siły ryknął do przyjaciół w dole:

- Wyłaźcie na górę sami! My tu walczymy!

Nad skrajem dołu pokazała się głowa Sandella. Folko, zobaczywszy garbusa, poczuł dreszcz - wydawało się mu, że do oblicza Sandella przyrosła maska samej Śmierci. Nie mówiąc ani słowa, stary wojownik chwycił walający się pod nogami miecz - i już pierwszy jego wypad kosztował życie jednego z nacierających.

Ale, mimo wszystko, to pułapka - z zaskakującym brakiem nadziei pomyślał Folko, kolejny raz uchylając się przed przecinającym ze świstem powietrze ostrzem. Tutejsze miecze raczej nie dałyby rady mithrilowej kolczudze, ale siła uderzeń była tak wielka, że już tylko to mogło powalić hobbita. Ze wszystkich stron nadbiegali wojownicy Henny. Oczywiste, że przeciwko takiej sile długo nie da się ustać.

A Hennie nie był potrzebny wcale żaden Adamant... - pomyślał hobbit.

Zaraz za garbusem wdrapał się na górę Torin, za nim Malec, potem, jednocześnie, Tubala i Ragnur. Farnak z Wingetorem wyszli na powierzchnię na końcu.

- Przebijamy się! - machnął ręką Forwe. Wysokie ogrodzenie dawało jakieś szansę hobbitowi i jego towarzyszom. Ale dokoła już zbił się zwarty tłum wrogów, a ze wszystkich stron waliły wciąż nowe i nowe oddziały, w dziwacznych hełmach i pancerzach, z dużymi łukami... Pułapka zatrzasnęła się: garstka wojowników raczej nie mogłaby przebić się przez szeregi wrogów - zebrało się tu już chyba z tysiąc Taregów i wojowników innych plemion. Co prawda, z powodu tłoku przeszkadzali sobie wzajemnie i łucznicy nie mogli dobrze przymierzyć, ale i tak już kilka strzał świsnęło nad głową hobbita.

- Przebijamy się! - powtórzył Forwe. I nagle, wyprzedziwszy wszystkich, do przodu ruszyła Tubala. Wydawało się, że z mroku piekielnych komnat Morgotha wyrwał się na wolność nieznany potwór, godna przyjaciółka Carcharotha. W każdej ręce Tubala trzymała po zakrzywionym mieczu, powietrze dokoła niej rozjęczało się - z tak niewiarygodną prędkością wirowały klingi. Nie można było dojrzeć żadnej z nich; wrogowie odskoczyli na boki. A dziewczyna parła naprzód, zostawiając za sobą prawdziwie krwawą przesiekę. Jej miecze cięły metal pancerzy i stal mieczy, odbijały wycelowane w nią strzały, ścinały głowy i rozpoławiały ciała biedaków, którzy akurat znaleźli się na szlaku.

Za Tubala skoczył Sandello, za nim Folko. Migiem utworzywszy klin, uderzyli - i świat pogrążył się w straszliwym wirze krwawej rzezi.

Jednakże Tubali zabrakło sił. Niemal wyrąbała sobie drogę do wolności - ale oto nagle nogi ugięły się pod nią i Sandello ledwo zdążył osłonić dziewczynę. Któryś z elfów - Folko nie zauważył który - trzymając miecz w prawej ręce, lewą podchwycił opadłą z sił wojowniczkę.

Taregowie w końcu zrozumieli, co się tu dzieje, czarnoskórzy, pierzastoręcy pośpiesznie rozstępowali się przed straszliwymi wojownikami. Z tylnych szeregów poszybowały włócznie i dzidy, świsnęły strzały. Jedna z nich rozorała ciało Farnaka, zgrzytnął zębami Ragnur, łamiąc wczepione w ramię drzewce...

Wydawało się, że Śmierć pochwyciła przyjaciół w lodowate objęcia. Teraz, zaraz, jeszcze chwila - i łucznicy spełnią swą powinność. Folko, oczywiście, ma na sobie mithril - ale czy to może pomóc? Wszystko przepadło?...

„Nie! Na razie jeszcze nie straciłem życia!”.

Długi wypad i ostra klinga wpija się w gardło kolejnego wroga...

Walka trwała. Walka beznadziejna.

Obóz Henny W Tym Samym Czasie,
Szary I Eowina

Szary nie krył się. Wyprostowany dumnie, z podniesioną głową szedł prosto na wartownika. Ten krzyknął coś ostrzegawczo i uniósł włócznię, kierując grot w pierś nieoczekiwanego przybysza. Szary zatrzymał się. Mrużąc oczy, jakby oślepione mocnym, jaskrawym światłem, uniósł lewą rękę do czoła, jak gdyby chciał coś sobie przypomnieć... i nagle zaczął mówić po haradzku. Mówił wolno, jąkał się, z trudem wywlekając z pamięci odpowiednie słowa.

Wartownik drgnął i zrobił zamach. Od sąsiednich namiotów biegło ku nim kilku wojowników. Stary setnik jeszcze coś powiedział, zwracając się do wartownika - i nagle ten, jak lunatyk, uniósł włócznię i stanął obok niego. Trójka tych, którzy biegli ku nim, rozdziawiła gęby. Szary odwrócił się do skamieniałych wojowników. Nawet w słabej księżycowej poświacie Eowina dostrzegła, że oblicze jej towarzysza zalane jest potem. Jak poprzednio, cichym głosem Szary zwrócił się do dziwnie znieruchomiałej trójki. Tym razem coś poszło nie tak, i jeden z wartowników, straciwszy głowę ze strachu, miotnął włócznię. Ale jeszcze szybciej zareagował ten, który pierwszy stanął u boku Szarego; z niemożliwą dla człowieka szybkością przesunął się, zasłaniając swego nowego pana, i też rzucił włócznię. Chwilę później obaj Taregowie zwalili się na ziemię martwi, a setnik, skrzywiwszy się, jakby zabolał go ząb, jednym błyskawicznym ruchem wyrzucił przed siebie miecz. Tareg upadł z przeszytą mieczem piersią, ostatni wojownik rzucił się do ucieczki. Szary nie ścigał go. Nieoczekiwanie pochylił się nad tym, który go osłonił. Westchnął ze smutkiem. Dłoń spoczęła na powiekach zabitego.

- Nie chciałem tego... - usłyszała dziewczyna ciche, pełne rozterki westchnienie. - Eowino! Idziemy dalej. Ta rzecz jest straszniejsza, niż sądziłem...

Weszli do obozu. Uciekającego wartownika albo sparaliżował strach, albo stało się jeszcze coś; fakt był taki, że nikt nie wszczynał alarmu. Inaczej - sygnały alarmu rozbrzmiały, ale na drugim końcu obozu. Eowina zobaczyła uniesione ze zdziwieniem brwi Szarego.

- Kto by to mógł być? Dobra, idziemy dalej...

W obozie tymczasem w tempie lawiny narastał chaos. Od namiotów i ognisk do północnego krańca pędzili wojownicy. Na Szarego i Eowinę nikt nie zwracał uwagi; jakby jakaś sprzyjająca im wola gnała wojowników tam, gdzie byli potrzebni, i nie mogli podczas tej drogi rozglądać się...

- My idziemy tam! - Szary gwałtownie skręcił w kierunku złotego namiotu.

Tu, w przeciwieństwie do pogrążającego się w rozgardiaszu całego obozu, panował idealny porządek. Tak samo płonęły dwa ogniska przed wejściem do namiotu Henny, tak samo stał potrójny pierścień łuczników i włóczników dokoła schronienia Boskiego. Na placyku przed namiotem nie było żywej duszy, śpieszący na zew bębnów i trąb wojownicy starannie omijali siedzibę swego władcy.

- Idziemy. - Szary chwycił miecz dwiema rękami i spokojnie pomaszerował przez placyk.

Ktoś coś do nich krzyknął - setnik, rzecz jasna, nie odezwał się. Strzelcy unieśli łuki - Szary tylko rzucił do Eowiny: „Trzymaj się za moimi plecami". Rozległ się gwałtowny i pełen gniewu okrzyk rozkaz - i łucznicy puścili cięciwy.

Ostre żądła z brzękiem uderzyły w stal szerokiego ostrza. Szary manewrował mieczem jak tarczą - ani jedna ze strzał nie zahaczyła go nawet. Eowina aż się skuliła ze strachu - wydawało się jej, że kłująca chmura już za chwilę nakryje ich, zmieniając w naszpikowane strzałami trupy. Ale nie - udało się. Stary wojownik ciągle szedł przed siebie, a w szeregach strażników rozległy się pierwsze pełne paniki okrzyki.

Szary uśmiechnął się.

Któryś z wojowników rzucił się do namiotu władcy, włócznicy jednocześnie pochylili groty, łucznicy, nie szczędząc sił, rwali cięciwy - a stary setnik szedł i szedł, jak zaczarowany. Szedł, z niezadowoleniem i nawet z jakimś wyrzutem, kiwając głową. Miecz fruwał, otaczając swego pana nieprzenikalną dla strzał kurtyną, i gdy do linii strażników zostało nie więcej niż dziesięć kroków, fala strachu przetoczyła się ponad szeregami wojowników. Z głośnymi wrzaskami, rzucając broń, rozbiegli się w panice w różne strony; zaledwie kilku włóczników, do końca wiernych swemu honorowi, pozostało na miejscach, zagradzając wejście do namiotu.

Eowina rozumiała, że cały ten sukces może trwać tylko kilka chwil. Jakkolwiek szybki był Szary, nie mógł osłaniać się mieczem od lecących jednocześnie z przodu i z tyłu strzał. Zaraz któryś z szybciej myślących łuczników wpadnie na to... i koniec. Tak samo, widocznie, myślał również Szary.

- Tnij! - ryknął nagle, rzucając się naprzód.

Eowinie nie pozostało nic innego, jak skoczyć za nim...

Dzika potyczka skończyła się szybko. Długi miecz raził, nie chybiając ani razu - ciął włócznie, przebijał pancerze, przepoławiał hełmy... Dla Eowiny najważniejsze było w tym momencie nie tyle obronić się przed wrażymi wypadami, ile nie wpaść pod cios Szarego. Ale

oto ostatni z obrońców wejścia padł, trzymając się rękami za przecięty brzuch - i Szary odrzucił na bok ciężką, złotą połę.

Folko, Sandello I Pozostali

Przyjaciele fechtowali się w pełnym okrążeniu. Teraz musieli atakować sami, by nie trafić pod ulewę wrażych pocisków. W gorączce boju mały oddział skierował się w przeciwnym niż na początku kierunku. Nie wycinali już sobie przejścia z obozu, tylko kierowali się dokładnie w jego środek, na spotkanie nadbiegającym wciąż nowym i nowym wojownikom. Tu, w zamieszaniu, wróg nie mógł sformować odpowiedniego szyku i pozwolić po prostu łucznikom, by wystrzelali przeklętych obcych.

Sandello walczył jak zawsze - z rozmysłem, nieludzko dokładnie i skutecznie. Jego ruchy były błyskawiczne i wyważone, oszczędnie szafował siłami, nigdy nie odchylając się ani o cal więcej, niż to było potrzebne. Krzywy miecz stanowił przedłużenie jego ręki, a wyraz twarzy miał taki, że zetknąwszy się z nim, jak to się mówi - oko w oko, Taregowie i pierzastoręcy rzucali broń i wiali, gdzie tylko mogli.

Za plecami garbusa dwaj Avari podtrzymywali nieprzytomną Tubalę. Jeden z elfów, Sienor, był mańkutem i osłaniał dziewczynę z lewego boku. Krasnoludy operowały niezwyczajnymi dla nich krzywymi mieczami; szczególnie ciężko było Torinowi, który nigdy nie używał innej broni niż bojowego topora. Malec też nie czuł się dobrze, i on przede wszystkim bronił się, a nie atakował. Wingetor pomagał rannym Farnakowi i Ragnurowi; w końcu wyszło tak, że oprócz Sandella, z całą mocą mogli walczyć tylko Folko i czwórka elfów...

Los sprzyjał drużynie - albo, być może, chciał tylko przedłużyć swoją przyjemność. Ileż może trwać szalona walka czternastu przeciwko wielu setkom? Za grubymi murami długo, całe dnie, a może i miesiące; ale nie tu, w otwartym polu. Ile jeszcze wytrzymają mimo całego swego kunsztu?

„Musicie zginąć” - słyszał zimny i obojętny szept hobbit. Ten paskudny głos miał rację. Oddział nie mógł wyrwać się z okrążenia.

Nagle trąby ryknęły za plecami atakujących. Co się stało? Ktoś przyszedł z pomocą?... Wojownicy Henny całymi dziesiątkami odwracali się, podporządkowując rozkazowi, rzucali się biegiem z powrotem, tam, gdzie stał wspaniały złoty namiot Boskiego...

Nie byli już w stanie odpierać szalonego nacisku ani Folko, ani jego towarzysze. Wojownicy Henny atakowali jak wściekli, zupełnie nie szczędząc siebie - mniej więcej tak, jak nieszczęśni pierzastoręcy na polu bitwy z niewolniczymi hufcami Tcheremu. Porwani ogólnym

szalonym strumieniem, elfy, ludzie, hobbit - wszyscy oni mogli tylko biec, w biegu parować ciosy, biec prosto do złotego namiotu...

Szary I Eowina

Odchyliła się, niczym za sprawą huraganowego wichru, zasłaniająca wejście fałda namiotu. Szary zrobił krok do wnętrza. Eowina - za nim.

Zamarł z uniesionym do ciosu szerokim, krzywym mieczem na dziwnej rękojeści Henna, a przed nim ramię przy ramieniu, stała czwórka. Trzech ludzi i pierzastoręki. Wszyscy uzbrojeni, pierzastoręki ściskał w dłoni łuk. Jego strzałę Szary odbił pogardliwie gdzieś w bok.

Wrzask władcy wprawił w drżenie ścianki namiotu. Na rozkaz, czwórka towarzyszy Henny ruszyła na Szarego; a z zewnątrz coraz głośniej słychać było tupot nóg i krzyki - na łeb na szyję walili do namiotu swego pana podlegli jego woli Taregowie, pierzastoręcy, czarnoskórzy...

- Oddaj mi go! - Głos Szarego zagłuszył wściekły ryk Henny. Długi prosty miecz błysnął w wypadzie - trzy ostrza runęły mu na spotkanie, sparowały uderzenie. Pierzastoręki naciągnął cięciwę.

Wtedy zza pleców setnika wyskoczyła Eowina. Lekka szabla pofrunęła z szybkością i gracją motyla. Cięciwa pękła, prawy nadgarstek pierzastorękiego przecięła purpurowa smuga. Szary uderzeniem rękojeści zwalił z nóg jednego z obrońców Henny, odwracając się zranił drugiego i - znalazł się twarzą w twarz z Boskim.

Jedwabna peleryna na władcy rozchyliła się - cudowny kamień na jego piersi płonął niewyobrażalnym blaskiem. W oczach Henny, jak w ciasnej klatce, miotał się potworny strach. Władca nie pojmował, kto śmiał mu się przeciwstawić, a Szary, nie zwracając więcej uwagi ani na pozostałych przeciwników, ani na Eowinę, zrobił krok w kierunku swego wroga.

Klingi starły się i rozłączyły. Rozłączyły, by już się więcej nie spotkać. Wrogowie wpili się w siebie wzrokiem, i Rohanka, wymachując swoją szablą, nagle zobaczyła, że za Szarym rozwinęła się jakby czarna opończa i blade postacie widm ustawiły się obok niego, wyciągając swe długie, bezcielesne ręce ku Hennie. Jakby w odpowiedzi błysnął jaskrawo Adamant. Za plecami Boskiego otworzyły się wrota do lśniącego świata i przez krótką chwilę dziewczyna widziała olbrzymią, uchodzącą w niebiosa kolumnę, na której szczycie lśniło wściekłe Światło, oblewające blaskiem pokrytą ciemnymi lasami ziemię na dole...

Czas zwalniał bieg. Henna, nikomu nieznane książątko dziwnego, dzikiego plemienia, wyrastał w tej chwili na prawdziwego olbrzyma. Oszołomieni zamarli jego podwładni, zapomniawszy o wszystkim, bez reszty owładnięci rozwijającą się przed nimi panoramą

olbrzymiej bitwy.

...Długie kolumny armii maszerowały przez lasy i stepy, kierując się do zwieńczonej żywym ogniem kolumny. Mrok był ich tarczą i mieczem, Mrokiem uderzali i Mrokiem się bronili.

...Spływały na nich strumienie palącego, wściekłego żaru. Legiony białych wojowników ustawiały się w szyku bojowym, gotowe zgnieść i zmiażdżyć śmiałków, którzy ośmielili się zbliżyć do cytadeli Światła.

...Czarne armie odpowiadały gradem strzał i tam, gdzie Światło stykało się z Mrokiem, znikał zarówno szalony blask promieni, jak i śmiertelna okrywa wiecznej nocy. Szare, równe światło rozlewało się po okolicy, kładło welonem mgły, rozpływało się korytami rzek - gęstniała mgła i przybierały wody. Odżywały jałowe pustynie, a na brzegach nowo powstałych rzek pojawiały się cieniste lasy.

...Ale jeźdźcy w błyszczących ornatach nie zatrzymywali się, w pełnym galopie wpadali na nieznające strachu czarne falangi, a groty kopii leciały na ziemię, ścinane jasnymi klingami. Wysuwała się do przodu pancerna piechota, której rynsztunek wydawał się ciemniejszy od czarnego nieba w bezksiężycową noc. Wzlatywały i opadały młoty bojowe, miażdżąc końskie łby i ciała jeźdźców; a śmierć każdego ciemnego lub jasnego woja darowała życie jeszcze jednemu skrawkowi poszarpanej nieznośnym skwarem lub, odwrotnie, srogim mrozem ziemi.

...Na białym koniu, pochyliwszy ostrą pikę z grotem, niczym opadła na ziemię z nieba gwiazda, pędził na czarne szeregi cudowny jeździec, a rzeki na jego drodze zmieniały się w wypełnione gorącym popiołem suche wąwozy, przypominające trupy olbrzymich węży. Pika uderzyła w ciemne szyki, przebijała tarcze, przekłuwała pancerze; ale na spotkanie olbrzymowi, który przełamał szyk, już pędziła niewielka postać odziana w czerń; ziemia rozstąpiła się pod kopytami wierzchowca, i spadł on w otchłań.

...Ale i zwycięzca nie ocalał. Ze szczytu podpierającej niebo wieży runęła w dół ognista kula i przebiwszy pancerz ciemnego maga, zmieniła go w Nicość.

...A wówczas z szeregów czarnej armii wyszedł człowiek bez hełmu, ciemnowłosy, z ciemną brodą. Czarny Miecz tkwił w jego ręku, na sobie miał wysłużoną, nie raz i nie dwa naprawianą, po wielekroć wypróbowaną kolczugę. Nie był ten wojownik stworem z mroku i czerni, był człowiekiem, z ciała i krwi. Szedł na spotkanie pędzącym na niego jeźdźcom i, wydawało się, że z uśmiechem patrzy im prosto w twarz.

...Przed szereg wypadła wojowniczka w połyskliwej zbroi, siedząca na jednorożcu, a w

rozdwojonym zakończeniu jej kopii lśniło malutkie słońce. I wojownicy czarnej armii uciekali przed nią; jednakże człowiek z ciemną brodą tylko pokręcił głową. A gdy o kilka zaledwie stóp od jego piersi pojawiło się błyszczące ostrze kopii, nagle opadł na jedno kolano, tak że śmiertelna broń przeleciała nad jego ramieniem, i jednym uderzeniem Czarnego Miecza wojownik ów przerąbał nogi wierzchowca.

„Nie chcę cię zabijać...” - imię zginęło gdzieś w grzmocie bitwy.

Słoneczna kopia wbiła się w ziemię; widzenie natychmiast zniknęło.

Na pomiętych jedwabnych poduszkach i prześcieradłach leżał bez tchu Henna, potężny władca.

Szary wyprostował się, zaciskając w dłoni skrzący nieujarzmionym Światłem Adamant.

Towarzysze Boskiego z wrzaskiem padali na twarz, porzucając broń, tylko pierzastoręki wojownik zacisnął dłoń na ranie i piorunując wrogów wściekłymi spojrzeniami, rzucił się do ucieczki. Nikt go nie gonił.

Eowina znieruchomiała. Rysy twarzy Szarego nagle wyostrzyły się, wydawał się nawet wyższy; trzymał przed samą twarzą Adamant, wpatrując się bez mrużenia oczu, uważnie, w nieznaną, niedostępną wzrokowi zwykłego Śmiertelnego głębię. Z grymasu warg powoli wyłaniał się złośliwy uśmiech, jakby stary wojownik chciał powiedzieć: „No i co wy wszyscy na to?”.

- Oto i koniec historii - odezwał się Szary z ironią w głosie, zwracając się nie wiadomo do kogo. - Jakże sprytnie wszystko wymyślili... Ale i na sprytnego znajdzie się coś niemiłego... Nie wszystko im się udaje tak, jak sobie wykoncypowali. Wróciłem! I teraz zobaczymy, kto z kim...

Dziewczyna zacisnęła dłoń na rękojeści.

„Zabij mnie...”.

- Tak, raz już wypowiedziałem te słowa. - W głosie Szarego pobrzmiewała kpina. - Właśnie tak było. Właśnie tak. Ale teraz wszystko będzie inaczej. Zobaczymy, jak idący za mną zarządzali moją spuścizną! Triumf wydawał się być pewny.

A ciebie, Eowino, jak obiecałem - uczynię królową Śródziemia - powiedział, wieszając lśniący Adamant na szyi. - Tak, tak, królową, ze wszystkimi prawami i z całą władzą. Dlatego, że ja zamierzam zmierzyć się z siłami o inne włości!...

Folko I Pozostali

Dokoła słychać było brzęk ścierającej się stali. Jęczeli ranni, z ostatnim przekleństwem na ustach walili się zabici. Folko i towarzysze w ciągu kilku chwil dotarli pod złoty namiot. Kątem oka hobbit zobaczył leżących pokotem strażników i w tym samym momencie poczuł, jakby ktoś wylał na niego kubeł gorącej wody. Światło tajemniczego Adamantu uderzyło z taką mocą, że zakręciło mu się w głowie, a ręce odmówiły trzymania broni.

Wewnętrznym spojrzeniem zobaczył dokładnie to, co widziała oszołomiona Eowina, obserwująca starcie Szarego i Henny. Olbrzymia kolumna z jasnym szczytem... bitwa jasnych i ciemnych hufców...

A potem w jednej chwili wszystko się poplątało. Niektórzy wojownicy Henny przecierali oczy, jakby dopiero co wysunęli się z objęć snu. Jakoś niechętnie atakowali, bez przekonania, nie bardzo rozumiejąc, z jakiego powodu walczą z odważnymi cudzoziemcami.

- Do środka! - zakrzyknęli jednocześnie Folko z Sandellem.

Miecz garbusa przeciął złotą tkaninę, oddział rzucił się w utworzone przejście. Zbici z pantałyku przeciwnicy nawet nie usiłowali przeszkadzać. Nie wolno było marnować, krótkiej zapewne, chwili powodzenia!

W namiocie było jasno. Trzeszczały płomienie spokojnie liżące pochodnie; pośród zmiętych prześcieradeł leżały dwa ciała - nie wiadomo, zabici czy po prostu nieprzytomni. Wojownik, w szatach najbliższego zausznika Henny, jęczał, klęcząc i obejmując głowę rękami. Z zakrwawioną szablą w dłoni zamarła złotowłosa dziewczyna... O wielkie moce! Eowina! Żywa, cała i zdrowa! Jednakże Folko nie zdążył się ucieszyć. Nad powalonym Henną, zaciskając w dłoni Adamant, stał wysoki, siwowłosy mężczyzna o dumnej postawie. Stał i patrzył prosto w oślepiający blaskiem płomień cudownego Kamienia. Słysząc hałas, człowiek z Adamantem w dłoni wolno odwrócił się. Zapadła straszliwa cisza. Folko poczuł, jak na karku zjeżyły mu się włosy; chciał krzyczeć - i nie mógł, chciał machnąć mieczem - i też nie mógł. Patrzył, a czas płynął, bardzo bardzo powoli...

- Oto spotkaliśmy się - powiedział spokojnie Olmer.

...Poszukiwacz złota z Dale, Okrutny Strzelec, Wódz Earnil, Król Bez Królestwa, Władca Pierścienia, Postrach Zachodu, Przekleństwo Gondoru, Bicz Arnoru i Zguba elfów...

Folko patrzył. Twarz, która na zawsze zapadła w pamięć, choć i jego, oczywiście, nie szczędził czas. Olmer bardzo się zmienił - pozostały nieusuwalne ślady wielkiego bólu i

nieludzkiego strachu. Ale oczy - oczy były te same. I jak poprzednio, dobrze znany uśmieszek wykrzywiał usta...

- Klnę się na Brodę Durina, przecież to... to... - usłyszał Folko szept wstrząśniętego Malca.

I jednocześnie wydarzyło się kilka rzeczy.

Sandello zrobił krok do przodu. Trzymał w ręku długi pakunek - „trofea" Henny odebrane pokonanej wcześniej drużynie leżały na podłodze namiotu. Garbus skłonił się przed Olmerem.

- Twój miecz, Władco - oznajmił skrzypiącym i zimnym głosem, z szacunkiem podając obiema rękami broń; podał tak, jakby rozstali się z Wodzem wczoraj i wojsko Króla Bez Królestwa ponownie stało pod murami Szarych Przystani...

Spłowiała tkanina opadła.

- Dziękuję ci, stary druhu - odrzekł cicho Olmer. Jego oczy stały się takie, jakie mają zwykli śmiertelnicy. - Czyżbyś wierzył przez tyle lat, że nadejdzie ta chwila?

- Wierzyłem, Władco - odpowiedział tak samo cicho Sandello. - Wierzyłem i...

- Olmer?... - wyrwało się biednej Eowinie. - Jak...

Chciała powiedzieć coś jeszcze, ale nagle z zewnątrz rozległy się odgłosy walki. Pod ciosami zatrzeszczała tkanina złotego namiotu. Z różnych stron do wnętrza wdarli się pierzastoręcy, a na widok ich wodza ranny Wingetor krzyknął:

- Fellastr!

10 Października, Noc, Podziemne Szlaki Czarnych Krasnoludów, Gdzieś Pod Mordorem

Nie zatrzymywał się ani na chwilę, płynąc po ciemnych wodach wielkiej podziemnej rzeki, swego rodzaju Anduiny Czarnych Krasnoludów. A słowa „Z woli Wielkiego Orlangura!" sprawiały, że zawsze miał najsilniejszych wioślarzy i najszybsze czółna. Żaden z jego współtowarzyszy nie odważył się ani razu zadać mu choćby jednego pytania. Oblicze posłańca było chmurniejsze od mroku podziemnej nocy, a oczy rzucały zimne, okrutne błyski. Bardzo się śpieszył. Coś podpowiadało mu, że bezcenna jest każda godzina, że jeszcze chwila, i ów cud, który ma dostarczyć Złotemu Smokowi, może trafić w niepowołane ręce, a wtedy odzyskanie go będzie kosztowało wiele krwi, bardzo wiele krwi... Jakby odgadując myśli człowieka, odżywał i niemal sam pchał mu się w ręce długi berdysz, straszliwa broń, którą można było i ciąć, i kłuć...

Wielki Orlangur nie prowadził rozmów ze swym posłańcem. Zamiast nich, wędrowiec miał widzenia; w jednym z nich pojawił się bajkowy okręt łabędź i schodzące z pokładu dwie osoby przybyłe z Zachodu. Obraz ten przepełnił jego serce bólem i lękiem. Domyślał się, kim są ci dwoje. Był niemal pewien, że wie, dlaczego przybyli do Śródziemia i dlaczego stało się to możliwe mimo upadku Szarych Przystani i zamknięcia Prostej Drogi. A jeszcze lepiej potrafił przewidzieć, co się stanie, jeśli w ręce owej pary trafi Ogniste Źródło Mocy.

Płomienne Serce widywał również. Czasem wyglądało jak połyskujące koło, toczące się po ziemi, które zostawiało po sobie zwartą ścianę pożogi, albo jak łagodnie skrzący się kryształ, otoczony ciemną gęstwiną ludzkich rąk, albo jako płonące w zenicie światło, znacznie czystsze i jaśniejsze od słońca... Im bardziej oddalał się na południe, tym dokładniej i wyraźniej wyczuwał je. A teraz mógł znaleźć drogę doń z zamkniętymi oczami.

Jednakże tej nocy coś dziwnego działo się z Płomiennym Sercem. To rozpalało się niewyobrażalnie - a wtedy posłaniec musiał uspokajać wszczynających co rusz kłótnie i bójki wioślarzy, albo gasło tak, że niemal tracił je z oczu. Kiedy nagle zapłonęło, wysłannik odruchowo spuścił wzrok, ratując się przed przeszywającymi promieniami; a potem zobaczył człowieka, który w obu rękach trzymał Kamień i uważnie wpatrywał się weń.

- Olmer! - wykrzyknął posłaniec, nie kryjąc zdumienia i wściekłości. - Przecież jesteś martwy! Martwy jak głaz! Znalazłeś swą zgubę w Szarych Przystaniach! A może jesteś tylko

złośliwym upiorem?!

Wioślarze lękliwie zezowali na pasażera.

Nie, to nie był upiór ani oszukańcze widzenie, które wymyślił jakiś nieznany czarodziej. Posłaniec nie miał co do tego żadnych wątpliwości; ręka jego aż do bólu zaciskała się na berdyszu. „Jak udało ci się dotrzeć do Niego, ty, który wyszedłeś z cienia śmierci? Dlaczego Mandos zgodził się wypuścić cię? Jakie Moce zadecydowały o twoim losie? Dlaczego znowu jesteś na tym świecie, kto cię tu przysłał? Po co? Po Moc Ognistego Serca? Czy zdobyłeś je tylko dla siebie? Trudno, przyjdzie wypróbować mój berdysz w prawdziwym boju!”.

Tej nocy żaden z wioślarzy nawet nie zmrużył oka. Na granicy ich obozowiska, ulokowanego na malutkiej żwirowej mierzei, nieruchomo zastygła niezwykle barczysta i potężna nawet jak na Czarnego Krasnoluda postać.

Powinieneś był polecieć sam - myślał wysłannik, zwracając się do Wielkiego Orlangura. Dobrze wiedział, że Duch Wiedzy może go słyszeć, jeśli tylko zechce. - Trzeba było zaryzykować. A teraz... Świat zwariuje, jeśli Olmer rzeczywiście wrócił zza Morza! Poprzednim razem tylko jeden cieniutki włosek dzielił Śródziemie od Dagor Dagorrath, a teraz? Czyżbym się spóźnił i cała wyprawa jest na darmo? Nie, nie może tak być! Pogodzę się z porażką, dopiero gdy sam zginę i odejdę do Komnat Oczekiwania!... A tych dwoje... Pewnie mnie znacznie wyprzedzają, ale ja przecież podążam podziemnym szlakiem! I znajdę się po tamtej stronie Gór Hlawijskich na pewno wcześniej niż ta parka! Wtedy się zmierzymy i zobaczymy, czyje będzie na wierzchu...

Oj, Olmerze, Olmerze! Trudno będzie zwyciężyć ciebie... O ile, oczywiście, twoi wrogowie nie zdobędą wcześniej Zguby Olmera...

Tego Samego Dnia, Obóz Henny

- Fellastr!

Pierzastoręcy wypełnili namiot. Ich wódz machnął ręką i ramię Wingetora przeszyła dzida. Wydawało się, że lekceważą wściekłe jarzenie Kamienia trzymanego przez Olmera; za nic mając śmierć, szli prosto na klingi drużyny Folka.

Olmer pierwszy wziął się w garść.

- Za mną! - Machnął mieczem i w tej samej chwili ciśnięta przez zręcznego wojownika dzida uderzyła go w bok. Olmer drgnął, przycisnął do rany dłoń. Lśniące krawędzie Adamantu spłynęły krwią.

Pierwszy dopadł słaniającego się Wodza Sandello. Podtrzymał, by nie upadł, elfy tymczasem ruszyły do boju...

Torin odrzucił uderzającego nań pierzastorękiego jak snopek siana. Folko ściął znajdującego się przed nim nieszczęśnika. Droga była wolna, ale w tym momencie Fellastr, którego plany chyba się nieco różniły od zamysłów hobbita i jego przyjaciół, skoczył na Olmera. Dzida wymierzona była prosto w gardło Wodza; na spotkanie jej wzleciał miecz Sandella, ale właśnie tego oczekiwał przywódca pierzastorękich. Z triumfującym wrzaskiem wczepił się w zalany krwią Adamant - i, waląc się na ziemię, wyrwał go z ręki Olmera.

Ten rycząc wściekle, rzucił się za nim, lecz z rany w boku chlusnęła krew, Wódz zachwiał się i z trudem ustał na nogach. Fellastr już gotował się do ucieczki, ale w tym momencie okazało się, że w namiocie jest ktoś jeszcze, kogo nie satysfakcjonuje takie zakończenie. Zanim Folko zdążył cisnąć nóż, a któryś z elfów naciągnąć cięciwę łuku, tuż przed triumfującym Fellastrem pojawił się wykrzywiony z bólu, pobladły Henna. W prawym ręku ściskał złamane ostrze sztyletu i końcem odłamka ugodził prosto w oko wodza pierzastorękich. Fellastr z jękiem padł na ziemię, a Henna, mimo że ledwie mógł chodzić, zaryzykował ucieczkę...

Wódz uczynił krok za nim, ale powstrzymała go ręka Sandella. Garbus surowo popatrzył w oczy swego pana i Olmer, zacisnąwszy zęby, w milczeniu skinął głową.

- Wycofujemy się! - krzyknął Forwe, zaciekle wymachując mieczem.

Pierzastoręcy naparli ponownie, i trzeba było uciekać, póki nie odzyskał sił Henna, nie uporządkował swych hufców...

Powodzenie im sprzyjało. Osłaniając się wzajemnie, hojnie zużywając ostatnie strzały, mała drużyna wyrwała się z piekła kipiącego szaleństwem obozu...

- Do przystani! Przebijamy się do przystani! - rzucił rozkaz hobbit.

Droga, szczęśliwie, nie była strzeżona.

A potem nastąpiła zwyczajna ucieczka. Ciężka, niebywale ciężka. Tubala nie odzyskiwała przytomności, ociekali krwią Farnak i Wingetor, maszerował, zgrzytając zębami i przyciskając do krwawiącego boku dłoń, Olmer. Ragnur szedł z opuszczoną głową, potykając się niemal co krok. Nikomu nie chciało się rozmawiać, wspominać... Trzeba było przede wszystkim oderwać się od możliwego pościgu...

Opadali z sił nawet, niewiedzący co to zmęczenie, krasnoludy. Ale już widać było przystań. Nikt nie wznosił radosnych powitalnych okrzyków. Eowina i Folko tylko wymienili spojrzenia i posłali sobie przelotne, bez słów, uśmiechy.

„Smoków" pilnowały stałe posterunki. Wojownicy Henny nie lekceważyli służby. Warta była liczna, wszystkie podejścia do okrętów pilnie strzeżone.

- Nie ma rady - szepnął hobbit do ucha Forwemu. - Atakujemy! A wy, czcigodni tanowie, rozkażcie swoim, by wsparli nas strzałami.

Mała drużyna ponownie zwarła się w ciasny klin, osłaniając rannych.

- Heeej! Na „Rybołowie"! Na „Smoku"! - zagrzmiał Wingetor, zebrawszy resztki sił. - Przebijamy się! Osłaniajcie nas z łuków!

Na przystani w jednej chwili zapanował rozgardiasz. Na „smokach" uderzono na alarm. Wartownicy miotali się, nie bardzo jeszcze wiedząc, co począć. A Eldringowie, słynący z wyszkolenia, natychmiast zasypali wojowników Boskiego strzałami i pociskami z proc. I jedne, i drugie kosiły wojów Henny dobrze widocznych na tle ognisk.

Tym razem na ostrzu klina stanęli Folko, Torin i Malec... Krasnoludy odzyskały mithrilowe kolczugi i broń - wszystko, szczęśliwie, leżało w namiocie Henny. Trójka przyjaciół uderzyła jednocześnie. Elfy księcia Forwego osłaniały tyły.

- Tnijcie liny! Do wioseł! - głośno wrzasnął Farnak, gdy tylko ostatni z ich drużyny znalazł się na pokładzie „Rybołowa".

Eldringowie przyłożyli się do wioseł. „Smoki" odbiły od przystani. Z brzegu dochodziły furiackie wrzaski, fruwały strzały, również zapalające, ale i „Rybołów", i „Skrzydlaty Smok" - niezwykle zręczne, co potwierdzały także ich nazwy - szybko zniknęły w mroku...

Skrzypienie wioseł wydało się teraz hobbitowi najpiękniejszą muzyką świata.

Zmęczeni wojownicy natychmiast zwalili się na pokład, elfy i Folko krzątali się przy rannych. Sandello starannie darł na pasma jakąś białą tkaninę; Olmer marszczył się, gdy garbus zakładał mu opatrunek. Eowina doglądała Wingetora i Farnaka...

Forwe pochylił się nad Tubalą.

- To ona?...

- Oessie jest tu - powiedział cicho garbus Olmerowi.

Oczy tamtego rozbłysły. Stary miecznik w milczeniu skinął głową, jakby już wiedział, co chciał mu powiedzieć Wódz...

- Tak, to ona - potwierdził Malec. - Omal nie ścięła głów całej naszej czwórce. Skąd w tym małym i drobnym ciele tyle siły?

- Ale to ona uratowała mnie z niewoli - przypomniała, oddając sprawiedliwość Tubali, Eowina.

- A ty, dziewczyno, lepiej zamilcz! - machnął na nią ręką Mały Krasnolud. - Ganiamy za tobą przez cały Harad!...

- Ona była ze mną - powiedział wolno Olmer. - Szliśmy razem... Usiądźcie wszyscy! Musimy porozmawiać.

- Jesteś tego pewien, Wodzu? - zapytał lodowatym tonem Forwe. Zielony kamień na obręczy księcia płonął jaskrawym światłem. - Jesteś pewien, że będziemy z tobą rozmawiali? Pamiętając wszystko, czego wcześniej dokonałeś?

- Dlaczego więc nie zostawiliście mnie Hennie? - zapytał sarkastycznie Król Bez Królestwa, wzruszając ramionami. Dajcież na chwilę spokój tym swoim elfickim zasadom!...

Na pokładzie zapadła przygniatająca cisza. Ręka Olmera spoczywała na rękojeści Czarnego Miecza. Sandello stał nieruchomo obok, wsunąwszy dłoń pod opończę - Folko nie wątpił, że trzyma już w garści nóż do miotania.

- Hej, zamierzacie się bić? - poderwał się Torin. - Opamiętajcie się! Tak, byliśmy wrogami - dziesięć lat temu. Ale przełamaliśmy się z Sandellem chlebem, i...

- Tak, przełamaliśmy się chlebem, Torinie, synu Dartha jak echo podchwycił garbus. - Masz rację. Zanim zaczniemy się bić, powinniśmy spróbować się dogadać. Po co nam teraz spory? Nie rozumiem cię, książę. Nie myśl, że zapomniałem twe słowa. Jestem do twojej dyspozycji. Jeśli chcesz mnie zabić - zabij. Nie będę się bronił - spełniłem swój obowiązek, i teraz mogę spokojnie odejść.

- Czy to znaczy, że twoim obowiązkiem było... - zaczął wstrząśnięty Folko.

- Masz rację, połówieczku. Miałem przywrócić do życia swego pana. I ja...

- Skąd wiedziałeś, że jest to możliwe? - wykrzyknął hobbit.

Sandello uśmiechnął się. W świetle księżyca jego twarz wydawała się złowieszcza - tak pewnie mógłby się uśmiechać któryś z Nazguli...

- Wiedziałem. Najpierw, przyznaję, uwierzyłem, że... że Władca zginął. Ale pozostał mi Czarny Miecz... i Talizman. I Olwen...

- Olwen żyje? - zapytał szybko Olmer.

- Żyje, Władco. On... rządzi Cytadelą. Tak więc... potem powiedziałem sobie: „Nie znałeś dobrze tego, który w swoim czasie uratował cię! Jesteś człowiekiem małej wiary, myśląc, że jego duch spokojnie przejdzie przez Drzwi Nocy!...". Więc ruszyłem pokłonić się Wielkiemu Orlangurowi.

- Ale nic nam o tym nie powiedział! - poderwał się Forwe.

- Bo mówi tylko to, co chce, i tylko temu, komu chce. Nigdy nie kłamie, ale odpowiada wyłącznie na bezpośrednie pytania. Gdybyś, czcigodny elfie, zapytał go, czy może jeszcze wrócić do tego Świata ten, którego nazywano Królem Bez Królestwa, odpowiedziałby ci natychmiast. Odpowiedziałby, że mój pan... nie da się kościstej starusze, ale znaleźć go mogę dopiero wtedy, gdy Świat zacznie się zmieniać i w jego rubieże wstąpi nowa Moc. Więc gdy z Południa powiał straszliwy wicher, zrozumiałem, że moja godzina nadeszła. Pomyślałem, że skoro mogę gdzieś przywrócić do życia swego pana, to tylko tam, obok serca nieznanej Mocy. Tak zaczęła się moja droga na Południe... A przy Kamieniu Drogi spotkałem czcigodnego księcia Forwego... - Garbus ukłonił się z lekkim uśmiechem. - Książę mógł mnie zabić... ale nie uczynił tego, chcąc sprawdzić, dokąd się kieruję. A kierowałem się, prowadzony Mocą Talizmanu, właśnie do obozu Henny. Dokąd, jak się okazało, zmierzali i inni. Mądre pomysły przychodzą jednocześnie do mądrych głów - zakończył skromnie.

Wszyscy spojrzeli na Olmera. Oparty plecami o burtę Wódz, przymknąwszy oczy, słuchał swego wiernego towarzysza.

- Czekacie na moją opowieść, wielce czcigodni? Cóż, proszę bardzo, chociaż opowieść długa nie będzie.

Chmury rozstępowały się. Księżyc świecił z każdą chwilą coraz jaśniej i jaśniej. Hobbit patrzył na oblicze Wodza znaczone skurczami bólu.

- ...Teraz przypomniałem sobie wiele szczegółów. Przypomniałem sobie, jak szedłem do mola Szarych Przystani... i ogień rozstępował się pod moimi stopami. Ale w rzeczywistości to nie byłem ja... Czasem wydaje mi się, że obserwuję siebie z boku. To było... to było straszne. To nie szedł Mrok, ale coś... coś jeszcze straszniejszego. Rozumiałem, co robię... i co się dzieje. Nie myślcie, że zamierzam tu się kajać i usprawiedliwiać! - Uniósł dumnie głowę. - Jeśli chcecie mnie zabić...

- Najpierw musicie zabić mnie - rzucił ponurym głosem Sandello.

Maelnor nachmurzył się i jednym ruchem napiął łuk.

Wtedy odezwał się Folko. Zaczął mówić, zacisnąwszy dłoń na ciepłej rękojeści ostrza Otriny.

- Zawdzięczasz mi życie, Olmerze, Królu Bez Królestwa. Gdyby nie moja dłoń, wiesz, co by cię czekało. I niech chroni cię w tej chwili najlepszy miecz Śródziemia - wiesz, że nie spudłuję! - Niebieskie kwiaty na ostrzu niespodziewanie rozbłysły jasnym płomieniem - tak mocno, że odruchowo odstąpili o krok wszyscy, nawet garbus. - Kiedyś byliśmy wrogami - ciągnął hobbit, sam zaskoczony swym krasomówstwem. - Chcesz, byśmy znowu nimi się stali? Mamy, tak uważam, wspólnego wroga. Owego Hennę, w którego ręku pozostał Adamant! Hennę, który - jak i ty kiedyś - postanowił podbić Śródziemie!

- Ja nie chciałem podbijać Śródziemia - odparł lodowatym tonem Olmer. - Gdyby tak było, czcigodny Folko, synu Hemfasta - widzisz, wróciła mi pamięć - tak więc, gdyby tak było, to dawno już miałbym je dla siebie!

- Bawisz się słowami, Okrutny Strzelcze! - wtrącił surowo Maelnor. - Zbyt dobrze pamiętam twój Miecz... Miecz ten przeciął mi pierś. Śmiertelne ostrze wcale nie gorsze od morgulskich kling! A z nimi już wcześniej przyszło mi się zetknąć...

Olmer, zmrużywszy oczy, kpiąco zerknął na elfa.

- Aa, czcigodny, nie znam twego imienia... Więc to ciebie ciąłem pod Dol Guldurem? Pamiętam tę bitwę... To o czym rozmawiamy - o moim Mieczu - pogłaskał czarne ostrze - czy o tym, że bawię się słowami?

- I o jednym, i o drugim! - odciął Maelnor. - Mówisz, że nie chciałeś opanować Śródziemia? Zatem, do czego jeszcze mogła dążyć ta Moc, która syciła trucizną twój Miecz?

- Według mnie, chciała ona po prostu zemsty - odpowiedział spokojnie i poważnie Król Bez Królestwa. - A ja... walczyłem z elfami. Gdyby Szare Przystanie znajdowały się na brzegu Morza Rhun, nie poszedłbym na Arnor. Wystarczyłby mi Gondor.

- Czy nie dlatego, że... - zaczai Folko, lecz Olmer przerwał mu:

- Masz rację, niewysoczku. Widzisz - dziś niczego nie ukrywam.

- Rację, w czym? - zdziwił się Forwe.

- Moim przodkiem był Boromir, syn Denethora, Namiestnika Gondoru, Strażnik Białej Wieży! - rzekł z dumą Wódz. - Boromir, a nie Aragorn, winien był przejąć władzę w Minas Tirith!

- Nie do nas należy zmienianie historii! - wtrącił się Amrod. - A poza tym - jak można usprawiedliwić wojnę?

- Znajdź usprawiedliwienie dla zimy i sztormu, elfie. Znajdź usprawiedliwienie dla burzy i grzmotu. Znajdź usprawiedliwienie dla błyskawicy. Jeśli to uczynisz, uznam twe prawo do żądania ode mnie usprawiedliwienia.

- Czy to aby nie za wiele - porównywać ciebie do błyskawicy? - zauważył ironicznie Mały Krasnolud. Malec siedział, przyjąwszy, jak się wydawało, niedbałą pozę, jakby wypoczywał, ale Folko widział, że jest gotów w każdej chwili użyć broni.

- Nie za wiele, czcigodny krasnoludzie, nie za wiele. Powiesz mi, że łatwo jest żyć według praw wilka, a ja ci powiadani - wcale nie tak łatwo, kiedy masz przeciwko sobie cały świat. Po raz pierwszy i ostatni mówię wam: nie jesteście moimi sędziami, a ja nie jestem waszym podsądnym. Uratowaliście się z rąk Henny tylko dzięki mnie. A ja uratowałem się tylko dzięki wam. Jesteśmy kwita. Więcej nawet - na Wschodzie bylibyśmy uważani za braci. I to wiązałoby nas znacznie bardziej niż pokrewieństwo krwi... Więc co, znowu mam powtarzać, dlaczego wszcząłem tę wojnę?

- Jakie to ma teraz znaczenie? - burknął Torin. - Co było, to było. Możemy odbudować miasta, ale nie przywrócimy życia martwym. Powiedz mi; przemierzyłeś z mieczem w dłoni ziemie od Morza Rhun do Zatoki Księżycowej. Czy osiągnąłeś to, czego chciałeś?

- Tak. Nie ma już zachodnich Elfów w Śródziemiu.

- Ale jesteśmy my, Avari - przypomniał chłodno Forwe.

- Tak. Wy jesteście. I będziecie wiecznie. Ponieważ byliście na tyle mądrzy, by nie wtrącać się do spraw ludzi.

- Można by pomyśleć, że wtrącał się do nich Kirdan Szkutnik! - parsknął Malec.

- Gdy poczułem klingę hobbita, przebijającą mą pierś po chwili milczenia powiedział cicho Olmer - to widziałem, jak wali się kryształowy most... wali się srebrzysta droga... Nie istnieje już Prosta Droga! Śmiertelni od tej chwili są sami sobie panami. Nie ma magii i czarów...

- co z Adamantem? - przerwał mu Folko.

- O tym za chwilę, miły hobbicie - odpowiedział Wódz poważnie, bez cienia kpiny. - Tak więc, ludzie, jeśli dobrze zrozumiałem - żyją teraz według swoich praw. Już nie oglądają się na Moce niebiańskie...

- Ale Śmiertelni często postępują nierozumnie! - Nie zgodził się z jego słowami Forwe. - Nie od rzeczy jest pamiętać o Mocy Błogosławionego Królestwa...

- Ale wy sami niezbyt często o niej pamiętacie - parował Olmer. - Nie, ludzie żyją tak, jak uważają za słuszne. I jeśli nawet czynią Zło, jest to ich, ludzkie, zło. Mogą za nie winić

tylko siebie. Jeśli zaś czynią Dobro - nie myśl, hobbicie, że nie wiem, czym się owe rzeczy różnią od siebie - jest to Dobro po stokroć cenniejsze od tego, które narodziło się za sprawą czyjejś sugestii - elfów, Valarow czy czarodziejów...

- Zalałeś całe Śródziemie krwią tylko dla jednego celu, by ludzie odnaleźli swoje własne dobro? - Folko uśmiechnął się. - Czy odrzuciłbyś tron, Okrutny Strzelcze?

- Nie odrzuciłbym. Ale nie wygłaszałbym tyrad o powszechnym szczęściu i nie uważałbym siebie za wielkiego Ojca i Władcę. Władałem Cytadelą. I to dość długo. Powiedz, Sandello, czy byłem złym władcą?

- Nie znam niezadowolonych - odpowiedział ponuro garbus. - Jeszcze zanim mój pan znalazł jeden z tych mrocznych pierścieni, był przywódcą Swobodnej Drużyny. Z innych ludzie uciekali, by przyłączyć się do naszej...

Torin prychnął, jakby chciał powiedzieć: „Ten twój Sandello zawsze jest gotów cię rozgrzeszyć...".

- Przestańmy rozpamiętywać przeszłość - zasugerował ponownie Olmer. - Czy nie lepiej pogadać o teraźniejszości? I o przyszłości, jednocześnie?

- A co tu gadać? - Folko, nie odrywając spojrzenia, wpatrywał się w byłego śmiertelnego wroga. - Adamant, Serce Złej Mocy, pozostał w ręku Henny. To oznacza, że musimy wrócić. Wrócić nie na dwóch okręcikach, ale z całą flotą. Inaczej, tak czuję, Śródziemie czekają mroczne czasy... Nawet nie jest ważne, co to za Moc, skąd się wzięła...

- A co byś z nią zrobił, gdyby trafiła do twych rąk? - przerwał mu Wódz. - Co zrobisz z tym Kamieniem? Raczej nie uda ci się go rozbić czy zniszczyć. Jest w nim Moc znacznie starsza i potężniejsza od Sauronowej. Patrzyłem w Adamant. Wiem to.

- Może wiesz w takim razie, skąd się wziął? I jak trafił do rąk Henny? I jakie są granice jego mocy? - Książę Forwe przenikliwie patrzył na Olmera.

- Nie wiem na pewno, nie jestem Jedynym - odpowiedział natychmiast Olmer. - Ale nie ma w nim Mroku. Wiedział bym, gdyby był... - Przed spojrzeniem Folka nie umknął atak bólu, który na chwilę zamglił wzrok Okrutnego Strzelca. W nim jest Światło. Tylko Światło. Nic więcej.

- Ciągle o tym samym i o tym samym! - odezwał się Malec. - Oto świeci księżyc, a w dzień - słońce... To jest światło, to ja rozumiem. Światło jest wtedy, kiedy widno. Mrok, kiedy nic nie widać. A wy tu mędrkujcie, nie wiadomo po co!

Folko nie potrafił powstrzymać się od śmiechu.

- A ta ściana ognia, która szła za wojskiem pierzastorękich? - zapytał Olmera Torin. -

Ten rydwan, na którym była Eowina, wjechał prosto w ogień.

- Byliśmy razem... byłam razem z... - Wydawało się, że dziewczyna nie jest w stanie wypowiedzieć owego, fatalnego dla Śródziemia, imienia. Niemal z mistycznym strachem wpatrywała się w oblicze swego zbawcy i obrońcy... który okazał się być Olmerem, i za sprawą nieznanej Mocy powrócił z domeny umarłych. Przekleństwo Zachodu! Zguba Rohanu! Wiele miał imion, i wszystkie oznaczały śmierć, strach, zniszczenie i zgubę... Tysiące, tysiące poległo z jego rozkazu... Zgniótł wolność Rohanu...

- Razem ze mną - dokończył za Eowinę Olmer. Wydawało się, że rozumiał, co się dzieje w duszy młodej Rohanki... Byliśmy razem na tym rydwanie... Ścianę ognia widziałem z tej odległości, co ciebie, czcigodny krasnoludzie... Ale... chciałem uratować ludzi, którzy walczyli ramię w ramię ze mną. Teraz rozumiem, że pamięć zaczęła mi wracać już wtedy... stopniowo, w promieniach Światła Adamantu... być może wróciłaby całkowicie, a może i nie, nie wiem... Zrozumiałem, że mogę przeciwstawić się... temu ognistemu żywiołowi. Nie wiem, jak się to stało, ale się udało! Nigdy wcześniej nie potrafiłem czegoś takiego robić... I nagle... - Poczekaj, a skąd w ogóle wzięła się ta ściana ognia? przerwał mu Torin. - Ktoś ją wysłał? Step tak się nie pali sam. Myślisz, że pożarów stepu nie widzieliśmy? - To był płomień Adamantu - odpowiedział po krótkiej chwili namysłu, i jak się hobbitowi wydawało, niechętnie, Olmer. - Jakimś sposobem podtrzymywał ten ogień i kierował nim...

Rozległy się okrzyki zdumienia.

- Ale jaki interes miał w tym Henna? - nie wytrzymał Malec. - Po co pędził na rzeź taką ogromną armię? Przecież gdyby ją wyszkolił, przeszedłby od Hrissaady do Annuminas!

Wódz pokręcił głową.

- Adamant zawiera potężną, prawdziwą magię. Dokładnie mówiąc... nie magię, to my tak nazywamy niedostępne naszemu rozumieniu Moce. Henna... bawił się tą Mocą jak dziecko zabawką. Nie wiem, po co postanowił zniszczyć hordę pierzastorękich... Może Mocą Adamantu pomnożył ich, a kiedy stało się jasne, że nie ma możliwości wykarmienia tylu ludzi, wysłał ich na zgubę... Trzeba powiedzieć, że osiągnął swój cel. Harad jest osłabiony i będzie teraz łatwym łupem... A ściana ognia... na Wschodzie jest mnóstwo ciekawych legend. Wędrując po tych ziemiach, stykałem się z następcami Błękitnych Magów... Potrafili oni wiele. Na przykład spalali ludzi wzrokiem. Dlaczego więc mamy odmówić Hennie takich umiejętności? Adamant mógł dać mu taką moc.

- No to, dlaczego nie spalił nas? - zapytał Farnak, marszcząc się z bólu.

- Odpowiedź może być prostsza, niż sądzisz. - Olmer wzruszył ramionami. - Henna nie

jest Sauronem, nie jest Nazgulem, nawet Czarnym Numenoryjczykiem. Bez Adamantu jest niczym.

- No to, czym jest, według ciebie, Adamant? - wtrącił pytanie Mały Krasnolud.

Król Bez Królestwa pokiwał głową.

- Rad bym ci odpowiedzieć, mój dobry Strori, ale nie mogę. Nie wyobrażam sobie tego. Wcześniej, być może, powiedziałbym, że to jeden z Silmarilli... Ale to, oczywiście, nieprawda. Adamant jest odłamkiem, odłamkiem czegoś ogromnego, ale będącego źródłem Światła czystego i jasnego... Możemy więc długo się zastanawiać, skąd się wziął i na czym polega Moc jego. To by było, rzecz jasna, bardzo ciekawe, ale raczej nie pomoże nam w sprawie najważniejszej - odzyskaniu go. Bo w to, że należy go odzyskać, chyba nie wątpicie?...

- A co z nim zrobimy, kiedy znajdzie się już w naszych rękach? - zapytał Forwe, patrząc Olmerowi prosto w oczy.

- W naszych? - zdziwił się Wódz. - Nie, tak nie można. Niech każdy mówi o sobie. Pamiętacie, jak straszliwą Mocą dysponuje ta rzecz? Zapewne jest to Moc większa niż osławiony Pierścień!

- Mamy w takim razie tylko jedno wyjście - odezwał się Folko. - Wrzucić do Orodruiny.

- Pewnie, Orodruina to już nie Orodruina, lecz śmietnik wszelkich takich magicznych rzeczy - uśmiechnął się Olmer. Nie śpiesz się, połówieczku! Przecież to nie Jedyny Pierścień, to nawet nie jest mój Połączony Pierścień Martwych! Adamant jest pełen Światła, rozumiesz? Światła, a nie Mroku! On nie ma w sobie żadnego Zła!

- Ale też i nie ma Dobra - mruknął Torin. - Światło, Mrok - czy trzeba królowi Earnilowi tłumaczyć, że to tylko słowa?

- Nie trzeba. Dążę do tego, by teraz wyjaśnić wszystkie okoliczności raz na zawsze. Tak więc rada hobbita: „wrzucić do Orodruiny", zniszczyć. Kto ma inne zdanie?

- Zniszczyć! - Malec poparł swoje słowa, uderzając pięścią w pokład.

Torin skinął głową na znak zgody.

- Ja bym najpierw przedstawił sprawę Wielkiemu Orlangurowi - powiedział wolno Forwe. - Kto wie, jakie Moce siedzą w Adamancie? I czy utrzymają się Kości Ziemi, jeśli bez namysłu ciśniemy ten skarb do Orodruiny? Mądrzy postępują mądrze. Tylko Złoty Smok może odpowiedzieć na takie pytanie!

- A nie kusi cię, by wszystko odwrócić? - zapytał Olmer elfa z zaskakującym uśmieszkiem. - Zastanów się, książę Forwe. W twoich rękach znalazłby się największy co do Mocy magiczny przedmiot Śródziemia! Potężniejszy od Pierścieni Saurona i elfów,

potężniejszy, być może, niż sam Morgoth w dniach swojej potęgi i chwały! Pomyśl, książę, przecież ty masz czystą i jasną duszę - przecież mógłbyś wszystko odwrócić według swego życzenia! Odtworzyłbyś Prostą Drogę, na przykład. Albo odwiedziłbyś Valinor, a potem wrócił tu. Mógłbyś cisnąć do podnóża tronu Wód Przebudzenia wszystkie bez wyjątku ziemie - od północnych lodów do południowych spiekot. Mógłbyś wstrzymać wojny, ukarać złych, ustanowić tysiącletnie królestwo Światła!... Czy chcesz powiedzieć, że odrzucisz to wszystko bez żalu?

Nawet w słabym księżycowym świetle widać było, jak strasznie zbladł Forwe. Piękne oblicze elfickiego księcia przypominało teraz maskę. Gdy uniósł rękę do czoła, Folko zauważył, że palce elfa mocno drżą.

- Przecież znasz moją odpowiedź, Ojcze Kłamstwa - odpowiedział książę z trudem.

- Dlaczego przypisałeś mi tak wysoki, choć nienależny mi tytuł? - Wódz w żartobliwym zdziwieniu uniósł brwi.

- A czy to Olmer, poszukiwacz złota z Dale, wypowiedział te słowa? - odparował Forwe, patrząc prosto w oczy Królowi Bez Królestwa.

- Przyznam, że myślałem właśnie tak... - Olmer zaczął się obmacywać z udawanym przestrachem.

- Poczekajcie, poczekajcie! - wtrącił się Folko, widząc, że Forwe już zamierza odciąć się Olmerowi. - Porozmawiamy o tym później. Jak... jak to się stało, że ocalałeś, Olmerze?

- Niełatwo to było po twoim sztylecie, połówieczku. - Wargi Okrutnego Strzelca rozciągnęły się w uśmiechu, ale oczy pozostały zimne i ciemne niczym stal. - Nie wiem, wtargnięciu jakich mocy sprzyjało moje gundabadzkie trofeum... ale tego bólu nie zapomnę do końca mych dni, który kiedyś, nie wątpię, nastąpi. - Król Bez Królestwa z wysiłkiem potarł czoło. Głos miał suchy i łamiący się. - Był tam ogień. Widziałem... nie, lepiej nie będę o tym mówił! Widziałem w jednej chwili cały Świat, od najgłębszych otchłani Ungoliantu do górskich szczytów, ponad którymi płynie dumny okręt Earendila... Widziałem Wielkie Schody i tajne korytarze Czarnych Krasnoludów. Poza tym... widziałem lśniący Szlak, który prowadził do niebios, tę właśnie Prostą Drogę do Valinoru. I zacząłem gnać tym Szlakiem coraz prędzej i prędzej, Świat pozostał z tyłu, na dole rozpostarło się morze, ale nie nasze, ludzkie morze, nie jedno z tych, które zwą Nietutejszym albo Grzmiącym, choć nie słyszałem ani jednego dźwięku. W milczeniu pędziły pode mną szare fale, pozbawione życia jak sama Śmierć. Widziałem wyspy... zasłane mgłą wyspy, gdzie czarne szczyty wynurzały się z piany przyboju... A potem...

- Potem był perłowy brzeg i wiecznie zielone zarośla, i wąskie przejście do olbrzymiej górskiej ściany - podpowiedział hobbit.

- Zgadza się, wszystko było dokładnie tak, jak mówisz. Niezła rzecz, te „Przekłady z języka elfów”! Wspaniały Bilbo Baggins odwalił kawał dobrej roboty... Nie widziałem swojego ciała. Pewnie stałem się widmem...

- A potem? - dopytywał się niecierpliwie Malec. - Widziałeś Valinor?!

- Valinor? O nie! Nie dostąpiłem tego zaszczytu. Oślepiające światło otoczyło mnie znowu... a potem obok mnie pojawiły się dziwne istoty. Podobne do obłoków, ale z płonącymi niczym węgle oczyma. Zaczęły wyliczać wszystkie moje grzechy z niebywałym wprost krasomówstwem. „Teraz w końcu za wszystko odpowiesz - cieszyły się. - Surowy będzie sąd i straszliwa zaiste zapłata!”. „Odejdźcie ode mnie - odpowiedziałem im. - Sąd? - znakomicie! Nie przepuszczę okazji, by powiedzieć swoim wrogom, co o nich myślę!”. „Bój się, człowiecze! - zasyczały istoty. - Wielka jest moc Sędziów! Wysoki jest ich tron, i bacz, by nie oślepły oczy twe od światła, które oni roztaczają!”. „No to cieszcie się! - odparowałem wówczas. A w ogóle - to po co wy tu jesteście? Żeby mnie zasmucić, wystraszyć, złamać mą wolę? Nie uda się wam! Uniknąłem już tego, czego najbardziej się bałem, choć rozstałem się przy tym ze śmiertelnym ciałem. Co mi tam sąd! Nikt nie osądzi mnie surowiej, niż uczyniłem to ja sam”. I odstąpiły owe istoty... A potem... potem już nic nie widziałem - ani ziemi pod sobą, ani nieba nad głową. Po prostu znalazłem się w Kręgu, Kręgu Mocy, którego nie mogłem opuścić. Stałem się zabawką dla tych, którzy zasiadali na wysokich tronach dokoła mnie... Czternastu ich było, czternastu otoczonych Światłem... i teraz już wiem, do czego podobny jest Płomień Adamantu. Nie widziałem twarzy sędziów, tylko lśniące kontury, niewyraźne zarysy ludzkich postaci na tle oślepiającego płomienia... A potem nastąpił ból. Nie wiem, w jaki sposób sięgnęli mnie. Pewnie to była po prostu pamięć uderzenia ostrza Otriny... Pamięć tej krótkiej chwili, która stała się wiecznością... - Głowa Olmera opadła na pierś, przez twarz przeszedł skurcz. Stałem. Nie pamiętam, jak mi się to udało, ale stałem. Wtedy najważniejsze dla mnie było jedno: za żadne skarby nie upaść na kolana. I, zapewne, dlatego niezbyt dobrze słyszałem skierowane do mnie słowa... Pamiętam tylko, że były to perory, w szczegółach przedstawiające wszystkie moje przestępstwa... - Uśmiechnął się znowu. - „Upadnij na twarz i pokajaj się, złoczyńco! Upadnij na twarz przed Sędziami swoimi! Błagaj o łaskę! Żałuj za czyny swe, odrzuć podszepty Wspólnego Wroga! A wtedy, być może, będziesz mógł odejść drogą innych zwykłych ludzi...”. Nie wiem, czy tak było naprawdę, czy tylko mi się to wszystko przywidziało... Któryś z Sędziów usiłował powiedzieć coś w mojej obronie, ale tak

niepewnie przemawiał i takie to było bezbarwne, że sam szybko zaniechał obrony. A potem... wydaje mi się, że słyszałem ogólny wyrok: „Do Mroku Zewnętrznego! Poza Drogą Śmiertelnych!”. Rozwarły się wrota... czekała mnie tam Noc, Wieczysta Noc, która nie zna granic... Pewnie Sędziowie chcieli widzieć mój lęk, ale ja z niewiadomego mi powodu - nie bałem się. Patrzyłem na rozkołysane morze Mroku i myślałem - w końcu odpocznę. W końcu ustąpi ból... Wtedy to chyba, pewnie któryś z nich, mądrzejszy od innych, zrozumiał, że ta kara - o ile to kara! - nie przejmuje mnie lękiem w najmniejszym stopniu, i decyzja została natychmiast zmieniona. Rozbrzmiał głos, głęboki i dźwięczny, jak pieśń oceanicznych fal... Mówił coś o Równowadze, o tym, że z głębin czasu powinno w końcu wyłonić się to Utracone... Więcej nie pamiętam. Do gardła chlusnęła woda... i ocknąłem się w samym sercu wiru. Wydaje mi się, że to musiało być właśnie w Szarych Przystaniach... Ktoś inny na moim miejscu zginąłby w kilka chwil, ale... coś mnie podtrzymywało. Jakiś cień... czy moc... podtrzymywała mnie. A potem, wiatry i prądy zaniosły mnie na południe. I w końcu fale wyrzuciły na brzeg... przypuszczam, że było to gdzieś na ziemiach Howrarów. Tam stałem się tym, którego poznała Eowina - Szarym, rybakiem z nadmorskiej wioski... - Olmer wzruszył ramionami. Minęło dziesięć lat, i oto... wyrwał się na wolność Adamant, wczorajsi wrogowie rozmawiają spokojnie na pokładzie „smoka”. - Uśmiechnął się. - A przed nami nowa wojna! Henna jest jeszcze nowicjuszem. Ale zadziwiająco szybko się uczy!...

Oczywiście, rozmowa nie mogła się skończyć tak po prostu. Wszyscy, nie wyłączając księcia Forwego, patrzyli ze strachem i zdumieniem na Śmiertelnego, który był na sądzie Valarów. Jaki los go czekał, jego - wroga elfickiej rasy? Po co został wysłany do Śródziemia? Czy jego cudowny powrót to tylko ślepy przypadek?

Folko uważnie wpatrywał się w twarz swego najgorszego niegdyś wroga. Cierpienia i czas zmieniły oblicze Wodza Earnila. Teraz bardziej niż kiedykolwiek przypominał przywódcę Mocy Mroku. Przeżycia wysrebrzyły mu włosy, twarz pobruździły niezliczone zmarszczki, ale oczy pozostały takie same. Moc kryła się w nich, dziwna moc, częściowo, być może zapożyczona, ale częściowo - własna. Mroczna, ale swoja, ludzka.

- Tak więc powiadam wam raz jeszcze - nie czas na spory - ciągnął Olmer. - Ratowaliśmy sobie wzajemnie życia. Powtarzam, na Wschodzie to znaczy więcej niż pokrewieństwo krwi. I teraz musimy stać się sojusznikami. Adamant nie może pozostać w ręku Henny. To chyba dla wszystkich jest jasne. Co uczynimy z nim potem - nie jest takie istotne. Najważniejsze, by zawładnąć nim teraz!

- A według mnie, wręcz przeciwnie. Właśnie teraz musimy zdecydować, co

zamierzamy z nim zrobić - sprzeciwił się Forwe. - Ty raczej nie oddasz go dobrowolnie?

- Czy oddam go?... - Olmer uśmiechnął się. - To zależy przede wszystkim od tego, czy zrozumiemy prawdziwą istotę owego skarbu.

- Nie sądzę, by nam się to udało - pokręcił głową książę. - Może Wielki Orlangur... Ale jeśli odzyskamy Adamant - na pewno nie będzie to w pobliżu jego schronienia. Zatem takie rozstrzygnięcie odpada. Powiedz prawdę, Olmerze z Dale! Teraz decyduje się - będziemy wrogami czy nie!

- Ja nie chcę z wami sporu. Ale przecież i wy nie wymyśliliście nic mądrzejszego niż wrzucenie go do Orodruiny! Zrozumcie, nikt nie może przepowiedzieć biegu wydarzeń. Nie będę kłamał i powiem, że gdybym zdobył Adamant już dziś, teraz, zapewne wykorzystałbym go jakoś inaczej.

- To znaczy jak? - zapytał sarkastycznie Forwe. - Jestem niemal pewien - zacząłbyś nową wojnę.

- Tak, wytoczyłbym nową wojnę - odparł Wódz nieoczekiwanie szczerze. - Chcę odpłacić... nie, nie Amorowi i Gondorowi, i nawet nie elfom Śródziemia - o ile wiem, opuścili już wszyscy Granice Śmiertelnych. Komu? Zgadnijcie!... Uśmiechnął się. - Chociaż nie odmówiłbym i Śródziemia. Widzicie, przysiągłem...

Eowina jęknęła.

- Tak, tak. Właśnie tak - potwierdził Olmer. - Przysiągłem podarować Śródziemie odważnej, prostej dziewczynie o imieniu Eowina, urodzonej w rohańskich stepach. Walczyliśmy ramię w ramię z pierzastorękimi... a potem ze sługami Henny. Złożyłem przysięgę nie jej - sobie, że uczynię ją władczynią Śródziemia. Z Adamantem byłoby to dość łatwe.

Wszyscy znieruchomieli.

- Ja... ja zwalniam cię z teej przysięgi, Oolmerze... - wykrztusiła Eowina. - Nie chcę takich prezentów! Krew, strach, zguba!... Nie, nie chcę!...

- Byłabyś znakomitą królową, wspaniała Eowino, mądrą, dobrą i sprawiedliwą - pokręcił głową Wódz. - Dla mnie Śródziemie jest w tej chwili za małe... Podobnie jak i dla moich wczorajszych wrogów.

- Mówisz zagadkami - zauważył Folko.

- Ja? Zagadkami? O nie, wcale nie. Sam się domyślałeś tego, prawda, połówieczku? I właśnie dlatego nie śpieszyłem się z niszczeniem Adamantu. Może jeszcze posłużyć i jako tarcza, i jako miecz. Kiedy skarb ten obudził się z tysiącletniego snu, uruchomione zostały

również inne potężne Moce, strażnicy Równowagi Ardy. Słyszałem o Szalach, miły Folko... jak i ty o nich słyszałeś. Tak, więc - czuję to: poruszyły się one. To dar. - Uśmiechnął się znowu, ale jakoś krzywo, tylko samymi wargami. - Dar stamtąd, zza Morza... Taki sam, jak umiejętność gaszenia ognia, zesłanego przez Adamant... Nie wiem, jak skończy się nasza potyczka. Nie przeczę, że potrzebuję Adamantu, ale skoro przecudowna Eowina uwolniła mnie od przysięgi...

- Uwolniłam, uwolniłam! - zakrzyknęła dziewczyna.

- No to... Adamant i tak jest mi potrzebny - ciągnął Olmer. - Ponieważ...

- Czy nie chcesz aby powiedzieć, że zamierzasz rzucić wyzwania Możnym Władcom Zachodu? - zapytał książę Forwe nie bez lęku.

- A czy ty byś nie chciał tego, najjaśniejszy książę? Czy nie przygotowywał nas Wielki Orlangur do gigantycznej wyprawy na Zachód?

Forwe drgnął jak uderzony.

- Hej, o czym wy mówicie? - zapytał z niedowierzaniem Wingetor, ale nikt mu nie odpowiedział.

- Nie powinniśmy opuszczać granic Ardy - głucho powiedział książę.

- Ale czy to nie wasze armie wraz z armiami Środkowego Księstwa miały zaatakować Valinor? Czy to nie wy mieliście siłą lub podstępem zdobyć klucze do Drzwi Nocy?... Nie odpowiadaj, książę. Odpowiedź jest znana. Czy całe życie czczonego przez ciebie Ducha Wiedzy nie jest jednym wielkim wyzwaniem rzuconym Władcom Zachodu? Czy żywot elfów Avari, o których legendy Elfów Zachodnich mówią, że nie zgodziwszy się pokornie iść do Valinoru za pięknym, ale obcym światłem, zaginęły bez śladu i pamięci - czy wasze życie nie jest jednym wielkim wyzwaniem rzuconym Mocom Zachodu? I skoro mamy już szczerze rozmawiać - czy nie przygotowuje Wielki Orlangur bratobójczej wojny w Valinorze, jeśli wyobrazimy sobie, że Vanyarowie, Noldorowie i Teleri sprzeciwią się waszemu przedarciu? Bo przecież, przyjdzie ci, książę Forwe, skrzyżować miecz z rodakiem. Być może znamienitym rodakiem, sławnym jeszcze z wojen z Morgothem! Na przykład, z Fingolfinem... Albo Finrodem... Jeśli wierzyć „Przekładom z języka elfów", to zabici tu, w Śródziemiu, elfowie odradzają się do życia w blasku i chwale Valinoru...

- Jakie to ma znaczenie? - zapytał posępnie Forwe. - Skoro twoja wiedza o planie Wielkiego Orlangura jest tak dogłębna, zatem powinieneś wiedzieć, że Złoty Smok chciał, by ludzie upodobnili się do Bogów. Wtedy wszelki opór elfów Valinoru nie miałby znaczenia.

- Co to za przemądrzałe gadanie? - rzucił rozeźlony Farnak. - Hej, jeśli już rozmawiacie

o takich sprawach, mówcie tak, by wszyscy rozumieli.

- Zrozumiesz wszystko, czcigodny Farnaku - odezwał się Olmer. - Musimy teraz zdecydować - jesteśmy wrogami czy przyjaciółmi? Ja ze swej strony ponownie proponuję przyjaźń...

- Na razie nie mamy powodu do sporu z tobą, Wodzu powiedział spokojnie Folko. Lęk przed człowiekiem naznaczonym Mocami Mroku całkowicie ustąpił. - Uratowałeś Eowinę. I szczerze uprzedziłeś nas o swych zamiarach. Mnie też się wydaje, że w sprawie Adamantu należy zwrócić się do Wielkiego Orlangura. Tylko on w całym Śródziemiu może rozstrzygnąć nasz spór.

- Aha, my będziemy się bili, przelewali krew, a potem z pokłonem oddamy skarb tej niepomiernie wyrośniętej żółtej skrzydlatej jaszczurce? - rzucił Olmer zaskakująco gwałtownie. - Myślałem, że jesteś bardziej dumny, połówieczku Folko! Tak po prostu kłaniać się jakiemuś duchowi! Niechby to był nawet Duch Wiedzy!

- Nasze swary tylko radują Hennę - pokiwał głową hobbit. - Wcześniej mówiono - Olmera... a jeszcze wcześniej Saurona...

- Niezłe towarzystwo! - roześmiał się Torin.

- Właśnie - uśmiechnął się Okrutny Strzelec. - Masz, Folko, absolutną rację. Chociaż Sauron był Majarem, ja nosiłem Pierścień Umarłych, a Henna - to tylko szczęśliwy wódz nieznanego plemienia w Odległym Haradzie; Henna dlatego, że nikomu nieznany, jest niebezpieczniejszy od Saurona, którego ruchy były do przewidzenia. Pokornie kroczył do własnej zguby, popełniwszy po drodze wszystkie możliwe błędy - takie do pomyślenia i nie do pomyślenia. A Henna - co on wykoncypuje jutro, kto wie?...

- Tak czy inaczej, przyjdzie nam z nim walczyć! - zauważył ponuro Wingetor.

- Przyjdzie - skinął głową Forwe. - Nie wiemy, czym jest Adamant, nie wiemy, skąd się wziął, ale co do reszty, to zgadzam się z Okrutnym Strzelcem.

- Henna będzie usiłował nas powstrzymać - odezwał się Torin.

- I na pewno ruszy na Umbar - dodał hobbit.

- Słusznie - skinął głową Olmer. - Najpewniej tak będzie. Adamant został w jego ręku, a ten głupiec nie przepuści okazji, by się zemścić. O wszechpotężny przypadku! Wyznaczono nam przeciwnika, który nawet w jednej tysięcznej nie ma pojęcia o swoim łupie! W tym nasz ratunek i nasza słabość. Dlatego, że nie możemy przewidzieć, co zrobi. Może zaatakuje Umbar, rzuciwszy swe siły przez osłabiony Harad. Może postara się napuścić na Umbar Haradrimów...

Folko mógł tylko się dziwić, jak szybko Olmer - Olmer, a nie Szary! - oswoił się z

otaczającym go światem.

- No to musimy poderwać hufce morskich tanów - wtrącił się do rozmowy Farnak. - I tak zresztą innych sił nie mamy...

- A Henna raczej nie da nam drugiej szansy zdobycia Adamantu z marszu, jak poprzednio - poparł marynarza Torin.

- Słusznie - skinął głową Forwe. - Ale czy Eldringowie pójdą na tę wojnę?...

- Moi ludzie i tak narzekają na brak łupów - rzucił Wingetor, krzywiąc się z bólu.

- Ale nie zapominajcie, że przyjdzie nam wojować przeciwko ogłupionym i rozjuszonym przez Adamant - przypomniał wszystkim Folko. - Widziałem... wszyscy widzieliśmy, jak biją się pierzastoręcy... Czyżbyśmy mieli urządzić taki sam pogrom? Przecież oni nie robią tego z własnej woli, nie są niczemu winni!

- Prawda - zgodził się elf. - Ale nie mamy innego wyjścia. Jakkolwiek gorzko brzmią te słowa! Wszystko byłoby inaczej, gdyby los bardziej nam sprzyjał!... Ale po co rozpamiętywać przeszłość, i tak nie możemy jej zmienić...

I nagle poruszyła się przytomniejąca Tubala. Sandello siedział obok niej, ale Wódz był szybszy. Miękkim, zręcznym ruchem pochylił się nad dziewczyną i na chwilę znowu stał się tym Okrutnym Strzelcem, który za pieniądze strącał w locie gołębie na rynku; tam po raz pierwszy zobaczył go okrutnie rozsierdzony skróceniem Świętej Brody Durina krasnolud Torin.

Tubala szeroko otworzyła oczy. Pierwszą osobą, którą zobaczyła, był pochylony nad nią Olmer.

- Ma człowiek przywidzenia - usłyszał Folko mamrotanie wojowniczki. - A może już naprawdę umarłam...

- Nie umarłaś, Oessie - czule odezwał się Wódz. - Ja też nie. Znaczy, że nie ma już potrzeby mszczenia się na tych czcigodnych krasnoludach i nie mniej czcigodnym hobbicie...

Ostatnie słowa powiedział tak, by dotarły do Torina, Folka i Malca.

- Jeszcze jedna mała tajemnica - pokiwał głową, z uśmiechem pomagając usiąść dziewczynie.

Oczy Tubali stawały się coraz większe.

- Ojciec?! Niemożliwe, to ty, naprawdę?

- Mała tajemnica - powtórzył, spoglądając na zebranych. - Oessie czy Tubala - imię, pod jakim stała się znana w Khandzie i Haradzie, to moja córka.

Przez krótką, jak mgnienie oka, chwilę głos Wodza drżał.

- Ojcze! - pisnęła groźna wojowniczka i rzuciła się Olmerowi na szyję.

- To ci historia! - klasnął w dłonie Malec. - A mnie męczyło - kogo mi przypomina tą swoją zuchwałością!

Tubala rozglądała się oszołomiona, widziała otaczających ją ludzi, elfów, krasnoludy. Nieoczekiwanie Olmer zrobił krok w kierunku hobbita i położył mu rękę na ramieniu. Folko omal nie runął na pokład - jakby na ramię zwalił mu się olbrzymi głaz.

- To on mnie uratował, Oessie. Uratował, a nie zabił w tym boju pod Szarymi Przystaniami. Nie masz żadnego powodu do zemsty. Uściśnijcie sobie dłonie i zakończcie tę głupią wojnę. Tym bardziej że od tej chwili przyjdzie nam walczyć ramię w ramię.

Wpatrzona w hobbita szeroko otwartymi oczyma, Tubala wolno, jak we śnie, wyciągnęła do niego rękę.

10 Października, Wczesny Poranek,
Lasy Południowego Haradu

Przez całą noc śniły się Millogowi koszmary. Pies tęsknie wył, a dwaj tajemniczy towarzysze Howrara nawet nie zmrużyli oka. O świcie wydawali się być czymś zaniepokojeni; wymieniwszy długie znaczące spojrzenia, wyjaśnili Millogowi, że ich plan uległ zmianie. Zamierzają iść na południe, a tam Howrar ma im pomóc w pewnej bardzo ważnej sprawie, za co czeka go wielka nagroda, taka, o której marzyć tylko może każdy Śmiertelny. Millog przystał na to, nie wyobrażając sobie nawet, że mógłby się im przeciwstawić...

Podążali więc na południe, kierując się dokładnie na dolinę, którą kilka tygodni temu przeszli Szary i Eowina...

Złotowłosa zawołała do siebie psa - i ten podszedł do niej, co prawda niechętnie, całym swym ciałem sprzeciwiając się wezwaniu: skowyczał, uszy położył po sobie i właściwie pełzł, a nie szedł... Jednakże zbliżył się, a władczyni, ściskając w dłoniach duży łeb, zaczęła coś szeptać mu do ucha. Nagle pies zawył, jakby oznajmiając czyjąś śmierć, usiłował się wyrwać, ale zwyciężony przez wielekroć silniejszą wolę, po chwili już tylko żałośnie popiskiwał.

Tego Samego Dnia, Podziemne Szlaki Czarnych Krasnoludów, Gdzieś Pod Mordorem

Noc była naprawdę koszmarna. Posłaniec nie zmrużył oka. Ponury i rozgniewany obudził niewyspanych, złych wioślarzy.

- Naprzód!

„No, więc - stało się. Wiem. Serce Mocy płonie tak, że oczy moje dłużej tego nie zniosą. Ten, który nad nim panuje, uwolnił ukrytą w Sercu siłę, i teraz chyba tylko szczera stal może poskromić owego władcę. Coś się tam, na Południu stało... nieważne już nawet co. Kto, kogo i jak zabił nie ma najmniejszego znaczenia. Szybciej, rzeko! Inni myśliwi nie śpią. Śpiesz się więc i ty, wysłanniku Wielkiego Orlangura!”.

15 Października, Ujście Kamionki

Eldringowie pokazali, ile są warci. Wiosła gięły się w mocnych rękach. Nie zatrzymując się w dzień ani w nocy, okręty wyszły z domeny Henny. Zapłacili jedynie kilkoma strzałami, które wbiły się, nie wyrządzając nikomu krzywdy, w nasmołowane drewno burt szybkich „smoków". Henna wysłał pościg, ale „smoki" dopadły do morza pierwsze. Nie doszło do bitwy w ujściu rzeki. Henna nie zdążył przygotować łańcuchów przegradzających nurt, do walki z ludnością miasteczka Eldringowie nie parli, szczególnie że docierały tam już pierwsze oddziały. Przemknąwszy obok rozjuszonych podwładnych Henny, Farnak i Wingetor wyprowadzili okręty w morze, by połączyć się z flotą Skilludra...

Wieść o tym, że wiozą na pokładzie Olmera, Olmera Wielkiego, Wodza Earnila, który wrócił z Włości Śmierci, podziałała na Eldringów jak grom z jasnego nieba. Patrzyli na niego jak na nieziemskie zjawisko, a Okrutny Strzelec, śmiejąc się, opowiadał ciekawskim - wolnej zmianie wioślarzy - śmieszne opowiastki o Sądzie Valarow.

Folko przyłapał się na tym, że nie czuje wrogości do tego człowieka. Tamten Olmer umarł, zginął z jego ręki, a tego należy poznawać od nowa. Dużo w nim pozostało z poprzedniego Wodza, opętanego myślą o zemście na elfach. A na kim zamierzał mścić się teraz? Może na Valarach? Czyżby potrzebował Adamantu, by siłą wedrzeć się na Prostą Drogę?

Wybrawszy dogodny moment, Folko zapytał go o to wprost.

Olmer milczał chwilę. Mijali brzegi Kamionki, zielone, bujne, z których leciały co jakiś czas strzały. Jeźdźcy Henny deptali im po piętach, ale nie byli w stanie dotrzymać kroku. Dwukrotnie „Rybołów" i „Smok" taranowały pośpiesznie zmontowane przegrody z tratw - ich budowniczym zabrakło czasu, a może umiejętności - bowiem ustępowały pod naporem „smoków".

- Potrzebuję, oczywiście, że potrzebuję Adamantu, mój miły połówieczku. Nie ukrywam tego. Na pewno wykorzystam go lepiej niż ten głupiec Henna! Masz rację - w Śródziemiu nie mam już wrogów. Easterlingowie zajęli Arnor... no i niech sobie zajmują. Oton został królem - cóż, będzie z niego niezły władca. Niech sobie będzie. Ja chcę iść dalej! - Wyprostował ramiona, popatrzył hardo. - Tam, za najdalszy widnokrąg, tam, gdzie zlewa się morze z niebem, tam, za Obce Morza... Chcę zobaczyć na własne oczy wszystko to, o czym tak długo i pięknie opowiadały nam elfickie bajki. Chociażby dlatego jest mi potrzebny Adamant.

Ty, zresztą, połówieczku, ty, który uganiałeś się za mną najpierw z zachodu na wschód, a potem ze wschodu na zachód - czy zrezygnowałbyś z takiej wyprawy? - A czy może Adamant... - zaczął Folko. - Może - przerwał mu Olmer. - Wiele rzeczy może. Musimy tylko baczyć, by nie sprzątnięto nam go sprzed nosa!... W każdym razie pomysł, by wrzucić go do Orodruiny, jest wielce nierozsądny. Ale o tym już ci mówiłem. - Czyżbyśmy mieli walczyć o zdobycz jak zbóje z gościńca? - Folko uśmiechnął się smętnie. - Ludzie dokonywali znacznie większych przestępstw z mniej ważkich powodów - rzucił obojętnie Wódz. - Ale poczekajmy! Adamant należy najpierw zdobyć... a nie mamy do tego sił. W Cytadeli rządzi mój syn... a jest ona daleko. Przyjdzie nam liczyć tylko na zuchów z Umbaru... i może na orków, o ile uda się ich poderwać i wyciągnąć z Mordoru. A potem doszło do spotkania ze Skilludrem, i największy z morskich tanów w milczeniu pochylił głowę przed Olmerem - pokłonił się tak, jakby Okrutny Strzelec wcale nie zginął. „Smoki” szybko płynęły na północ.

CZĘŚĆ CZWARTA

ROK 1733 ZIMA

1

Folko, Torin, Malec I Inni

„Rybołów", „Skrzydlaty Smok" i flota Skilludra szczęśliwie dotarły do umbarskiej zatoki, pewnego schronienia. Hobbit musiał przyznać - nie oni, nie Farnak i nie Wingetor, nie Sandello i nie Tubala byli najważniejsi w tej wyprawie. Setki oczu bez przerwy wpijały się w jednego, jedynego człowieka - Olmera.

Wieść o jego cudownym powrocie wyprzedziła frunące po falach „smoki". Najważniejsi z drużyny Skilludra po kolei wspinali się na pokład „Rybołowa" - wielu z nich osobiście znało Wodza Earnila, chadzali pod jego dowództwem na wyprawy, przygotowywali się do szturmu na Szare Przystanie od strony morza...

Olmer rozmawiał ze wszystkimi. Jego oczy stawały się ciemne i nieprzeniknione, ale dla każdego ze starych wojów znalazł chwilę czasu. Wydawać by się mogło, że po pokładach okrętów za chwilę przemknie wezwanie: „Naprzód, za Wodza Earnila!". Folko widział, jak codziennie coraz bardziej zasępiali się jego przyjaciele krasnoludy, jak przygryzał wargę Farnak i z jak nieprzeniknionym obliczem odwracał się Wingetor... Sława Olmera Wielkiego niczym morski wir wciągała Eldringów; jeszcze trochę i Król Bez Królestwa bez trudu poprowadzi za sobą wszystkich, poprowadzi tam, gdzie mu się zamarzy...

Przez cały ten czas Tubala- Oessie starannie unikała Folka, Torina i Malca - unikała, mimo wyraźnego polecenia Olmera, by się z nimi pogodziła.

Wydarzyło się to wieczorem ostatniego dnia drogi. Folko wyczuł, stojąc tyłem, że zbliża się córka Olmera, i zdążył odwrócić się na czas, co pozbawiło ją połowy przyjemności dziewczyna zamierzała podejść niezauważalnie.

Piękną twarz wykrzywiał grymas nienawiści.

- Między nami nie ma zgody - usłyszał hobbit zduszony syk. - Zabiłeś mojego ojca! Pozbawiłeś go zwycięstwa! Może mi wmawiać, co chce, ale wiedz, mały szczurze, że za Szare Przystanie jeszcze mi zapłacisz!

- Po co to odkładać? Może się boisz? - rzucił obojętnie Folko. Pod opończą miał mithrilową kolczugę: spodziewał się, że zaślepiona nienawiścią dziewczyna pchnie go w plecy nożem... - Lepiej będzie załatwić wszystko od razu, teraz!

- Nie! - ryknęła wściekle. - Nie teraz. W Umbarze. Kiedy będziemy sami, kiedy nikt nie

przeszkodzi, usiłując mnie powstrzymać!

- Twoja sprawa. - Hobbit wzruszył obojętnie ramionami. Dyskusja z szaloną wojowniczką - czy ma jakikolwiek sens?

Tubala odwróciwszy się na pięcie, błyskawicznie zniknęła w ciemnościach...

A gdy noc objęła we władanie morze, Folko, Torin i Malec znowu, jak drzewiej bywało, zasiedli, by porozmawiać, by zdecydować - co dalej z Olmerem?...

Nawet nie zdążyli zamienić kilku słów, gdy obok pojawiły się bezszelestnie dwie postacie - jedna wysoka, druga nieco niższa, mocno przygarbiona. Olmer i Sandello.

- Nietrudno się domyślić, o czym będą rozmawiać dwa wojownicze krasnoludy i nie mniej odważny hobbit - rozległ się głos Króla Bez Królestwa. - Decydujecie, czy aby nie warto zadźgać tego, który wrócił zza Morza, dla spokoju całego pozostałego świata?

- Jeszcze nawet nie rozpoczęliśmy rozmowy, Olmerze odparł Folko.

- Ale nikt nie zagwarantuje, że coś takiego może nam przyjść do głowy! - palnął bez namysłu Malec.

Garbus błyskawicznie wysunął się do przodu, zasłaniając Olmera.

- Sandello! - ofuknął go Wódz. - Uspokój się. Sprawa jest poważna... Tak, więc, posłuchajcie mnie, wojownicy! Chcę, byśmy walczyli ramię przy ramieniu, a nie przeciwko sobie. Tym bardziej że wojna już się chyba rozpoczęła i oddziały Henny idą na północ. Będziemy musieli walczyć. Walczyć o Adamant. Na ten temat powiedziano już wiele słów. Zamierzam zacząć od Umbaru. Ale nie wątpię - z Henną sobie poradzimy.

- A potem? - zapytał wprost Torin. - Już rozmawialiśmy czy może źle zapamiętałem?

- Rozmawialiśmy, ale nie dokończyliśmy - nie zgodził się z nim Olmer. - Kto będzie chciał zagarnąć Adamant? Farnak? Wingetor? Skilludr? Nie. Będą chcieli go przywłaszczyć ci, którzy zatrzymali mnie... - Jego głos załamał się, jakby z powodu ataku niespodziewanego bólu. - Ci, którzy powstrzymali mnie w Szarych Przystaniach. Wy troje - przed wami cofa się sam Los. Jeśli będziemy razem, to nie będzie problemu, co należy uczynić z Adamantem.

- Czy ty naprawdę sądzisz, że będziemy ci pomagali? - zapytał cicho i spokojnie Folko, ale jego palce już się zacisnęły na nożu do miotania. Tym razem nie będzie zwlekał. - Żebyś znowu zalał krwią całe Śródziemie?

- Śródziemie? O nie! W Śródziemiu nie mam już wrogów. Z radością uczyniłbym Eowinę władczynią wszystkich ziem, ale ona zwolniła mnie z przysięgi. Mówiłem ci, co mnie pociąga teraz. Czy odmówiłbyś udziału w takiej wyprawie?

- Przecież postawisz na nogi całą Ardę! Opamiętaj się! Tam, na Zachodzie, są Moce

Świata! Czy mało nam Numenoru? Chcesz, żeby Valarowie zatopili Śródziemie?...

- No, skoro nie są do niczego innego zdolni, jak tylko do zatapiania wraz z niewinnymi dziećmi i bezsilnymi starcami całych krajów...

- Bardzoś szczędził dzieci i starców, Okrutny Strzelcze mruknął Torin, zaciskając w dłoniach topór.

- O ile to było możliwe - szczędziłem. Rohańskie górskie twierdze w ogóle nie ucierpiały. Arnorskie miasta przeszły w ręce Easterlingów niemal bez walki... A ci nigdy nie urządzali rzezi.

- Tak, tylko grabili! - nie wytrzymał Malec.

- Grabili. A czy ja twierdziłem, że są przykładem cnót i dobroci? Ludzie. Nie źli i nie dobrzy. Różni... Ale teraz nie o tym mówimy... Skoro Valarowie są w stanie tylko zatopić całe państwa, pytam, czy nie zasłużyli oni, by pójść do nich i kazać im za to odpowiedzieć?...

- Oszalałeś. - Torin mierzył Olmera ciężkim jak ołów spojrzeniem. - Powiadam ci - jesteś szalony. Walczyć z Valarami... Gdy wypowiedziałeś te słowa poprzednio, nie wzięliśmy ich poważnie, a i to chyba powinniśmy. Co cię napadło, żeby...

- To właśnie zobaczymy i sprawdzimy - rzucił Olmer z jakąś zuchowatą, beztroską wesołością. - To właśnie sprawdzimy! I jeśli mam rację, uderzymy w samo centrum siły naszych wrogów!

- Twoich wrogów, nie naszych - pokręcił głową hobbit. A poza tym, nie zapominaj: to, że żyjesz i że żyje twoja córka, zawdzięczasz w dużej mierze elfom Avari...

- Nigdy nie walczyłem z nimi. Powstrzymywałem ich i Księstwo Środkowe - tak. Moimi wrogami były Elfy Zachodnie... A mówiąc ściśle - Valarowie. I jeśli Adamant na zawsze opuści Śródziemie, to Avari tylko na tym zyskają. Dlatego, że w innym wypadku zawsze będzie istniała możliwość przejęcia skarbu przez nowego Hennę... i koło zakręci się w drugą stronę.

- Może Adamant potrafi zmienić naszą ziemię w kwitnący ogród? - zauważył Folko. - Znane ci są granice jego Mocy, Okrutny Strzelcze?

- Granice - oczywiście, że nie. Ale, jak sądzę, z jego pomocą raczej nie da się zakładać sadów i ogrodów czy zmieniać w kwietniki porzucone ziemie. Adamant to Moc Ognia... Starego, pierworodnego... Może nawet kryje w sobie cząstkę Niezniszczalnego Płomienia!

- Niezniszczalnego Płomienia?! - zakrzyknęli razem hobbit, Torin i Malec.

- Niezniszczalnego Płomienia - skinął głową Olmer. W inny sposób nie potrafię wyjaśnić jego cudownych właściwości.

- Ale przecież... Przecież to Płomień... Jest tylko u Jedynego... - próbował oponować Folko, lecz Wódz powstrzymał go ruchem ręki:

- Wiem, wiem, czcigodny połówieczku! Znam elfickie podania nie gorzej niż ty. Może nie jest to Istota owego Płomienia... może jakieś jego odbicie... Ale ręczę, że istnieje jakiś związek. Moi byli gospodarze - uśmiechnął się krzywo - postarali się bardzo, by obdarzyć mnie na pożegnanie wieloma skarbami, więc teraz widzę ostrzej i głębiej niż kiedyś... Zresztą, jak działa Adamant, jakie tają się w nim Moce - będziemy roztrząsać później, kiedy Kamień znajdzie się w naszych rękach...

- W twoich rękach - mruknął Torin.

- W moich rękach - zgodził się bez namysłu Olmer. - Według mnie, to nawet lepiej, niż wrzucić skarb do Orodruiny!... No, chyba powiedziane zostało tyle, ile trzeba. Jesteście ze mną? Tak czy nie? Jeśli tak, to można uważać, że Adamant jest nasz...

- Według mnie, nie tak dawno z tobą i razem, ledwośmy uciekli z państwa Henny - odezwał się zjadliwie Folko.

- Słusznie. Ale za drugim razem będzie inaczej. Mamy doświadczenie. No, to jak?...

Przyjaciele wymienili spojrzenia.

- Olmerze - odezwał się Folko, wysiłkiem woli zmuszając się do patrzenia w oczy Królowi Bez Królestwa, przesłonięte teraz nocnym cieniem. - Nie pójdziemy z tobą. Zamyśliłeś rzecz szaloną. Nie ma sensu namawiać cię do porzucenia tego pomysłu... - Hobbit uśmiechnął się z goryczą. - A to znaczy, że znowu jesteśmy wrogami!

Wódz zastanawiał się. Folko czuł, że dosłownie przewierca go na wylot wściekłe spojrzenie garbusa, jakby ten chciał krzyknąć: „Co narobiłeś?! CO?!".

- Raz już pozbawiłeś mnie życia, połówieczku - głos Olmera brzmiał głucho. - To bardzo, bardzo bolało. Ale nie żywię do ciebie nienawiści, ponieważ zabijając mnie, jednocześnie uchroniłeś od jeszcze gorszego losu. Dlatego, pamiętając o tym, do Umbaru będziemy zachowywać pokój. Ale - również pamiętając o tym dniu - powiem ci, że po raz drugi nie uda ci się mnie zniszczyć. Wszystko jasne?

Zapadła cisza. Hobbitowi zrobiło się przykro - przecież mogli być przyjaciółmi...

- Żałuję - mówił cicho Wódz. - Ale nie może być inaczej. Wy jesteście strażnikami spokoju Śródziemia. Ja - wiecznym jego mącicielem. Zatem musimy walczyć ze sobą. Różnymi sposobami, w różnych czasach... Może nawet w różnych Światach... I o spokój nie tylko Śródziemia... - zakończył niezrozumiale.

- Ech... - syknął Malec. - Jakoś nie tak to wychodzi... Po jakiego kamiennego szczura ci

ten Valinor, Olmerze?

- Byłoby lepiej zabić tę wojnę, niż rozpalać nową - rzekł Folko.

- Zabić wojnę... - Wódz się uśmiechnął. W ciemnościach hobbit nie mógł dostrzec wyrazu jego oczu, ale głos Okrutnego Strzelca znowu przepełniała niezrozumiała gorycz. - Zabijemy tę - natychmiast wybuchnie nowa. Ile teraz toczy się wojen, których nie jesteś w stanie powstrzymać, hobbicie? Na Południu, na Wschodzie, na Północy?

- Ale tę możemy - upierał się Folko.

- Nie możemy - odezwał się nagle Sandello. - Z Henną musimy walczyć. I to nie tylko z nim jednym. Z całą jego armią. Przyjdzie nam też wrogów zabijać. Widzisz inne wyjście?

- Magia elfów... - zaczął Folko, ale Olmer tylko machnął ręką.

- Przecież sam w nią nie wierzysz, mężny połówieczku. Może tylko sam Wielki Orlangur... A Avari... Oczywiście, będą walczyli mężnie, ale sami nie pokonają całej armii. Nie, tu rozstrzygnięcie przyniosą zwyczajne miecze. Zwyczajne miecze Eldringów... i orków, jeśli pójdą ze mną... - Milczał chwilę. - Cóż, powiedzieliśmy sobie wszystko. Dobrej drogi życzę! Może kiedyś zrozumiecie, że to ja miałem rację...

- Raczej nie - odezwał się przekornie Malec.

Wódz wzruszył ramionami.

- Nie używaj pośpiesznie zbyt śmiałych słów, czcigodny tangarze. Siły nasze nie są nieograniczone. Nikt nie wie, jak zachowa się Adamant. Może to ja uznam waszą słuszność i wraz z wami poniosę skarb do Orodruiny...

Słowa Olmera okazały się prorocze.

Wojna zawrzała, rozlała się po świecie jak ropa z pękniętego wrzodu, z krwią, pożarami i śmiercią. Henna nie kazał długo na siebie czekać. Południowe plemiona, w większości nieznane dotychczas nie tylko w Umbarze, ale i Haradzie, ruszyły przez Góry Hlawijskie. Nie można powiedzieć, by było ich bardzo dużo, ale osłabiony stratami Harad nie mógł stawiać silnego oporu. Targi niewolników Umbaru były puste: Tcheremczycy pośpiesznie, nie targując się, kupowali wszystkich niewolników, ale ich karawany śpieszyły na wschód szybciej, niż dostawcy niewolników, tacy jak tan Starch, nadążali z dostawami nowych...

Do samego końca podróży Folko i Okrutny Strzelec nie zamienili ani jednego słowa. Hobbit często przechwytywał bardziej niż wyraziste spojrzenia Tubali, ale pewnego dnia takie spojrzenie zauważył również Olmer; szepnął coś córce, a ta natychmiast odwróciła się od Folka, jakby patrzenie na niego było prawdziwą torturą.

Ale oto w końcu Umbar, w końcu przystań i...

Co dalej mieli robić Folko, Torin i Malec?...

Olmer, w przeciwieństwie do nich, wiedział dokładnie.

Następnego dnia w Umbarze mówiono tylko o nim. O Olmerze Wielkim, pogromcy Zachodu. O Olmerze Wszechpotężnym, który wyrwał się z łap Śmierci. Byli tacy, którzy nie wierzyli w to, ale zbyt wielu tanów i prostych Eldringów znało Wodza Earnila. W ogarniającym Umbar zamieszaniu nikt nie interesował się dwoma krasnoludami, hobbitem, jedną złotowłosą dziewczyną i smagłolicym Khandyjeżykiem, który pozostał z nimi, nie bacząc na to, co się dokoła dzieje.

- Musimy wracać - upierał się Malec. - Z powrotem, do Henny!

- Dopiero co uszliśmy stamtąd - przypomniał przyjacielowi Torin.

- Do tcheremskiej armii będziemy się zgłaszać? - pytał z goryczą Folko, zmęczony trwającymi trzeci dzień sporami.

- Możemy wstąpić - wzruszał ramionami Ragnur. - Teraz każdy wojownik jest tam na wagę złota. A złota nie żałują...

Tymczasem wojsko Olmera rosło nie z dnia na dzień, ale z godziny na godzinę. Tanowie, jeden po drugim, wstępowali pod jego sztandary, nad masztami ponownie załopotały znane proporce - biały krąg z trójzębną czarną koroną na środku także czarnego pola...

Wysłannik Wielkiego Orlangura

Serce Mocy obudziło się do życia. Było niesłychanie wściekłe. Przez wiele warstw ziemi przebijało się tu, do jej głębin, z taką samą łatwością, z jaką słoneczne promienie przenikają na wylot wody leśnego strumyka, rozświetlając przy tym każdą drobinkę piasku leżącą na dnie.

Podziemne rzeki niosły łódź coraz dalej i dalej. Gdzieś za nimi pozostały granice Mordoru.

Zaczynał się Harad. I jednocześnie na spotkanie szło Serce. Ogniste Serce, szczęście i przekleństwo Śródziemna...

Wielki Orlangur niepokoił się.

Wysyłane co noc widzenia stawały się coraz groźniejsze. Dlatego posłaniec śpieszył się. Śpieszył się, wiedząc już wiele. Śpieszył się, mając pewność, że słudzy Mocy, którzy przybyli zza Morza, są już niedaleko celu...

Millog, Pies I Pozostali

Nie śpieszyli się.

Z południa ciągnęły pułki Henny, a dziwna czwórka - jeśli liczyć psa - zaszyła się w lesistych, oszczędzonych przez płomienie odnogach Gór Hlawijskich. Ukryła się dobrze i wyglądało, że na długo.

Millog z jakąś dziwną radością ponownie zanurzył się w świecie zwyczajnych ludzkich spraw. W czasie podróży ubyło mu sadła i ciągle wspominał, że kiedyś lubił majsterkować, był „złotą rączką", podobnie zresztą jak i wielu jego współplemieńców.

Jednakże wędrowcy niezbyt byli zainteresowani jego usługami. Dom dla siebie - nie dla Milloga - zbudowali za pomocą jakiejś pieśni, zmusiwszy drzewa, by pochyliły się i posplatały gałęzie tak, że powstało wygodne schronienie. Strumyk posłusznie zmienił koryto, trawa nastroszyła się, tworząc prawdziwy dywan, a sąsiedni lasek nagle stał się owocowym sadem, gdzie dojrzewały nieznane i niewidziane nigdy i ni gdzie owoce... Pies smętnie przyglądał się im, popiskiwał, ale nie jadł ich, nawet kiedy go częstowano. Wolał mięso.

Millog nie zadawał pytań. Po prostu czekał.

2 Listopada, Rohan

- Tak dalej być nie może. Jego szaleństwo zgubi cały kraj!

- E... No... tak, znaczy się, dobrze mówię... co? Tego, ten tego, nie możemy zwlekać, tak, no.

- Masz rację, Brego. Nie możemy zwlekać. Póki jeszcze po naszej stronie jest siła... Ludzie są niezadowoleni. Mało kto z notabli cieszy się, że ujście rzeki Iseny dostało się tym morskim zbójcom.

- I, tego, ci strzelcy...

- Tak, bardzo szczęśliwie się złożyło, że ci zdrajcy zginęli. Pancerni i łucznicy teraz nam nie zagrażają. Ilu masz ludzi, Trzeci Marszałku?

- No, tego, tam... Ze cztery setki tu, znaczy się, a...

- Rozumiem, rozumiem, rozumiem! I ja mam piętnaście dziesiątków. I Freka ma co najmniej trzystu. Wystarczy, aż nadto będzie. Szaleńca - w okowy! Król padł, niech żyje król! Król Brego!

- A... no... kghm!...

- Nikogo więcej z rodu Eorlingów nie mamy.

- A jego dzieci?

- Dzieci? Zbyt miękkie masz serce, Seorelu! O dwójce dzieci myślisz, a o tysiącach zapomniałeś? Co się stanie, jeśli nie zawrzemy pokoju na Zachodzie? Ile dzieci wtedy pozostanie przy życiu?

2 Listopada, Umbar

Olmer Wielki, Król Bez Królestwa, nie trudząc się zbytnio, pozyskał przychylność niemal wszystkich morskich tanów. Flota odpływała na południe, odpływała na prośbę, łzawą prośbę tcheremskich posłów. Resztki haradzkich sił wycofywały się na północ, nie mogąc przeciwstawić się wtargnięciu Henny. Flota odpłynęła, zniknął gdzieś Olmer, a Folko, Torin i Malec ciągle jeszcze przebywali w twierdzy. Dołączyć do hufców Króla Bez Królestwa? O nie, dość. Od dziś walczą tylko pod swoim własnym sztandarem.

Z południa nadchodziły coraz bardziej niepokojące wieści, i hobbit, bardzo ostrożnie korzystając z pomocy księcia Forwego, stale obserwował wędrujący na północ Adamant. Przemieszczał się - a wraz z nim pełzły na Umbar hufce Haradrimów i Henny.

- Musimy coś postanowić - rzucił ponuro Forwe. - Bo rzeczywiście Olmer nas wyprzedzi. Nie mamy wojska, a w pojedynkę, jestem pewien, Henny nie pokonamy. Już prędzej uczyni to Olmer. Na pewno teraz podrywa do walki mordorskich orków... Wysłałem wieści do Wód Przebudzenia, ale zanim przyjdzie stamtąd pomoc...

Rozmowa toczyła się w wielkiej mrocznej izbie, zajętej przez Folka i krasnoludy, na piętrze porządnej oberży.

- Nie możemy na nich polegać - dorzucił posępnie Torin. - Możemy liczyć tylko na siebie.

- A ilu nas jest? Ty, ja i Folko? Ragnur, elfy, tanowie? Dziesięciu, nie więcej - pokręcił głową Malec.

- Miecze można kupić - odezwał się Khandyjczyk.

- Kupić? - zdziwił się Amrod.

- Ragnur ma rację - zauważył Wingetor. - Miecze można kupić... Szlak Olmera nam nie odpowiada, więc musimy zebrać własne drużyny. Ale czy takie coś znaczą? Wielu, wiem to, chciało iść z Okrutnym Strzelcem...

- Ile potrzebujemy złota, by wasze zuchy walczyły po naszej stronie? - rzucił Forwe.

Hobbit miał wrażenie, że w głosie elfickiego księcia dały się słyszeć starannie ukrywane nutki wzgardy.

- Niemało - uśmiechnął się krzywo Wingetor. - Zrozum, czcigodny elfie - drużynnik walczy dla swego tana do chwili, kiedy tan jest hojny i dopisuje mu szczęście. Jeśli przestaje mu się wieść i nie może zdobyć złota dla swych ludzi, to szybko ich traci, traci swą moc. Nikt

za takiego nie będzie wojował, przy pierwszej okazji wojownicy wyjdą z szeregu i złożą przysięgę innemu tanowi. To nie jest dyshonor, to jest życie.

- Czy jest w Umbarze miejsce, gdzie można by wycenić tę rzecz? - Forwe zdecydowanym ruchem zdjął z czoła obręcz, w której połyskiwał drogocenny zielonkawy kamień.

Wszyscy jęknęli. Elfy, towarzysze księcia z drużyny, jak na komendę poderwały się na równe nogi.

- Najjaśniejszy książę!...

- Skoro trzeba, to trzeba - przerwał zdecydowanie protesty Forwe. - Więc co mi powiecie, czcigodni tanowie? Czy jest w Umbarze miejsce, w którym dostanę za ten przedmiot odpowiednio dużo złota?

Zapanowała martwa cisza.

- My też potrząśniemy sakwą - oświadczył Wingetor, pochylając głowę. - Nie myśl, czcigodny elfie, że tylko ty się przejmujesz losami Śródziemia!

Forwe zdecydowanym ruchem zrzucił obręcz z czoła. Folko czuł, że gorący rumieniec zalewa jego twarz, ale co mógł oddać? Pierścień, prezent księcia? Czy... czy może ostrze Otriny?! Prędzej rozstałby się z życiem niż z tą bronią, ale...

Torin coś burknął i sięgnął do torby, ale książę elfów powstrzymał go:

- Nie ma potrzeby, szlachetny krasnoludzie, i ty, czcigodny Folko. Wiem, co zamierzacie, ale... pomyślcie sami: obręcz to po prostu drogocenna zabawka. Jeśli się dobrze zastanowić, nic nie jest warta. Czy można nawet za całe złoto Śródziemia kupić przynajmniej jedno ludzkie życie?...

- Można, i niejedno - mruknął Farnak, ale Forwe jakby nie usłyszał jego słów.

- Wasze mithrilowe kolczugi, wasza broń wkrótce będą nam potrzebne. A obręcz... to po prostu ozdoba, nic więcej. Na dodatek - elf uśmiechnął się - my, elfy, jesteśmy długowieczne, może jeszcze zdołam ją wykupić...

Kamień został sprzedany tego samego wieczora. Nabyła go gildia lichwiarzy Umbaru - zakupili wspólnie, ponieważ żaden z nich nie miał żądanej kwoty, ale i wypuszczać z rąk takiego skarbu nie chcieli...

Kolejny dzień zajęły przygotowania. A następnego dnia niewielka flota - tanowie Farnak, Wingetor i Hjarridi - wypłynęła z portu i skierowała się na południe, w ślad za potężną flotą Olmera, którą z powodu nieobecności Króla Bez Królestwa - on i Sandello naprawdę udali się do Mordoru - dowodził Skilludr.

4 Listopada, Góry Hlawijskie

W oczy uderzyło bezlitosne światło. Wysłannik Wielkiego Orlangura stał sam na wąziutkiej, ledwo widocznej ścieżce. Podziemne szlaki pozostały za nim. Z ulgą odetchnęli wioślarze, zawracając; pozbyli się tajemniczego posłańca. Jednak ten miał prawie pewność, że nie wszyscy doczekają powrotu, bowiem Serce Mocy płonęło wściekle, siejąc spory i bunty. Póki on był z wioślarzami, jego tarcza osłaniała również ich, ale teraz, kiedy go nie będzie... Mimo wszystko trzeba mieć nadzieję, że nie wymordują się do ostatniego. Natomiast tu nikt prócz niego nie ma najmniejszej szansy.

Serce Mocy? Jest już blisko. I szybko zbliżają się ci, którzy przypłynęli na okręcie z żaglami jak łabędzie skrzydła... Jeśli staną mu na drodze, to zadanie, zlecone przez Wielkiego Orlangura, może nie zostać wykonane.

Podciągnął pas, wygodnie chwycił berdysz. Równym energicznym krokiem ruszył w drogę, która prowadziła na północny wschód. Tam, na spotkanie Serca Mocy. Czy mają znaczenie jakiekolwiek przekleństwa, jeśli uda mu się zawładnąć TYM?! Niech płomień spali go - to mniej straszne niż świadomość, że cały trud poszedł na marne i nic już nie można zrobić...

Cóż, walka to walka. Chciałbym wiedzieć, na co czekają, skoro byli tu przede mną? - rozmyślał posłaniec. - Na co czekają? Zresztą, nie mam czasu na rozwiązywanie ich zagadek. Ale kiedy Serce Mocy znajdzie się w moich rękach... wtedy można będzie pobawić się w odgadywanie...

Droga sama układała się pod stopami. A przysadzistą postać, która przemierzała szlak, opierając się o berdysz, uważnie obserwowało dwoje bardzo dziwnych oczu o czterech źrenicach każde...

Tego dnia z nisko wiszących nad ziemią kosmatych chmur, które przyleciały z północy, nieoczekiwanie sypnęło śniegiem. Droga pod kopytami końskimi błyskawicznie zmieniała się w podmarzniętą brązową kaszę. Niewielki oddział jazdy - zaledwie dwudziestu wojowników - nie żałując wierzchowców, pędził na zachód. Za nimi został Helmowy Jar, droga skręciła w prawo, prowadząc w kierunku Iseny...

- Mój panie... Musimy skręcić. Ludzie Brega na pewno pilnują przeprawy!! - Szczupły wojownik w prostej zbroi zbliżył się do pędzącego na czele Eodreida. W twarzy króla nie widać było skry życia - w siodle siedział skamieniały trup.

- Nie, Hamo, nie zawrócimy. Brego, choć jest krzywoprzysięzcą, nie jest durniem. Świetnie wie, że dla nas to szaleństwo pchać się do Brodów, i dlatego zostawił tam niezbyt liczną straż. O wiele więcej ludzi szpera na południe od przeprawy, ponieważ w naszej sytuacji to jest najbardziej rozumne - najkrótszą drogą uciekać do Tharnu, pod osłonę Eldringów... Przekleństwo z tą pogodą! Isena na pewno przybrała. Ot, tak sobie, nie przeprawimy się. Będziemy musieli przebijać się przez Brody.

- Ale tam są... - zaczął Hama.

- Tam są Dunlandczycy, Howrarowie, Hazgowie, a za nimi Heggowie i inni - to chciałeś powiedzieć?

- Tak, panie mój - odparł po chwili wahania młody Marszałek.

- Oni nie są tak groźni jak rodacy - uśmiechnął się blado Eodreid. - Przez ich ziemie damy radę się przebić. A potem do Tharnu!

- Brego zapewne i tam wysłał oddział... - zauważył Harna.

- Na pewno - zgodził się król. - Ale ja mam z nimi umowę, a Brego zaczął od tego, że zerwał układ z Morskim Ludem, ten właśnie, który dawał im ziemie w ujściu Iseny! Tak więc, moim zdaniem, dość jasne jest, po czyjej stronie staną Eldringowie.

- Ale... co dalej, mój władco? Nieszczęśliwie potoczył się ten bój... Tak naprawdę, to do końca wiernie stali po twojej stronie najemnicy, ci ze strzelców pieszych i pancernych... Oby im los pozwolił szczęśliwie pokonać Góry Białe i dojść do Gondoru!

- Jakże mi brakowało w tym boju Mistrza Holbytli i krasnoludów! - westchnął Eodreid. - Ale co się stało, to się nie odstanie. Zostało nas dwudziestu - a więc rozpoczniemy walkę o tron Edorasu z dwoma dziesiątkami!

- Ale... twoje dzieci, panie... - odezwał się cicho Hama. Twoje dzieci, wzięte przez Brega jako zakładnicy...

Oblicze króla pociemniało.

- Nie przypominaj mi o tym, Hamo. Nigdy więcej mi tego nie mów.

Malutki oddział Eodreida dotarł do Brodów niezauważony. W krótkiej potyczce z ochraniającymi przeprawę wojownikami Brega zginęła połowa ostatniej drużyny rohańskiego króla; wieczne ukojenie znalazł również Hama, najmłodszy z marszałków Rohanu...

Ale sam Eodreid uszedł z życiem. Uratowała go dobra zbroja i szybkość konia. Z dziesiątką ocalałych wojowników zniknął we mgle stepu, pościg zgubił trop i ponownie złapał go już pod samym Tharnem...

Dwie setki jazdy Brega otoczyły ze wszystkich stron niewielkie wzgórze, na którym

znajdowali się Eodreid i niedobitki z jego drużyny...

- Przyjaciele. - Król przyjrzał się uważnie swoim ludziom. - Dziękuję wam za wierność. Szliście ze mną do samego końca. Ale tu jest kres naszej drogi. Dość tych bezsensownych śmierci. Ludziom Brega nie wy jesteście potrzebni, tylko ja. Dlatego też ja, wasz władca, nakazuję - złóżcie broń. Może da wam to szansę...

- Dlaczego nas obrażasz, o królu? - Siwy setnik królewskiego eoredu otarł twarz zmęczonym gestem. - Nie poddamy się i nie przyjmiemy łaski życia od uzurpatora. Czyż mój władca stracił serce przed ostatnim bojem? Po co mamy czekać na koniec w tej pułapce? Zaatakujmy sami, i jeśli taki nam los pisany, padnijmy, ale z honorem! A któremuś z nas może i uda się dostać do Eldringów... Co wy na to, bracia? - Odwrócił się do pozostałych wojowników.

Ci tylko w milczeniu pochylili głowy. Każde słowo zabrzmiałoby teraz patetycznie i fałszywie.

Eodreid pochylił głowę.

- Dziękuję wam... - powiedział głuchym głosem. - Macie rację. Nie mogę żądać od was, byście postąpili niehonorowo. Cóż! Jadę pierwszy...

- Nie, panie mój. - Setnik pokręcił głową. - My zaatakujemy pierwsi. Ty powinieneś ocaleć. Powinieneś odzyskać tron. I... musisz pomścić Eomera i Teodweinę! To nie może ujść Bregowi bezkarnie!

- No to... naprzód - powiedział niezwykle spokojnie król i, unosząc się w strzemionach, nieoczekiwanie głośno zatrąbił w niewielki róg, wiszący u jego pasa.

Wojownicy osobistej drużyny Brega stali oszołomieni, gdy nagle ze wzgórza runęło na nich dziesięciu jeźdźców. Zanim ścigający opamiętali się i chwycili za łuki, Eodreid i jego współtowarzysze zdążyli pokonać niemal połowę dzielącej ich odległości.

Ale potem jednak rozśpiewały się strzały.

Stary setnik zginął pierwszy. To on pędził na ostrzu klina, i wielu strzelających wzięło go za króla Eodreida...

Tylko dwaj członkowie drużyny i sam król pozostali w siodłach, gdy doszło w końcu do starcia z wojownikami Brega. Uderzyły kopie, zwolennicy obalonego władcy i ich przeciwnicy starli się. Król został sam. Jednakże nie stracił jeszcze kopii, jeszcze dwaj wrogowie padli, usiłując przegrodzić mu drogę; potem chwycił za miecz, zwalił z siodeł jeszcze pięciu. I nie wiadomo jakim cudem przedarł się przez wraże szeregi, a potem nakryła go zbawcza peleryna wieczornej mgły...

A w tym samym czasie bardzo, bardzo daleko od Rohanu, w Umbarze i Haradzie...

Nie ma potrzeby opisywania południowej wyprawy Skilludra. Nie ma potrzeby szczegółowego omawiania tego, jak sześć okrętów Farnaka i Wingetora niezauważalnie przemknęło po wzburzonej jesiennymi sztormami powierzchni Morza, i znalazło się tam, gdzie mniej niż miesiąc temu omal nie zdecydowały się losy Śródziemia...

Wielki Tcherem wycofywał się. Rozbita w bitwie pod Pstrym Kurhanem armia w panice uciekała na północ. Pułki Henny nieubłaganie połykały przestrzeń, a do Hrissaady nieoczekiwanie przybyło poselstwo od Boskiego. Nikt nie wiedział, o czym rozmawiali jego wysłannicy z Władcą Tcheremu, ale zaraz potem wojna Haradu z Henną gwałtownie zmieniła się w wojnę Haradu i Henny z Umbarem...

Długie kolumny wojsk Boskiego przeszły przez cały Harad. Pod ich stopami jęczała ziemia. Nieliczni z ocalałych mieszkańców w panice uciekali, gdzie oczy poniosą - wydawało się, że idą na nich nie wojownicy z krwi i ciała, których nawet da się czasami skłonić do odruchu litości - mają, przecież, sami dzieci! - ale że idą powstali z grobów bezlitośni umarlacy. Najgorsze były kłótnie wśród samych uciekających Tcheremczyków, kiedy to silny odbierał słabszemu każdy kęs, by, z kolei, stracić, gdy zoczy go jeszcze silniejszy.

Nadszedł dzień piętnasty grudnia. Zaczęło się oblężenie Umbaru.

I w tym momencie nieoczekiwanie od morza zaatakował Skilludr. A spoza Gór Cienia wyłoniły się zjednoczone hufce Khandyjczyków i orków Czarnego Kraju - i nad ich szeregami wysoko powiewały sztandary Olmera Wielkiego...

Szybki jak ptak okręcik Eldringów wpadł w objęcia brzegów Umbaru. Król Eodreid stał na dziobie, nie odrywając spojrzenia od zbliżającego się szarego brzegu. Wiedział, że twierdza jest oblegana, wiedział, że szansę ma niewielkie... ale nie pozostała mu inna droga, by odwdzięczyć się Morskiemu Ludowi za uratowanie od śmierci. No cóż, Umbar to Umbar. Będzie bił się z oblegającymi tak samo, jak bił się z wrogami rodzimego Rohanu. Rohanu, który niczym dojrzały owoc wpadł w ręce uzurpatora Brega...

Twarz króla wykrzywił grymas. Przelewać krew rodaków w jakiejś wewnętrznej wojnie - nie ma chyba nic gorszego. On znajdzie inny sposób na wyrównanie rachunków z Trzecim Marszałkiem... Kiedy nadejdzie czas. A wtedy Brego zapłaci za wszystko.

18 Grudnia,
Wybrzeże Południowego Haradu

- Widzisz go? - Książę Forwe opadł na kolana przy hobbicie. Oczy Folka były wpółprzymknięte, dłoń przykrywała pierścień.

- Widzę... - padła odpowiedź. - Nie tak znowu daleko. Dla wojska ze trzy dni marszu.

- Coś się nie śpieszy na północ nasz Boski... - zauważył Torin.

- A po co mu to? I bez niego wszystko tam świetnie idzie - warknął Malec.

- Ale o mury twierdzy to on sobie zęby połamie - nie wytrzymał Farnak.

- Właśnie. I zanim do tego nie dojdzie, nie ruszy na północ. Bez mocy Adamantu tej twierdzy nie zdobędzie - zgodził się Forwe, ale Folko tylko pokręcił głową.

- Jeśli w Umbarze zaczną się wewnętrzne zamieszki...

Zapanowała cisza.

- Folko, powinienem dać rozkaz do wymarszu. Gdzie się kierujemy? - Wingetor nie lubił pustosłowia.

Hobbit ustał z pewnym trudem. Tylko on mógł i potrafił wskazać, gdzie w tej chwili jest Adamant Henny. Torin rozwinął mapę - wyszukaną w zapasach Wingetora niezłą mapę Południowego Haradu, wykreśloną przez królewskich kartografów Gondoru jeszcze za panowania Elessara, ocalałą w niezliczonych burzach i zamieszkach następnych wieków.

- Mniej więcej tu. Zakole Rzeki Brązowej.

- Jakiż tam prowadzi szlak, niech nas Durin wesprze! jęknął Malec, chwytając się z rozpaczą za głowę. - Gęstwiny i bagna...

- Tak, Henna rozsądnie czyni, trzymając się z daleka od Morza - zauważył Forwe.

- Nie pomoże mu to - mruknął Torin.

- Nie chciałbym, żeby nas Skilludr wyprzedził... - rzucił Folko.

- Nie zdąży. Henna na pewno zostawił na jego drodze oddziały zaporowe. - Farnak uważnie wpatrywał się w mapę. Zresztą Skilludr może się poruszać tylko na chybił trafił. Ma większy oddział, ale o takim niziołku, jak ty, czcigodny hobbicie, nawet nie marzy! Musi więc teraz główkować, jaki obrać kierunek...

Nie minęła nawet godzina, jak niewielki - półtora tysiąca mieczy - oddział zwinął obóz i szybkim marszem podążył dalej. Eldringowie potrafili pokonywać pieszo dwadzieścia pełnych mil dziennie, dźwigając na sobie ciężkie uzbrojenie oraz zapasy i mimo to zachować

siły do walki. Na razie los im sprzyjał. Przeciwnik nie stawał na drodze. Oddział szedł przez pusty, całkowicie zrujnowany kraj, w którym nie ocalało nic żywego...

20 Grudnia,
Wysłannik Wielkiego Orlangura

Droga wbrew pozorom nie była łatwa. Wydawało się, że wystarczy przebyć jakieś sześćdziesiąt mil - i oto jest, wymarzone, pulsujące żywym ogniem Serce!... Ale nie. Nienadaremnie pojawili się w tym świecie wysłannicy Prawdziwych Mocy. Nie inaczej, jak za ich sprawą kozie ścieżki zwinęły się w zwarty węzeł, ich wola kierowała mirażami, które wprowadzały do kończących się ślepymi ścianami wąwozów, z ich nakazu wysychała woda w źródłach i zanikały istniejące od wieków górskie strumienie. Pokazało się dno w worku z zapasami...

Najpierw wysłannik oczekiwał spotkania - otwartego i szczerego, by stanąć twarzą w twarz i zdecydować raz na zawsze, kto ma władać największym w Ardzie skarbem. Ale zastanowiwszy się, uznał pomysł za niedorzeczny. Musi przecież wykonać zadanie, nawet gdyby miał pozostać z mianem ostatniego tchórza. Nie będzie walczył z przybyłymi zza Morza. Przeciwnie, postara się uniknąć spotkania, by ślepy przypadek nie mógł zaskoczyć niekorzystnym rozstrzygnięciem.

Ale Los zarządził inne rozwiązanie.

Ścieżka wiła się po dnie wąskiego wąwozu, i posłaniec Wielkiego Orlangura już się ucieszył, że w oddali widać prześwit i droga wyprowadzi go na równinę, skąd już tylko ręką sięgnąć do schronienia Serca, gdy skały na bocznych ścianach jaru nagle się skończyły. To, co zobaczył, było zdumiewające: drzewa, skupione w ciasny krąg i splatające gałęzie tak, że powstał prawdziwy dom; starszy wynędzniały mężczyzna, którego wygląd sugerował, że najprawdopodobniej pochodzi z któregoś ze wschodnich plemion; pies, leżący obok z uszami po sobie, oraz para: złotowłosa kobieta i mężczyzna, którego loki, wydawało się, miały niebieski odcień.

Cofnął się, ale było już za późno. Oboje podnieśli wzrok. I - jednocześnie uśmiechnęli się.

Chwycił berdysz, przygotowując się do obrony. O wycofaniu się, to już wiedział, nie było mowy. Nigdy nie poddawał się. Teraz również zamierzał walczyć. Trzymając broń w pogotowiu, ruszył przez łąkę. Na tych dwoje nawet nie popatrzył. Kto wie, może uda mu się przedrzeć? A może ta para wcale nie chce starcia?

- Zatrzymaj się - usłyszał miękki głos. - Zatrzymaj się i zawróć. Nie chcemy twej

śmierci. Wróć do przygotowanego dla siebie podziemnego domu i nie przeszkadzaj nam wykonać tego, co powinniśmy!

Posłaniec nie odpowiedział. Ręce skamieniały mu na długiej rękojeści ciężkiego berdysza. Wykuł go - osobiście w kuźniach Czarnych Krasnoludów, mając na względzie może właśnie takie spotkanie. Mithril i stal zlały się w jedno w ostrzu, ale było tam jeszcze coś, coś takiego, przed czym, na sam widok ostrza, porażeni strachem odskakiwali najznakomitsi mistrzowie Podgórskiego plemienia. Ponieważ nienadaremnie przemierzał wysłannik Wielkiego Orlangura ścieżki smutnej krainy Mordor, nienadaremnie, ryzykując życie, szperał w ruinach Barad- duru, nieustannie budzącego strach u wszystkiego, co żywe. Odłamki ciemnych nocnych kling, rozpłynąwszy się w tyglu sekretnej pracowni, wlane zostały do czystego metalu, nadając mu zabójczą moc... Nie do walki ze Śmiertelnymi czy nawet Pierworodnymi wykuty został berdysz. Długo czekał na swoją kolej, na spotkanie takie jak to dzisiejsze, i oto nadszedł jego czas.

Posłaniec szedł dalej. I wtedy na granicy jego spojrzenia mignął ognisty run. Długa i cienka klinga, niczym złoty promień, raziła zabójczym wypadem.

Wzleciał w górę podstawiony na czas berdysz. Cienka klinga jeszcze sunęła po okutym pasami żelaza drzewcu, ale ostrze berdysza już sięgało odsłoniętego gardła ciemnowłosego wojownika...

...I wtedy został uderzony w plecy. Ognista kurtyna przesłoniła wzrok, ugięły się słabnące nogi. Kleisty wolny ból rozchodził się od skamieniałych stóp do góry, minął kolana, opanował biodra i pełzał dalej. Kiedy dojdzie do serca, nastąpi koniec.

Udało mu się jeszcze odwrócić do niej, do złotowłosej, która stała z uniesionymi w odwiecznym geście władzy rękoma.

- Tak będzie lepiej - usłyszał jej słowa.

„O góry, przyjmijcie mnie! Kamienie, rozstąpcie się na moje słowa! Ziemio, daj mi drogę do Twych Kości, daj mi drogę do twego łona! Nie chcę umierać jak tchórz, w obojętnych promieniach słońca! Przyjmijcie mnie, góry!...”.

...I ostatnia rzecz, którą zapamiętał - nieopisane zdziwienie na bajecznie pięknym obliczu Złotowłosej.

Rozwarły się czarne wargi ziemi i Wielka Matka przyjęła swego syna. Jego ręce nadal ściskały berdysz.

21 Grudnia, Brzeg Rzeki Brązowej

Oddziałom wreszcie udało się wydostać z przegniłych, zgubnych bagien i znalazły się na w miarę suchym terenie. Gdyby nie Ragnur i jeszcze kilku południowców z szeregów Eldringów, w mlaszczących i bulgocących trzewiach błot pozo stałaby połowa wojska. Przed nimi kusząco świeciła gładzizna Rzeki Brązowej. Wojownicy zatrzymali się. Potrzebny im był choć krótki wypoczynek...

- Wrócili zwiadowcy - mówił Forwe szybko, przerywanie. - Przed nami w lesie zasadzka. Henna nie powtarza starych błędów. Teraz spotyka nas z wyprzedzeniem. Zapewne Adamant pomógł mu wyśledzić nas...

- Wcześniej czy później musiało do tego dojść - zauważył Maelnor.

- Tak. - Folko skinął głową. - Walki nie da się uniknąć... Przecież dlatego najęliśmy wojowników.

- A ci w zasadzce myślą, że zdołają się ukryć przed wzrokiem elfa z Wód Przebudzenia! - uśmiechnął się również będący w zwiadzie Bearnas.

- Musimy atakować! - uznał Malec, wojowniczo potrząsając mieczem.

- Pewnie tak, ale pomyślmy przedtem chwilę, co? - zaproponował z uśmiechem Torin.

- Jest ich tam co najmniej pięć tysięcy - rzucił Amrod. Wielu łuczników. Są też ciężkozbrojni. Wszystkie ścieżki przegrodzone barykadami.

- Barykady to jedno, ale jak poradzimy sobie z łucznikami? - westchnął Hjarridi.

- Jak uczą mądre księgi? „Zdziwić to zwyciężyć!” - zauważył Torin.

- A czym to zamierzasz ich zdziwić? - wziął się pod boki Malec.

- Stójcie! - Folko uderzył się w czoło. - Chyba mam pewien pomysł...

22 Grudnia, Pierwsza W Nocy,
W Tej Samej Okolicy

Nocny las wzdychał, wiercił się pod uszytą z kawałków mgły derką, skrzypiał, oddychał. Mrok gotów był w każdej chwili wybuchnąć strumieniem kłujących strzał. Eldringowie brnęli zanurzeni po pierś w grząskiej bagiennej brei. Powiązani linami i uzbrojeni w tyczki, długie łańcuchy wojowników ostrożnie przedzierały się przez gęsty mrok. Prowadzili Khandyjczycy; prócz nich nikt w hufcach nie potrafił pokonać takiego bagna.

Hobbitowi było ciężej od innych. Trzęsawisko niemal zakrywało go z głową.

Nikt nie rozmawiał. Noc jest złudna i wredna - daleko niesie nieostrożne słowo, a powodzenie całego zamysłu zależało od zaskoczenia. Jeśli się uda zaskoczyć Taregów - trzy czwarte sukcesu w ręku. Ale jeśli się nie uda... O tym Folko zabronił sobie nawet myśleć.

Wolno, bo wolno, ale jednak, dno bagna zaczęło się podnosić. Wysmarowani od stóp do głów błotem Eldringowie wychodzili na twardy grunt - uwalani i straszni, niczym wampiry ze strasznych bajek Czarnego Południa.

Skręcali. Przeklęty las, który przesłaniał widok nie tylko mrokiem, ale i niezliczonymi szerokimi, bezwładnie zwisającymi liśćmi! Folko chwycił wygodniej łuk. Wraz z elfami i księciem Forwem szedł w pierwszym szeregu.

Stop! Amrod niespodziewanie uniósł rękę. Tak, tam przed nimi... Folko wpatrywał się uważnie. No tak - wartownik. Jasne, że postawiony tylko dla czystego sumienia - w innym wypadku sam by się ukrył. Biedak sterczał na widoku, jakby kusił los.

Mrok był nieprzenikniony, ale nie dla elfów. Niemal niesłyszalnie, jakby rozumiejąc, że nie wolno zdradzać swoich, zanuciła pieśń śmierci cięciwa elfickiego łuku. Książę Forwe zaczął bój. Wartownik chwycił się obiema rękami za gardło i padł na ziemię.

Ale, jak się okazało, nie był sam. Jego towarzysze kryli się za grubym pniem powalonego leśnego olbrzyma i zaledwie szeregi Eldringów zrównały się z nimi, odpowiedzieli strzałami.

Folko pierwszy raz puścił cięciwę.

Koniec, koniec ciszy. Teraz - przeciwnie, należy wrzeszczeć i hałasować możliwie głośno... W rękach Eldringów pojawiały się jedna po drugiej płonące pochodnie, a morskie zuchy z głośnym zwycięskim rykiem pędziły przed siebie, wywracając jak zabawki stojące im na drodze pojedyncze kupki pancernych wojowników Henny... We wszystkie strony leciały

pochodnie i zapalające strzały.

Między drzewami pojawiły się szarfy dymu. Zaczęły pląsać ogniste widma; elficka magia pomagała płomieniowi pochłaniać zarówno zieleń listowia, jak i nasycone wodą mchy i spróchniałe pnie. Wiatr poniósł ogień na południe i południowy zachód.

Pożar jednym skokiem odciął część siedzącego w zasadzce wojska Henny od atakujących Eldringów. Niewielu pozostałych - tych, którzy byli na drzewach - zostało zestrzelonych przez wyborowych elfickich strzelców, znakomicie widzących w ciemnościach.

Folko i krasnoludy nie tak znowu często musieli sięgać po broń. Niespodziewane uderzenie ze skrzydła niewielkiego, ale świetnie wyszkolonego oddziału morskich zuchwalców nie zniszczyło, rzecz jasna, wszystkich stawiających opór, ale oddziały Henny skłębiły się, drgnęły i rozpoczęły bezładny odwrót. Tylko kilka razy, kiedy na drodze Eldringów stawały ciężkozbrojne oddziały Taregów, Folko, Malec i Torin brali się do roboty. Wypróbowany szyk - Torin na czele, Malec - z prawej, hobbit - z lewej - wbijał się niczym straszliwy klin w szeregi Taregów, a idący za nimi Eldringowie dopełniali dzieła zniszczenia...

Około czwartej rano walka ucichła. Polujący na Adamant przebili się, pozostawiając za sobą płonący las i miotające się w panice resztki wrogich oddziałów. Obok spokojnie płynęła Brązowa, a gdzieś bardzo niedaleko znajdował się upragniony Adamant...

- Musimy poczekać do rana. - Forwe powolnym ruchem schował łuk, kołczan księcia był pusty, i - Folko to wiedział ani jedna strzała nie została zmarnowana.

- Ludzie są zmęczeni - zgodził się z nim Hjarridi.

- Wykluczone, nie możemy czekać! - poderwał się hobbit. - Henna wcale nie jest durniem. Już na pewno wie, co się wydarzyło. Jeśli nie zwariował, to za wszelką cenę postara się trzymać jak najdalej od nas!

- Może tak - zgodził się książę. - Ale przeczesywanie tych lasów teraz, w mroku...

Książę miał rację, i Folko rozumiał to. Należało uporządkować własne siły, opatrzyć rannych i dopiero potem ruszać dalej. Tym bardziej że znacznych sił chyba już w okolicy Henna nie miał...

- Popatrz no lepiej, co tam robi Okrutny Strzelec - zaproponował Torin.

- Ojojoj... Zmiłuj się, czcigodny tangarze! - zajęczał Folko. - Pospałbym chwilę... A ty - Olmer i Olmer...

Ale żartował tylko. Hobbit sam czuł, że na północy, gdzie działał Wódz, i na południu, dokąd ruszył Skilludr, dzieje się coś ważnego, i dlatego zebrał siły, ruszył lotem tęczowego motylka...

Folko widział posępne i smutne bezludzia Mordoru, porozrzucane na wielkiej przestrzeni biedne wioseczki orków rolników, teraz całkowicie puste, i gęste kolumny wojska, przemieszczającego się po starych drogach z Kraju Cieni do Khandu. Wydawało mu się, że widzi nie tylko to, co się dzieje w tej chwili, ale również to, co działo się tygodnie temu. Widział, jak Olmer rozmawiał z orkami. Widział wściekłość na obliczach starych kobiet, które z braku mężczyzn przejęły władzę w plemionach, i widział ciemny płomień w oczach Okrutnego Strzelca, kiedy mówił o tym, co się stało podczas ostatniej bitwy...

Jego słowa wstrząsały hobbitem.

„Nie z elfami i elfickimi sługusami winniśmy walczyć dziś. Albowiem, patrzcie! Jam jest Olmer, Przekleństwo Zachodu, którym wrócił spod Drzwi Śmierci nie po to, by prowadzić dziecinne wojenki z zabawkowymi królestwami o mizerne strzępy spornych ziem! Nie! Poprowadzę was na tych, którzy są waszymi odwiecznymi wrogami, na tych, którzy oznajmili, że jesteście wytworami zła, na tych, dla których nie ma i nie może być litości! Poprowadzę was... nie, nie przeciwko resztkom Gondoru - czyż należy dobijać leżącego? Pytacie, dokąd pójdziemy? Jeszcze się nie domyśliliście? Tak więc, słuchajcie - pójdziemy Prostą Drogą na Zachód. Są tam krainy, do których zawsze uciekały przed waszą siłą przestraszone elfy!... Milczycie? Dziwicie się? A czy kiedykolwiek rzucał słowa na wiatr Wódz Earnil? Oszukiwał was albo obiecywał coś nieosiągalnego? Raz jeszcze powiadam wam - wyprowadzę was na Prostą Drogę! Do skostniałego Valinoru prowadzi nasz szlak! A tam zemścimy się za wszystko!...”.

I nad głowami słuchających go jednocześnie pojawiały się wyciągnięte z kryjówek stare, wypróbowane jatagany.

Orkowe wojsko minęło wschodni kraniec Ephel Duath, Gór Cienia, i weszło w obszar Khandu. Szybkim marszem parło na południowy zachód, po drodze błyskawicznie obrastając oddziałami z miejscowych plemion. Rodacy Ragnura zawsze słynęli jako wojownicy odważni i zaciekli, wiele pokoleń zahartowało się podczas nieustających walk z Gondorem.

Północno- wschodnie rubieże Wielkiego Tcheremu stały otworem. Wszystkie siły pochłonęła szalona wojna z hufcami Boskiego Henny; wojsko Olmera, niewielkie - zaledwie jakieś dwanaście czy piętnaście tysięcy wojowników - szło przez Harad Bliski. Po drodze spotkało się z wysłanym mu na spotkanie silnym dwudziestotysięcznym korpusem wyborowych rezerw tcheremskiej armii; Folko zobaczył tę bitwę z lotu ptaka. Piesi wojownicy orków przyjęli na siebie uderzenie Haradrimów, kryjąc się za w pośpiechu skleconymi zaporami, i zasypali przeciwnika ulewą strzał. Atak zachłysnął się, a w tym czasie Olmer

wyprowadził starannie ukrytą do tej pory khandyjską jazdę... Tcheremczycy w panice uciekli; Wódz nie ścigał wroga, powstrzymał nawet swoich wojowników od okrutnego wymordowania uciekających.

„Jutro będą oni naszymi sojusznikami!”.

Następnie jego armia podzieliła się. Folko widział pochylonego w siodle Sandella - Olmer polecił mu przejąć dowództwo nad jedną trzecią sił i zaatakować Hrissaadę...

Pięć tysięcy orków i Khandyjczyków przeciwko mocnej twierdzy!... Jednakże Okrutny Strzelec wiedział, co czyni, szturmując haradzką stolicę. Sandello zaatakował z marszu, nie marnował czasu na budowanie maszyn oblężniczych i temu podobnych środków. Khandyjską kawaleria z marszu przejęła miejskie bramy i wytrzymała napór pałacowej gwardii władzy, aż do nadejścia oddziałów orków. Pod wieczór w ręku Sandella była jedna trzecia miasta i pałac władcy. Jednakże na tym skończyły się triumfy tej kampanii. Mieszkańcy miasta otrząsnęli się z zaskoczenia i strachu, zgromadzili siły, co pozwoliło im utrzymać pozostałą część miasta. Z głębi kraju nadciągały posiłki - źle uzbrojeni, jeszcze gorzej wyszkoleni, ale liczni wojownicy; i wkrótce oddział Sandella sam znalazł się w oblężeniu.

Olmer zaś nie tracił czasu. Jego dziesięciotysięczne wojsko podeszło do uparcie bronionego przez Eldringów Umbaru. Zebrane dokoła twierdzy połączone oddziały Boskiego Henny i tcheremskiego władcy były liczniejsze od hufców Okrutnego Strzelca - żałosną kpiną z jego poprzednich armad! - co najmniej pięciokrotnie.

Mimo to zaatakował. Niespodziewanie, w nocy, kiedy orcza piechota mogła najlepiej wykazać się swoimi walorami. Ciemna fala orków przelała się przez wzniesiony oddziałami Boskiego wał i popłynęła dalej, zostawiając po sobie tylko trupy. Khandyjczycy dobijali każdego, kto próbował ucieczki.

Atak Olmera, ten gwałtowny i szybki wypad, zostawił głęboką bruzdę w szeregach oblegających Umbar. Przebiwszy się do morza, Wódz pobrał ze „smoków” zapasy i ludzi, przygotowywał się do kolejnych walk...

A na południu zwycięski marsz kontynuował Skilludr, odcinając Hennę od jego rodzinnych okolic. Rozbiwszy w odległości trzech dni marszu od morza wysłane mu na spotkanie oddziały, tan parł do przodu.

Atak na Hrissaadę musiał się odbić na oblegających Umbar wojskach. Najjaśniejszy władca Tcheremu postanowił odciągnąć swoje wojska od niezdobytej twierdzy, by skończyć z zuchwałym wtargnięciem garbatego stratega do jego stolicy, albowiem ten nie zamierzał sam się z niej wynieść...

Jednakże tym razem Henna zaniepokoił się już serio. I Adamant, podporządkowując się swemu posiadaczowi, zapłonął pełnią mocy.

24 Grudnia, Poranek,
Brzeg Rzeki Brązowej

Ze Wschodu nadciągały wciąż nowe siły. Zresztą, nie było to nawet zorganizowane wojsko, tylko po prostu spory oddział, jakieś pięć tysięcy. Ale za ich plecami płonął Adamant, zmieniając ludzi w rozszalałe tygrysy.

Torin, Folko i Malec jak zawsze znaleźli się w pierwszym szeregu.

Przyparci do brzegu Brązowej Eldringowie walczyli spokojnie i twardo. Dobrze uzbrojeni i znakomicie wyszkoleni stali niczym mur, wystawiwszy przed siebie kopie, i pierwszy atak Taregów rozbił się właśnie o ich groty.

Atakujący odpłynęli, sięgnęli do strzał. Eldringowie nie pozostali dłużni: ich łuki były mocniejsze, strzały leciały dalej i biły mocniej, na wylot przeszywając Taregów, nie ratowały tamtych nawet ich pancerze.

- Musimy iść do przodu! - krzyknął hobbit do Farnaka, gdy ten z krasnoludami oddalił się z pierwszej linii, by złapać oddech. - Długo tu nie ustoimy!

Stary tan skinął głową. W szeregach Eldringów odezwały się rogi. Żelazny żółw szyku ruszył do ataku.

Folko, Torin i Malec szli razem. Znowu, który to już raz. Ileż za nimi dróg, ile potyczek... wydawałoby się takich niepodobnych do siebie i jednocześnie w nieuchwytny sposób jednakowych. Na przykład teraz. Zmiażdżyć szyki Taregów, wbić ich w kurz, przedrzeć się do lasu i dalej, tam, gdzie za leśnymi ostępami płonie upragniony Adamant...

Ale Taregów tym razem gnała do walki Moc Płonącego Kamienia. Na drodze pancernej ściany Eldringów w mgnieniu oka powstał, nieustępujący jej siłą, żywy mur Taregów. Walczyli, nie szczędząc siebie, i nawet wojenny kunszt północnych zuchów niewiele mógł tu pomóc. Umierający wrogowie tracili ostatnie mgnienia życia, by jeszcze raz wykorzystać żelazo kling, starając się zabrać ze sobą przynajmniej jedno życie...

Nigdy wcześniej Folko nie stykał się z takimi przeciwnikami. Miejsce zabitych zajmowali żywi, luki w szeregach wypełniały się od razu. Jedna wykrzywiona szałem twarz zmieniała inną, migotały i migotały klingi.

Coraz wolniej unosił się wypróbowany bojowy topór Torina. Coraz wolniej wirował stalowy wicher dokoła Małego Krasnoluda. Wolno, ale coraz wyraźniej Eldringowie zaczynali opadać z sił. Mogliby zwyciężyć, gdyby przebili się przez szeregi wroga, ale w tej szalonej

rzezi ich siły topniały również - i to dość szybko.

Pierwszy opamiętał się Forwe. Książę podbiegł do Wingetora. Tan Farnak, jak i każdy Eldring, też walczył na równi z prostymi wojownikami.

- Wycofajmy się! - krzyknął elf. - Wycofajmy się, bo tu legnie całe nasze wojsko!...

Miał całkowitą słuszność. Taregowie płacili pięcioma za jednego - i stać ich było na tę straszliwą wymianę.

Posłuszny rozkazom rogów hufiec morskich wojowników wycofał się. Skoro nie udało się siłą wyrąbać sobie drogi spróbujemy podstępem!

Napór Taregów natychmiast osłabł. Widać niebezgraniczna była nad nimi władza Kamienia - nie zmieniał Taregów, wolnych i dumnych wojowników, z którego to rodu pochodził i sam Henna, w pokorne, bezmyślne marionetki. Zbyt wysoką cenę płaciła tcheremska armia za każdą urwaną Eldringom piędź ziemi...

Nadeszło południe. Nadeszło i minęło, słońce leniwie powlokło swój płonący dysk po niebiańskiej ścieżce, przelotnie zerknąwszy w dół, gdzie wśród szmaragdowej zieleni południowych lasów ludzie zabijali się wzajemnie, podobni do dzikich zwierząt; zajrzało - i odwróciło się. Co obchodzi przecudowną Arienę choć, powiadają, że odmówiwszy swego czasu Melkorowi, porzuciła granice Ardy - co obchodzi słoneczną Maię ludzkie cierpienie, ludzkie jęki i wrzaski rannych, przedśmiertne chrypienie tych, którym dziś sądzone jest pożegnać się z ziemskim padołem...

- Musimy się wycofać - wycedził posępnie Folko. - Atakiem czołowym sobie nie poradzimy...

Narada wojenna była krótka. Poniósłszy straty i nie osiągnąwszy celu, wojsko Eldringów zostało skazane na kręcenie się po lasach, w nadziei na zmylenie tropów, na oderwanie się od przeciwnika.

29 Grudnia, Umbar

Jedno, nawet najbardziej udane uderzenie Olmera nie mogło zlikwidować oblężenia twierdzy. Tcheremczycy i wojownicy Henny jak i poprzednio zaciskali cytadelę Morskiego Ludu w żelaznych okowach. Przebiwszy się przez ich szeregi, wojsko Okrutnego Strzelca dotarło do Morza. A potem nagle zatrzymało się i niespodziewanie uderzyło na prześladującego wroga czarną stalą orkowych jataganów. Z zasadzek wyskoczyli Khandyjczycy, i jazda Taregów, nie wytrzymawszy uderzenia, zaczęła wycofywać się.

Przed nocą wojska zamarły naprzeciwko siebie. Król Bez Królestwa umocnił się na przybrzeżnych wzgórzach, nie inaczej jak za pomocą magii zmieniając słoną wodę w słodką. Zresztą, dowódcy Boskiego Henny - a sam on nie pojawiał się w pobliżu wrażych linii - nie byli tym specjalnie zaniepokojeni. Sił im starczało i na to, by blokować Umbar, i by przeciwstawić się nieoczekiwanemu i zaskakującemu wsparciu dla Eldringów.

Jednakże Okrutny Strzelec myślał inaczej. Głuchą nocą orkowie, brodząc po szyję w wodzie wzdłuż oblegających miasto linii Tcheremczyków, uderzyli na ich obóz niczym huragan. Atak był krótki i całkowicie zaskakujący. Wysłany za nimi pościg nadział się na piki khandyjskiej jazdy. Olmer ponownie wycofał się na urwiste wzgórza na morskim brzegu...

25 Grudnia,
Jaskinia Wielkiego Orlangura

Zadziwiające oczy Złotego Smoka, o czterech źrenicach każde, bez drgnięcia wpatrywały się w szare i ziemne niebo. Tu, w samym sercu Ziem Środkowych, zima panoszyła się okrutnie. Wysokie zaspy wspinały się do nieba po obu stronach wejścia do jaskini. Po raz pierwszy od wielu, wielu wieków po bielutkim puchu od paszczy pieczary prowadził dziwny ślad - jakby przemknął tędy ogromny wąż.

Wielki Smok porzucił swą samotnię. Patrzył w górę i przed jego oczyma stawała nie zwarta tarcza obłoków, chroniąca ziemię przed kąsającymi mroźnymi strzałami, i nawet nie wysoki błękit zimowego nieba, ale straszliwy, niewyobrażalny splot Mocy, której ścisły kłąb stał się Ardą, Królestwem Ziemi.

Pokonawszy potworne odległości, przebiwszy się przez pajęczyny innych światów, wzrok Ducha Absolutnej Wiedzy znalazł otoczony ze wszystkich stron mrokiem kęs czegoś twardego, jakby pływającego na falach czarnego, nieprzeniknionego morza. Nad ostrymi szczytami czarnych gór płonęła słaba zorza - jakby tam dopiero rodził się dzień, zmiatając kłaki ciemności. Ale Wielki Duch świetnie wiedział, że to nie tak, że w rzeczywistości dzień i noc przeplatają się również tam, nawet w odłączonym od Kręgów tego Świata Valinorze.

Od przodu, przed murem gór z jedną jedyną szczeliną doliny, przed usypanymi perłami i kamieniami szlachetnymi plażami, pośród ciemnego morza zamarła niewielka wysepka. Kryształowe szpile, opiewane w opowieściach Śmiertelnych o Avalonie, pięły się ku nieprzeniknionej niebiańskiej kopule.

Spojrzenie Wielkiego Smoka ukazało mu wyspę, bardzo szybko odnalazło jednego z mieszkańców.

W wyszukanym pokoju, w stojącym przy oknie fotelu, trzymając opasły rękopis w ręku, siedział elf, wysoki, czarnowłosy, z pierścieniem na palcu; w objęciach złotego otoku miękko połyskiwał ogromny niebieski kamień.

- Posłuchaj mnie, Elrondzie. Odłóż na bok księgę i wysłuchaj mnie. A o wszystkim, co ci powiem, powinni dowiedzieć się Valarowie.

Księga wypadła z ręki. Ale rozmówca Orlangura nie stracił panowania nad sobą.

- Czego chcesz, wrogu?

- Nie jestem wrogiem ani twym, ani twego plemienia. Ale mogę nim się stać. Jesteś

najmądrzejszy ze swych współplemieńców. Dlatego wysłuchaj mnie i nie przerywaj. Niech Moce Ardy odwołają swych wysłanników z Południowego Haradu...

- Ale...

- Nie przerywaj! Powiedz im tylko tyle: Równowaga została niebezpiecznie zachwiana. Dlaczego, z jakiego powodu Moce świetnie wiedzą. Ale nie wiem, czy wiedzą, że inne, nie mniej potężne stwory również obudziły się do życia. I nawet jeśli to, na co Moce Ardy polują, trafi do ich rąk, to napór tego Obcego nie ustanie. Przekaż im - niech mi nie przeszkadzają. Być może uda się wtedy to wszystko jakoś uładzić. Jeśli natomiast zaczną się upierać...

Oślepiająco białym Światłem rozjarzył się szczyt olbrzymiej góry, która wznosiła się nawet ponad zębatymi murami skał obronnych, i miękki, ale przepełniony mocą kobiecy głos - niski, piersiowy - wolno wyrzekł:

- Oto nadeszła twa godzina, o Cieniu Wroga! Ale my nigdy nie napadamy znienacka, jak nocni bandyci. Przyjmujesz wyzwanie? Ty, świętokradczo łamiący plany Jedynego? Czy byłeś w Wielkiej Muzyce?...

- Przyjmuję twe wyzwanie - padła chłodna odpowiedź. I ty, i ja wiemy, czym się skończy ta walka, ale jestem gotów zapłacić tę cenę...

21 Stycznia,
Wybrzeże Południowego Haradu

Folko siedział na płaskim kamieniu. Tuż przed stopami pluskało Morze - niebieskie, ciepłe, czułe. Dlaczego jego rodacy tak się bali tej przestrzeni?... Zresztą, to nieważne.

Ból zagnieździł się w lewej ręce, wolno rozlewał się.

Boli... boli i boli, pamięć o trującym ukąszeniu Pierścienia Olmera, i nie ma takiego lekarza, który podjąłby się leczenia tej przypadłości. Książę Forwe dał hobbitowi gęstą, smolistą, własnoręcznie przygotowaną maść - pomagała nieco, ale nie leczyła.

Po tym ciężkim przejściu niewielka armia wyszła na morski brzeg. Za nimi były dziesiątki mil śmiertelnie niebezpiecznych lasów, ale co tam - wspominać wszystkie straszliwe chwile wyprawy - są już tu, wesoło stukają topory, buduje się umocniony obóz, i lada dzień przypłyną okręty...

Wojna o Adamant szalała na całego. Skilludr odciął znajdującą się w Haradzie armię Henny od Gór Szkieletów i uporczywie parł na północ, ku kwaterze Boskiego, znajdującej się między bagnami i błotami nieopodal Rzeki Brązowej; Olmer niczym głodny wilk szalał ze swą niewielką armią dokoła Umbaru; Sandello nadal trzymał w garści jedną trzecią Hrissaady.

Folko ścisnął rękami głowę. Po prawdzie, to już go niezbyt zajmowała taktyka i strategia tej wojny. Tak, wojna - to zawsze wojna, ale po owym potężnym wtargnięciu Olmera, kiedy zadrżały podstawy Świata, kiedy armada Wschodu runęła na Arnor przez Wrota Rohanu, wszystko stało się nieco inne. Jakieś takie uczciwsze, bardziej szczere... A teraz? Wielki Wódz, jak się wydaje, przyprowadził pod mury Umbaru ledwie dziesięć tysięcy mieczy - i to kto, Olmer, rozkazujący całym narodom! Armia Boskiego Henny, ta działająca w Tcheremie, nie przekraczała pięćdziesięciu tysięcy. Chcąc nie chcąc, przypomina się ta straszliwa armia pierzastorękich, których władca Adamantu bezlitośnie rzucił na rzeź, kierując się bardzo prymitywnym pomysłem - uwolnić się od zbędnych gąb, osłabiając przy tym Tcherem, i jednocześnie sprawdzając moc swej magii.

Tak, Henna - to nie Olmer. Wcale nie Olmer... Folko przejechał dłonią po czole. Nie opuszczało go poczucie, że te wszystkie drobne podchody, potyczki, oblężenia i nawet szturmy są tylko przygrywką do czegoś prawdziwie strasznego, przed czym zbledną potworności agresji Króla Bez Królestwa.

Malec zajmował się swym ulubionym zajęciem - puszczał kaczki po wodzie. Torin z

ponurą miną polerował topór. Wojownicy muszą odpocząć, a potem... potem nowa wyprawa po już znanym szlaku. I tak będzie trwało, dopóki ten przeklęty Adamant nie znajdzie się w ich rękach... oby nigdy nie pojawiał się w tym nieszczęsnym świecie! Oto Tcherem już niemal doszczętnie zniszczony. A my ciągle tłuczemy się i bijemy... o ten połyskujący kawałek kamienia, który nie wiadomo skąd się tu wziął, i nie wiadomo po co taką Mocą został obdarzony... Bywały chwile, kiedy Folko - nie inaczej jak z rozpaczy - godził się uważać go za odłamek Silmarilla, ale rozumiał też, że to niemożliwe. Po prostu - niemożliwe.

Obok hobbita przyłożyła się na piasku, zwinęła w kłębek, zmęczona, wyzuta z sił Eowina. Skończyła już piętnaście lat, i nikt teraz w Rohanie nie odważyłby się powiedzieć o niej „dziewczynka", nie ryzykując przy tym siarczystego policzka. Przez cały ten czas trzymała się dzielnie, i w czasie, kiedy oddziały Eldringów przebijały się ku brzegom Rzeki Brązowej, i potem, gdy równie uparcie parły do Morza. Folko rzadko widywał ją w tym czasie: ona zajmowała się rannymi, a on z krasnoludami szedł w ariergardzie, odpierając nieustanne ataki Taregów. Trwała mała wojna, tak dobrze znana hobbitowi jeszcze z czasów Enedhwaithu...

A co dalej?

Odpoczniemy, uzupełnimy zapasy - i jeszcze raz ku upragnionemu Adamantowi...

„A ci wojownicy, którzy złożą swe głowy, zdobywając go?".

„Nic na to nie poradzisz".

„Ich krew leży na twym sumieniu, hobbicie".

„Na mym sumieniu leży krew wielu, których zabiłem, ponieważ oni chcieli zabić mnie. Zostawmy tę głupią sprzeczkę, słyszysz?".

„Słyszę. Ale skoro powiadasz, że jesteś godzien władać Adamantem...".

„Nie powiedziałem, że jestem godzien! Jedyne, czego chcę - to przepędzić Zło z naszego Świata... wszystkie te Pierścienie, Kamienie i cała reszta - to nie dla nas".

„A jesteś pewien, że potrafisz? Nie zaglądałeś od dawna do swojego pierścienia, czy nie czas?".

Więc Folko zajrzał.

Okrzepły jego duch posłusznie poszybował pod niebiosa, w sekundę ogarniając wzrokiem ogromne przestrzenie; nie było to coś, co uchodziło porządnemu hobbitowi, nieprzyzwoite było to nawet, ale on już rozumiał - nie ma dla niego miejsca w Hobbitanii. Ojczyzna będzie żyła bez niego... jak żyła przez cały ten czas, kiedy on wędrował po Śródziemiu...

Światło Adamantu rozlało się ogromną plamą, sięgającą najodleglejszych krańców

ogromnego kontynentu. I wszędzie, gdzie tylko mogły przeniknąć jego promienie, Folko widział jedynie te dwie rzeczy - krew i śmierć.

...Widział Brega, Trzeciego Marszałka Marchii, z kamienną twarzą rozkazującego stracić Eomera i Teodweinę - brata i siostrę, dzieci Eodreida. Widział oddziały Jeźdźców Rohanu, walczące ze sobą - i musiał przygryźć dłoń, by nie krzyczeć z bólu. Nad Dunharrowem kłębiły się chmury dymu, armia stała pod murami Hornburga...

...Nie lepiej rzecz się miała wśród tych ludów, które sprowadziła na te ziemie agresja Olmera. Heggowie i Howrarowie przypomnieli sobie jakieś dawno porosłe mchem zapomnienia krzywdy, i nadmorskie wsie przysypały popioły zgliszcz, a ich mieszkańcy trafiali do niewoli, i nie było już różnicy między nimi...

...Hazgowie starli się z Dunlandczykami, i śmiercionośna ulewa ciężkich, przeszywających każdy pancerz strzał wycinała szereg po szeregu wojowników- górali. Ale i ci nie pozostawali dłużni - oddziały Hazgów wpadały w zasadzki, i wtedy o wyniku starcia decydowały nie łuki, ale miecze i piki...

...I w Gondorze, któremu jak powietrze potrzebny był pokój, rozjuszeni ludzie miotali się po placach, ścierali się z królewskimi strażnikami bezsensownie i zaciekle. A dumni władcy Dol Amrothu nagle przypomnieli sobie, że w ich żyłach płynie elficka krew, i nie chcieli już mieć do czynienia z „mizerotą”...

...Beorningowie o coś posprzeczali się z mieszkańcami Rhovanionu; wybuchł bunt w Kraju Łuczników - Esgaroth zażądało ulg handlowych i przywilejów...

...I nawet w szeregach krasnoludów wolno, ale nieubłaganie dojrzewał fatalny rozłam. Folko widział brnących przez śnieżyce wygnańców: żałosne worki na plecach, matki przyciskające do piersi płaczące dzieci, usiłując w jakimś przynajmniej stopniu uchronić je przed chłodem...

- O Wielkie Moce... - wyszeptał hobbit, nie wiedząc, do kogo w istocie się zwraca. - On jest wszystkiemu winien? Adamant? Kim więc jesteśmy - żywymi istotami czy czyimiś zabawkami, skoro bez trudu mogą nas zmusić do takich rzeczy? Czy może miał rację Melkor: „taka jest natura wszystkich Dzieci Eru”? Nie, nie, nie chcę w to wierzyć! To wszystko jego wina! Adamantu! Do Orodruiny go... do Orodruiny... Niechby nawet z tego powodu trzeba było jeszcze raz zabić Olmera...

Ale czy uczynione Zło można łatwo zapomnieć?

Folko wzdrygnął się. Tak. Na pewno. Nie da się zapomnieć. Ani nie zapomną ci, którzy Zło tworzyli, ani ci, którzy przez nie cierpieli. Z węgli zemsty zapłoną nowe zarzewia wojen;

nie, nie mają racji ci, którzy uważają, że Adamant będzie im służył jak wierny pies! Potrzebny jest taki Henna... by stał się Boskim i mógł gasić wszystkie spory i swary między swoimi... bawiąc się magią Kamienia jak dziecko i kierując na śmierć tysiące i jeszcze raz tysiące...

A co u mnie w domu?! - nagle przemknęła straszna myśl. - Może i tam... Buckland zwarł się z Wschodnią Ćwiartką, a Ćwiartka Północna z Zachodnią? Popatrzeć!...

Nie, jednak strach był silniejszy. Folko pokręcił głową, i tęczowy motylek, cudowny elficki twór, znieruchomiał, słabo trzepocąc skrzydełkami zawisł na niewyobrażalnej wysokości.

Nie. Może to i głupie, ale wolę wierzyć! Chcę wierzyć, że w domu nic złego się nie dzieje!... Może nawet nigdy więcej nie zobaczę ojczyzny, ale chcę wierzyć!...

Teraz znowu patrzył w pierścień. Boski Henna przeniósł swój obóz nieco bardziej na północ. Ugrzązł w tych, zupełnie nieprzychylnych kramach Wielkiego Tcheremu, i Folko nawet wiedział dlaczego - Henna musiał prowadzić wojnę w okrążeniu. Hrissaada w połowie należała do Sandella i jego zuchwałego oddziału; Olmer zręcznie krążył wokół Umbaru, raz po raz wygrywając drobne potyczki; Skilludr odciął drogi na południe, do rodzimych ziem Taregów, a nowe ich oddziały, które wyszły zza Gór Szkieletów, już się starły z jego licznym wojskiem. Na razie lewa ręka Olmera, bo prawą, rzecz jasna, pozostawał Sandello, mimo że działał na lewym skrzydle, z powodzeniem powstrzymywała napór, trzymając w szachu górskie ścieżki...

Adamant płonął wściekłym, niemal oślepiającym Światłem. Jego płomień wpijał się w umysły - co tam, zresztą, umysły! - w ciało! Cieniutkie strumyki Światła sączyły się przez osnowę Ardy, najdrobniejszymi, niewidocznymi gołym okiem drogami docierały do Kości Ziemi, a wszystkie wysiłki Czarnych Krasnoludów nie mogły naprawić tych szkód. Kruszył się najtwardszy granit, i miliony razy przekuwana stal niespodziewanie zaczynała się giąć...

A wzrok hobbita sięgał dalej i jeszcze dalej, i widział on już oceany szalejącego podziemnego płomienia - posępnego, purpurowego, gniewnego. Stara nienawiść rozpalała jego fale - wydawało się, że do tej pory przechowywały w sobie ból i gniew Melkora. Spojrzenie Folka przemknęło obok czarnej gardzieli Orodruiny: warstwy ziemi rozstępowały się przed nim jak przecinane olbrzymim niewidzialnym mieczem.

„Nie wolno wrzucić tam Adamantu” - pomyślał hobbit niespodziewanie dla samego siebie.

„Zrozumiałeś mnie” - padła zaskakująca odpowiedź w głowie Folka odezwał się czyjś dziwny głos.

Hobbit omal nie zemdlał.

„Popatrz na północ. Skieruj swój wzrok na mnie”.

Folko już wiedział, kto doń przemawia, ale podporządkowując się przepełnionemu mocą głosowi, skierował tęczowego motylka na północ od niegościnnego Mordoru. Step, Morze Rhun, szpile wież Highbury... dalej!

Lasy Dorwagów, Góry Helijskie, Opustoszały Grzbiet... O! Cytadela Olmera!... Dalej... Dor Feafaroth... Grzbiet Barr... Hoar...

Nad zaśnieżonymi lasami wolno krążył Złoty Smok, połyskując w skąpych promieniach przygaszonego zimowego słońca. Płynął w powietrzu, wykonując płynne zwroty, choć Folko nagle to pojął - dokoła niego szaleje i wścieka się rozjuszony, z korzeniami wyrywający drzewa wiatr.

„Orlangurze... Słucham cię, o Wielki...”.

„Opuściłem swą jaskinię, ponieważ Adamant okazał się być znacznie niebezpieczniejszy, niż sądzisz, niebezpieczniejszy, niż sądzą Valarowie. On nie jest z naszego czasu. Kości Ziemi są zbyt słabe, by udźwignąć jego ciężar”.

„Co możemy z nim uczynić?”.

„Nie wiem”.

Przez kilka sekund Folko usiłował zrozumieć słowa Orlangura.

„Co? - TY - nie wiesz?”.

„Nie wiem. Wy zdecydowaliście, że należy go cisnąć w gardziel Orodruiny, prawda? Zaklinam cię - nie rób tego. Ani z Gondoru, ani z Rohanu, ani z Mordoru nie zostanie kamień na kamieniu. I to jest ten najłagodniejszy skutek, który mogę przewidzieć. Nowe Morze dojdzie do Baranzibaru, i Moria, jeśli oszczędzi ją wybuch, będzie zatopiona. To, powtarzam, najmniejsze zło”.

„Czymże jest Adamant?”.

„Równowaga wymaga ode mnie milczenia. Im mniej będziesz wiedział, tym więcej szans, że uda mi się utrzymać kołyszące się coraz mocniej Szale”.

„Rozumiem. Co mamy robić?... Jasne, mam sam znaleźć odpowiedź... Może przyniosę tę rzecz tobie?”.

„Masz rację. Prawie masz rację. Ale płomień zbyt głęboko wżarł się w ciało Ardy. A ona jest stara. I ten młody płomień z dni jej dawno minionej młodości - nie mieści się w naszych czasach”.

„Olmer chce...”.

„Tak, wedrzeć się do Valinoru. Mam nadzieję, że uda się tego uniknąć”.

„Dlaczego więc sam nie pojawisz się na polu walki? Dlaczego los Ardy ponownie decyduje się bez ciebie?!”.

„Nie zrozumiałeś tego jeszcze? Działanie jest równe przeciwdziałaniu. Jeśli wtrącę się ja lub otwarcie wtrącą się Valarowie - upadek Niebios stanie się nieuchronny. To będzie Dagor Dagorrath... którego udało się uniknąć dziesięć lat temu dopiero w ostatniej sekundzie. Tak więc, jeśli uda ci się wyrwać Adamant z rąk Henny i Olmera... Wtedy, nie wcześniej, przybędę po niego. Trzymaj się i pamiętaj - posłańcy Valinoru też tu są. I oni także czekają. Ale na czym polega ich plan - na razie nie wiem. Dowiem się na pewno i będę wszystko wiedział, ale potrzebuję czasu. Wiedza Doskonała nie przychodzi sama z siebie”.

I znowu wyprawa. Nadchodziła wiosna 1733 roku, wojna o Adamant przeciągała się. Powtarzały się męczącymi nawrotami walki na Południu - Skilludr mocno trzymał Góry Szkieletów, a jego wyborowe oddziały rozbiły wojsko pierzastorękich i Taregów nad jeziorem Sohot. Sandello odparł rozpaczliwy szturm Hrissaady i nawet udało mu się potem zająć całe miasto. Trzymał się pewnie Umbar, choć wojsko Olmera poniosło spore straty. Nic się właściwie nie zmieniło. Niczym niewyróżniająca się wojna, jakich wiele było w każdej epoce Śródziemia.

Folko, Torin i Malec walczyli jak zwykle. Hobbit nie czuł do swoich przeciwników wrogości, tylko litość. Umysł jego był spokojny. I zawsze, gdy tylko mógł, unikał zabijania.

Wolniej, znacznie wolniej niż jesienią, malutka armia pod dowództwem Farnaka, Wingetora i księcia Forwego przesuwała się na wschód. Przemierzali zrujnowane, spustoszone i bezludne ziemie, jedli tylko to, co nieśli w workach na plecach. Dobrze przynajmniej, że „smoki” mogły bez przeszkód podrzucać zapasy z Gondoru...

Minął styczeń i luty. Przypadkowa strzała odebrała życie wybuchowemu Hjarridiemu. Ginęli Eldringowie, ginęli ich przeciwnicy... Żarna wojny kręciły się, mieląc dziesiątki i setki żywotów; i nagle - jak grom z jasnego nieba! - nadeszła wiadomość o zwycięstwie Olmera pod Umbarem...

...Zarówno obrońcy, jak i Tcheremczycy, i Taregowie z pierzastorękimi, i orkowie - wszyscy byli krańcowo wyczerpani. Niekończące się szturmy, nocne potyczki, ataki i kontrataki - Wódz nie pozwalał oblegającym na spokojny wypoczynek. I w końcu...

Widocznie Boskiemu Hennie znudziło się dreptanie jego hufców w miejscu obok znienawidzonego Umbaru. W końcu surowy rozkaz, wzmocniony gniewem Adamantu, ponownie pognał wojowników na mury cytadeli. Mocny oddział blokował na brzegu siły Króla

Bez Królestwa.

Niedużo zostało w Umbarze ludzi zdolnych do noszenia broni: wielu odeszło na południe z flotą Skilludra, wielu zabrała wojna. Mimo tych braków twierdza nie poddawała się... póki tcheremski dowódca nie zaryzykował i nie rzucił do boju trzymające w szachu tysiące Olmera. Plan był prosty: jeśli zdobędziemy twierdzę, to nic nam jego oddziały nie zrobią.

Atakujący już wdrapali się na grzbiet muru, gdy z dzikim wyciem orkowie Wodza Earnila sami przeszli do ataku.

To był ten właśnie zwrot w boju, kiedy to Eldringowie, którzy już niemal oddali mur, rozpaczliwie tylko bronili gdzieniegdzie wież i poszczególnych jego odcinków. A gdy nad szeregami orków i Khandyjeżyków wzleciał w niebo czarno- biało- czarny sztandar Króla Bez Królestwa, zmusiło to obrońców do tak szalonej obrony pozostałych w ich ręku odcinków, że żadna siła nie zdołałaby ich odeprzeć.

Rozproszywszy nieliczne siły pod murami, wojsko Olmera wdarło się na nie. W Umbarze zaczęła się krwawa rzeź i mało kto z pierzastorękich, Taregów i Tcheremczyków miał szczęście wyjść cało z tego pogromu.

Nie zwalniając, Olmer rzucił się na południowy wschód, depcząc po piętach wycofującym się poszarpanym oddziałom Boskiego Henny.

Starli się na szerokiej równinie, przy granicy lasu i stepu. Niemiłosiernie paliło słońce, co przeszkadzało pieszym orkom, Khandyjczycy zaś przeciwnie - wszyscy jak jeden mąż byli zadowoleni, rześcy, weseli, wykrzykiwali, że już wystarczająco zmarzli na brzegu zimnego Morza, niechby je po trzykroć wysuszyło, i że przed bitwą należy dobrze wygrzać kości.

Rezerwowe pułki Boskiego dwukrotnie przewyższały liczebnością całą armię Okrutnego Strzelca.

Eodreid Rohański, potomek w prostej linii Eomera Eorlinga, stał w pierwszym szeregu wojska Króla Bez Królestwa. Jakkolwiek wiadomość o powrocie Olmera Wielkiego wstrząsnęła byłym władcą Edorasu, ochłonął szybko z zaskoczenia. Wrócił to wrócił. „To znaczy, że pojawił się, prócz Brega, jeszcze jeden krwawy wróg. No i dobrze. Doczekamy się odpowiedniej chwili". A na razie po prostu walczył, walczył odważnie, śmiało bił się pod sztandarem - trójzębna czarna korona w białym kręgu na czarnym tle - widok którego mroził mu serce.

Nie ukrywał swego imienia ani pochodzenia. Pośród Morskiego Ludu wielu znało go z twarzy, nie udałoby mu się nigdy ukryć. Nie wiedział, czy do Króla Bez Królestwa doszły już

słuchy o jego obecności, i nie zastanawiał się nawet nad tym. Było mu wszystko jedno. Pomagał tym, od których doświadczył pomocy w trudnej chwili - to mu wystarczało. Jeśli zaś Olmer będzie chciał się jakoś z nim policzyć... cóż, to by było najlepsze wyjście. Eodreid marzył o pojedynku z Wodzem nie wiadomo czy nie bardziej niż o walce z Bregiem. Trzeci Marszałek Marchii kazał tylko stracić jego żonę i dzieci - a Olmer zalał krwią cały Rohan.

A co dziś?... Jego wojsko ustawiło szyki, Wódz Earnil postanowił, nie siląc się na jakieś pułapki i zwody, uderzyć piersią w pierś. W centrum zamarły hufce orków i piesi Eldringowie, boki osłaniała jazda Khandyjeżyków. Niewielki oddział łuczników wysłano przed linie. Koniec.

Przed nimi ustawiły się hufce Henny - kim on jest, Eodreida nie interesowało. Jest przeciwnikiem tych, którzy go przygarnęli - to wystarczy. Były władca Edorasu widział pułki Tcheremczyków, konne i piesze, zajmujące pozycje na lewym skrzydle; Taregowie ustawili się po prawej. Wszystko się zgadza - mocne skrzydła i słaby środek. Eodreid zmrużył oczy. Tak, chyba tak zacząłby on sam. Atak pierzastorękich... fałszywy odwrót... i potem uderzenie z daleko odciągniętych skrzydeł. A co zrobi Wódz Earnil?

A Wódz Earnil, jak się wydawało, zmierzał właśnie w tę pułapkę. Wyraźnie planował atakować - właśnie tam i właśnie tak, jak tego chcieli tcheremscy dowódcy.

Zaczęli bój orkowie łucznicy. Pod ulewą ich strzał, pewnie - nie ma porównania z Hazgami, ale też coś warte - pierzastorękim nieco poplątały się szyki. No tak... ruszyli... pędzą... starli się z łucznikami... ci poszli w rozsypkę i wycofali się...

Przez szeregi pieszych przemknął rozkaz „Przygotować się!”.

Dziwne, ale znalazłszy się w jednym szeregu z orkami, król Rohanu nie czuł dawnej do nich nienawiści. Nie ich jatagany skruszyły Rohan, ale dunlandzkie miecze i angmarskie kusze. A orkowie... co tam orkowie. Tacy sami jak inni, nie gorsi i nie lepsi.

Pierzastoręcy niemal dotarli już do pierwszych szeregów wojska Olmera. Niemal dotarli - zawrócili i rzucili się do ucieczki. Nieliczni łucznicy, stojący w pierwszych szeregach piechoty, posłali im w plecy ile się dało strzał. Tak jest wszystko się zgadza... stać w miejscu, i niech sobie łamią zęby... ale zamiast tego nagle rozległo się: „Naprzód!”.

Czy oni zwariowali? - zdążył pomyśleć Eodreid. - Sami pchają się w paszczę zwierza!...

Strumień wojowników porwał go i powlókł ze sobą, w pościgu za pośpiesznie wycofującymi się pierzastorękimi.

W tej chwili ruszyły skrzydła. Taregowie i Tcheremczycy pochylili piki, gotowi do zadania śmiertelnego ciosu.

Eodreid nie pamiętał chwili, kiedy nad polem bitwy niespodziewanie zawisł ogłuszający ryk: „Earnil! Earnil!”.

Czarno- biało- czarny sztandar trzepotał nad hełmem chorążego. Na czele doborowego oddziału, stojąc w strzemionach, pędził Wódz. Za nim waliła khandyjska kawaleria.

Nic takiego - pomyślał oszołomiony Eodreid. - To wszystko, co mógł zrobić - rzucić do walki swoją jazdę. Tylko nie sądzę, by to w tej chwili pomogło.

Okrutny Strzelec wysunął się na czoło, wyraźnie wyprzedzając swych towarzyszy. W jego uniesionej ręce król widział długi miecz z dziwną czarną klingą, promieniującą suchym, wściekłym żarem.

Tcheremscy kawalerzyści prysnęli przed Olmerem na boki, jak płocie przed szczupakiem.

Suchy żar zastąpił głęboki trujący chłód. Eodreid nagle poczuł, że na karku zjeżyły mu się włosy. Nie, nie bez powodu śmierć nie miała władzy nad Królem Bez Królestwa... Posiadał on inne, nadludzkie moce, choć nie ujawniał ich aż do tej chwili...

Oszołomienie jeźdźców lewego skrzydła drogo kosztowało wojsko Boskiego Henny. Khandyjczycy obalili tcheremską jazdę i bezzwłocznie uderzyli w bok i od tyłu na pierzastorękich.

Wkrótce wszystko się skończyło. I choć jatagany orków i miecze Eldringów skosztowały wrażej krwi, to wojsko Henny raczej rozpierzchło się, niż zostało wybite. Ocalali pośpiesznie wycofywali się na południowy wschód, w kierunku kwatery głównej Boskiego...

Działo się to dziewiętnastego lutego.

22 Lutego,
Górny Bieg Rzeki Brązowej

- Na Durina! Jakbyśmy wcale stąd nie odchodzili - Malec pyknął z fajeczki.

- Właśnie, wróciliśmy na poprzednie miejsce - skinął głową Torin.

Eowina milczała. Ostatnio w ogóle mało się odzywała. Po tym jak młodą Rohankę pochłonęła ściana ognia, a magia Szarego - czy Olmera - ustrzegła od śmierci tylko ją jedną dziewczyna bardzo się zmieniła. Bez słowa skargi pokonała całą drogę od Umbaru do Rzeki Brązowej i potem od Brązowej do wybrzeża morskiego. Bez narzekania przebijała się ze wszystkimi, z oddziałami Farnaka i Wingetora przez lasy i bagna do kwatery Boskiego.

Wojna toczyła się nie tak, jak tego chciał Henna, półtora roku temu nikomu nieznany wódz niewielkiego plemienia Taregów. Nie można powiedzieć, że działał głupio. Przeciwnie mając takie siły, zrobił, co mógł. Ale teraz było już wiadomo, w czym tkwi sedno jego potęgi. I mimo że księcia Forwego niepokoiły prawdziwe ludzkie rzeki, płynące dokoła jeziora Sohot na północny zachód, przebijając się przez zapory Skilludra, wszyscy rozumieli, że w tej chwili najważniejszy jest nie Henna. Właściwie, to o nim nikt nie mówił. Wszyscy wiedzieli, że nie o to chodzi, by rozbić jego wojsko czy zdobyć szturmem twierdze. Chodziło tylko o Adamant. Tylko o Adamant.

- Mistrzu Holbytlo! - Eowina ostrożnie przycupnęła przy hobbicie.

- Posłuchaj, kiedy wreszcie przestaniesz nazywać mnie „Mistrzem”? Tyle razy ci mówiłem...

- Ten, kto robi coś wspaniale - jest dla mnie mistrzem! odparła z przekonaniem dziewczyna. - Mistrzu Holbytlo... jakoś się zaplątałam. Walczymy i walczymy... o co? O ten bajeczny Adamant? Ale to takie... puste...

- Puste? Prawda. - Hobbit skinął głową. - Masz rację, Eowino. Puste. Puste, jak na każdej z tych bezsensownych wojen, które wcale nie są bohaterskie, lecz przepełnione krwią, błotem, cierpieniem, śmiercią - i znużeniem. - Przetarł zaczerwienione ze zmęczenia oczy: poprzedniej nocy Taregowie ponownie urządzili nalot na tyły ich oddziału... Walka trwała niemal do rana. - Dziesięć lat temu, kiedy walczyliśmy z Olmerem, niebezpieczeństwem były właśnie jego wojska, jego pułki, rzucone przez niego na Zachód narody... Walczyliśmy z nimi, a każdy bój był tym decydującym. A teraz, nie. Nie Henna jest niebezpieczny, chociaż trochę i on, niebezpieczny jest Adamant. Jest groźniejszy od wszystkich pierścieni i Olmerów razem

wziętych. Rozumiesz?

- A jeśli... gdyby Adamant trafił do rąk Wodza? Wtedy, dziesięć lat temu?

Folko wzruszył ramionami.

- Co tam gdybać... Pamiętasz jego słowa, że w Śródziemiu nie ma wrogów? Oczywiście - nie lubił elfów... Gondoru też nie kochał... Ale Pierścień wspierał jego napór... zaś Ada mant... Gdyby go miał, pewnie poszedłby jeszcze dalej... i męczyłby się jeszcze bardziej. Dlatego, że taki człowiek jak on zawsze czuje się źle, gdy jest prowadzony...

- A co by się stało, gdyby Henna... był taki... jak Olmer?

- Pewnie nic. Pewnie lepiej by tylko dowodził swymi pierzastorękimi... nie pędził ich na rzeź. Chciałbym mimo wszystko wiedzieć, skąd oni się wzięli. Coś nie bardzo chce mi się wierzyć, że zebrał taką armadę w granicach Południa...

- A ognista ściana? - przerwała mu Eowina.

- Dlaczego Henna nie użył jej przeciwko nam? Na razie jeszcze potrzebuje Haradu... Pewnie jednak ma nadzieję, że się tu umocni...

Przyszłość pokazała, że Folko się mylił. I to dość poważnie.

Tego dnia, kiedy armia Tcheremczyków, Taregów i pierzastorękich została rozproszona przez Olmera, i wojsko uciekło w bezładzie, Sandello uderzył również. Miał za przeciwników tylko Haradrimów, a o swoją stolicę walczyli oni znacznie lepiej niż o jakiś tam Umbar.

Jednakże oblegani i, wydawałoby się, szczelnie zamknięci w murach Hrissaady, wojownicy Wodza wcale nie zamierzali spokojnie i cicho siedzieć za murami bastionów, czekając na Drugą Muzykę Ainurów. Z ciemnych niebios wprost do stóp Sandella spadł, złożywszy skrzydła, mały latający jaszczur- ulagh, w drewnianej tubce przyniósł krótki list od Olmera. Garbus w milczeniu przeczytał wieści, pokiwał głową - i chwyciwszy swój dziwny krzywy miecz z dziewięcioma pierścieniami, polecił krótko:

- Budzić wojsko, idziemy.

Zaatakowali o północy, kiedy posępny zimowy księżyc oświetlał poplamione światłami pożarów dzielnice tcheremskiej stolicy. Niespodziewanie otwarły się miejskie wrota, a z murów posypały się dziesiątki i setki lin i drabin sznurowych. Sandello atakował nie w szyku, lecz w rozsypce, każdy jakby walczył sam dla siebie...

Garbus szedł na czele. Prawą ręką trzymał rękojeść miecza, lewą podtrzymywał klingę. A operował tą niezwyczajną dla Zachodu bronią z taką zręcznością, że wydawało się, iż miecz jest przedłużeniem jego ręki, a ciało przejęło cechy ostrza i to ono tnie i kłuje.

Zmiażdżywszy pierwsze szeregi Haradrimów, orkowie i Khandyjczycy zwarli się w szyk i, najeżywszy się pikami, parli dalej, dopełniając pogromu. Rozproszona armia oblegających prysnęła i zniknęła niczym dym pod naporem ślepego wiatru.

Niewielkie siły garbusa szybkim marszem parły na południe. Nad losem Hrissaady nikt się nie zastanawiał - w tej wojnie prawdziwe bitwy toczone były nie o miasta i nie o twierdze.

26 Lutego,
Przedgórze Gór Szkieletów,
Millog I Reszta

Długo, bardzo długo siedzieli w jednym miejscu. Millog przyzwyczaił się do okolicy i kwatery; przyjemnie się tu żyło, mimo jesiennej pory. Dlaczego - Howrar się nie zastanawiał. Znowu było tak, że kto inny decydował za niego, a on po prostu podporządkowywał się tej miękkiej uździenicy.

Pies natomiast, przeciwnie. Chudł przeraźliwie, skóra i kości, oczy płonące głodnym ogniem. Kilka razy Millog widział, jak kobieta pochylała się nad psem, przemawiała doń cicho w nieznanym śpiewnym języku, ale Howrar nie interesował się tym. Wiedział tylko, że został wezwany do wykonania czegoś ważnego, bardzo ważnego i dowie się o wszystkim w stosownym czasie.

Tego dnia z rana jego towarzysze długo nad czymś radzili. A potem usłyszał:

- Wyruszamy. Nadchodzi dzień, w którym zostaną spłacone wszystkie długi.

Niewidocznymi ścieżkami ruszyli na północ.

Ten Sam Czas I Miejsce,
Wysłannik Wielkiego Orlangura

„Wielkie Kości Ziemi, jakże to boli! Przeklęci, jednak dobrali się do mnie! Do mnie, wysłannika Wielkiego Orlangura... ale nawet Duch Wiedzy nie zna granicy mocy tych, którzy przybyli z Valinoru. Kamienie pomogły mi, wypiły, wyssały zatrute wraże ziele, i teraz, kiedy oni stąd odeszli, mogę opuścić podziemne schronienie. I - pójdę za nimi, za tymi, którzy łudzą się, że mnie zabili. Pokażę im, jak wielki jest ich błąd. Drugi raz mnie nie sięgną".

Szarą tuszę skały wolno przecinała pionowa prosta szczelina. Chwilę później z podziemnego mroku wystąpiła przysadzista postać. Przy każdym kroku wysłannik krzywił się z bólu, ale berdysz trzymał prosto i mocno. Wiedział, że Adamant lśni pełnym blaskiem i że jeśli on nie powstrzyma posłańców Błogosławionych Królestw, wszystkie plany i nadzieje Złotego Smoka rozsypią się w pył.

Wyraźnie widział świeży ślad wrogów. Dogoni ich... a potem dowiedzą się, ile trzeba zapłacić za podłe uderzenie w plecy.

27 Lutego, Okolice Obozu Henny
W Górnym Biegu Rzeki Brązowej

- Mało mieliśmy zmartwień! - burknął Torin. - Znowu ta para będzie razem!

- W otwartym boju nie pokonamy Henny - pokiwał głową książę Forwe. - Mamy za mało sił. A on zebrał wszystkich, kogo się dało.

- To znaczy, że musimy zrobić tak, by wojsko związało bojem jego siły, a my tymczasem... - Malec wykrzywił twarz w zwierzęcym grymasie.

- Pomysłowe - pochwalił Farnak.

- Nic lepszego i tak nie wymyślimy - poparł go Amrod.

1 Marca, Górny Bieg Rzeki Brązowej

Tysiąc zmęczonych i złych Eldringów rzuciło wyzwanie dziesięciokrotnie silniejszej armii Boskiego. Z boku wyglądało to na czyste szaleństwo - i tak zresztą było. O świcie morskie zuchy, w milczeniu, bez okrzyków bojowych, uderzyły na śpiący jeszcze obóz Henny. Uleciał w niebo i opadł grad strzał zapalających, wybuchło zamieszanie, w którym wszystkie atuty mieli Eldringowie: ci walczyli w niewielkich zwartych grupkach, osłaniając się wzajemnie. Wraz z nimi walczył Farnak.

- Pożegnajmy się, przyjaciele! - Stary tan zapiął rzemyk hełmu. - Odciągniemy ich. Wy zróbcie swoje, i niech wam sprzyja Morski Ojciec!...

- Nic innego nam nie zostało, jak polegać na Morskim Ojcu - zauważył książę Forwe, również dopinając zbroję.

Folko, Torin, Malec. Elfy - Forwe, Amrod, Maelnor, Bearnas. Khandyjczyk Ragnur. Tan Wingetor. I do tego dwa tuziny wyborowych wojowników.

Noc jęczała i wyła kilkoma tysiącami głosów. Tuż obok wrzała zaciekła bitwa, i hobbit wiedział, że mają bardzo mało czasu, że za chwilę wojownicy Boskiego otrząsną się z zaskoczenia. Adamant lśnił i płonął gdzieś obok, tuż obok... Wydawało się, że wystarczy wyciągnąć rękę - a sam wpadnie w dłoń.

Folko wiedział, że ścigając rozproszone oddziały Henny i Haradrimów, hufce Olmera i Sandella nieubłaganie zbliżają się do kwatery Henny. Dlaczego Boski zwleka? Ma dość wojska, by rozprawić się z niewielkim oddziałem Farnaka i Wingetora, ale z siłami Króla Bez Królestwa połączonymi ze wsparciem Sandella może sobie nie poradzić.

- Naprzód!

Kwatera główna Henny, którą tworzył szeroki krąg zdobionych namiotów, znajdowała się na szczycie niewielkiego wzgórza, nieopodal Brązowej.

Hobbit mocno zacisnął powieki. Tak. Adamant znajduje się tuż obok... i cała jego Moc zwrócona jest w tej chwili na to, by odeprzeć atak na obóz. Już nie ma na co czekać. Idzieeemy!...

Nie wolno dopuścić do ucieczki Henny. W żadnym wypadku. Niech nawet polegną wszyscy, którzy idą do tego ataku wszyscy, z wyjątkiem jednego, by miał kto wynieść z pola boju ten przeklęty Adamant.

Folko ostatni raz sprawdził, czy lekko wysuwają się z pochew noże do miotania, czy ma

zapas strzał i wyprostowawszy się, pierwszy pognał do namiotów.

Na drodze stanął im wartownik, ale zmiotła go strzała Maelnora. Niemal w tej samej chwili ktoś zaalarmował załogę i hobbit pomyślał w biegu - oby tylko Boski nie ukrył się w ostatniej chwili; w twarz buchnęła nagle fala nieznośnego żaru, i osłupiały Folko zobaczył, jak od skraju namiotów w nocne niebo uderzyła zwarta kurtyna ognia. Płomień natychmiast pożarł ciemność, pochłonął ją i pomknął po zboczu na północ, gdzie niespodziewanie chwilę temu odezwały się rogi obcego wojska. To nadchodził Olmer, Okrutny Strzelec, Król Bez Królestwa...

- Ale się pośpieszył... - uśmiechnął się krzywo Malec, patrząc na ognistą zasłonę. - No to, jak się wydaje, jednego wroga mamy z głowy...

- Nie tak łatwo mu pójdzie z Wodzeni Earnilem, byle ogień nie da mu rady! - nie zgodził się Torin. - Poza tym już raz się w nim palił. Nie nowina mu.

- Ale wtedy tylko on i Eowina się uratowali! A wojownicy - fiu, fiu!...

Nie udało im się dokończyć tego sporu - wkroczyła doń osobista ochrona Boskiego.

Pierwszy strażnik runął ze strzałą Folka w oczodole. Kolejnych trzech położyły elfy. A chwilę później przyszła kolej na miecze...

- Ogień, mój panie.

- Widzę, Sandello. Dobrze, wydaj rozkaz. Twoi tysięcznicy sami będą wiedzieli, co robić. Ogień idzie na nas... ale to nic. Wojsko niech się rozproszy... a ja i ty przejdziemy przez ogień. Ty, ja i... Oessie!

- Jestem tu, ojcze.

- Dobrze. Sandello!

- Tak, panie mój.

- Nie wątpisz we mnie? Jesteś gotów?...

Garbus tylko się uśmiechnął kącikami wąskich ust.

Trzy postacie w rynsztunku, z obnażonymi mieczami szły na spotkanie nadchodzącej ognistej śmierci.

- Poza tym wojsko, obawiam się, już nam nie będzie potrzebne - rzucił cicho Olmer.

- Tak. Już wydałem rozkazy - odezwał się głuchym głosem garbus.

- Świetnie. Tam siłą wojska niczego się nie osiąga. Niech więc odejdzie. Kto wie, może jednak na koniec uda mi się poruszyć to mrowisko... - rzucił w zamyśleniu Olmer.

Ściana płomieni zbliżała się. Znowu, jak i na pozbawionym nazwy polu Haradu Południowego, gdzie poległy niezliczone hufce pierzastorękich, ogień szalał tam, gdzie, jak się

wydawało, nie było dla niego żadnej karmy. Ale podtrzymywały go jakieś inne Moce; co prawda nie domyślały się one, kto idzie im na spotkanie.

Sandello odruchowo uniósł rękę, żar już parzył twarz.

- Nabierzcie więcej powietrza i nie zostawajcie z tyłu - zarządził Olmer. W następnej chwili rzucił się przed siebie, prosto w zwarty splot jędrnych, ognistych pasm.

Żeby tylko nie uciekł, żeby tylko nie uciekł - powtarzał

jak zaklęcie Folko. Dokoła złotego namiotu trwała zażarta potyczka, strażnicy Boskiego wyróżniali się zaciekłością i wyszkoleniem. Wysoko, niemal do samych gwiazd wznosiła się ściana płomieni; dokoła było jasno jak w dzień. Na dole, w obozie, ciągle jeszcze trwała bitwa, chociaż odgłosy walki wyraźnie się oddalały - Taregowie wypierali morskich zuchów.

W kołczanie hobbita znacznie ubyło strzał. Niewielki oddział przeszedł po ciałach wojowników Boskiego; w pierwszym szeregu walczyły krasnoludy, elfy księcia Forwego osłaniały ich niechybiającymi strzałami, tracąc na celowanie mniej czasu niż zwykły człowiek na mrugnięcie okiem.

Folko wystrzelił ostatnią strzałę i wyszarpnął miecz. Sparował cięcie... zwrot... atak! Klinga znalazła dla siebie szczelinę w rynsztunku Tarega, hobbit przekroczył ciało, by natychmiast zacząć nowy pojedynek. „Jeśli Henna nie jest durniem, to powinien teraz się ukryć; chociaż, być może, w celu podtrzymania ognistego zaklęcia musi siedzieć w jednym miejscu...".

Boski nie siedział w jednym miejscu. Ale też i nie uciekał. Płachta zasłaniająca wejście odsunęła się na bok, w przejściu pojawiła się ludzka postać.

Henna był obnażony do pasa, na piersi miał zawieszony, płonący niesamowicie mocnym światłem, Adamant. W ręku trzymał nie miecz i nie topór, i nie młot, ale szeroki wygięty miecz, podobny do tego, którego używał Sandello, a miecz ten osadzony był na długim drzewcu.

Torin ryknął z bólu, odruchowo odwracając się; Światło Adamantu cięło po oczach niczym rozżarzony bicz. Malec uderzył, przebił na wylot jeszcze jednego Tarega i, też nie mogąc wytrzymać blasku, przysłonił łokciem oczy. Książę Forwe zacisnął powieki i wypuścił strzałę - szerokie ostrze przecięło ją w powietrzu. Boski głośno zarechotał szalonym, dzikim śmiechem. Jakby był pewien swej nietykalności.

- Kulla, kulla, Henna! - zawył nieludzkim głosem, a niedobitki jego osobistej straży, zapomniawszy o wszystkim, rzuciły się na garstkę zuchwałych napastników. Sam wódz szedł

w pierwszym szeregu. Nie dało się patrzeć na Adamant.

Kilku strażników padło przeszytych strzałami, ale straty nie ominęły i towarzyszy hobbita. Ragnur jęcząc przyciskał do zranionego boku dłoń, spod niej lała się z szerokiej rany krew. Wingetor powalił trzech, lecz chwilę potem celnie ciśnięta włócznia wbiła mu się między łopatki.

- Kulla! Henna!

Z jakim trudem bije serce... jak wolno poruszają się ręce, jakby Światło Adamantu zmieniło się w lepką pajęczynę...

Folko walczył bokiem do Boskiego, kilka razy od śmierci ratowała go niezrównana mithrilowa kolczuga. Miecz hobbita zalany był krwią po rękojeść, pod nogami walały się ciała.

A tymczasem sam Henna przystąpił do walki, a ostrze jego dziwnej broni od razu zgrzytnęło po płytach zbroi Torina.

Tangar odpowiedział błyskawicznym wypadem, przeciwnik zasłonił się drzewcem, odwracając się piersią do Torina. Światło Adamantu uderzyło krasnoluda w oczy i w tym momencie wystrzelona przez Forwego strzała wpiła się Hennie w pierś.

Boski tylko roześmiał się kpiąco, wyszarpując drzewce z rany.

„Czy on jest nietykalny?... Ale przecież poprzednim razem Olmer niemal go wykończył...".

Jednak wyszarpywanie strzały z rany dało Torinowi czas, by otrząsnął się z oszołomienia. Strażnicy Boskiego napierali z boków, tam ich powstrzymywały elfy; dokoła wodza Taregów zrobiło się pusto, ale nawet Torin, Folko i Malec tylko z najwyższym trudem powstrzymywali Hennę.

Nie tracąc czasu, hobbit wyszarpnął z pochwy sztylet Otriny. Nie ma na co czekać, skoro zwyczajna broń jest tu bezsilna. Słusznie uczynił - Boski sparował drzewcem uderzenie miecza Małego Krasnoluda, ale daga uderzyła w bok Henny. W następnej chwili ostrze jego krzywego miecza cięło w nogę Malca. Mithril wytrzymał, lecz krasnolud rozciągnął się na ziemi.

Folko zamachnął się. Niebieskie kwiaty na ostrzu płonęły, teraz, za chwilę, zaczarowane ostrze znajdzie cel, i zobaczymy wtedy, czy pomoże ci Adamant, o Bosko Boski Henno!

Ale niebieskie ostrze, jak się okazało, miało swoje własne porachunki z Adamantem. Hobbit celował w gardło wroga, jednakże klinga uderzyła znacznie niżej, ostrze skrzesało iskry z błyszczącego boku cudownego kamienia. Wykrzesało - i bezsilnie opadło w dół, w mrok pod

nogami wodza.

Adamant niespodziewanie zapłonął purpurą, jakby rozgniewany. Henna z krótkim okrzykiem zachwiał się, z zadanej mu sztyletem Malca rany w boku chlusnęła krew.

Torin natychmiast skoczył do ataku. Na próżno. Krzywe ostrze Boskiego zgrzytnęło, sypiąc skrami po ściance hełmu, ogłuszony krasnolud zachwiał się.

Jest nie do pokonania! - przemknęło przez głowę hobbita. - Adamant chroni go... a Kamień nie boi się nawet sztyletu Otriny!

Forwe trzema niezauważalnymi ruchami posłał w Hennę trzy strzały - na próżno. Elf chciał oślepić Boskiego, ale drzewca strzał, nie doleciawszy do celu, zapłonęły - tak wściekłym żarem biło od Kamienia.

Plecy Olmera zniknęły w czerwonym wirze. Bez wahania Sandello ruszył za nim, w ostatniej chwili spostrzegłszy, że za łokieć chwytają go palce Oessie. Garbus uśmiechnął się, niepomny na szalejący dokoła ogień.

Nie można powiedzieć, by nic nie poczuli. Było tam bardzo, bardzo, bardzo gorąco; pancerze i broń błyskawicznie zaczęły parzyć. Krok, drugi, trzeci... i oto ryczący płomień pozostał z tyłu, a na czarnej, pokrytej popiołem ziemi stał Wódz. Ze smutnym uśmieszkiem na twarzy powiedział do córki i najwierniejszego ze swych towarzyszy:

- Ostatni raz przechodziliśmy przez ogień.

- Co? - nie zrozumiała go Oessie.

- Moja moc... słabnie... - Olmer uśmiechnął się blado. Ktoś chyba dość dokładnie określił jej zasoby... Odmierzone dokładnie na określoną sprawę...

- O czym ty mówisz, ojcze? - Oessie patrzyła mu w oczy. Sandello wyraźnie zmarkotniał.

- O niczym, córko, o niczym. Idziemy. Wydaje mi się, że w tamtym kierunku...

...Uderzających na nich strażników Henny cięli Sandello i Oessie. Olmer kroczył z pochyloną głową i, wydawało się, niczego dokoła nie zauważał. Jego wargi poruszały się, szeptał jakieś słowa, w tym momencie jak nigdy przypominał niegdysiejszego Wodza, który - już nie człowiek - wkraczał do płonącego elfickiego miasta.

Przed nimi były namioty.

- Panie... tam trwa walka! - Sandello wskazał kierunek.

- Cóż, nie zdziwię się, jeśli nasz odważny połówieczek jako pierwszy dopadł skarbu - spokojnie odparł Olmer. - Ale to już nie jest ważne. Utrzymajcie ochronę z daleka... póki będę z nim rozmawiał. Długo to nie potrwa. A potem...

- Ojcze, powiadasz połówieczek? Folko? Przecież on ma mnóstwo różnych elfickich przedmiotów! Co będzie, jeśli zagarnie Adamant?! - nie wytrzymała Oessie.

- Nie zagarnie - odparował Wódz.

Stali naprzeciwko siebie, oddychali głęboko. Walka się skończyła. Adamant popychał ludzi do boju, ale nie przydawał im kunsztu wojskowego. Większość strażników Boskiego Henny padła w boju.

Maelnor siedział, zaciskając dłonie na ranie. Między palcami wolno sączyła się krew. Książę Forwe niedbale owinął głowę jakąś tkaniną. Broń Taregów pokancerowała również i innych.

Mithrilowe kolczugi uratowały przyjaciół, ale lśniący Kamień obdarzył Hennę nietykalnością. Rany na jego ciele wyglądały po prostu jak czerwone pręgi, jakby płynące z Adamantu światło natychmiast przypalało i zwierało je.

Hobbitowi pozostał tylko miecz. Sztylet Otriny walał się tam, gdzie i reszta noży do miotania - pod stopami właściciela Adamantu. Wyzuty do cna z sił Malec zwalił się na ziemię, opierając się na rękojeści wbitego w glebę miecza. Tylko Torin stał w postawie wojownika, z toporem w gotowości.

Henna zarechotał kpiąco, ale Folko wyraźnie usłyszał w tym śmiechu nutkę szaleństwa. Szerokie ostrze Boskiego ze świstem przecięło powietrze...

Jakkolwiek wspaniałe są pancerze z mithrilu, zawsze jednak można znaleźć jakieś miejsce do zadania raniącego ciosu.

Pierwsze uderzenie Torin odparował. Malec poderwał się, podnosząc swoje klingi... i w tym momencie niespodziewanie rozległ się spokojny głos:

- Może lepiej walcz ze mną, Henno.

Boski gwałtownie się odwrócił - jednocześnie zręcznym podcięciem waląc z nóg Torina.

O jakieś dziesięć kroków od niego stał Olmer. Z prawej znieruchomiał gotowy do walki Sandello - prawą ręką dzierżył rękojeść, lewą podtrzymywał miecz za klingę. Z lewej od ojca - Oessie, z lekką szablą przed sobą.

Henna wydał z siebie krótki ryk. Nie zwracając uwagi na hobbita i krasnoludy, przyskoczył do Olmera, unosząc nad głową swą straszliwą broń. Folko nazwał ją w duchu halabardą, chociaż broń ta niezbyt przypominała halabardy, które widział w Amorze czy Gondorze.

Ocalali słudzy Boskiego ponownie rzucili się na hobbita i jego towarzyszy, składając z

siebie ofiarę...

Olmer nie poruszył się. Jednakże znowu, jak podczas bitwy pod murami Szarych Przystani, do przodu wystąpił stary miecznik, zasłaniając sobą Wodza. Oessie skoczyła i znalazła się po lewej stronie przywódcy Taregów.

Boski już się nie śmiał. Szeroka klinga jego broni pomknęła do przodu... ale garbus, tylko lekko się odwróciwszy, gwałtownie z ukosa uderzył mieczem - i ostrze Henny zgrzytnęło po pierścieniach na klindze Sandella. Posypały się iskry.

Olmer stał bez ruchu, przymknąwszy oczy. Czarny Miecz wciąż tkwił w pochwie.

Garbus i Henna walczyli w milczeniu. Boski prezentował dziwny, nieznany zachodnim wojownikom kunszt walki, ale i Sandellowi, jak się wydawało, nieobce były te umiejętności. Być może źródło ich było wspólne. Nie ustępował przeciwnikowi, a tamtemu w żaden sposób nie udawało się zaczepić zręcznego i szybkiego garbusa - ciągle ostrza ścierały się ze sobą, szczerbiły się, zgrzytały na pierścieniach. Oessie skoczyła nawet na pomoc, usiłując zaatakować Hennę z boku, ale natychmiast dosięgło ją okrutne uderzenie drzewcem. Mimo pancerza dziewczyna mocno odczuła ten cios - zgięła się wpół i osunęła na kolana, a potem z jękiem zwaliła się na bok.

Nie wiadomo skąd do Boskiego dotarło wsparcie; zajęty nowymi wojownikami Folko nie widział, kiedy i jak udało się garbusowi przeciąć grube drzewce broni Henny, ale ten wcale się nie przejął - odcięty kawałek stał się pałką, a mocno skróconą „halabardę" Boski trzymał teraz jedną ręką.

- Wystarczy, Sandello. Jestem gotów - powiedział cicho Olmer, ale jego słowa usłyszeli wszyscy bez wyjątku walczący.

Klinga Czarnego Miecza wycelowana była w pierś Henny.

Jednakże do garbusa jakby nie dotarły słowa Króla Bez Królestwa. Olmer szarpnął go za ramię, odrzucając na bok...

Czarny Miecz wykreślił w powietrzu łuk. Klingi starły się, a w ziemię uderzył snop zielonkawych błyskawic. Hobbitowi wydało się, że Miecz Wodza wydał z siebie wściekły okrzyk.

Adamant na piersi Henny stał się ognistym obłokiem. To nie był już rozżarzony Kamień - to był kłąb gniewnego Światła. Jego promienie stały się strzałami, Moc płynęła do klingi miecza w ręku Boskiego.

Folko zachwiał się i cofnął o krok. Znowu, jak podczas bitwy pod Szarymi Przystaniami, twarzą w twarz zetknęły się dwa Początki... tyle że tym razem hobbit nie

wiedział, komu życzy zwycięstwa.

A starcia dokoła Henny i Olmera powoli zamierały. Opuścili broń i Taregowie, i elfy, i krasnoludy. Cała Moc Adamantu skierowana została na walkę z Czarnym Mieczem.

A daleko stąd runęła, rozsypawszy się na mnóstwo poszczególnych pożarów, wzniesiona magią Kamienia niszczycielska ognista ściana.

Poderwawszy się na nogi, ruszył do walki Sandello, ale został odrzucony, natknąwszy się na niewidzialną przegrodę, podobnie jak niegdyś Folko i krasnoludy, przed placykiem, na którym starli się Król Bez Królestwa i Kirdan Szkutnik...

A wzgórze, gdzie toczył się pojedynek, błyskawicznie ogarniał mrok. Jednakże... dziwne... Z głębi ciemności wypłynęły dwie złociste iskry i powoli sunęły w stronę wzniesienia. Co by to mogło być?

„...I wówczas z szeregów czarnego wojska wyszedł człowiek, bez hełmu, ciemnowłosy i ciemnobrody”...

„Bój trwał. Wojsko Światła wyrównało i zwarło nadszarpnięte szeregi”...

„Czarny Miecz tkwił w jego ręku, na ramionach miał zużytą, wielekroć naprawianą, wypróbowaną kolczugę. Nie był on stworem Mroku i Ciemności, lecz żywym, z krwi i kości człowiekiem”...

Folko widział, jak widmowe armie szykują się do ostatecznej bitwy.

„Szedł on na spotkanie z pędzącymi nań jeźdźcami i - rzec by można - śmiał się im w twarz”...

„Jeźdźcy byli jeszcze daleko”...

„...Przed szyki wypadła wojowniczka w lśniącej zbroi, dosiadająca jednorożca, a w rozwidleniach jej kopii drżało i płonęło małe słońce”...

„Tak! Ona! Ta, którą chyba widział hobbit w niebie nad ginącym elfickim miastem! Biały jednorożec! I dziwna dwuzębna kopia w szczupłej dłoni, kopia zwieńczona malutkim słońcem!... Z całej siły pędziła wojowniczka w stronę skamieniałego Olmera; Czarny Miecz znieruchomiał, gotów zarówno do obrony, jak i do ataku”...

„Nie chcę zabijać cię... - imię zatarło się w huku bitwy”.

Tym razem więc imię pięknej wojowniczki pozostało nieznane.

Czarny Miecz uderzył, ale teraz jego ostrze przecięło drzewce słonecznej kopii. Wierzchowiec w pełnym biegu przewrócił Okrutnego Strzelca. Ten runął ze stłumionym jękiem, ale jego dłoń wczepiła się w płonącą kulę.

Widmo zniknęło.

Na spalonej błyskawicami ziemi leżał Boski Henna, a nad jego ciałem, chwiejąc się, klęczał Olmer, trzymając upragniony Adamant.

Wszystko, co się stało potem, działo się tak szybko, że nikt nawet nie zdążył się poruszyć.

Millog

W szczyt wzgórza waliły błyskawice. Płonęły namioty, ale był to jakiś dziwnie słaby, kopcący płomień. Na ziemi leżały ciała - mnóstwo ciał. Pies wył i przywierał do nóg Howrara.

- Idź przodem - powiedziała do Milloga kobieta. Jej cudowne złociste włosy poruszał powiew nie wiadomo skąd nadlatującego wiatru. - I nie zapomnij o mieczu!

Na pasie Howrara rzeczywiście wisiał krótki miecz, wykuty przez kowala z jego plemienia. Broń nie odznaczała się niczym szczególnym, poza tym, że była bronią howrarską.

Za Millogiem szedł pies. Za nimi, w odległości dziesięciu kroków, podążali jasnowłosa i jej towarzysz.

Howrar maszerował, niemal niczego przed sobą nie widząc. Coś znacznie silniejszego od woli byłego poborcy podatkowego pchało go do przodu. Wkrótce zobaczył znieruchomiałych na szczycie wzgórza ludzi. Chyba jeszcze przed chwilą walczyli i...

Ten, którego dłoń trzyma coś świetlistego! Nieważne, co to jest!

To... Przecież to Szary! Samobójca, którego ostatnie słowa skierowane były do Milloga!

Oto znalazłem cię, ze szczerą ulgą pomyślał Howrar. - Zaraz zabiję cię, i wszystko będzie dobrze.

Szary wolno wyprostował się, nie odrywając wzroku od lśniącego przedmiotu w swojej dłoni. Zbliżał się do niego dziwnie wyglądający garbus z szerokim krzywym mieczem, bardzo podobny do... Ale Milloga nic już nie mogło powstrzymać. Bez żadnych wybiegów i zmyłek wkroczył do kręgu światła i zamierzył się mieczem.

Skąd wziął się ten dziwny, wychudzony i wycieńczony człowiek, w łachmanach, które zastępowały mu odzienie? Jak to możliwe, że nikt nie zauważył, jak znalazł się tuż obok?...

Pierwszy dostrzegł miecz w ręku obcego - jakżeby inaczej! - Sandello. Rzucił się do przodu, wznosząc broń do ciosu, ale... obcy niedbale machnął krótkim szerokim mieczem i garbus, zachwiawszy się na nogach, runął na ziemię. Żył i nie był ranny, lecz chwila, w której mógł powstrzymać nieznajomego, została stracona.

Olmer nieustannie wpatrywał się w Adamant.

Folkowi udało się wyjść z oszołomienia, zerwał z ramienia łuk, ale kołczan był już pusty, gniazda na noże do miotania również.

Król Bez Królestwa odwrócił się w ostatniej chwili. Zerknął na zamierzającego się do

ciosu Milloga... i hobbit przysiągłby, że oblicze Wodza zniekształcił najprawdziwszy strach.

Wysłannik Wielkiego Orlangura

Natychmiast go rozpoznał. Tak, tak, oczywiście. Widział tego nieszczęśnika obok przybyszy z Valinoru.

Myśleli, że zabili mnie... mylili się.

Ale zatroszczyli się, by wziąć ze sobą Zgubę Olmera. Właśnie, Zgubę Olmera. Tego, który z woli wszechpotężnego Losu ma go zabić. A skoro tak, to niechby nawet był bezbronnym chłopcem - powali najbardziej doświadczonego męża, i nikt nie będzie mógł mu przeszkodzić".

Wysłannik widział, jak wzniósł się miecz, widział, jak Olmer usiłował unieść swój Czarny Miecz, ale ostrze nieoczekiwanie zaczepiło o pas leżącego na ziemi Henny i spóźniło się. W tym momencie skądś z tyłu wyleciała szara błyskawica.

Pies. Zwyczajny pies, jakich pełno w ludzkich osadach. Niemały, ale też wcale nieduży. Skoczył prosto na plecy gotowego do cięcia człowieka - mocne szczęki zwarły się na karku Zguby Olmera...

Człowiek krzyknął. Ale miecz nie uderzył w psa - może wtedy byłaby jakaś szansa na przeżycie - uderzył w podnoszącego się z kolan Olmera. Aż po rękojeść wbiła się klinga w pierś Króla Bez Królestwa... potem została wyszarpnięta z rany... i dopiero wtedy uderzyła psa w bok.

Folko

Pognała cała trójka - Olmer, obcy i pies, który przegryzł kark obcego. W mgnieniu oka hobbit znalazł się przy Adamancie... nadal czystym, niesplamionym krwią Adamancie, zaciśniętym w nieruchomej dłoni Olmera.

Słudzy Boskiego, skowycząc, rzucili się do ucieczki. Nikt ich nie ścigał.

- Stać! - rozległ się nagle czyjś władczy głos. Folka ogarnęła jakaś dziwna ociężałość... Palce sięgały Adamantu i w żaden sposób nie mogły go dotknąć.

Sandello i Oessie rzucili się jednocześnie, nie do Adamantu, lecz do powalonego Olmera. Ale, wyprzedziwszy ich, pierwsza przy jego ciele była inna para - tak dziwna, że zobaczywszy ich, Folko oniemiał i zapomniał nawet o broni.

Złotowłosa, młoda i piękna, niosąca na czole pocałunek Wiecznej Wiosny, i jej ciemnowłosy towarzysz - wcielenie Mocy. Oboje przeszli bez przeszkód obok elfów Forwego, obok krasnoludów, nawet obok Sandella i Oessie. Szczupłe palce dotknęły Adamantu. Przez ciało Wodza przeszła fala dreszczy.

Zabierają Adamant! Kim oni są? Po co?... Dokąd?... miotały się po głowie hobbita myśli. Folko już się prostował, zaciskając w jednej ręce rękojeść miecza, a w drugiej sztylet Otriny, gdy nagle z mroku niespodziewanie wynurzyła się postać masywna, przysadzista, podpierająca się...

Folko zamarł z otwartymi ustami, wpatrując się w przybyłego. Był przekonany, że ten dziesięć lat temu pożegnał świat żywych.

- Oddaj! - ryknął Naugrim, wymachując bronią. - Zaniosę TO do Wielkiego Orlangura!

Na pięknych obliczach jego przeciwników odmalowało się lekkie zdumienie.

Berdysz ze świstem przeciął powietrze... i został z brzękiem odbity - ciemnowłosy mężczyzna niedbałym ruchem uniósł długi, cienki miecz.

Pierścień na palcu hobbita niespodziewanie rozgrzał się, aż parzył skórę. Tęczowy motylek wyrywał się z kamiennej niewoli, jakby chciał pomóc.

Nadszedł czas wyboru, mistrzu Holbytlo, pomyślał hobbit. Naugrim... nieważne, skąd się wziął. Jego słowa: „Odniosę TO do Wielkiego Orlangura...". Dokładnie to samo zrobiłby i on, Folko...

Jakże wloką się sekundy!

Tęczowy motylek w jednej chwili znalazł się obok syna Niebieskiego Maga. Tak. On

nie kłamie. W sercu jego i oczach nie ma kłamstwa. Odda Adamant Duchowi Wiedzy...

Ale, być może, ci dwoje...

Złotowłosa zaczęła mówić we Wspólnej Mowie, dźwięcznie wymawiając poszczególne słowa. Moc w jej głosie sprawiła, że wszyscy opuścili broń. Nawet rozjuszony Naugrim.

- Odłamek Pucharu, tego, w którym przechowywany był Pierwotny Płomień, ten właśnie, który podarował Światło Śródziemiu! Wrócił do nas poprzez mrok niezliczonych wieków! Tylko sam Przedwieczny Król, zasiadający na szczycie Taniquetilu, ma prawo nim dysponować. Przepuśćcie nas! Wracamy do Valinoru. Człowiek o imieniu Olmer wykonał swoje zadanie. Darowane mu były moce, które miały pomóc w pokonaniu tego, który zwał się Henną. A nić jego losu przerwał ten, któremu sądzone było stać się Zgubą Olmera... Pierwotne Światło uda się do Valinoru... by, kiedy skończy się Dzień Ostatniej Bitwy, Wielkiej Muzyce towarzyszyły promienie tego Prawdziwego Światła!

Wszyscy znieruchomieli. Wyglądało, że walczyli zupełnie niepotrzebnie?...

Daleko na północny wschód od Haradu ten, którego Śmiertelni nazywali Duchem Wiedzy, też słyszał owe słowa. Ale widział i słyszał także wiele innych rzeczy. I w granicach tego świata, i poza jego rubieżami.

„Nie posłuchali mnie”.

Przetoczył się stłumiony, bardzo, bardzo odległy grzmot.

„Czas. Równowaga się chwieje”.

Oczy Smoka nagle rozjarzyły się purpurą.

Złote skrzydła rozwinęły się. Ciało wzleciało nad ziemię. Jęknęło cięte bezlitośnie powietrze: zostawiając za sobą ognisty ślad na ciemnym niebie, Smok pędził na południe.

Kości Ziemi na jego drodze drżały i pokrywały się pajęczyną pęknięć. Ale to już nie miało żadnego znaczenia.

Musi zdążyć. Zdążyć, zanim stamtąd, z nieznanych okolic tego świata, nie dotrze zabójcza odpowiedź. Nieważne, że Valarowie nie są tu niczemu winni. Oni wysłali swoje sługi... ale nawet zawładnąwszy Adamantem za pośrednictwem Olmera, zniszczyli kruchą Równowagę, ustaloną po zniszczeniu Pierścienia Upiorów. A to znaczyło, że Adamant już nie może pozostawać w tym świecie.

Ognista krecha przekreśliła niebo. Usłyszał znajomy głos, przepełniony skrywanym triumfem.

- Nie zapomniałeś, że nie jesteś dziś nietykalny, o Cieniu Wroga?

- Nie zapomniałem.

Pod nim przemknęły grzbiety mordorskich gór.

- No to zatrzymaj się.

- Nigdy.

- Nie obawiasz się, że zostaniesz ciśnięty w Mrok Zewnętrzny?

- Tam też mogę sobie rozmyślać.

- Ale możemy też więcej.

- Wiadomo mi to.

Oto i Harad. A oto...

- Zatrzymaj się!

Duch Wiedzy nie odpowiedział. Bardzo się śpieszył. Ale i tak spóźnił się.

- Słodkie słówka! - ryknął wściekle Naugrim. - Chcecie wszystko zagarnąć dla siebie i nie wiecie, co się stanie, jeśli ta rzecz zostanie w tym Świecie!

Złotowłosa uśmiechnęła się. Jej towarzysz postąpił krok naprzód i opuścił miecz, jakby dokoła nie było już przeciwników.

A wtedy poruszyło się zalane krwią ciało Olmera. Jego palce zacisnęły się na Czarnym Mieczu. Chwilę potem, zrzuciwszy z siebie ciała nieszczęsnego Milloga i psa, który pomścił pana, Wódz wstał.

- Odwróć się - wychrypiał.

Cudowna klinga czarnowłosego wysłannika odpowiedziała. Wzleciał Czarny Miecz. Krzyknąwszy skoczyła do przodu Oessie, za nią Sandello.

- Stać! - Okrutny Strzelec chwiał się, ale spojrzenie miał tak świetliste, że wydawało się, iż w oczach skupił się teraz blask Adamantu. - To jest... pojedynek!

Dokoła wysłanników Valinoru utworzył się krąg. Folko, Torin, Malec, Naugrim, Forwe i jego elfy...

- Nie będzie pojedynku - rozległ się jasny, czysty głos złotowłosej piękności. - Jesteś martwy, Olmerze, i Drzwi Nocy już się przed tobą otworzyły... Co do ciebie, Forwe, to wstyd i hańba! Powinieneś nam pomóc! Zrób nam przejście!

Elf nie odpowiedział. Nie miał na to czasu. Wódz nie czekał dłużej.

Czarna klinga zwarła się ze srebrną.

Pozostali nie mogli nic zrobić, tylko czekać. Wola Olmera skuwała nawet garbusa - stał blady, zagryzając cienkie wargi; Sandello - wcielenie zimnej krwi!

„Użyć broni przeciwko wysłannikom Valinoru... Czy ty masz, hobbicie, dobrze w głowie?! Ty, który walczyłeś ramię przy ramieniu z Pierworodnymi na murach Szarych

Przystani”?...

„Ale oni odeszli z tych murów. Odeszli za Morze, a walczyli tam ludzie”.

„No i czy to jest powód, by teraz skierować przeciwko nim broń?”.

„Może”.

„A dlaczego jesteś taki pewien, że Adamant nie powinien trafić do nich? Może to najlepsze... najlepsze dla wszystkich?”.

„Jeśli Kamień zostanie w granicach tego świata - dojdzie do nieszczęścia. Valarowie i elfy za bardzo kochają przeszłość. A Światło z niej może stać się Złem”.

„I będziesz zabijał w imię”?...

„Postaram się obejść bez tego”.

Czarny Miecz, wydawało się, żył własnym życiem. Spływające krwią ciało Olmera tylko podtrzymywało go w powietrzu. Wszyscy czuli, że Miecz spotkał w końcu swego wroga krwi... i już nie odstąpi.

Ale co się stanie, jeśli dojdzie do przelewu krwi posłańców Valinoru?!

Miecz pociągnął rannego Olmera do ataku. Strzeliła czarna błyskawica, przebijając się przez obronę, i ciemnowłosy mężczyzna jęknął, zaciskając ranę na lewym ramieniu. Jednakże prawa ręka odpowiedziała błyskawicznym wypadem - i srebrzyste ostrze zadało drugie cięcie w pierś Króla Bez Królestwa.

Folko poderwał się na równe nogi. Adamant nie może pozostać w tych rękach! Oni, to oni wszystko zmontowali, oni zręcznie rozprawili się z Olmerem rękami jego nieszczęsnego zabójcy, rękami jego Zguby - i teraz dobijają.

Okrutny Strzelec zachwiał się i ciężko opadł na jedno kolano. W następnej chwili klinga hobbita skrzyżowała się ze srebrzystym mieczem ciemnowłosego wojownika. Obok Folka znalazł się Sandello, za garbusem do walki ruszyła Oessie...

Ale wszystkich wyprzedził Naugrim. Jego straszliwy berdysz już uniósł się, szykując do ciosu, ale srebrzysty miecz, sparowawszy pierwszy wypad hobbita, z łatwością, jak gorący nóż w masło, wszedł w gardło podgórskiego wojownika.

Ręce ciemnowłosego obdarzone były straszliwą, nieprawdopodobną siłą. Kiedy klingi starły się, hobbit został rzucony na plecy... i to, zapewne, uratowało mu życie.

Naugrim zachwiał się. Z rany bryznęła struga gorącej krwi... to się nie zdarza, by z przeciętych żył tryskała krew na dwadzieścia stóp... Purpurowa struga obficie zrosiła Adamant.

Folko chwycił leżący w błocie sztylet Otriny. Klinga jakby sama znalazła się we właściwym miejscu... Cisnął cudowną broń, mierząc w rękę złotowłosej - w tę, w której

trzymała zakrwawiony Adamant.

I po raz drugi tego dnia sztylet zawiódł swego właściciela. Wyrwał się z wilgotnych dłoni hobbita nieco wcześniej, niż należało... i bezbłędnie odnalazł drogę do gardła złotowłosej.

Ból i udręka odmalowały się na jej bosko pięknym obliczu. Smukłe dłonie uniosły się do rany... Adamant upadł na ziemię.

- Jak głupio... jest ginąć z ręki połówieczka... - wyszeptały jej wargi.

Ciemnowłosy z krzykiem rzucił się ku osuwającej się na ziemię kobiecie, a wtedy berdysz Naugrima przeciął mu nogi. Ostatni wysiłek pochłonął chyba resztki sił Czarnego Krasnoluda - wychrypiał coś, opuścił głowę, oczy zaszły mgłą...

Ciemnowłosy miotał się po ziemi, z kikutów nóg chlustała krew... Usiłował pełznąć, ale wyrachowany cios Sandella skrócił jego mękę.

Już w górze wiedział, że się spóźnił. Krew wysłanników Valinoru chlusnęła na Adamant... Nic gorszego stać się nie mogło. To znaczy, że pozostało tylko jedno jedyne wyjście.

Złożył skrzydła i jak kamień leciał ku ziemi. Oczy jego oślepiał blask Adamantu. Śmiertelni i Nieśmiertelni stali dokoła Kamienia. Jeden z nich siedział i do uszu Wielkiego Orlangura dotarł jego stłumiony jęk.

Zabiłem ją - z trudem powstrzymując łzy, powtarzał w duchu hobbit. Zabiłem ją. Dlaczego, dlaczego drgnęła mi ręka?

- Dlatego, że w innym wypadku Adamant pozostałby w Świecie... I bardzo szybko byś się przekonał: obecna siła Valarów jest niczym w porównaniu z jego Mocą.

Hobbit odruchowo uniósł głowę.

Złoty Smok patrzył na niego.

- Nie rozpaczaj. Przecież oni są nieśmiertelni. Mandos nie będzie ich długo przetrzymywał... A my musimy się pośpieszyć. Krew Valinoru, przelana tu, przyśpiesza nadejście groźnych wydarzeń. Mamy bardzo mało czasu.

- Ale... co się stanie? - odważył się zapytać Forwe.

Czterozrenicowe oczy płonęły purpurą.

- Światło Adamantu przywołało do życia potężne Moce Mroku Zewnętrznego. Potężne i ślepe. Są w jakiś sposób podobne do oceanicznych fal... Ale nie ma na nich Ulmo, by opanował ich szał. Dziesięć lat temu męstwo tych, którzy stanęli na drodze Olmera, uratowało świat przed Dagor Dagorrath... A dziś nawet ja nie mogę tego dokonać. Jeśli Adamant tu pozostanie... Jedyny może tylko zrealizować - przed czasem! swój zamysł Drugiej Muzyki.

Mamy jedno wyjście: przebić się do Drzwi Nocy... i wrzucić tam ów skarb.

- Ale poprzednio mówiłeś... - zaczai książę.

- Tak, tak. Mówiłem o Melkorze. Spętany, czeka on na swój czas w otchłani świata... Ale jeśli Światło Adamantu tu pozostanie, to Melkor zginie wraz ze wszystkimi. Nam nie wolno cisnąć Kamienia do Orodruiny - podziemny płomień jest niczym dla niego. W ogóle nie możemy go zniszczyć.

- Ale... no to jak? - wykrztusił Malec. - Co, w takim razie, możemy zrobić?

- Kiedyś Adamant był tylko częścią Wielkiego Pucharu, w którym płonął Niezniszczalny Płomień. On podarował Światło młodemu Śródziemiu. I wchłonął w siebie Moc tego wielkiego Płomienia. Nawet kiedy został rozbity, nie przestał istnieć, ponieważ nie ma takiej mocy, która zniszczyłaby jego magię. I oto jeden z odłamków wstrząsy skorupy ziemskiej wyrzuciły na powierzchnię...

- A pozostałe?! - jednocześnie zakrzyknęli Folko, Sandello i Forwe.

- Pozostałe... Pozostałe leżą pogrzebane w trzewiach Ardy.

- Ale dlaczego musimy tylko ten jeden zniszczyć? - wychrypiał Sandello.

- Dlatego, że do pozostałych nie zdołamy dotrzeć. A one nie ujawniają się - są jakby pogrążone w wiecznym śnie. A Płomień tego Kamienia obudził się. Henna, na swoje nieszczęście, zdecydował, że nadeszła chwila, kiedy może zapanować nad całym światem...

- A... ty... możesz... uratować... Olmera? - zapytał ochryple Sandello. Oessie- Tubala cicho popłakiwała nad ciałem ojca.

- W tym świecie, nie - padła odpowiedź. - Valarowie szczodrze wyposażyli go w moc... niezbędną do pokonania Henny, któremu Adamant dał niemal całkowitą odporność na rany. Moc ta została zużyta, ale dusza Olmera jeszcze nie rozstała się z ciałem. I jeśli uda się nam...

- Co należy zrobić?! - krzyknął garbus.

- Musimy dotrzeć do Morza. Tam wsiądziecie na okręt... i wyruszymy na Zachód. Nie mamy czasu... Ja będę żaglem na „Rybołowie".

- Ale, Wielki... - odezwał się Folko. - Tak wyraźnie mówiłeś nam dziesięć lat temu... że nie wmieszasz się w wojnę...

- A teraz wtrąciłem się i przestałem być chroniony, ponieważ stanąłem po waszej stronie. W Valinorze czeka nas okrutna walka... Ale lepiej na razie o tym nie myśleć. Nie pomogą nam tam armie! Kto idzie z nami? Uprzedzam - drogi powrotnej może nie być.

- Ja! - Sandello wystąpił pierwszy.

- I ja! - rozbrzmiał drżący od łez głos Oessie.

Folko, Torin i Malec wymienili spojrzenia. Wyglądało, że pościg za Adamantem kierował ich w odległe od Śródziemia strony... Tak odległe, że być może bez powrotu...

- Ttrzeba... - wykrztusił z trudem Folko. Poczuł nagle, że nie pragnie niczego innego, jak wrócić do domu.

- To ty odzyskałeś Adamant - odezwał się Wielki Orlangur, patrząc mu prosto w oczy. - Twoje ostrze przerwało żywot tej, której imię niech pozostanie dla ciebie tajemnicą. Tylko ty możesz być powiernikiem Adamantu.

- No to... idę - zdecydował się Torin.

- Gdzie dwaj - tam trzeci! - wzruszył niedbale ramionami Malec.

- A Eowina? - zapytał krasnoludy Folko. Przed bitwą zostawili dziewczynę w obozie. - Co z nią, żyje?...

Wielki Orlangur zastanawiał się krótką chwilę, zanim udzielił odpowiedzi.

- Wszystko w porządku. Wojsko Henny rozproszyło się... Eldringowie wracają do obozu.

- A nasze wojsko? - zapytał zaraz garbus.

- Czeka na swojego wodza. - Hobbitowi wydało się, że w głosie Ducha Wiedzy zabrzmiała ironia. - Nie martw się, czcigodny Sandello, w jego szeregach jest człowiek... który wyprowadzi wojowników z Haradu.

- Kim on jest? - Garbus wytrzeszczył oczy na Smoka.

- Zwą go Eodreid z rodu Eorlingów.

Folko i krasnoludy otworzyli ze zdziwienia usta.

Elfy ponuro milczały.

- Tylko, co my możemy zdziałać przeciwko całej potędze Valarow? - zapytał Malec. - Czy jesteśmy równi Bogom? Czy możemy przepalać spojrzeniem skały lub zmieniać bieg rzeki jednym ruchem ręki?

- Nie, nie staliście się równi Bogom. - Złoty Smok odpowiadał poważnie, jakby nie zauważał ironii. - Ale nie mamy wyboru. Postaram się powstrzymać Valarow... A wy będziecie mieli do czynienia z ich sługami.

- To znaczy z kim? - zapytał Forwe podejrzanie skrzypiącym głosem.

- Obawiam się, że z twymi współplemieńcami, przezacny książę - odpowiedział spokojnie Smok. - Vanyarowie, Teleri... może również Noldorowie...

- Nie możemy... podnieść broni na braci krwi... - rzekł Maelnor.

- Więc zostańcie tu - odpowiedział spokojnie Duch Wiedzy. - No, koniec! Czas upłynął.

Opowiedziawszy wam wszystko, trąciłem raz jeszcze Szale... Ale nie było innego wyjścia. Adamant kosztował was wiele, bardzo wiele... - Szponiasta łapa wskazała martwego Naugrima. - Jego nie uratują już nawet Drzwi Nocy...

- Musimy pogrzebać zabitego! - odezwali się natychmiast Torin i Malec.

- My go pogrzebiemy... według obyczaju Spalonych Krasnoludów - oświadczył Smok. - Niewysoczku Folko! Wydaj rozkaz Adamantowi.

- Ja?! - zapytał zaskoczony hobbit.

- Ty, ty! Przypomnij sobie - walczyliście ręka w rękę. Czyżbyś chciał odmówić towarzyszowi walki ostatniej posługi?

- Ale ja... Ja nie władam magią Kamienia...

- A myślisz, że Henna władał? Po prostu pomyśl, co należy wykonać... i już. I pośpiesz się!

Folko wstał. Pokryty ciepłą krwią Adamant świecił miękkim światłem. „Co mam uczynić, śmiercionośna zabawko Bogów? No, nie przeciągaj, Naugrim czeka na ognisty pogrzeb, godny Spalonego Krasnoluda!".

Kamień odezwał się natychmiast. Z jednej z jego krawędzi oderwała się oślepiająco biała błyskawica; wściekły ogień natychmiast ogarnął ciało Naugrima, zmieniając je w popiół, nie zostawiając niczego, pożerając nawet mithril i stal rynsztunku. Ogień pochłaniał ziemię. Wszyscy, zakrywając rękami twarze, odstąpili o kilka kroków - wszyscy poza Folkiem i Wielkim Orlangurem. Wraz z ciałem Czarnego Krasnoluda w popiół zmieniły się ciała wysłanników Valinoru, Milloga i psa...

Hobbit miał wrażenie, że przed oczami przemknął mu jakiś cień, gdy ogień dotarł do ciała zwierzęcia, i zauważył dziwny wyraz oczu Wielkiego Orlangura...

Płomień przestał szaleć, dopiero gdy na szczycie wzgórza została tylko naga wyżarzona skała.

- Teraz - w drogę! - polecił Wielki Orlangur. - Wchodźcie na mój grzbiet. Migiem dolecimy do wybrzeża... a ja wrócę po pozostałych.

- Czyżby Duch Absolutnej Wiedzy postanowił zbezcześcić siebie... - zaczął Forwe, ale Złoty Smok przerwał mu gwałtownie:

- Dziś jest taki dzień, że należy o wielu zasadach zapomnieć!... I zapoznaj nas wreszcie ze swoją decyzją, książę!...

Elfy spochmurniały jeszcze bardziej.

- Przygotowywaliśmy się do wyprawy do Valinoru... ale nie sądziliśmy, że to nastąpi

tak szybko. - Forwe opuścił głowę. - Nie mogę nakazać niczego moim towarzyszom... Ale ja sam idę do końca. Jeśli padniemy, niech kara dosięgnie tylko mnie.

Po tych słowach Amrod, Maelnor i Bearnas, mimo ran, zdecydowali się iść z księciem.

Wielki Smok wyciągnął do hobbita swą straszliwą szponiastą łapę.

- Czas - powiedział. - Musimy iść wszyscy razem...

Uderzyło w twarze ciepłe nocne powietrze. Razem z Folkiem, rzecz jasna, wybrali się Torin i Malec.

- Do obozu! - zakrzyknął hobbit. Czuł, że jego serce zamiera, że brakuje mu oddechu, wydało mu się, że za chwilę odpadnie i poleci w dół. - Tam jest Eowina!

- Jesteś pewien, że będzie chciała porzucić swój Rohan? - Smok zerknął z ciekawością na hobbita.

- Nie jestem! Ale nie możemy jej zostawić!

- Oczywiście, że nie. Powiedziałem ci o Eodreidzie nie bez kozery. Uciekł z Rohanu, przyłączył się do Eldringów i, wcale tego nie chcąc, znalazł się w armii Olmera. Potomek Boromira odchodzi z tego świata, jego armia zostaje bez wodza... Eodreid nie opuści takiej okazji. Może zostawmy dziewczynę z nim?

- Nie! - wyrwało się hobbitowi. Speszony własnym rozgorączkowaniem dodał szybko: - Musimy ją... tego, najpierw zapytać...

- Znam jej odpowiedź - odparł Wielki Orlangur ze smutkiem - tak to odebrał hobbit - i gwałtownie zanurkował ku ziemi. Folko ostrożnie zerknął w dół. Lądowali obok obozu Eldringów... Farnakowi udało się wyprowadzić ocalałych do obozu.

Stary tan znieruchomiał, widząc w ręku hobbita lśniący kamień.

„Żeby wynagrodzić Eldringów, oddam im kilka haradzkich skarbców” - przypomniał sobie hobbit słowa Wielkiego Orlangura. Złoty Smok opadł na ziemię w pewnej odległości od obozu, by nie płoszyć swym widokiem wojowników. Torin i Malec odciągnęli Farnaka na bok, a hobbit pomknął do obozu szukać Eowiny.

Zawinięty w opończę Adamant palił go w dłonie nawet przez metalowe rękawice.

Znalazł Eowinę stojącą na samym skraju obozu. Zacisnąwszy dłonie w piąstki, dziewczyna wpatrywała się w miejsce, gdzie za lasem właśnie opadła ognista smuga.

Folko zawołał ją cicho. Eowina odwróciła się gwałtownie, jej złociste włosy zawirowały, niemal otulając sobą dziewczynę; wydała okrzyk taki, jakim od wieków witają żony i narzeczone wracających z pola walki wojowników:

- Wróciłeś!...

Gdyby nie Adamant, pewnie rzuciłaby się hobbitowi na szyję.

- Udało się... - szepnęła, nie spuszczając wzroku z Kamienia. - A teraz dokąd, mistrzu Holbytlo? Do Orodruiny?

- Nie, Eowino. - Folko poczuł dławienie w gardle. „Co on robi, dokąd idzie”? - Dalej. Znacznie dalej.

- Dokąd więc?

- Za Morze. Do Valinoru! I... jeszcze dalej.

Milczała. Po zmęczonej, wychudłej twarzyczce płynęły łzy. Zrozumiała wszystko, po pierwszym słowie.

- Idę z tobą. Nie chcę się z tobą rozstawać. Słyszysz? Tym razem nawet zapomniała nazwać hobbita mistrzem Holbytlą.

Pogrzebali zabitych. Ciała Wingetora i Ragnura zniknęły w płomieniu uczciwego stosu pogrzebowego; Eldringowie wierzyli, że ich dusze wędrują do Morskiego Ojca. O ile nie zasmucali go swym postępowaniem w ciągu życia.

Folko nie płakał. W oczach nie widać było łez. Nie po raz pierwszy uczestniczył w pogrzebie przyjaciół i towarzyszy. Przecież w tej wojnie... Hjarridi... Ragnur, ratujący ich podczas wędrówki po Haradzie... Wingetor, który chyba najwcześniej dostrzegł niebezpieczeństwo, grożące z Południa. A ilu ludzi padło jeszcze wcześniej... Teofrast... Atlis... Rogwold... Teraz dołączył jeszcze Naugrim...

Straty, straty, straty... Ile i jakie przyjdzie jeszcze ponieść, póki trujący płomień Adamantu nie przestanie wypalać cierpiącej ziemi?

3

3 Marca, Brzeg Haradu

Stali na pokładzie „Rybołowa”. Niewielki okręcik zabitego Wingetora był pusty. Eldringowie przyłączyli się do drużyny Farnaka - nie zamierzali przed czasem opuszczać tego świata.

Folko siedział nieruchomo na rufie, wpatrując się w pokryty zaroślami brzeg.

„Żegnaj, Śródziemie. W dziwnym towarzystwie przyszło mi cię opuszczać... Ranny Olmer, najgorszy wróg, Oessie- Tubala, zapewne nie porzuciła zamiaru wyprucia ze mnie flaków, Sandello, którego ręka omal nie wyprawiła mnie do Błogosławionych Królestw... I elfy księcia Forwego!”.

- Jesteśmy przykuci do tego świata - odezwał się cicho książę, jakby podsłuchawszy myśli hobbita. - Stwórca dał nam nieśmiertelność... Ale skazał na wieczną niewolę Ardy. W Komnatach Mandosa oczekuje Drugiej Muzyki wielu moich towarzyszy... Chciałbym zajrzeć do nich, nie rozstając się przy tym z ciałem. - Uśmiechnął się. - Powiadają, że tam do tej pory przebywa wielki Feanor... Bardzo bym chciał się z nim spotkać!

- Jeśli dojdziemy do tych Komnat, sądzę, że będziemy mieli na głowie inne zmartwienia, elfie - usłyszeli chłodny głos Sandella.

Forwe odwrócił się, obdarzając garbusa smętnym uśmiechem.

- Nasze zmartwienia skończą się na brzegu Amanu, wojowniku.

- Dlaczego? - zdziwił się hobbit.

- Czy naprawę sądzisz, że Moce Morza pozwolą nam, tak po prostu, spacerować po Valinorze? Nie będę zdziwiony, jeśli spotkają nas już przy Samotnej Wyspie. Wszystko się rozstrzygnie jeszcze przed Komnatami Mandosa, Folko.

- Sądzisz, że możemy stawić czoło Tulkasowi?

- Nie, mój miły hobbicie, nie. O ile dobrze zrozumiałem, wszystkich Valarow bierze na siebie Złoty Smok... Choć grozi mu to zgubą. My mamy tylko donieść Adamant do Drzwi Nocy... a co dalej, nie wie nawet Eru.

- Nie ukrywamy się - zauważył Sandello. - A jeśli wróg wyprzedzi nasze uderzenie?

Forwe wzruszył ramionami.

- Miejmy nadzieję, że to nastąpi gdzieś na resztkach Prostej Drogi... I że mocy Eru

wystarczy, by zniszczyć Adamant.

- Coś mi tu nie pasuje - rzekł z półuśmiechem garbus.

- Nie mamy wyboru - odparł beznamiętnie książę.

Przerwali rozmowę. Nad lasem nieoczekiwanie pojawił się szybki, skrzydlaty cień; drobinki promieni wschodzącego słońca osiadły na złotych łuskach Wielkiego Smoka.

- W drogę! - rozległ się jego potężny głos. Dawniej Orlangur zwracał się do rozmówcy w myślach, teraz mówił zwyczajnie, jego słowa mogli usłyszeć wszyscy.

- No, to do dna! - Malec wychylił zawartość kubka. To były resztki z ostatniej beczki gondorskiego piwa. Teraz pewnie długo nie będzie czym się uraczyć...

Torin milczał.

Krasnoludy, hobbit, Eowina, Sandello, Oessie, nieprzytomny Olmer, wciąż na granicy życia i śmierci, książę Forwe, Amrod, Maelnor i Bearnas - oto i całe wojsko, które wyruszyło na szturm cytadeli Bogów! Co prawda, był jeszcze Wielki Orlangur; Folko chciał wierzyć, że to wyrównuje szansę.

Złoty Smok opadł na wodę przed dziobem „Rybołowa", statek zakołysał się. Na potężnej szyi Orlangura hobbit zauważył ciemny pierścień chomąta.

- Liny! - rozkazał Duch Wiedzy, podpływając bliżej. Czas, by wycisnąć z tego ciała tyle, ile się da...

Do chomąta przywiązano sześć lin grubych na męskie ramię, plecionych ze skóry wieloryba. Orlangur poruszył szyją, sprawdzając wytrzymałość węzłów.

- Gotowi? - rozległ się jego głos. - Odchodzimy ze Śródziemia. Nie ma powrotnej drogi. Co prawda, może wkrótce pojawi się jeszcze jeden towarzysz...

Nikt się nie odezwał. Eowina drgnęła i jej ramię przywarło jeszcze mocniej do ramienia hobbita.

- Powiedz nam... Powiedz nam, kiedy wkroczymy na Prostą Drogę... - poprosił nieoczekiwanie Malec.

- Dobrze - rzucił Duch Wiedzy, jednym mocnym ruchem rozwijając skrzydła. W mgnieniu oka Złoty Smok wzleciał nad wodę - liny napięły się, przed dziobem „Rybołowa" bryznęły zwały piany i okręt szybciej niżby gnany sztormowym wiatrem śmignął przed siebie. Wiosła i żagle zostały schowane, podróżnym nie pozostało nic innego, jak pożegnać spojrzeniem coraz bardziej oddalający się brzeg Haradu.

Sandello zgrzytnął zębami.

Eowina cicho płakała.

Hobbit słyszał to.

Na pokładzie hulał okrutny wiatr. Złotego Smoka nie niosły skrzydła - ani skrzydła, ani mięśnie nie mogłyby dać aż takiej szybkości. Ducha Wiedzy popychały inne Moce. Dziób okrętu ginął w białej pianie. Pędzili na Zachód.

Ot i wszystko. Za nimi Śródziemie. Pewnie smagły Khandyjczyk Ragnur, gdyby był teraz, zacytowałby jakiś odpowiedni do sytuacji czterowiersz. Ale Ragnur już dawno pożegnał świat żywych, a hobbitowi język przywarł do podniebienia.

Ot i wszystko. Za nimi Śródziemie. Nie dostało się Nieziemskiemu Mrokowi, nie dostało się Wiecznemu Światłu... Nie zalała go ciemność, nie zniknął jego duch pod gniewnymi falami morza; powstał nowy Arnor Easterlingów, ale zachował się stary Gondor, i, przewidywał Folko, królowie Minas Tirith odbudują swoje miasto, choć może nie będzie tak piękne jak kiedyś, może też zaczną Wojnę o Odtworzenie, usiłując przywrócić sobie stare ziemie państwa Aragorna... Rohan odbuduje się, i Eodreid, nie wątpił hobbit, wróci na tron. Wspólny język znajdą w końcu Hazgowie, Heggowie, Howrarowie, Rohirrimowie, mieszkańcy posępnego Dunlandu, i nawet orkowie. Stworzą swoje królestwo Dorwagowie, zaleczy rany Harad i nawet nieszczęśni Taregowie, na których Henna dokonał straszliwej masakry, wrócą do normalnego życia. Wszystko będzie jak dawniej. Zabraknie tylko tych wojowników, którzy stoją w tej chwili na pokładzie „Rybołowa". Śródziemie nauczy się żyć bez nich.

Nikt się nie odzywał. Za nimi nad mglistym wschodnim horyzontem pojawiło się słońce, ale chyba nie nadążało za szybszym od błyskawicy Orlangurem. Dokoła nie było nic tylko bezkresna płaszczyzna szarego morza.

Hobbit nadal nie mógł uwierzyć w to, co się wydarzyło. Pędzą do Valinoru! Do tajemniczego Tirionu, do tronu samego Manwe... Tam, gdzie przebywa Najwyższa Moc tego świata, Moc, wobec której niczym jest cała Moc Saurona czy nawet Morgotha. A oni rzucili wyzwanie tej niezwyciężonej, niepokonanej Mocy...

„Może jednak wszystko skończy się pokojowo? Mądrzy, szlachetni Valarowie zgodzą się uchylić dla nich Drzwi Nocy... I fatalny Kamień poleci w wieczną otchłań. A potem... potem wszystko będzie dobrze, nadzwyczajnie dobrze".

„Przypomnij sobie Earendila. Nie pozwolono mu wrócić do Ziem Śmiertelnych, choć był posłem Dwu narodów. Jego domem stał się pokład. Wątpię, by pozwolono wrócić i wam... Nawet jeśli wszystko stanie się tak, jak ci się marzy".

„A co mogą nam zrobić? Zabić"?

„Po co? Nie trzeba wcale nikogo zabijać. Wystarczy wieczna niewola. Podobna do tej, w jakiej przebywa Ar- Farazon i jego wojownicy, którzy mieli odwagę postawić stopę na ziemi Amanu. I jakoś nie chce mi się wierzyć w szlachetność Valarów, po tym jak zatopili Numenor, nie dzieląc jego ludzi na winnych i niewinnych...".

„Ale Elendeil"...

„Elendeil - tak. A dzieci i kobiety Numenoru? Nienarodzone dzieci w łonach matek? Czym zawiniły one?... I nie zapominaj o wysłannikach Valinoru. Czy usiłowali zawładnąć Kamieniem w uczciwy sposób"?

„Mogli upaść tak samo jak Saruman. Dążyli do zawładnięcia Adamantem"...

„Może. Ale Bogowie, jak mi się wydaje, nie bardzo chcą wnikać w życzenia Śmiertelnych. Oni rządzą... jak mogą. I dlatego bądź przygotowany - spróbują zatrzymać nas siłą".

Spór hobbita z samym sobą przerwały dochodzące przez świst wiatru słowa Wielkiego Orlangura:

- Trzymajcie się mocniej! Osse chce sprawdzić, jak mocny jest „Rybołów"!

Niebo błyskawicznie ściemniało. Zachodni wiatr pędził kosmate chmury. Fale piętrzyły się coraz wyżej i wyżej, jakby podporządkowane czyjemuś rozkazowi. Dziób „Rybołowa" zarył się w niespodzianie powstały z nich wał, okręt zalewała woda.

- Pod pokład! - polecił Sandello.

„Rybołów" stał się żałosną zabawką morza i wichru. Gdyby nie Złoty Smok, poszliby na dno w kilka chwil. Ryczący sztorm wypełnił wszystko, wzbijając fale pod niebo. „W burzach cała radość Ossego"...

W ładowni już gromadziła się woda.

- Chciałbym wiedzieć, na co czekają - odezwał się beznamiętnie Malec. - Wysłaliby kamienie czy coś innego, co zmiażdżyłoby brzuch „Rybołowa"...

- To się raczej Ossemu nie uda - odezwał się Forwe. Władza Orlangura jest wielka... Majar, nawet jeden z ulubieńców Ulmo, nie powstrzyma go. Zresztą, po co? Zostaliśmy po prostu uprzedzeni. Wysłannicy Valinoru powinni byli dostarczyć Adamant do podnóża Taniquetilu, tak? My też zmierzamy w tamtym kierunku! Zatem, po co mają nam przeszkadzać?

- Skąd więc ten sztorm? - zapytał Sandello. Garbus siedział obok przywiązanego do leżaka Olmera.

- Uprzedzają nas, byśmy nie liczyli na przyjemny spacerek.

- To głupie. - Miecznik z pogardą wzruszył ramionami. - Jeśli chcesz na kogoś uderzyć, nie powinieneś go o tym uprzedzać.

- Może to propozycja, byśmy się poddali? - podsunął Maelnor.

- Ciekawe, jak możemy to zrobić? - prychnął garbus.

Sztorm nie cichł długo, bardzo długo. Deski jęczały pod uderzeniami fal, ale zwinny „Rybołów" był zbudowany przez wspaniałych szkutników.

A potem nagle, w jednej chwili ryk fal ustał.

- Prosta Droga - usłyszeli słowa Wielkiego Orlangura.

Nie zmawiając się, wszyscy wyskoczyli na pokład; przy leżącym bezwładnie Olmerze pozostali Sandello i Oessie.

Okręt płynął w gęstej jak kisiel połyskującej mgle... Przez perłowobiałą kurtynę ciągnęło się pionowo sześć grubych, czarnych lin.

Z wolna mgła rzedła. O burty „Rybołowa" cicho uderzały fale. Różne księgi różnie opowiadały o Prostej Drodze. Folko wychylił się przez burtę - woda, zwyczajna woda.

- Może wcale nie jesteśmy na żadnej Prostej Drodze? zapytał Malec.

- Jesteśmy - odezwał się, machający bez chwili przerwy skrzydłami, Złoty Smok. - Jesteśmy już na niej. A woda pod „Rybołowem" jest wodą Nietutejszych Mórz.

- Ale powinniśmy zobaczyć zmniejszającą się Ardę! - zaprotestował hobbit.

- Zobaczymy. Wkrótce. Lecz nie radzę za długo się wpatrywać! Lecimy szybciej od elfickich okrętów. Wkrótce pojawi się przed nami Samotna Wyspa. Nie mamy tam nic do roboty, ale jej mieszkańcy mogą mieć coś do nas. Nie chciałbym, by doszło do przelewu krwi.

Wielki Orlangur, jak zwykle, miał rację. Powoli przez warstwę szarych wód można było dojrzeć zarysy olbrzymiej kuli, błękitnej, z dziwnymi białymi wzorami.

- Arda... - szepnął oczarowany Malec, niemal zwaliwszy się przez burtę.

Folko też wytrzeszczał oczy. Jakże dziwnie urządzony jest świat! Jest w nim miejsce i na Wielkie Schody, i Ungoliant, i na Korzenie Ardy, i na tę kulę - proste miejsce zamieszkania Żywych. Jest w nim miejsce na wszystko - i tylko Adamant musi odejść.

Powoli, powoli kula zmniejszała się. A o burty jak poprzednio pluskała woda.

Nie wiedzieli, ile minęło czasu. Bez chwili przerwy wznosiły się i opadały skrzydła Złotego Smoka. Kraina Wiecznego Świtu zbliżała się.

„Folko! Folko! Słyszysz mnie, hobbicie"? - Znajomy, znajomy starczy głos! Jakże dawno go nie słyszał... Stary Olo... To znaczy Gandalf.

„Słyszę cię"! - Nie było sensu się ukrywać.

„Zatrzymaj się, głupi hobbicie! Zatrzymaj! W towarzystwie Zła idziecie do Błogosławionych Królestw. Czyżbyś ty, który powstrzymał Olmera, stanął teraz po jego stronie i wspomagał wykonanie jego szalonych i krwawych planów”?

„Przecież wiesz, po co idziemy do Valinoru”.

„Wiem! Olmer dyszy żądzą zemsty! Chce rozpalić płomień wojny w samym sercu praojczyzny elfów!... On”...

„Praojczyzna elfów jest w Śródziemiu. Na Wodach Przebudzenia” - przerwał Folko wypowiedź niewidzialnego rozmówcy.

„To nie jest ważne! Od wielu wieków ich ojczyzną jest Valinor! A ten Kamień, który niesiecie ze sobą, może wyrządzić wiele zła Błogosławionym Królestwom!”.

„Posłuchaj mnie - nie wiadomo dlaczego Folko zupełnie nie bał się tego widmowego głosu. Wiedział, czego musi się twardo trzymać. I wiedział, że nie ma już odwrotu. - Posłuchaj mnie uważnie, Majarze. Teraz chcemy tylko dojść do Drzwi Nocy. Walczyć z Valarami”...

Rozległ się stłumiony chichot.

„Nie należy za bardzo liczyć na waszego Smoka. Pamiętam, że jednego bardzo zarozumiałego jego współplemieńca wykończył sam Earendil, drugiego Turin Turambar, a trzeciego - strzała prostego łucznika Barda”...

„Ja nie rozumiem, po co w ogóle musimy walczyć. Pozwólcie nam spokojnie przejść i w Valinorze nie zostanie przelana ani kropla krwi”!

„Nie rozumiesz - dało się słyszeć westchnienie. - Twój Smok też nie rozumie”...

„Mylisz się, Szary” - wtrącił się bezceremonialnie Złoty Smok do niesłyszalnej dla innych rozmowy.

„O!... Czy to znaczy, że jesteś teraz zdolny i do takich rzeczy”?! - Gan... Nie, raczej Olorin, uśmiechnął się.

„Owszem. I chciałbym, żebyś to zrozumiał. Nie jestem wrogiem Valarow. Mogłeś przekonać się o tym dawno, bardzo dawno temu... Ale wolałeś wierzyć słowom Kurunira!”.

„Którego taszczysz ze sobą. Dla ciebie to nowina, nieprawda, Folko?”.

Hobbit ze zdziwienia otworzył usta. Chociaż - rzeczywiście... Orlangur coś mówił o jeszcze jednym wędrowcu...

„Im bliżej do Valinoru, tym szybciej zmienia się ciało Kurunira - odparł spokojnie Orlangur. - Zamknięty w ciele psa, odkupił swą winę. I powtórnie przyjął śmierć męczennika. Od dziś jest wolny. Zatem - czego nie rozumiem?”.

„Nie rozumiesz, że Światło Adamantu w rękach Wielkiego Manwe czyni cuda! Być

może uda nam się zaleczyć rany zadane Ardzie w trakcie długiej wojny najpierw z Melkorem, a potem Sauronem. Właśnie dlatego do Śródziemia udali się wysłannicy... i sporo sił Valarow zostało włożonych w tę wyprawę do Ziem Śmiertelników!".

„Wiesz, że to nieprawda - odrzekł Orlangur. - Zapomniałeś o ryzyku. Moc Valarow zmieniła się z upływem lat. Ponieważ na świecie wszystko się zmienia. Raczej nie mogą oni teraz opanować Płomienia, który kiedyś sami włożyli do Wielkiego Pucharu. Może uważają, że nadszedł czas na Drugą Muzykę? Nie dopuszczę do tego, przecież wiesz. Ale jeśli twoi władcy zgodzą się wysłuchać mnie... pokażę im to, co jest niedostępne nawet dla nich, ponieważ Valarowie, tak jak i ukochane przez nich elfy, są przykuci do Ardy i wielu rzeczy spoza jej granic zobaczyć nie mogą".

„Przekażę twe słowa Wielkiemu Manwe. - W głosie Olorina rozbrzmiał metal. - Oczekujcie jego decyzji!".

„Nie. Nie mamy czasu. Niech ten, którego nazywasz Wielkim Manwe, okaże swą mądrość i nie przeszkadza nam. Gdy moi druhowie będą stali na progu Drzwi Nocy, ja stanę na Wzgórzu Ezellohar i pokażę Valarom to, co jest ukryte przed ich spojrzeniem. Według mnie to jest sprawiedliwe".

„Przekażę twe słowa Wielkiemu Manwe" - powtórzył Olorin. Policzek hobbita musnął lekki, chłodny powiew. Gość z Valinoru zniknął.

Folko potrząsnął głową. Co za historia! Olorin... Kurunir...

„Rybołów" ciągnięty przez potężnego Smoka udowadniał, że zasługuje, by się tak nazywać - mknął po szarej gładzi. Przed nimi nagle zgęstniał mrok i Folko usłyszał głos księcia Forwego:

- Samotna Wyspa...

Hobbit tylko kątem oka zobaczył kryształowe wieże, wznoszące się niczym widma nad szarą ziemią. Na nadbrzeżach, do niedawna jasno oświetlonych, szybko gasły ognie. Wyspa wyraźnie szykowała się do walki... chociaż nikt nie zamierzał jej atakować.

- Szkoda - rzucił Malec. - Zawsze chciałem tam wpaść... policzyć się z niektórymi zuchwalcami z Doriathu...

- Czyś ty oszalał! Jaki Doriath? Na Samotną Wyspę odeszły resztki Noldorów, a Thingol - jeśli o niego ci chodzi - od dawna jest w Valinorze...

- A hobbici? Też tam są? - Folko jakby nie zwracał się do nikogo w szczególności, ale Duch Wiedzy uznał, że powinien odpowiedzieć.

- Raczej nie. Żyli w Valinorze długo, ale nieśmiertelność nie była im dana. Mieli

natomiast prawo odejść na życzenie. Nie wiem, czy spotkałeś któregoś z nich... Mogę się dowiedzieć... ale wkrótce sami będziemy w Valinorze.

Eressea przepływała obok nich, pogrążając się w szarej porannej mgle. Słońce wstawało nad horyzontem, wstawało i nie mogło wstać.

Folko czuł, że nie będzie mu dane po raz drugi przyjrzeć się tym brzegom. Przypomniał sobie dar Drzewobroda i zrobiło mu się żal, że zaginął, i że nie udało mu się tak naprawdę z niego skorzystać. Widocznie Stary Ent też coś przewidywał i starał się pomóc, jak mógł.

Kurunir wrócił do ludzkiej postaci, gdy Samotna Wyspa zniknęła z oczu, a na zachodnim horyzoncie zarysowały się olbrzymie ściany Gór Czarnych. Wielki Orlangur nie zwalniał...

...Starzec ze złamaną laską w prawej ręce ciężko runął na deski pokładu. Wypowiadał niewyraźnie jakieś słowa. Wydawało się, że wciąż jeszcze tkwił w tym straszliwym dlań dniu, kiedy Gandalf Szary połamał symbol jego czarodziejskiej mocy, ogłosiwszy, iż Saruman Biały stracił barwę i jest wykluczony z bractwa Istriach.

- Hej, a to co? - zapytał bezceremonialnie Malec, na wszelki wypadek chwytając za miecz.

- Poczekajcie! - zakrzyknął Folko. - Wydaje mi się... Biała Ręka!

...Długie lata spędził Kurunir w postaci psa, szczerze i oddanie służąc Olmerowi. I gdy ten wynurzył się spoza Drzwi Nocy, czyjaś wola (teraz wiadomo czyja) nakazała nie odstępować swego pana nawet o krok. Nie mógł wtedy pojąć dlaczego. Widocznie Valarowie przewidzieli, że ktoś taki jak Olmer może im się przydać... I rzeczywiście - przydał się. Kto wie, czy Okrutny Strzelec został ułaskawiony z powodu Adamantu, czy z innego powodu? Nie wiadomo...

A gdy on, Saruman, ginął kolejny raz - i tak bolało to wściekle. Millog okazał się być nadzwyczaj trudny do zabicia - jego ręka zadała cios, gdy szyja już stała się krwawą miazgą, w jaką zmieniły ją kły psa- Kurunira...

Ale duch powtórnie zabitego rywala Gandalfa nie opuścił Śródziemia. Powstrzymany przez potężną magię Wielkiego Orlangura pozostał tu. I niewidzialny wszedł na pokład „Rybołowa", by powrócić do ludzkiej postaci nieopodal Valinoru.

- Będziemy walczyć? - zapytał rzeczowo Saruman, podrzucając i chwytając laskę. - Mam tam dłużników... tam, za tymi górami...

- Walczyć będziemy tylko w ostateczności - mruknął Malec.

- Tam jest w końcu... sam Machal... - powiedział trochę niepewnie Torin.

- Mam nadzieję, że wystarczy mu rozumu, by się nie wtrącać - rzekł szyderczo Saruman.

Elfy milczały ponuro. Nawet książę Forwe opuścił głowę.

Nie zauważyli nawet, jak przed nimi pojawiła się ogromna arka, służąca za wrota do przystani. „Rybołów" przedarł się przez nią... i dopiero teraz Orlangur zwolnił prędkość lotu.

Wzdłuż nadbrzeży przycumowane były okręty. Długie, piękne okręty, piękne nie z powodu drogocennych ozdób, ale piękne z powodu proporcji, konturów, linii. Mola świeciły pustkami. Nie widać było żywego ducha. Widocznie Teleri opuścili Łabędzią Przystań, podporządkowując się rozkazom Valarow.

Nikt nie przeszkodził im, gdy wychodzili na stare kamienie portu. Folko rozglądał się we wszystkie strony. Serce waliło mu tak, że wydawało się, iż za chwilę wyskoczy z piersi. Jest w Valinorze! W Valinorze! Zobaczy ten dziw nad dziwy... I, być może, złoży tu swą głowę.

Orlangur szybko uwalniał się z chomąta.

- Naprzód! Nie możemy tracić czasu. Droga do Drzwi Nocy jest daleka.

Nieprzytomnego Olmera na noszach nieśli Sandello i Oessie. Nikogo innego do pana i ojca nie dopuszczali. Palce Wodza ciągle zaciśnięte były na rękojeści Czarnego Miecza.

Złowieszcza cisza przywitała oddział. Przemierzyli ulice portowego miasta i Folko poczuł, że w tej chwili pragnie śmierci, albowiem nigdy już nie będzie mógł żyć, nie mając przed oczami takiego piękna. Ogrody i pałace, pałace i ogrody - wydawało się, że każdy elf żyje tu jak król.

Saruman coś mamrotał pod nosem, rzucając złe spojrzenia to na jeden dom, to na drugi.

- O Wielki! - nie wytrzymał w końcu. - Pozwól mi...

- Nie! - Podobny do grzmotu ryk Wielkiego Smoka wstrząsnął, rzec by można, wieżami. - Przyszliśmy tu z pokojem. Jeśli nas zaatakują - będziemy walczyli. Ale tylko jeśli zostaniemy napadnięci!...

Kurunir poruszył wargami, a Folko dosłyszał część wymamrotanych słów:

- Mała cząstka Ognia Orthanku wcale nie byłaby tu nie na miejscu...

Miasto zostało za nimi. Wspaniała droga, obramowana wiecznie zielonymi zaroślami, prowadziła dalej na zachód przez przełęcz Kalakirya do Tirionu na Tunie. Powinny tu znajdować się czujne straże, pilnujące przejścia... Ale oddział poruszał się bez najmniejszych przeszkód.

Pelori sprawiały wstrząsające wrażenie. Ich gładkie, niczym w szkle wycięte ściany wspinały się na oszałamiającą wysokość. Za plecami wędrowców potężniało światło poranka, i

długie cienie pośpiesznie maszerowały przed nimi. Oddział nadal otaczała straszna, aż hucząca cisza.

- Wydaje się, że Valarowie spełniają nasze warunki - wykrztusił Torin. Spod przyłbicy hełmu strumieniem płynął pot, mimo że dokoła panował miły chłód.

- Valarowie nigdy nie spełniają czyichś warunków - powiedział Wielki Orlangur. - To oni stawiają warunki innym. Ale skoro nic się nie dzieje, to znaczy, że sprawy toczą się według ich planu. Przy okazji - pamiętacie, że Yarda i Manwe widzą każdy nasz krok i słyszą każde nasze słowo?

- Nie mamy czego się obawiać! - rzucił zuchowato Malec. - My tu nie przyszliśmy walczyć. A jakby poczęstowano nas jeszcze kufelkiem piwa - dopiero zacząłbym szanować gospodarzy!

Szli i nie odczuwali zmęczenia; a długie zazwyczaj mile tu były krótkie. Minęli Tirion na Tunie, lecz wspaniałe miasto było puste, a diamentowy uliczny pył osiadał na ich butach. Folko przysłonił oczy dłonią - to piękno aż bolało, porażało.

- Teraz rozumiem, dlaczego nie dopuszczano tu Śmiertelnych - wyszeptał. - Nie powinniśmy widzieć takiego piękna, wszak nigdy nie zdołamy stworzyć czegoś nawet podobnego...

- Hę, hę! Mylisz się - wtrącił szyderczo Saruman. - Przebywając w Świecie, Valarowie nie mogli nie wiedzieć, że Śmiertelni będą chcieli zobaczyć Błogosławione Królestwa. Dla siebie stworzyli przytulny Valinor, jak zwykli ludzie, budując domy według swego gustu. Ale zapomnieli, że NIE są ludźmi. I NIE są elfami. I nawet NIE są Majarami. Stworzyli więc coś Najdalszego... A skoro najdalsze, to i nieosiągalne, zakazane. A skoro zakazane... Sam wiesz, jak się skończył Numenor.

W milczeniu minęli wielki Tirion. Minęli, nie napotkawszy po drodze żywego ducha. Wszystko jakby wymarło w błogosławionym Valinorze, ale hobbita nie opuszczało przeświadczenie, że czyjeś spojrzenie nieustannie śledzi każdy ich ruch i gest.

A co bym zrobił, gdyby nagle stanął przede mną Bilbo? Albo Frodo? - zastanawiał się Folko. - Gdyby oni poprosili, bym oddał im Adamant?...

Nie znalazł odpowiedzi na to pytanie.

Przełęcz Kalakirya skończyła się. Czarne ściany gór odstąpiły, oczom wędrowców ukazały się zielone wzgórza i równiny Valinoru. Ale nie dane jest Śmiertelnemu opisać ich piękna i wielkości. Nie dane jest Śmiertelnemu opowiedzieć, co poczuli przyjaciele, patrząc na połyskujący ogromny szczyt Taniquetilu, na góry kryjące wspaniałości Valimaru...

Groźny Ezellohar minęli drżąc i w milczeniu. A słońce ciągle nie mogło wznieść się nad horyzontem i wydawało się, że ciągle jeszcze trwa dzień trzeci marca, kiedy to „Rybołów" opuścił brzeg Haradu...

Szli dalej przed siebie, nie potrzebując snu, nie odczuwając głodu ani pragnienia. Szli, nie odzywając się. Nawet zawsze mędrkujący Malec tym razem zamilkł. Milczał również Duch Wiedzy, i milczeli Valarowie.

Minęli Komnaty Mandosa, minęli Pałac Nienny, Płaczki. Zatrzymali się dopiero na Ostatnim Brzegu.

Pusto tu było i smętnie. Zupełnie nie przypominała ta ziemia radosnego, szczęśliwego Valinoru. Zresztą, czy naprawdę szczęśliwego?... Vanyarowie, Elfy Piękne - czemu poświęcone były tysiąclecia ich pobytu przy tronie Manwe? Gromadzili wiedzę? Ale czy taka wiedza, pod korcem, ukryta przed wszystkimi - czy nie staje się bezwartościowa, jeśli nikomu nie służy?... Tak myślał hobbit, stojąc nad smutnymi falami Ostatniego Morza.

- No to gdzie są te wasze Drzwi? - przerwał dręczącą ciszę Malec.

- Cierpliwości - padła odpowiedź. Orlangur prostował skrzydła. Złote łuski połyskiwały złowrogo. - Cierpliwości. Zostaliśmy przepuszczeni aż tu, bez walki. Może jeszcze się uda. Tu nie mam mocy przewidywania przyszłości.

Nikt nie zauważył, że na szczycie pobliskiego wzgórza, opadającego w kierunku brzegu spadzistym zboczem, pojawiła się niewysoka, prezentująca się wyniośle postać. Rozległ się głos, i Folko zadrżał; osobliwą moc i dumę wyczuł w owym głosie.

- Ja, Fionwe, herold Wielkiego Manwe, powiadam wam: Ty, mieniący się Duchem Wiedzy, masz udać się do Ezellohara! Pozostali niech oczekują tu.

- Krótko i wyraźnie. - Saruman starał się nie okazywać strachu, ale powiedział to jakoś niepewnie. Eowina, nie wstydząc się nikogo i niczego, podeszła do Folka, objęła go i przywarła doń... Mocno zacisnęła powieki. Wargi szeptały coś... Co? Modlitwę czy przekleństwo?

Złoty Smok jednym ruchem wzbił się w niebo.

- Czekajcie na mnie! I... nie traćcie nadziei!

Nagle poruszył się i jęknął Olmer. Sandello i Oessie rzucili się do niego, jednakże odtrącił ich. Jego oblicze wykrzywiał spazm bólu, ale udało mu się wstać. Czarny Miecz groźnie połyskiwał w jego ręku. Chwiejnym krokiem skierował się w stronę hobbita.

- Czy... my... jesteśmy w Valinorze? - wychrypiał Król Bez Królestwa.

- Tak - odpowiedział Folko, nie spuszczając wzroku.

- Dlaczego... dlaczego nic nie płonie?!

- Przyszliśmy z pokojem.

- Z pokojem?! Przecież to pułapka! Wykorzystaj Adamant, Folko! Musimy otworzyć Drzwi, póki Orlangur powstrzymuje Valarow!

Olmer wyglądał strasznie. Czarny Miecz dygotał w jego ręku, jakby wyszukiwał ofiary.

- Przepuszczono nas! - wyjaśnił hobbit. - Nie możemy atakować pierwsi!

- No to oni zaatakują nas. - Wódz zamknął oczy.

W tym momencie, zza skrywających Valimar wysokich gór dobiegł głuchy odgłos grzmotu. Za nim drugi, trzeci, czwarty... A potem w dziewiczo czyste niebiosa wzbił się tłusty, czarny słup dymu. Drgnęła ziemia, pobliskie wzgórze przekreśliła szczelina.

- Zaczęło się - szepnął Saruman. - Cóż, zobaczymy, czy potrafię jeszcze coś poza podnoszeniem łapy pod drzewkiem! - Zakasał rękawy niczym wiejski zabijaka.

- Otwieraj Drzwi, Folko! - ryknął Olmer. - Pozostali, ustawcie się w kręgu! Musimy dać mu czas! Szybciej! Wyważ Drzwi!

Trzask grzmotu rozlegał się coraz częściej. Słup dymu był już niemal szerszy od pierścienia gór. A nad ich szczytami pojawiła się blada aureola dziwnego płomienia.

- W krąg! - wychrypiał Wódz, popychając na miejsca zbyt wolno poruszających się towarzyszy. I zdążył - w ostatniej chwili.

Kto wie, jak planowali Valarowie tę walkę. Pewnie myśleli, że Zloty Smok stanie się dla nich łatwym łupem, a z pozostałymi bez trudu poradzi sobie każdy Majar.

Ale wszystko poszło nie tak. Folko nie widział Bitwy Mocy, ale sądząc po drżeniu ziemi i osypywaniu się wzgórz, po ich pękaniu na głazy, sądząc po mroku zasnuwającym słońce - Valarom nie udała się łatwa potyczka. Zamiast więc Majara hobbit i jego towarzysze zobaczyli błyszczące szeregi elfów.

Osławieni wojownicy nadciągali w milczeniu, zwartym murem. W srebrnych zbrojach, z dumnymi herbami i dewizami na tarczach - tarczach, które widziały pewnie koniec hufców samego Morgotha w dniach Wojny Gniewu...

Hobbitowi wydało się, że poznaje ich, przypomniawszy sobie opis z księgi Bilba. Wszyscy wielcy herosi minionych Epok, bohaterowie walk z Morgothem i Sauronem przyszli tu, by odebrać zuchwałym przybyszom skarb.

Saruman głośno, szyderczo roześmiał się.

- Ach, i ty jesteś, mistrzu Kirdanie! Co cię tu sprowadza? Czy w twoim wieku można jeszcze uganiać się po bitewnych polach?

Odpowiedzią było milczenie. Folko zauważył, że wprawdzie trzęsienie ziemi

druzgotało i powalało wszystko dokoła, to w tym rumowisku oni wciąż trwali na nieporuszonej wysepce spokoju. Na niej stały teraz, spychające drużynę hobbita do morza, elfy.

Wielki Wódz wyszedł przed wszystkich.

- Ba! - uśmiechnął się ironicznie. - Ileż znajomych twarzy!... Cóż, czcigodni, zaczynajcie! Zaczynajcie, a my zobaczymy, na ile was stać!

Nie odpowiedział mu nikt. Z elfickich szeregów wyleciała strzała, ale na kilka kroków przed Królem Bez Królestwa bezsilnie opadła na ziemię. Olmer ponownie się uśmiechnął:

- Właśnie, to wam chyba się nie uda!

Ale Folko widział - po szyi Wodza strumykiem spływała krew. On już do końca wykorzystał wszystkie swoje siły, wyszarpywał jeszcze po kęsie bezcenny czas...

Hobbit zerwał okrywające Adamant szmaty, wpił się spojrzeniem we wściekły blask. Spróbował wyobrazić sobie Drzwi Nocy. Wyobrazić, jak pęka kopuła szarych niebios i czarne wody Ukrytego za Najdalszym runą na niego i poniosą... coraz dalej i dalej, do skraju Wielkiej Nocy...

Żar palił w twarz. Adamant świecił coraz jaśniej i jaśniej, hobbit nie widział już niczego prócz wściekłego blasku, tonął w tych okrutnych, palących płomieniach...

A dokoła rozlegały się coraz mocniejsze grzmoty. Świt wyparła ciemna noc. Tam, pod Ezelloharem, trwała wielka, nieznana dotąd w Ardzie bitwa, a ścierające się ze sobą Moce szarpały ciało Świata, zmieniając go w Nicość swą siłą. Słupy płomienia wzniosły się powyżej gór, a i same góry wyraźnie topniały, ich stopione warstwy spływały w dół, jakby szalony płomień pożerał ich korzenie. Niewyraźne olbrzymie cienie widoczne były w kłębach dymu, białe błyskawice przeszywały mrok, a w samym sercu chmur połyskiwała złota iskra, płonąca niczym małe słoneczko, może nawet jaśniej.

Niepowodzenie Pierwszego Łucznika nie speszyło Pierworodnych. Z ich szeregów wyleciała chmura strzał, ale nagle wtrącił się Kurunir.

- Istnieje taka stara sztuczka - powiedział umyślnie głośno, a z jego palców trysnął blady płomień. - Bardzo, bardzo stara... bardzo, bardzo prosta... Ale skuteczna!

Strzały, które przebiły się przez niewidzialną tarczę Olmera, zaczynały płonąć w locie. Saruman głośno, szyderczo zarechotał.

Folko, zapomniawszy o wszystkim, obracał w dłoniach lśniący Kamień. Nic... nic... nic!...

A wtedy połyskujące szeregi elfickiego wojska ruszyły do przodu, jakby na jakiś bezgłośny rozkaz. Wzbiła się w powietrze chmura strzał... Niektóre przenikały przez tarczę

Olmera i ogniste błyskawice Sarumana.

Jęknąwszy, chwyciła się za przeszytą strzałą pierś Eowina. Pancerz nie uratował Eldringów przed śmiercionośną pewnością ręki najlepszych strzelców Ardy. Trafiony został w ramię Maelnor, kilka strzał odbiło się od rynsztunku Torina i Malca...

Folko z krzykiem rzucił się do leżącej Eowiny i znieruchomiał - okrutna ręka Forwego ze straszliwą mocą ustawiła go twarzą do brzegu.

- Jeśli nie otworzysz Drzwi Nocy - zginie cały Świat! Wybieraj szybko!

Hobbit odwrócił się. Przed oczami miał twarz Eowiny... z której już uchodziło życie.

Oessie i Sandello niezmordowanie odbijali strzały wroga.

Jeszcze chwila i zginą wszyscy. Pierwszy zrozumiał to Olmer.

- Naprzód! - ryknął, wymachując mieczem. - Póki Folko nie otworzył Drzwi!...

Okrutny Strzelec starł się z Pierworodnym. Na drodze stanął mu ciemnowłosy wojownik, i nagle rozległ się pełen nienawiści głos, dobiegający z klingi Czarnego Miecza:

- Ach, to sam Turgon! Długo czekałem na to spotkanie! W końcu zemszczę się za śmierć mojego twórcy!

Turgon cofnął się, ale było już za późno. Niczym czarna błyskawica prosto w serce uderzył go Czarny Miecz, przeciął zbroję, jakby była z cienkiej tkaniny, wyszedł plecami Pierworodnego.

I zaczęło się.

Elfy księcia Forwego skrzyżowały broń z wojownikami Vanyarow. Krasnoludy starły się z Noldorczykami, Sandello i Oessie walczyli w centrum, obok Olmera.

Czarny Miecz nie znał litości. W ręku Oessie błyskała jej lekka szabla, niedbale parując i łamiąc potężne, ciężkie klingi. Sandello, bez tarczy, zręcznie posługiwał się krzywym mieczem z pierścieniami na obuchu; któryś z elfów dojrzał to i krzyknął ostrzegawczo: pierścieni było DZIEWIĘĆ!...

I nagle do łoskotu wybuchów, dobiegających zza Gór Valimarskich, niespodziewanie dołączył się złowieszczy syk. Niezbyt głośny przenikał dusze wszystkich walczących, wypełniając je niepojętym, lodowatym strachem...

Horyzont Morza niespodziewanie zabarwił się purpurą. A potem, na tym krwistym tle wolno wyrosły niezliczone języki czarnego płomienia. Ogniste pasma pełzły na wschód.

Folko skamieniał. Adamant podarował jego oczom niezwykłą moc. Niemal oślepiony, mógł hobbit jednocześnie dojrzeć, co się dzieje za horyzontem. I to, co zobaczył, jego rozum odrzucał, nie mogąc pojąć.

Sunęły na nich nie języki płomieni. Nie. Czarny kleks Absolutnej Nicości rozpełzał się po ciele Błogosławionych Królestw, pożerając je i wchłaniając w siebie. Kopuła niebios pękła. Nieboskłon został przecięty olbrzymim mieczem. Z rany do Świata Valinoru runął jędrny strumień nieznanej, straszliwej Mocy... A nieco wyżej, nad nią, hobbit zobaczył niewyraźne kontury dwu olbrzymich ludzkich postaci... A jedna z nich miała na głowie trójzębną koronę.

Trzęsienie ziemi równało wzgórza, zmuszając oszalałe fale, by kąsały pokiereszowany brzeg. Nad Górami Valimarskimi pajęczyna białych błyskawic niespodziewanie otoczyła złotą iskrę Wielkiego Orlangura i Smok runął z niebios. Ogarnięty płomieniami toczył się gdzieś w kierunku wschodnich rubieży Valinoru...

- Chyba to koniec! - wrzasnął Mały Krasnolud, parując kolejny atak przeciwnika.

- Och, oberwie się nam od Machala! - odkrzyknął Torin, zadając śmiertelne uderzenie...

Elficcy wojownicy nie szczędzili siebie. To zrozumiałe śmierć była dla nich jedynie krótką przerwą w bycie. Wrócą do Komnat Mandosa... A potem, posiadłszy nowe ciała, wrócą do Świata. Ale nawet ich bezgraniczna odwaga nie zdołała złamać oporu garstki wojowników. Saruman, dziko rechocąc, tracił resztki sił, ale wysyłany przezeń płomień zabijał skutecznie.

- Folko! Nie mamy już ani chwili czasu! - zawołał Olmer, nie odwracając głowy.

Hobbit dobrze wiedział, że nie mają już czasu. Widział nadpełzającego zza Rubieży Świata pożerającego wszystko Potwora - czy nie o czymś takim mówił Wielki Orlangur? Widział tę parę w niebiosach... I rozumiał, że Wielki Smok padł, ściągając na siebie całą Moc Valarow, i że za chwilę ta Moc zwali się na nich.

Decyzja przyszła sama. Prosta i jednocześnie straszna. Imię rozjarzyło się w świadomości niczym pożar, i w mgnieniu oka, odwróciwszy się, Folko skierował całą moc Adamantu na wrota Komnat Mandosa. Wargi hobbita wyszeptały płonące w umyśle imię:

- Feanorze!

Przez nieszczęsną ziemię przetoczyło się ciężkie westchnienie. Walczący wylecieli w powietrze, wielu nie utrzymało się na nogach. Tam, gdzie zdaniem hobbita miały znajdować się Komnaty Mandosa, do nieba wzbiła się potężna fontanna ziemi i płomieni. Ale nawet ten płomień nie mógł się równać z blaskiem oślepiająco białej klingi, która na ukos przeszyła niebiosa. I do uszu hobbita dotarły słowa:

- Dziękuję ci, Folko, synu Hemfasta. Moja niewola skończyła się! I teraz zemszczę się za wszystko!

W następnej chwili nad górami rozległ się tak potężny grzmot, że hobbit omal nie ogłuchł. I nagle z okrywających niebiosa obłoków dymu wynurzył się znajomy kontur

Wielkiego Smoka. Orlangur leciał wolno, z trudem utrzymując się w powietrzu: jedno skrzydło miał niemal do połowy oderwane, z ran na ziemię chlustała krwawa ulewa. Łuski straciły swój blask, pokryte sadzą i krwią; elfy z tylnych szeregów przywitały Smoka gradem strzał, ale ten nie obdarzył ich nawet jednym spojrzeniem. Runął ciężko w płytką wodę obok hobbita.

- Miałeś szczęście z Feanorem... - wychrypiał Złoty Smok. - Ale uważaj... mówiłem ci... oni jednak się przedarli...

Folko nie odpowiedział. Widmo Dagor Dagorrath stawało się coraz wyraźniejsze. A on MUSIAŁ otworzyć Drzwi! Tylko, co należało w tym celu zrobić?... Żeby to pojąć jeszcze głębiej, czując, że blask wypala mu oczy, zanurzył się w szalonym lśnieniu Kamienia... W żyły trysnął płonący żar... Jego wola, zjednoczona z wolą Adamantu, niczym przepotężny taran uderzyła w zamknięte Drzwi.

I te nie oparły się.

Cofnęły się elfy, ogarnięte paniką.

Skamieniali ze strachu towarzysze Folka.

Paszcza ślepej Nicości rozwarła się przed nimi... paszcza ślepej Nicości, w której nie ma nawet Mroku - nie ma zupełnie niczego.

- Tam! - ryknął Smok. Odwrócił się i uniósł niezranione skrzydło, jakby zasłaniając się przed czymś straszliwym.

Tylko przez mgnienie oka widzieli Malec i Torin niewyraźne olbrzymie kształty, które wznosiły się nad pożeranymi przez ogień Górami Valimaru. Tylko przez chwilę - ale potęga ich i moc oszałamiały; wydawało się, że serca zuchwalców lada chwila pękną...

Uderzenie, które spadło na złodziei Adamantu, mogło pewnie wyrzucić w powietrze cały Angband. Jakby pod ciosem straszliwego młota ciało Orlangura zmieniło się w krwawą miazgę mięsa, kości i złotej łuski. Skrzydła zostały złamane, kręgosłup zmiażdżony. Ale głowa ocalała i głowa ta wyszeptała ostatni rozkaz:

- Uciekajcie!

Pierwszy w otchłań skoczył Forwe, wlokąc za sobą ociekającego krwią Maelnora. Bearnas, również ranny, niósł na plecach trafionego dziesiątkiem strzał Amroda. Saruman podniósł bezwładne ciało Eowiny i pobiegł za elfami. Sandello najpierw cisnął w wyłom Oessie, za nią Folka. Zamykali odwrót krasnoludy i Olmer.

Ostatnią rzeczą, jaką widział hobbit ślepnącymi oczami, był widok wysłanej przez Adamant ognistej fali, która runęła na spotkanie Potwora z Zewnątrz i zmiażdżyła go, wywróciła, przepędziła precz, a wraz z nim - tych Dwoje.

Przejście zamykało się.

I ostatni zdołał tu wskoczyć płomienny duch Feanora.

A potem na hobbita zwalił się ból. Tracąc przytomność, wpadając w zbawczy niebyt, nieważne - braku świadomości tylko czy śmierci - Folko zdążył pomyśleć: „Na koniec byłoby miło poleżeć na trawie”...

Potem przyszło jeszcze gorsze.

Leżał na czymś miękkim i przyjemnym. Oparzoną skórę chłodził lekki wiaterek. Zanurzony był w mroku. Uniósł rękę, a wtedy puste, wypalone oczodoły odezwały się atakiem szalonego bólu.

Wówczas rozpłakał się.

Nagle usłyszał zaniepokojone głosy. Czyjeś troskliwe, delikatne ręce podtrzymały jego głowę, na wargach poczuł chłód jakiegoś napoju.

- Folko, Folko, słyszysz mnie? Słyszysz mnie? Odpowiedz, proszę cię!

To chyba głos Torina.

- Sssłyszszę... Gdziee jesstem?... Co... z Kamieniem?

- Wszystko w porządku, uciekliśmy! - To chyba Oessie... Czyżby Oessie płakała? - Adamant... jest obok ciebie! Pod prawą ręką!

- Gdzie jesteśmy?... Opiszcie mi...

- Jesteśmy na brzegu morza. - Głos księcia Forwego drżał. - Nad nami są szare skały, pnące się aż do niebios. Języki kamiennych osypisk schodzą do wody. Między skałami widać las. Sosny, jodły... A my jesteśmy na skraju lasu... Tu jest wspaniała miękka trawa... Chciałbym wiedzieć, jak się tu znaleźliśmy...

Wargi hobbita drgnęły w słabym uśmiechu, który kosztował go kolejną falę bólu. Znowu w świadomości pojawiło się IMIĘ. Ale już nie Feanora. Nie żywej istoty. Więcej. Świata.

- Jesteśmy... za rubieżami Ardy. My...

- Chcesz powiedzieć, że jesteśmy w innym świecie? - To odezwał się głęboki, przepełniony mocą głos, nieznany hobbitowi. Może to mówił Feanor?

- Tak. Jesteśmy w innym świecie. W innym... I nazwiemy go... - To słowo aż się rwało na wolność.

I świat ten wyznał hobbitowi swoje imię.